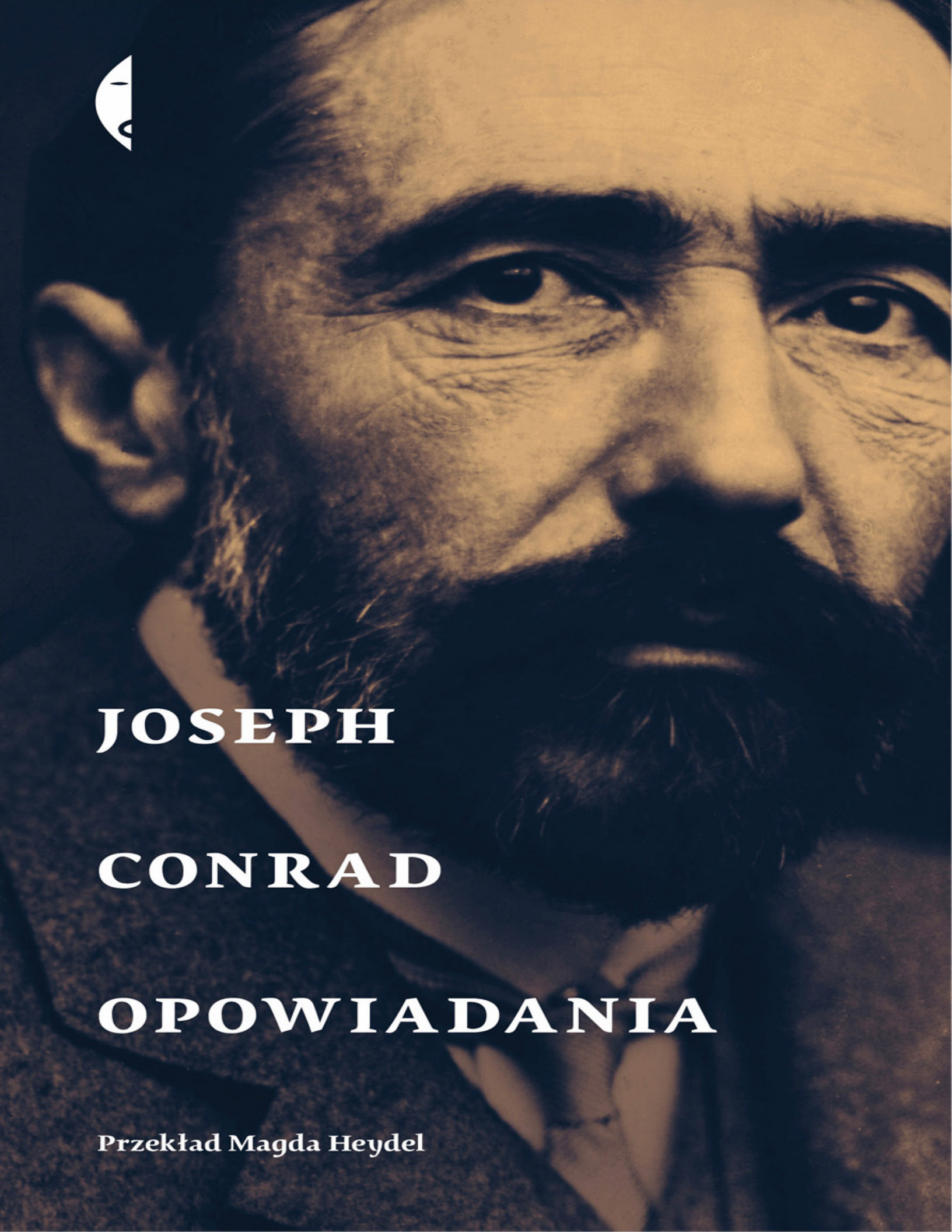

# JOSEPH CONRAD

# OPOWIADANIA

Przekład Magda Heydel

## Joseph Conrad

# Opowiadania

**Wybór i przekład Magda Heydel**

Wołowiec 2018

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Hulton-Deutsch Collection / CORBIS / Corbis via Getty Images

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2018
Copyright © for the Polish translation by Magda Heydel, 2018

Redakcja Marta Höffner
Korekta d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-801-3

# Spis treści

*Strona tytułowa*
*Strona redakcyjna*

Placówka postępu
Laguna
Karain: wspomnienie
Młodość: opowieść
Amy Foster
Anarchista
Informator. Opowieść ironiczna
Il Conde. Opowieść żałosna
Tajemny towarzysz
Freya z Siedmiu Wysp
Wspólnik
Książę Roman
Opowieść

Magda Heydel *O opowiadaniach Josepha Conrada*
*Kolofon*

# Placówka postępu

## I

Stacją handlową zawiadywało dwóch białych. Kayerts, szef, był niski i gruby; Carlier, jego zastępca, był wysoki, miał wielką głowę i bardzo szeroki tułów usadowiony na chudych nogach. Trzeci w załodze był Murzyn z Sierra Leone, który utrzymywał, że nazywa się Henry Price. Ale z jakiegoś powodu tubylcy znad rzeki nazwali go Makola i imię to przylgnęło do niego, kiedy wędrował po okolicy. Makola mówił po angielsku i francusku ze szczebiotliwym akcentem, miał pięknie wyrobiony charakter pisma, znał się na buchalterii, a w głębi serca zachowywał nabożny strach przed złymi duchami. Miał żonę, Murzynkę z Loandy, wielką i hałaśliwą. Trójka dzieci baraszkowała w słońcu przed wejściem do jego domu, który wyglądał jak szopa. Makola był milkliwy i nieprzenikniony i głęboko gardził tymi dwoma białymi. Sprawował pieczę nad niewielkim glinianym magazynem pokrytym strzechą z trzcin i udawał, że doskonale kontroluje zasoby koralików, perkalu, czerwonych chusteczek, miedzianego drutu i innych znajdujących się w nim towarów. Poza magazynkiem i chatą Makoli na terenie stacji znajdował się jeszcze tylko jeden duży budynek. Był starannie zbudowany z trzciny, wzdłuż wszystkich czterech ścian biegła weranda. Miał trzy pokoje. Pośrodku salon, w którym stały dwa surowe stoły i kilka taboretów. Po bokach – dwie sypialnie białych. Ich jedynym wyposażeniem były łóżka z moskitierą. Podłogę z desek zaścielały rzeczy należące do mieszkańców: otwarte, na wpół opróżnione pudełka, strzępy podartych ubrań, stare buty; wszystko brudne, wszystko połamane – ot, śmieci, które tajemniczym sposobem gromadzą się wokół bałaganiarzy. W pewnym oddaleniu od tych budynków znajdowało się jeszcze jedno mieszkanie. W nim, pod wysokim krzyżem, znacznie

odchylonym od pionu, spoczywał człowiek, który był tu od początku, który zaprojektował tę placówkę postępu i dozorował jej powstawanie. Wcześniej, u siebie, był nieudacznym malarzem, który znudziwszy się poszukiwaniem sławy, gdy kiszki marsza grają, dzięki wysokim protekcjom zdołał wyjechać. To on był pierwszym szefem tej stacji. Makola ze swoją zwykłą obojętnością przyglądał się, jak w świeżo ukończonym domu energiczny malarz umiera na febrę, zupełnie jakby mówił: „Wiedziałem, że tak będzie". Potem przez jakiś czas żył tu sam, z rodziną, księgami rachunkowymi i Złym Duchem, który rządzi podrównikową krainą. Dobrze się dogadywał ze swoim bogiem. Być może zjednał go sobie obietnicą, że jeśli wykaże trochę cierpliwości, to dostanie do zabawy kolejnych białych. Tak czy inaczej, dyrektor Wielkiej Kompanii Handlowej, przybywszy parowcem, który przypominał ogromną puszkę sardynek z doczepioną od góry płasko zadaszoną szopką, zastał stację w dobrym porządku, a Makolę spokojnego i pilnego jak zawsze. To dyrektor kazał postawić krzyż na grobie pierwszego agenta, a następnie na jego stanowisko wyznaczył Kayertsa. Carlier musiał się zadowolić niższą rangą. Dyrektor był człowiekiem bezwzględnym i skutecznym, który od czasu do czasu pozwalał sobie na ledwo dostrzegalne przejawy czarnego humoru. Wygłosił do Kayertsa i Carliera krótką mowę, w której podkreślił budzące optymizm cechy ich stacji. Najbliższa placówka handlowa znajdowała się w odległości jakichś trzystu mil. Oto mają wyjątkową szansę, by się wyróżnić oraz wyciągnąć z handlu niezły procent. To miejsce stanowi naprawdę łakomy kąsek dla początkujących agentów. Kayerts wzruszył się dobrocią dyrektora niemal do łez. Postara się, oświadczył, dołoży wszelkich starań, by nie zawieść pokładanego w nim i jakże mu pochlebiającego zaufania etc., etc. Kayerts pracował przedtem w Zarządzie Telegrafów i umiał się właściwie wyrazić. Carlier, były podoficer kawalerii w armii, której bezpieczeństwo gwarantowało kilka europejskich mocarstw, był pod nieco mniejszym wrażeniem. Jeśli uda się wyciągnąć z tego jakiś procent – to bardzo dobrze. I omiatając ponurym spojrzeniem rzekę, lasy,

nieprzenikniony busz, który, jak się wydawało, odcinał stację od reszty świata, wymamrotał przez zęby:

– Się zobaczy, i to niebawem.

Następnego dnia, wyrzuciwszy na brzeg kilka bali bawełny i parę skrzynek żywności, puszka od sardynek odpłynęła, by nie pokazać się przez kolejne sześć miesięcy. Dyrektor z pokładu zasalutował swoim agentom, którzy stali na nabrzeżu i machali do niego kapeluszami, a potem, idąc do kajuty, odwrócił się do starego pracownika kompanii i powiedział:

– Tylko popatrz na tych dwóch imbecyli. Oni tam chyba już całkiem powariowali, że przysyłają mi tu takie okazy. Powiedziałem im, żeby sobie założyli warzywnik, postawili nowy magazyn i płot i żeby zbudowali nowy pomost. Założę się, że nie zrobią nic! Nie będą nawet wiedzieli, jak się do tego zabrać. Zawsze uważałem, że stacja na tej rzece nie ma najmniejszego sensu, a ci dwaj po prostu idealnie do tej stacji pasują.

– Uformują się tu – rzekł stary wyga ze spokojnym uśmiechem.

– Tak czy siak, mam ich z głowy na sześć miesięcy – odpowiedział mu dyrektor.

Dwaj mężczyźni patrzyli, jak parowiec znika za zakrętem rzeki, a następnie ramię w ramię ruszyli w górę po zboczu i wrócili do stacji. W tym wielkim, ciemnym kraju przebywali od niedawna, dotąd zawsze znajdowali się w otoczeniu innych białych, pod czujnym okiem swoich przełożonych. A teraz, choć nie byli przesadnie uwrażliwieni na subtelne wpływy otoczenia, poczuli się bardzo samotni, nagle bowiem znaleźli się bez żadnej pomocy sam na sam z dziczą: i to tym bardziej obcą, tym bardziej niezrozumiałą, że przebłyskiwało z niej skryte w gąszczu, tajemnicze, bujne życie. A oni byli tylko dwiema pozbawionymi znaczenia i mocy jednostkami, których istnienie możliwe było jedynie dzięki wysokiej organizacji cywilizowanego tłumu. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ich życie, sama esencja ich charakteru oraz wszelkie zdolności i śmiałość są niczym więcej jak wyrazem wiary w bezpieczne otoczenie. Odwaga, opanowanie i odpowiedzialność; uczucia i zasady; wszelka myśl, czy to wielka, czy to nieważna, należy nie do jednostki, ale do tłumu: do

tłumu, który ślepo wierzy w nieprzezwyciężoną moc swych instytucji i swej moralności, we władzę swej policji i swych opinii. Tymczasem spotkanie z czystą, bezwzględną dziczą, z pierwotną naturą i z pierwotnymi ludźmi przepełnia serce nagłą i głęboką troską. Do poczucia oddalenia od swoich, niewątpliwej samotności własnych myśli i odczuć – do zaprzeczenia wszystkiemu temu, co zwyczajne, co bezpieczne, dochodzi jeszcze potwierdzenie tego, co niezwykłe, niebezpieczne; sugestia czegoś nieokreślonego, nieogarnionego i odrażającego, czego niepokojący, a natrętny napór w równym stopniu pobudza wyobraźnię i poddaje próbie cywilizowane nerwy tak głupich, jak i mądrych.

Kayerts i Carlier szli ramię w ramię, tuląc się do siebie jak dzieci w ciemności; obaj mieli to samo, nie całkiem nieprzyjemne poczucie zagrożenia, które człowiek w połowie bierze za wytwór wyobraźni. Gwarzyli bez ustanku, w tonie poufałym.

– Stację mamy położoną pięknie – rzekł jeden.

Drugi przytaknął z entuzjazmem, rozwodząc się szeroko nad pięknem usytuowania stacji. Przechodzili obok grobu.

– Szkoda czorta! – odezwał się Kayerts.

– Umarł na febrę, co? – wymamrotał Carlier, zatrzymując się.

– E, nie – odrzekł Kayerts z oburzeniem w głosie. – Mnie mówiono, że facet kompletnie zlekceważył słońce. Wszyscy powtarzają, że ten klimat nie jest wcale gorszy niż u nas, tyle tylko, że trzeba uważać na słońce. Słyszysz, Carlier? Jestem tu szefem i wydaję ci oficjalny rozkaz, że masz się dobrze chronić przed słońcem!

Ton wyższości był żartobliwy, ale Kayerts mówił serio. Sama myśl, że miałby, dajmy na to, pochować tu Carliera, przyprawiła go o wewnętrzny dreszcz. Nagle poczuł, że ten Carlier, tutaj w sercu Afryki, jest mu droższy niż gdzie indziej rodzony brat. Carlier, wczuwając się w nastrój chwili, zasalutował po wojskowemu i odpowiedział energicznie:

– Rozkaz, szefie! – I wybuchnąwszy śmiechem, klepnął Kayertsa po plecach, wykrzykując: – Żyć nam się tu będzie przyjemnie! Będziemy sobie

siedzieć spokojnie i tylko odbierać od tych dzikusów kość słoniową. Ten kraj ma jednak jakieś dobre strony!

Obaj zarechotali, a Carlier pomyślał sobie: „Biedny Kayerts, taki gruby i niezdrowy. Okropne by było, gdybym go tu musiał pochować. Darzę go szacunkiem…”. Zanim dotarli do werandy przed domem, zwracali się do siebie nawzajem per „drogi przyjacielu”.

Pierwszego dnia wykazywali się sporą aktywnością, kręcili się wokoło z młotkami, gwoździami i czerwonym perkalem, wieszali zasłony, żeby dom był wygodny i piękny; zdeterminowani, by nowe życie urządzić sobie komfortowo. Było to dla nich zadanie niewykonalne. Aby skutecznie uporać się choćby z czysto materialnymi problemami, trzeba mieć więcej spokoju umysłu i wzniosłej odwagi, niż ludzie są w stanie sobie wyobrazić. Nie było chyba na świecie dwu stworzeń mniej przygotowanych do takich zmagań. Społeczeństwo, bynajmniej nie z czułości, ale z powodu swoich dziwacznych potrzeb, zaopiekowało się tymi dwoma mężczyznami, zakazując im wszelkich samodzielnych myśli, wszelkiej inicjatywy, odstępstwa od rutyny; i to pod groźbą śmierci. Żyć mogli jedynie pod warunkiem, że staną się maszynami. A teraz, uwolnieni spod opiekuńczej obecności mężczyzn z piórami zatkniętymi za ucho albo ze złotym szamerunkiem na rękawach, byli niczym ci dożywotni skazańcy, którzy zwolnieni po wielu latach nie wiedzą, co począć z własną wolnością. Nie wiedzieli, jak użyć swoich władz umysłowych, obaj bowiem z braku wprawy niezdolni byli do samodzielnej myśli.

Pod koniec drugiego miesiąca Kayerts mawiał często:

– Gdyby nie chodziło o moją Melie, wołami by mnie tu nie zaciągnął.

Melie to była jego córka. Rzucił posadę w Zarządzie Telegrafów, choć przez siedemnaście lat był tam absolutnie szczęśliwy, żeby zarobić na posag dla swojej dziewczynki. Żona mu umarła, a córeczka poszła na wychowanie do jego sióstr. Teraz brakowało mu ulic, chodników, kawiarni, starych dobrych kumpli; wszystkiego tego, co widział każdego dnia; wszystkich myśli, które te znajome sprawy przywodziły – niewymagających wysiłku, monotonnych i krzepiących myśli urzędnika

państwowego; żal mu było plotek, drobnych wrogości, odrobiny jadu i żarcików z rządowych biur.

– Gdybym miał porządnego szwagra – mawiał Carlier – chłopa, co ma serce, na pewno by mnie tu nie było.

Carlier wyszedł z wojska i tak dokuczył rodzinie swoim lenistwem i bezczelnością, że zdesperowany szwagier dosłownie stanął na głowie i załatwił mu stanowisko agenta drugiej klasy w kompanii. Carlier nie miał złamanego grosza, więc gdy pojął w końcu, że ze swoich krewnych nic już nie wyciśnie, musiał się wreszcie pogodzić z taką metodą zarabiania na życie. I on, tak jak Kayerts, żałował dawnego życia. Brakowało mu brzęku szabel i ostróg w pogodne popołudnia, koszarowej wesołości, dziewcząt z garnizonowych miast; ale tkwiło w nim też poczucie klęski. Z całą pewnością był człowiekiem głęboko skrzywdzonym. To go czasami wpędzało w melancholię. Generalnie jednak ci dwaj całkiem nieźle sobie radzili w tym swoim braterstwie głupoty i lenistwa. Obaj nie robili nic, literalnie nic, i cieszyli się bezczynnością, za którą im płacono. Z czasem zaczęli czuć do siebie nawzajem coś na kształt sympatii.

Żyli jak ślepcy w wielkim pomieszczeniu, świadomi jedynie tego, co ich bezpośrednio dotyka (a i tego niedokładnie), lecz niezdolni, by dojrzeć ogólny zarys spraw. Rzeka, las, cała ta ogromna tętniąca życiem kraina były niczym wielka pustka. Nawet jaskrawy blask słońca nie odsłaniał niczego zrozumiałego. Wszystko przed ich oczyma pojawiało się i znikało w sposób oderwany i bezcelowy. Rzeka, zdawało się, wypływała znikąd i donikąd dążyła. Przepływała przez pustkę. Z owej pustki raz na jakiś czas wyłaniały się pirogi, a dziedziniec nagle zapełniał się tłumem mężczyzn z włóczniami w rękach. Wszyscy nadzy, połyskliwie czarni, udekorowani śnieżnobiałymi muszlami i lśniącym drutem mosiężnym, doskonale zbudowani. Ich mowa składała się z prymitywnych, bełkotliwych dźwięków, poruszali się z dostojeństwem, rzucali na prawo i lewo dzikie spojrzenia zdumionych, stale niespokojnych oczu. Wojownicy ci w długich rzędach siadali w kucki przed werandą, po czterech albo więcej, a ich wodzowie godzinami targowali się z Makolą o kły. Kayerts siedział w fotelu i z góry przyglądał

się tym procedurom, nic z nich nie rozumiejąc. Wpatrywał się w nich swymi okrągłymi niebieskimi oczyma i wołał do Carliera:

– Patrz no na tego! O, na tego tu, i na tego dalej, po jego lewej. Widziałeś kiedyś taką gębę? Co za śmieszny drab.

Carlier pojawiał się z nabitą miejscowym tytoniem krótką fajką w zębach, podkręcał wąsa i lustrując wojowników z pełną pobłażliwości wyższością, mawiał:

– Niezłe bydlęta. Przynieśli coś? Na to nigdy nie jest za wcześnie. - Popatrz na muskuły tego faceta, tego tu, trzeciego od końca. Nie miałbym ochoty oberwać od niego w nos. Ramiona niezłe, ale nogi od kolana w dół do niczego. Z nich by kawalerii nie zrobił.

A potem spojrzawszy nie bez satysfakcji na własne łydki, nieodmiennie stwierdzał:

– Uch, ależ oni cuchną. Ty, Makola! Zabieraj no to stado do fetysza – magazyn w każdej stacji nazywano fetyszem, być może dlatego, że skrywał ducha cywilizacji – i wydaj im tam co z tego twojego śmiecia. Lepiej niech się napełni kością słoniową, niż żeby w nim gniły te szmaty.

Kayerts się zgadzał.

– Tak, tak, panie Makola! Idźcie i tam skończcie to całe zawracanie głowy. Jak się z tym uporacie, to przyjdę zważyć kły. Trzeba uważać. – A potem zwracał się do swojego towarzysza: – To jest to plemię, które żyje w dole rzeki; rzeczywiście są dość aromatyczni. Pamiętam, raz tu już byli. Słyszysz tę awanturę? Czego to człowiek nie musi znosić w tym pieskim kraju. Głowa mi pęka.

Takie korzystne wizyty nie zdarzały się często. Całymi dniami nasi pionierzy handlu i postępu patrzyli tylko na puste podwórze w rozedrganym blasku padających pionowo promieni słońca. Poniżej wysokiego brzegu płynęła milcząca rzeka, lśniąca i spokojna. Na piaszczystej łasze pośrodku bok w bok grzały się w słońcu hipopotamy i krokodyle. A w każdą stronę od nic nieznaczącej polanki, stacji handlowej, w wymownej ciszy milczącej potęgi rozciągały się potężne lasy, kryjące brzemienne w skutki, skomplikowane, fantastyczne życie. Dwaj mężczyźni nie rozumieli niczego

i nie dbali o nic poza przemijaniem dni, które dzieliły ich od powrotu parowca. Ich poprzednik zostawił po sobie parę książek. Zabrali się więc za te szczątki powieści, a jako że nigdy dotąd nie czytali niczego podobnego, poczuli zdumienie i rozbawienie. Dlatego dni mijały im teraz na nieskończonych niemądrych dyskusjach o wydarzeniach i postaciach. W samym środku Afryki zawarli znajomość z kardynałem Richelieu i d'Artagnanem, z Sokolim Okiem i ojcem Goriot oraz z mnóstwem innych ludzi. Wszystkie te wyobrażone postaci stały się dla nich przedmiotem plotek, jakby to rzeczywiście byli ich znajomi. Pomniejszali ich cnoty, nie wierzyli w czystość motywacji, krytykowali osiągnięcia, gorszyli się ich dwulicowością i powątpiewali w odwagę. Opisy zbrodni napełniały ich odrazą, a fragmenty uczuciowe i wzniosłe poruszały do głębi. Carlier odchrząkiwał i oświadczał żołnierskim tonem:

– Co za bzdury.

Kayerts, którego okrągłe oczy wypełniały się łzami, a tłuste policzki zaczynały drgać, pocierał łysinę i stwierdzał:

– Cudowna książka. Nie miałem pojęcia, że są tacy zdolni ludzie na tym świecie.

Znaleźli też stare egzemplarze gazety ze swoich stron. Ta publikacja rozwodziła się we wzniosłych słowach nad czymś, co z zachwytem określała jako „naszą ekspansję kolonialną". Wiele było tam mowy o prawach i obowiązkach cywilizacji, świętości trudu cywilizowania, wiele było wychwalania zasług tych, którzy wyruszali, by nieść światło, wiarę i handel w najciemniejsze miejsca Ziemi. Carlier i Kayerts czytali, zdumiewali się i zaczynali myśleć o sobie nieco lepiej. Pewnego wieczoru Carlier, machając ręką, rzekł:

– Za sto lat być może będzie tu miasto. Nabrzeża, magazyny i koszary, i… i… bilard. Cywilizacja, kochany, i cnota, i tak dalej. A potomni będą się uczyli, że pierwszymi cywilizowanymi ludźmi, którzy żyli w tym miejscu, było dwóch dzielnych facetów, Kayerts i Carlier.

Kayerts przytaknął:

– Tak, to jest pocieszająca myśl.

Jakoś zapomnieli o swoim zmarłym poprzedniku, ale któregoś dnia rano Carlier poszedł i na nowo osadził krzyż.

– Bo aż się krzywiłem za każdym razem, jak tamtędy przechodziłem – wyjaśnił Kayertsowi, gdy pili kawę. – Aż się krzywiłem, jak widziałem, że tak się przechyla. To go wyprostowałem. Solidnie, daję słowo. Uwiesiłem się na nim obiema rękami. Nawet nie drgnął. Porządnie to zrobiłem.

Czasami z wizytą przychodził Gobila. Był on wodzem pobliskich wiosek. Ten siwy dzikus, chudy i czarny, miał białą szmatę owiniętą wokół lędźwi, a na grzbiecie nosił wyliniałą skórę pantery. Jego kościste nogi stawiały wielkie kroki, machał kijem dorównującym mu wysokością i tak wchodził do wspólnego pokoju stacji, gdzie siadał w kucki na lewo od drzwi. Siedział sobie, przyglądając się Kayertsowi, od czasu do czasu wygłaszając mowę, z której ten drugi nic a nic nie rozumiał. Kayerts, nie przerywając swego zajęcia, mawiał czasami przyjacielskim tonem:

– No i jak tam leci, ty stara kreaturo? – I uśmiechali się do siebie nawzajem.

Obaj biali lubili nawet to stare i niepojęte stworzenie i nazywali go ojcem Gobila. Gobila zachowywał się po ojcowsku i wyglądało na to, że naprawdę kocha wszystkich białych. Wszyscy biali wydawali mu się strasznie młodzi, identyczni i nierozpoznawalni (najwyżej po posturze), wiedział, że są braćmi, jak również że są nieśmiertelni. Śmierć malarza, pierwszego białego, z jakim zawarł bliższą znajomość, nie zakłóciła tej wiary, Gobila był bowiem przekonany, że przybysz udaje tylko, że umarł, że dał się pogrzebać dla swoich własnych tajemniczych celów, w które nie ma sensu wnikać. Może tym sposobem powrócił do swojego kraju? Tak czy inaczej, ci dwaj tutaj byli jego braćmi, więc Gobila przeniósł na nich swoje absurdalne uczucia. A oni je na swój sposób odwzajemniali. Carlier poklepywał go po plecach i dla zabawy lekkomyślnie zapalał zapałki. Kayerts zawsze chętnie dawał mu powąchać swoją buteleczkę amoniaku. Mówiąc krótko, zachowywali się tak samo jak to poprzednie białe stworzenie, które kazało się zakopać w dołku. Gobila uważnie się nad nimi zastanawiał. A może ci dwaj są tym samym bytem co ten poprzedni –

a może tylko jeden z nich? Nie był w stanie zadecydować – wyjaśnić tej tajemnicy, ale niezmiennie darzył ich przyjaźnią. Za sprawą tej przyjaźni kobiety z jego wioski wyruszały gęsiego przez trzciniaste trawy i co rano dostarczały do stacji drób, słodkie pataty, wino palmowe, a czasem kozę. Kompania nigdy w pełni nie zaopatrywała placówki, więc te miejscowe dostawy były agentom niezbędne, by przetrwać. Otrzymywali je dzięki dobrej woli Gobili i żyli sobie dostatnio. Od czasu do czasu któryś z nich zapadał na febrę, a wtedy drugi pielęgnował go z czułym poświęceniem. Nie przejmowali się tym zbytnio. Choroby ich osłabiały i coraz gorzej wyglądali. Carlierowi zapadły się oczy i był rozdrażniony. Twarz Kayertsa zwiędła i sflaczała, brzuch był okrągły, co nadawało mu dziwny wygląd. Ale ponieważ stale przebywali razem, nie dostrzegali u siebie nawzajem tych stopniowo postępujących zmian wyglądu, a także usposobienia.

Tak minęło pięć miesięcy.

Aż któregoś ranka, gdy Kayerts i Carlier wypoczywali w fotelach pod dachem werandy, rozmawiając o zbliżającym się przybyciu parowca, z lasu wyłoniła się garstka uzbrojonych mężczyzn, którzy szli ku stacji. Nie byli tutejsi. Wysocy, szczupli, od szyi po pięty w udrapowanym klasycznie frędzlastym niebieskim płótnie, na gołym prawym ramieniu nieśli strzelby. Makola, okazując podniecenie, wybiegł im na spotkanie z magazynu (gdzie spędzał całe dnie). Ludzie weszli na podwórze i rozglądali się wkoło pewnie, pogardliwie. Ich przywódca, mocny i z wyglądu zdecydowany Murzyn o krwawych oczach, stanął na wprost werandy i wygłosił długą mowę. Gestykulował obficie, aż niespodziewanie przerwał.

W jego intonacji, w dźwięku długich zdań, którymi się posługiwał, było coś, co zaniepokoiło białych. Jakby wspomnienie czegoś nie całkiem znajomego, a jednak przypominającego mowę ludzi cywilizowanych. Brzmiało to jak jeden z tych niemożliwych języków, które nieraz słyszy się we śnie.

– Co to za język? – odezwał się zdumiony Carlier. – W pierwszej chwili myślałem, że facet zacznie nawijać po francusku. Tak czy siak, to jakiś inny jazgot niż to, cośmy dotąd słyszeli.

– Prawda – odpadł Kayerts. – Hej, Makola, co on gada? Skąd oni są? Co to za jedni?

Ale Makola, który wyglądał, jakby mu pięty przypiekano, odpowiedział pośpiesznie:

– Nie wiem. Oni są z bardzo daleka. Może pani Price ich zrozumie. To są chyba źli ludzie.

Przywódca odczekał chwilę, potem rzucił coś ostro do Makoli, który potrząsnął głową. Następnie przybysz, rozejrzawszy się dokoła, dostrzegł chatę Makoli i tam się skierował. Natychmiast dało się słyszeć panią Makolową, jak rozprawia z wielką elokwencją. Pozostali – było ich sześciu – przechadzali się swobodnie, wsadzali głowy do magazynu, zebrali się wokół grobu, wskazywali na krzyż i ogólnie czuli się jak u siebie w domu.

– Nie podobają mi się te chłopaki i, powiadam ci, Kayerts, oni na pewno są z wybrzeża, mają strzelby – zauważył roztropnie Carlier.

Kayertsowi także się nie podobali. Obaj uświadomili sobie, że żyją w warunkach, gdzie to, co niezwyczajne, może okazać się groźne, oraz że na ziemi i na niebie nie ma żadnej mocy, która mogłaby stanąć między nimi a tym, co niezwyczajne. Poczuli niepokój, weszli do domu i załadowali rewolwery. Kayerts powiedział:

– Musimy powiedzieć Makoli, żeby kazał im się wynieść przed zmrokiem.

Przybysze odeszli po południu, zjadłszy posiłek, który ugotowała im pani Makolowa. Ta ogromna kobieta była rozemocjonowana i dużo rozmawiała z gośćmi. Trajkotała ostrym głosem, wskazując to tu, to tam, na las i na rzekę. Makola siedział z boku, przyglądał się. Od czasu do czasu wstawał i szeptał coś do żony. Odprowadził obcych na drugą stronę urwiska za stacją i wrócił powoli z zasępioną miną… Kiedy biali próbowali go wypytywać, zachowywał się dziwnie, jakby nie rozumiał, jakby zapomniał francuskiego – jakby w ogóle zapomniał języka w gębie. Kayerts i Carlier wspólnie doszli do wniosku, że Murzyn wypił za dużo wina palmowego.

Pojawił się pomysł, żeby na zmianę trzymać wartę, ale pod wieczór wszędzie panowały taka cisza i spokój, że położyli się spać jak zwykle. Przez całą noc niepokoiły ich odgłosy bębnienia w okolicznych wioskach. Po jednym głębokim, nagłym dudnieniu gdzieś blisko dały się słyszeć kolejne, z daleka – a potem wszystko nagle cichło. Niebawem krótkie wezwania bębnów terkotały to tu, to tam, następnie wszystkie zmieszały się ze sobą, wzmogły, nabrały mocy, nie ustawały, rozciągnęły się na duże połaci lasu. Przetaczały się przez noc, nieprzerwanie i nieustająco, z bliska i z dala, jakby cały ten kraj stał się jednym wielkim bębnem, bez przerwy kierującym swoje wezwania ku niebiosom. Poprzez ten głęboki, przejmujący dźwięk przebijały się nagle wrzaski, jakby urywki śpiewów z domu wariatów, ostre i przenikliwe, niezborne wystrzały dźwięków, które, wydawało się, pędzą wysoko nad ziemię, by wygnać spod gwiazd wszelki spokój.

Carlier i Kayerts źle spali. Obu wydawało się, że w nocy słyszeli wystrzały, ale nie mogli uzgodnić, z której strony. Rano Makola gdzieś zniknął. Wrócił koło południa z jednym z wczorajszych przybyszów i starannie unikał wszelkich prób rozmowy, jakie podejmował Kayerts: jakby nagle ogłuchł. Kayerts był zdziwiony. Gdy Carlier, który spędził dzień z wędką nad rzeką, wrócił i pokazywał swoje zdobycze, zauważył:

– Jakoś ci Murzyni są niespokojni. Ciekawe, czy coś się kroi? Łowiłem jakieś dwie godziny, a przez ten czas widziałem z piętnaście łodzi przecinających rzekę.

Kayerts zaniepokojony rzekł:

– Czy ten Makola nie jest dzisiaj jakiś dziwny?

Carlier poradził:

– Na wszelki wypadek trzymaj ludzi w kupie.

## II

Dyrektor zostawił w stacji dziesięciu ludzi. Ci, zatrudniwszy się w kompanii na sześć miesięcy (nie mając najmniejszego pojęcia, co to jest

miesiąc, i niewiele większe, co to w ogóle jest czas), pracowali na rzecz postępu już od ponad dwu lat. Należeli do plemienia z bardzo odległej części tej krainy ciemności i smutku, dlatego nie uciekali, zakładając w naturalny sposób, że gdyby włóczyli się samotnie jako obcy, zostaliby zabici przez miejscowych – i niewątpliwie mieli rację. Mieszkali w słomianych chatkach na zboczu porosłego trzciniastą trawą wąwozu, tuż za budynkami stacji. Nie byli szczęśliwi, tęsknili za swoimi domowymi świątecznymi śpiewami, czarami i ofiarami z ludzi; zostawili za sobą rodziców, braci, siostry, podziwianych wodzów, szanowanych szamanów, ukochanych przyjaciół i inne więzi, jakich zadzierzganie zwykle przypisuje się ludziom. Poza tym nie służyły im wydzielane przez kompanię racje ryżu, bo był to pokarm nieznany w ich kraju i nie mogli się do niego przyzwyczaić. Dlatego chorowali i marnieli. Gdyby pochodzili z innego plemienia, pewnie zdecydowaliby się na śmierć – nie ma bowiem dla niektórych spośród dzikich nic łatwiejszego niż samobójstwo – by w ten sposób uciec przed zdumiewającymi trudnościami egzystencji. Ale ponieważ należeli do wojowniczego plemienia o spiłowanych zębach, mieli więcej charakteru i dlatego bezsensownie żyli dalej, w chorobie i smutku. Pracowali bardzo niewiele i utracili całą swą wspaniałą krzepę. Carlier i Kayerts leczyli ich wytrwale, ale nie byli w stanie przywrócić do formy. Codziennie rano czarnych wzywano na apel i rozsyłano do różnych zadań: koszenia trawy, budowania płotów, ścinania drzew i tak dalej, choć nie było na świecie siły, która zmusiłaby ich do skutecznego działania. Dwaj biali mieli nad nimi tak naprawdę bardzo mało władzy.

Po południu Makola przyszedł do wielkiego domu i zastał Kayertsa na obserwacji trzech grubych słupów dymu wznoszących się nad dżunglą.

– Co to jest? – zapytał Kayerts.

– Płoną jakieś wioski – odpowiedział Makola, który jakby odzyskał zmysły. I zaraz dodał: – Mamy bardzo mało kości, marny handel przez sześć miesięcy. Chce pan dostać więcej kości?

– Tak – odrzekł Kayerts gorliwie. Pomyślał o procencie, który był niski.

– Ci ludzie, co przyszli wczoraj, to kupcy z Loandy, mają więcej kości, niż mogą zanieść do siebie. Mam kupić? Znam ich obóz.

– Oczywiście – rzekł Kayerts. – Co to za kupcy?

– Źli ludzie – odpowiedział Makola obojętnym tonem. – Walczą z ludźmi, łapią kobiety i dzieci. Źli ludzie, mają strzelby. W kraju jest wielki niepokój. Chce pan kość?

– Tak – odpowiedział Kayerts. Makola przez chwilę nic nie mówił. Potem wymamrotał, rozglądając się wkoło:

– Ci nasi robotnicy to nie są wcale dobrzy. Stacja w bardzo złym stanie, proszę pana. Dyrektor będzie krzyczał. Lepiej zdobyć dobrą kość słoniową, wtedy nic nie powie.

– Nic na to nie poradzę, ludzie nie chcą pracować – powiedział - Kayerts. – Kiedy dostarczysz te kły?

– Niedługo – odpowiedział Makola. – Może dziś wieczór. Niech mi pan to zostawi i siedzi w domu, proszę pana. I może by pan dał naszym ludziom beczkę wina palmowego, żeby sobie urządzili wieczorem tańce. Żeby się mogli trochę zabawić. Mamy pełno wina palmowego, już trochę skwaśniało.

Kayerts się zgodził, a Makola własnoręcznie przeniósł wielkie tykwy pod drzwi swojej chaty. Stały tam do wieczora, a pani Makolowa zajrzała do każdej z nich. Potem, o zachodzie, dostali je robotnicy. Kiedy Kayerts i Carlier kładli się spać, przed chatami płonęło wielkie ognisko. Słychać było krzyki i bębnienie. Paru ludzi z wioski Gobili dołączyło do pracowników stacji, zabawa trwała w najlepsze.

W środku nocy, zbudziwszy się nagle, Carlier usłyszał, że ktoś krzyczy, potem padł strzał. Tylko jeden. Carlier wybiegł z domu i na werandzie wpadł na Kayertsa. Obaj się przerazili. Kiedy szli przez podwórze, by wezwać Makolę, dostrzegli, że w mroku nocy poruszają się cienie. Jeden z nich zawołał:

– Nie strzelać! To ja, Price.

I zaraz Makola pojawił się tuż przy nich.

– Proszę wracać, proszę wracać – powiedział zdecydowanie. – Wszystko panowie popsują.

– Wokół są obcy ludzie – powiedział Carlier.

– Nic nie szkodzi. Ja wiem, ja wiem – odpowiedział Makola. I dodał szeptem: – W porządku. Będzie kość słoniowa. Nie trzeba nic mówić. Ja znam się na robocie.

Obaj biali niechętnie wrócili do budynku, ale już nie zasnęli. Słyszeli kroki, szepty, jęki. Wydawało się, że ludzie przychodzą, rzucają na ziemię ciężkie przedmioty, długo się sprzeczają, aż w końcu odchodzą. Kayerts i Carlier leżeli na swych twardych pryczach i myśleli: „Ten Makola to jest jednak niezastąpiony”. Rano zaspany Carlier wyszedł na zewnątrz i pociągnął za sznurek od dzwonka. Stacja co rano na jego dźwięk stawała na apel. Tego ranka nikt się nie pojawił. Wyłonił się ziewający Kayerts. Po drugiej stronie podwórza Makola wyszedł z chaty z miseczką mydlin w ręku. Jako cywilizowany Murzyn był bardzo czysty. Zgrabnie chlusnął mydlinami na paskudnego żółtego kundla, którego trzymał, a następnie zwracając się ku domowi agentów, zawołał z oddali:

– Wszyscy ludzie przepadli w nocy!

Obaj usłyszeli go doskonale, ale z zaskoczenia wrzasnęli jednocześnie:

– Co?!

Potem spojrzeli na siebie nawzajem.

– No to jesteśmy ugotowani – mruknął Carlier.

– Niewiarygodne – wymamrotał Kayerts.

– Idę zobaczyć do chat – rzekł Carlier, ruszając. Kiedy Makola podszedł, zastał samego Kayertsa.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Kayerts płaczliwie. – Dbaliśmy o nich jakby byli naszymi dziećmi.

– Poszli z tymi ludźmi z wybrzeża – rzekł Makola po chwili wahania.

– Co mnie obchodzi, z kim poszli, niewdzięczne bydło! – wykrzyknął Kayerts. A potem z nagłą podejrzliwością, ostro spoglądając na Makolę, zapytał: – Wiesz coś o tym?

Makola wzruszył ramionami i spojrzał na ziemię.

– Czy ja coś wiem? Ja tylko myślę. Chce pan zobaczyć kość słoniową, którą tu mam? Piękne sztuki. Jeszcze pan takich nie widział.

I ruszył ku magazynowi. Kayerts mechanicznie poszedł za nim, rozmyślając o tej niesamowitej dezercji swoich ludzi. Na ziemi przed wejściem do fetysza leżało sześć wspaniałych kłów.

– Co za nie dałeś? – zapytał Kayerts, kiedy już przyjrzał się im z zadowoleniem.

– Transakcja niestandardowa – powiedział Makola. – Przynieśli kły i dali je mi. Powiedziałem, żeby sobie wzięli ze stacji to, czego najbardziej chcą. Piękne sztuki. Żadna stacja takich nie ma. Ci kupcy potrzebowali tragarzy, a nasi ludzie tu byli na nic. Nie ma handlu, nie ma śladu w księgach, wszystko w porządku.

Kayerts niemal eksplodował z oburzenia.

– Co!? – wrzasnął. – To znaczy, że sprzedałeś naszych ludzi za te kły?

Makola stał niewzruszony i spokojny.

– Ja… ja… ja… – jąkał się Kayerts. – Ty diable! – wykrzyknął.

– Zrobiłem to, co było najlepsze dla kompanii – powiedział niezmieszany Makola. – Czemu pan tyle krzyczy? Niech pan popatrzy na te kły.

– Zwalniam cię! Doniosę na ciebie, nie spojrzę nawet na tę kość. Zabraniam ci jej dotykać. Rozkazuję ci wrzucić ją do rzeki. Ty… ty…

– Pan bardzo czerwony, panie Kayerts. Jak się pan denerwuje na słońcu, to dostanie pan febry i umrze; jak pierwszy szef – oświadczył Makola sugestywnym tonem.

Stali teraz bez ruchu, świdrując się wzrokiem, jakby z wysiłkiem wypatrywali czegoś w oddali. Kayerts zadrżał. Makola nie miał na myśli niczego więcej niż to, co powiedział, ale w uszach Kayertsa jego słowa zabrzmiały jak zły omen. Odwrócił się gwałtownie i poszedł do domu. Makola oddalił się na łono swej rodziny; a kły, pozostawione na ziemi przed magazynem, w blasku słońca wyglądały na bardzo wielkie i bardzo cenne.

Carlier wrócił na werandę.

– Wszyscy przepadli, co? – zduszonym głosem zapytał Kayerts z odległego kąta salonu. – Nikogo nie znalazłeś?

– Owszem – odrzekł Carlier. – Znalazłem jednego z ludzi Gobila, leży nieżywy przed chatami, przestrzelony na wylot. Słyszeliśmy wczoraj ten wystrzał.

Kayerts wyszedł natychmiast. Zastał swojego towarzysza wpatrzonego ponuro w stos kości słoniowej ułożonej obok magazynu po drugiej stronie podwórza. Przez chwilę obaj siedzieli w ciszy. Wreszcie Kayerts streścił rozmowę z Makolą. Carlier się nie odezwał. W południe prawie nic nie zjedli. Przez cały dzień nie zamienili właściwie ani słowa. Wydawało się, że nad stacją zalega wielka, ciężka cisza, która zakleiła im usta. Makola nie otworzył magazynu; przez cały dzień bawił się z dziećmi. Rozciągnął się na macie przed chatą, a maluchy siedziały mu na brzuchu i łaziły po nim. Był to wzruszający widok. Pani Makolowa jak zwykle przez cały dzień zajęta była gotowaniem. Wieczorem biali zjedli już nieco więcej. Po kolacji Carlier, ćmiąc fajeczkę, podszedł do magazynu; długo stał przy kłach, dotknął jednego czy drugiego stopą, nawet spróbował dźwignąć któryś za cieńszy koniec. Wrócił do szefa, który nie ruszył się z werandy, rzucił się na drugie krzesło i powiedział:

– Już rozumiem! Pojmali ich, kiedy ci spali spojeni tym winem palmowym, któreś dał Makoli dla nich. Sprawa była ukartowana! Kapujesz? Najgorsze, że byli tam ludzie Gobili i też zostali uprowadzeni, nie ma co gadać. Najmniej pijany się przebudził i za swoją trzeźwość został zastrzelony. Zabawny kraj. Co masz zamiar teraz zrobić?

– Nie wolno nam ich tknąć, to jasne – odpowiedział Kayerts.

– Jasne, że nie – zgodził się Carlier.

– Niewolnictwo to straszna rzecz – wyjąkał niepewnie Kayerts.

– Przerażająca. Całe to cierpienie – mruknął Carlier z przekonaniem.

Wierzyli w to, co mówią. Wszyscy odnoszą się z najwyższym poważaniem do pewnych dźwięków wydawanych przez nas lub bliźnich. O uczuciach jednak ludzie nie wiedzą nic. Mówimy z oburzeniem lub z entuzjazmem; mówimy o ucisku, okrucieństwie, zbrodni, oddaniu,

poświęceniu siebie, cnocie, ale nie mamy pojęcia, co tak naprawdę kryje się za tymi słowami. Nikt nie wie, co znaczy cierpienie lub poświęcenie – być może z wyjątkiem ofiar tajemniczego celu, któremu służą te iluzje.

Następnego dnia ujrzeli, jak Makola pracowicie ustawia na podwórzu wielką wagę do kości słoniowej. Po jakimś czasie Carlier zapytał:

– Co ten brudny łajdak kombinuje? – I niespiesznie wyszedł na podwórze. Kayerts udał się za nim. Stanęli nieopodal i przyglądali się. Makola nie zwracał na nich uwagi. Kiedy waga została wytarowana, usiłował dźwignąć jeden z kłów na szalę. Był za ciężki. Makola w milczeniu bezradnie spojrzał na nich i przez jakąś minutę stali wokoło wagi nieporuszeni, niemi, niby trzy posągi. Aż nagle Carlier rzekł:

– Makola, chwyć no od drugiej strony, ty bydlę, ty. – I razem unieśli kieł. Kayerts zadygotał na całym ciele. Wymamrotał:

– Naprawdę! Nie! Naprawdę! – I włożywszy rękę do kieszeni, namacał świstek papieru i ogryzek ołówka. Odwrócił się od nich, jakby miał zamiar zrobi coś strasznie przebiegłego, i po kryjomu notował wagę kolejnych kłów, którą Carlier przesadnie głośno wykrzykiwał. Kiedy skończyli, Makola szepnął do siebie:

– Słońce strasznie mocne tutaj, nad tymi kłami.

Carlier niedbałym tonem odezwał się do Kayertsa:

– Tego, szefie… Ja mogę mu właściwie pomóc przenieść to do magazynu.

Kiedy wracali do domu, Kayerts zauważył z westchnieniem:

– Trzeba to było zrobić.

A Carlier dodał:

– To obrzydliwe, ale skoro ci ludzie należeli do kompanii, to i kość należy do kompanii. Musimy mieć na nią baczenie.

– Ja oczywiście zaraportuję dyrektorowi – powiedział Kayerts.

– Oczywiście. Niech on decyduje – zgodził się Carlier.

W południe zjedli solidny posiłek. Kayerts od czasu do czasu wzdychał. Za każdym razem, gdy wypowiadali imię Makoli, opatrywali je obelżywym epitetem. To przynosiło ulgę ich sumieniom. Makola dał sobie pół dnia

urlopu i kąpał się z dziećmi w rzece. Nikt z wioski Gobili nie zbliżał się tego dnia do stacji. Nikt nie przyszedł także nazajutrz ani następnego dnia, ani przez cały tydzień. Sądząc po braku jakichkolwiek dźwięków czy znaków życia, wszyscy ludzie Gobili mogli zostać zabici i pogrzebani. Tymczasem po prostu odbywali żałobę po utracie swoich bliskich, przepadłych z powodu czarów białych, które sprowadziły do ich kraju tych złych ludzi. Źli ludzie odeszli, pozostał strach. Strach zawsze pozostaje. Człowiek może zniszczyć w sobie wszystko: miłość, nienawiść i wiarę, nawet zwątpienie; tak długo jednak, jak trwa przy życiu, nie zwalczy strachu: strachu subtelnego, niezniszczalnego, strasznego, który przenika jego istotę, barwi jego myśli, tkwi w sercu, przygląda się, jak na usta wypełza ostatnie tchnienie. Ze strachu łagodny stary Gobila składał kolejne ofiary z ludzi złym duchom, które opętały jego białych przyjaciół. Ciężko mu było na sercu. Niektórzy wojownicy mówili o paleniu i zabijaniu, ale ostrożny stary dzikus odmawiał ich od tego. Kto tam wie, jaką biedę mogą sprowadzić te tajemnicze istoty, kiedy się je rozzłości? Trzeba je zostawić w spokoju. Może z czasem znikną w ziemi, tak jak to było z tym poprzednim? Ludzie mają się od nich trzymać z dala i mieć nadzieję na lepsze czasy.

Kayerts i Carlier jednak nie zniknęli, zostali na powierzchni tej ziemi, która, jakoś tak im się wydawało, zrobiła się większa i pusta. Ale to nie absolutna i głucha samotność stacji robiła na nich takie wrażenie, lecz jakieś niewysłowione poczucie, że zniknęło coś wewnątrz nich, coś, co ich zabezpieczało, co broniło dzikości dostępu do ich serc. Obrazy domu, wspomnienia ludzi takich jak oni, ludzi, którzy myśleli i czuli tak samo jak oni sami niegdyś, odeszły w dal, zamazane blaskiem słońca bez chmur. A z głębi potężnego milczenia otaczającej ich dziczy przybliżyły się do nich, tak czuli, beznadzieja i dzikość, aby się im przyglądać, aby ich otoczyć niepokojem nieodpartym, znajomym i obrzydliwym.

Dnie przeszły w tygodnie, tygodnie w miesiące. Ludzie Gobili tak jak dawniej bębnili i wykrzykiwali o każdym nowiu, ale od stacji trzymali się z daleka. Makola i Carlier wsiedli raz do łodzi, żeby nawiązać kontakty, ale

zostali przywitani deszczem strzał i w obawie o życie musieli czym prędzej zawracać. Ta ich próba spowodowała, że okolicę w dół i w górę rzeki na parę dobrych dni ogarnął niepokój. Parowiec się opóźniał. Na początku mówili o tym zawadiacko, potem z niepokojem, w końcu – ponuro. Sytuacja robiła się poważna. Kończyły się zapasy. Carlier zarzucał wędki, ale woda w rzece była niska, a ryby trzymały się nurtu. Nie odważyli się oddalić ze stacji na polowanie. Poza tym w nieprzebytym lesie nie było zwierzyny. Raz Carlier zastrzelił w rzece hipopotama. Ale nie mieli łodzi, żeby go zabezpieczyć, więc zwierz opadł na dno. Kiedy wypłynął, poszedł z nurtem i wyłowili go ludzie Gobili. Z tej okazji ogłosili święto narodowe, a Carlier dostał ataku szału i wygadywał o konieczności wybicia wszystkich Murzynów, jeśli w tym kraju ma się w ogóle dać żyć. Kayerts snuł się w ciszy, godzinami wpatrywał w zdjęcie swojej Melie. Przedstawiało małą dziewczynkę o długich utlenionych lokach i dość kwaśnej mince. Kayerts miał bardzo spuchnięte nogi, ledwie chodził. Carlier, osłabiony przez febrę, nie był już w stanie kroczyć dumnie, tylko dreptał w kółko, jakby wciąż mówił „niech to wszyscy diabli!”, co przystoi człowiekowi, który pamięta klęskę swego regimentu. Zrobił się szorstki, sarkastyczny i chętnie wygłaszał impertynencje, nazywając to „byciem szczerym”. Już dawno obliczyli sobie procenty od transakcji, włączając w nie ostatnią, zawartą „przez tego podłego Makolę”. Doszli też do wniosku, że nic o niej nie wspomną. Kayerts z początku się wahał – bał się dyrektora.

– On widział gorsze rzeczy, które ludzie robią po cichu – utrzymywał Carlier z gorzkim śmiechem. – Uwierz: nie będzie ci wdzięczny, jeśli to wypaplesz. Nie jest lepszy od ciebie ani ode mnie. Kto by miał cokolwiek powiedzieć, jeśli my utrzymamy język za zębami? Tu nie ma nikogo.

W tym tkwił problem! Nie było nikogo, a oni, pozostawieni sam na sam ze swoją słabością, z dnia na dzień coraz bardziej zamieniali się w parę wspólników, a nie oddanych sobie przyjaciół. Od ośmiu miesięcy nie mieli żadnych wieści z domu. Co wieczór mówili sobie: „Jutro zobaczymy parowiec”. Tymczasem jeden z parowców kompanii się rozbił, a dyrektor

był zajęty na drugim, bo zmieniał obsadę odległych, a ważnych stacji na głównej rzece. Stwierdził, że nieważna stacja i nieważni ludzie mogą jeszcze poczekać. Kayerts i Carlier żyli wtedy ryżem gotowanym bez soli, przeklinając kompanię, Afrykę i dzień swoich narodzin. Trzeba pożyć na takim wikcie, żeby się przekonać, jak potwornym wysiłkiem może się stać konieczność przełknięcia kęsa strawy. W stacji poza ryżem i kawą nie było dosłownie niczego; kawę pili bez cukru. Ostatnich piętnaście bryłek wraz z połową butelki koniaku Kayerts uroczyście zamknął w swojej skrzynce – „na wypadek choroby", jak wyjaśnił. Carlier zgodził się z tym:

– Kiedy człowiek choruje – powiedział – każda taka drobna rzecz pomaga.

Czekali. Podwórze zaczęło porastać bujną trawą. Dzwonek już się teraz nie odzywał. Dnie mijały – cicho, nieznośnie, powoli. Kiedy coś mówili – warczeli na siebie; ich milczenie było gorzkie, jakby podbite goryczą myśli.

Jednego dnia, po obiedzie złożonym z gotowanego ryżu, Carlier odstawił nietkniętą filiżankę i powiedział:

– Niech to diabli! Napijmy się raz porządnej kawy. Przynieś no ten cukier, Kayerts!

– Dla chorych – mruknął Kayerts, nie podnosząc wzroku.

– Dla chorych! – przedrzeźnił go Carlier. – Phi!… Dobra. Jestem chory!

– Nie bardziej niż ja, a ja wytrzymuję bez – odpowiedział Kayerts spokojnie.

– Ejże! Dawaj no ten cukier, ty stary skąpy handlarzu niewolników!

Kayerts gwałtownie podniósł głowę. Carlier uśmiechał się z wyraźnym szyderstwem. A Kayertsowi nagle wydało się, że jeszcze nigdy nie widział tego człowieka na oczy. Kto to jest? Nic o nim nie wie. Do czego jest zdolny? Wstrząsnęła nim niespodzianie gwałtowna emocja, jak w obliczu czegoś niewyobrażalnego, niebezpiecznego i ostatecznego. Ale zdołał powiedzieć spokojnie:

– To jest żart w bardzo złym stylu. Nie powtarzaj go.

– Żart! – rzekł Carlier, gwałtownie rzucając się w przód na krześle. – Jestem głodny, jestem chory, nie żartuję! Nienawidzę hipokrytów. A ty

jesteś hipokrytą. Jesteś handlarzem niewolników. Ja też jestem handlarzem niewolników. W tym przeklętym kraju nie ma nic, tylko handlarze niewolników. A tak czy siak, dzisiaj będę pił kawę z cukrem!

– Zabraniam ci zwracać się do mnie w ten sposób! – powiedział Kayerts tonem wskazującym na spore zdecydowanie.

– Ty! Ty… co? – wrzasnął Carlier, zrywając się na równe nogi.

Kayerts także wstał.

– Jestem twoim szefem – zaczął, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

– Co? – wrzeszczał dalej Carlier. – Kto jest szefem? Tu nie ma szefa. To nie ma nic, nic, tylko ty i ja. Idę po cukier, ty brzuchaty ośle.

– Uważaj na słowa. Wynoś się z tego pokoju! – wykrzyknął Kayerts. – Zwalniam cię, ty łajdaku!

Carlier zamachnął się stołkiem. Nagle niebezpiecznie spoważniał.

– Ty kluchowaty nikczemny cywilu! Masz za swoje! – zawył.

Kayerts rzucił się pod stół, a stołek trafił w wewnętrzną trzcinową ścianę pomieszczenia. Gdy Carlier starał się wywrócić stół, Kayerts wykonał na ślepo desperacki ruch, rzucił się głową naprzód, niczym świnia zapędzona w róg, i przewracając przyjaciela, przez werandę pędem wpadł do swojego pokoju. Zaryglował drzwi, chwycił rewolwer i stał tak, dysząc. Po niespełna minucie Carlier już kopał dziko w drzwi, wyjąc:

– Jeśli nie wyniesiesz cukru, zastrzelę cię na miejscu, jak psa. No już: raz – dwa – trzy. Nie? No to zaraz ci pokażę, kto tu rządzi.

Kayerts pomyślał, że drzwi zaraz ustąpią, więc wygramolił się z pokoju przez kwadratowy otwór służący za okno. Dzieliła ich teraz cała szerokość domu. Ale ten drugi najwyraźniej nie miał dość siły, by wyważyć drzwi, i Kayerts usłyszał, że okrąża dom biegiem. Wtedy sam także zaczął pracowicie biec na swoich spuchniętych nogach. Biegł najszybciej, jak mógł, ściskając rewolwer i wciąż nie pojmując, co się właściwie z nim dzieje. Widział kolejno dom Makoli, magazyn, rzekę, wąwóz i niskie zarośla; a potem, kiedy ponownie okrążał dom, zobaczył to wszystko raz jeszcze. A potem jeszcze raz mu to wszystko mignęło. Rano nie był

w stanie zrobić kroku bez jęknięcia. A teraz biegł. I to na tyle szybko, by utrzymać się poza zasięgiem wzroku tego drugiego.

Kiedy – słaby i zrozpaczony – pomyślał sobie: „Nie zrobię już kolejnego okrążenia, bo umrę”, usłyszał, że ten drugi potyka się i zatrzymuje. Stanął także. Miał dla siebie tył domu, a Carlier jego przód, tak jak przedtem. Usłyszał, że tamten siada ciężko na krześle i przeklina, a wtedy nagle nogi się pod nim ugięły i ześliznął się do pozycji siedzącej, z plecami opartymi o ścianę. Usta miał suche jak popiół, twarz mokrą od potu – i łez. O co tu chodzi? Pomyślał, że to musi być jakieś koszmarne złudzenie; pomyślał, że śni; pomyślał, że chyba wariuje! Po chwili odzyskał zmysły. O co oni się pokłócili? O cukier! Co za absurd! Da mu go, przecież go nie potrzebuje. I z nagłym poczuciem bezpieczeństwa zaczął się gramolić na nogi. Ale zanim jeszcze całkiem się podniósł, naszła go zdroworozsądkowa myśl, która z powrotem zepchnęła go w rozpacz. Pomyślał: „Jeśli teraz ustąpię temu prymitywnemu żołnierzowi, to jutro zrobi takie samo piekło – i pojutrze – i codziennie – będzie zgłaszał kolejne pretensje, znęcał się nade mną, torturował mnie, zrobi sobie ze mnie niewolnika – i będę zgubiony! Zgubiony! Parowca możemy nie zobaczyć jeszcze przez wiele dni. Może go wcale nie zobaczymy”. Trząsł się tak, że musiał znowu usiąść na ziemi. Dygotał rozpaczliwie. Czuł, że nie wytrzyma, że się już nie zdoła poruszyć. Kompletnie rozstroiło go nagłe wrażenie, że sytuacja jest bez wyjścia – że śmierć i życie w jednej chwili stały się równie trudne i straszne.

W pewnej chwili usłyszał, że ten drugi szurnął krzesłem do tyłu; skoczył na równe nogi bez najmniejszego problemu. Nasłuchiwał, czuł niepewność. Musi znów biec! W prawo czy w lewo? Usłyszał kroki. Rzucił się w lewo, ściskając rewolwer i w tej samej chwili, tak mu się zdawało, gwałtownie wpadli na siebie. Obaj krzyknęli zaskoczeni. Nastąpił między nimi gwałtowny wybuch; ryk czerwonego ognia, gęsty dym, a Kayerts, oślepiony i ogłuszony, rzucił się w tył, myśląc: „Trafił mnie – już po wszystkim”. Spodziewał się, że tamten zaraz się pojawi, by zatriumfować nad jego agonią. Chwycił się wspornika dachu: „Po wszystkim”. Wtedy po drugiej stronie domu usłyszał łomot, jakby ktoś poleciał głową do przodu,

wywracając krzesło – a potem cisza. Nic więcej. Nie umarł. Tyle że miał poczucie, jakby mocno wykręcił bark i stracił rewolwer. Był rozbrojony, bezbronny! Czekał na swój los. Ten drugi nie wydawał żadnych dźwięków. To podstęp. Teraz się za nim skrada. Którą stroną? Może w tej właśnie minucie do niego celuje?

Po paru chwilach tej agonii przerażenia i absurdu postanowił, że stawi czoła swemu losowi. Przygotowany był na każdą kapitulację. Wyszedł za róg, jedną ręką przytrzymując się ściany, zrobił kilka kroków i niemal zemdlał. Za następnym rogiem na podłodze zobaczył parę skierowanych ku górze stóp. Parę nagich białych stóp w czerwonych kapciach. Poczuł śmiertelne mdłości i przez dobrą chwilę stał w głębokich ciemnościach. Potem pojawił się przed nim Makola i powiedział cicho:

– Niech pan idzie, panie Kayerts. On nie żyje.

Kayerts wybuchł płaczem wdzięczności, głośno zaszlochał. Po jakimś czasie stwierdził, że siedzi na krześle i patrzy na płasko rozciągniętego na podłodze Carliera. Makola klęczał nad ciałem.

– Czy to pana rewolwer? – zapytał, podnosząc się.

– Tak – odpowiedział Kayerts i dodał bardzo szybko: – On za mną biegł, chciał mnie zabić, sam widziałeś!

– Tak, widziałem – rzekł Makola. – Jest tylko jeden rewolwer. Gdzie drugi?

– Nie wiem – szepnął Kayerts nagle straszliwie osłabłym głosem.

– Pójdę i poszukam – odrzekł ten drugi szeptem. Zrobił rundkę wokoło werandy, Kayerts tymczasem siedział bez ruchu, wpatrując się w ciało. Makola wrócił z niczym, stanął zadumany, po czym cicho wszedł do pokoju nieboszczyka i zaraz wyszedł, w dłoni trzymał rewolwer, wyciągnął go ku Kayertsowi. Kayerts zamknął oczy. Wszystko wirowało. Życie okazywało się straszniejsze i trudniejsze niż śmierć. Zabił bezbronnego człowieka.

Podumawszy chwilę, Makola wskazał na nieboszczyka, leżącego przed nimi z przestrzelonym prawym okiem, i powiedział cicho:

– On umarł na febrę.

Kayerts spojrzał na niego kamiennym wzrokiem.

– Tak – powtórzył Makola z namysłem, przekraczając trupa. – Myślę, że umarł na febrę. Pochowamy go jutro.

I wolnym krokiem odszedł do oczekującej go żony, pozostawiając obu białych sam na sam na werandzie.

Zapadła noc, a Kayerts nieporuszony siedział dalej na krześle. Siedział cicho, jakby wziął dawkę opium. Gwałtowne uczucia, z jakimi przyszło mu się zmierzyć, wprowadziły go w stan spokojnego wycieńczenia. W trakcie jednego krótkiego popołudnia zszedł na dno przerażenia i rozpaczy, teraz znajdował ukojenie w przeświadczeniu, że życie nie ma już przed nim żadnych tajemnic, nie ma ich też śmierć. Siedział nad trupem i rozmyślał; rozmyślał bardzo czynnie, przemyśliwał całkiem nowe myśli. Wyglądało na to, że się od siebie zupełnie wyzwolił. Dawne myśli, przekonania, upodobania i niechęci, to, co szanował, i to, czym gardził, wszystko ukazało mu się wreszcie w prawdziwym świetle. Jako godne pogardy i dziecinne, fałszywe i śmieszne. Siedząc nad ciałem człowieka, którego właśnie zabił, upajał się swą nową mądrością. Spierał się sam ze sobą o wszelkie sprawy pod słońcem z błędną jasnością, jaką obserwuje się u niektórych wariatów. Nawiasem mówiąc, zauważył, że nieboszczyk i tak był obrzydliwym typkiem; że codziennie giną tysiące ludzi; a może nawet setki tysięcy – kto to wie? – i że przy takich liczbach ta jedna śmierć przecież nie robi żadnej różnicy; nie ma żadnego znaczenia, w każdym razie dla istoty myślącej. A on, Kayerts, był istotą myślącą. Przez całe życie, aż do tej chwili, wierzył w taką masę bzdur, podobnie jak reszta ludzkości – która składa się z głupców – ale teraz już myśli! Teraz wie! Teraz czuje spokój, ma dostęp do najwyższej mądrości! Potem starał się wyobrazić sobie siebie nieżywego, podczas gdy Carlier siedzi na krześle i mu się przygląda. Próba ta zakończyła się tak niespodziewanym sukcesem, że po paru chwilach wcale nie był pewien, który z nich umarł, a który żyje. To niezwykłe osiągnięcie wyobraźni zdumiało go jednak, a podjęty na czas wysiłek umysłowy w ostatniej chwili uchronił go przed wcieleniem się w Carliera. Serce zaczęło mu walić i poczuł falę gorąca, jak w chwili niebezpieczeństwa. Carlier! Co za diabelska sprawka! Aby

uspokoić swe skołatane teraz – i nie dziwota! – nerwy, próbował coś zagwizdać. Potem nagle zasnął, albo zdawało mu się, że śpi; w każdym razie była mgła i ktoś gwizdał we mgle.

Wstał. Nadszedł dzień i na ziemię zszedł gęsty opar: wciskający się wszędzie, otulający wszystko i cichy; poranna mgła tropikalnych ziem; mgła, która oblepia i zabija; mgła biała i śmiertelna, niepokalana i trująca. Wstał, zobaczył ciało i z płaczem złapał się gwałtownie za głowę, jak człowiek, który budzi się z transu i spostrzega, że został zamurowany w grobowcu.

– *Ratunku… mój Boże!*

Wrzask, nieludzki, wibrujący i nagły, jak ostra strzała przebił biały całun tej krainy smutku. Potem nastąpiły trzy krótkie, niecierpliwe kwiknięcia, a potem, przez jakiś czas, w straszliwej ciszy przewalały się niczym niezakłócone tumany mgły. Wtedy w powietrze wzbiły się kolejne krzyki, ostre i tnące, jak nawoływania jakiegoś rozdrażnionego, bezlitosnego stworzenia. To postęp wołał do Kayertsa z rzeki. Postęp, cywilizacja i wszystkie cnoty. Społeczeństwo wołało swego wybitnego syna, by podszedł, by uzyskał opiekę i naukę, by został osądzony i potępiony; wzywało go, by powrócił do tej kupy śmieci, którą opuścił, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Kayerts usłyszał i pojął. Skuśtykał z werandy, zostawiając tego drugiego całkiem samego – po raz pierwszy, odkąd obaj zostali tu razem rzuceni. Wymacywał sobie drogę we mgle, w swej głupocie wzywając niewidoczne niebiosa, by cofnęły to, co uczynił. Makola mignął mu w tumanie i biegnąc, krzyknął:

– Parowiec! Parowiec! Nic nie widzą. Gwiżdżą na stację. Lecę dzwonić. Niech pan idzie na pomoc, proszę pana. Ja dzwonię.

Zniknął. Kayerts stał bez ruchu. Spojrzał w górę. Nad głową kłębiła mu się mgła. Popatrzył wkoło jak ktoś, kto się zgubił; i dojrzał ciemną smugę, plamę w kształcie krzyża na tle ruchliwej czystości mgły. Kiedy zaczął kuśtykać w tamtą stronę, rozległ się gwałtowny dźwięk dzwonka stacji w odpowiedzi na niecierpliwe hałasy z parowca.

Dyrektor wykonawczy Wielkiej Kompanii Cywilizacyjnej (wiemy bowiem, że cywilizacja idzie w ślad za handlem) pierwszy wyszedł na ląd i bardzo nieroztropnie stracił z oczu parowiec. Mgła nad samą rzeką była niesłychanie gęsta; wyżej, w stacji, rozlegał się bezustannie i bezczelnie dźwięk dzwonka.

Dyrektor głośno krzyknął w stronę parowca:

– Nie ma nikogo na pomoście, coś chyba jest nie w porządku, chociaż dzwonią. Lepiej też chodźcie!

I z wysiłkiem zaczął się wspinać po stromym brzegu. Kapitan i mechanik ruszyli za nim. Gdy brnęli pod górę, mgła się nieco rozrzedziła, widzieli więc dyrektora ładny kawałek przed sobą. Nagle dostrzegli, jak rzuca się naprzód, krzycząc do nich przez ramię:

– Lećcie! Lećcie do budynku! Znalazłem jednego! Szybko, szukajcie drugiego!

Znalazł jednego! I nawet on, człowiek, który miał za sobą niejedno zdumiewające doświadczenie, poczuł się dość zakłopotany tym znaleziskiem. Stał i grzebał po kieszeniach (za nożem), patrząc w twarz Kayertsa, który na skórzanym pasku zwisał z krzyża. Najwyraźniej wspiął się na wysoki i wąski grób, obwiązał końcem paska ramię krzyża i odbił się od grobu. Palce u nóg miał dosłownie parę cali nad gruntem; ramiona zwisały mu sztywno; wydawało się, że stoi wyprężony na baczność, choć jeden czerwony policzek oparł swawolnie o ramię. Do tego z lekceważeniem wywalił na dyrektora spuchnięty język.

# Laguna

Biały, wsparty łokciami o dach rufówki, odezwał się do sternika:

– Zatrzymamy się na noc na polanie u Arsata. Już późno.

Malaj mruknął tylko i dalej w skupieniu obserwował rzekę. Biały oparł podbródek na skrzyżowanych rękach i wpatrywał się w kilwater. Na końcu prostej alei wyciętej w lesie przez intensywny blask rzeki pojawiło się słońce, bezchmurne i oślepiające, zawieszone nisko nad wodą, która lśniła gładko niczym metalowa wstęga. Lasy, ponure i nieme, stały w bezruchu i ciszy po obu stronach szerokiego nurtu. U stóp wielkich, wyniosłych drzew z przybrzeżnego błota wyrastały bezkore palmy nipa, niczym kępy olbrzymich, ciężkich liści, zwisających nieruchomo nad kłębami burych wirów. W znieruchomiałym powietrzu każde drzewo, każdy liść, każda gałąź, każda łodyga pnączy i każdy płatek maleńkich kwiatów wyglądały jak zaklęte, unieruchomione w formie doskonałej i ostatecznej. Na rzece nie poruszało się nic, tylko osiem wioseł, które wznosiły się rytmicznie i zanurzały równomiernie jednym pluśnięciem, podczas gdy sternik przesuwał się w prawo lub w lewo, czasami wykonując nagły ruch wiosłem, którego pióro zataczało nad jego głową połyskliwe półkole. Skłębiona woda pieniła się z bezładnym poszumem. A łódź białego człowieka, sunąc pod prąd w tym krótkotrwałym zamieszaniu, przez nią samą wzbudzonym, wchodziła w bramy świata, z którego na zawsze znikło nawet wspomnienie wszelkiego ruchu.

Biały, odwracając się tyłem do zachodzącego słońca, spojrzał na pusty, szeroki przestwór morza. Przez trzy ostatnie mile swego biegu ta meandrująca, niezdecydowana rzeka, jakby ulegając pokusie wolności otwartego horyzontu, płynie wprost do morza, wprost na wschód – na wschód, gdzie skrywa się zarówno światło, jak i ciemność. Przed dziobem łodzi pokrzykiwał jakiś ptak, zgrzytliwie i słabo, dźwięk niósł się

po gładkiej wodzie i gubił, zanim w cichym bezdechu tego świata docierał na drugi brzeg.

Sternik zanurzył pióro wiosła w wodzie i pochylając całe ciało do przodu, trzymał rękojeść mocno wyciągniętymi, sztywnymi rękami. Woda zagulgotała głośno i nagle cały długi odcinek rzeki jakby zawirował wokół własnej osi. Las obrócił się półkoliście, a skośne promienie zachodzącego słońca położyły się na burcie łodzi ognistym blaskiem, rzucając zniekształcone cienie załogi na pociętą pasmami światła rzekę. Biały odwrócił się, by spojrzeć w przód. Łódź przeszła na kurs pod kątem prostym do nurtu, rzeźbiona głowa smoka na dziobie skierowała się teraz ku prześwitowi w porastających brzeg zaroślach. Łódź prześliznęła się tamtędy, muskając zwisające pędy i zniknęła z rzeki niczym jakieś smukłe, amfibiotyczne stworzenie, porzucające wodę, by udać się na swoje leśne leże.

Wąski strumień był jak rów: kręty, fantastycznie głęboki; pod cienką warstewką czystego, połyskliwego błękitu niebios krył się mrok. Potężne drzewa wyrastały wysoko, niewidzialne zza udrapowanych zasłon pnączy. Gdzieniegdzie tuż przy lśniącej, mrocznej wodzie, pomiędzy koronkami paproci ukazywał się skręcony korzeń wielkiego drzewa, czarny, matowy, zwinięty i nieruchomy, jak zatrzymany w ruchu wąż. Krótkie komendy wioślarzy odbijały się głośnym echem między gęstymi, ciemnymi ścianami roślinności. Spomiędzy drzew, przez splątany labirynt pnączy, spoza fantastycznie wielkich i nieruchomych liści sączyła się ciemność; ciemność tajemnicza i niezwyciężona; wonna i trująca, ciemność nieprzebytych lasów.

Na płyciźnie załoga odpychała łódź od dna tykami. Strumień poszerzył się teraz i otwarł w szeroki łuk stojącej laguny. Las odsunął się od bagnistego brzegu, pozostawiając płaski pas jasnozielonej trzciniastej trawy, jakby ramę dla odbitego w wodzie błękitu nieba. Wysoko przesuwała się kłębiasta różowa chmurka, a pod unoszącymi się na wodzie liśćmi i srebrzystymi kwiatami lotosu przeciągnął delikatną barwą jej obraz. W oddali zaczernił się niewielki dom wsparty na wysokich palach. Dwie

wysokie palmy nibong, które jakby wyszły z roztaczającego się w tle lasu, stały obok i pochylały się lekko nad postrzępionym dachem, a pochylenie ich strzelistych liściastych głów wyrażało niby smutną czułość i troskę.

Sternik, wskazując wiosłem, rzekł:

– Arsat jest tam. Widzę jego łódkę przywiązaną do pali.

Ludzie z tykami biegali po burtach, przez ramię spoglądając na cel całodziennej podróży. Woleliby spędzić noc gdzie indziej, nie w tej lagunie, dziwnej z wyglądu i cieszącej się ponurą reputacją. Poza tym nie lubili Arsata, po pierwsze był obcy, a ponadto ktoś, kto remontuje porzucony dom i mieszka w nim, daje do zrozumienia, że nie boi się żyć wśród duchów nawiedzających miejsca opuszczone przez ludzi. Taki człowiek może spojrzeniami lub słowem zaburzyć bieg losu; a jego własne duchy niełatwo dają się zjednać przypadkowym przybyszom, bo chcą na nich wyładować złe zamiary swojego pana. Biali nie przejmują się takimi sprawami, bo w nic nie wierzą i są w zmowie z Ojcem Zła, który prowadzi ich bez szkody przez niewidzialne niebezpieczeństwa tego świata. A na ostrzeżenia ludzi prawych reagują obraźliwą postawą niewiary. Co więc można zrobić?

Tak rozmyślali, całym ciężarem ciała opierając się na długich tykach. Spora łódź szła ku polanie Arsata szybko, bezszelestnie i gładko, aż z nagłym stukotem rzucanych w pośpiechu tyk i wśród głośnych pomruków: „Chwała Allahowi”, stuknęła delikatnie w pochyłe słupy przed domem.

Ludzie na łodzi unieśli głowy i wołali nieskładnie:

– Arsat! O, Arsat!

Nikt się nie zjawił. Biały zaczął wspinać się po drabinie prowadzącej na bambusowy podest przed wejściem do domu. Juragan rzekł chmurnie:

– Będziemy gotować na sampanie i spać na wodzie.

– Podajcie moje koce i kosz – odpowiedział biały krótko.

Ukląkł na brzegu podestu i odebrał tobołek. Łódź się cofnęła, a biały, podniósłszy się, stanął przed Arsatem, który ukazał się w niskich drzwiach chaty. Był to człowiek młody, silny, o szerokiej piersi i muskularnych ramionach. Ubrany był tylko w sarong. Głowę miał odkrytą. Intensywnie

wpatrywał się w białego wielkimi, miękkimi oczyma, ale głos i postawa były zupełnie spokojne, kiedy bez słowa powitania spytał:

– Masz lekarstwo, tuan?

– Nie – odpowiedział gość zdziwiony. – Nie. A co? Czy w domu choroba?

– Wejdź i zobacz – odpowiedział Arsat tym samym spokojnym tonem i odwracając się w miejscu, wszedł z powrotem w niskie drzwi. Biały zostawił tobołek i wszedł za nim.

W mroku pomieszczenia na bambusowym łóżku dostrzegł kobietę, która leżała na wznak pod szerokim prześcieradłem z czerwonego płótna. Leżała bez ruchu, jakby martwa, ale jej wielkie oczy były szeroko otwarte i błyszczały w ciemności, wpatrzone w smukłe belki stropu, nieruchomo i niewidząco. Było jasne, że ma wysoką gorączkę i jest nieprzytomna. Policzki miała lekko zapadłe, wargi delikatnie rozchylone, a na młodej twarzy jawił się złowrogi, niezmienny wyraz – ów pochłonięty sobą, kontemplacyjny wyraz twarzy kogoś, kto ma umrzeć. Mężczyźni stali, spoglądając na nią w milczeniu.

– Jak długo choruje? – zapytał przybyły.

– Nie śpię od pięciu nocy – odpowiedział Malaj niespiesznie. – Najpierw słyszała głosy, które wołały ją z wody, i wyrywała się, gdy ją trzymałem. Ale odkąd wzeszło słońce dzisiejszego dnia, niczego już nie słyszy, nie słyszy mnie. Niczego nie widzi. Nie widzi mnie. Mnie!

Zamilkł na chwilę, po czym zapytał cicho:

– Tuan, czy ona umrze?

– Boję się, że tak – rzekł biały z troską. Poznał Arsata przed wielu laty w odległym kraju, w czasach niespokojnych i niebezpiecznych, kiedy nie gardzi się żadną przyjaźnią. A odkąd jego malajski przyjaciel zamieszkał z obcą kobietą w chacie nad laguną, wiele razy zatrzymywał się tu na noc podczas swych podróży po rzece. Lubił tego człowieka, który wiedział, jak dochować wiary w radzie i jak walczyć bez strachu u boku swego białego towarzysza. Lubił go – może nie aż tak, jak człowiek lubi swojego ulubionego psa – a jednak lubił go na tyle, by pomagać i nie zadawać pytań,

by wśród swych własnych zatrudnień pomyśleć czasem o tym samotnym człowieku i o długowłosej kobiecie z zuchwałą twarzą i triumfalnym wzrokiem, którzy mieszkali razem ukryci wśród lasów – samotni i budzący obawę.

Biały wyszedł z chaty w chwili, gdy potężny pożar zachodu poddawał się zwinnym ukradkowym cieniom, które wznosiły się niby nieuchwytny czarny opar nad wierzchołkami drzew, rozciągały po niebie, gasząc szkarłatne światło wędrownych chmur i czerwony blask odchodzącego dnia. W parę chwil wszystkie gwiazdy pojawiły się ponad intensywną czernią lądu, a rozświetlona nagle odbitym światłem laguna wyglądała niczym wielki owal nocnego nieba zrzucony na pozbawioną nadziei otchłań dziczy. Biały zjadł coś ze swojego koszyka, potem zebrał kilka rozrzuconych na podeście gałęzi i rozpalił małe ognisko, nie dla ciepła, ale by dymem odpędzić moskity. Owinięty kocem, wsparł się plecami o trzcinową ścianę domu i siedział tak, paląc w zamyśleniu.

Arsat wyłonił się z chaty i kucnął przy ogniu. Biały człowiek cofnął nieco wyciągnięte nogi.

– Oddycha – rzekł Arsat cicho, uprzedzając spodziewane pytanie. – Oddycha, ale jest rozpalona jakby potężnym ogniem. Nic nie mówi, nic nie słyszy i płonie!

Zamilkł na chwilę, potem pytał cichym, bezbarwnym głosem:

– Tuan… ona umrze?

Biały niepewnie poruszył ramionami i wymamrotał z wahaniem:

– Jeśli taki jej los…

– Nie, tuan – odpowiedział Arsat spokojnie. – Jeśli taki jest mój los. Ja słyszę, widzę, czekam. Pamiętam… Tuan, czy ty pamiętasz dawne czasy? Pamiętasz mojego brata?

– Tak – odpowiedział biały. Malaj podniósł się nagle i wszedł do domu. Ten drugi, wciąż siedząc na zewnątrz, usłyszał jego głos. Arsat mówił:

– Słyszysz mnie? Odezwij się!

Odpowiedzią była zupełna cisza.

– O, Diamelen! – zawołał nagle. Po tym okrzyku rozległo się głębokie westchnienie. Arsat wyszedł na zewnątrz i opadł na swoje miejsce.

Siedzieli przy ogniu w milczeniu. Żaden dźwięk nie dochodził z chaty, żaden dźwięk nie rozlegał się wkoło nich; tylko w oddali, na lagunie, tu i tam dało się słyszeć niosące się wyraźnie po wodzie głosy przewoźników. Ognisko na dziobie sampana błyskało w oddali nikłym czerwonawym blaskiem. Potem zgasło. Głosy zanikły. Ląd i woda spały niewidoczne, nieporuszone i nieme. Zupełnie jakby na świecie nie zostało już nic, tylko niezmienny i daremny blask gwiazd, spływający przez czarną ciszę nocy.

Biały patrzył szeroko otwartymi oczyma wprost przed siebie, w ciemność. Strach i fascynacja, natchnienie i zdumienie śmiercią – bliską, nieuniknioną i niewidoczną, ukoiły niepokój właściwy jego rasie i wzbudziły w nim myśli mgliste, intymne. Zawsze bliskie przeczucie zła, przeczucie, które nurtuje nasze serca, wsączyło się w otaczającą go ciszę – w tę ciszę głęboką i głuchą, która teraz wydała mu się niewiarygodna i niepewna, niczym spokojna a nieprzenikniona maska, kryjąca niepojęte okrucieństwo. Wobec tego chwilowego, lecz potężnego zakłócenia jego bytu ziemia spowita rozgwieżdżonym spokojem stała się cienistą krainą nieludzkiego cierpienia, polem bitewnym zjaw straszliwych i czarownych, majestatycznych i niecnych, walczących w zapale o nasze bezradne serca. Niespokojną i tajemniczą krainą nieugaszonych pragnień i obaw.

Pośród nocy podniósł się płaczliwy pomruk; pomruk zasmucający i zdumiewający, jakby wielka samotność otaczających go lasów próbowała szeptać mu do ucha mądrość swej potężnej i wyniosłej obojętności. W powietrzu wokoło rozlegały się niepewne i niejasne dźwięki, które formowały się z wolna w słowa, aż wreszcie zaczęły do niego docierać postaci cichych i monotonnych zdań. Poruszył się, jak ktoś nagle przebudzony, i lekko zmienił pozycję. Arsat, nieruchomy w cieniu, siedząc pod gwiazdami z pochyloną głową, mówił cichym, sennym głosem:

– …gdzież bowiem możemy złożyć ciężar naszych trosk, jeśli nie w sercu przyjaciela? Człowiek musi mówić o wojnie i o miłości. Ty, tuan, wiesz, czym jest wojna, widziałeś, że w czas niebezpieczeństwa biegłem ku

śmierci, tak jak inni biegną ku życiu! Co zapisane, można utracić; zapisać można i kłamstwo, ale to, co widziały oczy, jest prawdą i pozostaje w umyśle!

– Pamiętam – rzekł cicho biały.

Arsat z ponurym spokojem mówił dalej:

– Dlatego opowiem ci o miłości. Opowiem ci to nocą. Opowiem, zanim i noc, i miłość przeminą, a oko świtu spojrzy na mój smutek i mój wstyd; na moją sczerniałą twarz; na moje wypalone serce.

Westchnienie, szybkie i ciche, znaczyło niemal niezauważalną pauzę, a jego słowa zaraz popłynęły dalej, bez poruszenia, bez żadnego gestu.

– Kiedy już minął czas niepokoju i wojny, a ty odszedłeś z naszego kraju, by podążać za swymi pragnieniami, które dla nas, ludzi z wysp, są niepojęte, ja i mój brat znowu, jak to było przed wojną, zaczęliśmy nosić miecze w służbie Władcy. Należymy, jak wiesz, do wysokiego rodu, do rasy panów i bardziej niż inni powołani jesteśmy do tego, by nosić na prawym ramieniu znak władzy. W czasach dostatku Si Dendring okazał nam więc łaskę, tak jak my w czasach smutku okazaliśmy mu wierność naszego męstwa. To był czas pokoju. Czas polowania na jelenie i walk kogutów; czas pogawędek w bezczynności i głupich sporów między mężczyznami, których brzuchy są pełne, a broń rdzewieje. Ale siewca bez strachu patrzył wówczas, jak kiełkuje ryż, a kupcy wyjeżdżali i wracali; znad rzeki pokoju wyprawiali się szczupli, a powracali tłuści. Przywozili też wieści. Przywozili mieszaninę kłamstw i prawdy, tak że nikt nie wiedział, kiedy się cieszyć, a kiedy smucić. Słyszeliśmy od nich i o tobie. Widywali cię tu czy tam. Cieszyłem się z tych wiadomości, bo pamiętałem niespokojne czasy i pamiętałem ciebie, tuan, aż nadszedł czas, kiedy moje oczy nie widziały już nic z przeszłości, ponieważ spojrzały na tę, która teraz umiera tam, w tym domu.

Przerwał, by wykrzyknąć intensywnym szeptem:

– O, mara bahia! O nieszczęście! – I zaraz mówił dalej, nieco głośniej: – Nie ma gorszego wroga ani lepszego przyjaciela niż brat, tuan, bo brat zna brata, a w doskonałej wiedzy jest siła na dobre i na złe. Kochałem mojego

brata. Poszedłem do niego i mówię, że nie widzę już niczego, tylko tę jedną twarz; nie słyszę niczego, tylko ten jeden głos. On mi na to: „Otwórz swe serce, aby ona dostrzegła to, co się w nim kryje – i czekaj. Cierpliwość jest mądrością. Inchi Midah może umrzeć, a nasz Władca może pozbyć się strachu przed kobietą…”. Czekałem więc… Pamiętasz panią o zakrytej twarzy i strach naszego Władcy przed jej przebiegłością i złością. A jeśli chciała swego sługę, co mogłem zrobić? Lecz karmiłem swe serce szybkimi spojrzeniami i ukradkowymi słowami. W dzień kręciłem się koło dróżki do łaźni, a kiedy słońce zapadało za lasem, skradałem się po obsadzonym jaśminem dziedzińcu dla kobiet. Nie widząc się nawzajem, rozmawialiśmy poprzez woń kwiatów i zasłonę liści, przez źdźbła wysokich traw, które stojąc bez ruchu, zakrywały nam usta; tak wielka była nasza ostrożność, tak delikatny szmer naszej wielkiej tęsknoty. Czas biegł szybko… a między kobietami pojawiły się pogłoski – nasi wrogowie obserwowali nas – mój brat zrobił się ponury, ja zaś zacząłem myśleć o zabijaniu, o straszliwej śmierci… Jesteśmy ludem, który sięga po to, co chce, tak samo jak wy, biali. Są takie chwile, kiedy człowiek musi zapomnieć o lojalności i szacunku. Moc i władza dana jest rządzącym, ale miłość, siła i odwaga dana jest każdemu człowiekowi. Mój brat powiedział: „Zabierzesz ją spośród nich. My dwaj jesteśmy jak jeden człowiek”. A ja mu odpowiedziałem: „Oby to nastąpiło prędko, bo nie czuję słonecznego ciepła, jeśli nie ogrzewa także i jej”. Nasz czas nastąpił, gdy Władca i wszyscy wielcy wybrali się do ujścia rzeki na nocny połów przy pochodniach. Były tam tysiące łodzi, na białym piasku między wodą a lasem dla świty radżów postawiono domki z liści. Dym z kuchennych palenisk był niczym błękitna mgła wieczorna, w której dźwięczało wiele radosnych głosów. Kiedy szykowano łodzie na połów, mój brat przyszedł do mnie i rzekł: „Dziś w nocy”. Sprawdziłem swoją broń, a gdy nadszedł czas, nasza łódź znalazła się w kręgu innych, wiozących pochodnie. Blask rozświetlał wodę, ale poza łodziami rozciągała się ciemność. Kiedy rozległy się okrzyki, a wszyscy z podniecenia popadli w szaleństwo, wymknęliśmy się. Woda pochłonęła nasz ogień i popłynęliśmy z powrotem

ku brzegowi, gdzie była ciemność, tyle że tu i tam żarzyły się popioły ognisk. Słyszeliśmy, jak młode niewolnice gwarzą między szopami. Potem znaleźliśmy miejsce zupełnie puste i ciche. Tam czekaliśmy. Przyszła. Przybiegła brzegiem, prędko, nie zostawiając nawet śladów, niczym listek gnany wiatrem ku morzu. Brat rzekł ponuro: „Idź, weź ją. Wnieś ją do łodzi". Uniosłem ją w objęciach. Dyszała. Jej serce biło tuż przy mojej piersi. Powiedziałem jej: „Zabieram cię od tych ludzi. Przybyłaś na zew mego serca, ale zabieram cię w ramionach do łodzi wbrew woli możnych". „Tak jest dobrze" – rzekł mój brat. „Jesteśmy ludźmi, którzy sięgają po to, czego chcą, i nie oddadzą, choćby wielu się im sprzeciwiało. Powinniśmy byli ją wziąć w świetle dnia". Odpowiedziałem: „Zabierajmy się stąd", odkąd bowiem miałem ją w łodzi, myślałem o licznych zastępach naszego Władcy. „Tak, zabierajmy się stąd" – zgodził się brat. „Jesteśmy wygnańcami, ta łódź jest teraz naszą ojczyzną, a morze naszym schronieniem". Zwlekał, wciąż jeszcze opierając stopę o brzeg, a ja ponaglałem go, nadal czułem bowiem bicie jej serca przy mej piersi i myślałem, że dwóch ludzi nie zdoła przeciwstawić się setce. Odpłynęliśmy na wiosłach z nurtem rzeki, tuż przy brzegu; a kiedyśmy przepływali obok strumienia, w którym tamci łowili, wielkie krzyki już ustały, ale słychać było wyraźnie poszum głosów, niczym bzyczenie owadów w samo południe. Łodzie, stłoczone w grupki, spławiały się w czerwonym blasku pochodni, pod czarnym pułapem dymu. Mężczyźni, którzy przechwalali się, pochlebiali sobie i szydzili z siebie – mężczyźni, którzy tego ranka byli naszymi przyjaciółmi, tej nocy stali się naszymi wrogami. Szybko spłynęliśmy obok nich. W naszym rodzinnym kraju nie mieliśmy już przyjaciół. Ona siedziała pośrodku łodzi z zakrytą twarzą; cicha tak jak teraz; tak jak teraz niewidząca, a ja nie czułem żalu za tym, co zostawiam za sobą, ponieważ tuż przy sobie słyszałem jej oddech – tak jak słyszę go teraz.

Przerwał, nasłuchiwał przez chwilę, odwróciwszy się ku drzwiom domu, a potem potrząsnął głową i mówił dalej:

– Mój brat chciał coś krzyknąć, rzucić wyzwanie – jeden okrzyk – żeby dać im znać, że jesteśmy wolnymi zbójnikami, którzy liczą tylko na siłę swych ramion i na szerokie morze. Ale znowu ubłagałem go w imię naszej miłości, żeby był cicho. Czyż nie słyszałem tuż przy sobie jej oddechu? Wiedziałem, że pościg może nadejść bardzo szybko. Brat mnie kochał. Bezgłośnie zanurzał wiosło w wodzie. Powiedział jedynie: „Jest w tobie tylko połowa mężczyzny – druga połowa jest w tej kobiecie. Ja poczekam. Kiedy znowu będziesz całym mężczyzną, wrócisz tu razem ze mną i rzucimy im wyzwanie. Jesteśmy synami jednej matki”. Nic nie odpowiedziałem. Całą siłę i całego ducha skupiłem teraz w rękach, które dzierżyły wiosło – bo pragnąłem być z nią w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem wściekłości mężczyzn i zawiści kobiet. Moja miłość była tak wielka, że myślałem, że jeśli tylko uda mi się umknąć przed furią Inchi Midaha i przed mieczem Władcy, to powiedzie mnie ona do krainy, gdzie nie ma śmierci. Wiosłowaliśmy w pośpiechu, oddychając przez zęby. Pióra wioseł wcinały się głęboko w gładką wodę. Wypłynęliśmy z rzeki, mknęliśmy przejrzystymi kanałami pośród płycizn, mijaliśmy piaszczyste plaże tam, gdzie morze szepce coś lądowi; a biały piasek błyskał tylko ku naszej łódce, tak bystro pędziła po wodzie. Niceśmy nie mówili. Raz tylko ja odezwałem się: „Śpij, Diamelen, bo wkrótce potrzeba ci będzie siły”. Usłyszałem jej słodki głos, ale nie odwróciłem głowy. Słońce wzeszło, a my płynęliśmy dalej. Woda ciekła mi po twarzy jak deszcz z chmury. Mknęliśmy w blasku i w upale. Ani razu się nie obejrzałem, ale wiedziałem, że oczy mojego brata, tuż za mną, patrzą stale naprzód, bo łódka szła prosto jak strzała buszmena wypuszczona z sumpitanu. Nie było wioślarza, nie było sternika nad mojego brata. Ileż razy w tej łodzi wspólnie wygrywaliśmy zawody. Ale nigdy dotąd nie wysilaliśmy się tak jak wtedy – wtedy, gdyśmy ostatni raz wiosłowali razem! W całym naszym kraju nie było dzielniejszego i silniejszego człowieka niż on. Nie traciłem sił, żeby odwracać głowę i spoglądać na niego, lecz z każdą chwilą słyszałem za sobą coraz to głośniejszy oddech. Ale się nie odzywał. Słońce stało wysoko. Upał przylgnął mi do grzbietu jak żywy płomień. Żebra niemal mi pękały,

nie byłem już w stanie nabrać powietrza w pierś. Wtedy poczułem, że ostatnim tchem muszę zawołać: „Odpocznijmy!”… „Dobrze!”, odpowiedział brat; a głos miał silny. Ten to był mocny, ten był dzielny. Nie znał strachu ani zmęczenia… Mój brat!

Poszum potężny a delikatny, poszum ogromny a nikły, poszum drżących liści, poruszonych gałęzi przebiegł po splątanej gęstwinie lasu, przebiegł po rozgwieżdżonej gładzi laguny, a woda pomiędzy słupami nagłym chlapnięciem liznęła omszałe deski. Oddech gorącego powietrza owionął twarze mężczyzn i przepłynął z żałobnym dźwiękiem – oddech głośny i krótki, niczym ciężkie westchnienie pogrążonej we śnie ziemi.

Arsat mówił dalej monotonnym, cichym głosem.

– Wciągnęliśmy łódkę na białą plażę w niewielkiej zatoczce, tuż przy długim jęzorze lądu, który jakby zagradzał nam drogę: na zalesionym przylądku wychodzącym daleko w morze. Mój brat znał to miejsce. Za tym przylądkiem jest ujście rzeki, a przez dżunglę na tym skrawku ziemi wiedzie ścieżka. Rozpaliliśmy ogień, ugotowaliśmy trochę ryżu. Potem położyliśmy się spać na miękkim piasku w cieniu naszej łódki, a ona nas pilnowała. Kiedy tylko zamknąłem oczy, usłyszałem jej ostrzegawczy krzyk. Podskoczyliśmy. Słońce było już w połowie drogi przez niebo, a u wejścia do zatoki ukazała się łódź pełna wioślarzy. Wiedzieliśmy od razu – to było prau z floty radży. Obserwowali wybrzeże, dostrzegli nas. Uderzyli w gong i skierowali dziób ku zatoce. Poczułem, że serce zamiera mi w piersi. Diamelen usiadła na piasku i skryła twarz w dłoniach. Morzem nie mieliśmy ucieczki. Mój brat się zaśmiał. Miał strzelbę, którą mu dałeś, tuan, zanim odszedłeś, ale była tylko garstka prochu. Rzucił mi szybko: „Uciekaj z nią tą ścieżką. Ja ich przytrzymam, bo nie mają broni palnej, a wyjść na ląd wprost na uzbrojonego człowieka to pewna śmierć dla niektórych. Uciekaj z nią. Po drugiej stronie jest chata rybaka i łódka. Kiedy wystrzelam wszystko, co mam, pobiegnę za wami. Dobrze biegam, zanim podejdą, już mnie nie będzie. Wytrzymam tu, ile będę mógł, ona jest tylko kobietą – nie umie ani biegać, ani się bić, ale w tych słabych rękach trzyma twoje serce”. Padł na ziemię za łódką. Prau się zbliżało. Ona i ja

pobiegliśmy, a kiedy pędziliśmy ścieżką, dobiegł nas dźwięk strzałów. Mój brat wystrzelił – raz – drugi – i walenie w gong ustało. Za nami była cisza. Ta szyjka lądu jest wąska. Zanim usłyszałem, jak mój brat strzela po raz trzeci, już miałem przed sobą opadający brzeg, i znowu zobaczyłem wodę: ujście szerokiej rzeki. Przebiegliśmy po trawiastym zboczu. Zbiegliśmy do wody. Zobaczyłem niską chatę nad czarnym mułem i wyciągniętą na brzeg łódeczkę. Usłyszałem za sobą kolejny wystrzał. Pomyślałem: „To ostatni ładunek”. Ruszyliśmy ku łódce; z chaty wybiegł jakiś człowiek, ale skoczyłem na niego i razem potoczyliśmy się po mule. Zaraz wstałem, on nieruchomo leżał u mych stóp. Nie wiem, czy go zabiłem, czy nie. Razem z Diamelen wypchnęliśmy kanu na wodę. Usłyszałem za sobą wrzaski i zobaczyłem, jak po zboczu gna mój brat. Za nim biegła gromada ludzi; wziąłem Diamelen w ramiona i wrzuciłem ją do łódki, sam wskoczyłem za nią. Kiedy znowu spojrzałem na brzeg, zobaczyłem, że mój brat upadł. Upadł i zaraz się podniósł, ale pogoń była już bardzo blisko. Krzyknął: „Idę!”. Ci byli tuż za nim. Spojrzałem. Wielu. Potem spojrzałem na nią. Tuan, ja wypchnąłem łódkę. Wypchnąłem ją na głęboką wodę. Ona klęczała pochylona i patrzyła na mnie, powiedziałem: „Weź wiosło”, i sam swoim uderzyłem w wodę. Tuan, słyszałem, jak woła. Słyszałem, jak dwa razy woła mnie po imieniu, i słyszałem inne głosy krzyczące: „Zabij! Wal!”. Nie odwróciłem się. Usłyszałem, jak jeszcze raz woła mnie donośnym głosem, takim, z którym uchodzi życie – ale nie odwróciłem głowy. Zawołał mnie po imieniu…! Mój brat. Zawołał trzy razy – ale ja nie bałem się życia. Czy ona nie była ze mną w łódce? I czy razem z nią nie mogłem odnaleźć krainy, gdzie o śmierci się zapomina – gdzie śmierć jest nieznana?

Biały usiadł. Arsat podniósł się i stanął – niewyraźna, cicha postać ponad zamierającym żarem ogniska. Nad lagunę wypełzła mgła, posuwista i niska, z wolna zagarniając błyszczące obrazy gwiazd. Teraz wielka połać białego tumanu pokryła ląd: nadpływał w ciemności, zimny i szary, falował w bezgłośnych wirach wokół pni drzew, wokół pomostu z domem, który teraz jakby unosił się na niespokojnej i nieuchwytnej zjawie morza. Tylko

hen daleko wierzchołki drzew odcinały się od połyskującego nieba, jak ponury i nieprzyjazny brzeg – wybrzeże zdradliwe, bezlitosne, czarne.

W głębokiej ciszy głos Arsata zawibrował donośnie.

– Miałem ją tam! Miałem ją! Aby ją zdobyć, stanąłbym przeciwko całej ludzkości. Ale miałem ją, i…

Jego słowa rozeszły się dźwiękiem po pustych przestrzeniach. Przerwał i zdawało się, że słucha, jak nikną gdzieś daleko – gdzie nie sięga ani pomoc, ani pamięć. Potem odezwał się cicho:

– Tuan, ja kochałem swojego brata.

Zadrżał w oddechu wiatru. Wysoko nad jego głową, wysoko nad cichym morzem mgły palmowe liście zakołatały żałobnie i śmiertelnie. Biały wyprostował nogi. Brodę oparł na piersi i nie podnosząc głowy, wymamrotał ze smutkiem:

– Wszyscy kochamy swoich braci.

Arsat wyrzucił z siebie gwałtownym, namiętnym szeptem:

– Co mnie obchodzi, kto zginął? Ja chciałem spokoju serca.

Wydawało się, że dosłyszał jakieś poruszenie w domu, nadstawił ucha, potem bezszelestnie wszedł do środka. Biały wstał. Rwanymi podmuchami zbliżała się bryza. Gwiazdy świeciły bledszym blaskiem, jakby wycofały się w mroźną głębię nieskończonego przestworu. Po paru chłodnych podmuchach wiatru nastąpiło kilka sekund doskonałego spokoju i absolutnej ciszy. Potem zza czarnej falującej linii lasu wzbiła się w niebo kolumna złotego światła i rozlała półkolem nad wschodnim horyzontem. Wzeszło słońce. Mgła się podniosła, porwała w rozpierzchłe spłachcie, zanikła w lotnych kłębach, a pozbawiona woalu laguna leżała teraz wypolerowana i czarna w ciemnych cieniach u stóp ściany drzew. Biały orzeł wzbił się nad nią ciężkim ukośnym lotem, wzleciał w blask słońca i na moment rozbłysnął oślepiająco, by pofrunąć wyżej, stać się ciemną i nieruchomą plamką, a potem zniknąć w błękicie, jakby na zawsze opuszczał ziemię. Biały, stojąc przed drzwiami ze wzrokiem utkwionym w górze, usłyszał dochodzące z chaty urywane szepty pomieszanych słów, a potem głośny jęk. Arsat, drżąc, wytoczył się nagle na zewnątrz

z wyciągniętymi rękami i zamarł na parę chwil z nieruchomym wzrokiem. Potem rzekł:

– Już nie płonie.

Na wprost niego wznoszące się wytrwale słońce ukazało swój rąbek ponad wierzchołkami drzew. Przyszła świeższa bryza; lagunę zalała ogromna świetlistość, która rozprysła się na pomarszczonej wodzie. Las wydobył się z jasnego porannego cienia, zrobił się wyraźniejszy, jakby się do niego zbliżyli – ale zaraz stanęli jak wryci w wielkim poruszeniu liści, kiwaniu gałęzi, rozhuśtaniu konarów. W bezlitosnym słońcu wzmógł się szept nieświadomego życia, rozgadany niezrozumiałym głosem wokół niemej ciemności ludzkiej rozpaczy. Wzrok Arsata przesuwał się powoli, aż zatrzymał się na wschodzącym słońcu.

– Nic nie widzę – powiedział do siebie półgłosem.

– Nic nie ma – odrzekł biały, przesuwając się ku brzegowi pomostu i machając ręką na swoją łódkę. Znad laguny doszedł ich słaby okrzyk i sampan ruszył ku domostwu przyjaciela duchów.

– Jeśli chcesz jechać ze mną, poczekam na ciebie przez cały ranek – powiedział biały, odrywając wzrok od wody.

– Nie, tuan – rzekł cicho Arsat. – Nie będę już w tym domu jadł ani spał, ale muszę najpierw ujrzeć swoją drogę. Teraz nic nie widzę, nic! Nie ma światła i nie ma spokoju na tym świecie; ale jest śmierć – śmierć dla wielu. Byliśmy synami jednej matki, a ja zostawiłem go pośród jego wrogów; teraz jednak wrócę.

Nabrał głęboko powietrza i mówił rozmarzonym tonem:

– Już niedługo będę widział na tyle wyraźnie, żeby uderzyć – uderzyć. Ale ona umarła i… teraz… teraz ciemność.

Szeroko rozpostarł ramiona, a potem opuścił je bezwładnie i stał z nieruchomą twarzą i kamiennym wzrokiem, wpatrzony w słońce. Biały zszedł do łodzi. Ludzie ustawili się sprawnie z wiosłami na burtach, przez ramię spoglądając na początek męczącej podróży. Wysoko przy sterze z głową omotaną białymi szmatami siedział ponury juragan, zanurzając już wiosło w wodę. Biały, oparłszy się łokciami na trzcinowym daszku

niewielkiej kabiny, spoglądał w tył, na lśniące zmarszczki na wodzie za łódką. Arsat się nie poruszył. Stał samotnie w przenikającym blasku słońca; patrzył poza wielkie światło bezchmurnego dnia w ciemność świata złudzeń.

# Karain: wspomnienie

## I

Znaliśmy go w tych ryzykownych czasach, kiedy każdemu z nas wystarczało, że ma w rękach własne życie i majątek. Żaden z nas, zdaje się, teraz już żadnego majątku nie ma, a jak słyszę, wielu niefrasobliwie postradało i życie; jestem jednak pewny, że tym kilku, którzy wciąż żyją, wzrok nie zmącił się aż tak, by w mglistej szacowności czytanych gazet przeoczyć wiadomości o powstaniach tubylców na Archipelagu Wschodnim. Spomiędzy linijek tych krótkich komunikatów prześwieca słońce – słońce i blask morza. Obca nazwa budzi wspomnienia, a słowo drukowane wsącza w dzisiejszą dymną atmosferę ową delikatną a przenikliwą woń bryzy idącej od lądu przez niegdysiejsze rozgwieżdżone noce; ognisko sygnałowe lśni jak klejnot na wysokim czole ponurego klifu; wielkie drzewa, wysunięte straże ogromnych lasów, stoją czujne, bez ruchu, nad śpiącymi połaciami otwartej wody; biała linia przyboju uderza o pustą plażę, a płytka woda pieni się na rafach; zielone wysepki rozrzucone w spokoju południa leżą na powierzchni wypolerowanego morza niczym garść szmaragdów na stalowym puklerzu.

Są i twarze – twarze ciemne, gwałtowne i uśmiechnięte; szczere, zuchwałe twarze ludzi bosych, dobrze uzbrojonych, bezszelestnych. - Wypełniali oni całą długość wąskich pokładów naszego szkunera ozdobną barbarzyńską chmarą, różnorodnymi barwami kraciastych sarongów, czerwonych turbanów, białych kurtek, haftów; błyskały pochwy szabli, złote pierścienie, amulety, bransolety, ostrza lanc i wysadzane kamieniami rękojeści broni. Postawę mieli niepodległą, wzrok znamionował pewność siebie, a zachowanie – powściągliwość. I wciąż jakby brzmiały ich ciche głosy rozprawiające o bitwach, podróżach i ucieczkach; miarkowane

przechwałki, spokojne żarty, a czasem także wytworne szepty wychwalające ich własne męstwo, naszą szczodrość albo wyrażające cześć i lojalny entuzjazm wobec swego władcy. Pamiętamy twarze, oczy, głosy, znów widzimy połysk jedwabiu i metalu, pomruk poruszonego tłumu – błyskotliwego, świątecznego i wojennego; zdaje się nam, że czujemy dotknięcie przyjaznych brązowych dłoni, które po szybkim uścisku wracają, by spocząć na grawerowanej rękojeści miecza. To byli ludzie Karaina – jego oddana świta. Każdy swój ruch wyczytywali z jego warg; każdą myśl – z jego oczu; szeptał im niedbale o życiu i śmierci, a oni pokornie przyjmowali jego słowa niczym dary losu. Wszyscy byli wolnymi ludźmi, ale gdy zwracali się do niego, mówili o sobie: „Twój niewolnik”. Kiedy przechodził, głosy zamierały, jakby szedł pod osłoną ciszy; a za nim rozlegały się szepty pełne respektu. Nazywali go swoim wodzem. Był władcą trzech wiosek na wąskiej równinie, panem nic nieznaczącej piędzi tej ziemi – podbitego miejsca o kształcie księżyca na nowiu, zapomnianego przez wszystkich, położonego między wzgórzami a morzem.

Z pokładu stojącego na kotwicy pośrodku zatoki szkunera teatralnym gestem ramienia ponad postrzępionym zarysem wzgórz wskazywał całe swe królestwo, a ten szeroki gest jakby odsuwał w dal granice jego ziemi, poszerzając je nagle do rozmiaru tak potężnego i nieokreślonego, że przez chwilę mogłoby się wydawać, iż kończą się tam, gdzie nieboskłon. Rzeczywiście, kiedy patrzyło się na to miejsce, zamknięte przez morze, a od lądu odcięte stromymi zboczami, trudno było uwierzyć, że w ogóle może istnieć jakieś sąsiedztwo. Miejsce to było spokojne, zupełne, nieznane i pełne życia, które toczyło się tu po cichu, tworząc niepokojący efekt samotności; życia, które wydawało się niewytłumaczalnie ogołocone ze wszystkiego, co mogłoby pobudzić myśli, dotknąć serca, wspomnieć o złowieszczym upływie dni. W naszych oczach było to miejsce bez pamięci, żalu i nadziei; kraina, w której nic nie zdoła przetrwać nadejścia nocy, a każdy wschód słońca, niczym olśniewający akt stworzenia, pozostaje doskonale oddzielony i od wieczoru, i od świtu.

Karain ogarnął te ziemie gestem dłoni. „To wszystko moje!” Stuknął w pokład wysokim berłem; złote zwieńczenie błysnęło jak spadająca gwiazda. Stojący tuż za nim milczący starzec w bogato haftowanej czarnej kurtce jako jedyny z zebranych Malajów nie powiódł wzrokiem za tym władczym gestem. Nawet nie uniósł powiek. Stał z pochyloną głową za plecami swego pana i nieporuszony trzymał na prawym ramieniu rękojeść długiej szabli w srebrnej pochwie. Był na służbie, ale bez zaciekawienia, zdawał się raczej znużony, nie wiekiem jednak, lecz ciężarem sekretu istnienia. Karain, potężny i dumny, trwał w postawie wyniosłej, oddychał spokojnie. Przypłynęliśmy tu pierwszy raz, rozglądaliśmy się z zaciekawieniem.

Zatoka była niczym bezdenna otchłań intensywnego światła. Okrągła połać wody odbijała świetliste niebo, a otaczające ją brzegi tworzyły mroczny ziemny pierścień unoszący się w pustce przezroczystego błękitu. Wzgórza, purpurowe i nagie, wyraźnie odcinały się na tle nieba: szczyty jakby blakły w kolorowym drganiu unoszącej się mgły; ostre zbocza przecinały wąskie zielone jary; u ich stóp leżały pola ryżowe, zagony bananowców, żółty piasek. Potok wił się niczym rzucony sznurek. Kępy drzew owocowych znaczyły miejsca wiosek; smukłe palmy skłaniały ku sobie głowy nad niskimi chatami; strzechy z suchych liści palmowych świeciły z dala jakby kryte złotem między ciemnymi kolumnadami pni; postaci żwawo przemieszczały się i znikały; dym z palenisk wznosił się prosto w górę sponad kęp kwitnących krzewów; lśniły bambusowe ogrodzenia, łamaną linią wcinające się w pola. Nagły krzyk z wybrzeża zabrzmiał błagalnie w oddali i urwał się gwałtownie, jak gdyby stłumiony w ulewie słonecznego blasku. Podmuch bryzy zaznaczył się ciemnym błyskiem na gładkiej wodzie, dotknął naszych twarzy i odszedł w niepamięć. Nic się nie ruszało. Z góry w bezcienistą pustkę koloru i ciszy buchało słońce.

Oto scena, po której, ubrany we wspaniały kostium, władca kroczył z nieporównaną godnością, a powagi dodawała mu moc budzenia w nas absurdalnego oczekiwania, że zaraz wydarzy się coś bohaterskiego – że

ktoś dokona jakiegoś czynu albo że zabrzmi pieśń – przy rozwibrowanym tonie cudownego blasku. Był strojny i niepokojący, trudno było sobie bowiem wyobrazić, że ta wysublimowana fasada może skrywać tak straszliwą pustkę. Nie była to maska – w nim było zbyt wiele życia, a maska jest tylko nieżywym przedmiotem; prezentował się jednak zasadniczo jak aktor, jak człowiek niewątpliwie przebrany. Jego najdrobniejsze czynności były przygotowane, a niespodziane przemowy poważne, zdania wygłaszał złowieszcze jak aluzje i skomplikowane jak arabeski. Traktowano go z uroczystym respektem, który na nieznającym prawdziwego szacunku Zachodzie zachowuje się jedynie wobec monarchów na scenie, on tymczasem przyjmował tę głęboką cześć z niezachwianą godnością, jaką widuje się tylko i wyłącznie na teatralnych deskach, w skoncentrowanym fałszu jakiejś potwornie tragicznej sytuacji. Trudno wręcz było przypomnieć sobie, kim on w istocie jest – nie więcej niż pomniejszym władcą pewnego dogodnie odizolowanego zakątka Mindanao, gdzie mogliśmy względnie bezpiecznie oddawać się łamaniu zakazu handlu bronią i amunicją z tubylcami. Kiedy już byliśmy w zatoce, nie bardzo nas przejmowało, co by było, gdyby jeden z rozklekotanych hiszpańskich okrętów poderwał się w nagłym spazmie do działania – tak całkowicie to miejsce wydawało się nam poza zasięgiem gwarliwego świata. Poza tym w tamtych czasach wyobraźni starczało nam na tyle, by z radosnym spokojem ducha spoglądać na każdą szansę wyrwania się cichcem poza zasięg dyplomatycznych protestów. Co do Karaina jego nie mogło czekać nic prócz tego, co przydarza się wszystkim – upadek i śmierć; miał jednak zdolność zachowania pozorów, że okrywa go szata nieuniknionego sukcesu. Wydawał się zbyt skuteczny, zbyt tutaj niezbędny, zbyt istotny jako warunek istnienia tego miejsca i tych ludzi, by mogło go zniszczyć cokolwiek mniejszego niż trzęsienie ziemi. Stanowił summę swojej rasy, swego raju, podstawową siłę żarliwego życia, tropikalnej przyrody. Miał tę bujną, fascynującą siłę i tak samo jak ona nosił w sobie ziarno zagrożenia.

W trakcie kolejnych wizyt dobrześmy poznali tę jego scenę – purpurowe półkole wzgórz, smukłe drzewa pochylone nad chatami, złote piaski, szczeliny zielonych jarów. Wszystko to w barwach jaskrawych i zmieszanych, o niemal przesadnej trafności, podejrzanej nieruchomości malowanej sceny; zawierała ona w sobie tak doskonale jego zdumiewającą wystudiowaną grę, że reszta świata zdawała się jakby na zawsze wyłączona z tego niesłychanego spektaklu. Poza tym nie było niczego. Jakby ziemia puściła się w tany, a tylko ten okruch jej powierzchni pozostał sam w kosmosie. Wydawał się odcięty od wszystkiego prócz słońca, a i ono jakby było stworzone tylko i wyłącznie dla niego. Kiedy raz spytaliśmy go, co jest po drugiej stronie wzgórz, odrzekł ze znaczącym uśmiechem:

– Przyjaciele i wrogowie, wielu wrogów, inaczej po co bym kupował te wasze strzelby i proch?

Zawsze był taki: bezbłędnie odgrywał rolę, dostosowując się ściśle do tajemnic i pewników swego otoczenia. „Przyjaciele i wrogowie…” – nic więcej. To było nieuchwytne i potężne. Ziemia naprawdę wytoczyła się spod jego krainy, a on i garstka jego ludzi stali teraz otoczeni jakby milczącym tumultem zwalczających się wzajem cieni.

Tu z pewnością nie docierały dźwięki z zewnątrz. „Przyjaciele i wrogowie!” Mógł jeszcze dodać: „I wspomnienia”, przynajmniej jeśli chodziło o niego samego, lecz wtedy nie poczynił tej uwagi. Uwaga ta sama się jednak czyniła nieco później, ale to już po codziennym przedstawieniu – za kulisami i, by tak rzec, gdy zgasły światła. Tymczasem wypełniał scenę swym barbarzyńskim splendorem. Jakieś dziesięć lat wcześniej przyprowadził swoich ludzi – zbieraninę wędrownych Bugisów – na podbój tej zatoki, teraz zaś, pod jego majestatyczną władzą, zapomnieli o przeszłości i utracili zainteresowanie przyszłością. On udzielał im mądrości, rady, nagrody, kary, życia lub śmierci – z jednakową łagodnością postawy i głosu. Rozumiał się na irygacji i rzemiośle wojennym, na wartości broni i na sztuce budowania łodzi. Potrafił ukryć swe serce; miał większą wytrzymałość; umiał dłużej płynąć wpław i lepiej sterować kanu niż którykolwiek z jego ludzi; strzelał celniej i negocjował ostrzej niż

jakikolwiek znany mi człowiek jego rasy. Był morskim śmiałkiem, wyrzutkiem, władcą – i moim bardzo dobrym przyjacielem. Życzę mu szybkiej śmierci w walce wręcz, śmierci w blasku słońca; on bowiem poznał wyrzuty sumienia i władzę, a nikt nie może od życia żądać więcej. Pojawiał się przed nami dzień po dniu, niezrównanie wierny scenicznej iluzji, a noc zstępowała na niego o zachodzie natychmiast, jak opadająca kurtyna. Poorane wzgórza czarnymi cieniami wznosiły się wysoko na czystym niebie, nad nimi błyszczące zamieszanie gwiazd wyglądało jak szalona zawierucha wstrzymana gestem dłoni; dźwięk zamierał, ludzie zasypiali, formy zanikały – i zostawała tylko rzeczywistość wszechświata – cudowne sprawy ciemności i lśnienia.

## II

Ale dopiero w nocy mówił otwarcie, zapominając o wymaganiach sceny. W ciągu dnia były sprawy do omówienia w majestacie. Z początku między nim a mną była jego wspaniałość, moje podłe podejrzenia oraz malowniczy pejzaż, który wdzierał się w rzeczywistość naszych żywotów nieruchomą fantazyjnością zarysu i koloru. Za nim ciągnął się jego orszak; szerokie ostrza włóczni tworzyły nad jego głową najeżoną aureolę metalowych szpiców; odgradzali go od reszty ludzkości szelestem jedwabiów, błyskiem broni, podnieconym i pełnym szacunku pomrukiem gorliwych głosów. Przed zmierzchem żegnał się z pełnym ceremoniałem i odpływał, siedząc pod czerwonym parasolem w eskorcie jakichś dwudziestu łodzi. Wszystkie wiosła wznosiły się i opadały razem, wydając potężny plusk, który gromkim echem odbijał się od ścian monumentalnego amfiteatru gór. Szeroka smuga lśniącej piany ciągnęła się w ślad za flotyllą. Na białym wrzeniu wody kanu zdawały się czarne; głowy w turbanach kiwały się w przód i w tył; mnogość ramion w szkarłacie i żółcieni wznosiła się i opadała jednym ruchem; halabardnicy stojący na dziobach łodzi mieli wielobarwne sarongi i ramiona błyszczące niczym posągi z brązu; strofy pieśni mamrotanych przez wioślarzy od czasu do czasu kończyły się

żałosnym okrzykiem. Niknęli w oddali, pieśń zanikała, a oni mrowili się na plaży w długich cieniach zachodnich wzgórz. Blask słońca kładł się na purpurowych grzebieniach i widzieliśmy go, jak prowadzi orszak ku palisadzie – tę przysadzistą postać bez nakrycia głowy, wyprzedzającą sporo kroczący w rozproszeniu *cortège* i rytmicznie wymachującą wyższym od siebie berłem z kości słoniowej. Ciemność gęstniała szybko; pochodnie rozbłyskiwały to tu, to tam, przemieszczały się wśród zarośli, przeciągły okrzyk odezwał się raz czy drugi w wieczornej ciszy, aż w końcu noc rozciągała swój gładki welon nad wybrzeżem, światłami i głosami.

Wtedy, gdyśmy właśnie myśleli o spoczynku, wartownik na szkunerze oznajmiał plusk wioseł w oddali rozgwieżdżonej ciemności zatoki; jakiś głos odpowiadał ostrożnym tonem, a nasz serang, wkładając głowę do otwartego świetlika, informował nas bez zdziwienia: „Ten radża, on przyjeżdża. Jest już tu”. Karain pojawiał się bezgłośnie w drzwiach niewielkiej kajuty. Wówczas był samą prostotą: cały w bieli, z okutaną głową, broń – tylko kris z prostą rękojeścią z bawolego rogu, który, zanim przekroczył próg, bardzo uprzejmie ukrywał w fałdach sarongu. Twarz starego dzierżyciela miecza, zmęczona i żałobna twarz tak gęsto pokryta zmarszczkami, że wydawało się, jakby spoglądał zza gęstej ciemnej siateczki, ukazywała się tuż nad jego ramieniem. Karain nigdzie nie ruszał się bez tego sługi, który zawsze stał lub kucał tuż za nim. Nie lubił czuć za sobą otwartej przestrzeni. Więcej niż nie lubił – był to raczej strach, nerwowa obsesja tego, że coś się dzieje, a on tego nie widzi. W obliczu ewidentnej i żarliwej lojalności, jaka go otaczała, trudno było to pojąć. Był wszak sam pośród oddanych mu ludzi, nie groziły mu zasadzki sąsiadów czy ambicje braci, a jednak wielu naszych gości zapewniało nas, że ich władca nie znosi być sam. Mówili:

– Nawet kiedy je albo śpi, musi być koło niego na straży ktoś silny i uzbrojony.

I rzeczywiście zawsze miał kogoś przy sobie, choć nasi informatorzy nie wiedzieli nic o sile czy uzbrojeniu strażnika, zarazem niejasnych i przerażających. Dowiedzieliśmy się, ale dopiero później, kiedyśmy

poznali jego historię. Tymczasem zauważyliśmy, że nawet podczas najważniejszych posłuchań Karain nagle się wzdragał, milkł gwałtownie i szybkim ruchem wyciągał rękę w tył, żeby sprawdzić, czy stary jest za nim. A ten, nieprzenikniony i znużony, zawsze za nim był. Dzielił z nim posiłki, odpoczynek i myśli; znał jego plany, strzegł jego tajemnic; beznamiętnie towarzyszył niepokojowi swego pana, nie poruszał się ani odrobinę, lecz uspokajającym tonem szeptał nad jego głową trudne do uchwycenia słowa.

Dopiero na pokładzie szkunera, w otoczeniu białych twarzy, nieznajomych obrazów i dźwięków, Karain jakby zapominał o swojej dziwnej obsesji, która niczym czarna nić snuła się wśród przepychu i pompy jego publicznego życia. Nocami traktowaliśmy go swobodnie i zwyczajnie, powstrzymując się tylko od poklepania go po plecach, są bowiem formy poufałości, których nie wolno okazywać Malajowi. Sam Karain mówił, że przy takich okazjach czuje się jak zwyczajny dżentelmen odwiedzający innych dżentelmenów, którzy – jak przypuszczał – dorównują mu urodzeniem. Wyobrażam sobie, że do samego końca uważał nas za emisariuszy Rządu, niejawnych oficjeli, którzy dzięki temu nielegalnemu handlowi realizują jakiś mroczny plan o wielkim znaczeniu dla państwa. Zaprzeczenia i protesty z naszej strony na nic się nie zdawały. On tylko uśmiechał się z dyskretną uprzejmością i dopytywał o królową. Każda wizyta zaczynała się od tego pytania; wciąż był głodny szczegółów; fascynowała go postać dzierżąca berło władzy, którego cień, od zachodu kładący się na ziemiach i morzach, ciągnął się dużo dalej niż ten szeroki na dłoń skrawek lądu, który sam był podbił. Mnożył pytania, nigdy nie dość mu było wiedzy o monarchini, o której wypowiadał się z zachwytem, z rycerskim szacunkiem – z niepozbawioną czułości bojaźnią! Później, kiedy dowiedzieliśmy się, że był synem kobiety rządzącej przez wiele lat państewkiem Bugisów, zaczęliśmy podejrzewać, że wspomnienie matki (a mówił o niej z entuzjazmem) zlało się w jego umyśle z wizerunkiem owej odległej królowej, który usiłował sobie wytworzyć, nazywając ją wielką, niezwyciężoną, pobożną i błogosławioną. W końcu, żeby zaspokoić

łaknienie jego ciekawości, musieliśmy wymyślać różne szczegóły; trzeba nam wybaczyć tę lojalność, bo staraliśmy się, by odpowiadały one jego wzniosłym i olśniewającym ideałom. Rozmawialiśmy. Noc prześlizgiwała się nad nami, nad nieruchomym szkunerem, nad śpiącym lądem i nad bezsennym morzem, które biło w rafy poza zatoką. Jego wioślarze, dwaj zaufani ludzie, spali w kanu tuż przy naszej drabince burtowej. Stary powiernik, zwolniony z obowiązków, drzemał, siedząc w kucki z plecami wspartymi o wejście do luku, a Karain, wyprostowany na drewnianym fotelu, pod lekko rozhuśtaną lampą kabinową, w palcach trzymał cygaro, a przed nim stała szklanka lemoniady. Bawiły go bąbelki, ale po paru łykach zostawiał ją, aż się wygazowała, i uprzejmym ruchem dłoni prosił o świeżą butelkę. Dziesiątkował nasz skromny zapas, ale nie żałowaliśmy mu, bo kiedy już zaczął mówić, opowiadał świetnie. Musiał w swoim czasie być wielkim bugiskim dandysem, bo nawet teraz (a kiedy go poznaliśmy, nie był już młody) jego wspaniałość była absolutnie bez zarzutu, farbował nawet włosy na jasny odcień brązu. Spokojna godność jego postawy zamieniała niedoświetlony kambuz szkunera w salę audiencyjną. Mówił o polityce międzywyspowej z ironiczną i melancholijną trafnością. Wiele podróżował, niemało wycierpiał, intrygował, walczył. Znał tubylcze dwory, osady Europejczyków, lasy, morze, a w swoim czasie – jak sam wyznał – zdarzało mu się rozmawiać z wieloma wybitnymi postaciami. Lubił gwarzyć ze mną, bo znałem niektóre z tych postaci: uważał najwyraźniej, że potrafię go zrozumieć, i z dyskretną pewnością siebie zakładał, że ja przynajmniej doceniam, o ile on sam jest od nich większy. Wolał jednak mówić o swoim kraju rodzinnym – bugiskim państewku na wyspie Celebes. Byłem tam parę lat wcześniej, więc wypytywał mnie gorliwie o nowiny. Kiedy w rozmowie pojawiały się jakieś nazwiska, mawiał:

– Jako dzieci urządzaliśmy z nim zawody pływackie!

Albo:

– Polowaliśmy razem na antylopy, pętlą i włócznią posługiwał się równie dobrze, co ja!

Od czasu do czasu z niepokojem przewracał wielkimi rozmarzonymi oczyma; marszczył się albo uśmiechał, albo popadał w zadumę i wpatrując się przed siebie w milczeniu, przez chwilę kiwał tylko lekko głową nad jakąś budzącą żal wizją z przeszłości.

Jego matka była władczynią niewielkiego, na poły samodzielnego nadmorskiego państewka nad zatoką Bone. Mówił o niej z dumą. Była kobietą zdecydowaną zarówno w sprawach państwowych, jak i sercowych. Po śmierci pierwszego męża, niezrażona gwałtowną opozycją ze strony wodzów, poślubiła bogatego kupca, niemającego rodziny człowieka z Korinchi. Karain był jej synem z tego drugiego małżeństwa, ale jego wygnanie najwyraźniej nie miało związku z niefortunnym pochodzeniem. Na ten temat się nie wypowiadał, choć raz wyrwało mu się:

– Ha! Moja kraina nie poczuje już więcej ciężaru mego ciała!

Ujmująco za to przedstawiał koleje swej wędrówki i opowiedział nam wszystko o podboju tej zatoki. Wspominając o ludziach zza wzgórz, mruczał łagodnie, z niedbałym gestem:

– Raz przyszli zza gór, żeby z nami walczyć, ale ci, którym udało się uciec, już nigdy nie wrócili.

Dumał przez chwilę, uśmiechając się do siebie.

– Bardzo niewielu zdołało uciec – dodał z pełną dumy łagodnością.

Cenił wspomnienia własnych sukcesów; miał w sobie radosną gotowość do działania; kiedy mówił, przybierał postawę bojową, rycerską, wzniosłą. Nic dziwnego, że był uwielbiany przez swoich. Widzieliśmy go raz za dnia, kiedy przechadzał się między chatami. Grupki kobiet pod drzwiami oglądały się za nim, szczebiocąc cicho, z rozmarzonym wzrokiem; uzbrojeni mężczyźni ustępowali mu z drogi, ulegli i wyprężeni; inni zbliżali się z boku, zginając karki, by zwrócić się do niego z pokorą; stara kobieta wyciągnęła ku niemu chude ramię pod opończą:

– Niech zstąpi na ciebie błogosławieństwo! – zawołała, stojąc w ciemnym wejściu do chaty.

Znad niskiego ogrodzenia zagonka bananowców jakiś człowiek o żarliwym wzroku wystawił zlaną potem twarz, nagą pierś pooraną

dwiema bliznami i zakrzyknął w ślad za władcą:

– Boże, daj zwycięstwo naszemu panu!

Karain szedł żwawo, zdecydowanym, długim krokiem, na pozdrowienia z prawa i lewa odpowiadał szybkim badawczym spojrzeniem. Dzieci wybiegały spomiędzy domów, lękliwie wyglądały zza węgłów; młodzi chłopcy szli równo z nim, przeciskając się między zaroślami: w ciemnym listowiu błyskały ich oczy. Stary sługa, ze srebrną pochwą miecza na ramieniu, z pochyloną głową sunął prędko krok w krok za nim. Pośród całego tego poruszenia przeszli szparko i w zamyśleniu, niby dwaj ludzie spiesznie przemierzający wielką samotność.

W sali rady otaczała go powaga uzbrojonych wodzów, podczas gdy starzy przywódcy plemienni odziani w białe bawełniane szaty siedzieli w kucki w dwóch rzędach, z rękami opuszczonymi na kolana. Pod strzechę wspartą na gładkich kolumnach, z których każda kosztowała życie prościutkiej młodej palmy, ciepłe fale niosły woń kwitnących żywopłotów. Słońce tonęło. Przez bramę na otwarte podwórze wkraczali przychodzący z prośbami, którzy – będąc jeszcze daleko – wznosili złożone ręce wysoko ponad pochylone głowy i skłaniali się ku ziemi w ostrych strumieniach słonecznego blasku. Młode dziewczęta z kwiatami na podołkach siedziały pod rozłożystymi konarami wielkiego drzewa. Błękitny dym z drzewnych palenisk rozciągał się delikatną mgiełką ponad wysoko wzniesionymi dachami domów o lśniących ścianach z plecionej trzciny, otoczonych surowymi drewnianymi słupkami podtrzymującymi zwieszone okapy. On, siedząc w cieniu, wymierzał sprawiedliwość; z wysokiego tronu rozkazywał, radził, ganił. Od czasu do czasu pomruk aprobaty wzmagał się nieco, a bezczynni halabardziści, wsparci na słupkach i przyglądający się dziewczętom, z wolna odwracali głowy. Nikogo innego nie otaczała ochrona tak wielkiego szacunku, zaufania i bojaźni. Czasami jednak Karain pochylał się do przodu, jakby nasłuchując jakiejś nuty niezgody, jakby spodziewał się, że dojdzie go ledwo słyszalny głos, dźwięk lekkich kroków; albo niemal podskakiwał na swym tronie, jakby go poufale tknięto w ramię. Oglądał się za siebie z lękiem, jego sędziwy towarzysz szeptał mu coś

niesłyszalnego do ucha, a wodzowie w milczeniu odwracali wzrok w chwili, gdy stary czarownik, człowiek, który potrafi rozkazywać duchom i zsyłać na wrogów złe moce, mówił właśnie do ich władcy. Chwilową ciszę tego otwartego miejsca otaczał delikatny poszum drzew, a cichy śmiech dziewcząt zabawiających się kwiatami wzbijał się w niebo jasnymi fontannami radosnych dźwięków. Długie kity barwionego na czerwono końskiego włosia na czubkach stojących na sztorc drzewców włóczni powiewały na wietrze szkarłatnym pasmem, a za feerią żywopłotów niewidzialny strumień z wielkim poszumem, namiętnym i łagodnym, głośno toczył bystrą, przejrzystą wodę pod opadającym trawiastym brzegiem.

Po zachodzie z odległych pól i z drugiej strony zatoki można było zobaczyć skupiska płonących pochodni pod wysokim dachem sali rady. Dymiące czerwone płomienie drżały na wysokich kolumnach, a ognisty blask migotał na twarzach, kładł się na gładkich palmowych pniach, krzesał jasne iskry na krawędziach metalowych naczyń stojących na pokrywających podłogę wytwornych matach. Ten nieznany nikomu poszukiwacz przygód ucztował niczym król. Grupki mężczyzn ciasnymi kręgami otaczały drewniane półmiski, brązowe dłonie unosiły się ponad kopczykami śnieżnobiałego ryżu. On siedział osobno, na surowej ławie, wsparłszy na łokciu pochyloną głowę, a obok jakiś młodzieniec wysokim tonem improwizował pieśń wychwalającą jego męstwo i mądrość. Śpiewak kołysał się na wszystkie strony, w szale przewracał oczyma, stare kobiety krzątały się, roznosząc misy jadła, a kucający na ziemi mężczyźni podnosili głowy i słuchali, nie przerywając jedzenia. Noc wibrowała pieśnią triumfu, kolejne strofy przetaczały się żałośnie i żarliwie niczym myśli pustelnika. Uciszył ją gestem: „Dość!”. W dali odezwała się sowa, rozkoszując się głęboką czernią gęstego listowia; nad głowami, w palmowej strzesze, z cichym chrobotem przebiegały jaszczurki, suche liście dachu szeleściły; hałas zmieszanych głosów wzmógł się nagle. Omiótłszy wszystko wokół zdumionym wzrokiem, jak człowiek raptownie obudzony w poczuciu niebezpieczeństwa, rzucał się w tył, by pod opieką starego czarownika,

z szeroko otwartymi oczyma, podejmować delikatną nić snu. Przyglądali się jego nastrojom, wzbierający hałas ożywionych głosów znikał niczym fala na pochyłym morskim brzegu. Wódz się zadumał. A ponad pełzającym szmerem ściszonych rozmów słychać było tylko szczęk broni, pojedyncze głośniejsze słowo, wyraźne i samotne, lub głęboki brzęk wielkiej mosiężnej tacy.

## III

Przez dwa lata co jakiś czas składaliśmy mu wizytę. Polubiliśmy go, zaczęliśmy mu ufać, niemal go podziwiać. Knuł i planował wojnę cierpliwie, przewidująco – wierny swej sprawie i niezłomny w dążeniu, choć sądziłem, że rasowo jest do tego niezdolny. Wydawało się, że w przyszłość patrzy bez strachu, a jego plany miały w sobie roztropność, którą ograniczała jedynie jego całkowita niewiedza na temat reszty świata. Staraliśmy się go oświecić, ale nasze wysiłki, by wyjaśnić mu przemożną naturę sił, które chciał powstrzymać, nie były w stanie osłabić jego zapału, by wymierzyć im cios w imię własnych, pierwotnych koncepcji. Nie rozumiał tego, co mówimy, i w odpowiedzi wysuwał argumenty, które doprowadzały nas niemal do rozpaczy dziecięcą przemyślnością. Był niedorzeczny i niereformowalny. Czasami dostrzegaliśmy przebłyski ponurej, żarzącej się w nim wściekłości – złowieszcze, niejasne poczucie krzywdy i wzmożone pragnienie przemocy, które jest niebezpieczne u tubylców. Wściekał się jakby w szaleństwie. Raz, kiedyśmy rozmawiali z nim w jego kampongu, podskoczył nagle. W zagajniku płonęło wielkie, jasne ognisko; między drzewami tańczyły blaski i cienie; nietoperze przecinały spokojną noc niczym trzepoczące płaty głębszej ciemności. Karain wyrwał staremu miecz, wyszarpnął go z pochwy i wbił czubkiem w ziemię. Srebrna rękojeść na cienkiej, pionowej klindze, nagle uwolnionej, zatańczyła przed nim jak żywe stworzenie. Cofnął się o krok i głuchym tonem przemówił do rozedrganej stali:

– Jeżeli w ogniu, w żelazie, w ręce, która cię wykuła, w słowach, które nad tobą wypowiedziano, w pragnieniu mojego serca i w mądrości twoich twórców istnieje cnota, to razem odniesiemy zwycięstwo!

Wyszarpnął miecz z ziemi i przyjrzał się ostrzu.

– Weź – rzucił przez ramię staremu dzierżycielowi miecza. Tamten, nieporuszony, siedząc w kucki, przetarł czubek miecza sarongiem, umieścił broń na powrót w pochwie i siedział, trzymając ją na kolanach, nawet nie podniósłszy oczu. Karain, teraz nagle całkiem spokojny, z pełną godnością powrócił na tron. Po tym wydarzeniu zaprzestaliśmy prób dyskusji i pozwoliliśmy mu podążać własną drogą ku szlachetnej klęsce. Wszystko, co mogliśmy dla niego zrobić, to starać się, żeby proch, który od nas kupował, był wysokiej jakości, a strzelby sprawne, choć stare.

Cała ta zabawa robiła się jednak zbyt niebezpieczna i jeśli nawet my, którzyśmy byli z niebezpieczeństwem dobrze oswojeni, nie myśleliśmy zbyt wiele o ryzyku, to jacyś dostojni ludzie, siedzący sobie bezpiecznie w biurach rachuby, zdecydowali za nas, że jest ono zbyt wielkie i że odbędzie się jeszcze tylko jedna wyprawa. Wielokrotnie, jak to mieliśmy w zwyczaju, zmyliwszy tropy co do kierunku, w którym się udajemy, wymknęliśmy się potajemnie, żeby bardzo sprawnie dotrzeć do zatoki. Był wczesny ranek, kotwica jeszcze nie dotknęła dna, a statek z każdej strony natychmiast otoczyły łodzie.

Pierwsza rzecz, jakiej się dowiedzieliśmy, była taka, że od paru dni nie żyje tajemniczy dzierżyciel miecza Karaina. Nie przykładaliśmy do tej wiadomości zbyt wielkiej wagi. Rzeczywiście, trudno było wyobrazić sobie władcę bez nieodstępującego go na krok towarzysza, ale to był stary człowiek, nigdy z żadnym z nas nie zamienił słowa, w zasadzie nie słyszeliśmy nawet jego głosu; i przyzwyczailiśmy się traktować go jak przedmiot nieożywiony, część ceremonialnego stroju Karaina – tak samo jak ten miecz, który dźwigał, czy jak czerwony parasol z frędzlami, rozkładany nad radżą podczas oficjalnych pochodów. Tego popołudnia Karain nie złożył nam zwyczajowej wizyty. Pozdrowienia oraz dar z warzyw i owoców dotarły do nas przed wieczorem. Nasz przyjaciel płacił

nam jak bankier, ale podejmował nas jak książę. Siedzieliśmy, czekając na niego do północy. Brodaty Jackson brzdąkał pod budką sterową na gitarze i ze strasznym akcentem śpiewał hiszpańskie pieśni miłosne; tymczasem Hollis i ja rozciągnięci na pokładzie przy świetle przenośnej latarni graliśmy w szachy. Karain się nie pojawił. Następnego dnia zajęliśmy się rozładunkiem, ale usłyszeliśmy, że radża jest niezdrów. Nie nadeszło też oczekiwane zaproszenie, byśmy odwiedzili go na lądzie. Przesłaliśmy mu przyjazne wiadomości, ale nie chcąc przeszkadzać w jakichś tajnych naradach, pozostaliśmy na pokładzie. Trzeciego dnia wcześnie rano rozładowaliśmy wszystko: proch i strzelby, a także sześciofuntową armatę wraz z lawetą, na którą złożyliśmy się w prezencie dla naszego przyjaciela. Popołudnie było duszne. Postrzępione brzegi czarnych chmur wyglądały zza wzgórz, a niewidoczne burze krążyły wkoło niby ryczące dzikie bestie. Przygotowaliśmy szkuner do drogi, zamierzając wypłynąć następnego ranka o brzasku. Przez cały dzień bezlitosne słońce, ostre i blade, jakby rozgrzane do białości, rozpalało zatokę ogniem. Na lądzie nie było znać żadnego ruchu. Plaża pusta, wioski jak wymarłe, odległe drzewa stały nieporuszonymi grupkami, jak namalowane; biały dym znad jakiegoś niewidocznego ognia w buszu kładł się nisko nad wybrzeżem zatoki niczym osiadająca mgła. Pod koniec dnia trzech ludzi Karaina, odzianych w najlepsze ceremonialne stroje i uzbrojonych po zęby, przypłynęło łodzią ze skrzynką dolarów. Byli ponurzy i ospali, oświadczyli, że od pięciu dni nie widzieli swojego radży. Nikt go nie widział! Rozliczyliśmy się dokładnie, a oni w głębokim milczeniu, uścisnąwszy nam kolejno dłonie, jeden po drugim zeszli do łodzi, którą wioślarze skierowali ku brzegowi; siedzieli w niej ciasno zbici, odziani w jaskrawe kolory, zwiesiwszy głowy: kiedy się oddalali po gładkiej tafli wody, złote hafty na ich kaftanach błyskały, a żaden z nich nie odwrócił się, by choć raz spojrzeć w naszym kierunku. Przed zachodem słońca pomrukujące chmury nagłym podmuchem przesadziły grzbiet gór i z łoskotem zwaliły się na wewnętrzne zbocza. Wszystko znikło; zatokę wypełniły czarne wiry oparów, a wśród nich nagłe podmuchy wiatru szarpały szkunerem to w jedną, to w drugą

stronę. Jeden grzmot wybuchł w tej pustce z siłą, która, jak się zdawało, mogłaby potrzaskać wzniesiony okrąg lądu w drobny mak, i rozpoczęła się ciepła ulewa. Wiatr zamarł. Dyszeliśmy w zamkniętej kajucie, twarze mieliśmy zlane potem; na zewnątrz zatoka jakby wrzała; woda spadała pionowo strugami ciężkimi jak ołów; chlastała pokład, spływała z masztów, gulgotała, łkała, plaskała, szurgotała pośród ślepej nocy. Lampa ledwo pełgała. Hollis, rozebrany do pasa, leżał z zamkniętymi oczyma rozciągnięty na bakistach, nieruchomy niczym nagi trup. U jego głowy Johnson brzdąkał na gitarze i wyrzucał z siebie westchnienia smutnej piosnki o nieszczęśliwej miłości i oczach niczym gwiazdy. Wtedy z pokładu doszły nas zdumione głosy w deszczu, nad głowami usłyszeliśmy pospieszne kroki i nagle w drzwiach kajuty pojawił się Karain. Nagi tors i twarz lśniły w świetle; przemoczony sarong przylgnął mu do nóg; w lewej ręce trzymał osłonięty kris, a mokre pasma włosów wysunęły się spod czerwonej chusty i zasłaniały mu oczy i policzki. Wszedł pospiesznym krokiem i obejrzał się za siebie jak człowiek, którego ktoś goni. Hollis natychmiast obrócił się na bok i otwarł oczy. Jackson wielką dłonią zakrył struny i dźwięki raptownie ustały. Ja się podniosłem.

– Nie słyszeliśmy wezwania z waszej łodzi! – wykrzyknąłem.

– Z łodzi! Przecież on przypłynął wpław! – śpiewnie odezwał się Hollis ze swojej bakisty. – Tylko na niego popatrzcie!

Karain ciężko dyszał, wzrok miał błędny, kiedyśmy się mu przypatrywali w milczeniu. Woda kapała z niego, tworząc ciemną kałużę, i krzywymi strużkami rozlewała się po podłodze kajuty. Słyszeliśmy Jacksona, który wyszedł odgonić od wejścia do luku naszych malajskich marynarzy; w plusku ulewy klął na czym świat stoi, na pokładzie trwało wielkie poruszenie. Wartownicy, których śmiertelnie przeraziła cienista postać przeskakująca przez relingi jakby wprost z nocnej ciemności, poderwali wszystkich majtków.

Jackson, z brodą błyszczącą od kropel wody, rozeźlony zaraz wrócił do środka, a Hollis, który był najmłodszy z nas, lecz przybierał pozę gnuśnej wyższości, odezwał się, nie wykonując najmniejszego ruchu:

– Dajcie mu suchy sarong, dajcie mu mój. Wisi w łazience.

Karain położył kris na stole rękojeścią do środka i dziwnym głosem wymamrotał parę słów.

– O co chodzi? – zapytał Hollis, który nie dosłyszał.

– Przeprasza, że wszedł z bronią w ręku – powiedziałem oszołomiony.

– Na ceremonie się żebrakowi zebrało. Powiedz mu, że przyjacielowi przebaczamy… i to jeszcze w taką noc – wyśpiewał Hollis. – Co mu się stało?

Karain narzucił suchy sarong przez głowę, opuścił mokry i wyszedł z niego. Wskazałem na drewniany fotel – jego fotel. Usiadł sztywno wyprostowany, mocnym głosem rzekł:

– Ha!

Jego szerokim torsem wstrząsnął krótki dreszcz. Niespokojnie spojrzał przez ramię, zwrócił się do nas, jakby chciał mówić, ale tylko utkwił w przestrzeni dziwne niewidzące spojrzenie, po czym znów się obejrzał. Jackson ryknął:

– Pilnować tam dobrze deku! – Z góry rozległa się niewyraźna odpowiedź, a Jackson wyciągnął nogę i kopnięciem zatrzasnął drzwi kajuty.

– Już w porządku – powiedział.

Usta Karaina lekko się poruszyły. Gwałtowna błyskawica rozświetliła nagle dwa bulaje na wprost niego, tak że rozbłysły jak para okrutnych fosforyzujących oczu. Płomień lampy na chwilę jakby skruszał w brązowy pył, a lustro nad komódką wyskoczyło zza jego pleców gładką taflą sinego blasku. Przetoczył się grom, roztrzaskał nad nami, a jego wielki dźwięk przeraźliwie potoczył się w dal. Przez niecałą minutę o dek wściekle siekł ostry deszcz. Karain wolno przenosił wzrok z twarzy na twarz, a wtedy cisza zrobiła się tak głęboka, że wszyscy słyszeliśmy dwa chronometry w mojej kajucie, tykające jeden przy drugim, w niesłabnącym tempie.

Wszyscy trzej, jakoś dziwnie poruszeni, nie mogliśmy oderwać od niego wzroku. Był nagle enigmatyczny i wzruszający z powodu tej tajemniczej przyczyny, która pchnęła go w noc i burzę, by szukać schronienia w kajucie naszego szkunera. Żaden z nas nie miał wątpliwości, że patrzymy na

uciekiniera, choć zdawało się nam to niewiarygodne. Był wymizerowany, jakby od kilku tygodni nie spał; wychudły, jakby od kilku dni nie jadł. Policzki zapadnięte, oczy podkrążone, mięśnie na piersiach i ramionach drgały jak po wyczerpujących zawodach. Jasne, musiał przepłynąć spory odcinek do szkunera, ale na twarzy malował mu się inny rodzaj zmęczenia, pełne udręki znużenie, wściekłość i strach zmagania z jakąś myślą, z ideą – z czymś, czego nie można zmóc, co nigdy nie ustaje – z cieniem, z niczym, niepokonanym i nieśmiertelnym, co czyha na jego życie. Wiedzieliśmy o tym, jakby nam to wszystko wykrzyczał. Pierś mu się podnosiła raz za razem, jakby się w niej nie mogły pomieścić uderzenia serca. Przez chwilę była w nim siła człowieka opętanego – siła w patrzących wzbudzająca zdumienie, ból, żal i przerażające poczucie bliskości spraw niewidzialnych, ciemnych i niemych, które otaczają samotną ludzkość. Jego wzrok przez jakiś czas wędrował bez celu, potem zastygł. Karain odezwał się z wysiłkiem:

– Przybyłem tu… zeskoczyłem z palisady, jak po klęsce. Pobiegłem w noc. Woda była czarna. Został tam, wołał z brzegu czarnej wody… płynąłem… wołał za mną… płynąłem…

Drżał od stóp do głów, siedząc sztywno i gapiąc się prosto przed siebie. Kogo zostawił na brzegu? Kto go wołał? Nie wiedzieliśmy. Nie mogliśmy tego pojąć. Powiedziałem ostrożnie:

– Bądź dzielny.

Dźwięk mojego głosu unieruchomił go w nagłym skurczu, ale poza tym nie zwrócił na mnie uwagi. Jakby nasłuchiwał, jakby przez chwilę czegoś się spodziewał, a potem mówił dalej:

– On nie może tu dotrzeć, dlatego was szukałem. Was, ludzi o białych twarzach, którzy gardzicie niewidzialnymi głosami. On nie wytrzyma waszej niewiary i waszej siły.

Przez chwilę milczał, po czym wykrzyknął cicho:

– Ach, siła niewierzących!

– Nie ma tu nikogo, tylko ty i nas trzech – powiedział cicho Hollis. Leżał, podpierając głowę na łokciu, i nie poruszył się ani trochę…

– Wiem – odrzekł Karain. – On nigdy tu za mną nie przyszedł. Czy nie miałem zawsze przy sobie czarownika? Ale odkąd umarł stary czarownik, który wiedział o moim kłopocie, co noc słyszę głosy. Zamykam się – na wiele dni – w ciemności. Słyszę żałosne mamrotania kobiet, szept wiatru, płynącej wody; szczęk broni w rękach wiernych ludzi, ich kroki – i jego głos!… Blisko… Tak! W moim uchu! Czułem go przy sobie… jego oddech przebiegł mi po karku. Wyskoczyłem bez okrzyku. Wokół mnie ludzie spali spokojnie. Pobiegłem do morza. Przypłynąłem do was z krisem w zębach. Ja, uzbrojony, uciekłem do was – przed oddechem. Zabierzcie mnie ze sobą do waszego kraju. Stary czarownik umarł, a razem z nim siła jego słów i zaklęć. A ja nie mogę powiedzieć nikomu. Nikomu. Nie ma tu nikogo tak wiernego i tak dobrego, żeby mógł się tego dowiedzieć. Tylko obok was, niewierzących, moja troska rozwiewa się jak mgła pod okiem dnia.

Odwrócił się do mnie.

– Z wami pojadę! – zawołał opanowanym głosem. – Z wami, którzy tak wiele o nas wiecie. Chcę opuścić ten kraj, zostawić mój lud… i jego tutaj!

Trzęsącym się palcem wskazał gdzieś za siebie. Trudno było znieść intensywność tej jawnej rozpaczy. Hollis wbił w niego wzrok. Ja zapytałem łagodnie:

– Gdzie jest niebezpieczeństwo?

– Wszędzie, tylko nie tu – odpowiedział żałośnie. – Wszędzie, gdzie jestem. Czeka na mnie na ścieżkach, pod drzewami, tam gdzie śpię; wszędzie, tylko nie tu.

Rozejrzał się po niewielkiej kajucie, spojrzał na malowane belki, zmatowiały lakier na grodziach. Rozejrzał się jakby z błaganiem ku tej nędznej obcości, tej bezładnej mieszaninie nieznanych przedmiotów należących do niepojętego życia presji, władzy, dążenia, niewiary – tego silnego życia białych ludzi, które toczy się niepowstrzymanie i twardo tuż za krawędzią zewnętrznej ciemności. Wyciągnął ramiona, jakby chciał objąć kajutę i nas. Czekaliśmy. Wiatr i deszcz ustał, a cisza wokół szkunera była tak głucha i kompletna, jak gdyby martwy świat spoczął właśnie w grobie z chmur. Czekaliśmy, aż Karain coś powie. Pod wewnętrznym

przymusem słowa cisnęły mu się na usta. Są tacy, którzy twierdzą, że tubylec nie będzie mówił do białego. Błąd. Żaden z nich nie przemówi do swojego pana, ale do wędrowca albo do przyjaciela, do tego, kto nie przychodzi, by nauczać lub rządzić, do tego, kto o nic nie prosi i przyjmuje wszystko, do tego słowa popłyną przy ognisku, w morskiej samotności, w nadrzecznych wioskach, na otoczonych lasem popasach – popłyną słowa, które nie zważają na rasę czy kolor. Jedno serce mówi – drugie słucha, a ziemia, morze, niebo, wędrowny wiatr i poruszony liść także wsłuchują się w daremną opowieść o brzemieniu życia.

W końcu przemówił. Nie sposób oddać wrażenia, jakie ta opowieść zrobiła. Trwa ona nadal, ale jest nie więcej niż wspomnieniem, a jej wyrazistości nie da się przekazać innemu umysłowi, podobnie jak nie da się przekazać wyrazistych emocji snu. Trzeba było widzieć nieskończony splendor Karaina, trzeba było znać go dawniej – wtedy na niego patrzeć. Drżący mrok niewielkiej kajuty; bezduszna cisza na zewnątrz, w której słychać było tylko pluskanie wody o burty szkunera; blada twarz Hollisa, jego ciemne spokojne oczy; energiczna głowa Jacksona między dwiema wielkimi dłońmi i długie żółte włosy jego brody na strunach leżącej na stole gitary; wyprężona i nieruchoma sylwetka Karaina, jego ton – wszystko to stwarzało niezapomniany efekt. Stał naprzeciw nas, po drugiej stronie stołu. Ciemna głowa i brązowy tors majaczyły nad wytartym drewnianym blatem, połyskliwe i nieruchome, jakby odlane z metalu. Tylko wargi się poruszały i połyskiwały oczy, gasły, znów się rozświetlały lub wpatrywały ponuro przed siebie. Wyraz twarzy odbijał stan jego udręczonego serca. Słowa brzmiały cicho, smutnym murmurando, niczym płynąca woda; czasami dźwięczały jak uderzenie w bojowy gong albo ciągnęły się z wolna jak umęczeni wędrowcy, a potem znów ruszały naprzód z prędkością przerażenia.

## IV

Oto, w niedoskonałym ujęciu, co nam opowiedział:

– Było to po tych wielkich niepokojach, które położyły kres jedności czterech państw Wajo. Walczyliśmy ze sobą, a Holendrzy czekali z dala, aż się zmęczymy. Wtedy dym ich statków ogniowych pokazał się przy ujściu naszych rzek i wielcy ludzie przybyli łodziami pełnymi żołnierzy, żeby rozmawiać z nami o ochronie i pokoju. Odpowiadaliśmy czujnie i z namysłem, bo wioski nasze były spalone, palisady słabe, ludzie znużeni, a broń tępa. Przybyli i odeszli; było wiele gadania, ale gdy odeszli, wydawało się, że wszystko jest po staremu, tyle że ich statki stały w zasięgu wzroku u naszych wybrzeży i bardzo szybko pojawili się wśród nas ich kupcy, którym obiecano bezpieczeństwo. Mój brat był władcą, jednym z tych, którzy złożyli obietnicę. Ja byłem wtedy młody, walczyłem już na wojnie, a Pata Matara walczył u mego boku. Razem zaznaliśmy głodu, strachu, zmęczenia i zwycięstwa. Jego oczy bystro dostrzegały chwile, kiedym znajdował się w niebezpieczeństwie, a moje ramię dwukrotnie uratowało mu życie. Był moim przyjacielem. I był z nas największy – jeden z tych, co stali blisko mojego brata, władcy. Przemawiał na zgromadzeniu, wielka była jego odwaga, rządził licznymi wioskami wokół ogromnego jeziora położonego w samym środku naszego kraju, jak serce w środku ciała człowieka. Kiedy do kampungu wnoszono jego miecz, co było zapowiedzią jego przybycia, dziewczęta pod drzewami owocowymi szeptały zadziwione, bogacze naradzali się w cieniu i szykowano ucztę z zabawą i śpiewami. Cieszył się łaskawością władcy i miłością biednych. Kochał wojnę, polowanie na antylopy i uroki kobiet. Miał klejnoty, szczęśliwą broń i oddanie ludzi. Był człowiekiem gwałtownym, a ja nie miałem innego przyjaciela.

Byłem dowódcą na palisadzie przy ujściu rzeki i zbierałem dla mojego brata myto od przepływających łodzi. Pewnego dnia zobaczyłem, że w górę rzeki płynie Holender. Miał trzy łodzie, ale nie pobierałem od niego opłaty, bo dym holenderskich statków unosił się nad otwartym morzem, a my byliśmy zbyt słabi, by zapomnieć o traktatach. Holendrowi obiecano bezpieczeństwo, mój brat miał mu je zapewnić. Powiedział, że podróżuje w interesach. Słuchał naszych głosów, bo jesteśmy ludźmi, którzy mówią

głośno i bez strachu; policzył nasze włócznie, obejrzał drzewa, płynącą wodę, trawy na brzegu, zbocza naszych wzgórz. Popłynął do krainy Matary i uzyskał zgodę na budowę domu. Handlował i uprawiał ziemię. Pogardzał naszymi radościami, myślami i smutkami. Twarz miał czerwoną, włosy jak płomień, oczy blade jak nadrzeczna mgła; poruszał się ociężale, mówił grubym głosem, śmiał się jak szaleniec, nie znał uprzejmości w mowie. Był to duży, pogardliwy człowiek, który patrzył kobietom w twarz i klepał wolnych ludzi po ramieniu, zupełnie jakby był szlachetnie urodzonym wodzem. Znosiliśmy go. Czas płynął.

Potem siostra Pata Matary uciekła z kampungu i przeniosła się do domu Holendra. To była wielka i uparta pani: widziałem kiedyś, jak niewolnicy nieśli ją wysoko na ramionach, między ludźmi, z odsłoniętą twarzą, a wcześniej już słyszałem, jak ludzie mówią, że jej piękno jest niezwykłe, że ucisza rozum i zniewala tych, którzy na nią patrzą. Ludzie byli niespokojni, a twarz Matary pociemniała ze wstydu, bo przecież ona wiedziała o tym, że już była obiecana innemu mężczyźnie. Matara poszedł do domu Holendra i powiedział: „Wydaj ją na śmierć – ona jest córką wodzów”. Biały odmówił i zamknął się w domu, a jego służba dniem i nocą trzymała wartę pod bronią. Matara szalał z wściekłości. Mój brat zwołał radę. Ale statki Holendrów stały niedaleko i łakomie obserwowały wybrzeże. Mój brat powiedział: „Jeśli on teraz umrze, nasza ziemia zapłaci za jego krew. Zostawcie go w spokoju, dopóki się nie wzmocnimy, a te statki nie odpłyną”. Matara był mądry, czekał i patrzył. Ale biały bał się o życie i wyjechał.

Zostawił dom, plantacje, wszystkie swoje towary! Odjechał uzbrojony, złorzecząc, ale wszystko zostawił – dla niej! Zniewoliła jego serce! Z palisady widziałem, jak wielką łodzią rusza ku morzu. Razem z Matarą patrzyliśmy z platformy bojowej zza zaostrzonych pali. Siedział – nogi skrzyżowane, strzelba w ręce – na dachu na rufie swojego prau. Lufa połyskiwała ukosem tuż przed jego wielką czerwoną twarzą. Pod nim rozciągała się szeroka rzeka – płaska, gładka, lśniąca, niczym srebrna

płachta; a jego łódź, taka krótka i czarna, kiedy patrzyło się na nią z brzegu, sunęła po tej srebrnej połaci i dalej, ku błękitowi morza.

Stojąc przy mym boku, Matara trzykrotnie zawołał głośno jej imię: z bólem i przekleństwem. Poruszył me serce. Trzykrotnie podskoczyło we mnie i trzykrotnie okiem duszy dojrzałem w ciemnościach zamkniętej przestrzeni prau kobietę o rozwianych włosach, która porzuca swój kraj i swoich ludzi. Byłem zły – byłem zasmucony. Dlaczego? Wtedy i ja wykrzykiwałem przekleństwa i groźby. Matara rzekł: „Teraz, kiedy opuścili naszą ziemię, ich życie należy do mnie. Pójdę za nimi i uderzę – i sam zapłacę cenę krwi”. Silny wiatr niósł się ku słońcu zachodzącemu ponad pustą rzeką. Zawołałem: „Przy twym boku i ja pójdę!”. Skłonił głowę na znak zgody. To był jego los. Słońce zaszło, a konary drzew nad naszymi głowami poruszały się z wielkim szumem.

Trzeciej nocy we dwóch w kupieckim prau opuściliśmy nasz kraj.

Morze wyszło nam na spotkanie – morze szerokie, bez drogi i bez głosu. Łódź żaglowa nie zostawia śladu. Popłynęliśmy na południe. Była pełnia i spoglądając w górę, powiedzieliśmy sobie: „Kiedy kolejny księżyc tak samo zabłyśnie, powrócimy, a oni będą martwi”. To było piętnaście lat temu. Wiele księżyców zabłysło pełnią i przepadło, a ja od tego czasu nie zobaczyłem swojego kraju. Pożeglowaliśmy na południe; wyminęliśmy wiele łodzi; penetrowaliśmy strumienie i zatoki; zobaczyliśmy koniec naszego wybrzeża, naszej wyspy – stromy przylądek nad burzliwą cieśniną, gdzie dryfują cienie rozbitych łodzi, a ci, którzy utonęli, nocami podnoszą rwetes. Teraz otaczało nas tylko szerokie morze. Widzieliśmy wielką górę płonącą pośrodku wody; widzieliśmy tysiące wysepek rozrzuconych niczym drobiny żelaza wystrzelone z wielkiej armaty; widzieliśmy długi brzeg wzgórz i nizin rozciągający się w słońcu od zachodu do wschodu. To była Jawa. Mówiliśmy, że tam są, że ich czas dobiega kresu, a my powrócimy lub zginiemy oczyszczeni z hańby.

Dobiliśmy do brzegu. Czy w tym kraju jest cokolwiek dobrego? Ścieżki biegną prosto, twarde i pyliste. Otoczone żyznymi polami kamienne kampungi pełne są białych twarzy, ale wszyscy, których spotykasz, to

niewolnicy. Władcy żyją pod groźbą obcego miecza. Wspinaliśmy się na wzgórza, przemierzaliśmy doliny, o zmierzchu wchodziliśmy do wiosek. Pytaliśmy wszystkich: „Widzieliście takiego białego?”. Niektórzy się na nas gapili, inni się śmiali, kobiety dawały nam jeść, czasami i ze strachem, i z szacunkiem, jakbyśmy byli nawiedzeni przez Boga. Ale niektórzy nie rozumieli naszego języka, przeklinali nas albo ziewając z pogardą, pytali o powody naszych poszukiwań. Raz, kiedyśmy odchodzili, jakiś stary człowiek zawołał za nami: „Dajcie spokój!”.

Wędrowaliśmy dalej. Ukrywając broń, pokornie schodziliśmy z drogi przed jeźdźcem; kłanialiśmy się nisko na dziedzińcach wodzów, którzy nie lepsi byli od niewolników. Gubiliśmy się w polach, w dżungli. Pewnej nocy wśród gęstego lasu znaleźliśmy miejsce, gdzie stare pokruszone mury rozpadły się wśród drzew; wydawało się nam, że dziwne kamienne bożki – rzeźbione wizerunki diabłów o wielu ramionach i nogach, o ciałach oplecionych wężami, o dwudziestu głowach, trzymające setkę mieczy – ożyły i wystąpiły przeciwko nam przy świetle naszego ogniska. Nic nas nie napawało niepokojem. A na drodze, przy każdym ogniu, na popasach, zawsze mówiliśmy o niej i o nim. Ich czas był bliski. Nie rozmawialiśmy o niczym innym. Nie! Ani o głodzie, ani o pragnieniu, zmęczeniu i słabnących sercach. Nie! Rozmawialiśmy o nim i o niej! O niej! I myśleliśmy o nich – o niej! Matara dumał przy ogniu. Ja siedziałem, myśląc i myśląc, aż nagle znów dostrzegałem obraz kobiety, pięknej i młodej, i wielkiej, i dumnej, i czułej, która porzuca swój kraj i swoich ludzi. Matara rzekł: „Kiedy ich znajdziemy, najpierw zabijemy ją, żeby zmyć hańbę, a potem ten człowiek musi umrzeć”. Ja mówiłem wtedy: „Tak będzie, to twoja zemsta”. A on wpatrywał się we mnie swoimi wielkimi, zapadłymi oczyma.

Wróciliśmy na wybrzeże. Stopy mieliśmy pokrwawione, ciała wychudłe. Zasypialiśmy w cieniu kamiennych płotów; brudni i wynędzniali kręciliśmy się przy bramach prowadzących na dziedzińce białych ludzi. Szczekały na nas ich kudłate psy, służący krzyczeli z daleka: „Wynoście się!”. Nisko urodzeni nędznicy, siedzący w licznych kampongach, pytali nas, cośmy za

jedni. Kłamaliśmy, kuliliśmy się, a w sercach uśmiechaliśmy się z nienawiścią i nie przestawaliśmy rozglądać się to tu, to tam – za nimi, za białym człowiekiem o włosach jak płomień i za nią, za kobietą, która sprzeniewierzyła się wierze i dlatego musi umrzeć. Patrzyliśmy. W końcu w twarzy każdej kobiety widziałem jej twarz. Biegliśmy żwawo. Nie! Czasami Matara szeptał: „Tu jest ten człowiek!” – i czekaliśmy przyczajeni. Podchodził. Ale to nie był ten człowiek – ci Holendrzy wszyscy wyglądają jednakowo. Cierpieliśmy mękę, że nas oszukano. We śnie widziałem jej twarz, a wtedy czułem naraz radość i żal… Dlaczego…? Wydawało mi się, że słyszę szept. Odwracałem się natychmiast. Nie było jej! A kiedyśmy wlekli się z wysiłkiem od jednego kamiennego miasta do drugiego, zdawało mi się, że słyszę obok nas lekkie kroki. Przyszedł czas, że nie przestawałem ich słyszeć, i cieszyłem się z tego. Myślałem sobie − gdy zamroczony i wyczerpany chodziłem w blasku słońca po drogach białych ludzi – myślałem sobie: „Ona tu jest! Przy nas!”… Matara był ponury. Częstośmy głodowali.

Sprzedaliśmy rzeźbione pochwy naszych krisów – pochwy z kości słoniowej, ze złotymi pierścieniami. Sprzedaliśmy rękojeści wysadzane drogimi kamieniami. Ale ostrza zostawiliśmy dla niej… Dlaczego? Ona zawsze była przy nas. Głodowaliśmy. Żebraliśmy. W końcu opuściliśmy Jawę.

Udaliśmy się na zachód, udaliśmy się na wschód. Widzieliśmy wiele krain, tłumy obcych twarzy, ludzi, którzy żyją na drzewach, i ludzi, którzy zjadają swoich starców. Za garść ryżu cięliśmy w lasach rattan, dla zarobku czyściliśmy pokłady wielkich statków, wysłuchując padających na nasze głowy przekleństw. Harowaliśmy w wioskach, wędrowaliśmy po morzach z ludźmi Bajow, którzy nie mają swojego kraju. Walczyliśmy dla pieniędzy; wynajmowaliśmy się do roboty u ludzi Goram i zostaliśmy oszukani; na rozkaz groźnych białych twarzy nurkowaliśmy za perłami w jałowych zatokach usianych czarnymi skałami, przy piaszczystym, pustynnym wybrzeżu. A wszędzieśmy się rozglądali, słuchali, dopytywali. Pytaliśmy kupców, rozbójników, białych. Słyszeliśmy szyderstwa, śmiechy,

pogróżki – słowa zdumienia i słowa potępienia. Nie znaliśmy odpoczynku; nie myśleliśmy o domu, bo nie wykonaliśmy swojego zadania. Minął rok, potem drugi. Troszczyłem się o Matarę. On dostawał ostatnią garść ryżu, jeśli wody było dla jednego – on pił; okrywałem go, kiedy drżał od chłodu; a kiedy przyszła nań gorączka, siedziałem przy nim przez wiele nocy i wachlowałem mu twarz. To był zawzięty człowiek i mój przyjaciel. Za dnia mówił o niej z furią, a gdy zapadał zmrok – ze smutkiem; pamiętał o niej w zdrowiu, pamiętał w chorobie. Ja nic nie mówiłem, ale widziałem ją codziennie! Z początku tylko jej głowę, jakby kobietę, która idzie brzegiem rzeki w ścielącej się mgle. Potem siedziała przy ogniu. Widziałem ją! Patrzyłem na nią! Miała czuły wzrok i zniewalającą twarz. Szeptałem do niej nocą. Matara czasem pytał przez sen: „Z kim rozmawiasz? Kto tu jest?”. Odpowiadałem szybko: „Nikt, nikt…”. To było kłamstwo. Ona mnie nie opuszczała. Dzieliła z nami ciepło ognia, siedziała na moim posłaniu z liści, płynęła za mną po morzu… Widziałem ją! Powiadam wam, widziałem, jak jej długie czarne włosy unoszą się za nią, kiedy nagimi ramionami rozgarniała wodę tuż przy naszym śmigłym prau. Była piękna, była wierna, w ciszy obcych krajów przemawiała do mnie szeptem w języku mojego ludu. Nikt jej nie widział, nikt jej nie słyszał, była tylko moja! W blasku dnia rozkołysanym krokiem szła przede mną po znojnych ścieżkach; postać jej była prosta i giętka jak smukły pień drzewa; pięty miała okrągłe i lśniące jak skorupki jajek; toczonym ramieniem dawała mi znaki. Nocami patrzyła mi w twarz. Była smutna! Oczy miała pełne czułości i strachu; głos cichy i błagalny. Raz wyszeptałem do niej: „Nie zginiesz!”, a ona się uśmiechnęła… Od tego czasu zawsze się uśmiechała! Dodawała mi odwagi w wysiłkach i trudach. To były ciężkie czasy, a ona przynosiła mi ukojenie. Wędrowaliśmy, cierpliwi w swych poszukiwaniach. Poznaliśmy oszustwo, fałszywe nadzieje; poznaliśmy niewolę, chorobę, pragnienie, nędzę, rozpacz… Dosyć! Znaleźliśmy ich!…

Wykrzyknął te ostatnie słowa i zamilkł. Twarz miał beznamiętną, trwał bez ruchu, jak człowiek w transie. Hollis usiadł szybko i wsparł się łokciami na stole. Jackson poruszył się gwałtownie i niechcący potrącił

gitarę. Przypadkowe wibracje wypełniły kajutę żałosnym dźwiękiem i z wolna zamarły. Wtedy Karain podjął opowieść. Powściągana gwałtowność jego tonu wznosiła się, jak gdyby głos dochodził z zewnątrz, jak coś niewypowiedzianego a usłyszanego; wypełnił kajutę, a swoim intensywnym, choć stłumionym szeptem otoczył siedzącą bez ruchu postać.

– Byliśmy w drodze do Atjeh, gdzie trwała wojna, ale statek wpadł na łachę i musieliśmy przybić w Delli. Zarobiliśmy nieco pieniędzy i od jakichś handlarzy z Selangore kupiliśmy strzelbę, tylko jedną, którą odpalało się iskrą ze skałki, niósł ją Matara. Wyszliśmy na brzeg. Mieszkało tam wielu białych, hodowali tytoń na zagarniętych równinach i Matara… nieważne. Zobaczył go!… Tego Holendra! W końcu! Podpełzliśmy i przyglądaliśmy się. Dwie noce i jeden dzień. Miał dom – wielki dom na polanie pośrodku pól; wkoło kwiaty i krzewy; między przyciętymi trawnikami wąskie ścieżki z żółtego piasku, grube żywopłoty, żeby nikt się nie zbliżał. Trzeciej nocy przyszliśmy uzbrojeni i położyliśmy się za żywopłotem.

Gęsta rosa jak gdyby przesiąkała przez nasze ciała, ziębiąc nam wnętrzności. Trawa, gałązki, liście, wszystko pokryte kropelkami wody szarzało w świetle księżyca. Matara, skulony w trawie, drżał we śnie. Zęby dzwoniły mi tak głośno, że bałem się, czy ten hałas nie obudzi całej okolicy. W oddali, przy domu białego człowieka strażnik uderzał w drewnianą kołatkę i nawoływał w ciemności. A ja, tak jak każdej nocy, widziałem ją przy sobie. Nie uśmiechała się! W mojej piersi płonął ogień cierpienia, a ona szeptała do mnie ze współczuciem, z żalem, miękko – jak potrafią kobiety; koiła ból mego umysłu; pochyliła nade mną twarz – twarz kobiety, która oczarowuje serca i usypia umysły mężczyzn. Cała była moja, nikt inny jej nie widział – żaden człowiek na ziemi! Gwiazdy przeświecały przez jej łono, przez jej rozwiane włosy. Ogarnął mnie żal, czułość, smutek. Matara spał… Czy i ja zasnąłem? Matara chwycił mnie za ramię i potrząsnął, a słoneczny żar suszył trawy, krzewy, liście. Był już dzień. Strzępy białej mgły wisiały między gałęziami drzew.

Czy była noc, czy dzień? Znowu niczego nie widziałem, aż z miejsca, gdzie leżał Matara, posłyszałem spieszne dyszenie, a wtedy przed domem zobaczyłem ją. Zobaczyłem ich oboje. Wyszli. Ona siedziała na ławce pod murem, a gałązki obciążone kwiatami pięły się nad jej głową, pochylały ku jej włosom. Na kolanach miała pudełko i zaglądała do niego, przeliczając, ile pereł jej przybyło. Holender stał obok i przyglądał się; patrzył na nią z uśmiechem; błyskały białe zęby; zarost nad jego wargą wyglądał jak dwa skręcone płomienie. Był duży, gruby, radosny, nie czuł strachu. Matara sypnął świeżego prochu z zagłębienia dłoni, poskrobał paznokciem kciuka skałkę i podał mi strzelbę. Podał ją mi! Wziąłem ją… o losie!

Leżąc na brzuchu, wyszeptał mi do ucha: „Podpełznę blisko i rzucę się… niech ona umrze z mojej ręki. A ty celuj w tę tłustą świnię. Niech zobaczy, jak ścieram swój wstyd z oblicza ziemi, a potem… jesteś moim przyjacielem – zabij pewnym strzałem”. Nic nie powiedziałem, w piersiach zabrakło mi powietrza – na całym świecie zabrakło powietrza. Matara nagle zniknął. Trawa się skłoniła. Potem zaszeleścił krzew. Ona podniosła głowę.

Widziałem ją! Pocieszycielkę mych bezsennych nocy, utrudzonych dni, towarzyszkę trudnych lat! Widziałem ją! Patrzyła wprost tam, gdzie się chowałem. Była przede mną taka, jaką widziałem ją przez lata – wierna wędrowniczka, idąca przy mym boku. Spojrzała smutnymi oczyma, usta się uśmiechały; spojrzała na mnie… Uśmiech na ustach! Obiecałem jej, że nie zginie!

Była w oddali, lecz czułem ją przy sobie. Jej dotyk mnie pieścił, jej głos mi szeptał, był nade mną, wokół mnie. „Kto będzie ci towarzyszył? Kto cię pocieszy, jeśli zginę?” Dostrzegłem, że kwiecista gęstwina obok niej poruszyła się lekko… Matara był gotów… Zawołałem głośno: „Wracaj!”.

Podskoczyła na równe nogi, pudełko upadło, perły rozsypały się u jej stóp. Holender, stojący przy niej w blasku słońca, potoczył wkoło groźnym wzrokiem. Strzelba powędrowała do mego ramienia. Klęczałem nieruchomo – bardziej niż drzewa, niż skały, niż góry. Ale przed nieruchomą długą lufą pola, dom, ziemia, niebo kołysały się tam i z powrotem jak leśne cienie w wietrzny dzień. Matara wypadł z zarośli, przed nim płatki

potarganych kwiatów wirowały ku górze, jakby unosiła je burza. Usłyszałem jej krzyk, zobaczyłem, jak rzuca się z otwartymi ramionami, żeby osłonić białego. Była kobietą z mojego kraju, kobietą szlachetnej krwi. One takie są! Usłyszałem, jak krzyczy z bólu i przerażenia – i wszystko się zatrzymało. Pola, dom, ziemia i niebo stały bez ruchu – kiedy Matara skoczył na nią z podniesionym ramieniem. Pociągnąłem za spust, zobaczyłem iskrę, niczego nie słyszałem; dym uderzył mi w twarz, a wtedy ujrzałem, jak Matara wali się głową do przodu i z rozciągniętymi ramionami pada tuż przed nią. Ha! Pewny strzał! Słońce na moim grzbiecie było zimniejsze niż woda w strumieniu. Pewny strzał! Tych dwoje stało nad martwym człowiekiem, jakby ich kto zaklął. Zawołałem do niej: „Żyj i pamiętaj!”. A potem na jakiś czas zapadłem w lodowatą ciemność.

Za mną rozległy się krzyki, odgłos wielu biegnących stóp; otoczyli mnie obcy ludzie, ciągnęli mnie, podtrzymywali… Stanąłem przed wielkim Holendrem: gapił się, jakby mu rozum odebrało. Chciał wiedzieć, mówił szybko, mówił o wdzięczności, proponował mi jedzenie, dach nad głową, złoto – zadawał mnóstwo pytań. Zaśmiałem mu się w twarz i powiedziałem: „Jestem Korinchi, przywędrowałem z Perak aż tutaj i nic nie wiem o tym zabitym. Przechodziłem ścieżką, usłyszałem strzał, a wasi bezmyślni ludzie rzucili się i mnie tu przywlekli”. Uniósł dłonie, dziwił się, nie mógł uwierzyć, nie mógł zrozumieć, wykrzykiwał coś w swoim języku. Ona zarzuciła mu ręce na szyję i znad jego ramienia patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma. Uśmiechnąłem się, spoglądając na nią; uśmiechałem się, czekając na dźwięk jej głosu. Biały nagle zapytał ją: „Znasz go?”. Słuchałem – całe moje życie było w uszach. Popatrzyła na mnie długo, popatrzyła bez mrugnięcia okiem i głośno powiedziała: „Nie! Nigdy go nie widziałam…”.

Co? Nigdy? Czy już zapomniała? Czy to możliwe? Już zapomniała – po tylu latach – po tylu latach wspólnej wędrówki, towarzyszenia mi, trosk, czułych słów! Już zapomniała!… Wyrwałem się z rąk, które mnie przytrzymywały, i odszedłem bez słowa… Puścili mnie.

Byłem znużony. Czy spałem? Nie wiem. Pamiętam, że szedłem szerokim gościńcem pod przejrzystym niebem, a ten obcy kraj zdawał się tak wielki, pola ryżowe tak rozległe, że kiedy się rozglądałem, w głowie mi falowało ze strachu przed tą przestrzenią. Wtedy zobaczyłem las. Ciążyło mi radosne światło gwiazd. Skręciłem w bok ze ścieżki i wszedłem w las, ponury i bardzo smutny.

## V

Głos Karaina cichł coraz bardziej, jakby się od nas oddalał, aż ostatnie słowa zabrzmiały cichuteńko, lecz wyraźnie, jak gdyby wykrzyczane w spokojny dzień z wielkiej odległości. Nie poruszył się. Jego spojrzenie utkwiło nieruchomo ponad głową Willisa, który siedział naprzeciw niego, tak samo znieruchomiały. Jackson odwrócił się i podparłszy łokciem o blat, zakrył oczy dłonią. Ja patrzyłem na Karaina, zdumiony i poruszony. Patrzyłem na tego człowieka, wiernego swej wizji, zdradzonego przez swoje marzenie, wzgardzonego przez swoje złudzenia, przychodzącego po pomoc do nas, niewiernych – wbrew rozumowi. Cisza była głęboka, zdawała się jednak przepełniona bezgłośnymi zjawami spraw smutnych, cienistych i niemych, w których obecności pewne, stateczne uderzenia dwu pokładowych chronometrów, miarowo odmierzających sekundy czasu z Greenwich, niosły jakby ochronę i ulgę. Karain patrzył przed siebie kamiennym wzrokiem, a ja, przyglądając się tej nieruchomej sylwetce, myślałem o jego wędrówkach, o mrocznej, mściwej odysei, o wszystkich ludziach, którzy wędrują wśród złudzeń; o złudzeniach niespokojnych jak ludzie; o złudzeniach wiernych, niewiernych; o złudzeniach przynoszących radość i przynoszących smutek, ból, pokój; o niezniszczalnych złudzeniach, dzięki którym życie i śmierć jawią się spokojne, przejmujące, dręczące lub podłe.

Rozległ się szept; ten głos z zewnątrz płynął jakby ze świata snów ku blaskowi lampy w kajucie. Karain mówił:

– Żyłem w lesie.

Ona już nigdy nie przyszła. Nigdy! Ani razu! Żyłem sam. Nie chciałem jej. Nie chciałem nikogo. Znalazłem na jakiejś polanie opuszczony dom. Nikt się tam nie kręcił. Czasami słyszałem głosy ludzi przechodzących ścieżką. Spałem, odpoczywałem. Miałem dziki ryż, wodę ze strumienia i spokój! Co noc siedziałem przed chatą przy niewielkim ognisku. Wiele nocy przeminęło nade mną.

Aż pewnego wieczoru, gdy po posiłku wpatrzony w ziemię siedziałem przy ogniu, zacząłem wspominać swoją wędrówkę. Podniosłem głowę. Nie usłyszałem niczego, żadnego szmeru czy kroków, ale podniosłem głowę. Przez polankę szedł w moją stronę jakiś człowiek. Czekałem. Podszedł bez pozdrowienia i przykucnął przy ogniu. Odwrócił się ku mnie. To był Matara. Patrzył na mnie straszliwie swoimi wielkimi, zapadłymi oczyma. Noc była zimna, żar ognia nagle uleciał, a on patrzył na mnie. Podniosłem się i odszedłem, zostawiając go przy ognisku, które nie dawało ciepła.

Szedłem całą noc i cały dzień, a wieczorem rozpaliłem wielkie ognisko, usiadłem i czekałem na niego. Ale nie podszedł do światła. Słyszałem go w zaroślach, to tu, to tam: szeptał, szeptał. W końcu zrozumiałem co – słyszałem już wcześniej te słowa: „Jesteś moim przyjacielem. Zabij pewnym strzałem”.

Wytrzymałem to, ile mogłem, aż rzuciłem się przed siebie – tak jak dzisiaj skoczyłem z palisady, żeby do was przypłynąć. Biegłem – biegłem, płacząc jak dziecko, które samo znalazło się z dala od domu. On biegł ze mną, bez kroków, szepcąc, szepcąc – niewidziany, ale słyszalny. Szukałem ludzi – chciałem mieć przy sobie innych ludzi. Ludzi, którzy nie umarli. I znowu wędrowaliśmy we dwóch. Szukałem niebezpieczeństwa, gwałtu, śmierci. Walczyłem w wojnie Atjehów, a dzielny lud pytał, skąd takie męstwo u obcego. Ale nas było dwóch, on mnie osłaniał od ciosów… dlaczego? Ja chciałem spokoju, nie życia. Nikt go nie widział, nikt o nim nie wiedział – nie śmiałem nikomu powiedzieć. Czasami mnie opuszczał, ale nie na długo, potem wracał i szeptał lub patrzył. Serce rozrywał mi dziwny strach, ale nie mogłem umrzeć. Wtedy spotkałem starego.

Znacie go wszyscy. Ludzie nazwali go moim czarownikiem, sługą, dzierżycielem miecza. Ale dla mnie stał się ojcem, matką, ochroną, ucieczką i spokojem. Kiedy go poznałem, wracał z pielgrzymki, usłyszałem, jak o zachodzie słońca intonuje modlitwę. Poszedł do świętego miejsca z synem, jego żoną i ich małym dzieckiem, ale gdy powracali, zrządzeniem najwyższego wszyscy pomarli: silny mężczyzna, młoda matka i maleństwo – umarli; stary sam dotarł do swego kraju. Był pielgrzymem pogodnym i spokojnym, bardzo mądrym i bardzo samotnym. Opowiedziałem mu wszystko. Przez jakiś czas mieszkaliśmy razem. Wypowiadał nade mną słowa współczucia, mądrości, modlitwy. Chronił mnie przed cieniem umarłego. Błagałem go o zaklęcie, które mnie zabezpieczy. Długo odmawiał, ale wreszcie z westchnieniem i uśmiechem dał mi, o co prosiłem. On z pewnością mógł rozkazywać duchom silniejszym niż niepokój mojego umarłego przyjaciela. I znów odzyskałem spokój, ale zrobiłem się niecierpliwy, szukałem zwady i niebezpieczeństwa. Stary nigdy mnie nie opuszczał. Podróżowaliśmy razem. Przyjmowali nas wielcy: jego mądrość i moja siła pozostają w ludzkiej pamięci tam, gdzie waszej mocy, o biali ludzie, już nikt nie pamięta. Służyliśmy sułtanowi Suli. Walczyliśmy z Hiszpanami. Były zwycięstwa, nadzieje, klęski, smutki, krew, kobiece łzy… po co? Uciekliśmy. Zebraliśmy włóczęgów wojennej rasy i przybyliśmy tutaj, żeby znowu walczyć. Resztę wiecie. Jestem władcą podbitego kraju, miłośnikiem wojny i niebezpieczeństwa, wojownikiem, spiskowcem. Ale stary odszedł i znów stałem się niewolnikiem umarłego. Nie ma go tu teraz, by odgonić pełną wyrzutów zjawę – uciszyć nieżywy głos! Siła jego zaklęcia umarła wraz z nim. A ja znów czuję strach i słyszę ten szept: „Zabij! zabij! zabij” – czy nie dość już zabijałem…?

Pierwszy raz tego wieczoru po twarzy przybiegł mu nagły skurcz szaleństwa i wściekłości. Rozchwiany wzrok wystrzeliwał to tu, to tam, niby przerażone ptaki w czasie burzy. Podskoczył z krzykiem.

– Na duchy, które piją krew, na duchy, które krzyczą w nocy, na wszystkie duchy wściekłości, nieszczęścia i śmierci przysięgam, że

któregoś dnia uderzę w każde napotkane serce… że…

Wyglądał tak groźnie, że wszyscy trzej skoczyliśmy na równe nogi, a Hollis wierzchem dłoni zmiótł jego kris ze stołu. Zdaje mi się, żeśmy krzyczeli wszyscy naraz. To był tylko moment przestrachu, bo już za chwilę Karain znów siedział spokojnie na krześle, a trzech białych stało nad nim w dość dziwacznych pozach. Zawstydziliśmy się tego nieco. Jackson podniósł kris, rzucił mi pytające spojrzenie i oddał go Karainowi. Ten odebrał go, lekko skinąwszy głową, i zatknął w węzeł sarongu, dokładając starań, by nadać mu pozycję pokojową. Potem spojrzał na nas z poważnym uśmiechem. Czuliśmy się zażenowani i skarceni. Hollis bokiem przysiadł na stole i podparłszy brodę dłonią, przyglądał się Karainowi w pełnym zadumy milczeniu. Rzekłem:

– Musisz zostać ze swoim ludem. Oni cię potrzebują. A w życiu jest zapomnienie. Nawet zmarli w pewnym momencie milkną.

– Czy jestem kobietą, żeby zapomnieć długie lata, zanim powieka dwa razy mrugnie?! – wykrzyknął z goryczą. Zaskoczył mnie. To było zdumiewające. Własne życie – ten okrutny miraż miłości i spokoju – wydawało mu się równie rzeczywiste i równie niezaprzeczalne, jak wydawałoby się każdemu świętemu, mędrcowi czy głupcowi pośród nas wszystkich. Hollis mruknął:

– Takie banały go nie ukoją.

Karain zwrócił się do mnie:

– Znasz nas. Żyłeś wśród nas. Dlaczego? Nie wiemy, ale rozumiesz nasze troski i myśli. Żyłeś wśród mego ludu, pojmujesz nasze pragnienia i obawy. Z tobą wyjadę. Do twojego kraju, do twojego ludu. Do twojego ludu, który żyje bez wiary, dla którego dzień jest dniem, a noc nocą i niczym więcej, bo rozumiecie wszystko to, co widzialne, a resztą gardzicie. Do twojego kraju niewiary, gdzie zmarli nie mają głosu, gdzie każdy człowiek jest mądry i samotny – i żyje w spokoju!

– Kapitalny opis – mruknął Hollis, a uśmiech przemknął mu po twarzy.

Karain zwiesił głowę.

– Mogę ciężko pracować, mogę walczyć. I będę wierny – wyszeptał znużonym głosem. − Ale nie mogę wrócić do tego, który czeka na mnie na brzegu. Nie! Weźcie mnie z sobą… Albo przynajmniej dajcie mi trochę swojej mocy, swojej niewiary… jakiś amulet!

Wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

– Tak, wziąć go do siebie – powiedział Hollis bardzo cicho, jakby dyskutował sam ze sobą. – To by była jedyna możliwość. Tam duchy są towarzyskie i uprzejmie zwracają się do dam i dżentelmenów, lecz wzgardziłyby nagą istotą ludzką, taką jak nasz książęcy przyjaciel… nagi!… A raczej obdarty ze skóry! Żal mi go. To oczywiście niemożliwe. Koniec tego wszystkiego będzie taki – mówił dalej, spoglądając na nas – koniec tego wszystkiego będzie taki, że któregoś dnia dostanie amoku wśród swoich wiernych poddanych i wyśle *ad patres* tylu, ilu tylko uda mu się dziabnąć, zanim się połapią, że warto zrezygnować z poddaństwa i walnąć go w łeb.

Kiwnąłem głową. Uważałem za bardziej niż prawdopodobne, że taki właśnie będzie koniec Karaina. Było jasne, że ta myśl prześladuje go ponad ludzką wytrzymałość i naprawdę niewiele potrzeba, żeby popadł we właściwą swej rasie odmianę szaleństwa. Wytchnienie, jakiego doświadczył, kiedy żył stary, sprawiło, iż powrót tortury był nie do zniesienia. To było jasne.

Nagle uniósł głowę, zdawało nam się przez moment, że spał.

– Dajcie mi ochronę, albo waszą moc! – zawołał. – Amulet… broń!

I znowu głowa opadła mu na pierś. Popatrzyliśmy na niego, a potem po sobie wzrokiem pełnym podejrzliwego podziwu, jak ludzie, którym nagle ukazała się scena tajemniczej katastrofy. On się nam poddał, powierzył w nasze ręce swoje błędy i cierpienie, swoje życie i spokój, a my nie wiedzieliśmy, co zrobić z tym kłopotem przychodzącym z ciemności panującej tam, na zewnątrz. My, trzej biali, patrząc na tego Malaja, nie umieliśmy wydobyć z siebie choćby jednego sensownego słowa – jeśli w rzeczy samej istnieje słowo, które może rozwiązać taki kłopot. Dumaliśmy, a serca nam pękały. Czuliśmy się tak, jakby nas trzech

wezwano do samych bram piekielnych, by osądzić, by zdecydować o losie wędrowca przybywającego niespodzianie z krainy słońca i złudzeń.

– Na Jowisza, on chyba ma dość wygórowane pojęcie o naszej mocy – wyszeptał beznadziejnie Hollis. I znowu zapadła cisza, znaczona delikatnym pluskiem wody i miarowym tykaniem chronometrów. Jackson skrzyżował nagie ramiona i oparł się plecami o gródź kajuty. Głowę schylał pod belką pokładu, jasna broda rozkładała mu się wspaniale na piersi; wyglądał potężnie, bezradnie i łagodnie. W wyglądzie całej kajuty była jakaś żałość, jakby powietrze w środku przenikał z wolna okrutny chłód beznadziei i bezlitosna złość egoizmu, przeciwstawiona niezrozumiałej formie wdzierającego się tu bólu. Nie mieliśmy pojęcia, co robić, zaczęliśmy gorzko odczuwać twardą konieczność pozbycia się gościa.

Hollis, dumając, wymamrotał nagle z urwanym śmiechem:

– Moc… Ochrona… Amulet.

Odszedł od stołu, nie patrząc na nikogo. Wyglądało to na podłą dezercję. Słyszeliśmy, jak hałasuje w swojej miniaturowej kajucie. Czy ten gość po prostu poszedł spać? Karain westchnął. To było nie do zniesienia!

A wtedy Hollis wrócił, niosąc niewielkie skórzane pudełko. Postawił je delikatnie na stole i popatrzył na nas, robiąc dziwny wdech, jakby z jakiegoś powodu na chwilę utracił mowę lub czuł się moralnie nie w porządku, przynosząc to, co przyniósł. Ale zaraz bezczelna i nieomylna mądrość młodości dodała mu niezbędnej odwagi. Otwierając skrzynkę maleńkim kluczykiem, rzekł:

– Zachowajcie najwyższą powagę, na jaką was stać, panowie.

Prawdopodobnie wyglądaliśmy tylko na głupio zdumionych, bo spojrzał na nas przez ramię i powiedział ze złością:

– To nie jest zabawa. Chcę coś dla niego zrobić. Wyglądajcie poważnie. Do diaska! Chyba stać was na drobne kłamstwo… dla przyjaciela!

Karain wyglądał, jakby nie zwracał na nas uwagi, ale kiedy Hollis otwarł wieczko pudełka, jego wzrok – podobnie jak nasz – powędrował do jego wnętrza. Wyścielający kasetkę szkarłatny pikowany atłas był ostrą

plamą koloru w mrocznej atmosferze kajuty; czymś pozytywnym i przyciągającym wzrok – był fascynujący.

## VI

Hollis z uśmiechem spojrzał na pudełko. Niedawno skoczył przez Kanał do domu. Nie było go sześć miesięcy, dołączył do nas bezpośrednio przed kolejną wyprawą. Nie widzieliśmy jeszcze tej kasetki. Ręce Hollisa uniosły się nad nią, w jego głosie zabrzmiała ironia, ale twarz miał tak poważną, jakby nad tym, co znajdowało się w środku, wypowiadał jakąś potężną inkantację.

– Każdy z nas – mówił, robiąc przerwy, które były chyba jeszcze bardziej obraźliwe niż jego słowa – każdy z nas, musicie przyznać, był kiedyś opętany przez jakąś kobietę… A… co do przyjaciół… porzuconych po drodze… Cóż! Zapytajcie sami siebie…

Przerwał. Karain wpatrywał się w niego. Gdzieś tuż pod pokładem rozległo się dudnienie. Jackson odezwał się z powagą:

– Nie bądź taki cholernie cyniczny.

– O, ty za to jesteś bez zarzutu – odpowiedział Hollis ze smutkiem. – Dowiesz się jeszcze… Tymczasem ten Malaj jest naszym przyjacielem…

Parokrotnie z zadumą powtórzył:

– Przyjacielem… Malaj. Przyjaciel Malaj. – Jakby ważył te dwa słowa, a potem mówił dalej, nieco żwawiej: – Gość w porządku, w pewnym sensie dżentelmen. Nie możemy, że się tak wyrażę, odwrócić się plecami do zaufania i wiary, jaką w nas pokłada. Tym Malajom łatwo zaimponować, wszystko nerwy, wiecie – dlatego…

Zwrócił się do mnie ostro:

– Znasz go najlepiej – powiedział rzeczowym tonem. – Czy uważasz, że on jest fanatykiem, to znaczy bardzo ściśle przestrzega zasad wiary?

Z głębokiego zdumienia aż się zająknąłem:

– Nie wydaje mi się.

– Pytam, bo chodzi o wizerunek, o obraz – wymamrotał Hollis enigmatycznie, odwracając się ku kasetce. Zanurzył w niej palce. Karain siedział z rozchylonymi ustami, oczy mu świeciły. Zajrzeliśmy do wnętrza pudełka.

Były tam kłębki bawełny, paczka igieł, kawałek jedwabnej wstążki, ciemnoniebieskiej; fotografia w ramce, na którą Hollis zerknął szybko, zanim położył ją na stole obrazkiem w dół. Portret dziewczyny, widziałem. Wśród innych drobnych przedmiotów był tam też bukiecik kwiatów, wąska biała rękawiczka z mnóstwem guziczków, cienki plik starannie przewiązanych listów. Amulety białych ludzi! Czary i talizmany! Amulety, które utrzymują ich przy zmysłach, wiodą po krętych drogach, mają moc, by sprowokować westchnienie u młodego i uśmiech u starego. Potężne obiekty wywołujące radosne sny i żałosne myśli, zmiękczające twarde serca, a miękkie zbrojące w twardość ze stali. Dary niebios – rzeczy ziemskie.

Hollis grzebał w pudełku.

A mnie w tym momencie oczekiwania wydawało się, że kajutę szkunera wypełnia poruszenie, niewidzialne i żywe, jakby delikatnych oddechów. Wszystkie duchy wygnane z niewierzącego Zachodu przez ludzi, którzy udają, że są mądrzy, samotni i że żyją w spokoju – wszystkie te bezdomne duchy niewierzącego świata pojawiły się nagle wokół schylonej nad kasetką sylwetki Hollisa. Wszystkie wygnane urocze cienie kochanych kobiet; wszystkie piękne i czułe duchy ideałów, pamiętanych, zapomnianych, pielęgnowanych, odrzuconych ze wstrętem; wszystkie te porzucone i wyrzucające nam to duchy przyjaciół podziwianych, zaufanych, zniesławionych, zdradzonych, zabitych i pozostawionych po drodze – wszystkie one, zdawało się, przybywają teraz z niegościnnych regionów świata, wpełzają do naszej ponurej kajuty, jakby to było dla nich schronienie w tym niewierzącym świecie, jedyne miejsce wiary, która bierze teraz odwet… Trwało to sekundę – i wszystko znikło. Hollis odwrócił się tylko do nas, a w dłoniach trzymał niewielki przedmiot, który połyskiwał między palcami. Wyglądało to jak moneta.

– O, tutaj to mam – powiedział.

Uniósł ten przedmiot w górę. To była sześciopensówka – jubileuszowa sześciopensówka. Pozłacana, przy brzegu miała wybitą dziurkę.

– Amulet dla naszego przyjaciela – powiedział do nas. – Sam przedmiot ma wielką moc – pieniądz, wiecie – a jego wyobraźnia zostanie pobudzona. Wierna towarzyszka podróży, byle jego purytanizm zniósł podobiznę…

Nie odezwaliśmy się. Nie wiedzieliśmy, czy zareagować zgorszeniem, uciechą czy ulgą. Hollis zbliżył się do Karaina, który wstał, jakby w zadziwieniu, a następnie, trzymając monetę, przemówił po malajsku:

– To jest obraz Wielkiej Królowej i najpotężniejsza rzecz, jaką znają biali ludzie – rzekł uroczyście.

Karain przykrył rękojeść krisa na znak szacunku i wpatrywał się w koronowaną głowę.

– Niezwyciężona, Pobożna – szeptał.

– Jest potężniejsza niż Sulejman Wspaniały, który, jak wiesz, rozkazywał dżinom – mówił Hollis poważnie. – Ofiaruję ci to.

Położył sześciopensówkę na dłoni i patrząc na nią z namysłem, powiedział po angielsku:

– Ona także rozkazuje duchowi – duchowi swego narodu; temu władczemu, moralnemu, pozbawionemu skrupułów, niezwyciężonemu czortowi… który robi wiele dobrego, nawiasem mówiąc, robi wiele dobrego… czasami, i nie pozwoli, żeby mu zawracał głowę jakiś lokalny duch, choćby najsilniejszy w okolicy, z powodu takiego drobiazgu jak strzał naszego przyjaciela. Nie miejcie takich min, jakby w was strzelił piorun, koledzy. Pomóżcie mi, żeby uwierzył. Od tego wszystko zależy.

– Jego ludzie doznają wstrząsu – szepnąłem.

Hollis spojrzał z mocą na Karaina, który był teraz wcieleniem samej esencji nieruchomego przejęcia. Stał sztywno, głowę odrzucił do tyłu, dziko przewracał pobłyskującymi oczyma, rozszerzone nozdrza drgały.

– A niech mnie powieszą! – powiedział w końcu Hollis. – To jest porządny facet. Dam mu coś, czego naprawdę będzie mi brakowało.

Wyjął ze skrzyneczki wstążkę, uśmiechnął się do niej pogardliwie, a potem nożyczkami odciął kawałek skórkowej rękawiczki.

– Zrobię mu tu coś na kształt tego, co noszą chłopi we Włoszech, wiecie.

Zaszył monetę w delikatnej skórce, skórkę przyszył do wstążki, związał oba końce. Pracował w pośpiechu. Karain nie spuszczał wzroku z jego palców.

– No i proszę – powiedział Hollis i podszedł do Karaina. Popatrzyli sobie z bliska w oczy. Wzrok Karaina wyrażał zagubienie, ale oczy Hollisa jakby ściemniały, spojrzenie miał władcze, nieodparte. To był ostry kontrast – jeden nieruchomy, w kolorze brązu, drugi jaskrawobiały, unosił ramiona, a potężne mięśnie przesuwały się odrobinę pod skórą połyskującą jak atłas. Jackson przysunął się z miną człowieka, który zbliża się do kumpla w ciasnym przejściu. Wskazując na Hollisa, powiedziałem z przejęciem:

– Jest młody, ale mądry. Uwierz mu!

Karain schylił głowę. Hollis lekko zarzucił na nią ciemnoniebieską wstążkę i odsunął się.

– Zapomnij i żyj w pokoju! – zawołałem.

Karain wyglądał jak przebudzony ze snu. Rzucił:

– Ha! – I otrząsnął się, jakby zrzucał z siebie jakiś ciężar. Rozejrzał się pewnie. Ktoś na pokładzie podniósł pokrywę świetlika i do kajuty wlał się blask słońca. Był już ranek.

– Czas wyjść na pokład! – stwierdził Jackson.

Hollis założył płaszcz i wyszliśmy, Karain pierwszy.

Słońce wzeszło nad wzgórzami, a w perlistym blasku na zatokę kładły się długie cienie. Powietrze było przejrzyste, nieskazitelne i chłodne. Wskazałem na zakrzywioną linię żółtego piasku.

– Nie ma go tam – rzekłem do Karaina z naciskiem. – Już go nie ma. Odszedł na zawsze.

Smuga jasnych, gorących promieni padła na zatokę spomiędzy wierzchołków dwu wzgórz, a woda wkoło, niby pod dotknięciem różdżki, rozprysła się w rozjarzone iskry.

– Nie! Nie czeka tam – odpowiedział Karain po długiej chwili wpatrywania się w plażę. – Nie słyszę go – powoli ciągnął. – Nie!

Zwrócił się ku nam.

– Znowu odszedł, na zawsze! – wykrzyknął.

Potwierdziliśmy żarliwie, wielokrotnie i bez skrupułów. Najważniejsze było wywrzeć na nim potężne wrażenie, stworzyć poczucie absolutnego bezpieczeństwa – kresu wszystkich kłopotów. Zrobiliśmy, cośmy mogli, i mam nadzieję, że potwierdziliśmy swoją wiarę w siłę amuletu Hollisa na tyle przekonująco, żeby w całej sprawie nie było śladu wątpliwości. W spokojnym powietrzu nasze głosy rozbrzmiewały wkoło niego radośnie, a niebo nad nami, przezroczyste, nieskazitelne, rozpinało nad zatoką swój delikatny błękit od brzegu do brzegu, jakby chciało otulić wodę, ziemię i człowieka pieszczotą swego światła.

Kotwica poszła w górę, żagiel zwisał spokojnie, a pół tuzina dużych łodzi sunęło ku nam po wodzie zatoki, żeby nas wyciągnąć. Wioślarze na pierwszej z nich podnieśli głowy i zobaczyli między nami swojego władcę. Rozległ się szmer zaskoczenia, a potem powitalny okrzyk.

Opuścił nas i wyglądało, że wkracza wprost we wspaniały splendor swojej roli, owija się złudzeniem nieuniknionego sukcesu. Przez chwilę stał wyprostowany, z jedną nogą na trapie, z dłonią na rękojeści krisu, w pozie wojownika. Uwolniony od strachu przed zewnętrzną ciemnością, głowę trzymając wysoko, spokojnym wzrokiem omiótł swą zdobyczną ziemską posiadłość. Dalsze łodzie podjęły powitalny okrzyk, po wodzie przetoczyła się wielka wrzawa, odbiła echem od wzgórz, które jakby odrzuciły ku niemu słowa przywołujące życie i zwycięstwo.

Zszedł do łodzi, a kiedy tylko zniknął za burtą, trzykrotnie wykrzyknęliśmy na jego cześć. Zabrzmiało to mdło i zbyt porządnie na tle dzikiej wrzawy, jaką zgotowali mu jego wierni poddani, ale na tyle było nas stać. Stanął w łodzi, uniósł obie ręce, a następnie wskazał na niezawodny talizman. Zakrzyknęliśmy raz jeszcze, a Malaje w łodziach wpatrywali się w nas zdumieni i pod wielkim wrażeniem. Zastanawiam się, co sobie myśleli… Co myśli czytelnik?

Wyciągaliśmy się powoli. Widzieliśmy, jak Karain dobija do brzegu, potem obserwuje nas z plaży. Podeszła do niego jakaś postać – pokornie, lecz otwarcie, na pewno nie jak duch z pretensjami. Widzieliśmy, że podbiegają do niego inni ludzie. Może im go brakowało? W każdym razie zapanowało spore poruszenie. Otoczyła go zaraz jakaś grupka, a on kroczył po piasku w towarzystwie rosnącej świty, niemal równo ze szkunerem.

Przez lornetkę widzieliśmy na jego szyi niebieską wstążkę i plamkę bieli na brązowym torsie. Zatoka budziła się do życia. Dym porannych ognisk wznosił się bladymi spiralkami ponad czubki palm, między domami pokazywali się ludzie, stado bawołów galopowało niezgrabnie po zielonym zboczu, szczupłe postaci wymachujących kijkami chłopców odcinały się czernią wśród wysokiej trawy, kolorowy rządek kobiet z bambusowymi naczyniami na wodę wił się zagajnikiem drzew owocowych. Karain zatrzymał się pośród swych ludzi i pomachał, potem, odrywając się od wspaniałego orszaku, samotnie podszedł do linii wody i jeszcze raz pomachał. Szkuner wyszedł w morze między stromymi cyplami zamykającymi zatokę i w tej samej chwili Karain na zawsze opuścił nasze życie.

Ale wspomnienie pozostaje. Parę lat później spotkałem Jacksona na Strandzie. Wspaniały jak zawsze. Jego głowa wystawała wysoko nad tłum. Broda złocista, twarz czerwona, oczy niebieskie, na głowie kapelusz z szerokim rondem, brak kołnierzyka czy kamizelki. Porywający – właśnie wrócił do domu, tego dnia zszedł na ląd. Nasze spotkanie spowodowało wir w ludzkim nurcie. Przechodnie w pośpiechu wpadali na nas, później okrążali i oglądali się jeszcze, żeby spojrzeć na kolosa. Staraliśmy się zmieścić siedem lat życia w siedem wykrzyknień. Potem, nagle uspokojeni, przeszliśmy wolnym krokiem kawałek, opowiadając sobie wieści z dnia wczorajszego. Jackson rozglądał się na boki, jak ktoś, kto szuka znajomych miejsc, aż zatrzymał się przed wystawą Blanda. Zawsze miał słabość do broni palnej, przyglądał się więc strzelbom, doskonałym i surowym,

ustawionym w szeregu za szybami w czarnych ramach. Stanąłem przy nim. Nagle rzekł:

– Pamiętasz Karaina?

Potaknąłem.

– Ten widok mi się z nim skojarzył – powiedział, zbliżając twarz do szyby. A ja widziałem drugiego mężczyznę, potężnego, z brodą, patrzącego uważnie spomiędzy ciemnych, wypolerowanych luf, które potrafią rozwiać niejedno złudzenie. – Tak, skojarzył mi się – mówił dalej z wolna. – Czytałem dziś rano gazetę, tam znów walki. On na pewno jest w to zamieszany. Sprawi niezłą jatkę tym *caballeros*. No, niech mu się wiedzie, biednemu czortowi. To był naprawdę zdumiewający gość.

Szliśmy dalej.

– Ciekawy jestem, czy amulet zadziałał. Pamiętasz na pewno ten talizman Hollisa. Jeśli zadziałał… to znaczy, że nigdy jeszcze nie zmarnowano sześciu pensów z lepszym skutkiem. Biedny czort! Ciekaw jestem, czy się pozbył tego swojego przyjaciela. Mam nadzieję… Wiesz, czasem myślę…

Przystanąłem, spoglądając na Jacksona.

– No… tak się zastanawiam, czy ta sprawa była rzeczywiście… wiesz, czy to mu się rzeczywiście przydarzyło… Jak ci się zdaje?

– Mój drogi! – wykrzyknąłem. – Musiałeś naprawdę długo przebywać z dala od domu. Popatrz tylko na to!

Wodnista poświata słoneczna błysnęła od zachodu i zgasła między dwiema długimi liniami murów, a potem kanciasty chaos dachów, kominy, złote litery kładące się na fasadach kamienic, powaga wypucowanych okien, wszystko to stało z rezygnacją i w pokorze pod zapadającym zmierzchem. Całą ulicę, głęboką jak studnia i długą jak korytarz, wypełniał mroczny, nieustający ruch. W uszach brzmiały nam dźwięki szalonego szurgotu pędzących kroków i towarzyszący im hałas – potężny, mdły, pulsujący, jakby dyszenie, bicie serca, urywane głosy. Niezliczone oczy patrzyły wprost przed siebie, stopy sunęły z pośpiechem, płynęły puste twarze, wymachiwały ramiona. A nad wszystkim wąski, poszarpany pasek

zadymionego nieba, zwinięty między wysokimi dachami, rozciągnięty i nieruchomy, jak usmolony proporzec powiewający nad zebranym motłochem.

– Taaa – powiedział Jackson w zadumie.

Wielkie koła powozów obracały się powoli wzdłuż chodnika, bladolicy młodzieniec, obezwładniony znużeniem, dreptał wsparty na lasce, a poły płaszcza łopotały mu delikatnie przy kostkach; konie, rzucając łbami, stąpały ostrożnie po tłustym bruku; przeszły dwie dziewczyny o błyszczących oczach, rozmawiając żywo; jakiś elegancki jegomość o czerwonej twarzy kuśtykał i przygładzał białego wąsa; szereg żółtych tabliczek z niebieskimi literami podszedł ku nam powoli, podskakując wysoko, jedna za drugą, niczym jakieś dziwne śmieci unoszone przez rzekę kapeluszy.

– Taaa – powtórzył Jackson. Jego jasne niebieskie oczy rozglądały się dokoła pogardliwie, z rozbawieniem i twardo, jak u chłopca. Niezgrabny rządek czerwonych, żółtych i zielonych omnibusów toczył się chwiejnie, potwornie, jarmarcznie; dwójka obdartych dzieciaków przebiegła przez ulicę; grupka brudnych mężczyzn z czerwonymi chustkami na gołych szyjach szła niepewnym krokiem, rozprawiając plugawie; stary człowiek w łachmanach, z rozpaczą na twarzy, stojąc w błocie, straszliwie wykrzykiwał tytuł gazety. Tymczasem w oddali, pomiędzy końmi, które rzucały łbami, w stłumionym blasku uprzęży, wśród bezładu połyskujących drzwiczek i dachów powozów, dostrzegliśmy policjanta, w kasku i ciemnym stroju, wyciągającego sztywno ramię na skrzyżowaniu ulic.

– Tak, widzę – powiedział Jackson powoli. – To jest tutaj, dyszy, biegnie, toczy się, jest silne i żywe, zmiażdży cię, jeśli nie będziesz uważać, ale dam się powiesić, jeśli jest dla mnie równie rzeczywiste… co ta inna sprawa… wiesz, co historia Karaina.

Coś mi się zdaje, że zdecydowanie za długo przebywał z dala od domu.

# Młodość: opowieść

To nie mogło się wydarzyć nigdzie indziej, tylko w Anglii, gdzie ludzie i morze – żeby tak powiedzieć – wzajemnie się przenikają: morze wkracza w życie większości ludzi, a ludzie wiedzą coś lub wszystko o morzu, dla rozrywki, dla podróży albo dla zarobku.

Siedzieliśmy przy mahoniowym stoliku, którego blat odbijał butelkę, kieliszki do bordo i nasze twarze, kiedyśmy się pochylali, wsparci na łokciach. Był dyrektor kompanii, księgowy, mecenas, Marlow i ja. Dyrektor jako chłopak szkolił się na Conwayu, księgowy cztery lata służył na morzu, mecenas – znakomity torys starej daty, członek Kościoła anglikańskiego, najlepszy stary druh, dusza człowiek – był pierwszym oficerem na statkach P & O Company w dobrych dawnych czasach, kiedy statki pocztowe pływały pod żaglami rejowymi na co najmniej dwóch masztach, a z mórz chińskich wracały przed monsunem południowo-zachodnim z lizlami postawionymi na górze i na dole. Wszyscyśmy zaczynali w marynarce handlowej. Naszą piątkę łączyła silna morska więź i znajomość sztuki marynarskiej, której nie może dać największy nawet entuzjazm dla żeglarstwa czy morskich wycieczek, bo one są nie więcej niż rozrywką w życiu, a służba marynarska jest samym życiem.

Marlow (zdaje mi się, że tak się pisze jego nazwisko) opowiadał historię czy raczej kronikę pewnej podróży:

– Tak, poznałem nieco morza wschodnie, ale najlepiej pamiętam swoją pierwszą podróż w te rejony. Sami dobrze wiecie, bywają takie podróże, które są jakby idealnymi ilustracjami życia, po prostu stanowią symbol egzystencji. Walczysz, pracujesz, tyrasz, niemal się zabijasz, czasem rzeczywiście się zabijasz, próbując coś osiągnąć – i nic z tego. Nie z twojej winy. Po prostu nie możesz nic zrobić, ani wielkiego, ani małego – nic

a nic – nawet ożenić się ze starą panną albo przewieźć cholerne sześćset ton węgla do portu przeznaczenia.

To była rzeczywiście historia godna zapamiętania. Moja pierwsza podróż na Wschód i moja pierwsza podróż w charakterze drugiego oficera; a także pierwsze dowództwo mojego kapitana. No, trzeba przyznać, że pora była najwyższa: facet miał sześćdziesiątkę jak nic, drobny, plecy szerokie, ale niezbyt proste, przygarbiony w ramionach, jedna noga bardziej krzywa od drugiej i ogólnie wyglądał na powykręcanego, jak to często bywa u ludzi, którzy pracują na roli. Twarz miał jak dziadek do orzechów – nos i broda usiłowały się spotkać nad zapadniętymi ustami, a okalały ją stalowoszare kłaki, jakby strzępy waty przysypanej sadzą. A w tej starej twarzy tkwiły niebieskie oczy, bardzo chłopięce, z takim wyrazem szczerości, który zwykli ludzie, dzięki rzadkiemu wewnętrznemu darowi prostoty serca i prawości duszy, zachowują do końca swych dni. Co go skłoniło, żeby mnie przyjąć, pozostało zagadką. Zszedłem właśnie z australijskiego klipra, na którym służyłem jako trzeci oficer, a on, takie odniosłem wrażenie, miał uprzedzenia do crack kliprów, że niby są arystokratyczne i z wyższych sfer. Powiedział mi: „Wie pan, na tym statku będzie pan musiał pracować”. Odpowiedziałem, że musiałem pracować na każdym statku, na którym się znalazłem. „Ale tu jest inaczej, a wy, panowie z tych wielkich statków… ale, tego. Zdaje mi się, że się pan nada. Proszę przyjść jutro”.

No to przyszedłem jutro. To było dwadzieścia dwa lata temu, miałem wtedy tylko dwadzieścia lat. Jak ten czas leci! Te dni należały do najszczęśliwszych w moim życiu. Wyobraźcie sobie – po raz pierwszy jestem drugim oficerem, naprawdę odpowiedzialne stanowisko. Nie oddałbym tego przydziału za żadne skarby. Pierwszy przyjrzał mi się uważnie. To też był starszy facet, ale innego pokroju. Miał rzymski nos, białą grzywę, długą brodę, a nazywał się Mahon, ale upierał się, że czyta się go Mann. Miał niby dobre stosunki, ale coś mu się nie szczęściło i nigdy nie awansował.

Co do kapitana, to przez lata służył w żegludze przybrzeżnej, potem na Morzu Śródziemnym, a ostatnio w handlu w Indiach Zachodnich. Nigdy nie opływał przylądków. Pisał takim dość koślawym pismem i w ogóle nie przykładał wagi do zapisków. Obaj byli rzecz jasna znakomitymi marynarzami i czułem się przy nich jak chłopczyk w towarzystwie dwóch dziadków.

Statek też był stary. Nazywał się Judea. Dziwna nazwa, prawda? Należał do człowieka o nazwisku Wilmer, Wilcox – coś takiego; ale on zbankrutował i umarł dwadzieścia lat wcześniej, jak nie lepiej, więc jego nazwisko i tak nie ma żadnego znaczenia. Judea stała nie wiadomo jak długo w basenie portowym w Shadwell. Możecie sobie wyobrazić, w jakim była stanie. Rdza, kurz i brud – sadza nad pokładem, błoto na pokładzie. Dla mnie to było jak przejście z pałacu do rozpadającej się chałupy. Około czterystu ton, prymitywny kabestan, drewniane zasuwy w drzwiach, nigdzie ani grama miedzi i wielka kanciasta rufa. Pod nazwą wypisaną wielkimi literami była masa zawijasów, z których zlazła pozłotka, oraz herb z mottem pod spodem: „Czyń lub giń”. Pamiętam, że natychmiast strasznie mi się to spodobało. Była w tym jakaś romantyczność, coś, dzięki czemu pokochałem tę starą krypę – coś, co przemówiło do mojej młodości!

Z Londynu wypłynęliśmy z balastem – piachem – cargo węgla mieliśmy załadować w którymś północnym porcie w drodze do Bangkoku. Bangkok! Aż zadrżałem. Od sześciu lat byłem na morzu, ale widziałem tylko Melbourne i Sydney, bardzo dobre miejsca, na swój sposób urocze – ale Bangkok!

Tamizę zrobiliśmy na szmatach z pilotem Morza Północnego na pokładzie. Nazywał się Jermyn i całe dnie spędzał w kambuzie, migając się od roboty – suszył sobie przy piecu chustkę. Wyglądało na to, że w ogóle nie śpi. Był ponurym człowiekiem z odwieczną kapką wiszącą u nosa; właśnie wygrzebał się z tarapatów, był w tarapatach lub spodziewał się, że wpadnie w tarapaty – nie czuł się dobrze, jeśli coś nie szło źle. Nie ufał mojej młodości, zdrowemu rozsądkowi, morskiemu doświadczeniu i starał się to okazywać na tysiąc drobnych sposobów. Powiedziałbym, że miał

rację. Wydaje mi się, że wtedy mało wiedziałem, a teraz nie wiem wiele więcej; ale do dzisiaj czuję w sercu nienawiść do tego Jermyna.

Po tygodniu wepchaliśmy się na wysokość Yarmouth Roads i wtedy wpadliśmy w huragan – ten słynny październikowy huragan sprzed dwudziestu dwu lat. Wiatr, pioruny, deszcz ze śniegiem, śnieg i rozszalałe morze. Byliśmy niedociążeni i wyobrazicie sobie doskonale, jak było źle, jeśli powiem wam, że od razu poszły nadburcia i zalało nam pokład. Drugiej nocy balast przesunął się z przodu na zawietrzną, a do tego czasu zwiało nas gdzieś do Dogger Bank. Nie było innej rady, tylko zleźć na dół z łopatami i starać się naprostować statek. No i znaleźliśmy się w tej wielkiej ładowni, jak w mrocznej pieczarze, łojowe ogarki umocowane przy belkach tańczyły, nad nami szalała wichura, a przechylonym statkiem miotało jak nie wiadomo co; wszyscy tam byli – Jermyn, kapitan; z trudem utrzymywaliśmy się na nogach, a robota była jak dla grabarzy – przerzucanie łopatami mokrego piachu na nawietrzną. Przy każdym podrzucie statku w mrocznym świetle widać było, jak ludzie padają, gwałtownie wymachując łopatami. Jeden z chłopców pokładowych (mieliśmy dwóch) pod wrażeniem tej przedziwnej sceny beczał, jakby mu zaraz miało serce pęknąć. Słyszeliśmy, jak pochlipuje w mroku.

Trzeciego dnia wichura ustała i podciągnął nas jakiś holownik z północnych stron. Szesnaście dni zabrało nam przejście z Londynu do Tyne! Kiedyśmy dotarli do portu, straciliśmy kolejkę do ładunku, odholowali nas do kei oczekujących, gdzieśmy spędzili miesiąc. Z Colchester przyjechała pani Beard (kapitan nazywał się Beard), żeby się zobaczyć ze swoim starym. Mieszkała na statku. Załoga nam zwiała, zostali tylko oficerowie, jeden boy i steward – Mulat reagujący na imię Abraham. Pani Beard była staruszką o twarzy pomarszczonej i rumianej jak zimowe jabłuszko i sylwetce młodej dziewczyny. Zobaczyła raz, jak przyszywam sobie guziki, i wymogła, żebym jej dał koszule do naprawy. To było coś kompletnie innego niż żony kapitanów, z którymi miałem do czynienia na pokładach crack kliprów. Kiedy przyniosłem koszule, zapytała: „A skarpety? Na pewno trzeba je pocerować, a rzeczy Johna – kapitana

Bearda – są już doprowadzone do porządku. Chętnie się czymś zajmę". Niech Bóg wynagrodzi tej starej kobiecie. Wyremontowała mi przyodziewek, a ja w tym czasie po raz pierwszy przeczytałem *Sartora Resartusa* i *Wyprawę do Chiwy* Burnaby'ego. Z tej pierwszej książki niewiele zrozumiałem, ale pamiętam, że wolałem wtedy żołnierza od filozofa – a życie miało tylko potwierdzić ten wybór. Pierwszy z nich był człowiekiem, a drugi – czymś więcej lub czymś mniej. Tak czy inaczej, obaj nie żyją, umarła też pani Beard, i młodość, siła, geniusz, myśli, osiągnięcia, proste serca – wszystko umiera… Nieważne.

W końcu nas załadowali. Zamustrowaliśmy załogę. Ośmiu sprawnych marynarzy i dwóch chłopców. Odholowaliśmy się któregoś wieczora do boi przy wrotach portowych z dobrymi widokami na start następnego dnia. Pani Beard miała wrócić do domu wieczornym pociągiem. Kiedy statek zacumował, usiedliśmy do kolacji. Posiłek minął nam w ciszy – Mahon, para staruszków i ja. Skończyłem pierwszy i wymknąłem się zapalić, moja kajuta była w budce na deku, tuż przy rufie. Był przypływ, świeża bryza i mżawka, podwójne wrota portu otwarte, parowe węglarki wchodziły i wychodziły w ciemności, latarnie świeciły jasno, śruby hałasowały, wyciągarki terkotały, a z pomostów dobiegały częste nawoływania. Obserwowałem procesję reflektorów sunących wysoko i procesję zielonych świateł sunących nisko przez ciemność nocy, gdy nagle przede mną mrugnął czerwony blask, by zaraz zniknąć, pojawić się znowu i już pozostać. Tuż przede mną zamajaczył dziób parowca. Krzyknąłem do kabiny: „Szybko! Chodźcie tu!", a potem usłyszałem w ciemności odległy, zdumiony głos: „Niech pan go zatrzyma, sir!". Zabrzmiał dzwon. Inny głos zawołał ostrzegawczo: „Wpływamy wprost na ten bark, sir!". W odpowiedzi na to zabrzmiało ochrypłe: „Dobra", a następnym dźwiękiem był potężny trzask – parowiec trafił nas z ukosa krawędzią dziobu na wysokości fokmasztu. Zamieszanie, wrzask i bieganina. Maszyna parowa wyła. Potem usłyszałem, jak ktoś mówi: „Droga wolna, kapitanie". „Wszystko u was w porządku?" – zapytał inny głos. Skoczyłem na przód, żeby ocenić szkody, i odkrzyknąłem: „Chyba tak". „Lekko wstecz" – rzucił

ktoś ochryple. Znów zabrzmiał dzwon. „Co to za parowiec?” – wrzasnął Mahon. Do tego czasu widzieliśmy tylko zwalisty cień manewrujący w pewnej odległości. Odkrzyknęli nam jakąś nazwę – kobiece imię, Miranda czy Melissa, albo coś w tym rodzaju. „To oznacza kolejny miesiąc w tej cholernej dziurze” – powiedział Mahon, kiedyśmy z lampami przyglądali się popękanym relingom i porwanym brasom. „A gdzie kapitan?”

Przez cały ten czas nie widzieliśmy go ani nie słyszeli. Poszliśmy zobaczyć na rufę. Gdzieś ze środka portu odezwał się żałosny głos: „Judea, ahoj!”… Jak on się tam do diaska znalazł?… „Halo!” – zawołaliśmy. „Dryfuję w łódce bez wioseł!” – odkrzyknął. Jakiś spóźniony przewoźnik zaoferował pomoc i Mahon wytargował z nim, że za pół korony przyciągnie naszego kapitana do burty, ale na drabince pierwsza pojawiła się pani Beard! Już niemal godzinę dryfowali po porcie w tej zimnej mżawce. Jeszcze nigdy w życiu nie zdziwiłem się tak jak wtedy.

Zdaje się, że kiedy usłyszał moje „chodźcie!”, od razu zrozumiał w czym rzecz, chwycił żonę, wybiegli na pokład i na skos do naszej łódki, która była przywiązana do drabinki. Nieźle jak na sześćdziesięciolatka. Wyobraźcie sobie tego starego, który na własnych ramionach heroicznie unosi żonę – ratuje kobietę swego życia. Usadził ją na ławeczce i był już chciał wejść z powrotem na pokład, kiedy z jakiegoś powodu faleń się odcumował i oboje odpłynęli. Oczywiście w całym tym zamieszaniu nie słyszeliśmy jego wołania. Wyglądał na stropionego. A ona rzekła wesoło: „Rozumiem, że teraz nie ma już znaczenia, że pociąg odjechał?”. „Nie, Jenny. Idź na dół i się ogrzej – mruknął. Potem do nas: – Marynarzowi żona jest na nic, ot co. Gdzie byłem – poza statkiem. No, tym razem nic strasznego się nie stało. Chodźmy zobaczyć, co nam ten dureń parowiec rozwalił”.

Nie było to nic poważnego, ale opóźniło nas o trzy tygodnie. Po tym czasie, ponieważ kapitan był akurat zajęty u agentów, mnie przyszło zanieść bagaż pani Beard na stację i usadzić ją wygodnie w wagonie trzeciej klasy. Opuściła okno i powiedziała: „Dobry z pana człowiek. Jeśli pan zobaczy

Johna – kapitana Bearda – w nocy bez chustki na szyi, proszę mu ode mnie przypomnieć, żeby dobrze owijał gardło”. „Oczywiście, pani Beard” – odrzekłem. „Dobry z pana chłopiec. Zauważyłam, jak troszczy się pan o Johna – o pana kapitana…” Pociąg ruszył nagle, zdjąłem czapkę na pożegnanie pani Beard – nigdy więcej jej nie zobaczyłem… Podaj butelkę.

Ruszyliśmy następnego dnia. Podróż do Bangkoku zaczęliśmy trzy miesiące po opuszczeniu Londynu. A spodziewaliśmy się, że zajmie nam to najwyżej jakieś dwa tygodnie.

Był styczeń, piękna pogoda – piękna, słoneczna zimowa pogoda, która ma więcej uroku niż pogoda w lecie, jest niespodziewana, świeża i wiesz, że nie potrwa długo, bo nie może. Spada ci z nieba, darowana, jak nieoczekiwany łut szczęścia.

Trwała, póki płynęliśmy przez Morze Północne, przez kanał; trwała, aż dotarliśmy jakieś trzysta mil na zachód od przylądka Lizard, wtedy wiatr odkręcił na południowy zachód i zaczął się wzmagać. W dwa dni był huragan. Zatrzymana Judea skakała po Atlantyku jak stara skrzynka po świeczkach. Wiało dzień za dniem, wiało z wściekłością, bez przerw, bez litości, bez wytchnienia. Nie było świata, tylko ogrom spienionych fal pędzących na nas pod niebem tak niskim, że ręką by dosięgnął, a brudnym jak zakopcona powała. Rozpylonej wody było wkoło nas tyle samo co powietrza. Dzień za dniem i noc za nocą statek otaczały wycie wiatru, tumult morza, ryk wody wdzierającej się na pokład. Nie było odpoczynku dla Judei ani dla nas. Rzucała się, stawała dęba, stawała na głowie, siadała na ogonie, toczyła się, jęczała, a my musieliśmy trzymać się, gdy byliśmy na deku, i przywierać do koi, gdy byliśmy pod nim, w nieustannym wysiłku ciał i zatroskaniu myśli.

Którejś nocy w okienku mojej kajuty pojawił się Mahon. Otwierało się ono wprost na łóżko, gdzie leżałem bezsennie, w butach, czując się, jakbym nie spał od lat, a mimo podejmowanych wysiłków nie mógł zasnąć. Mahon spytał z przejęciem: „Masz tu gdzieś tyczkę, Marlow? Pompy odmawiają współpracy, nie ciągną. Na Boga, to już nie jest zabawa…”.

Podałem mu sondę i położyłem się z powrotem, usiłując myśleć o różnych rzeczach – ale myślałem tylko o pompach. Kiedy wyszedłem na dek, nadal z tym walczyli, więc przejąłem wachtę przy pompach. W blasku latarni przyniesionej na pokład, żeby skontrolować tykę, dostrzegłem ich zmęczone, zmartwione twarze. Pompowaliśmy przez całe cztery godziny. Pompowaliśmy całą noc, cały dzień, cały tydzień – wachta za wachtą. Statek się rozszczelniał i mocno przeciekał – nie tak, żeby nas potopić, ale dość, żebyśmy padli trupem przy pompach. Pompowaliśmy, tymczasem Judea się rozpadała: poszły nadburcia, wyrwało słupki, roztrzaskało wentylatory, drzwi do kabiny wepchnęło do środka. Na całym statku nie było jednego suchego miejsca. Wybebeszało go po kawałku. Szalupa, jakby pod wpływem czarów, zamieniła się w kupkę drzazg, tak jak stała na legarach. Sam ją mocowałem i byłem nawet dumny ze swojej roboty, która tak długo wytrzymała wściekłość morza. I pompowaliśmy. Pogoda nie dawała nam chwili przerwy. Morze było białą płaszczyzną piany, jak garnek wrzącego mleka. W chmurach ani szczeliny, żadnej – nawet na dłoń – nawet na dziesięć sekund. Nie było dla nas nieba, nie było dla nas gwiazd, słońca, wszechświata – nic, tylko gniewne chmury i rozwścieczone morze. Pompowaliśmy wachta za wachtą, pompowaliśmy, ile życia. Zdawało się, że to trwa miesiące, lata, wieczność, jakbyśmy pomarli i poszli do piekła dla marynarzy. Zapomnieliśmy, jaki jest dzień tygodnia, miesiąc i rok i czy kiedykolwiek byliśmy na brzegu. Żagle odwiało, Judea leżała na burcie pod ciężkim suknem chmur, ocean przelewał się przez nią, a nam było wszystko jedno. Nam od machania drążkami pomp zidiociał wzrok. Kiedyśmy wpełzali na pokład, okrążałem z liną wszystkich ludzi, pompy i główny maszt, i kręciliśmy, kręciliśmy nieustannie, w wodzie po pas, w wodzie po szyję, ponad głowę. Wszystko jedno. Zapomnieliśmy, jak to jest być suchym.

A gdzieś we mnie pojawiła się myśl: na Jowisza! To jest, do diaska, przygoda – coś, o czym się czyta, a ja po raz pierwszy jestem drugim oficerem – mam tylko dwadzieścia lat – i wytrzymuję to wszystko równie dobrze jak inni, i trzymam swoich ludzi na poziomie. Byłem zadowolony.

Nie oddałbym tego doświadczenia za skarby świata. Miewałem momenty euforii. Kiedy ta stara, rozpadająca się łajba brała ostry przechył, unosząc wysoko rufę, zdawało mi się, jakby wydobywał się z niej – niczym apel, niczym wyzwanie – krzyk skierowany ku bezlitosnym chmurom, te słowa, które wypisane miała na rufie: „Judea, Londyn. Czyń lub giń”.

Ach, młodość! Jej siła, jej wiara, jej wyobraźnia! Dla mnie ten statek nie był rozklekotaną pułapką wożącą po świecie kupę węgla – dla mnie to było zmaganie, test, życiowa próba. Myślę o nim z przyjemnością, uczuciem i żalem, jak o kimś kochanym, kto już nie żyje. Nigdy go nie zapomnę… Podajcie no butelkę.

Którejś nocy, kiedyśmy, jak mówiłem, przywiązani do masztu pompowali ogłuszeni wiatrem i pozbawieni ducha już na tyle, by choć życzyć sobie śmierci, ciężka fala rozbiła się na pokładzie i przelała nad nami. Kiedy tylko odzyskałem oddech, krzyknąłem zgodnie z obowiązkiem: „Dalej, chłopaki!”, aż nagle poczułem, że w goleń wali mnie coś twardego, co unosiło się po pokładzie. Chciałem chwycić ten przedmiot, ale nie zdołałem. Było tak ciemno, że nie widzieliśmy się nawzajem z odległości stopy – rozumiecie.

Po tym uderzeniu statek na chwilę się uspokoił, a ta rzecz, czymkolwiek była, znowu uderzyła mnie w nogę. Tym razem ją chwyciłem – był to garnek. W pierwszej chwili, ogłupiały ze zmęczenia i skupiony jedynie na pompowaniu, nie pojąłem, co mam w ręku. Wreszcie do mnie doszło i wrzasnąłem: „Chłopaki, pokładówka poszła. Zostawcie to, szukamy kucharza”.

Z przodu na deku była budka, w której znajdowały się kambuz oraz koje kucharza i załogi. Od jakiegoś czasu spodziewaliśmy się, że zostanie zmieciona, więc załoga dostała rozkaz, żeby spać w kabinie – jedynym bezpiecznym miejscu na statku. Jednak steward Abraham uparł się, że zostaje w swojej koi – idiotycznie, jak muł – myślę, że z czystego strachu, niczym zwierzę, które nie wyjdzie ze stajni walącej się podczas trzęsienia ziemi. No to poszliśmy go szukać. Ryzykowaliśmy życiem, bo wychodząc poza swoje liny, byliśmy odsłonięci jak na tratwie. Aleśmy poszli. Budka

była w drzazgach, jakby w środku wybuchł pocisk. Większość wylądowała za burtą: piec, kwatery ludzi i ich rzeczy, wszystko to poszło; jednak dwa słupki podtrzymujące fragment grodzi, do której przymocowana była koja Abrahama, cudem ocalały. Macaliśmy w tych szczątkach, aż znaleźliśmy go: siedział na koi otoczony pianą i resztkami konstrukcji, radośnie do siebie gaworząc. Zwariował, całkowicie i na zawsze, od tego wstrząsu, którego doznał, kiedy wyczerpała się jego wytrzymałość. Chwyciliśmy go, powlekliśmy na tył i wrzuciliśmy głową naprzód przez luk do kabiny. Rozumiecie, że nie było czasu, by znieść go tam z zachowaniem ostrożności i zaczekać, żeby sprawdzić, jak się czuje. Ci na dole pozbierali go spod schodów. Spieszyliśmy się wrócić do pomp. One nie mogły czekać. Przeciek to okrutna sprawa.

Można by pomyśleć, że cały ten huragan miał za cel doprowadzić biednego czorta Mulata do szaleństwa. Przed świtem wiatr zelżał, następnego dnia niebo przejaśniało, a kiedy morze się uspokoiło, statek znów zaczął brać wodę. Gdy przyszło do stawiania nowych żagli, załoga zażądała powrotu – i rzeczywiście nie dało się zrobić nic innego. Łodzi nie było, pokład wymieciony do czysta, kabina wybebeszona, ludzie bez niczego, tyle co mieli na sobie, zapasy zniszczone, statek nadwyrężony. Skierowaliśmy się ku domowi i – nie uwierzylibyście – wiatr przyszedł ze wschodu, prościutko nam w zęby. Musieliśmy walczyć o każdy cal drogi, ale Judea nie ciekła tak strasznie, bo morze było w miarę gładkie. Dwie godziny pompowania na cztery to nie bajka, ale utrzymywaliśmy się jakoś do wysokości Falmouth.

Tam dobrzy ludzie żyją z wypadków morskich i na pewno ucieszyli się na nasz widok. Spojrzawszy na truchło naszego statku, tłum głodnych cieślów okrętowych zaczął ostrzyć dłuta. Ale też, na Jowisza! Nieźle się na nas obłowili przy tej robocie. Wyobrażam sobie, że właściciel i tak był już solidnie przyciśnięty. Najpierw te opóźnienia. Potem zdecydowano, żeby wyjąć część ładunku i uszczelnić górne burty. Zrobiono to, remonty się skończyły, ładunek załadowano na nowo. Na pokład weszła nowa załoga i mieliśmy ruszyć – do Bangkoku. Pod koniec tygodnia byliśmy

z powrotem w Falmouth. Załoga oświadczyła, że nie wybiera się do żadnego Bangkoku – sto pięćdziesiąt dni podróży – na takim gównie, które trzeba pompować osiem godzin na dobę, a w papierach morskich pojawiła się krótka notatka: „Judea, bark, z Tyne do Bangkoku; węgiel; powrót do Falmouth z powodu przecieków i odmowy ze strony załogi”.

No więc znów przestoje, znów łatanina. Właściciel przyjechał na jeden dzień, stwierdził, że statek jest zdrów jak ryba. Biedny kapitan Beard wyglądał jak duch szypra spod Newcastle – wszystko ze zmartwienia i upokorzenia. Pamiętajcie, że miał sześćdziesiątkę na karku, a to było jego pierwsze dowództwo. Mahon oświadczył, że to interes głupiego i musi się źle skończyć. Ja uwielbiałem ten statek coraz bardziej i strasznie chciałem płynąć do Bangkoku. Do Bangkoku! Magiczna nazwa, błogosławiona nazwa. Mezopotamia nawet do pięt jej nie dorastała. Pamiętajcie, miałem dwadzieścia lat, po raz pierwszy byłem w randze drugiego oficera, a Wschód czekał na mnie.

Wyszliśmy z portu i zakotwiczyliśmy przy wyjściu w morze z nową załogą, już trzecią. Statek ciekł bardziej niż przedtem. Zupełnie jakby te cholerne remonty dosłownie go podziurawiły. Tym razem nawet nie wypłynęliśmy. Załoga po prostu odmówiła obsadzenia kabestanu.

Przyholowali nas z powrotem do zatoki, gdzie staliśmy się lokalną atrakcją, częścią pejzażu, po prostu instytucją. Ludzie pokazywali nas gościom: „To jest ten bark, co niby płynie do Bangkoku – siedzą tu już sześć miesięcy – wracali trzy razy”. W czasie wakacji mali chłopcy, pływając wokół nas łódeczkami, wołali: „Judea, ahoj!”. A jeśli ktoś wystawił głowę nad reling, to wrzeszczeli: „Dokąd to? Do Bangkoku?”, i chichotali. Na pokładzie byliśmy tylko we trzech. Biedny stary kapitan snuł się po kajucie. Mahon podjął się gotowania i niespodziewanie rozwinął zupełnie francuski talent kucharski. Ja leniwie przeglądałem takielunek. Staliśmy się obywatelami Falmouth. Znał nas każdy sklepikarz. U fryzjera czy w trafice pytali nas poufale: „Myślicie, że dotrzecie kiedyś do Bangkoku?”. W tym czasie właściciel, ubezpieczyciele i wynajemcy

spierali się między sobą w Londynie, a nasza gaża znikała… Podajcie no butelkę.

To był koszmar. Jeśli chodzi o morale, to sprawa znacznie gorsza niż pompowanie do upadłego. Zdawało się, że cały świat o nas zapomniał, że nie należymy już do nikogo, nigdzie nie dotrzemy, że jak zaczarowani będziemy musieli już na zawsze żyć w tej wewnętrznej zatoce, na pośmiewisko i jako temat opowieści dla pokoleń nadbrzeżnych obiboków i nieuczciwych marynarzy. Otrzymałem trzymiesięczne wynagrodzenie i pięciodniowy urlop, więc skoczyłem do Londynu. Podróż tam zajęła mi dzień, podróż z powrotem mniej więcej tyle samo – a pieniądze za trzy miesiące zniknęły. Nie wiem, co z nimi zrobiłem. Chyba poszedłem do music-hallu, zjadłem lunch, zjadłem obiad i kolację w modnym miejscu na Regent Street i wróciłem, nie przywożąc ze sobą nic prócz dzieł zebranych Byrona i nowego pledu, ot, tyle za trzy miesiące pracy. Przewoźnik, który wiózł mnie na statek, powiedział: „Halo! Myślałem, że pan zostawił już to stare pudło. To przecież nigdy nie dopłynie do Bangkoku”. „Akurat dużo pan o tym wie” – odrzekłem szorstko, ale ta przepowiednia wcale mi się nie spodobała.

Wreszcie pojawił się jakiś człowiek, jakiś taki agent od kogoś tam, z nową energią. Twarz miał całą w alkoholicznych plamach, niespożytą energię i wesołą duszę. Wskoczyliśmy na powrót w życie. Podpłynął do nas pusty hulk, zabrał ładunek, a my trafiliśmy do suchego doku na wymianę miedzi. Nic dziwnego, że statek przeciekał. Biedak, ponad miarę nadwyrężony przez wichury, jakby ze wstrętem wypluł wszystkie pakuły w dolnej części kadłuba. Teraz został na nowo uszczelniony, dostał świeżą miedź i był już szczelny jak butelka. Podpłynęliśmy z powrotem pod hulk i przesypali nam ładunek.

Potem pewnej pięknej księżycowej nocy statek opuściły wszystkie szczury.

Mieliśmy istną plagę szczurów. Zniszczyły nam żagle, zjadły więcej zapasów niż załoga, czule dzieliły z nami prycze i niebezpieczeństwa, a teraz, kiedy statek wreszcie nadawał się na wodę, postanowiły się zmyć.

Zawołałem Mahona, żebyśmy razem obejrzeli to widowisko. Jeden za drugim pojawiały się na trapie, każdy po raz ostatni spoglądał przez ramię na statek i z głuchym tąpnięciem skakał w ten pusty hulk. Staraliśmy się je policzyć, ale dość szybko się pogubiliśmy. Mahon rzekł: „No, no! Tylko mi nie mów o inteligencji szczurów. Powinny były nas opuścić przedtem, kiedy niewiele brakowało, żebyśmy się potopili. Oto dowód, jak głupie są te przesądy o szczurach. Wychodzą z dobrego statku na ten zgniły kontener, gdzie nie ma nic do jedzenia, głupie!… Nie wierzę, żeby choć trochę lepiej niż ty czy ja wiedziały, gdzie jest bezpiecznie i dobrze”.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę i zgodziliśmy się co do tego, że mądrość szczurów jest znacznie przeceniana, bo tak naprawdę nie przerasta mądrości człowieka.

Dzięki temu wszystkiemu historia naszego statku była znana nad całym kanałem, od Land’s End do Forelands, więc na południowym wybrzeżu nie mogliśmy znaleźć załogi. Przysłali nam kompletną załogę z Liverpoolu i jeszcze raz wypłynęliśmy – do Bangkoku.

Aż do tropików mieliśmy porządne wiatry i gładką wodę, a stara Judea wlokła się w słońcu. Kiedy szła osiem węzłów, wszystko trzeszczało i musieliśmy przywiązywać sobie czapki do głów, ale zwykle płynęła wolniutko, w tempie trzech mil na godzinę. Czego się spodziewać? Była zmęczona – stary statek. Jej młodość odeszła tam, gdzie dziś moja, gdzie wasza, koledzy, którzy słuchacie tej opowieści, a jaki przyjaciel wypomniałby wam wprost wasze lata i zmęczenie? Nie narzekaliśmy na nią. Nam na rufie wydawało się, że urodziliśmy się na tym statku, tu się wychowaliśmy, że żyjemy na nim od wieków i nigdy nie znaliśmy innego. Równie dobrze można by zwymyślać stary wiejski kościółek za to, że nie jest katedrą.

A ja dodatkowo miałem jeszcze młodość, która uzbroiła mnie w cierpliwość. Przede mną był Wschód i całe życie, i myśl, że na tym statku przeszedłem próbę i że poradziłem sobie całkiem nieźle. Myślałem też o ludziach w dawnych czasach, którzy wieki temu wędrowali tym szlakiem na statkach nie lepiej płynących do krainy palm, korzeni, żółtych piasków

i brązowych narodów pod władzą królów okrutniejszych niż rzymski Neron i wspanialszych niż żydowski Salomon. Stary bark wlókł się przed siebie, obciążony wiekiem i ciężarem ładunku, a ja żyłem młodością pełną niewiedzy i nadziei. Statek pełzł w niekończącym się ciągu dni, a nowa pozłota odbijała blask zachodzącego słońca, i znad ciemniejącego morza jakby wykrzykiwała słowa wypisane na rufie: „Judea, Londyn. Czyń lub giń”.

Potem weszliśmy na Ocean Indyjski i skierowaliśmy się na północ ku Przylądkowi Jawajskiemu. Wiatr był lekki. Mijały tygodnie. Judea pełzła w rytmie „Czyń lub giń”.

Którejś soboty wieczorem akurat byłem po wachcie, ale ludzie poprosili mnie o parę dodatkowych wiaderek wody – żeby zrobić pranie. Nie chciało mi się montować tak późno pompy wodnej, więc pogwizdując, poszedłem na dziób z kluczem, żeby otworzyć właz do forpiku i zaczerpnąć wody z dodatkowego zbiornika, któryśmy tam mieli.

Na dole zapach był tyleż nieoczekiwany, co przerażający. Można było pomyśleć, że w tej dziurze od wielu dni płonie i kopci setka lamp parafinowych. Z ulgą stamtąd wyszedłem. Człowiek, który był ze mną, kaszląc, powiedział: „Dziwny zapach, proszę pana, co nie?”. Odpowiedziałem niedbale: „Podobno bardzo zdrowy”, i wróciłem na rufę.

Po pierwsze, wsadziłem głowę do szybu wentylacyjnego na środku statku. Kiedy podniosłem pokrywę, z otworu uniósł się jakby widoczny wydech, coś jak lekka mgiełka, chmurka. Wychodzące powietrze było gorące, miało ciężki zapach, jak sadza, jak parafina. Powąchałem i delikatnie nałożyłem pokrywę z powrotem. Nie miałem zamiaru się udusić. Palił się ładunek.

Następnego dnia statek zaczął dymić na całego. Widzicie, można się było tego spodziewać, bo chociaż węgiel był bezpieczny, to tyle razy go przesypywano i tak był od tego pokruszony, że wyglądał bardziej jak paliwo w kuźni niż cokolwiek innego. A jeszcze został zmoczony, i to nie raz – lało, kiedyśmy go ładowali z powrotem z tego kontenera, a teraz, podczas długiej podróży zagrzał się, no i mieliśmy samoczynny zapłon.

Kapitan wezwał nas do kajuty. Na stole miał rozłożoną mapę, a minę bardzo nieszczęśliwą. Powiedział: „Wybrzeże zachodniej Australii jest niedaleko, ale zamierzam iść dalej do celu. Poza tym to miesiąc huraganów, ale my idziemy dalej na Bangkok i będziemy walczyć z pożarem. Żadnego więcej zawracania, nawet jeśli mamy się wszyscy usmażyć. Najpierw spróbujemy zadusić ten cholerny zapłon, blokując dostęp powietrza”.

No to próbowaliśmy. Zabiliśmy każdy otwór, a statek dalej kopcił. Dym wydobywał się ciągle przez niezauważalne szczeliny, przeciskał się przez grodzie i pokrywy, sączył się tu i tam, i wszędzie, drobnymi smużkami, niewidzialną warstewką, zupełnie nie do pojęcia. Przedostał się do kajuty, do forkasztelu, zatruwał osłonięte miejsca na deku, dało się go wyczuć nawet wysoko na rejach grota. Jeśli dym się wydostaje na zewnątrz, to jasne jest, że powietrze dostaje się do środka. To było przygnębiające. Zapłon nie dawał się zdusić.

Postanowiliśmy spróbować wody, więc zdjęliśmy pokrywy. Potężne kłęby dymu, białawego, żółtawego, gęstego, tłustego, mglistego, duszącego, buchnęły aż na wysokość topów. Wszyscy ludzie wynieśli się na rufę. Potem trująca chmura odfrunęła i wróciliśmy do pracy w dymie, który był nie gęstszy niż przy paru zwykłych kominach fabrycznych.

Zamontowaliśmy pompę tłoczącą, dokręciliśmy wąż, który nam zaraz strzelił. Cóż, był tak stary jak statek – prehistoryczny wąż, bez szans na naprawę. Tak więc pompowaliśmy słabą pompą dziobową, czerpaliśmy wodę wiadrami i w ten sposób udało nam się z czasem wlać w główny wylot sporą porcję Oceanu Indyjskiego. Jasne strumienie błyszczały w słońcu, spadały na warstwę pełznącego białego dymu i znikały w czarnej masie węgla. Para buchała, mieszając się z dymem. Laliśmy słoną wodę jak do beczki bez dna. Naszym losem było pompowanie, najpierw wypompowywaliśmy wodę ze statku, teraz wpompowywaliśmy ją do statku; najpierw robiliśmy wszystko, by utrzymać wodę na zewnątrz i uratować się od utonięcia, a teraz gorączkowo wlewaliśmy wodę do środka, by uratować się od pożogi.

A statek przy łaskawej pogodzie pełzł w rytmie „Czyń lub giń”. Niebo było cudem czystości, cudem lazuru. Morze, wypolerowane, błękitne, przejrzyste, połyskiwało niczym drogi kamień, rozciągnięte we wszystkich kierunkach, aż po horyzont – jak gdyby cała kula ziemska była jednym klejnotem, jednym kolosalnym szafirem, jednym wielkim brylantem w kształcie planety. A po lśniącej powierzchni wielkich spokojnych wód niezauważalnie przesuwała się Judea, otoczona ciągnącymi się za nią nieczystymi wyziewami, leniwym obłokiem, który dryfował lekko i powoli ku zawietrznej: trującą chmurą, kalającą wspaniałość nieba i morza.

Przez cały ten czas nie widzieliśmy, rzecz jasna, ognia. Ładunek tlił się gdzieś od spodu. Raz Mahon, kiedy pracowaliśmy obok siebie, rzekł do mnie z dziwnym uśmiechem: „Gdyby teraz zdarzył się jeden taki porządny przeciek, jak wtedy, kiedyśmy pierwszy raz wypłynęli z Kanału, to dałby radę temu ogniowi, prawda?”. Rzuciłem bez związku: „Pamięta pan szczury?”.

Walczyliśmy z ogniem i żeglowaliśmy tak precyzyjnie, jakby nic się nie działo. Steward gotował i nas obsługiwał. Z dwunastu ludzi załogi ośmiu pracowało, a czterech odpoczywało. Wszyscy mieli wachty, łącznie z kapitanem. Była równość, a jeśli nawet nie całkiem braterstwo, to zupełnie dobra atmosfera. Od czasu do czasu któryś, wlewając wiadro wody do ładowni, wrzeszczał: „Hurra na Bangkok!”, a reszta się śmiała. Ale ogólnie byliśmy raczej milkliwi i poważni – i spragnieni. O, jak strasznie spragnieni! A z wodą musieliśmy uważać. Ścisły przydział. Statek dymił, słońce prażyło… Podaj no butelkę.

Próbowaliśmy wszystkiego. Próbowaliśmy nawet dokopać się do ognia. Bez skutku oczywiście. Nikt nie był w stanie wytrzymać na dole dłużej niż minutę. Mahon, który poszedł pierwszy, zemdlał, człowiek, który zszedł po niego, tak samo. Wywlekliśmy ich na pokład. Potem ja skoczyłem, żeby im pokazać, że to będzie bardzo łatwe. Wtedy już byli mądrzy i zadowolili się wyciągnięciem mnie na haku od łańcucha zamontowanym chyba na kiju od miotły. Nie miałem zamiaru wracać po łopatę, którą tam porzuciłem.

Rzecz zaczęła wyglądać źle. Spuściliśmy na wodę szalupę. Druga była gotowa do spuszczenia w każdej chwili. Mieliśmy jeszcze trzecią, czternastostopową, na tylnym żurawiu, gdzie była bezpieczna.

A wtedy, wyobraźcie sobie, dym nagle osłabł. Podwoiliśmy wysiłki, żeby zalać dół statku. W dwa dni dymu nie było. Wszyscy szeroko się uśmiechali. To był piątek. W sobotę żadnej roboty, poza płynięciem oczywiście. Ludzie robili pranie i myli się pierwszy raz od dwu tygodni, i dostali specjalny obiad. Z pogardą mówili o samoczynnym zapłonie i dawali do zrozumienia, że to dzięki nim udało się go ugasić. Czuliśmy się tak, jakby każdy z nas nagle odziedziczył wielką fortunę. Ale ten wstrętny smród spalenizny ciągle trzymał się statku. Kapitanowi Beardowi zapadły się oczy i policzki. Jakoś przedtem nigdy nie zauważałem, jak bardzo jest pokręcony i krzywy. Obaj z Mahonem, węsząc, krążyli czujnie wokół wlotów i szybów wentylacyjnych. Uderzyło mnie nagle, że biedny Mahon też jest bardzo, bardzo starym facetem. Sam natomiast byłem zadowolony i dumny z siebie, jakbym pomógł wygrać wielką bitwę morską. O, młodości!

Noc minęła bez problemów. Rano przepłynął obok nas statek – pierwszy, jaki widzieliśmy od miesięcy; wreszcie byliśmy bliżej lądu, Przylądek Jawajski mieliśmy jakieś sto dziewięćdziesiąt mil przed sobą, niemal dokładnie na północ.

Następnego dnia trzymałem wachtę na deku od ósmej do dwunastej. Przy śniadaniu kapitan stwierdził: „Niesamowite, jak ten zapach utrzymuje się w kajucie”. Około dziesiątej, kiedy pierwszy oficer był na rufie, zszedłem na chwilę na główny pokład. Z tyłu za grotmasztem stał warsztat ciesielski, wsparłem się na nim, pociągając fajkę, a stolarz, młody gość, podszedł, żeby pogadać. „Zdaje mi się, żeśmy sobie poradzili, prawda?” – rzucił. A wtedy zauważyłem z irytacją, że ten kretyn stara się wywrócić stół. Rzuciłem ostro: „Przestań, Chips!”, i natychmiast zdałem sobie sprawę z dziwnego uczucia, absurdalnego złudzenia – czułem, że jestem jak gdyby w powietrzu. Posłyszałem dźwięk, jakby ktoś znienacka wypuścił sprężone powietrze, jakby tysiąc olbrzymów naraz powiedziało: „Puu” – i poczułem

głuche tąpnięcie, od którego nagle zabolały mnie żebra. Nie było wątpliwości – byłem w powietrzu, moje ciało kreśliło krótką parabolę. Krótką, nie krótką, ale miałem dość czasu, by pomyśleć kilka rzeczy w tej, o ile dobrze pamiętam, kolejności: „To nie stolarz – więc kto? – Wypadek? – Podwodny wulkan? – Węgiel! – Na Jowisza! Właśnie wybuchamy – wszyscy zginęli – spadam do tylnego włazu – w środku jest ogień”.

W momencie wybuchu pył węglowy zawieszony w powietrzu ładowni rozżarzył się do czerwoności. W mgnieniu oka, w nieskończenie drobnym ułamku sekundy od tego pierwszego przechylenia stołu leżałem rozciągnięty na całą długość na ładunku. Pozbierałem się i wygramoliłem na zewnątrz. Szybko, jakbym się od niego odbił. Pokład był rumowiskiem pogruchotanego drewna, na całej powierzchni belki na belkach, jak drzewa w lesie po huraganie. Przede mną lekko falowała potężna kurtyna z brudnych szmat – podarty na strzępy grotmarsel. Pomyślałem: „Zaraz będzie się walił maszt”; i żeby zejść mu z drogi, skoczyłem na czworaka ku drabince rufowej. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Mahon, z oczyma jak spodki, otwartymi ustami i długimi białymi włosami stojącymi na głowie niczym srebrzysta aureola. Właśnie zamierzał zejść na dół, kiedy widok głównego pokładu, który rusza się, wzdyma i zamienia na jego oczach w pobojowisko, przykuł go do pierwszego stopnia drabinki. Gapiłem się na niego z niedowierzaniem, a on gapił się na mnie z dziwnym wyrazem zdumienia i szoku. Nie wiedziałem, że nie mam włosów ani brwi i rzęs, że mój młodzieńczy wąs został spalony, twarz mam czarną, jeden policzek rozcięty, zraniony nos i krwawiącą brodę. Straciłem czapkę, jeden pantofel, koszulę miałem w strzępach. Żadnej z tych rzeczy nie byłem świadomy. Zdumiewało mnie, że statek wciąż płynie, że pokład rufowy jest cały, a przede wszystkim, że widzę kogoś żywego. Również spokój nieba i łagodność morza były niezwykle zaskakujące. Chyba spodziewałem się, że zobaczę, jak drżą z przerażenia… Podaj no butelkę.

Jakiś głos wzywał statek, ale skąd – z powietrza, z nieba? – nie umiałem stwierdzić. Zobaczyłem kapitana – zwariował. Zapytał mnie energicznie:

„Gdzie stół z kajuty?”. Usłyszeć takie pytanie, to był koszmarny wstrząs. Właśnie wyleciałem w powietrze, rozumiecie, cały aż dygotałem od tego – nie byłem pewien, czy żyję. Mahon zaczął tupać nogami i wrzeszczeć: „Dobry Boże! Nie widzi pan, że pokład eksplodował?”. Odzyskałem mowę i wyjąkałem, jakbym przyznawał się do jakiegoś poważnego zaniedbania obowiązku: „Nie wiem, gdzie jest stół z kajuty”. To wszystko było jak absurdalny sen.

Wiecie, czego chciał zaraz potem? Otóż chciał, żeby sklarować reje. Bardzo łagodnie i jakby w zamyśleniu upierał się, żeby sklarować przednie reje. „Nie wiem, czy ktoś w ogóle żyje” – odezwał się Mahon, niemal z płaczem. „Z pewnością – odrzekł kapitan spokojnie – zostało ich tylu, żeby sklarować przednie reje”.

Zdaje się, że stary był u siebie w koi i nakręcał chronometry, gdy wstrząs wyrzucił go w powietrze. Natychmiast przyszło mu do głowy – jak nam potem mówił – że statek w coś uderzył, więc wybiegł do kajuty nawigacyjnej. A tam zobaczył, że stół gdzieś zniknął. Skoro pokład wybuchł, spadł oczywiście do achterpiku. Tam, gdzie rano jedliśmy śniadanie, kapitan zobaczył tylko wielką dziurę w podłodze. Wydało mu się to tak potwornie tajemnicze i zrobiło na nim tak wielkie wrażenie, że wszystko, co usłyszał i zobaczył po wyjściu na dek, w porównaniu z tym zdało mu się drobnostką. I wiecie, natychmiast zauważył, że za sterem nie ma nikogo, a bark zszedł z kursu – więc jego jedyną myślą było ustawić tę żałosną, obdartą, pozbawioną deku, dymiącą skorupę z powrotem dziobem w kierunku portu docelowego. Do Bangkoku! To był jego cel. Powiadam wam, ten cichy, zgarbiony, krzywonogi, niemal zdeformowany człowieczek był potężny w swej jedynej idei oraz w łagodnej nieświadomości naszego niepokoju. Popędził nas rozkazującym gestem, a sam poszedł stanąć za sterem.

Tak, to była pierwsza rzecz, którą zrobiliśmy – sklarowanie rei tego wraku! Nikt nie zginął, a nawet nie został ranny, ale każdy odniósł takie czy inne obrażenia. Trzeba było widzieć tych ludzi! Niektórzy w łachmanach, z czarnymi twarzami, jak węglarze, jak kominiarze, z okrągłymi głowami,

które wyglądały na ogolone, ale w istocie były spalone do skóry. Inni, z podwachty, obudzili się, kiedy wyrzuciło ich z rozpadających się koi, trzęśli się nieustannie i wciąż jęczeli, nawet kiedy zabraliśmy się do pracy. Ale wszyscy pracowali. Ta załoga z Liverpoolu – twardziele, a w środku mieli to, co mieć powinni. Z mojego doświadczenia wynika, że oni zawsze tacy byli. To zasługa morza, tego ogromu, samotności otaczającej ich ciemne, powściągliwe dusze. Och! Tak! Potykaliśmy się, pełzaliśmy, upadaliśmy i obijaliśmy golenie wśród tych ruin. Maszty stały, ale nie wiedzieliśmy, na ile są zwęglone od spodu. Było niemal spokojnie, lecz od zachodu szła długa fala, która rozkołysała statek. Maszty mogły runąć w każdej chwili. Patrzyliśmy na nie z obawą. Nie dało się przewidzieć, w którą stronę polecą.

Potem wycofaliśmy się na rufę i rozejrzeliśmy się wokoło. Pokład zmienił się w plątaninę desek na sztorc, desek bez końca, wszystko w drzazgach, potrzaskane drewno. Maszty wystawały z tego chaosu jak wielkie drzewa ponad skłębionymi zaroślami. Szczeliny tej masy szczątków wypełniało coś białego, lepkiego, kłębiącego się – coś jakby tłusta mgła. Dym z niewidzialnego ognia znów się podnosił, ciągnął niczym trujący opar po dolinie zapchanej martwym drewnem. Leniwe smużki już zaczynały się unosić nad tą masą połamanego drewna. Tu i ówdzie jakiś pionowy kawałek belki sterczał niczym słup. Połowa kołkownicy przebiła fok, przez haniebnie brudne płótno przeświecała teraz łata cudownego błękitu. Kilka desek trzymających się razem upadło skosem na reling, jeden ich koniec wystawał poza pokład, niczym trap prowadzący w nicość, trap w głąb morza, trap wiodący ku śmierci – zachęta, by wyjść i pozbyć się tych żałosnych kłopotów. Lecz powietrze, niebo czy jakiś duch, coś niewidzialnego wciąż wzywało nasz statek.

Komuś wreszcie starczyło rozsądku, żeby spojrzeć za burtę, a tam był nasz sternik, który odruchowo skoczył do wody, a teraz bardzo chciał wrócić. Wrzeszczał i płynął krzepko niczym wodnik, żeby utrzymać się na wysokości statku. Rzuciliśmy mu linę i oto stał między nami wycieńczony, a woda lała się z niego strumieniami. Kapitan porzucił stery, stał sam,

osobno, łokieć oparł o reling, brodę wsparł na dłoni i tęsknie spoglądał w morze. Zadawaliśmy sobie pytanie, co dalej? A ja myślałem: „No, to jest to. To jest cudowne. Ciekawe, co się teraz wydarzy”. O, młodości!

Nagle Mahon zauważył w dali za rufą parowiec. Kapitan Beard rzekł: „Jeszcze coś z tego statku będzie”. Podnieśliśmy dwie flagi, które w międzynarodowym kodzie morskim znaczą: „Pożar. Potrzeba natychmiastowej pomocy”. Parowiec nagle urósł i rychło odpowiedział dwiema flagami na przednim maszcie: „Płyniemy z pomocą”.

W pół godziny zrównali się z nami od nawietrznej na odległość krzyku, lekko się kołysząc, na zgaszonej maszynie. Straciliśmy zimną krew i wrzeszczeliśmy wszyscy naraz w podnieceniu: „Mieliśmy wybuch!”. Stojący na mostku człowiek w białym hełmie odkrzyknął: „Tak! W porządku! W porządku!”, kiwał głową, uśmiechał się i wykonywał rękami takie gesty jak do gromadki przestraszonych dzieci. Jedna z ich łodzi opadła na wodę i podeszła do nas na długich wiosłach. Czterej *kelasi* ciągnęli ją w rozkołysanym rytmie. Po raz pierwszy widziałem wtedy malajskich marynarzy. Od tego czasu dobrze ich poznałem, ale wówczas uderzyła mnie ich obojętność: podeszli do nas, lecz nawet ich bosakowy, który stał w łodzi i trzymał bosakiem nasz łańcuch, nie potrudził się, żeby podnieść głowę i spojrzeć na nas. Wydawało mi się, że ludzie, którzy właśnie przeżyli wybuch, zasługują na nieco więcej uwagi.

Mały człowieczek, suchy jak szczapa i ruchliwy jak małpa, wspiął się na górę. To był starszy oficer tego parowca. Rzucił okiem i zawołał: „O chłopaki, lepiej się zbierajcie!”.

Milczeliśmy. Przez chwilę rozmawiał z kapitanem na osobności, jakby się z nim spierał. Potem we dwóch udali się na parowiec.

Kiedy nasz kapitan wrócił, dowiedzieliśmy się, że parowiec nazywa się Sommerville, że pod kapitanem Nashem płynie z pocztą z zachodniej Australii do Singapuru przez Batawię i że układ jest taki: pociągną nas – jeśli się da – do Andżeru albo Batawii, gdzie będziemy mogli ugasić pożar przez zalanie ładowni, a potem kontynuować trasę do Bangkoku! Stary

wyglądał na podnieconego. „Jeszcze tam dotrzemy!” – rzekł dobitnie do Mahona. Zaciśniętą pięścią pogroził niebu. Nikt nie rzekł na to ani słowa.

W południe zaczęli nas holować. Parowiec szedł przed siebie, szczupły i wysoki, a za nim, na liczącej siedem sążni linie holowniczej to, co zostało z Judei – chmura dymu, z której sterczały topy masztów. Wdrapaliśmy się na górę, żeby zwinąć żagle. Kaszleliśmy na rejach, starannie pracując przy szmatach. Widzicie nas tam, jak starannie klarujemy żagle na statku skazanym na to, by nigdzie nie dotrzeć? Nie było wśród nas ani jednego, który by nie pomyślał, że te maszty mogą w każdej chwili runąć. Z góry nie widzieliśmy pokładu, tylko dym, ale wszyscy pracowali starannie, przy każdym obrocie podając sobie sejzyngi. „Klar na żaglach tam na górze!” – krzyczał z dołu Mahon.

Rozumiecie to? Nie wyobrażam sobie, żeby którykolwiek z tych gości wierzył, że zwyczajnym sposobem zejdzie na dół. Kiedyśmy jednak zeszli, słyszałem, jak jeden mówi do drugiego: „Już myślałem, że znajdziemy się na dole jako jedna kupa, z patykami i ze wszystkim, niech mnie diabli, jeśli tak nie myślałem”. „Ja dokładnie to samo” – odpowiedział ze znużeniem ten drugi, poharatany i połatany strach na wróble. A weźcie pod uwagę, że to byli ludzie, których nie musztrowano w posłuszeństwie. Na kimś z zewnątrz mogli robić wrażenie gromady nic niewartych łobuzów, pozbawionych jakiejkolwiek wartości. Co ich skłoniło, żeby to zrobić – żeby posłuchać mnie, kiedy świadomy tego, jak dobrze jest zwinięty, kazałem im dwukrotnie zrzucać bant foka, żeby wyszło jeszcze lepiej? Co takiego? Nie mieli żadnej zawodowej sławy – żadnych przykładów, żadnych pochwał. Nie było to poczucie obowiązku; wszyscy oni umieli świetnie unikać roboty, obijać się i lenić, kiedy tylko chcieli, a najczęściej chcieli. Czy chodziło o te dwa funty i dziesięć szylingów na miesiąc? Przecież uważali, że ta zapłata nie jest warta nawet połowy ich roboty. Nie, to było coś w nich; coś, z czym się urodzili, coś subtelnego a trwałego. Nie chcę przez to powiedzieć, że załoga francuskich czy niemieckich marynarzy floty handlowej by tego nie zrobiła, wątpię jednak, czy zrobiłaby to w taki sam sposób. W ich robocie była pełnia, coś

nienaruszalnego jak zasada i władczego jak instynkt – ujawniała się w niej jakaś tajemnica – to coś, co pozostaje w ukryciu, ten dar dobra albo zła, który tworzy różnice rasowe, który kształtuje losy narodów.

Tego wieczora o dziesiątej po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy walkę z pożarem, zobaczyliśmy ogień. Pęd holowania dostarczył powietrza tlącemu się żywiołowi zniszczenia. Niebieskawa poświata zaczęła przeświecać przez wrak pokładu w przedniej części statku. Falowała to tu, to tam, wyglądało to tak, jakby się poruszała, jakby pełzała niczym świetlik. Pierwszy zobaczyłem ten blask i pokazałem go Mahonowi. „Koniec zabawy – stwierdził. – Musimy przerwać holowanie, bo inaczej statek wybuchnie nagle od przodu i od tyłu, zanim zdążymy się z niego zabrać". Podnieśliśmy wrzask, dzwoniliśmy, żeby zwrócić ich uwagę, ale oni ciągnęli dalej. W końcu byliśmy z Mahonem zmuszeni podpełznąć na dziób i odciąć linę siekierami. Nie było czasu na zrzucanie holu. Kiedyśmy wracali na rufę, czerwone języry już zaczynały lizać plątaninę belek pod naszymi nogami.

Oni tam na parowcu oczywiście zaraz się zorientowali, że lina puściła. Dał się słyszeć ostry sygnał gwizdka, ich światła zatoczyły wielki krąg, podeszli blisko do naszej burty i zatrzymali się. Wszyscy ludzie stali z węzełkami lub torbami. Nagle smukły płomień o zawiniętym czubku wyskoczył w górę i rzucił na czarne morze okrąg światła, w którym znalazły się stojące burta w burtę statki, a potem opadł łagodnie pomiędzy nimi. Kapitan Beard, nieruchomy i milczący, od wielu godzin siedział na kratownicy, teraz podniósł się wolno i podszedł ku nam, do szczątków bezanu. Kapitan Nash krzyknął: „Chodźcie! Ostrożnie. Wiozę pocztę. Wezmę was i wasze łodzie do Singapuru".

„Dzięki! Ale nie! – odkrzyknął nasz kapitan. – Musimy zostać z naszym statkiem do końca".

„Nie mogę dłużej czekać – zawołał tamten. – Poczta, rozumie pan".

„Tak, tak. Damy radę".

„W porządku. Zaraportuję o was w Singapurze… Do widzenia!"

Pomachał nam. Nasi ludzie w milczeniu odłożyli tobołki. Parowiec ruszył naprzód, opuścił krąg światła i od razu zniknął nam z oczu oślepionych pożarem, który płonął coraz mocniej. A wtedy zdałem sobie sprawę, że Wschód przywitam jako kapitan małej łodzi. Uznałem, że to w porządku, w porządku też była wierność wobec starego statku. Powinniśmy zostać z nim do końca. Och, cudowna młodości! Och, ten twój ogień, płonący jaśniej niż ogarnięty pożarem statek, ten ogień rzucający czarodziejski blask na całą ziemię, bezczelnie skaczący pod niebiosa, chociaż zaraz stłumi go czas, który jest okrutniejszy, bardziej bezlitosny i gorzki niż morze – ogień młodości, tak jak płomienie płonącego statku otoczony nieprzeniknioną nocą.

Stary zapowiedział nam tym swoim łagodnym i nieugiętym tonem, że do naszych obowiązków należy uratowanie wszystkiego, co tylko się da z wyposażenia, dla ubezpieczycieli. Zabraliśmy się więc do roboty na rufie, skoro statek płonął od dziobu, zapewniając nam doskonałe oświetlenie. Wywlekliśmy całą masę śmiecia. Czegośmy to nie uratowali! Stary barometr, przymocowany jakąś absurdalną liczbą śrub, niemal przypłaciłem życiem: nagle przyszedł podmuch dymu, ale w ostatniej chwili uciekłem. Różne zapasy, rulony płótna, zwoje lin. Rufa wyglądała jak targ żeglarski, a łodzie wypakowaliśmy po dulki. Można było pomyśleć, że stary chce ze swojego pierwszego dowództwa zabrać wszystko, co tylko się da. Był bardzo, bardzo spokojny, ale ewidentnie nie w pełni równowagi. Uwierzylibyście? Chciał zabrać ze sobą do szalupy stary łańcuch kotwicy prądowej i kotwicę zawoźną. Powiedzieliśmy na to z szacunkiem: „Tak jest, kapitanie”, ale nam te rzeczy po cichu wypadły za burtę. Podobnie ciężka apteczka, dwa worki zielonej kawy, puszki farby – wyobrażacie sobie, farby! – i cała masa innych rzeczy. Potem z dwoma majtkami dostałem rozkaz wypakowania łodzi i przygotowania ich na moment właściwy do opuszczenia statku.

Ułożyliśmy wszystko jak trzeba, ustawiliśmy maszt w szalupie, którą miał dowodzić nasz kapitan, a ja bez przykrości na chwilę usiadłem. Twarz

miałem spaloną, każda część ciała bolała mnie, jakby była połamana, czułem żebra i przysiągłbym, że kręgosłup mam przetrącony. Przycumowane do rufy łodzie stały w głębokim cieniu, otaczał nas oświetlony pożarem okrąg morza. W górę buchnął gigantyczny płomień – prosty i czysty. Płonął jasno, wydając odgłos jak furkot skrzydeł, jak łoskot burzy. Słychać było trzaski, detonacje, a spośród płomieni w górę strzelały iskry, bo człowiek rodzi się, by znosić trud, nieszczelne statki, statki, które płoną.

Martwiłem się tylko, że skoro statek stoi bokiem do fali, a wiatr jest, jaki jest – ledwie powiew – łodzie nie będą chciały się trzymać za rufą, gdzie były bezpieczne, ale uprą się, jak to łodzie, żeby wleźć pod nawis rufy i się rozkołysać. Już obijały się o siebie niebezpiecznie i zbliżały do ognia, a statek na nie napływał, poza tym w każdej chwili groziło nam, że maszt zwali się na tę stronę. Razem z moimi dwoma majtkami za pomocą wioseł i bosaków trzymaliśmy łodzie najdalej jak się dało; ale ta robota zaczęła nas wyczerpywać, zwłaszcza że nie było żadnego powodu, by nie odpływać natychmiast. Nie widzieliśmy nikogo na pokładzie, nie mieliśmy pojęcia, co ich zatrzymuje. Moi ludzie klęli cicho, a ja przecież nie tylko miałem swoją robotę do wykonania, ale musiałem jeszcze utrzymać w karbach tych dwóch, niezmiennie wykazujących skłonność, by się położyć i pozwolić sprawom przyjąć własny obrót.

W końcu zawołałem: „Hej, tam na deku!”, aż ktoś wyjrzał. „Jesteśmy gotowi!” – powiedziałem. Głowa znikła, za chwilę pojawiła się znowu. „Kapitan mówi, że bardzo dobrze, sir, i żeby trzymać łodzie z dala od statku”.

Minęło pół godziny. Wtedy rozległ się straszliwy hałas, trzask, dzwonienie łańcuchów i syk wody, a miliony iskier wzleciały w rozedrganą kolumnę dymu, która w lekkim przechyle stała nad statkiem. Wypaliły się stopery kotwiczne i dwie rozgrzane do czerwoności kotwice runęły w morze, wywlekając za sobą dwieście jardów rozpalonego łańcucha. Statek się zatrząsł, masa dymu zafalowała, jakby się miała przewrócić, runął fokmaszt z bramstengą. Śmignął w dół jak strzała ognia, zanurkował

i natychmiast wyskoczył z powrotem na odległość wiosła od naszych łodzi, gdzie unosił się spokojnie na wodzie, kompletnie czarny na tle rozświetlonego morza. Znów zakrzyknąłem na dek. Po jakimś czasie któryś z ludzi niespodzianie radosnym, lecz także zduszonym głosem, jakby starał się mówić z zamkniętymi ustami, poinformował mnie: „Zaraz idziemy, proszę pana”. Przez długi czas nie słyszałem niczego, tylko łopot i łoskot ognia. I jakieś takie pogwizdywania. Łodzie podskakiwały, szarpały za falenie, goniły się, obijały o siebie albo, bez względu na nasze usiłowania, waliły razem w burtę statku. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać, więc wspiąłem się po linie i wgramoliłem na rufę.

Jasno było jak w dzień. Kiedy tam stanąłem, ściana ognia tworzyła widok przerażający, a żar był w pierwszej chwili nie do wytrzymania. Na wyciągniętej z kajuty poduszce od kanapy, z podkurczonymi nogami i ręką pod głową leżał kapitan Beard i spał smacznie, a blask płomieni igrał na jego sylwetce. A wiecie, czym zajmowała się reszta? Siedzieli całkiem z tyłu na deku rufowym wokół otwartej skrzynki, zajadali chleb z serem i popijali porter z butelek.

Na tle płomieni, które wyginały się nad ich głowami jęzorami żaru, czuli się komfortowo, jak salamandry, a wyglądali jak banda gotowych na wszystko piratów. Ogień połyskiwał w białkach oczu, lśnił na jasnej skórze wyłaniającej się z podartych ubrań. Każdy wyglądał jak po bitwie – obandażowane głowy, przewiązane ramię, kawał starej szmaty wokół kolana – każdy trzymał między nogami butelkę, a w ręku kawał sera. Mahon wstał. Z tą przystojną a rozczochraną głową, ptasim profilem, długą białą brodą i otwartą butelką w ręku mógłby być jednym z tych dawnych zuchwałych rabusiów morskich, weselących się wśród gwałtów i pożogi. „Ostatni posiłek na pokładzie – wyjaśnił poważnie. – Przez cały dzień nic nie jedliśmy, a nie było sensu tego tu zostawiać”. Machnął butelką i wskazał na śpiącego kapitana. „Powiedział, że niczego nie zdoła przełknąć, więc go tu na chwilę położyłem – mówił dalej, a widząc moje spojrzenie dodał: – Nie wiem, czy pan wie, młody człowieku, że ten facet od wielu dni nie spał, a w tych cholernych łodziach także nie należy się

spodziewać zbyt wielu okazji do snu”. „Jeśli będziecie jeszcze dłużej zwlekać, to również łodzi nie należy sie spodziewać” – odezwałem się z oburzeniem. Podszedłem do kapitana i potrząsnąłem go za ramię. W końcu otworzył oczy, ale się nie ruszył. „Czas schodzić ze statku, sir” – powiedziałem cicho.

Podniósł się z wysiłkiem, spojrzał na płomienie, na morze – wokół nas roziskrzone, a dalej czarne, czarne jak atrament; spojrzał na gwiazdy przeświecające przez cienki welon dymu na niebie czarnym, czarnym jak Ereb.

„Najmłodsi przodem” – polecił.

Wtedy zwykły marynarz wierzchem dłoni otarł usta, wstał, przekroczył reling rufowy i zniknął. Inni poszli za nim. Jeden, w momencie kiedy przechodził nad relingiem, zatrzymał się, by wysączyć do końca butelkę i zdecydowanym ruchem ramienia cisnął nią w płomienie. „A masz!” – zawołał.

Kapitan, niepocieszony, ociągał się jeszcze, więc zostawiliśmy go na chwilę, żeby pobył sam na sam ze swoim pierwszym dowództwem. Po chwili znowu podszedłem do niego i w końcu sprowadziłem go na dół. Najwyższy czas. Metal na rufie był już gorący.

Potem odcięto faleń szalupy i trzy powiązane ze sobą łodzie odpłynęły od statku. Opuściliśmy go szesnaście godzin po wybuchu. Mahon objął dowództwo nad drugą łodzią, ja miałem tę najmniejszą, czternastostopową. Sama szalupa wzięłaby nas wszystkich, ale kapitan oświadczył, że musimy uratować, co się da – dla ubezpieczycieli – i w ten sposób objąłem swoje pierwsze dowództwo. Miałem dwóch ludzi, torbę sucharów, parę puszek mięsa i dzban wody. Dostałem rozkaz trzymać się blisko szalupy, żeby na wypadek złej pogody mogli nas wziąć do siebie.

A wiecie, co sobie pomyślałem? Pomyślałem, że oddalę się od nich, kiedy tylko będę mógł. Swoje pierwsze dowództwo chciałem mieć całkowicie dla siebie. Nie zamierzałem płynąć szwadronem, skoro tylko były szanse na samodzielne żeglowanie. Sam dotrę do lądu. Wyprzedzę pozostałych. Młodość! Cała młodość! Głupia, cudowna, piękna młodość.

Ale nie ruszyliśmy od razu. Musieliśmy zostać ze statkiem do końca. Łodzie dryfowały więc przez noc, unosząc się i kołysząc na fali. Ludzie drzemali, budzili się, jęczeli. Ja patrzyłem na płonący statek.

Pomiędzy ciemnością nieba i ziemi płonął jasno na okręgu purpurowego morza, przecinanego krwistoczerwoną grą pobłysków; na lśniącym złowrogo okręgu morza. Wysoki jasny płomień, potężny samotny płomień wznosił się z oceanu, a z jego wierzchołków bezustannie sączył się w niebo czarny dym. Płonął szaleńczo, żałobnie i przejmująco, niczym rozpalony nocą stos pogrzebowy, otoczony morzem, pod czujnym okiem gwiazd. Ta wspaniała śmierć przyszła jak łaska, jak dar, jak nagroda dla tego statku u kresu jego pracowitych dni. W tym akcie poddania strudzonego ducha opiece gwiazd i morza było coś poruszającego, niczym widok dumnego triumfu.

Maszty padły tuż przed świtem, a wtedy na moment iskry rozprysły się i zakotłowały tak, że wyglądało, jakby miały wypełnić lotnym ogniem noc cierpliwą i czujną, tę wielką noc, w milczeniu leżącą na wodzie. W świetle poranka statek był już tylko zwęgloną skorupą, unoszącą się wciąż na wodzie pod chmurą dymu, z rozżarzoną masą węgla w środku.

Wtedy chwyciliśmy za wiosła i nasze łodzie pod przewodem szalupy, jedna za drugą, jakby w procesji opłynęły statek. Kiedyśmy byli za rufą, wystrzeliła ku nam groźnie smukła strzała ognia i zaraz z sykiem pary zanurkowała pod wodę. Niespalona rufa szła na dno jako ostatnia, ale farba zeszła, popękała i złuszczyła się, żadna litera, żadne słowo, żadna uparta dewiza, która była dla tego statku jak dusza, nie rozbłysła w promieniach wschodzącego słońca ani nazwą, ani mottem.

Skierowaliśmy się na północ. Zawiała bryza, koło południa po raz ostatni zebraliśmy się trzema łodziami na wodzie. Ja nie miałem masztu ani żagla, ale zrobiłem sobie maszt z zapasowego wiosła, żagiel z tentu, a reję z bosaka. Łódź na pewno była przeżaglowana, ale miałem satysfakcję, że jeśli przyjdzie baksztag, mam szansę wyprzedzić tamtych. Wiedziałem, że muszę na nich czekać. Potem wszyscy spojrzeliśmy na kapitańską mapę i po wspólnym posiłku ze starego chleba i wody odebraliśmy ostatnie

polecenia. Były proste: sterować na północ i trzymać się razem, na ile to będzie możliwe. „Uważaj z tym bieda-takielunkiem, Marlow” – powiedział kapitan. A Mahon, kiedy dumnie przepłynąłem obok jego łodzi, zmarszczył zakrzywiony nos i zawołał: „Pożeglujesz na tym swoim stateczku pod wodę, jeśli nie będziesz się miał na baczności, młody człowieku”. To był stary złośliwiec – i niech głębokie morze, gdzie teraz śpi, kołysze go delikatnie, niech go delikatnie kołysze do końca czasów!

Przed zachodem mocny szkwał z deszczem przeszedł nad tamtymi dwiema łodziami, które były daleko za mną, i wtedy straciłem je z oczu. Następnego dnia siedziałem przy sterze swojej łupinki – mojego pierwszego dowództwa – a wokół mnie była tylko woda i niebo. Po południu spostrzegłem w oddali górne żagle jakiegoś statku, ale nic nie powiedziałem, a moi ludzie ich nie zauważyli. Widzicie, bałem się, że ten statek może płynąć w stronę domu, a ja nie miałem zamiaru zawracać tuż przed progiem Wschodu. Sterowałem na Jawę – oto kolejna błogosławiona nazwa – jak Bangkok, sami wiecie. Sterowałem tak przez wiele dni.

Nie muszę wam mówić, co to znaczy poniewierać się po morzu w otwartej łódce. Pamiętam noce i dnie ciszy, gdyśmy ciągnęli i ciągnęli, a łódź niemal stała w miejscu, jakby znalazła się w okolonym horyzontem zaklętym kręgu morza. Pamiętam upał, potopy szkwałów deszczowych, po których walcząc o życie, wybieraliśmy z łodzi wodę (za to napełnialiśmy zbiornik) i pamiętam szesnaście ciągnących się w nieskończoność godzin, kiedy z ustami suchymi jak popiół i z wiosłem przełożonym przez rufę, utrzymywałem swój pierwszy statek przodem do wzbierających fal. Dotąd nie wiedziałem, do czego się nadaję. Pamiętam ściągnięte twarze, przygnębione sylwetki moich dwóch ludzi i pamiętam swoją młodość, poczucie, które nigdy już do mnie nie wróci – poczucie, że będę trwał na wieki, że przeżyję morze, ziemię, wszystkich ludzi; to oszukańcze poczucie, które zwodzi nas ku radościom, ku niebezpieczeństwom, ku miłości, ku wysiłkowi na próżno – ku śmierci; triumfalne przekonanie o swej sile, żar życia w garstce popiołu, iskrę w sercu, która z każdym rokiem przygasa, stygnie, kurczy się i wypala – wypala się zbyt prędko,

zbyt prędko – zanim życie zgaśnie. I tak właśnie widzę Wschód. Poznałem jego sekretne miejsca i zajrzałem w głąb jego duszy, ale teraz już na zawsze patrzę z małej łódki na wysoki zarys gór, błękitnych i dalekich o poranku; delikatną mgiełkę w południe; postrzępioną purpurę o zachodzie słońca. Czuję wiosło w ręce, widzę rozpalone niebieskie morze. I widzę zatokę, szeroką zatokę, gładką jak szkło i wypolerowaną jak lód, która połyskuje w ciemności. Czerwone światło płonie gdzieś w mroku lądu, a noc jest miękka i ciepła. Ciągniemy wiosła obolałymi ramionami, aż nagle z tej cichej nocy dociera do nas wiatr, podmuch delikatny, letni i niosący dziwne wonie kwiatów, aromatycznego drewna – pierwszy oddech Wschodu na mej twarzy. Tego nie zapomnę nigdy. To było nieuchwytne i zniewalające, jak czar, jak szeptane obietnice tajemniczej rozkoszy.

Ten ostatni kawałek ciągnęliśmy jedenaście godzin. Dwaj wiosłowali, a odpoczywający siedział przy sterze. Dostrzegliśmy to czerwone światło w zatoce i sterowaliśmy na nie, domyślając się, że oznacza jakiś niewielki port na wybrzeżu. Minęliśmy dwa stojące na kotwicach statki, dziwaczne, o wysokich rufach, a zbliżając się do światła, teraz bardzo już niewyraźnego, rąbnęliśmy dziobem w koniec wystającej w morze kei. Byliśmy ślepi ze zmęczenia. Moi ludzie rzucili wiosła i spadli z ławeczek jak martwi. Przycumowałem do jakiegoś pala. Nurt marszczył się miękko. Pachnąca ciemność na brzegu składała się z ogromnych mas, przypuszczalnie z gęstwiny potężnych kęp roślinności – niemych, o fantastycznych kształtach. A u ich stóp niczym miraż połyskiwało delikatnie półkole plaży. Żadnego światła, ruchu czy dźwięku. Tajemniczy Wschód patrzył mi w twarz, wonny jak kwiat, cichy jak śmierć, ciemny jak grób.

A ja siedziałem, czując zmęczenie nie do wyrażenia, w ekstazie zdobywcy, bezsenny i zauroczony, jak wobec głębokiej, brzemiennej w znaczenie zagadki.

Na nogi poderwał mnie plusk wioseł, miarowy chlupot na poziomie wody, w ciszy wybrzeża rozbrzmiewający niczym głośne klaśnięcia. Łódź,

europejska łódź, wpływała do zatoki. Wywołałem imię umarłego: „Judea, ahoj!”. Odpowiedział mi lekki okrzyk.

Był to kapitan. Pobiłem okręt flagowy o trzy godziny i ucieszył mnie teraz głos starego, drżący i zmęczony. „Czy to pan, Marlow?” „Niech pan uważa na tę keję, kapitanie” – odkrzyknąłem.

Podchodził ostrożnie i wyciągnął ołowiankę, którą żeśmy uratowali – dla ubezpieczycieli. Poluzowałem faleń i odpadłem wzdłuż nabrzeża. Kapitan siedział, złamana postać na rufie, mokra od rosy, z rękami złożonymi na kolanach. Jego ludzie już spali. „Strasznie było ciężko – wymamrotał. – Mahon jest z tyłu, zaraz za mną”. Rozmawialiśmy szeptem, cichym szeptem, jakbyśmy się bali, że obudzimy ten ląd. Naszych ludzi nie wyrwałyby wtedy ze snu strzelby, pioruny ani trzęsienie ziemi.

Rozglądając się podczas rozmowy, zauważyłem daleko na morzu jasne światło przesuwające się w ciemności. „Tam przepływa parowiec” – powiedziałem. Nie przepływał, podchodził tu, a nawet podszedł blisko i zakotwiczył. „Chciałbym – powiedział stary – żeby się pan dowiedział, czy to angielski. Może mogą nas gdzieś podwieźć”. Wydawał się podenerwowany i rozstrojony. Kuksańcami i kopnięciami przywróciłem więc jednego z moich ludzi do stanu somnambulizmu, dałem mu wiosło, sam wziąłem drugie i ruszyliśmy w stronę świateł parowca.

Dochodziły z niego szmery głosów, pusty metaliczny brzęk od strony silników, kroki na deku. Okienka świeciły, okrągłe niczym rozszerzone źrenice. Kształty poruszały się, a wysoko na mostku widać było cienistą postać człowieka. Usłyszał moje wiosła.

A wtedy, zanim zdążyłem otworzyć usta, Wschód przemówił do mnie, ale przemówił głosem Zachodu. W tajemniczą, pamiętną ciszę runął potok słów, dziwaczne, wściekłe słowa, pomieszane ze słowami, a nawet całymi zdaniami w porządnej angielszczyźnie, mniej dziwnymi, ale za to bardziej zaskakującymi. Głos ów przeklinał gwałtownie, dziurawił uroczysty spokój zatoki gradem obelg. Zaczął, nazywając mnie świnią, a potem poszedł istny deszcz epitetów, których nie przytoczę – po angielsku. Człowiek na górze wściekał się na głos w dwóch językach i to w furii tak szczerej, że prawie

mnie przekonał, że zgrzeszyłem przeciwko harmonii wszechświata. Niemal go nie widziałem, ale zaczynałem się martwić, że zaraz dostanie jakiegoś ataku.

Nagle przerwał, słychać było tylko, jak sapie i dyszy niczym morświn. Odezwałem się:

„Przepraszam, co to za parowiec?”

„Co? O co chodzi? Kim pan jest?”

„Rozbitkowie z załogi angielskiego barku, który spłonął na morzu. Przypłynęliśmy tu dziś w nocy. Jestem drugim oficerem. Kapitan jest w szalupie i chciałby wiedzieć, czy możecie nas dokądś zabrać”.

„O mój Boże! To znaczy… to jest Celestial w drodze powrotnej z Singapuru. Umówimy się z waszym kapitanem rano… i… to znaczy… słyszał pan, co mówiłem wcześniej?”

„Zdaje mi się, że cała zatoka pana słyszała”.

„Myślałem, że to łódź z brzegu. A tego, niech pan patrzy – ten piekielny leniwy łajdak, ten dozorca, znowu poszedł spać – niech go diabli wezmą. Światło zgaszone i prawie się nadziałem na tę cholerną keję. Już trzeci raz robi mi ten sam dowcip. No, więc pytam się pana, czy da się wytrzymać takie rzeczy? Naprawdę człowiek może od tego stracić panowanie nad sobą. Złożę na niego doniesienie… doprowadzę do tego, że wicerezydent go wywali, jak mi…! Widzi pan – nie ma światła. Zgasło, prawda? Biorę pana na świadka, że światła nie było. Powinno tu być światło, wie pan. Czerwone światło na…”

„Było światło” – powiedziałem łagodnie.

„Ale go nie ma, człowieku! Co mi przyjdzie z takiego gadania? Sam pan widzi, że światła nie ma, prawda? Gdyby miał pan prowadzić cenny parowiec po tym zakichanym wybrzeżu, też by pan chciał mieć światło. Przegonię go jutro kopniakami od końca do końca po tej nieszczęsnej kei. Zobaczy pan, że to zrobię…”

„Czyli mogę powiedzieć kapitanowi, że nas pan weźmie?” – przerwałem mu.

„Tak, wezmę was. Dobranoc” – odrzekł szorstko.

Popłynąłem z powrotem, przycumowałem do kei i wtedy wreszcie poszedłem spać. Trwałem wobec ciszy Wschodu. Słyszałem już trochę jego języka. Ale kiedy znowu otwarłem oczy, trwała idealna cisza, jakby nikt jej nigdy nie naruszył. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie było tak odległe, tak wysokie. Otwarłem oczy i leżałem bez ruchu.

A wtedy zobaczyłem ludzi Wschodu – patrzyli na mnie. Nabrzeże na całej długości było pełne ludzi. Widziałem brązowe, mosiężne, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumu. Wszystkie te stworzenia patrzyły bez szmeru, bez westchnienia, bez ruchu. Wpatrywały się w łodzie, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Liście palmowe na tle nieba trwały w bezruchu. Na całym wybrzeżu nie drgnęła nawet gałązka, spomiędzy wielkich liści, które wisiały lśniące i nieruchome, jakby wykute z ciężkiego metalu, wyglądały brązowe dachy ukrytych wśród zieleni domów. To był Wschód starożytnych żeglarzy, dawny, tajemniczy, olśniewający i poważny, żyjący i niezmienny, pełen niebezpieczeństw i obietnic, a to byli ludzie. Usiadłem nagle. Przez tłum od końca do końca przetoczyła się fala poruszenia, drgnęły głowy, zakołysały ciała, ruch przebiegł po nabrzeżu jak fala po wodzie, jak podmuch wiatru po polu – i znów wszystko znieruchomiało. Widzę to teraz – szeroki łuk zatoki, połyskujący piasek, bogactwo nieskończonej i różnorodnej zieleni, morze błękitne jak w marzeniach, tłum ciekawskich twarzy, wybuch żywych kolorów – a tafla zatoki odbijała to wszystko, krzywiznę brzegu, keję, spokojnie unoszące się na wodzie dziwaczne statki o wysokich rufach i trzy łodzie, w których spali ludzie Zachodu, nieświadomi tej krainy i tych ludzi ani ostrości słonecznego blasku. Spali rozłożeni na ławkach, zwinięci na dnie łodzi, w niedbałych pozach śmierci. Głowa starego kapitana, opartego o rufę szalupy, opadła na piersi i wyglądało, jakby miał nigdy się już nie zbudzić. Nieco dalej twarz starego Mahona, odwrócona ku niebu, z długą białą brodą, która kładła się na piersi, jak gdyby go postrzelono, siedzącego przy rumplu; a któryś z ludzi, skulony w dziobie łodzi, spał, rękami obejmując dziobnicę

i przyciskając twarz do dulki. Wschód patrzył na nich, nie wydając dźwięku.

Od tego czasu poznałem fascynującą siłę Wschodu, widziałem tajemnicze wybrzeża, spokojną wodę, krainy brązowych narodów, gdzie podstępna nemezis czai się, ściga, wyprzedza tak wielu z rasy zdobywców, szczycącej się swą mądrością, wiedzą i siłą. A jednak dla mnie Wschód zawiera się w tej wizji mojej młodości. Cały jest w tej jednej chwili, kiedy otwarłem nań swoje młode oczy. Spotkałem się z nim po walce z morzem – a byłem młody – i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie. I tyle z tego zostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, splendoru – o młodości!… Odblask słońca na obcym brzegu, czasu tyle, by zapamiętać, by westchnąć i – do widzenia! – noc – do widzenia…!

Marlow napił się.

– Ach, stare dobre czasy, stare dobre czasy. Młodość i morze. Splendor i morze! Dobre silne morze, sól, gorzkie morze, które potrafi do ciebie szeptać i na ciebie wrzeszczeć, i pozbawić cię tchu.

Znowu się napił.

– Ze wszystkiego, co jest wspaniałe, tylko morze, tak myślę, samo tylko morze – czy sama tylko młodość? Kto to wie? Ale wy tutaj, wy wszyscy mieliście coś z życia: pieniądze, miłość, cokolwiek zyskuje się na lądzie – i powiedzcie no, czy to nie był najlepszy czas, ten czas, kiedy byliśmy młodzi i na morzu; młodzi i nie mieliśmy nic, na morzu, które niczego nie daje, chyba że mocne ciosy – a czasem także szansę na to, by poczuć własną siłę – tylko to – czy nie tego żałujecie?

Wszyscyśmy przyznali mu rację: finansista, księgowy, prawnik, wszyscy pokiwaliśmy głowami nad stołem, który jak nieruchoma tafla brązowej wody odbijał nasze twarze, pobrużdżone, pomarszczone; nasze twarze naznaczone trudem, złudzeniami, sukcesami, miłością; nasze znużone oczy, wciąż, zawsze rozglądające się z niepokojem, rozglądające się za czymś nie z tego życia, co, kiedy się na to czeka, już odchodzi – odchodzi niezauważone, w mgnieniu, w błysku – razem z młodością, siłą i romantycznością złudzeń.

# Amy Foster

Kennedy jest wiejskim lekarzem, mieszka w Colebrook na wybrzeżu Eastbay. Wzgórze wznoszące się tuż nad czerwonymi dachami miasteczka przyciska uroczą High Street do muru, który osłania ją od morza. Za tym murem przez wiele mil ciągnie się potężny, regularny łuk pustej kamienistej plaży, a po drugiej stronie wody widać ciemne zarysy wioski Brenzett: wieżę kościelną otoczoną kępą drzew; dalej pionowa kolumna latarni morskiej, która w oddali wydaje się nie większa od ołówka, oznacza koniec przylądka. Za Brenzett krajobraz robi się niski i płaski, ale ponieważ zatoka jest dość dobrze osłonięta od morza, to zdarza się, że z powodu wiatru lub przy niepogodzie wielki statek zatrzymuje się na kotwicowisku jakieś półtorej mili na północ, licząc od tylnych drzwi Gospody Marynarskiej w Brenzett. Pobliski wiatrak wyciągający swe potargane ramiona ze wzgórka nie większego niż kupka śmieci oraz wieża Martello, która przycupnęła nad samą wodą pół mili na południe od domku straży przybrzeżnej, to punkty dobrze znane kapitanom mniejszych jednostek. Są to oficjalne oznaczenia obszaru, gdzie dno jest bezpieczne, na mapach admiralicji wykreślonego nieregularną owalną kropkowaną linią, która zawiera kilka szóstek i symbol kotwicy oraz nadpisane objaśnienie: „Muł i muszle”.

Czoło wzniesienia góruje nad kanciastą wieżą kościoła w Colebrook. Zbocze jest zielone, opasane białą drogą. Kiedy się nią zjeżdża, przed człowiekiem otwiera się widok na dolinę rozległą i płytką, na szerokie zielone koryto pastwisk i żywopłotów, w głębi lądu roztapiające się w perspektywie odcieni fioletu i płynnych linii, które zamykają widok.

W tej właśnie dolinie, w dół do Brenzett i Colebrook, a w górę ku Darnford, rozciąga się teren praktyki lekarskiej mojego przyjaciela Kennedy’ego. Zaczął karierę jako chirurg w marynarce, potem, w czasach

gdy wciąż jeszcze istniały kontynenty o niezbadanych wnętrzach, towarzyszył pewnemu słynnemu podróżnikowi. Artykuły poświęcone faunie i florze przyniosły mu sławę w kręgach towarzystw naukowych. Teraz jednak z wyboru zajął się wiejską praktyką. Mam wrażenie, że przenikliwa siła jego umysłu, która działała niczym środek żrący, zniszczyła w nim ambicję… Inteligencja Kennedy'ego charakteryzuje się naukową dyscypliną, badawczymi przyzwyczajeniami i niezaspokojoną ciekawością, która każe mu wierzyć, że w każdej tajemnicy istnieje drobina prawdy uniwersalnej.

Dobrych parę lat temu, kiedy wróciłem z zagranicy, Kennedy zaprosił mnie do siebie. Przyjechałem bardzo chętnie, a ponieważ nie mógł w tym czasie zaniedbać pacjentów, towarzyszyłem mu w objazdach – czasami ze trzydzieści mil w jedno popołudnie. Czekałem na niego na drodze; koń sięgał ku zielonym gałązkom, a ja, siedząc wysoko na koźle, słyszałem przez półotwarte drzwi jakiejś chaty śmiech Kennedy'ego. A śmiech miał potężny, serdeczny, pasujący do człowieka o dwukrotnie większej posturze, sposób bycia energiczny, opaloną twarz i szare, niezwykle uważne oczy. Miał też talent do swobodnej rozmowy z ludźmi i niewyczerpaną cierpliwość do ich opowieści.

Pewnego dnia, gdyśmy wyjechali ze sporej wioski na cienisty kawałek drogi, po lewej stronie spostrzegłem niską czarną chatę ze szlifowanymi szybkami w oknach, pnączem na szczytowej ścianie, łupkowym dachem i różami rozpiętymi na rozklekotanej kracie przy ganku. Kennedy zwolnił do stępa. W blasku słońca jakaś kobieta rozwieszała ociekający wodą koc na sznurze rozciągniętym między dwiema jabłonkami. Długoszyi kasztanek o podciętym ogonie szarpnął łbem i pociągnął lewą rękę doktora odzianą w grubą, skórzaną rękawiczkę, a on sam zawołał głośno ponad żywopłotem:

– Jak się ma mały, Amy?

Zdążyłem dojrzeć jej tępą twarz, czerwoną, ale nie tak, jakby się nagle zarumieniła, lecz jakby ktoś jej gwałtownie obił płaskie policzki, a także przysadzistą sylwetkę i ciasno związane rzadkie brązowe włosy. Wyglądała

dość młodo. Wyraźnie łamiącym się głosem, brzmiącym cicho i nieśmiało, odpowiedziała:

– Dobrze, dziękuję!

Pojechaliśmy dalej.

– Młody pacjent? – zapytałem, a doktor, od niechcenia poganiając kasztanka, mruknął:

– Leczyłem jej męża.

– Nie wygląda na zbyt bystrą – rzekłem apatycznie.

– Otóż to – odpowiedział Kennedy. – Jest bardzo bierna. Wystarczy spojrzeć na te czerwone dłonie u krótkich rąk i wyłupiaste brązowe oczy, żeby domyślić się inercji umysłowej – inercji, która powinna ją, można by pomyśleć, uchronić na zawsze od wszelkich niespodzianek, jakie przynosi wyobraźnia. Ale któż z nas jest bezpieczny? Osóbka, którą tu widziałeś, miała w każdym razie dość wyobraźni, żeby się zakochać. To córka niejakiego Izaaka Fostera, który z drobnego rolnika zamienił się w pastucha; a początki jego nieszczęść datują się na dzień, kiedy uciekł i ożenił się z kucharką swego owdowiałego ojca, zamożnego hodowcy owiec ze skłonnością do apopleksji. Ten w pasji wykreślił syna z testamentu, a nawet podobno zagroził mu śmiercią. Ta historia sprzed lat, skandal, który mógłby posłużyć za osnowę greckiej tragedii, wynikła z podobieństwa ich charakterów. Ale są też inne tragedie, mniej skandaliczne, a subtelniejsze, które wyrastają z niedających się pogodzić różnic oraz ze strachu przed Niepojętym wiszącym nad naszymi głowami – nad głowami nas wszystkich…

Zmęczony kasztanek zwolnił kroku; obrąbek słońca, zupełnie czerwony na nieskalanym niebie, poufale dotknął gładkiego szczytu zaoranego pagórka przy drodze – tak samo jak dotyka odległego morskiego horyzontu, co widziałem tak wiele razy. Jednolity brąz zabronowanego pola zalśnił różowo, jakby z rozdrobnionych grud maleńkimi perełkami krwi wysączył się trud nieprzeliczonych rzesz oraczy. Ze szczytu wzgórka, jego krawędzią, toczył się łagodnie wóz zaprzężony w dwa konie. Wyniesiony ponad naszymi głowami, jadąc po linii nieba, odcinał się na tle słońca –

triumfalnie wielki, potężny, niczym rydwan olbrzymów ciągniony przez rumaki o legendarnych proporcjach. Niezgrabna postać człowieka idącego przy głowie konia lejcowego widniała na tle Nieskończoności niczym heroiczny olbrzym. Koniec jego bata chwiał się wysoko w błękicie. Kennedy opowiadał:

– Jest najstarsza z dużej rodziny. Kiedy miała piętnaście lat, oddali ją na służbę na farmę New Barns. Leczyłem panią Smith, żonę najemcy, i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem tę dziewczynę. Pani Smith, szacowna dama z cienkim nosem, kazała jej codziennie po południu wkładać czarną sukienkę. Nie wiem, dlaczego w ogóle ją zauważyłem. Są twarze, które zwracają uwagę dziwną nieokreślonością swojego wyrazu na takiej zasadzie, na jakiej, gdy jest mgła, człowiek z uwagą przygląda się zarysowi czegoś, co być może nie jest niczym ciekawszym czy dziwniejszym niż na przykład drogowskaz. Jedyna cecha szczególna, jaką u niej zauważyłem, to było drobne zawahanie mowy, taka jakby zapowiedź jąkania, które mijało już przy pierwszym słowie. Kiedy się do niej ostrzej odezwało, zwykle natychmiast kompletnie traciła głowę, ale miała bardzo dobre serce. Nigdy nie słyszano, by o kimkolwiek wyrażała się niemiło, miała masę czułości dla każdej istoty. Była oddana pani Smith, panu Smithowi, ich psom, kotom, kanarkom; a jeśli chodzi o szarą papugę pani Smith, to jej zdolności zafascynowały dziewczynę. Jednak gdy ten egzotyczny ptak został zaatakowany przez kota i ludzkim głosem wzywał pomocy, wybiegła na podwórze, zatykając sobie uszy i nie zapobiegła zbrodni. Dla pani Smith był to kolejny dowód jej głupoty; z drugiej strony, przy znanej powszechnie frywolności pana Smitha, brak choćby śladu uroku był sporą zaletą. Jej krótkowzroczne oczy zalewały się łzami z litości nad myszą w potrzasku; pewnego razu jacyś chłopcy widzieli ją, jak na kolanach pomagała ropusze, która wpadła w tarapaty w mokrej trawie. Jeśli prawdą jest to, co mówi pewien Niemiec, że bez fosforu nie może być myśli, to tym bardziej musi być prawdą, iż nie może być dobrego serca bez pewnej dozy wyobraźni. Amy ją miała. Miała jej nawet więcej, niż trzeba, by zrozumieć cierpienie i odczuwać litość. Zakochała się w okolicznościach, które co do tego nie

pozostawiają żadnych wątpliwości; potrzeba bowiem wyobraźni, by w ogóle stworzyć pojęcie piękna, a tym bardziej, by swój ideał odnaleźć w kształcie obcym.

Skąd się u niej wzięła ta zdolność, czym się karmiła – pozostaje nieprzeniknioną tajemnicą. Urodziła się we wsi i nigdy nie wybrała się dalej niż do Colebrook, no, może do Darnford. Cztery lata mieszkała u Smithów. New Barns to samotne gospodarstwo, położone milę od drogi, a jej wystarczało dzień w dzień patrzeć na te same pola, kotliny, zbocza; na drzewa i zarośla; na twarze czworga ludzi w gospodarstwie, zawsze tych samych – dzień w dzień, miesiąc w miesiąc, rok za rokiem. Nigdy nie wykazywała ochoty na rozmowę i miałem wrażenie, że nie umie się uśmiechać. Czasami w ładne niedzielne popołudnie wkładała swoją najlepszą sukienkę, solidne buty, wielki szary kapelusz przystrojony czarnym piórem (widywałem ją w tej kreacji), chwytała w rękę absurdalnie smukły parasol, przełaziła przed dwie bramki, maszerowała na przełaj przez trzy pola i dwieście jardów drogi – nigdy ani kroku dalej. Tam stoi chata Fosterów. Pomagała matce nakarmić młodsze rodzeństwo, myła naczynia, całowała maluchy i wracała na farmę. To było wszystko. Cały odpoczynek, cała odmiana, cały relaks. Wydawało się, że nie potrzeba jej niczego więcej. A potem się zakochała. Zakochała się po cichu, uparcie, może wręcz beznadziejnie. To przyszło powoli, ale kiedy już przyszło, zadziałało jak czary. Miłość taka, jak ją rozumieli starożytni: niepowstrzymany i brzemienny w skutki impuls – opętanie! Tak, miała w sobie zdolność do tego, by dać się opętać pewnej twarzy, pewnej obecności – i to kompletnie, jakby była pogańską kapłanką pod radosnym niebem, a potem przebudziła się z tego tajemniczego zapomnienia, z tego czaru, z tego uniesienia, kiedy ogarnął ją strach przypominający nieracjonalne przerażenie zwierzęcia…

Słońce wisiało nisko nad zachodnim horyzontem, a szeroki obszar pastwisk, obramiony przeciwstokami wznoszącego się terenu, przybrał cudownie złowieszczy wygląd. Poczucie jakiegoś przenikliwego smutku, niczym smętna melodia, wyłaniało się z ciszy tych pól. Ludzie, których napotykaliśmy, szli wolno, bez uśmiechu, ze spuszczonymi oczyma, jakby

melancholia przeciążonej ziemi obarczyła im nogi, przygięła ramiona, skierowała w dół spojrzenia.

– Tak – rzekł doktor na moją uwagę – można by pomyśleć, że na tej ziemi ciąży jakieś przekleństwo, skoro pośród jej dzieci te, które najbliżej do niej przylgnęły, mają nikczemne ciała i tak ociężały krok, jakby ich serca były w kajdanach. A jednak na tej samej drodze, między tymi ociężałymi ludźmi, można było spotkać istotę gibką, giętką i długonogą, prostą jak sosna; człowieka, w którego całej postawie było jakby dążenie ku górze, jak gdyby serce w nim wznosiło się ku niebu. Być może to tylko siła kontrastu, ale kiedy on przechodził obok jednego z naszych wieśniaków, wydawało mi się, że podeszwami stóp nie dotyka pyłu na drodze. Przeskakiwał nad bramkami, kroczył po tych zboczach długim, elastycznym krokiem, po którym można go było poznać z wielkiej odległości, i miał błyszczące czarne oczy. Dzięki tej swobodzie ruchu tak różnił się od reszty ludzi, miał tak miękkie, jakby zdziwione spojrzenie, oliwkową cerę i zgrabną postawę, że jego człowieczeństwo przypominało mi naturę stworzenia leśnego. Bo też pochodził z lasów.

Doktor wskazał przed siebie bacikiem, a ze szczytu wzgórza, z którego zjeżdżaliśmy, ponad wzburzonymi koronami drzew w parku przy drodze rozpostarł się przed nami widok na morze, płaskie niczym posadzka potężnego gmachu, inkrustowane wstęgami ciemnych zmarszczek, wciąż jeszcze połyskujące od słońca i kończące się u stóp nieba pasem szklistej wody. Lekka smuga dymu z niewidzialnego parowca zanikała w wielkiej klarowności horyzontu jak mgiełka oddechu na lustrze, a bliżej lądu białe żagle statku przybrzeżnego wychynęły spoza listowia drzew, jakby wyplątywały się spomiędzy gałęzi.

– Rozbitek ze statku w zatoce? – zapytałem.

– Tak, był rozbitkiem. Biedny emigrant z Europy Środkowej w drodze do Ameryki, którego burza wyrzuciła tu na brzeg. Dla niego, który nic nie wiedział o świecie, Anglia była nieodkrytym lądem. Minęło trochę czasu, zanim nauczył się jej nazwy. Wyobrażam sobie, że mógł się tu spodziewać dzikich bestii albo dzikich ludzi, kiedy pełzł w ciemnościach wzdłuż

falochronu, stoczył się na drugą stronę do rowu, w którym się nie utopił, co było kolejnym cudem. Walczył instynktownie, jak zwierzę złapane w sieć, i ta ślepa walka wyrzuciła go na pole. Rzeczywiście musiał być z materii twardszej, niż się wydawało, by wykaraskać się z takich opałów, z potwornego zmagania i wielkiego strachu. Znacznie później wyznał mi tą swoją łamaną angielszczyzną, która dziwnie przypominała mowę dziecka, że pokładał nadzieję w Bogu, bo zdawało mu się, że jest już na tamtym świecie. No bo po prawdzie – dodawał – skąd miał wiedzieć? Walczył o przetrwanie w deszczu i wichurze, pełzł na czworakach, w końcu wlazł w stadko owiec stłoczonych w jakimś zakamarku żywopłotu. Zwierzęta rozbiegły się na wszystkie strony, becząc w ciemności, a jego ucieszył pierwszy znajomy dźwięk, jaki dobiegł go na tym brzegu. Musiała być pewnie druga nad ranem. I tylko tyle wiemy o tym, jak znalazł się na lądzie, choć bynajmniej nie przybył tu sam. Lecz jego makabryczna kompania zaczęła lądować na brzegu znacznie później tego dnia…

Doktor ściągnął lejce i cmoknął; zjeżdżaliśmy ze wzgórza. Potem niemal od razu skręciliśmy ostro w High Street, zadudniliśmy po brukowanym podwórzu i byliśmy w domu.

Późnym wieczorem, przełamując nastój smutku, który go ogarnął, Kennedy powrócił do przerwanej opowieści. Z fajką w ustach przechadzał się tam i z powrotem po pokoju. Lampa na jego biurku skupiała cały blask na leżących tam papierach, a ja, siedząc przy otwartym oknie, po bezwietrznym, upalnym dniu dostrzegłem polarną wspaniałość zamglonego morza, nieruchomego w świetle księżyca. Od strony leżącego pod nami lądu nie docierał ani szept, ani plusk, ani szurgot kamyków, ani dźwięk kroków, ani westchnienie – żadnego znaku życia, poza zapachem pnącego jaśminu, a głos Kennedy’ego, dochodzący zza moich pleców, przepływał przez szeroko otwarte okno i znikał w chłodzie i w tej obfitej ciszy.

– W relacjach rozbitków z dawnych czasów wiele jest mowy o cierpieniu. Często uchodzili oni z życiem z fal morskich tylko po to, by zginąć marnie z głodu na nieznanym brzegu. Inni umierali śmiercią tragiczną albo trafiali do niewoli i spędzali długie lata w nędzy pośród

ludzi, u których ich odmienność budziła podejrzliwość, niechęć lub strach. Czytamy o tym i czujemy litość. Naprawdę ciężki jest los człowieka, który nagle staje się zagubionym przybyszem, bezradnym, niezrozumiałym, pochodzącym z jakiegoś tajemniczego, nieznanego zakątka świata. A jednak wśród tych szukających przygód rozbitków ze wszystkich stron świata nie znajdziemy chyba nikogo, kto musiałby znosić los tak tragiczny, jak ów człowiek, o którym mówię, ten najniewinniejszy poszukiwacz przygód, wyrzucony przez morze w zakolu tej zatoki, niemalże widocznej z mojego okna.

Nie wiedział, jak się nazywał jego statek. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się wręcz, że nie ma pojęcia, że statki w ogóle się jakoś nazywają – „jak chrześcijanie”. A kiedy pewnego dnia z wierzchołka Talfourd Hill zobaczył morze, leżące przed nim otworem, jego wzrok powędrował w dal, zagubił się w szalonym zdumieniu, jakby nigdy przedtem nie miał przed sobą takiego widoku. Zresztą pewnie rzeczywiście tak było. O ile mogłem się zorientować, został wraz z wieloma innymi wtłoczony na emigrancki statek stojący u ujścia Elby, a zbyt był przerażony, by zwrócić uwagę na otoczenie, zbyt wyczerpany, by cokolwiek zauważyć, zbyt niespokojny, by się tym przejmować. Zostali zagnani na dół, na któryś tam pokład i od początku podróży szczelnie zamknięci. To było niskie drewniane pomieszczenie – tak mówił – u góry drewniane belki, jak w domach w jego kraju, ale schodziło się do niego po drabinie. Sala była wielka, bardzo zimna, wilgotna i ponura, z takimi jakby drewnianymi skrzyniami, w których ludzie musieli spać jeden nad drugim, i przez cały czas kołysało nimi na wszystkie strony. Wczołgał się do jednej z tych skrzyń i położył tam w ubraniu, w którym przed wieloma dniami opuścił swoją wioskę, a węzełek i kij trzymał przy sobie. Ludzie jęczeli, dzieci płakały, woda kapała, światła zgasły, ściany trzeszczały, a wszystko trzęsło się tak, że w tej skrzynce człowiek nie śmiał nawet unieść głowy. Zgubił swojego towarzysza (młodego człowieka z tej samej doliny, jak mówił), a przez cały czas na zewnątrz wiał potężny wiatr i słychać było ciężkie uderzenia – bum! bum! Przyszła na niego straszna słabość, aż zaniedbał

nawet modlitwy. Poza tym nie mógł się zorientować, czy jest poranek, czy wieczór. Zdawało się, że stale panuje tam noc.

Przedtem bardzo, bardzo długo jechał drogą żelazną. Patrzył przez okno, w którym było nadzwyczajnie czyste szkło, a drzewa, domy, pola i długie drogi jak gdyby przefruwały dokoła, aż mu się zakręciło w głowie. Dał mi do zrozumienia, że w czasie tej podróży widział nieprzeliczone rzesze ludzi – całe narody – a wszyscy w strojach, jakie noszą bogacze. Raz kazali mu wysiąść z wagonu i musiał spać na ławce w wielkim domu z cegły, z głową opartą na węzełku. Kiedy indziej znowu musiał przez wiele godzin siedzieć na podłodze z płaskich kamieni i tak spać, z kolanami pod brodą i z węzełkiem między nogami. Nad głową miał dach, który był zrobiony jakby ze szkła i tak wysoki, że najwyższa górska sosna, jaką w życiu widział, zmieściłaby się pod nim. Maszyny parowe wtaczały się z jednej strony i wytaczały z drugiej. Ludzi tłoczyło się tam więcej niż na odpuście przy cudownym obrazie na dziedzińcu klasztoru karmelitów, dokąd, zanim wyjechał z domu, zawiózł drewnianym wozem swoją matkę – pobożną kobietę, która chciała się pomodlić i złożyć śluby w intencji jego bezpieczeństwa. Nie był w stanie opisać, jak wielkie i przestronne, jak pełne wrzawy, dymu i smutku, i dzwonienia żelaza było to miejsce, ale ktoś mu powiedział, że nazywa się Berlin. Później rozległ się dzwon, a potem wtoczyła się następna maszyna parowa i znowu powiozła go przez krainę, która znużyła jego oczy płaskością, bez jednego nawet wzgórka. I jeszcze jedną noc spędził w budynku przypominającym dobrą stajnię, ze słomą na podłodze, gdzie strzegł swego węzełka wśród wielkiego mnóstwa ludzi, z których żaden nie rozumiał ani słowa w jego mowie. Rano wszystkich sprowadzono na kamienne wybrzeże strasznie wielkiej błotnistej rzeki, która płynęła nie między górami, ale między domami, a i te także były olbrzymie. Po wodzie też szła maszyna parowa, a oni wszyscy stali na niej, stłoczeni ciasno, tyle że teraz było z nimi mnóstwo kobiet i dzieci, które podniosły wielki rejwach. Spadł zimny deszcz, wiatr wiał mu w twarz; był przemoczony, szczękał zębami. Z tym drugim chłopakiem z tej samej doliny trzymali się za ręce.

Myśleli, że od razu biorą ich do Ameryki, ale ta maszyna parowa nagle uderzyła o bok czegoś takiego wielkiego, jakby ogromny dom na wodzie. Ściany miało czarne i gładkie, a z dachu wyrastały jak gdyby nagie drzewa w formie krzyży, też strasznie wysokie. Tak mu się to wtedy jawiło, bo nigdy jeszcze nie widział statku. Tym statkiem mieli płynąć już do samej Ameryki. Rozległy się krzyki, wszystko zawirowało; była tam drabina ruszająca się w dół i w górę. Szedł po niej na rękach i kolanach, śmiertelnie przerażony, że spadnie do wody, która pod nim groźnie się rozpryskiwała. Rozdzielili go z jego kompanem, a kiedy zszedł na dół, do tego statku, zdawało mu się, że nagle zamarło w nim serce.

Wtedy, tak mi powiedział, już całkowicie stracił z oczu jednego z tych ludzi, którzy poprzedniego lata chodzili po wszystkich miasteczkach leżących u podnóży gór w jego kraju. Pojawiali się w dni targowe, przyjeżdżali na chłopskim wozie i zakładali biuro w karczmie lub innym żydowskim domu. Było ich trzech, jeden z długą brodą wyglądał dostojnie; wokół szyi nosili czerwone kołnierze, a na rękawach złote szamerunki, jak urzędnicy rządowi. Siedzieli dumnie za długim stołem, a w sąsiedniej izbie, tak żeby zwykli ludzie tego nie widzieli, trzymali taką sprytną maszynę – telegraf, przez którą mogli rozmawiać z cesarzem Ameryki. Ojcowie trzymali się gromadnie przy drzwiach, ale chłopaki z gór tłoczyły się u stołu i zadawały wiele pytań, bo w Ameryce można dostać pracę przez cały rok, po trzy dolary dziennie, i nie trzeba iść do wojska.

Ale amerykański kajzer nie każdego przyjmie. O, nie! Jemu też trudno się było dostać, a jeden z tych zza stołu musiał parę razy iść do drugiej izby i z jego powodu uruchamiać telegraf. W końcu amerykański kajzer wziął go za trzy dolary dziennie, bo był młody i silny. Ale wielu zdolnych młodych ludzi się wycofało, ze strachu przed tak długą podróżą. No i jechać mógł tylko ten, kto miał trochę pieniędzy. Niektórzy posprzedawali chaty i pola, bo podróż do Ameryki drogo kosztuje, ale jak się już dojedzie, to się ma po trzy dolary dziennie, a ci, co są sprytni, mogą znaleźć miejsca, gdzie złoto po prostu leży na ziemi. W jego rodzinnym domu było ciasno. Dwaj bracia już się pożenili i mieli dzieci. Obiecał, że dwa razy do roku przyśle

pieniądze z Ameryki pocztą. Ojciec sprzedał Żydowi karczmarzowi starą krowę i parę tarantów własnego chowu, i piękną parcelę, słoneczne pastwisko na otoczonej sosnami przełęczy, by zapłacić ludziom ze statku, który brał chłopaków do Ameryki, żeby się szybko wzbogacili.

Ten chłopak naprawdę musiał mieć odwagę w sercu, ileż bowiem najwspanialszych podbojów ziemi zaczynało się od podobnych targów ojcowską krową w zamian za miraże prawdziwego złota gdzieś hen daleko! Opowiadam ci mniej więcej swoimi słowami to, czego sam dowiedziałem się przez dwa czy trzy lata, kiedy to starałem się wykorzystać każdą okazję, by przyjacielsko z nim pogawędzić. Gdy opowiadał mi historię swoich przygód, czasem zalśniły jego białe zęby, a czarne oczy błyskały żywo. Z początku mówił niepewnie, jak małe dziecko, później, kiedy poduczył się języka, bardzo płynnie, zawsze jednak z tą śpiewną, miękką, a zarazem rozedrganą intonacją, która dobrze znanym angielskim słowom przydawała dziwnej, przenikliwej siły, jakby były słowami jakiegoś nieziemskiego języka. Zawsze też kończył wymownym długim potrząsaniem głowy na wspomnienie tego strasznego poczucia, że serce w nim zamiera, które ogarnęło go, kiedy postawił stopę na pokładzie statku. Później, jak się zdaje, nastąpił u niego okres otępienia, w każdym razie wobec faktów. Nie ma wątpliwości, że musiał strasznie chorować i czuć się bardzo nieszczęśliwy – ten łagodny i namiętny poszukiwacz przygód, pozbawiony w taki sposób wszelkiej swej wiedzy, leżący na emigranckiej koi w poczuciu straszliwej, gorzkiej samotności; był bowiem z natury bardzo wrażliwy. Następna rzecz, co do której mamy pewność, jest taka, że ukrywał się w zagrodzie dla świń u Hammonda przy drodze do Norton, sześć mil w linii prostej od morza. O tych doświadczeniach mówił niechętnie: jakby odcisnęły się mu w duszy ponurym zdumieniem i oburzeniem. Z plotek, które przez wiele dni po jego przybyciu krążyły po okolicy, wiemy, że rybaków z West Colebrook niepokoiło łomotanie w oszalowane ściany chat i głos wykrzykujący w nocy przeraźliwie niezrozumiałe słowa. Kilku z nich nawet wyszło, ale on na dźwięk ich gniewnych nawoływań w ciemności umykał, ogarnięty nagłą grozą. Jakaś

gorączkowa siła musiała go zagnać na strome wzgórze nad Norton. To z pewnością jego następnego dnia o świcie dostrzegł wozak z Brenzett, leżącego (sądzę, że w omdleniu) na trawie przy drodze. Człowiek ten zszedł nawet z kozła, by się lepiej przyjrzeć, ale natychmiast się cofnął, onieśmielony absolutnym bezruchem i czymś dziwnym w wyglądzie włóczęgi, który tak spokojnie spał w strugach deszczu. Nieco później tego ranka dzieci przybiegły do szkoły w Norton tak przerażone, że nauczyciel wyszedł i z oburzeniem przemawiał do „strasznego człowieka” na drodze. Ten usunął się na parę kroków, a potem nagle z niewiarygodną prędkością rzucił się do ucieczki. Woźnica na mleczarce pana Bradleya bynajmniej nie ukrywał, że trzasnął z bicza po grzbiecie jakiegoś takiego owłosionego Cygana, który wyskoczył nagle zza zakrętu koło Vents i chwycił konia za uzdę. A trafił nieźle, prosto w twarz, jak mówił, aż facet poleciał w błoto znacznie szybciej, niż przedtem na niego wyskoczył, choć on sam zatrzymać konia zdołał dopiero jakieś pół mili dalej. Być może podejmując desperackie próby zyskania pomocy, starając się z kimś porozumieć, biedny czort usiłował zatrzymać wóz mleczarski. Potem jeszcze trzech chłopców przyznało się, że rzucali kamieniami w śmiesznego włóczęgę, który krążył całkiem mokry i ubłocony, i chyba kompletnie pijany, po wąskiej, głębokiej dolince koło wapienników. Przez wiele dni gadały o tym wszystkie trzy wioski; mamy jednak niezaprzeczalne świadectwo pani Finn (żony woźnicy od Smitha), że widziała go, jak wyłania się zza niskiego murku zagrody dla świń u Hammonda i rusza ku niej chwiejnym krokiem, bełkocząc coś głosem, na którego dźwięk można było paść trupem ze strachu. Ponieważ miała ze sobą dziecko w wózku, zawołała do niego, żeby sobie poszedł, ale on nadal się ku niej zbliżał, zdzieliła go więc dzielnie parasolką po głowie i nie oglądając się za siebie, pchając przed sobą wózek, pognała pędem ku pierwszym zabudowaniom wioski. Tam się zatrzymała, łapiąc oddech, i opowiedziała o wszystkim staremu Lewisowi, który tłukł akurat kamienie, a stary, zdjąwszy swoje wielkie druciane okulary, podniósł się na drżące nogi, by spojrzeć we wskazywanym przez nią kierunku. Oboje śledzili wzrokiem postać biegnącego przez pole mężczyzny; widzieli, jak pada,

podnosi się, jak kulejąc i wymachując nad głową długimi rękami, biegnie dalej w kierunku New Barns. Od tego momentu najwyraźniej jest już w okowach swego nieznanego i przejmującego losu. Teraz już nie ma wątpliwości, co mu się przydarzyło, teraz wszystko jest pewne: straszliwe przerażenie pani Smith; niewzruszone przekonanie Amy Foster, która na przekór nerwowemu atakowi pani Smith utrzymywała, że „ten człowiek nie ma złych zamiarów”; irytacja Smitha, kiedy (po powrocie z Darnford Market) zastał psa rozszczekanego do szaleństwa, tylne drzwi do domu zamknięte na skobel, a żonę w histerii; wszystko to przez jakiegoś nieszczęsnego obdartego włóczęgę, który podobno nadal czai się gdzieś na podwórzach. Czy tak? No to on nauczy go straszyć kobiety!

Smith jest powszechnie znanym cholerykiem, ale na widok tego nieokreślonego, ubłoconego stworzenia, które siedziało ze skrzyżowanymi nogami w rozrzuconej słomie i kiwało się tam i z powrotem jak niedźwiedź w klatce, jednak się zatrzymał. Wtedy włóczęga stanął przed nim w milczeniu, od stóp do głów jedna bryła błota i brudu. Sam na sam z tą zjawą w burzowy wieczór rozbrzmiewający oszalałym szczekaniem psa, Smith także poczuł lęk wobec tej niezrozumiałej obcości. Kiedy jednak stworzenie ubłoconymi rękami rozsunęło zmierzwione włosy, które długimi strąkami wisiały mu na twarzy, tak jak rozsuwa się zasłony, i spojrzało na niego błyszczącymi, szalonymi czarno-białymi oczyma, niezwykłość tego milczącego spotkania naprawdę go zdumiała. Przyznawał wielokrotnie (bo historia ta od wielu lat jest w okolicy tematem rozmów), że cofnął się, i to nie na krok. Wówczas nagły wybuch szybkiej, pozbawionej sensu mowy przekonał go, że ma do czynienia z wariatem, który skądś uciekł. Zresztą to wrażenie chyba nigdy się u niego całkowicie nie zatarło. Do dzisiaj Smith nie porzucił przekonania, którego nie ujawnia, że ten człowiek był w istocie niespełna rozumu.

Podczas gdy postać zbliżała się do niego, bełkocząc coś w sposób wprawiający go w kompletne zmieszanie, Smith (nieświadom tego, że jest nazywany „miłościwym panem” i w imię Boga zaklinany, by udzielił przybyszowi strawy i schronienia) przemawiał do niej bez ustanku tonem

zdecydowanym, lecz łagodnym, wycofując się równocześnie na drugie podwórze. W końcu, dostrzegając okazję, szybkim ruchem wepchnął nieszczęśnika do drewutni i natychmiast zasunął skobel. Otarł pot z czoła, choć dzień był chłodny. Oddał oto społeczności przysługę, zamykając włóczącego się po okolicy wariata, przypuszczalnie groźnego. Smith nie jest bynajmniej złym człowiekiem, ale w jego głowie mieściła się tylko i wyłącznie wizja szaleństwa. Nie miał dość wyobraźni, by zadać sobie pytanie, czy ten człowiek nie ginie przypadkiem z głodu i chłodu. Tymczasem wariat najpierw robił w drewutni straszny raban. Na górze wrzeszczała zamknięta w sypialni pani Smith, a na kuchennym progu szlochała żałośnie Amy Foster, załamując ręce i mamrocząc: „Nie! Nie!”. Zdaje się, że Smith miał tego wieczoru nielekko, tu jeden hałas, tam drugi, a jeszcze ten uparty, szaleńczy płacz pod drzwiami, który tylko wzmagał jego rozdrażnienie. Nie był w stanie żadną miarą połączyć postaci tego kłopotliwego wariata ze statkiem, który zatonął w Eastbay, o czym opowiadano na rynku w Darnford. Zdaje się, że ów człowiek, zamknięty, rzeczywiście był wtedy bliski obłędu. Zanim opadło w nim podniecenie i zasnął nieprzytomny, rzucał się gwałtownie w ciemności, przewracał na jakichś brudnych workach, gryząc się po rękach z wściekłości, zimna, głodu, zaskoczenia i rozpaczy.

Ten człowiek był góralem ze wschodniego pasma Karpat, a statek, który poprzedniej nocy zatonął w Eastbay, to ponurej pamięci Herzogin Sophia-Dorotea, emigrancka krypa z Hamburga.

Parę miesięcy później gazety donosiły o fałszywych „agencjach emigracyjnych” grasujących wśród słowiańskich wieśniaków w odległych prowincjach Austrii. Celem tych łotrów, działających w porozumieniu z miejscowymi lichwiarzami, było przejęcie domostw biednych, ciemnych ludzi. Swoje ofiary wywozili głównie przez Hamburg. A co do statku, to obserwowałem go z tego tu okna, jak pewnego ciemnego, sztormowego popołudnia ostro na wiatr wchodził do zatoki na zrefowanych żaglach. Stanął na kotwicy, poprawnie, według mapy, na wprost strażnicy w Brenzett. Pamiętam, że zanim zapadł zmrok, patrzyłem raz jeszcze na

zarys jego drzewców i takielunku, odcinający się ciemno i ostro na tle potarganych, stalowoszarych chmur, niczym druga, cieńsza wieża na lewo od kościoła w Brenzett. Wieczorem wiatr się wzmógł. O północy już z łóżka słyszałem potworne podmuchy i dźwięki nadciągającej nawałnicy.

Mniej więcej w tym samym czasie straż przybrzeżna miała wrażenie, że na kotwicowisku pojawiły się światła parowca. Ale po chwili znikły. Jasne jest jednak, że jakiś inny statek starał się schronić w zatoce tej strasznej, ślepej nocy, że uderzył w sam środek niemieckiego statku (jak mi powiedział później jeden z nurków, zrobił taką wyrwę, że „można by przez nią przepuścić barkę z Tamizy"), a następnie odpłynął, czy to nienaruszony, czy to uszkodzony, kto wie. W każdym razie odpłynął, nieznany, niewidziany, śmiertelny, by przepaść gdzieś tajemniczo na morzu. Na jego temat nic nigdy nie wyszło na jaw, a przecież wrzawa, jaka podniosła się na całym świecie, musiałaby go gdzieś dopaść, gdyby znajdował się na powierzchni wód.

Kompletność bez klucza, podstępna cisza niczym przy zbrodni doskonałej cechują tę zabójczą katastrofę, którą, być może pamiętasz, otaczała mroczna sława. Wiatr nie pozwolił dotrzeć do brzegu nawet najgłośniejszym krzykom, najwyraźniej nie starczyło czasu, by nadać choć sygnał rozpaczy. To była śmierć bez śladu. Statek z Hamburga napełnił się natychmiast, przewrócił i zatonął, a o świcie z wody nie sterczał nawet czubek drzewca. Zanotowano jego brak, ale straż przybrzeżna w pierwszej chwili założyła, że może wyszarpnęło im kotwicę czy zerwało łańcuch i zostali wypchnięci na morze. Później, gdy przyszedł odpływ, wrak musiał się poruszyć i wypłynęła z niego część ciał, na brzeg na wprost wieży Martello zostało bowiem wyrzucone dziecko: mała jasnowłosa dziewczynka w czerwonej sukience. Po południu wzdłuż plaży na długości trzech mil widać było ciała o gołych nogach, które wyłaniały się ze spienionej wody, więc w długiej procesji, na noszach, plecionkach i drabinkach dźwigano tych prymitywnie wyglądających mężczyzn, kobiety o twardych twarzach i jasnowłose w większości dzieci, wszystkich

sztywnych i ociekających wodą, by złożyć ich rzędem pod północną ścianą kościoła w Brenzett.

Według oficjalnych doniesień ciało dziewczynki w czerwonej sukience jako pierwsze zostało wyrzucone z tego statku na brzeg. Ja jednak mam pacjentów wśród marynarzy w West Colebrook i nieoficjalnie dowiedziałem się, że tego ranka dwóch braci poszło na plażę w poszukiwaniu wyrzuconych kamieni i znalazło dość daleko od Brenzett zwyczajny kurnik ze statku, a w nim jedenaście utopionych kaczek. Ich rodziny zjadły drób, kurnik zaś porąbano siekierą na opał. Nie jest wykluczone, że jakiś człowiek (zakładając, że w momencie wypadku znajdował się na pokładzie) dopłynął na tym kurniku do brzegu. Być może. Zaznaczam, że nie jest to całkiem nieprawdopodobne, jednak oto mieliśmy tu tego człowieka od wielu dni, jeśli nie tygodni – a nie przyszło nam do głowy, że jest wśród nas jedyna dusza, która przeżyła katastrofę. On sam, nawet gdy nauczył się już zrozumiale mówić, nie miał wiele do powiedzenia. Pamiętał, że poczuł się lepiej (pewnie wtedy, gdy statek zakotwiczył), ale że ciemność, wiatr i deszcz odbierały mu siły. Wygląda na to, że w pewnym momencie tej nocy znajdował się na pokładzie. Ale nie można zapominać, że został pozbawiony wszelkiej orientacji, że miał chorobę morską i przez cztery dni siedział zamknięty pod pokładem, że nie miał żadnego pojęcia o statkach czy morzu, dlatego też nie mógł jasno stwierdzić, co się z nim dzieje. Deszcz, wiatr i ciemność znał; rozpoznawał beczenie owiec, pamiętał ból swej nędzy i cierpienia, łamiące mu serce zdumienie, że nikt tego ani nie dostrzega, ani nie rozumie; strach, kiedy okazało się, że wszyscy mężczyźni są wściekli, a kobiety groźne. Podchodził do nich jako żebrak, to prawda, ale w jego kraju, nawet jeśli niczego się żebrakowi nie dawało, to przynajmniej mówiło się do niego łagodnie. W jego kraju dzieci nie uczyło się ciskać kamieniami w ludzi proszących o współczucie. Akcja Smitha pokonała go ostatecznie. Drewutnia sprawiała straszliwe wrażenie lochu. Co z nim teraz zrobią?… Nic dziwnego, że Amy Foster objawiła mu się jakby w aureoli anioła światła. Dziewczyna nie mogła spać, bo myślała o tym biedaku, więc rano,

zanim Smithowie wstali, przemknęła przez podwórze. Otworzywszy drzwi drewutni na oścież, zajrzała do środka i podała mu pół bochenka białego chleba – „takiego, jak u nas jedzą bogacze”, jak później mówił.

Na to on podniósł się powoli ze sterty śmieci, sztywny, głodny, drżący, wynędzniały i nieufny. „Możesz to jeść?” – zapytała tym swoim cichym, nieśmiałym głosem. Musiał ją uznać za „miłościwą panią”. Pożerał chleb gorączkowo, łzami zraszając jego skórkę. Nagle rzucił chleb, chwycił ją za rękę i wycisnął na jej dłoni pocałunek. Nie bała się. Pomimo jego opłakanego stanu dostrzegła, że jest przystojny. Zamknęła drzwi i wolno poszła z powrotem do kuchni. Znacznie później opowiedziała to pani Smith, która wzdrygnęła się na samą myśl, że ktoś taki mógłby jej dotknąć.

Dzięki temu aktowi odruchowej litości przybysz w nowym otoczeniu na powrót znalazł się w przestrzeni ludzkich relacji. Nigdy tego nie zapomniał – nigdy.

Tego samego ranka zjawił się stary pan Swaffer (najbliższy sąsiad Smitha), by coś poradzić w tej sytuacji, i zabrał rozbitka ze sobą. Przybysz stał niepewnie, łagodny, oklejony na wpół zaschłym błotem, tymczasem dwaj mężczyźni rozmawiali tuż przy nim w niezrozumiałym języku. Pani Smith odmówiła zejścia na dół, dopóki wariat znajduje się na terenie ich gospodarstwa. Amy Foster, z odległości ciemnej kuchni, obserwowała wszystko przez otwarte tylne drzwi, a on stosował się do dawanych mu znaków najlepiej jak potrafił. Smith jednak był nieufny: „Niech pan uważa! To może być podstęp!” – powtarzał tonem ostrzeżenia. Kiedy klacz pana Swaffera ruszyła, nikczemna postać siedząca pokornie obok niego z wycieńczenia niemal spadła z wysokiej dwukółki. Swaffer zabrał go do siebie. W tym momencie na scenę wkraczam ja.

Zostałem wezwany prostym zapraszającym gestem palca, kiedy akurat przejeżdżałem obok jego bramy. Oczywiście podszedłem.

– Mam tu coś – wymamrotał Swaffer, prowadząc mnie do przybudówki stojącej w pewnej odległości od innych zabudowań gospodarczych.

Tam, w niskiej, podłużnej izbie, zbudowanej w miejscu szopy na wóz, zobaczyłem go po raz pierwszy. Izba była pusta, pobielona, z tyłu miała

niewielkie okienko z pękniętą brudną szybką. On leżał na plecach na wiązce słomy; dali mu kilka derek, wyglądało na to, że resztki sił zużył na próbę oczyszczenia się z błota. Niemal nie mógł słowa z siebie wydobyć; szybki oddech spod derek naciągniętych po samą szyję i te błyszczące, niespokojne czarne oczy budziły skojarzenie z ptakiem schwytanym w sidła. Kiedy go badałem, stary Swaffer stał w milczeniu przy drzwiach, opuszkami palców dotykając czysto wygolonej górnej wargi. Wydałem kilka poleceń, obiecałem przysłać butelkę lekarstwa, no i oczywiście zacząłem wypytywać o przybysza.

– Smith złapał go na podwórzu w New Barns – rzekł stary tym swoim pełnym namysłu, niewzruszonym tonem, zupełnie jakby tamten był jakimś dzikim zwierzęciem. – Tak się na niego natknąłem. Ciekawostka, prawda? Niech mi pan powie, doktorze – opłynąłem cały świat – czy przypadkiem nie złapaliśmy tu jakiegoś jakby Hindusa?

Byłem mocno zdumiony. Długie włosy przybysza, rozrzucone na wiązce siana, kontrastowały z oliwkową bladością jego twarzy. Pomyślałem sobie, że może być Baskiem. Nie wynikało z tego oczywiście, że będzie mówił po hiszpańsku, ale próbowałem zwrócić się do niego kilkoma znanymi mi słowami, a także po francusku. Wyszeptane przez niego dźwięki, które uchwyciłem, przykładając ucho do jego ust, zdumiały mnie kompletnie. Tego popołudnia panienki z plebanii (jedna z nich z pomocą słownika czytała Goethego, druga od lat zmagała się z Dantem), które przyszły odwiedzić pannę Swaffer, stojąc w drzwiach, próbowały porozumieć się z nim po niemiecku i włosku. Wycofały się, odrobinę przestraszone potokiem namiętnych słów, które do nich skierował, odwracając się w ich stronę na swym legowisku. Przyznały, że dźwięk był miękki, muzyczny, ale – pewnie w połączeniu z jego wyglądem – także niepokojący, pobudliwy, zupełnie niepodobny do czegokolwiek, co dotąd słyszały. Chłopcy wiejscy wspięli się na skarpę, by rzucić okiem przez kwadratowe okienko. Wszyscy zastanawiali się, co pan Swaffer zamierza z nim zrobić.

A on po prostu trzymał go u siebie.

Swaffera nazywano by dziwakiem, gdyby nie to, że cieszył się powszechnym poważaniem. Powiadano, że wieczorami siedzi nawet do dziesiątej i czyta książki, i że potrafi bez namysłu wypisać czek na dwieście funtów. On sam mówił, że Swafferowie są właścicielami ziemi stąd do Darnford już od trzystu lat. Dziś musi mieć z osiemdziesiąt pięć lat, ale nie wygląda ani odrobinę starzej niż wtedy, gdy tu przybył. Jest wybitnym hodowcą owiec i handluje bydłem na szeroką skalę. Jeździ na targi w całej okolicy bez względu na pogodę, powozi pochylony nisko nad lejcami, cienkie włosy kładą mu się na kołnierzu ciepłego płaszcza, nogi owija zielonym pledem. Spokój podeszłego wieku dodaje powagi jego postawie. Jest zawsze gładko ogolony; usta ma wąskie, wrażliwe, pewna sztywność jego monarszych rysów nadaje wyrazowi jego twarzy swego rodzaju uwznioślenia. Znany jest z tego, że potrafi przebyć wiele mil w deszczu, by obejrzeć nowy gatunek róży w czyimś ogrodzie albo olbrzymią kapustę wyhodowaną przez jakiegoś wieśniaka. Uwielbia słuchać lub oglądać wszystko, co określa jako „cudzoziemskie”. Być może wyłącznie cudzoziemskość tego człowieka sprowokowała Swaffera. A może był to niewytłumaczalny kaprys? Powiedzieć mogę tyle, że nie upłynęły trzy tygodnie, jak zobaczyłem, że wariat od Smitha kopie w warzywniku Swaffera. Odkryli, że umie się posługiwać szpadlem. Kopał boso.

Czarne włosy spływały mu na ramiona. Przypuszczam, że to Swaffer dał mu starą bawełnianą koszulę w paski; ale nadal miał na sobie swoje narodowe brązowe portki z płótna (w których został wyrzucony na brzeg), przylegające do nóg niczym rajtuzy; przepasany był szerokim skórzanym pasem z niewielkimi mosiężnymi kółkami; do wsi jeszcze nie odważył się wybrać. Ziemia, którą oglądał, zdawała mu się zagospodarowana starannie, jak grunty otaczające dom pana; w zdumienie wprawił go rozmiar koni przy wozach; drogi przypominały ogrodowe alejki, a wygląd ludzi, zwłaszcza w niedziele, świadczył o ich zamożności. Zastanawiał się, dlaczego mają tak twarde serca, dlaczego ich dzieci są tak zuchwałe. Jedzenie dostawał przy tylnych drzwiach, niósł je ostrożnie, w obu rękach, do swojej

przybudówki i siadając samotnie na swym posłaniu, zanim zaczął jeść, żegnał się znakiem krzyża. Przy tym samym posłaniu klękał przed snem o wczesnym zmierzchu w te krótkie dni i recytował głośno Modlitwę Pańską. Kiedy tylko spotykał starego Swaffera, kłaniał mu się z szacunkiem w pas i stał wyprężony, podczas gdy stary, z palcami przy górnej wardze, lustrował go w milczeniu. Kłaniał się także pannie Swaffer, która prowadziła ojcu oszczędne gospodarstwo – tej szerokoplecej, grubokościstej czterdziestopięciolatce, która miała kieszeń pełną kluczy i szare spokojne oczy. Panna Swaffer należała do Kościoła – jak mawiali ludzie (jej ojciec był w radzie kaplicy baptystów) – i przy pasku nosiła mały stalowy krzyżyk. Ubierała się surowo w czerń, na pamiątkę jednego z niezliczonych Bradleyów z okolicy, z którym jakieś dwadzieścia pięć lat temu się zaręczyła – młodego rolnika, który w przeddzień ślubu skręcił sobie kark na polowaniu. Miała nieporuszoną twarz osoby głuchej, odzywała się bardzo rzadko, a jej usta, tak samo cienkie jak usta ojca, zaskakiwały czasami tajemniczym, ironicznym skrzywieniem.

Tym to ludziom winien był posłuszeństwo, a z ołowianego nieba owej pozbawionej słońca zimy wylewała się na niego wszechogarniająca samotność. Wszystkie twarze były smutne. Do nikogo nie mógł się odezwać, nie miał już nadziei, że kiedykolwiek kogoś zrozumie. Wydawało mu się, że są to twarze ludzi z innego świata – zmarłych – jak mi wielokrotnie później mówił. Słowo daję, jestem pełen podziwu, że nie zwariował. Nie wiedział, gdzie jest. Bardzo daleko od swoich gór – gdzieś nad jakąś wodą. Czy to jest Ameryka? – zastanawiał się.

Gdyby nie ten stalowy krzyżyk przy pasku panny Swaffer, nie wiedziałby nawet, jak mi wyznał, czy w ogóle jest w chrześcijańskim kraju. Rzucał na ten krzyżyk czasem ukradkowe spojrzenia i to go pocieszało. Nic tu nie było takie jak u niego w domu! Ziemia i woda były inne; przy drogach nie było wizerunków Zbawcy. Nawet trawa była inna, nawet drzewa – wszystkie poza trzema starymi norweskimi sosnami na trawniku przed domem Swaffera; te mu przypominały ojczyznę. Raz go nakryto, jak po zmroku z czołem opartym o jedną z nich płacze i mówi coś do siebie.

Te sosny były mu wówczas siostrami, powiedział mi. Wszystko inne było dziwne. Wyobraź sobie taką egzystencję, którą na co dzień ocieniają materialne zjawy, wiszą nad nią jak wizje w koszmarze sennym. Nocą, kiedy nie mógł spać, wciąż myślał o tej dziewczynie, która dała mu pierwszy kawałek chleba, jaki zjadł na tej obcej ziemi. Ona nie była ani groźna, ani wściekła, ani przestraszona. Jej twarz zapamiętał jako jedyną zrozumiałą twarz pośród wielu tak zamkniętych, tak tajemniczych i tak niemych, jak twarze zmarłych, którzy posiadają wiedzę przekraczającą pojęcie żywych. Zastanawiam się, czy to właśnie wspomnienie jej współczucia powstrzymało go przed podcięciem sobie gardła. A zresztą! Zdaje się, że jestem starym sentymentalistą i zapominam o instynktownym umiłowaniu życia, które ulega tylko całej sile niesamowitej rozpaczy.

Zlecane prace wykonywał z pojętnością, która zdumiewała starego Swaffera. Z czasem okazało się, że potrafi pomagać w orce, doić krowy, karmić byki w zagrodzie dla bydła, a także pracować przy owcach. Zaczął chwytać pojedyncze słowa, i to bardzo prędko. Aż pewnego pięknego majowego poranka uratował od przedwczesnej śmierci wnuczkę starego Swaffera.

Jego młodsza córka wyszła za Willcoxa, prawnika i urzędnika w ratuszu w Colebrook. Dwa razy każdego roku przyjeżdżają na parę dni do ojca. Ich jedyne dziecko, dziewczynka, niemająca jeszcze wtedy trzech lat, wybiegła sama z domu w białym fartuszku, przetuptała na drugą stronę trawnika w tarasowym ogrodzie, przechyliła się przez niski murek i wpadła głową naprzód do znajdującego się poniżej stawu dla koni.

Nasz bohater był wtedy z woźnicą i pługiem na polu najbliżej domu, a kiedy zawracał zaprzęgiem, by zacząć nowy rządek, dostrzegł coś, co dla wszystkich innych byłoby nie więcej niż trzepotaniem czegoś białego. On jednak miał bystry, sprawny, dalekosiężny wzrok, który wzdragał się i tracił swą zdumiewającą moc jedynie wobec ogromu morza. Teraz był boso i wyglądał tak cudzoziemsko, jak tylko Swaffer mógł sobie w swym sercu zamarzyć. Ku niewymownemu zgorszeniu woźnicy porzucił konie na

zakręcie, zerwał się, długimi susami przebył zaorane pole i nagle pojawił się przed matką dziecka, rzucił małą w jej ramiona i odszedł.

Staw nie był głęboki, a jednak, gdyby nie jego sokole oczy, dziecko by zginęło marnie, uduszone w mule pokrywającym dno grubo na stopę albo lepiej. Stary Swaffer wolnym krokiem udał się na pole, poczekał, aż pług dojdzie na jego stronę, przyjrzał się uważnie przybyszowi i bez słowa wrócił do domu. Jednak od tego czasu posiłki podawano mu już przy kuchennym stole; z początku panna Swaffer, cała w czerni i z nieprzeniknioną twarzą, stawała w drzwiach salonu i przypatrywała się, jak czyni wielki znak krzyża, zanim zabierze się do jedzenia. A Swaffer zaczął mu od tego momentu chyba też regularnie płacić za pracę.

Nie mogę krok po kroku prześledzić jego rozwoju. Obciął krótko włosy, widywano go we wsi i na drodze, kiedy pracował jak wszyscy inni. Dzieci przestały za nim wołać. On pojął różnice społeczne, ale przez długi czas zdumiewała go nagość i ubóstwo kościołów wśród takiego bogactwa. Nie rozumiał też, dlaczego w ciągu tygodnia są zamknięte. Przecież nie ma w nich czego kraść. Czy chodzi o to, żeby ludzie za często się nie modlili? Plebania dość mocno się nim w tym czasie interesowała, zdaje mi się, że panny liczyły na jego rychłą konwersję. Nie potrafiły wykorzenić u niego zwyczaju żegnania się, niemniej zdjął z szyi sznurek z kilkoma mosiężnymi medalikami wielkości sześciopensówki, maleńkim krzyżykiem i swojego rodzaju kwadratowym szkaplerzem, który nosił na szyi. Powiesił je na ścianie przy swoim posłaniu, a co wieczór nadal było słychać, jak głośno odmawia Ojcze nasz – niezrozumiałymi słowami, wolnym, żarliwym tonem, tak jak to czynił jego ojciec, który każdego wieczoru swego życia klękał wraz z całą rodziną, z dużymi i małymi. A chociaż do pracy ubierał się teraz w sztruks, a w niedzielę w tandetne szare ubranie, nietutejsi i tak obracali się za nim na drodze. Jego obcość miała szczególny, niezatarty charakter. W końcu ludzie przyzwyczaili się do jego widoku. Nie przyzwyczaili się jednak do niego samego. Ten szybki, lekki krok, smagła cera, kapelusz zsunięty na lewe ucho, zwyczaj noszenia w ciepłe wieczory płaszcza przerzuconego przez jedno ramię, niczym huzarski dolman, to

przeskakiwanie nad bramkami na polach, nie po to, by popisać się zwinnością, ale ot tak, po prostu żeby przejść – wszystkie te szczegóły stały się, powiedzieć można, powodami do pogardy i obrazy dla mieszkańców wioski. Oni nie kładli się w porze obiadu na trawie, by popatrzeć w niebo. Nie chodzili też po polach, wykrzykując wstrętne piosenki. Często słyszałem jego wysoki głos zza krawędzi jakiejś ścieżki dla owiec na stromym zboczu, głos lekki i wzlatujący w niebo niczym skowronek, ale z melancholijną ludzką nutą, ponad naszymi polami, które słyszą tylko śpiew ptaków. I ja się tym zdumiewałem. Ach! On był inny: miał niewinne serce, wiele dobrej woli, której nikt od niego nie chciał – ten rozbitek, który niczym człowiek przeniesiony na inną planetę został od swej przeszłości oddzielony ogromnym przestworem i ogromną niewiedzą. Jego szybka, gorączkowa mowa przyprawiała wszystkich o wstrząs. „Popędliwy diabeł” – tak go określali. Jednego wieczoru w gospodzie Pod Wozem i Końmi (wypiwszy trochę whisky) zdenerwował ich, śpiewając piosenkę miłosną ze swojego kraju. Wygwizdali go, a jemu było przykro, ale cóż, Preble, kulawy kołodziej, gruby kowal Vincent i inni wiejscy notable chcieli wypić wieczorne piwo w spokoju. Innym razem chciał im pokazać, jak się tańczy. Z zapiaszczonej podłogi podniosła się chmura pyłu, a on skoczył wprost między stoliki do gry, trzaskał obcasami, przykucnął na jednej nodze tuż przed starym Preble’em, wyrzucając drugą nogę naprzód, wydawał dzikie i wzniosłe okrzyki, wyskakiwał w górę i wirował na jednej stopie, strzelał palcami nad głową, a nietutejszy furman, który siedział sobie nad trunkiem, zaklął, zabrał szklankę z piwem i przeniósł się do baru. Ale kiedy nagle skoczył na stół i zaczął tańczyć między szklankami, interweniował właściciel gospody. Nie życzył sobie „żadnych akrobatycznych sztuczek”. Chwycili go. A że obcokrajowiec pana Swaffera wypił już wcześniej szklaneczkę czy dwie, starał się protestować: wyrzucono go siłą z podbitym okiem.

Wydaje mi się, że odczuwał wrogość otoczenia. Ale był twardy – zarówno duchem, jak i ciałem. Tylko wspomnienie morza napawało go tym nieokreślonym przerażeniem, jakie pozostawiają po sobie złe sny. Jego dom

był daleko, a on już nie chciał jechać do Ameryki. Starałem się nieraz wyjaśnić mu, że nie ma na świecie miejsca, gdzie szczere złoto leży na ziemi i tylko czeka, żeby się po nie schylić. Jak zatem ma kiedykolwiek wrócić do domu z pustymi rękoma, skoro na jego podróż sprzedano krowę, dwa koniki i kawał pola? Oczy wypełniały mu się łzami, a on, odwracając wzrok od morza, rzucał się twarzą w dół na trawę. Czasami jednak, przekrzywiając nieco kapelusz, wyrażał wątpliwość co do moich sentencji. On znalazł swoją grudkę złota – serce Amy Foster; „złote serce, miękkie dla ludzkiej niedoli", jak mawiał z naciskiem absolutnego przekonania.

Nazywał się Yanko. Wyjaśnił, że to znaczy mały John, a ponieważ często powtarzał, iż jest góralem (tak to słowo brzmiało w jego dialekcie), dostał nazwisko Gooral. I tylko taki ślad po nim przyszłe pokolenia mogą odnaleźć w parafialnej księdze ślubów. Znalazło się tam: Yanko Gooral, zapisane ręką naszego proboszcza. Krzywy krzyżyk postawiony przez rozbitka, krzyżyk, którego wypisanie niewątpliwie było dla niego najpoważniejszą częścią całej ceremonii, jest wszystkim, co dziś mamy na jego pamiątkę.

Zaloty trwały przez czas jakiś – odkąd tylko zdobył w społeczności swoje niezbyt pewne miejsce. Zaczęło się od tego, że w Darnford kupił dla Amy zieloną atłasową wstążkę. Tak się robiło w jego kraju. Kupowało się wstążkę u Żyda, w dzień targowy. Nie jestem pewien, czy dziewczyna wiedziała, co z nią zrobić, ale Yanko, jak mi się zdaje, uważał, że jego szlachetne intencje muszą być jasne.

Dopiero jednak, kiedy wyraził chęć ożenku, pojąłem w pełni, do jakiego stopnia jest – z setek nieistotnych i niezauważalnych powodów – czy mam powiedzieć: wstrętny? całemu otoczeniu. Wszystkie stare baby we wsi stanęły do boju. Smith, spotkawszy go kiedyś w okolicach farmy, zapowiedział, że jeśli jeszcze raz go tam zobaczy, to rozwali mu łeb. Ale Yanko tak bojowo podkręcił czarnego wąsa i tak spojrzał na niego swymi czarnymi oczyma, że groźba spełzła na niczym. Smith jednak powiedział dziewczynie, że musi mieć źle w głowie, skoro zadaje się z niewątpliwym wariatem. Tyle że ona, kiedy tylko o zmierzchu dobiegało ją

pogwizdywanie paru taktów dziwnej, tęsknej melodii, rzucała wszystko, cokolwiek miała w ręku – porzucała panią Smith w środku zdania – i biegła na jego wezwanie. Pani Smith nazywała ją bezwstydną ladacznicą. Ona nic na to nie odpowiadała. W ogóle nikomu na nic nie odpowiadała i szła w swoją stronę, jakby była głucha. Zdaje mi się, że w całej okolicy tylko ona i ja dostrzegaliśmy jego prawdziwe piękno. Był bardzo przystojny, miał nadzwyczaj zgrabne ruchy, jakby tkwiło w nim coś z dzikiego, leśnego stworzenia. Matka Amy jęczała nad nią żałośnie, gdy dziewczyna przychodziła do niej w wolne dni. Ojciec był opryskliwy, ale udawał, że o niczym nie wie, a pani Finn powiedziała jej wprost: „Ten człowiek, moja droga, któregoś dnia zrobi ci krzywdę”. I tak to szło. Widywano ich na drodze – ona stąpała obojętnie w swoim wyjściowym stroju: szara suknia, czarne piórko, solidne buty, widoczne z odległości stu jardów białe rękawiczki, on z płaszczem malowniczo przerzuconym przez ramię kroczył przy niej, wytworny w ruchach, i rzucał czułe spojrzenia na dziewczynę o złotym sercu. Zastanawiam się, czy dostrzegał, jak bardzo jest prosta. Być może nie potrafił tego ocenić wśród typów tak odmiennych od wszystkiego, co znał przedtem, a może uwiodła go jej nadziemska litość.

Tymczasem Yanko stanął przed poważnym problemem. W jego kraju trzeba znaleźć starszego mężczyznę, który wystąpi w charakterze posła w sprawach małżeńskich. Nie wiedział, co ma czynić. W końcu pewnego dnia na pastwisku, pośród stada owiec (był teraz u Swaffera pomocnikiem pasterza przy starym Fosterze), zdjął przed ojcem Amy kapelusz i pokornie poprosił o jej rękę. „Podejrzewam, że jest na tyle głupia, żeby za ciebie wyjść” – to była cała odpowiedź starego. „A ten – opowiadał później – wkłada kapelusz na głowę, patrzy na mnie, jakby mi chciał poderżnąć gardło, gwiżdże na psa i znika, zostawiając mnie z całą robotą”. Fosterom oczywiście nie uśmiechała się utrata pieniędzy, które zarabiała córka – Amy oddawała całą pensję matce. Foster czuł szczerą niechęć do tego związku. Uważał, że Yanko świetnie się nadaje do owiec, ale nie do ożenku! Po pierwsze, chodzi wzdłuż żywopłotów i gada do siebie jak jakiś głupek; po drugie, ci cudzoziemcy czasem bardzo dziwnie zachowują się wobec

kobiet. A może będzie chciał ją gdzieś wywieźć – albo sam ucieknie? To po prostu nie było bezpieczne. Nagadał córce, że ten facet może ją w jakiś sposób wykorzystać. Nic na to nie odpowiedziała. Wydawało się, jakby ten człowiek coś z nią zrobił. Ludzie gadali. Wzbudzało to spore podniecenie, a tymczasem ci dwoje nadal „chodzili ze sobą” pomimo całej tej opozycji. A potem zdarzyło się coś niespodziewanego.

Nie wiem, czy stary Swaffer zdawał sobie sprawę, do jakiego stopnia jego cudzoziemski parobek traktuje go jak ojca. Stosunki między nimi były w każdym razie wysoce feudalne. Kiedy więc Yanko oficjalnie poprosił o rozmowę – „i panienkę też” (surową, głuchą pannę Swaffer nazywał po prostu „panienką”) – to po to, żeby uzyskać zgodę na małżeństwo. Swaffer wysłuchał go nieporuszony, potem gestem kazał mu odejść, a następnie wykrzyczał tę nowinę wprost w lepsze ucho panny Swaffer. Nie okazała zdziwienia, a tylko stwierdziła ponuro swym stłumionym głosem: „Żadna inna na pewno za niego nie wyjdzie”.

To pannie Swaffer należy przypisać szczodrobliwość, albowiem już za kilka dni wyszło na jaw, że pan Swaffer ofiarował Yankowi chatę (tę, którą widziałeś dziś rano) i około akra gruntu; przekazał mu je na własność. Willcox przeprowadził tę sprawę i wspomniał mi, pamiętam, że zrobił to z największą przyjemnością. Akt prawny głosił: „W uznaniu zasługi uratowania życia mojej umiłowanej wnuczce, Bercie Willcox”.

Po tym, rzecz jasna, nie było takiej siły, która by ich powstrzymała przed zawarciem małżeństwa.

Amy był niezmiennie zakochana. Ludzie widzieli, jak wieczorem wychodzi mu na spotkanie. Niezachwianym, roziskrzonym wzrokiem wpatrywała się w gościniec, którym nadchodził swobodnym krokiem, kołysząc się w biodrach i nucąc jedną z miłosnych piosenek swojego kraju. Kiedy urodził im się chłopczyk, raz jeszcze wpadł w uniesienie Pod Wozem i Końmi, znowu chciał śpiewać i tańczyć, i znowu go wyproszono. Ludzie wyrażali współczucie dla kobiety, która wyszła za tego „diabła z pudełka”. Yanko się nie przejmował. Istniał teraz człowiek (jak z dumą oświadczył),

któremu mógł śpiewać i do którego mógł mówić w języku swojego kraju, a za jakiś czas pokazać, jak się tańczy.

No nie wiem. Wydawało mi się wtedy, że krok ma mniej sprężysty, ciało bardziej ociężałe, a oczy już nie tak błyszczące. Z pewnością to wyobraźnia, choć teraz mam wrażenie, że już wówczas zacisnęła się na nim mocniej sieć przeznaczenia.

Kiedyś spotkałem go na ścieżce na Talfourd Hill. Powiedział mi wtedy, że „kobiety są dziwne". Słyszałem już o ich domowych nieporozumieniach. Ludzie mówili, że Amy Foster zaczyna dostrzegać, za kogo wyszła. Patrzył na morze niewidzącymi, obojętnymi oczyma. Żona wyrwała mu kiedyś dziecko z objęć, gdy siedział z nim na progu i nucił mu piosenkę, którą matki śpiewają dzieciom u niego w górach. Chyba się jej wydawało, że robi mu krzywdę. Kobiety są dziwne. Miała mu też za złe głośne wieczorne modlitwy. Dlaczego? On chciał, żeby chłopiec po trochu powtarzał za nim pacierz – tak samo jak on, gdy był dzieckiem, powtarzał modlitwę za ojcem. Domyśliłem się, że czeka na chwilę, kiedy dziecko dorośnie, by mieć z kim rozmawiać w tym języku, który dla nas brzmiał tak niepokojąco, namiętnie i dziwnie. Nie mógł pojąć, dlaczego żonie to się nie podoba. Ale to minie, powiedział. I przechylając na bok głowę, popukał się w pierś, by pokazać, że ona ma dobre serce: nie twarde, nie zawzięte, współczujące, miłosierne dla biednych!

Odszedłem w zadumie, zacząłem się zastanawiać, czy jego odmienność, jego obcość nie przenikają odrazą tej tępej natury, którą z początku tak nieodparcie pociągały. Zastanawiałem się nad tym…

Doktor podszedł do okna i spojrzał ku mroźnej wspaniałości morza opatulonego mgłą, jakby zawierającego w sobie całą ziemię i wszystkie serca zagubione między miłością i strachem.

– Z punktu widzenia fizjologii – powiedział, odwracając się gwałtownie – było to możliwe. Było to możliwe.

Zamilkł. Po chwili mówił dalej:

– Tak czy inaczej, następnym razem, gdy miałem okazję go widzieć, chorował: kłopoty z płucami. Był twardym człowiekiem, ale zdaje mi się,

że nie zaaklimatyzował się tu tak dobrze, jak przypuszczałem. To była sroga zima, no a górali, jak wiadomo, atakuje czasem tęsknota za domem; stan przygnębienia pewnie zwiększył podatność na chorobę. Leżał na wpół ubrany na kanapie na dole.

Niemal całą izbę zajmował stół nakryty ciemną ceratą. Na podłodze stała wiklinowa kołyska, na płycie czajnik wypuszczał kłęby pary, a przed kominkiem suszyły się pieluszki. W pokoju było ciepło, ale, jak zauważyłeś, drzwi chaty otwierają się wprost do ogrodu.

Miał wysoką gorączkę i coś do siebie mamrotał. Ona siedziała na krześle, wpatrzona w niego załzawionymi oczyma.

– Dlaczego nie leży na górze? – zapytałem. Z drgnieniem i jąkając się w niepewności, odpowiedziała:

– Na górze nie mogłabym przy nim siedzieć, proszę pana.

Wydałem jej pewne polecenia i wychodząc, powtórzyłem, że powinien leżeć w łóżku na górze. Załamała ręce:

– Nie mogłabym. Nie mogłabym. On ciągle coś mówi, a ja nie wiem co.

Pamiętając o całym tym gadaniu, które jej wtłaczano w uszy, spojrzałem na nią uważnie. Spojrzałem w jej krótkowzroczne oczy, w te tępe oczy, które raz w życiu dostrzegły nęcący kształt, ale teraz, kiedy patrzyła na mnie, chyba niczego już nie widziały. Dostrzegłem, że jest niespokojna.

– Co się z nim dzieje? – zapytała z jakąś taką bezmyślną trwogą. – Nie wygląda na bardzo chorego. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak wyglądał…

– Czy myślisz – powiedziałem z oburzeniem – że on udaje?

– Nic na to nie poradzę, proszę pana – odrzekła obojętnie. I nagle klasnęła w ręce i rozejrzała się na obie strony. – Bo jeszcze to dziecko. Tak się boję. Chciał przed chwilą, żebym mu podała dziecko. Nie mogę zrozumieć, co on do niego mówi.

– Czy nie możesz poprosić sąsiadki, żeby przyszła na noc?

– Ale, proszę pana, jakoś nikt nie chce tu przychodzić – wymamrotała, nagle popadając w tępą rezygnację.

Z mocą podkreśliłem konieczność jak najtroskliwszej opieki i musiałem jechać dalej. Tej zimy chorowało bardzo wiele osób.

– Mam nadzieję, że nie będzie nic mówił! – wykrzyknęła cicho, kiedy wychodziłem.

Nie wiem, jak to się stało, że tego nie dostrzegłem – ale nie dostrzegłem. Jednak, zawracając kolaskę, widziałem, jak z wahaniem stoi przy drzwiach, nieruchomo, lecz jakby się zastanawiała, czy nie wybiec na grząską drogę.

Pod wieczór gorączka się wzmogła.

Rzucał się, jęczał, od czasu do czasu skarżył cicho. Ona zaś siedziała, oddzielona od niego stołem, przyglądając się każdemu jego ruchowi i wsłuchując w każdy dźwięk, jaki wydawał, a przerażenie, nierozumne przerażenie człowiekiem, którego nie była w stanie pojąć, ogarniało ją coraz silniej. Wiklinową kołyskę przysunęła blisko do swoich nóg. W tym momencie wypełniał ją bez reszty instynkt macierzyński i niepojęty strach.

Nagle on, przychodząc na chwilę do siebie, zażądał wody. Nie poruszyła się. Nie zrozumiała, choć jemu być może zdawało się, że mówi po angielsku. Czekał, patrząc na nią, rozpalony gorączką, zaskoczony jej milczeniem i bezruchem, a potem krzyknął niecierpliwie: „Wody! Daj mi wody!”.

Zerwała się na równe nogi, chwyciła dziecko i znieruchomiała. Mówił do niej, a jego namiętne błagania tylko wzmogły w niej strach przed tym dziwnym człowiekiem. Wydaje mi się, że musiał do niej mówić długo, prosząc, dziwiąc się, błagając ją, rozkazując, tak myślę. Mówiła potem, że znosiła to tak długo, jak tylko mogła. Aż jego ogarnęła fala złości.

Usiadł i strasznym głosem wykrzykiwał jedno słowo – jakieś słowo. Potem wstał, jakby wcale nie był chory, tak mówi Amy. I w gorączkowym pobudzeniu starał się dostać do niej, na drugą stronę stołu, a wtedy ona po prostu otworzyła drzwi i uciekła z dzieckiem w ramionach. Słyszała, że dwukrotnie woła za nią strasznym głosem – ale umknęła… Och, musiałbyś widzieć, jak w tym jej tępym, zamglonym wzroku majaczyło widmo

strachu, które tej zimowej nocy ścigało ją trzy i pół mili, aż do drzwi chaty Fosterów! Ja widziałem je następnego dnia.

Bo to ja znalazłem go leżącego w kałuży, twarzą w dół, tuż za furtką ich obejścia.

Tej nocy zostałem wezwany do nagłego przypadku we wsi, a w drodze do domu, tuż przed świtem, mijałem ich chatę. Drzwi były otwarte na oścież. Mój człowiek pomógł mi go wnieść do środka. Położyliśmy go na kanapie. Lampa kopciła, ogień zgasł, chłód sztormowej nocy sączył się ze ścian pokrytych smętną żółtą tapetą.

– Amy – zawołałem głośno, ale mój głos gubił się w pustce tego niewielkiego domku, jakbym wołał na puszczy.

– Poszła – odpowiedział Yanko wyraźnie. – A ja tylko chciałem wody, trochę wody…

Był ubłocony, przykryłem go i czekałem w ciszy, od czasu do czasu wychwytując wydyszane z trudem słowo. Już nie w jego języku. Gorączka go opuściła, zabierając ze sobą ciepło życia. Z tą dyszącą piersią i błyszczącymi oczyma przypominał mi znowu schwytane w sieć dzikie stworzenie; ptaka w sidłach. Amy go opuściła. Opuściła go chorego – bezradnego – spragnionego. Grot myśliwego dosięgnął samej jego duszy.

– Czemu? – zawołał przenikliwym i wzburzonym głosem człowieka wołającego do odpowiedzialnego za to Stwórcy. Odpowiedział podmuch wiatru i szum nagłego deszczu.

A kiedy odwróciłem się, by zamknąć drzwi, wypowiedział słowo:

– Miłosierna! – I skonał.

W rezultacie jako bezpośrednią przyczynę zgonu zdiagnozowałem problemy sercowe. Serce naprawdę musiało mu odmówić posłuszeństwa, inaczej przetrwałby, być może, tę noc burzy i wychłodzenia. Zamknąłem mu oczy i odjechałem. Niedaleko chaty spotkałem Fostera, który szedł ciężko między ociekającymi żywopłotami, z owczarkiem przy nodze.

– Wie pan, gdzie pańska córka? – zapytałem.

– Ja miałbym nie wiedzieć? – zawołał. – Idę się z nim rozmówić. Żeby tak przerazić biedną kobietę.

– Już jej więcej nie przestraszy – odpowiedziałem. – Nie żyje.

Zatrzymał się z kijem wbitym w błoto.

– Ale jest to dziecko.

A potem, po chwili namysłu:

– Może to i lepiej.

Tak powiedział. A ona teraz nic o nim nie mówi. Ani słowa. Czy jego obraz tak całkowicie zniknął z jej umysłu, jak jego szczupła, ruchliwa sylwetka, jego radosny głos zniknęły z naszych pól? Nie ma go już przed oczyma, nie wzbudza w niej już ani namiętnej miłości, ani strachu, a pamięć o nim została jakby wymazana z jej tępego umysłu, rozwiana niczym cień, który przemyka po białej zasłonie. Mieszka w tej chacie, pracuje u panny Swaffer. Dla wszystkich jest Amy Foster, a dziecko to „chłopak Amy Foster”. Nazywa go Johnny, czyli mały John.

Nie można stwierdzić, czy to imię coś jej przypomina. Czy w ogóle myśli o przeszłości? Widziałem, jak pochylała się nad łóżeczkiem malca z pełną czułości macierzyńską troską. Malec leżał na plecach, lekko przestraszony na mój widok, ale bardzo spokojny. Ma duże czarne oczy i coś z ptaka trzepocącego się w potrzasku. Patrząc na niego, jakbym dojrzał tego drugiego – jego ojca, tak tajemniczo wyrzuconego przez morze, ojca, który miał zginąć w najstraszniejszej katastrofie samotności i rozpaczy.

# Anarchista

Tego roku niemal całe dwa miesiące pory suchej spędzałem w jednym z gospodarstw – a w zasadzie w głównym gospodarstwie hodowlanym – słynnej firmy produkującej ekstrakty mięsne.

BOS. B-O-S. Widzieliście te trzy magiczne litery na stronach reklamowych w różnych czasopismach i gazetach, w witrynach sklepów z żywnością i w kalendarzach na kolejny rok, które poczta przynosi w listopadzie. Firma rozprowadza też broszurki w kilku językach, napisane przyprawiającym o mdłości radosnym stylem, i podaje w nich statystki rzezi i rozlewu krwi, od których Turkowi zrobiłoby się słabo. „Dzieło sztuki" ilustrujące tę „literaturę" przedstawia w barwach żywych i jaskrawych wielkiego rozwścieczonego byka, rozdeptującego kopytem wijącego się żółtego węża o szmaragdowych oczach, a wszystko to na tle kobaltowego nieba. Jest to absolutna ohyda i jest to alegoria. Wąż symbolizuje chorobę, słabość, a może po prostu głód będący przecież chroniczną chorobą wielkiej części ludzkości. Oczywiście każdy zna BOS sp. z o.o. I jego niepodrabialne produkty: Vinobos, Gelobos oraz najnowszy i niepokonany w swej doskonałości Tribos, którego wartości odżywcze otrzymujemy w formie nie tylko skoncentrowanej, ale również na poły strawionej. Najwyraźniej aż taką miłością pała ku swym bliźnim owa spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, dorównującą niemal trosce, jaką pingwini rodzice otaczają swe wygłodniałe pisklęta.

Oczywiście kapitał kraju musi być właściwie wykorzystany. Nie mam nic przeciwko temu przedsiębiorstwu. Ale i ja sam kieruję się w stosunku do bliźnich dobrym uczuciem, dlatego współczesne reklamy napawają mnie smutkiem. Przekazują one niewątpliwie oznaki zaradności, geniuszu, śmiałości i pomysłowości pewnych jednostek, niemniej dowodzą moim

zdaniem powszechnego panowania tej formy degradacji umysłowej, którą nazwać można naiwnością.

W wielu miejscach świata cywilizowanego i niecywilizowanego byłem zmuszony z większym lub mniejszym dla siebie pożytkiem przełykać produkty BOS-u, nigdy jednak nie czyniłem tego z wielką przyjemnością. Przygotowywany z użyciem gorącej wody i sporych ilości pieprzu, by wydobyć smak, ekstrakt ten nie jest w istocie szczególnie jadalny. Nigdy jednak nie byłem w stanie przełknąć jego reklam. Być może nie posunęły się jeszcze dosyć daleko. O ile dobrze pamiętam, nie obiecują one konsumentom wiecznotrwałej młodości, nie utrzymują też, że produkty BOS-u mają moc wskrzeszania zmarłych. Zastanawiam się, skąd ta przesadna powściągliwość? Nie sądzę jednak, by kupiły mnie one nawet za taką cenę. Wykazuję (będąc tylko człowiekiem) liczne formy degradacji umysłowej, jednak nie tę powszechną. Nie jestem naiwny.

Poświęciłem nieco wysiłku, by jednoznacznie wygłosić to dotyczące mnie samego stwierdzenie w kontekście historii, którą chcę przytoczyć. Fakty sprawdziłem, na ile się dało. Przewertowałem archiwa francuskich gazet, rozmawiałem też z oficerem dowodzącym żandarmerią wojskową na Île Royal, kiedy w trakcie swych podróży dotarłem do Cayenne. Uważam, że jest to historia zasadniczo prawdziwa. To taki rodzaj historii, jakiej – tak mi się wydaje – nikt by o sobie samym nie zmyślił, bo ani ona chwalebna, ani pochlebna, ani nawet dość zabawna, żeby zaspokoić przewrotną próżność.

Jest to historia mechanika na łodzi parowej w gospodarstwie hodowli bydła Marañon, należącej do BOS sp. z o.o. Gospodarstwo to jest też wyspą – wyspą wielkości niedużej prowincji, leżącą u ujścia potężnej rzeki w Ameryce Południowej. Wyspa jest dzika i niezbyt piękna, ale trawa rosnąca na jej nizinnych łąkach ma chyba szczególne własności odżywcze i smakowe. Rozbrzmiewa tam porykiwanie nieprzeliczonych stad – dźwięk niski i przygnębiający, wzbijający się w niebo niczym potworny protest skazanych na śmierć więźniów. Na lądzie, po drugiej stronie bezbarwnej,

błotnistej wody szerokiej na jakieś dwadzieścia mil, leży miasto, które nazywa się, powiedzmy, Horta.

Najciekawszą jednak cechą tej wyspy (tej jakby kolonii karnej dla skazanego bydła) jest fakt, że stanowi ona jedyne znane środowisko życia niezwykle rzadkiego gatunku motyla. Gatunek ten jest wręcz bardziej rzadki niż piękny, a to znaczy niemało. Wspomniałem już o swoich podróżach. W tamtym czasie także podróżowałem, ale wyłącznie dla siebie i z umiarkowaniem nieznanym naszej epoce biletów dookoła świata. Podróże moje miały nawet cel. Podejmowałem je bowiem jako: „Cha, cha, cha! Straszliwy pogromca motyli. Cha, cha, cha!”.

W taki oto sposób wypowiadał się o moim zajęciu pan Harry Gee, kierownik tej farmy bydła. Odnosiło się wrażenie, że ma mnie za największy absurd świata. Tymczasem BOS sp. z o.o. była w jego oczach szczytem osiągnięć XIX wieku. Przypuszczam, że sypiał w bryczesach i z ostrogami. Dnie spędzał w siodle, przemierzając równiny wraz z zastępem półdzikich pastuchów, którzy tytułowali go Don Enrique, a o wypłacającej im pensje spółce BOS pojęcie mieli mgliste. Był znakomitym kierownikiem, ale nie wiem, dlaczego uważał za stosowne – gdy spotykaliśmy się na posiłki – walić mnie po plecach i wykrzykiwać na wpół drwiące pytania:

– Jak dziś idzie morderczy sport? Motyle trzymają się mocno? Cha, cha, cha! – Zwłaszcza że ściągał ze mnie stawkę wysokości dwóch dolarów dziennie za gościnę na terenie BOS sp. z o.o. (kapitał w pełni spłacony: milion pięćset tysięcy funtów), w której księgach handlowych za ów rok z pewnością figurują także owe wpłaty.

– Nie mogę ustalić niższej stawki, jeśli mam być uczciwy wobec swojej firmy – rzucił z wielką powagą, kiedy omawialiśmy warunki mojego pobytu na wyspie.

Jego kpiny miałyby nieszkodliwy charakter, gdyby z powodu braku wszelkich przyjacielskich uczuć bliskie z nim obcowanie nie było obrzydliwe samo w sobie. Poza tym jego żarty nie były szczególnie

śmieszne. Polegały na nużącym powtarzaniu opisowych określeń ludzi i towarzyszących im wybuchów śmiechu.

– Straszliwy pogromca motyli! Cha, cha, cha! – Oto przykład jego szczególnego dowcipu, który dawał mu tyle radości. W tym samym przypływie wyśmienitego humoru zwrócił mi uwagę na mechanika z parowca, kiedyśmy któregoś dnia przechadzali się ścieżką nad strumieniem.

Głowa i ramiona tego człowieka wyłoniły się spod pokładu, na którym porozrzucane były różnorodne narzędzia oraz części jakiejś maszyny. Zabierał się do reperacji silnika. Na dźwięk naszych kroków niespokojnie uniósł usmoloną twarz o spiczastym podbródku i niewielkim jasnym wąsiku. O ile można było spod czarnych smug dostrzec jego delikatne rysy, w zielonkawym cieniu wielkiego drzewa, rozciągającego swe liście ponad statkiem zacumowanym tuż przy brzegu, jego twarz wydała mi się nędzna i chorowita.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu Harry Gee, tym swoim na wpół drwiącym, na wpół brutalnym tonem, który u tego znakomitego typu ludzi jest wyrazem samozadowolenia, nazwał go Krokodylem:

– Jak tam idzie robota, Krokodylu?

Powinienem był dodać wcześniej, że nasz sympatyczny Harry podłapał gdzieś w koloniach nieco francuszczyzny i posługiwał się nią z tak wymuszoną precyzją wymowy, jakby stroił sobie z tego języka żarty. Człowiek na statku odpowiedział mu coś szybko, przyjemnym głosem. Jego oczy miały w sobie pewną płynną miękkość, a zęby błysnęły olśniewającą bielą między wąskimi, opadającymi wargami.

Kierownik zwrócił się do mnie radośnie i rozgłośnie, wyjaśniając:

– Mówię na niego Krokodyl, bo żyje na poły w strumieniu, na poły na powierzchni. Jest wodno-lądowy. Na tej wyspie nie ma innych wodno-lądowych stworzeń poza krokodylami, no to chyba musi należeć do tego gatunku, co? Ale tak naprawdę, to jest ni mniej, ni więcej, tylko *un citoyen anarchiste de Barcelone*.

– Obywatel anarchista z Barcelony? – powtórzyłem głupawo, patrząc z góry na tego człowieka.

Ten powrócił już do swojej pracy w maszynowni parowca i widać było tylko jego pochylone plecy. Usłyszałem, jak w tej pozycji oświadcza bardzo wyraźnie:

– Nawet nie znam hiszpańskiego.

– Hej! Co? Śmiesz przeczyć, że stamtąd pochodzisz? – zaatakował go energicznie nasz wspaniały kierownik.

Na te słowa mężczyzna wyprostował się, odrzucił klucz, który miał w ręku, i stanął przed nami, drżąc na całym ciele.

– Nie przeczę niczemu, niczemu, niczemu! – zawołał z uniesieniem.

Podniósł klucz i wrócił do swojej roboty, nie zwracając już na nas uwagi. Przyglądaliśmy się mu jeszcze przez jakąś minutę i odeszliśmy.

– Czy on naprawdę jest anarchistą? – spytałem, kiedy byliśmy poza zasięgiem jego słuchu.

– Guzik mnie obchodzi, kim jest – odpowiedział sympatyczny pracownik spółki BOS. – Nazwałem go tak, bo mi pasowało w ten sposób go określić. To w interesie firmy.

– W interesie firmy! – zawołałem, zatrzymując się.

– Tak jest! – rzekł triumfalnie, podnosząc w górę swą mopsią twarz bez zarostu i szeroko rozstawiając długie, chude nogi. – To pana zaskakuje. Jestem zobowiązany robić, co w mej mocy dla dobra firmy. Bo koszty są ogromne. Wie pan, nasz ajent w Horcie mówi mi, że co roku pięćdziesiąt tysięcy funtów idzie na reklamy na całym świecie! Nigdy nie dość oszczędności przy prowadzeniu tego cyrku. Niech pan tylko posłucha. Kiedy objąłem tę farmę, nie było tu parowca. Poprosiłem, żeby nam przysłali, i tak długo przypominałem o tym w każdym liście, aż go dostałem, ale człowiek, który przyjechał razem z łodzią, rzucił robotę po dwóch miesiącach, a parowiec zostawił na boi w Horcie. Dostał lepszą robotę w tartaku w górze rzeki – niech go szlag! I odtąd cały czas było to samo. Każdy szkocki czy jankeski włóczęga, któremu przyjdzie do głowy, żeby się podać za mechanika, dostaje osiemnaście funtów na miesiąc

i zmywa się przy pierwszej lepszej okazji, najczęściej kiedy już coś rozwali. Daję panu słowo, że niektóre z tych okazów, jakie tu miewałem w charakterze speców od maszyn, nie umiały odróżnić kotła od komina. Ale ten facet rozumie się na swoim fachu i nie zamierza się stąd zwijać. Kapuje pan?

I uderzył mnie lekko w pierś dla podkreślenia tych słów. Pozostawiając na boku dziwactwa jego zachowania, chciałem się dowiedzieć, co to wszystko ma wspólnego z faktem, że człowiek ten jest anarchistą.

– Niech pan da spokój! – zawołał kierownik. – Gdyby pan nagle zobaczył bosego, kudłatego faceta przemykającego wśród zarośli na brzegu wyspy, a dokładnie w tym samym momencie w odległości niecałej mili od plaży dostrzegł odpływający w pośpiechu szkuner pełen czarnuchów, nie sądziłby pan chyba, że facet spadł z nieba, prawda? A wobec tego to nie może być nic innego tylko albo anarchia, albo Cayenne. Ja nie jestem w ciemię bity. Zaraz jak zobaczyłem tę dziwaczną grę, powiedziałem sobie – zbiegły więzień. Byłem tego tak pewien, jak jestem pewien, że widzę pana przed sobą w tej chwili. Więc ruszyłem do niego z kopyta. Przez chwilę stał na piasku na piaszczystym wzgórzu, wołając: „*Monsieur! Monsieur! Arrêtez!*”, a potem, w ostatni momencie, zerwał się i zaczął uciekać. Co sił w nogach. To ja mówię sobie: „Nauczę cię ja, bratku, zanim cię dopadnę”. I bez jednego słówka jadę dalej, a on mi miga to tu, to tam. Zagnałem go ku brzegowi i w końcu go przymknąłem na jakimś przylądku, nogi miał w wodzie, za sobą nic, tylko morze i niebo, a przed sobą dosłownie na wyciągnięcie ręki łeb mojego konia.

Założył ręce na piersi i jakoś tak rozpaczliwie podniósł głowę, ale nie zrobiło to na mnie wrażenia, to puszenie się żebraka.

Mówię mu: „Jesteś zbiegłym skazańcem”.

Kiedy usłyszał francuski, spuścił głowę i twarz mu się zmieniła.

„Niczemu nie przeczę” − powiada, wciąż jeszcze dysząc, bo nieźle się musiał naskakać, uciekając przed koniem. Spytałem, co tu robi. Do tego czasu odzyskał oddech i wyjaśnił, że miał zamiar dotrzeć do gospodarstwa, które, jak rozumie (pewnie z tego, co mu mówili ludzie na szkunerze),

znajduje się gdzieś tu w okolicy. Zaśmiałem się na to głośno, a on się zmieszał. Oszukano go? Nie ma tu nigdzie gospodarstwa, do którego by można dojść?

Śmiałem się i śmiałem. Chciał iść pieszo, więc oczywiście pierwszych kilka sztuk bydła, na które by się natknął, rozniosłoby go kopytami na strzępy. Piechur schwytany na ich pastwiskach nie ma nawet cienia szansy.

„To, że cię tak ścigałem, na pewno uratowało ci życie” – mówię mu. Stwierdził, że być może to prawda, niemniej on wyobrażał sobie, że chciałem go uśmiercić pod kopytami. Zapewniłem go, że gdybym miał taki zamiar, to nie byłoby dla mnie nic prostszego. Wtedy utknęliśmy w martwym punkcie. Przysięgam, że nie wiedziałem, co zrobić z tym skazańcem, jeśli nie miałem go wrzucić do morza. Przyszło mi do głowy, żeby go zapytać, za co został wywieziony. Zwiesił głowę.

„No co? – mówię. – Kradzież, morderstwo, gwałt czy co innego?” Chciałem usłyszeć, co sam ma do powiedzenia, chociaż oczywiście spodziewałem się, że będzie to jakieś kłamstwo. Ale on powiedział tylko: „Niech pan myśli, co chce. Niczemu nie przeczę. Nie ma sensu niczemu przeczyć”.

Przyjrzałem się mu dokładnie i coś przyszło mi do głowy.

„Tam bywają też anarchiści – mówię. – To może jesteś anarchistą”.

„Niczemu nie przeczę, *monsieur*” – powtórzył.

Po tej odpowiedzi pomyślałem, że może wcale nie jest anarchistą. Wydaje mi się, że ci cholerni wariaci są na ogół z siebie dumni. Gdyby był anarchistą, przypuszczalnie wyznałby to otwarcie.

„A kim byłeś, zanim cię skazali?” – pytam.

„*Ouvrier* – powiada. – I to dobry robotnik”.

Wtedy zacząłem myśleć, że jednak musi być anarchistą. Bo oni zwykle pochodzą z tej klasy, prawda? Nienawidzę tych tchórzliwych bestii, co podkładają bomby. Byłem już prawie zdecydowany, żeby zawrócić konia i zostawić go tam, niech padnie z głodu albo się utopi, co mu bardziej pasuje. Gdyby chciał przejść przez wyspę i znów zawracać mi głowę, bydło

by się nim zajęło. Nie wiem, co skłoniło mnie, żeby zapytać: „A jakiej specjalności?”.

Guzik mnie obchodziło, czy odpowie, czy nie. Ale on natychmiast powiedział: „*Mécanicien, monsieur*”, a ja z podniecenia prawie wyskoczyłem z siodła. Parowiec od trzech tygodni zepsuty i bezczynny stał w strumieniu. Obowiązek wobec firmy miałem jasny. Zauważył, że drgnąłem, i przez jakąś minutę wpatrywaliśmy się w siebie jak zaklęci.

„Wskakuj na konia za mną – powiedziałem. – Zreperujesz mi parowiec”.

Tak to szlachetny kierownik farmy Marañon opowiedział mi o przybyciu rzekomego anarchisty. Miał zamiar go zatrzymać – z poczucia obowiązku wobec swojej firmy – a łatka, którą mu przypiął, uniemożliwiała facetowi szukanie pracy gdziekolwiek indziej w Horcie. Gdy *vanqueros* z farmy mieli wolne, rozpuścili tę plotkę po mieście. Nie mieli pojęcia, co znaczy anarchista, ani co to jest Barcelona. Nazywali go Anarchisto de Barcelona, jakby to były chrześcijańskie imię i nazwisko. Ale w mieście ludzie czytali w gazetach o anarchistach w Europie, więc byli pod wielkim wrażeniem. Z tego zabawnego dodatku „de Barcelona” pan Harry Gee chichotał z wielką satysfakcją.

– Ta rasa jest szczególnie mordercza, prawda? Z tego powodu ci wszyscy od tartaków jeszcze bardziej obawiają się jakichkolwiek kontaktów z nim, rozumie pan? – zachwycał się całkiem szczerze. – Tym sposobem trzymam go lepiej, niż gdybym go przykuł łańcuchem za nogę do pokładu!

– No i niech pan zwróci uwagę – dodał po chwili milczenia – że nie zaprzecza. Nie krzywdzę go w ten sposób. Tak czy siak jest przecież skazańcem.

– Ale przypuszczam, że płaci mu pan? – zapytałem.

– Płacić! A na co by mu tu były pieniądze? Karmię go i ubieram. Oczywiście, że dam mu coś na koniec roku, ale nie myśli pan chyba, że zatrudniłbym skazańca i płacił mu tak samo jak jakiemuś uczciwemu człowiekowi? Ja po pierwsze i ostatnie dbam o interes firmy.

Zauważyłem, że dla przedsiębiorstwa, które co roku wydaje pięćdziesiąt tysięcy funtów na reklamę, najściślejsza oszczędność jest absolutną koniecznością. Kierownik farmy Marañon mruknął z aprobatą.

– I coś panu powiem – kontynuował. – Gdybym był pewny, że jest anarchistą, a ośmieliłby się żądać pieniędzy, dostałby ode mnie z buta. Tymczasem niech korzysta z kredytu zaufania. Jestem absolutnie gotów uwierzyć, że nie zrobił nic gorszego niż tylko zadźganie kogoś nożem – w okolicznościach łagodzących – jak to robią Francuzi, wie pan. Ale ta podstępna, krwawa zaraza, która chce zlikwidować światowe prawa i porządek – od tego mi się krew gotuje. Przecież to jest po prostu usuwanie gruntu spod nóg porządnym, ciężko pracującym ludziom. Powiadam panu, że sumienia ludzi, którzy je posiadają, takich jak pan lub ja, trzeba jakoś chronić; inaczej pierwszy lepszy łajdak, który się pojawi, okaże się pod każdym względem równie dobry co pan. A nie? Toż to by był absurd!

Popatrzył na mnie. Lekko skinąłem głową i wymamrotałem, że niewątpliwie w jego przekonaniach jest bardzo dużo prawdy.

Zasadniczą prawdą, jaką można było odkryć w poglądach mechanika Paula, było stwierdzenie, że drobna rzecz może kompletnie zniszczyć człowieka.

– *Il ne faut pas beaucoup pour perdre un homme* – rzekł do mnie w zamyśleniu pewnego wieczoru.

Przytaczam tę uwagę po francusku, ponieważ człowiek ten pochodził z Paryża, bynajmniej nie z Barcelony. W Marañon żył z dala od stacji, w niewielkiej szopce z metalowym dachem i ścianami ze słomy, którą nazywał *mon atelier*. Miał tam warsztat. Dali mu kilka derek i siodło – nie żeby zdarzało mu się jeździć konno, ale dlatego że robotnicy – *vanqueros*, pasterze bydła – nie znali innych posłań. Na tym to końskim sprzęcie sypiał niczym syn prerii pośród narzędzi swojego fachu, skrawków zardzewiałego metalu, z przenośnym kowadłem tuż przy głowie, pod blatem warsztatu, na którym rozpinał burą moskitierę.

Od czasu do czasu przynosiłem mu parę ogarków świec uratowanych ze szczupłego zapasu z domu kierownika. Był za nie wdzięczny. Wyznał, że

nie lubi leżeć bezsennie w ciemności. Skarżył się, że sen go opuścił. „*Le sommeil me fuit*” – oświadczył zwykłym u niego tonem powściągliwego stoicyzmu, dzięki któremu robił sympatyczne, wzruszające wrażenie. Dałem mu do zrozumienia, że nie przywiązuję nadmiernej wagi do faktu, że jest skazańcem.

W ten sposób doszło do tego, że pewnego wieczoru zaczął o sobie opowiadać. Kiedy jeden ogarek świecy dopalał się na brzegu blatu, Paul pospiesznie zapalał kolejny.

Służbę wojskową odbył w prowincjonalnym garnizonie i powrócił do Paryża, by znaleźć zajęcie w zawodzie. To była dobrze płatna praca. Powiedział mi nie bez dumy, że bardzo szybko zarabiał co najmniej dziesięć franków dziennie. Myślał, by się usamodzielnić i niebawem poszukać żony.

W tym miejscu westchnął głęboko i zamilkł. Potem wróciwszy do swego stoickiego tonu, dodał:

– Zdaje się, że niewiele o sobie wiedziałem.

W dniu jego dwudziestych piątych urodzin dwaj koledzy z warsztatu, w którym pracował, zaprosili go na obiad. Ten gest niezwykle go wzruszył.

– Byłem spokojnym człowiekiem – zaznaczył. – Ale towarzystwo lubię jak każdy.

Impreza odbywała się w niewielkiej knajpce na Boulevard de la - Chapelle. Do obiadu wypili trochę specjalnego wina. Znakomitego. Wszystko było znakomite, a świat – jak się wyraził – wydawał się cudownym miejscem do życia. Miał przed sobą perspektywy, odrobinę oszczędności i dobre uczucia dwu znakomitych przyjaciół. Zaproponował, że zapłaci za napitki po obiedzie, co było jak najbardziej na miejscu.

Wypili jeszcze trochę wina, napili się likieru, koniaku, piwa, potem jeszcze likieru i jeszcze koniaku. Dwóch nieznajomych przy sąsiednim stoliku przyglądało mu się z taką sympatią, że i ich zaprosił do kompanii.

Jeszcze nigdy w życiu tyle nie wypił. Był absolutnie uwznioślony i czuł się tak dobrze, że kiedy tyko nastrój odrobinę opadał, zamawiał następną kolejkę.

– Zdawało mi się – powiedział tym swoim cichym tonem, patrząc w klepisko tej ponurej szopy, w której kłębiły się cienie – że stoję na progu wielkiego, cudownego szczęścia. Jeszcze jeden kieliszek, myślałem, i już je osiągnę. Inni dotrzymywali mi kroku, kieliszek po kieliszku.

Ale stało się coś nadzwyczajnego. Nieznajomi coś powiedzieli i nagle jego uniesienie opadło. Jego umysł ogarnęły ponure myśli, *des idées noires*. Cały świat za oknami knajpki wydał mu się obrzydliwym, złym miejscem, gdzie rzesze biednych nieszczęśników muszą pracować i tyrać tylko po to, aby paru wybranych mogło się wozić powozami i żyć w przepychu w swoich pałacach. Zawstydził się swojego szczęścia. Litość nad straszliwym losem ludzkości ścisnęła mu serce. Głosem zduszonym z żalu starał się wyrazić te uczucia. Zdaje się, że na przemian szlochał i przeklinał.

Dwaj nieznajomi zaczęli natychmiast chwalić jego jakże ludzkie oburzenie. Tak. Na świecie jest rzeczywiście potwornie dużo niesprawiedliwości. Istnieje tylko jeden sposób, by zrobić coś z tą zgnilizną społeczną. Rozwalić cały ten *sacrée boutique*. Wysadzić w powietrze tę niesprawiedliwą tancbudę.

Głowy pochyliły się nad stolikiem. Szeptali mu coś elokwentnie. Nie sądzę, żeby w istocie liczyli na taki efekt. Był bardzo pijany – pijany do szaleństwa. Nagle z wściekłym rykiem wskoczył na stolik. Strącając butelki i szklanki, wołał: „*Vive l'anarchie!* Śmierć kapitalistom!". Wykrzykiwał to w kółko. Wokół niego z każdej strony pękało szkło, fruwały stołki, ludzie skakali sobie do gardeł. Wkroczyła policja. On bił, walił, drapał i walczył, aż coś z trzaskiem rozbiło mu się na głowie…

Doszedł do siebie na posterunku policji, zamknięty pod zarzutem napaści, wywrotowych okrzyków i propagandy anarchistycznej.

Wbił we mnie swoje wilgotne, błyszczące oczy, które w tym mrocznym świetle wydawały się wielkie.

– To było złe. Ale wtedy jeszcze pewnie mogłem się z tego jakoś wykręcić – powiedział wolno.

Wątpię. Jeśli jednak miał wówczas jakieś szanse, zostały one zaprzepaszczone przez młodego prawnika socjalistę, który na ochotnika

podjął się jego obrony. Na próżno Paul zapewniał go, że nie jest żadnym anarchistą, że jest spokojnym, szanowanym mechanikiem, bardzo zadowolonym z tego, że może pracować po dziesięć godzin dziennie w swoim fachu. W czasie procesu został zaprezentowany jako ofiara społeczeństwa, a jego pijackie okrzyki jako wyraz niewymownego cierpienia. Młody prawnik chciał sobie wyrobić pozycję i taka sprawa idealnie się nadawała na dobry początek. Mowę obrończą wygłosił po prostu nadzwyczajnie.

Biedak zamilkł, przełknął ślinę i wyrzucił z siebie:

– Dostałem najwyższą możliwą karę za pierwsze przestępstwo.

Mruknąłem coś, co wypadało mruknąć. Zwiesił głowę i założył ręce na piersiach.

– Kiedy mnie wypuścili z więzienia – podjął łagodnie – udałem się oczywiście wprost do mojego dawnego warsztatu. Mój *patron* przedtem wyjątkowo mnie lubił, ale teraz na mój widok aż zzieleniał z przestrachu i drżącą ręką pokazał mi drzwi.

Kiedy tak stał na ulicy, niepewny i zdezorientowany, podszedł do niego człowiek w średnim wieku, który przedstawił się także jako monter-mechanik.

– Wiem, kim jesteś – powiedział. – Byłem na twojej rozprawie. Jesteś dobrym towarzyszem i masz właściwe poglądy. Diabelstwo polega na tym, że teraz gdzie byś nie poszedł, nigdzie nie dostaniesz pracy. Ci burżuje zmówili się, żeby cię zagłodzić. Taki mają sposób działania. I nie spodziewaj się litości ze strony bogaczy.

To, że ktoś tak miło się do niego odezwał, dodało mu otuchy. Zdaje się, że w ogóle należał do ludzi potrzebujących mocnego wsparcia i współczucia. Myśl, że nie dostanie pracy, kompletnie go załamała. Jeśli jego własny *patron*, który tak dobrze go znał jako spokojnego, porządnego i znającego się na rzeczy robotnika, nie chce mieć z nim teraz nic wspólnego – no to kto zechce? Jasne było, że nikt. Policja, która ma na niego oko, spiesznie poinformuje każdego pracodawcę chętnego dać mu szansę. Nagle poczuł się bezradny, przestraszony i bierny; podążył za tym

człowiekiem w średnim wieku do *estaminet* za rogiem, gdzie spotkał innych dobrych kompanów. Zapewnili go, że nie dadzą mu umrzeć z głodu, czy będzie miał pracę, czy nie. Wypili kolejkę na pohybel wszystkim pracodawcom i za rozpad społeczeństwa.

Siedział, przygryzając wargę.

– W ten sposób, *monsieur*, zostałem *un compagnon* – rzekł. Ręka, którą przecierał czoło, zadrżała. – Tak czy siak, coś nie gra w świecie, w którym człowieka może zgubić jedna szklaneczka za dużo.

Nie podnosił wzroku, ale widać było, że choć stara się zachować dystans, wrze w nim wzburzenie. Uderzył w blat otwartą dłonią.

– Nie! – zawołał. – To było życie nie do zniesienia! Obserwowany przez policję! Obserwowany przez towarzyszy! Po prostu nie byłem już sobą. Bo co, nawet nie mogłem pójść do kasy oszczędnościowej, aby wyjąć parę franków, żeby jakiś towarzysz nie kręcił się koło drzwi i nie sprawdzał, czy nie wezmę nóg za pas. A większość z nich to byli ni mniej, ni więcej, tylko zwykli rabusie. To znaczy inteligentni rabusie. Okradali bogatych; odbierali tylko to, co im się należało, tak mówili. Kiedy się napiłem, byłem gotów im wierzyć. Ale byli też głupi i wariaci. *Des exaltés – quoi!* Kiedy byłem pijany – kochałem ich. Kiedy napiłem się więcej – byłem wściekły na świat. To były najlepsze momenty. We wściekłości znalazłem ucieczkę przed biedą. Ale nie można cały czas pić, *n'est-ce pas, monsieur*? Kiedy byłem trzeźwy, bałem się zbuntować. Zarżnęliby mnie jak prosiaka.

Raz jeszcze założył ręce na piersi i uniósł brodę z gorzkim uśmiechem.

– Niebawem powiedzieli mi, że czas brać się do roboty. Robota miała polegać na tym, żeby obrabować bank. Potem do środka wrzuci się bombę, by zostały z niego gruzy. Mój udział, jako nowicjusza, miał polegać na tym, żeby stać na czatach w uliczce od tyłu i pilnować czarnej torby z bombą, do momentu kiedy będzie potrzebna. Po tym spotkaniu, na którym wszystko ustalono, zaufany towarzysz nie odstępował mnie na krok. Nie śmiałem protestować, bałem się, że mnie po cichu załatwią od razu w tym pokoju, dopiero kiedyśmy szli razem, zacząłem się zastanawiać, czy nie byłoby

lepiej rzucić się nagle do Sekwany. Ale gdy nad tym rozmyślałem, przeszliśmy przez most, a potem już nie miałem możliwości.

W świetle ogarka jego ostre rysy, puchaty wąsik i owalna twarz nadawały mu chwilami wygląd delikatnego i radosnego młodzieńca, a potem, kiedy przyciskał do piersi założone ręce, nagle wydawał się stary, niedołężny, zatroskany.

Nic więcej nie mówił, więc poczułem się zobowiązany zapytać:

– No i jak się to skończyło?

– Wywózką do Cayenne.

Miał wrażenie, że ktoś zdradził cały spisek. Stał na czatach w tej uliczce, z czarną torbą w ręku, kiedy został zaskoczony przez policję. „Ci imbecyle” przewrócili go na ziemię, nie patrząc, co ma w ręku. Zastanawiał się, czemu gdy padał, bomba nie wybuchła. Ale nie wybuchła.

– Starałem się w sądzie opowiedzieć całą historię – ciągnął. – Przewodniczący był rozbawiony. Jacyś idioci na widowni zaśmiewali się.

Wyraziłem nadzieję, że złapano przynajmniej paru jego towarzyszy. Wzdrygnął się lekko, zanim powiedział, że dwu: Simona zwanego Biszkoptem, czyli tego montera w średnim wieku, który rozmawiał z nim na ulicy, i jeszcze faceta o nazwisku Mafile, jednego z tych dwu sympatycznych gości, którzy podziwiali szczerość jego uczuć i pocieszali go w humanitarnych troskach, gdy upił się w tej knajpce.

– Tak – mówił dalej z wysiłkiem. – Miałem zaszczyt przebywać w ich towarzystwie tam, na Wyspie Świętego Józefa, wśród jakichś osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu innych skazańców. Zakwalifikowano nas wszystkich jako niebezpiecznych.

Wyspa Świętego Józefa to najpiękniejsza z Îles de Salut. Jest skalista i zielona, z płytkimi wąwozami, krzewami, zaroślami, zagajnikami mangowców i licznymi rozwichrzonymi palmami. Sześciu strażników z rewolwerami i karabinami pilnuje przetrzymywanych tam skazańców.

Po szerokim na ćwierć mili kanale kursuje ośmiowiosłowa galera, utrzymująca w ciągu dnia łączność z Île Royale, na której znajduje się posterunek wojskowy. Pierwszy kurs jest o szóstej rano. O czwartej po

południu kończy i wtedy wciągają ją do porciku na Île Royale, pod straż, podobnie jak kilka mniejszych łodzi. Od tego momentu do następnego ranka Wyspa Świętego Józefa jest odcięta od świata, wartownicy na zmianę patrolują ścieżkę prowadzącą od strażnicy do chat skazańców, a rekiny patrolują wody wokół wyspy.

W tych warunkach skazańcy zaplanowali bunt. Taka rzecz nie zdarzyła się jeszcze w historii więziennictwa. Plan ich miał nawet pewne szanse powodzenia. Wartownicy mieli zostać zaskoczeni i zamordowani w nocy. Posługując się ich bronią, skazańcy mieli zastrzelić ludzi na galerze, która przypłynie o świcie. Kiedy już przejmą galerę, zdobędą pozostałe łodzie i cała kompania na wiosłach odpłynie wzdłuż wybrzeża.

O zmierzchu dwaj dyżurni wartownicy jak zawsze ogłosili apel więźniów. Potem sprawdzili chaty, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Kiedy weszli do drugiej z kolei, zostali napadnięci i zaduszeni samą przewagą liczebną napastników. Zmierzch zapadał szybko. Był nów, a zbierający się nad wybrzeżem ciężki ciemny szkwał wzmógł jeszcze głęboki mrok nocy. Skazańcy zebrali się na otwartej przestrzeni i deliberowali nad tym, co robić dalej, spierając się szeptem.

– Brał pan w tym wszystkim udział? – zapytałem.

– Nie. Ale oczywiście wiedziałem, co się ma wydarzyć. Czemu miałbym zabijać tych wartowników? Nic przeciwko nim nie miałem. Ale bałem się innych. Cokolwiek by się działo, od nich nie mogłem uciec. Siedziałem sam na pniu drzewa, trzymając się za głowę, myśląc o wolności, która dla mnie mogła być najwyżej szyderstwem. Nagle drgnąłem, zauważywszy cień człowieka na pobliskiej ścieżce. Stał bez ruchu, a potem jego postać rozpłynęła się w ciemności nocy. To musiał być dowódca strażników, który wyszedł zobaczyć, co się stało z tamtymi dwoma. Nikt go nie zauważył. Skazańcy nadal spierali się o dalszy plan. Nikt nie chciał słuchać przywódców. Straszne były te żarliwe szepty ciemnej ludzkiej masy.

W końcu podzielili się na dwie grupy i ruszyli. Kiedy mnie mijali, wstałem, znużony i bez nadziei. Ścieżka do strażnicy była ciemna i cicha, tylko po obu stronach lekko szeleściły krzewy. Wtem zobaczyłem przed

sobą drobną smużkę światła. Dowódca i jego trzej ludzie podchodzili ostrożnie. Ktoś musiał nie domknąć zaciemnionej latarni. Inni skazańcy też dostrzegli to światło. Rozległ się straszliwy, dziki wrzask, wrzawa na ciemnej ścieżce, padły strzały, uderzenia, jęki: przy wtórze łamanych gałęzi słychać było krzyki ścigających i wrzaski ściganych, polowanie na ludzi, polowanie na wartowników – wszystko to przetaczało się wokół mnie ku wnętrzu wyspy. Byłem sam. I zapewniam pana, *monsieur*, że wszystko było mi obojętne. Chwilę stałem w miejscu, później ruszyłem ścieżką, aż kopnąłem w coś twardego. Pochyliłem się i podniosłem rewolwer strażnika. Palcem sprawdziłem, że pięć komór ma naładowanych. W podmuchach wiatru dosłyszałem, jak skazańcy nawołują się gdzieś w oddali, a potem daleki grzmot zagłuszył szumy i szelesty drzew. Nagle po ścieżce, bardzo blisko ziemi, przesunęło się duże światło. Ukazały się w nim spódnica i rąbek fartucha.

Wiedziałem, że osoba niosąca latarnię to musi być żona dowódcy straży. Zdaje się, że wszyscy o niej zapomnieli. W głębi wyspy rozległ się strzał, a ona, biegnąc, krzyknęła do siebie cicho. Minęła mnie. Poszedłem za nią i zaraz znów ją zobaczyłem. Jedną ręką ciągnęła za sznur wielkiego dzwonu, zawieszonego na końcu pomostu, a drugą wymachiwała tam i z powrotem tą ciężką latarnią. Taki jest umówiony sygnał dla Île Royale, gdyby w nocy potrzebna była pomoc. Wiatr niósł dźwięk w dal od wyspy, a światło, którym machała, od strony brzegu zasłaniały rosnące wokół strażnicy drzewa.

Podszedłem do niej od tyłu bardzo blisko. Dzwoniła dalej i machała bez ustanku, nie rozglądając się na boki, jakby była na tej wyspie całkiem sama. Dzielna kobieta, *monsieur*. Rewolwer schowałem za pazuchę niebieskiej bluzy i czekałem. Błysk pioruna i uderzenie grzmotu na chwilę stłumiły jej sygnały, ale nie ustawała, ciągnęła za sznur i machała latarnią równiutko jak maszyna. To była zgrabna kobieta, miała trzydzieści lat, nie więcej. Pomyślałem sobie: „To wszystko nie ma sensu w taką noc”. I zdecydowałem, że jeśli gromada moich współwięźniów zjawi się na pomoście – co z pewnością musiało nastąpić – najpierw strzelę jej w głowę,

a potem sam się zabiję. Znałem tych swoich „towarzyszy” bardzo dobrze. Ta myśl dodała mi ochoty do życia, *monsieur*, i zaraz, zamiast wystawiać się głupio, stojąc na pomoście, schowałem się za jakimś krzakiem. Nie miałem zamiaru dać się zaskoczyć od tyłu i powstrzymać od oddania najwyższej przysługi przynajmniej jednej istocie ludzkiej, zanim sam zginę.

Najwyraźniej jednak sygnał został zauważony, bo galera z Île Royale przypłynęła zdumiewająco szybko. Kobieta nie ustawała, aż jej latarnia oświetliła dowodzącego oficera i bagnety żołnierzy na łodzi. Wtedy dopiero usiadła i zaczęła płakać…

Już nie byłem jej potrzebny. Nie poruszyłem się. Niektórzy żołnierze byli w samych koszulach, niektórzy bez butów, odziani tak, jak zastał ich alarm. Biegiem minęli mój krzak. Galerę odesłano po więcej wojska, a kobieta siedziała na końcu pomostu, latarnię postawiła przy sobie na ziemi i płakała.

A wtedy w świetle na końcu pomostu dostrzegłem czerwone spodnie jeszcze dwu mężczyzn. Ogarnęło mnie zdumienie. I oni rzucili się biegiem. Bluzy mundurowe, niezapięte, powiewały za nimi, głowy mieli odkryte. Jeden wysapał do drugiego: „Dalej, dalej!”.

„Skąd oni, u licha, wyskoczyli?” – zastanawiałem się. Powoli ruszyłem po pomoście. Widziałem roztrzęsioną kobiecą postać i coraz wyraźniej słyszałem jej szlochanie: „O, mój mąż! O, mój biedny mąż, mój biedny mąż”. Skradałem się cichutko. Ona niczego nie widziała ani nie słyszała. Zarzuciła sobie fartuch na głowę i kiwała się z rozpaczy. A ja dostrzegłem, że na końcu pomostu przywiązana jest mała łódeczka.

Ci dwaj – wyglądali na *sous-officiers* – musieli nią przypłynąć, bo, jak przypuszczałem, spóźnili się na galerę. Niesamowite, że z poczucia obowiązku aż tak drastycznie złamali regulamin. I głupio zrobili. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, nawet kiedy już wchodziłem do łódki.

Płynąłem wolno wzdłuż wybrzeża. Nad Îles de Salut wisiała czarna chmura. Słyszałem strzały, krzyki. Zaczęło się kolejne polowanie – polowanie na więźniów. Wiosła były za długie, nie wiosłowało się wygodnie. Z trudem sobie z nimi radziłem, choć sama łódka była lekka. Ale

kiedy dotarłem na drugą stronę wyspy, szkwał zamienił się w deszcz i wiatr. Nie byłem w stanie iść naprzód. Zdryfowałem do brzegu i zabezpieczyłem łódkę.

Znałem to miejsce. Nad samą wodą była tam stara rozwalona buda. Wpełzłem do niej, a poprzez dźwięki wiatru i ulewy usłyszałem, że przez zarośla przedzierają się jacyś ludzie. Doszli do plaży. Może żołnierze. Błyskawica oświetliła wszystko wokół mnie ostrym blaskiem. Dwaj skazańcy.

I natychmiast pełen zdumienia głos zawołał:

– To cud! – Był to głos Simona zwanego Biszkoptem.

Drugi warknął:

– Jaki cud?

– Patrz, tu jest łódka!

– Chyba zwariowałeś, Simon. Ale rzeczywiście… łódka!

Zdawało się, że zamilkli z podziwu. Tym drugim był Mafile. To on odezwał się niespokojnie:

– Jest przywiązana, ktoś tu musi być.

Wtedy odezwałem się z mojej budy:

– Ja tu jestem.

Weszli do środka i szybko dali mi do zrozumienia, że ta łódka należy do nich, nie do mnie.

– Nas jest dwóch – powiedział Mafile – na ciebie jednego.

Wyszedłem na zewnątrz, wolałem trzymać się od nich z daleka ze strachu, że dostanę zdradziecki cios w głowę. Mogłem ich zastrzelić na miejscu. Ale nic nie powiedziałem. Opanowałem śmiech, który rodził mi się w gardle. Udałem bardzo pokornego i błagałem, żeby mi pozwolili ze sobą popłynąć. Rozprawiali szeptem o moim losie, tymczasem to ja, trzymając palec na spuście rewolweru, miałem ich los w swoich rękach. Darowałem im życie. Chciałem, żeby wiosłowali. Ze służalczą pokorą przedstawiłem im, że znam się na obsłudze łodzi i że we trzech będziemy mogli zmieniać się przy wiosłach, a w ten sposób odpoczywać. To ich

przekonało. Najwyższa pora. Jeszcze troszkę, a zacząłbym kwiczeć ze śmiechu nad całą tą sytuacją.

W tym momencie poniosły go emocje. Zerwał się z ławki i zaczął gestykulować. Wyskakujące ponad dach i ściany szopki wielkie cienie jego ramion sprawiały, że pomieszczenie wydawało się za małe, by pomieścić jego podniecenie.

– Niczemu nie przeczę – wybuchł. – Byłem w uniesieniu, *monsieur*. Czułem coś na kształt szczęścia. Ale siedziałem cicho. Zmieniałem się z nimi przy wiosłach przez całą noc. Kierowaliśmy się ku otwartemu morzu, licząc na przepływające statki. To było brawurowe posunięcie. Ale przekonałem ich do tego. Kiedy słońce wzeszło, ogrom wód był spokojny, a Îles de Salut pojawiały się przy każdym uniesieniu fali jak drobne punkciki. Sterowałem akurat, kiedy Mafile, który wiosłował z przodu, puścił wiosła i stwierdził:

– Musimy odpocząć.

W końcu przyszedł czas śmiechu. I naprawdę sobie teraz ulżyłem, mówię panu. Trzymałem się za boki i zwijałem, siedząc na ławeczce, a oni mieli takie zdziwione miny.

– Co wlazło w tego bydlaka? – zawołał Mafile.

A Simon, który był bliżej mnie, mówi:

– Niech mnie diabli porwą, jeśli on nie zwariował!

Wtedy wyjąłem rewolwer. Aha! W sekundzie wzrok im skamieniał tak, że aż trudno to sobie wyobrazić. Cha, cha! Przestraszyli się! Ale ciągnęli dalej. O, jak oni ciągnęli, cały dzień, czasem wyglądało, że są wściekli, a czasem że mdleją. Nic mi nie umknęło, bo musiałem cały czas mieć ich na oku albo – trach! – i w momencie by na mnie siedzieli. Rękę z rewolwerem gotowym do strzału oparłem o kolano, drugą sterowałem. Ich twarze pokryły się pęcherzami. Niebo i morze jakby płonęły wokół nas, a woda parowała w słońcu. Łódka, ślizgając się po wodzie, wydawała świst. Czasami Mafile toczył pianę z ust, czasami jęczał. Ale ciągnął. Nie ośmielił się przerwać. Oczy mu zaszły krwią, dolną wargę rozgryzł sobie do mięsa. Simon skrzeczał jak kruk.

– Towarzyszu – zaczął.

– Tu nie ma towarzyszy. Ja jestem wasz *patron*.

– *Patron*, wobec tego – powiada Simon – w imię ludzkości, pozwól nam odpocząć.

Pozwoliłem. Na dnie łodzi było trochę deszczówki, zgodziłem się, żeby zaczerpnęli jej sobie dłonią. Ale kiedy wydawałem im komendę: „*En route!*”, złapałem ich na wymianie znaczących spojrzeń. Myśleli, że w jakimś momencie zasnę! Aha! A ja nie chciałem spać. Byłem trzeźwiejszy niż kiedykolwiek w życiu. To oni zasypiali, wiosłując, jeden po drugim nagle walili się z ławeczek, głową naprzód. Pozwalałem im leżeć. Wszystkie gwiazdy zgasły. Wstało słońce. Kolejny dzień. *Allez! En route!*

Źle wiosłowali. Oczy im wychodziły z orbit, języki wisiały z ust. W połowie poranka Mafile wyskrzeczał:

– Rzućmy się na niego, Simon. Już wolę zginąć od strzału, niż umierać tak przy wiośle z pragnienia, głodu i zmęczenia.

Ale mówiąc to, ciągnął dalej, i Simon też ciągnął dalej. Uśmiechnąłem się na to. Ach! Kochali życie ci dwaj, na tym strasznym, złym świecie, tak samo jak ja kiedyś kochałem swoje życie, zanim mi je zniszczyli tymi swoimi frazesami. Doprowadziłem ich do wycieńczenia i dopiero wtedy wskazałem na żagle jakiegoś statku na horyzoncie.

Ooo, powinien był pan ich widzieć, jak odżyli i rzucili się do pracy! Kazałem im wiosłować tak, żebyśmy przecięli kurs tego statku. Zmienili się. Opuściła mnie wtedy ta resztka litości, jaką jeszcze dla nich miałem. Z minuty na minutę wyglądali bardziej na siebie samych. Pamiętam to doskonale, byli szczęśliwi.

– Cóż – rzekł Simon – energia tego młodzieńca ocaliła nam życie. Gdyby nas nie przymusił, nigdy byśmy nie wypłynęli tak daleko, aż na kurs statków. Towarzyszu, wybaczam ci. Podziwiam cię.

A Mafile warczy z dziobu:

– Masz u nas słynny dług wdzięczności, towarzyszu. Nadajesz się na szefa.

„Towarzyszu”, *monsieur!* O, jakie to dobre słowo. A oni, właśnie tacy jak ci dwaj, je zohydzili. Popatrzyłem na nich. Przypomniałem sobie ich kłamstwa, ich obietnice, ich groźby i wszystkie dni mojej nędzy. Czemu mnie nie zostawili w spokoju, kiedy wyszedłem z więzienia? Popatrzyłem na nich i pomyślałem sobie, że póki oni żyją, ja nigdy nie będę wolny. Nigdy. Ani ja, ani inni, podobni do mnie, ludzie o gorących sercach i słabych głowach. Bo wiem, że nie mam mocnej głowy, *monsiuer*. Naszła mnie czarna wściekłość, straszliwie upajająca wściekłość – ale nie przeciwko niesprawiedliwości społecznej, o nie!

– Muszę się uwolnić! – zawołałem.

– *Vive la liberté!* – wrzeszczy ten gbur Mafile. – *Mort aux bourgeois*, którzy nas zesłali do Cayenne! Dowiedzą się niebawem, że jesteśmy wolni!

Niebo, morze, cały horyzont jakby poczerwieniały, otoczyły łódkę krwistą barwą. W skroniach dudniło mi tak głośno, że zastanawiałem się, czy oni też to słyszą. Jak to możliwe, że nie słyszeli? Jak to możliwe, że nie rozumieli?

Usłyszałem, jak Simon pyta:

– Czy nie wypłynęliśmy już dość daleko?

– Tak – odpowiedziałem – już dość daleko.

Było mi go żal. Naprawdę to nienawidziłem tego drugiego. Wciągnął wiosło z głośnym westchnieniem, a kiedy podnosił rękę, żeby otrzeć czoło gestem człowieka, który wykonał swoją robotę, nacisnąłem cyngiel rewolweru i wypaliłem do niego, ot tak z kolana, celując w serce.

Zwalił się w dół, głowa zwisała mu z burty. Nie rzuciłem nawet na niego okiem. Ten drugi krzyknął przeraźliwie. Tylko jeden wrzask przerażenia. Potem zapadła cisza.

Zjechał z ławeczki na kolana i błagalnym gestem uniósł zaciśnięte ręce ku twarzy.

– Litości – wyszeptał słabo. – Miej dla mnie litość… towarzyszu.

– Ach, towarzyszu – odpowiedziałem cicho. – Tak, towarzyszu, oczywiście. No to zawołaj: *Vive l’anarchie*.

Wyrzucił w górę ramiona, zwrócił twarz ku niebu i szeroko otwarł usta w wielkim krzyku rozpaczy.

– *Vive l’anarchie! Vive*…

Opadł z kulą w głowie niczym kupa szmat.

Wyrzuciłem ich obu za burtę. Wyrzuciłem też rewolwer. Potem usiadłem spokojnie. Nareszcie byłem wolny. Nareszcie! Nawet nie patrzyłem w stronę statku, nie zależało mi już, tak naprawdę musiałem chyba zasnąć, bo nagle i niespodzianie rozległy się krzyki i zobaczyłem, że statek jest niemal nade mną. Wyciągnęli mnie na pokład i przyczepili łódkę na rufie. Wszyscy byli czarni, poza kapitanem, Mulatem. Tylko on znał parę słów po francusku. Nie byłem w stanie dowiedzieć się, dokąd zmierzają ani kim są. Codziennie dawali mi coś do jedzenia, ale nie podobało mi się, jak o mnie rozmawiają w swoim języku. Może zastanawiali się, czy nie wyrzucić mnie za burtę i przejąć moją łódkę. Skąd mam wiedzieć? Kiedy mijaliśmy tę wyspę, zapytałem ich, czy jest zamieszkana. Z tego, co mówił Mulat, zrozumiałem, że jest tu jakiś dom. Zastanawiałem się, czy mieli na myśli farmę. No więc poprosiłem ich, żeby mnie spuścili na brzeg na plażę, a za fatygę zatrzymali sobie łódź. Na tym, jak sobie wyobrażam, im zależało. Resztę pan wie.

Wypowiedziawszy te słowa, nagle kompletnie stracił nad sobą panowanie. Chodził szybko tam i z powrotem, wreszcie zaczął biegać, machał ramionami jak wiatrak, a jego wykrzyknienia coraz bardziej przypominały bredzenie. Ich treścią było, że „nie przeczy niczemu! niczemu!”. Co miałem począć: pozwoliłem mu robić, co robił, i schodziłem mu z drogi, powtarzając od czasu do czasu:

– *Calmez vous! Calmez vous!* – Aż jego podniecenie się wyczerpało.

Muszę też wyznać, że pozostałem przy nim jeszcze długo, kiedy już wpełzł pod tę swoją moskitierę. Błagał, żebym go nie zostawiał; siedziałem przy nim tak, jak siedzi się przy nerwowym dziecku – w imię ludzkości – aż zasnął.

Ogólnie rzecz biorąc, jestem przekonany, że był on anarchistą w o wiele większej mierze, niż gotów był to przyznać przede mną, a nawet przed

samym sobą; i że – pozostawiwszy na boku konkretne rysy jego osobistej historii – bardzo przypominał innych anarchistów. Gorące serce i słaba głowa – oto jest odpowiedź na zagadkę; a faktem jest, że najostrzejsze sprzeczności i najbardziej śmiertelne konflikty na świecie tkwią w piersi każdej jednostki zdolnej do uczuć i namiętności.

Na podstawie własnych badań mogę poświadczyć, że historia buntu zesłańców w każdym detalu przebiegała tak, jak ją przedstawił.

Kiedy wróciłem z Cayenne do Horty i znowu spotkałem się z „anarchistą", nie wyglądał dobrze. Wymizerniał, zmarniał, pod smugami, jakie noszą na sobie ludzie jego profesji, jego twarz wyglądała źle. Najwyraźniej mięso głównego stada firmy (w formie nieskoncentrowanej) w ogóle mu nie służyło.

Spotkaliśmy się przy boi w Horcie. Starałem się go przekonać, by porzucił parowiec tam, gdzie go przycumował, i natychmiast jechał ze mną do Europy. Byłoby cudownie wyobrazić sobie zdumienie i niesmak naszego nadzwyczajnego kierownika na wieść o ucieczce tego biedaka. Ale odmówił z nieugiętym uporem!

– Ale przecież nie ma pan zamiaru tu żyć! – zawołałem. Potrząsnął głową.

– Ja tu umrę – powiedział. I dodał markotnie: – Z dala od nich.

Czasami myślę o nim, jak leży z szeroko otwartymi oczyma na swoim końskim legowisku w tej niskiej szopie pełnej narzędzi i skrawków żelaza – anarchista, niewolnik majątku Marañon, czekający z rezygnacją na sen, który, jak sam mawiał, „opuścił" go w tak niewytłumaczalny sposób.

# Informator. Opowieść ironiczna

Pan X przybył do mnie, poprzedzony listem polecającym od mojego dobrego przyjaciela z Paryża, specjalnie po to, aby obejrzeć moją kolekcję chińskich brązów i porcelany.

Mój paryski przyjaciel także jest kolekcjonerem. Nie zbiera jednak porcelany ani brązów, ani obrazów, ani medali, ani znaczków, ani niczego innego, co można z zyskiem rozproszyć pod młotkiem licytatora. Zresztą ze szczerym zdumieniem odrzuciłby określenie „kolekcjoner". Z temperamentu jednak jest właśnie kolekcjonerem. Zbiera znajomości. To delikatna praca. Wkłada w nią cierpliwość, pasję i determinację godną prawdziwego zbieracza osobliwości. Nie ma wprawdzie w swej kolekcji koronowanych głów. Nie sądzę, by uznawał je za wystarczająco rzadkie i interesujące, ale z tym jednym wyjątkiem poznał on i rozmawiał z każdym, kogo tylko z jakiegokolwiek powodu warto poznać. Obserwuje, słucha, przenika, ocenia, a wspomnienie chowa gdzieś w galeriach swego umysłu. Zdarzało mu się knuć, spiskować i podróżować po całej Europie po to, by dodać kogoś do swojej kolekcji wybitnych osobistości.

Jest zamożny, dobrze ustosunkowany i pozbawiony uprzedzeń, dlatego jego kolekcja jest niemal kompletna i zawiera przedmioty (czy raczej powinienem powiedzieć: podmioty?), których wartości nie doceni opinia masowa, a nierzadko też nie zna jej powszechna. Tymi okazami mój przyjaciel oczywiście szczyci się najbardziej.

O X napisał mi: „Jest największym buntownikiem (*révolté*) czasów współczesnych. Świat zna go jako pisarza rewolucjonistę, którego wściekła ironia obnażyła zgniliznę najbardziej szacownych instytucji. Oskalpował każdą głowę cieszącą się uznaniem, w imadle swego humoru zmiażdżył każdą panującą opinię i uznawaną zasadę zachowania czy postępowania.

Któż nie pamięta jego rozpalonych do czerwoności rewolucyjnych broszur? Ich nagły ogromny wysyp obezwładniał każdą policję na kontynencie niczym plaga czerwonych ważek. Ale ten radykalny pisarz był także założycielem tajnych stowarzyszeń, tajemniczym i nieznanym Numerem Jeden desperackich akcji konspiracyjnych, poddanych obserwacji i przeoczonych, rozwiniętych i udaremnionych. Ale szerokie kręgi nigdy nie miały o tym pojęcia! Z tego powodu do dzisiaj ten weteran wielu podziemnych kampanii jest między nami, teraz już na uboczu, żyje sobie bezpiecznie w opinii najwybitniejszego publicysty krytycznego, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi”.

Tak oto pisał mój przyjaciel, dodając, że pan X jest znawcą i koneserem brązów oraz porcelany, i prosząc mnie, abym pokazał mu swoją kolekcję.

X pojawił się w oznaczonym czasie. Moje skarby zgromadzone są w trzech sporych pokojach pozbawionych dywanów i kotar. Nie ma w nich innych mebli poza etażerkami i szklanymi gablotami, których zawartość moim spadkobiercom przyniesie fortunę. Nie pozwalam tam palić świateł z obawy przed wypadkiem, a ognioszczelne drzwi oddzielają te pomieszczenia od reszty domu.

Dzień był przenikliwie zimny. Zostaliśmy w płaszczach i kapeluszach. Średniego wzrostu, szczupły, o czujnych oczach osadzonych w podłużnej twarzy o rzymskim nosie, pan X szedł drobnym krokiem, starannie stawiając niewielkie stopy, i inteligentnie oglądał moją kolekcję. Mam nadzieję, że i ja patrzyłem na niego inteligentnie. Śnieżnobiałe wąsy i hiszpańska bródka sprawiały, że jego cera wydawała się ciemniejsza niż w rzeczywistości. W futrzanym płaszczu i lśniącym cylindrze ten straszliwy człowiek wyglądał modnie. Wydaje mi się, że pochodził ze szlachetnego rodu i gdyby chciał, mógłby się nazywać wicehrabią X de la Z. Rozmawialiśmy wyłącznie o brązach i porcelanie. Był niesłychanie wdzięczny. Rozstaliśmy się w przyjacielskim nastroju.

Gdzie się zatrzymał – nie wiem. Domyślam się, że był człowiekiem samotnym. Anarchiści – tak myślę – nie mają rodzin, w każdym razie nie takie, jakie dla nas oznacza ta relacja społeczna. Łączenie się w rodziny

odpowiada, być może, potrzebom ludzkiej natury, ale ostatecznie opiera się na prawie, a dla anarchisty musi to być coś nienawistnego i niemożliwego. Choć tak naprawdę nie rozumiem anarchistów. Czy człowiek takich… takich… przekonań nadal jest anarchistą, kiedy sam, całkiem sam kładzie się na przykład wieczorem do łóżka? Czy kładzie głowę na poduszce, naciąga na siebie kołdrę i zasypia, a konieczność *chambardement général*, jak to się mówi we francuskim slangu, konieczność ogólnego zamętu nigdy nie opuszcza jego myśli? A jeśli tak, to jak może zasnąć? Jestem przekonany, że gdyby taka wiara (czy też fanatyzm) kiedyś opanowała mój umysł, to nie byłbym w stanie uspokoić się na tyle, aby spać lub jeść, aby w ogóle wykonywać jakiekolwiek zwykłe życiowe czynności. Nie chciałbym mieć żony ani dzieci, chyba nie mógłbym mieć przyjaciół, a już zbieranie brązów i porcelany z całą pewnością nie wchodziłoby w rachubę. Ale nie wiem. Wiem tyle, że pan X stołował się w bardzo dobrej restauracji, do której i ja zachodziłem.

Gdy głowę miał odkrytą, srebrny czub zaczesanych od czoła włosów dopełniał charakteru jego fizjonomii złożonej z kościstych wzniesień i zapadłych dołków, obleczonej w wyraz doskonałej beznamiętności. Szczupłe brązowe dłonie, wysuwające się z dużych białych mankietów, pojawiały się i znikały, kiedy z cichą, mechaniczną precyzją łamał chleb, nalewał wino i tak dalej. Głowa jego i tors ponad obrusem miały w sobie sztywną nieruchomość. Ta płonąca żagiew, ten wielki agitator wykazywał się minimalnym ciepłem i ruchliwością. Głos miał szorstki, zimny i monotonny, w niskiej tonacji. Trudno było go nazwać człowiekiem rozmownym; przy swojej chłodnej obojętności wydawał się równie gotów do podtrzymywania rozmowy, co do przerwania jej w każdej chwili.

A nie była to bynajmniej rozmowa banalna. Przyznaję, że odczuwałem pewien rodzaj podniecenia na myśl, iż prowadzę spokojną konwersację przy stole z człowiekiem, który ciosami swego zatrutego pióra przerwał życie co najmniej jednej monarchii. Tyle wiadomo było powszechnie. Ale ja wiedziałem więcej. Wiedziałem o nim – od mojego przyjaciela – na

pewno to, czego stróże porządku społecznego w Europie mogli najwyżej się domyślać albo niepewnie zgadywać.

Wiódł wszak kiedyś, że tak powiem, życie podziemne. Kiedy więc wieczór w wieczór siedziałem naprzeciwko niego przy obiedzie, siłą rzeczy w moim umyśle budziła się ciekawość tych spraw. Należę do cichych i spokojnych produktów cywilizacji, nie znam namiętności innych niż namiętność kolekcjonowania przedmiotów rzadkich i zawsze znakomitych, nawet jeśliby zatrącały monstrualnością. Niektóre chińskie brązy są monstrualnie cenne. A tu oto miałem przed sobą rzadkie monstrum z kolekcji mojego przyjaciela. Co prawda, monstrum to było wygładzone i w pewnym sensie wręcz znakomite. Takie były jego eleganckie, niewzruszone maniery. Nie był jednak z brązu. Nie był nawet Chińczykiem, co pozwoliłoby obserwować go spokojnie z drugiej strony przepaści różnic rasowych. Był żywy i był Europejczykiem; miał maniery z dobrego towarzystwa, nosił płaszcz i kapelusz jak ja i miał gusta kulinarne bardzo zbliżone do moich. Aż strach było o tym myśleć.

Któregoś wieczoru, w trakcie rozmowy, rzucił niezobowiązującym tonem:

– Poprawy ludzkości nie da się uzyskać inaczej jak terrorem i przemocą.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie słowa te, wypowiedziane przez takiego człowieka, wywarły na mnie, który cały plan swego życia oparłem na układnym i delikatnym rozpoznawaniu wartości towarzyskich i artystycznych. Nie do pojęcia! Na mnie, któremu wszelkie formy przemocy wydawały się nierealne jak giganci, ogry i hydry o siedmiu głowach, w fantastyczny sposób wpływające swym działaniem na światy legend i baśni!

Wydawało mi się, że poprzez radosny gwar i hałas wspaniałej restauracji wznosi się skarga głodnych, zbuntowanych mas.

Przypuszczam, że łatwo poddaję się wrażeniom i wyobraźni. Między setkami elektrycznych lamp ujrzałem przerażającą wizję mroku, w którym kłębią się wychudzone szczęki i dzikie oczy. Ale ta wizja jakoś mnie rozzłościła. Rozdrażnił mnie widok tego człowieka, tak spokojnego,

odłamującego kawałeczki białego chleba. I miałem czelność zapytać go, jak to jest, że ów głodujący proletariat Europy, któremu głosi wieść o rewolucji i przemocy, nie oburza się na jego jawnie luksusowy tryb życia.

– Na to wszystko – mówiłem dobitnie, rozglądając się po sali, wskazując butelkę szampana, którą zwykle wypijaliśmy razem do kolacji.

Pozostał nieporuszony.

– Czy ja się żywię ich trudem i krwią ich serc? Czy jestem spekulantem lub kapitalistą? Czy swój majątek ukradłem głodującym ludziom? Nie! I oni to bardzo dobrze wiedzą. Niczego mi nie zazdroszczą. Nędzne ludzkie masy są szczodre dla swych przywódców. To, co zyskałem, zyskałem dzięki swemu pisarstwu; nie dzięki milionom broszur darmo rozdawanych głodnym i uciskanym, ale dzięki setkom tysięcy egzemplarzy sprzedawanych dobrze odżywionym burżujom. Wie pan, że moje teksty były w swoim czasie skandaliczne, modne, były czymś, co czyta się ze zdumieniem i trwogą, co swym patosem wzbudza podziw, a dowcipem wybuchy szczerego śmiechu.

– Tak – przyznałem. – Oczywiście, że pamiętam. I muszę szczerze przyznać, że nigdy nie rozumiałem tej fascynacji.

– Czy nie zauważył pan dotąd – zapytał – że klasy próżniacze i samolubne uwielbiają przyglądać się, jak ktoś komuś wyrządza szkodę, nawet jeśli dzieje się to ich kosztem? Ich życie polega na pozach i gestach, więc nie są w stanie ocenić sił i niebezpieczeństw tkwiących w prawdziwym ruchu i w słowach, które nie mają znaczenia pozornego. To wszystko zabawa i sentymenty. Wystarczy dla przykładu przywołać stosunek arystokracji francuskiej do filozofów, których teksty przygotowały Wielką Rewolucję. Nawet w Anglii, gdzie jest trochę zdrowego rozsądku, wystarczy, że jakiś demagog krzyczy dość głośno i dość długo, by zyskać poparcie tej właśnie klasy, przeciw której krzyczy. I pan lubi patrzeć, jak się wyrządza szkodę. Demagog ciągnie za sobą amatorów emocji. Jest tu więc kwestia amatorstwa, po drugie zaś, jest to cudownie łatwa metoda zabijania czasu i karmienia własnej próżności – głupiej próżności, że oto jesteśmy na bieżąco z pojutrzejszymi ideami. Podobnie jak zupełnie niewinni, dobrzy

ludzie złączą się z panem w zachwytach nad pańską kolekcją, nie mając najmniejszego pojęcia, co w niej takiego nadzwyczajnego.

Zwiesiłem głowę. Była to przytłaczająca ilustracja smutnej prawdy, którą wygłosił. Świat jest pełen takich ludzi. A przykład arystokracji francuskiej przed rewolucją również był wymowny. Nie umiałem zaprzeczyć jego argumentacji, chociaż jej cynizm – cecha nieodmiennie niesmaczna – w moim przekonaniu znacznie osłabił jej wartość. Muszę jednak przyznać, że byłem pod wrażeniem. Czułem potrzebę powiedzenia czegoś, co nie oznaczałoby zgody, ale też nie zachęcało do dalszej dyskusji.

– Nie chce pan chyba powiedzieć – rzuciłem beztroskim tonem – że dla radykalnych rewolucjonistów podobna fascynacja ze strony takich ludzi była czynną pomocą?

– Mówiąc to, co właśnie powiedziałem, nie miałem na myśli dokładnie tego. Dokonałem uogólnienia. Ale skoro pan pyta, to mogę panu powiedzieć, że w różnych krajach taka pomoc została działaniom rewolucyjnym mniej lub bardziej świadomie udzielona. Także w tym kraju.

– Niemożliwe! – zaprotestowałem żarliwie. – Aż tak z ogniem nie igramy.

– A jednak, być może was stać na to bardziej niż innych. Proszę mi pozwolić zauważyć, że większość kobiet, choć w istocie nie zawsze gotowa jest igrać z ogniem, to na ogół chętnie by poigrała z pojedynczą iskierką.

– Czy to ma być żart? – zapytałem z uśmiechem.

– Jeśli tak, to nieświadomy – odrzekł drewnianym głosem. – Miałem na myśli pewien przykład. Och, w pewnym sensie niegroźny…

Cały zamieniłem się w słuch. Wiele razy już usiłowałem go podejść od jego, że tak powiem, podziemnej strony. Nawet samo to słowo padło w naszych rozmowach, ale on zawsze był nieprzenikniony.

– Równocześnie – ciągnął pan X – da on panu pojęcie o trudnościach, jakie mogą wynikać z tego, co jest pan łaskaw nazywać pracą podziemną. Czasami niełatwo sobie z nimi poradzić. Oczywiście wśród członków nie ma hierarchii. Nie ma sztywnego systemu.

Zaskoczenie moje było wielkie, ale krótkotrwałe. To jasne, że wśród radykalnych anarchistów nie może być hierarchii; nie może być mowy o prawie czy pierwszeństwie. Myśl, że wśród anarchistów rządzi anarchia, była jakoś krzepiąca. Choć nie mogło się to przekładać na skuteczność.

Pan X zaskoczył mnie nagłym pytaniem:

– Zna pan Hermione Street?

Z wahaniem przytaknąłem głową. Hermione Street została w ostatnich trzech latach przebudowana nie do poznania. Nazwa nadal istnieje, ale ze starej ulicy nie zostały ani cegła, ani bruk.

On miał na myśli dawną Hermione Street, bo powiedział:

– Po lewej był rząd piętrowych ceglanych domów, do których od tyłu dochodziło skrzydło wielkiego publicznego gmachu, pamięta pan. Czy byłoby dla pana dużą niespodzianką, gdyby się pan dowiedział, że w jednym z tych domów znajdowało się przez jakiś czas centrum anarchistycznej propagandy i tego, co nazwałby pan działaniem podziemnym?

– Bynajmniej – odrzekłem. Hermione Street, jak pamiętałem, nie cieszyła się zbyt dobrą opinią.

– Dom ten stanowił własność pewnego szacownego urzędnika rządowego – dodał, biorąc łyk szampana.

– O, czyżby? – zapytałem, tym razem nie wierząc mu za grosz.

– Nie mieszkał tam, rzecz jasna – kontynuował pan X – ale między dziesiątą a czwartą ten miły człowiek siedział w najbliższym sąsiedztwie, w swym dobrze wyposażonym prywatnym gabinecie w owym budynku użyteczności publicznej, o którym wspomniałem. By zachować całkowitą dokładność, powinienem dodać, że dom przy Hermione Street nie stanowił w istocie jego własności. Należał do jego dorosłych dzieci: córki i syna. Córka, wybitna postać, była niepospolicie piękna. Czar osobisty, większy niż tylko wynikający z młodego wieku, łączyła z uwodzącym entuzjazmem, niezależnością i odwagą myśli. Przypuszczam, że przybierała tę postawę tak samo jak swe malownicze suknie i z tego samego powodu: aby za wszelką cenę dać wyraz własnej indywidualności. Wie pan, w tej sprawie

kobiety mogą posunąć się bardzo daleko. Ona posuwała się daleko. Nabyła wszelkich pozorów właściwych przekonaniom rewolucyjnym – litości, złości, oburzenia na niehumanitarne wady klasy społecznej, do której sama należała. Wszystko to pasowało do jej uderzającej osobowości równie dobrze jak odrobinę oryginalne stroje, które nosiła. Były tylko odrobinę oryginalne; na tyle, by zaznaczyć protest przeciwko filisterstwu przekarmionych ciemiężycieli biedaków. Tyle i nic więcej. Pójście za daleko w tym kierunku byłoby niedobre, rozumie pan. Ale była pełnoletnia i nic nie stało na przeszkodzie, by mogła działaczom rewolucyjnym zaoferować swój dom.

– Nie! Naprawdę? – zawołałem.

– Zapewniam pana – potwierdził – że wykonała ten wysoce praktyczny gest. Jakżeby inaczej przejęli ów dom? Sprawa nie dysponuje środkami. Poza tym byłby kłopot z pośrednikiem sprzedaży nieruchomości, który chciałby referencji i tak dalej. Ludzie, z którymi weszła w kontakt, odwiedzając dzielnice nędzy (zna pan te gesty miłosierdzia i osobistego poświęcenia, tak modne w swoim czasie), przyjęli tę ofertę z wdzięcznością. Pierwsza zaleta była taka, że Hermione Street jest, jak pan wie, położona z dala od podejrzanej części miasta, będącej pod szczególnym nadzorem policji.

Na parterze znajdowała się włoska restauracyjka, raczej dość obskurna. Nie było kłopotu, żeby wykupić właściciela. Przejęła ją para należąca do grupy. On był kiedyś kucharzem. Towarzysze mogli posilać się tam niezauważenie wśród innych klientów. To była druga zaleta. Pierwsze piętro zajmowała nędzna agencja artystyczna „Variete” – wie pan, dla występujących w poślednich musicalach. Facet nazywał się Bomm, pamiętam. To było korzystne, bo przez cały dzień kręciło się tam sporo dziwnie wyglądających ludzi, jacyś żonglerzy, akrobaci, śpiewacy płci obojga i tak dalej. Policja nie zwracała uwagi na nowe twarze. A najwyższe piętro stało puste.

X przerwał, by beznamiętnie, miarkowanymi gestami zaatakować *bombe glacée*, którą kelner właśnie postawił na stoliku. Przełknął starannie

kilka łyżek mrożonego deseru i zapytał:

– Czy słyszał pan kiedyś o zupie w proszku Stone’a?

– O czym?

– Był to produkt spożywczy, niegdyś bardzo reklamowany w prasie codziennej, który jednak jakoś nigdy nie zyskał szerszego uznania. Przedsiębiorstwo wygasło, jak się to u was określa. Ich produkt można było kupować na aukcjach całymi paczkami, po znacznie mniej niż pensa za funt. Grupa wykupiła nieco tego towaru i na najwyższym piętrze powstała agencja zupy w proszku Stone’a. Jak najbardziej uczciwy biznes. Ten żółty proszek o wybitnie nieapetycznym wyglądzie przesypywano do dużych kwadratowych puszek, których sześć wchodziło do skrzynki. Jeśli zjawiał się ktoś z zamówieniem, było ono oczywiście realizowane. Ale zaletą proszku było to, że dało się w nim łatwo ukrywać różne rzeczy. Od czasu do czasu na samochód ładowano specjalną skrzynkę, która miała zostać wysłana za granicę, a to wszystko tuż pod nosem stojącego na rogu policjanta, rozumie pan?

– Tak mi się wydaje – odrzekłem z pełnym wyrazu skinieniem głowy, a resztki bomby lodowej roztapiały się z wolna na talerzu.

– Otóż to. Ale skrzynki miały i inne zastosowanie. W przyziemiu, czy raczej w piwnicy, od tyłu, ustawiono dwie maszyny drukarskie. W skrzynkach od zupy w proszku Stone’a wyjechały z tego domu całe masy rewolucyjnej literatury, i to tej najbardziej zapalnej. Brat naszej młodej damy anarchistki znalazł tam dla siebie zajęcie. Pisał artykuły, pomagał w składzie i druku, jednym słowem został asystentem odpowiedzialnego za drukarnię, bardzo zdolnego młodego człowieka o nazwisku Sevrin.

Duchem sprawczym tej grupy był fanatyczny rewolucjonista społeczny. Nie żyje już. Genialny rytownik i grafik. Musiał pan widzieć jego prace. Obecnie są bardzo poszukiwane przez niektórych amatorów. Zaczął od uprawiania sztuki rewolucyjnej, a skończył na tym, że został rewolucjonistą, kiedy żona i dziecko umarły mu z głodu i nędzy. Mawiał często, że zabili ich burżuje, spryciarze, obżarciuchy. Naprawdę w to

wierzył. Nadal pracował artystycznie, wiódł podwójne życie. Był wysoki, chudy, śniady, miał długą brązową brodę i zapadłe oczy. Musiał go pan kiedyś widzieć. Nazywał się Horne.

Teraz zdumiałem się naprawdę. Oczywiście, że lata temu widywałem Horne'a w okolicy. Wyglądał jak potężny, nieokrzesany Cygan, w starym cylindrze, z czerwoną chustką wokół szyi i w zapiętym po szyję długim obdartym płaszczu. O swojej sztuce mówił z egzaltacją i sprawiał wrażenie kogoś napiętego do granicy szaleństwa. Niewielka grupka koneserów ceniła jego prace. Kto by pomyślał, że ten człowiek… zdumiewające! A jednak nie było wcale trudno w to uwierzyć.

– Jak pan widzi – ciągnął X – grupa ta miała wszelkie warunki, by w tak dogodnych okolicznościach prowadzić prace propagandowe, a także inną działalność. To byli wszystko rezolutni, doświadczeni ludzie najwyższej klasy. A jednak po pewnym czasie uderzyło nas, że plany przygotowywane przy Hermione Street niemal zawsze spalały na panewce.

– Nas, czyli kogo? – zapytałem dobitnie.

– Pewne osoby w Brukseli, w centrali – odpowiedział pospiesznie. – Wszelkie ambitne akcje, które miały swój początek przy Hermione Street, były, jak się wydawało, skazane na porażkę. Zawsze wydarzało się coś, co udaremniało nawet najlepiej zaplanowane manifestacje w każdej części Europy. To były czasy działalności ogólnej. Musi pan mieć świadomość, że nie wszystkie porażki są głośne, z aresztowaniami i procesami. To nie tak. Często policja pracuje po cichu, niemal po kryjomu i krzyżuje nasze plany dzięki sprytnym machinacjom. Bez aresztowań, bez hałasu, bez niepokojenia opinii publicznej i wzmagania emocji. To mądra taktyka. Jednak tym razem policja niezmiennie odnosiła sukcesy – od Morza Śródziemnego po Bałtyk. Było to denerwujące i zaczynało wyglądać niebezpiecznie. W końcu doszliśmy do wniosku, że do londyńskiej komórki przeniknęły elementy niegodne zaufania. Przyjechałem wtedy, by zobaczyć, co da się z tym po cichu zrobić.

Pierwsze kroki skierowałem do domu naszej młodej Damy, Amatorki anarchizmu. Przyjęła mnie z wielką estymą. Stwierdziłem, że nie wie

niczego o operacjach chemicznych i innych, które toczą się na najwyższej kondygnacji domu przy Hermione Street. Druk literatury anarchistycznej był jedyną działalnością, której wydawała się świadoma. Wykazywała przy tym bardzo wyraźne, typowe oznaki głębokiego entuzjazmu, napisała też wiele sentymentalnych artykułów o płomiennych konkluzjach. Widać było, że świetnie się czuje z tymi wszystkimi gestami i grymasami śmiertelnej powagi. Pasowały do jej twarzy o wielkich oczach i szerokim czole i do wyniosłości jej kształtnej głowy, zwieńczonej wspaniałą koroną brązowych włosów, o uczesaniu w stylu niezwykłym a twarzowym. W pokoju był także jej brat, poważny młodzieniec o uniesionych wysoko brwiach, w czerwonym krawacie. Zrobił na mnie silne wrażenie osoby absolutnie niezorientowanej w czymkolwiek na świecie, włączając w to samego siebie. Po jakimś czasie wszedł jeszcze pewien wysoki młody człowiek. Miał gładko wygolone, mocne, niebieskawe szczęki i coś z milkliwego aktora lub fanatycznego księdza: z tego typu o grubych czarnych brwiach – wie pan. Ale robił bardzo przyzwoite wrażenie. Od razu uścisnął każdemu z nas rękę. Młoda dama podeszła do mnie i szepnęła słodko: „Towarzysz Sevrin”.

Nigdy dotąd go nie spotkałem. Nie miał nam wiele do powiedzenia, tylko usadowił się obok dziewczyny i od razu zagłębili się w żywej rozmowie. Siedząc w głębokim fotelu, pochyliła się ku przodowi i piękną białą dłonią ujęła swój ładnie zaokrąglony podbródek. On z uwagą patrzył jej w oczy. Sprawiało to wrażenie zakochania, poważnego, mocnego, aż po grób. Przypuszczam, że aby domknąć i dopełnić swe przekonania o postępowości i o rewolucyjnym bezprawiu, uważała za niezbędne wmawianie sobie, że jest zakochana w anarchiście. A ten akurat, powtórzę, był niezwykle przystojny, pomimo tych fanatycznych czarnych brwi. Rzuciwszy w ich stronę kilka ukradkowych spojrzeń, nie miałem wątpliwości, że z jego strony rzecz jest absolutnie poważna. Co do damy, jej gesty były nieprzystępne, nadmierne, sugerowały jednocześnie godność, słodycz, pogardę, fascynację, oddanie i dystans. Odgrywała z wielkim znawstwem swoje pojęcie o tym, jakiego dokładnie rodzaju uczucie powinno mieć tu miejsce. I w tym zakresie również i ona, nie było co do

tego wątpliwości, traktowała rzecz poważnie. Gesty!… Ale jakże doskonałe!

Kiedy zostałem sam z naszą Damą Amatorką, poinformowałem ją ostrożnie o przedmiocie mojej wizyty. Wspomniałem o naszych podejrzeniach. Chciałem usłyszeć, co ma do powiedzenia. Po części oczekiwałem może jakiegoś nieświadomego objawienia. Powiedziała jedynie: „To poważna sprawa”, z miną cudownie zatroskaną i zasępioną. Ale w jej oczach pojawiły się iskierki ewidentnie mówiące: „Ależ historia!”. Ostatecznie nie znała się przecież szczególnie na niczym poza słowami. Niemniej podjęła się skontaktowania mnie z Horne’em, którego niełatwo było znaleźć, chyba że przy Hermione Street, gdzie wtedy jeszcze nie chciałem się pokazywać.

Spotkałem się z Horne’em. To był inny typ fanatyka. Ujawniłem mu, do jakich wniosków doszliśmy w Brukseli, i wskazałem na znaczącą serię porażek. Zareagował na to niezwiązanym z tematem wykrzyknieniem: „Mam w ręku coś, co zasieje strach w sercach tych tłustych bestii!”.

Wtedy dowiedziałem się, że Horne z towarzyszami zaczęli kopać w jednej z piwnic i przebili się do lochów pod tym wielkim gmachem, o którym wspomniałem wcześniej. Wysadzenie w powietrze całego skrzydła było pewne, kiedy tylko uda się zgromadzić materiały.

Byłbym może bardziej przerażony głupotą tego posunięcia, gdyby przydatność naszego centrum przy Hermione Street nie stała się już wówczas mocno problematyczna. W mojej opinii zamieniło się ono zasadniczo w policyjną pułapkę.

Obecnie trzeba było koniecznie odkryć, co – a raczej kto – nawalił, z którą to myślą udało mi się w końcu przebić do Horne’a. Wpatrywał się we mnie sparaliżowany, a nozdrza pracowały mu tak, jakby dosłownie wywąchiwał zdradę w powietrzu. I oto następuje fragment, który niewątpliwie zrobi na panu wrażenie rozwiązania teatralnego. Cóż jednak można było uczynić? Problem polegał na odkryciu, kto jest niegodnym zaufania członkiem grupy. Nikogo jednak nie dało się obciążyć podejrzeniem bardziej od pozostałych. Ustanowienie obserwacji nad nimi

wszystkimi było niewykonalne. Poza tym ten typ działania często zawodzi. W każdym razie zabiera masę czasu, a tu niebezpieczeństwo narastało. Byłem przekonany, że lokal przy Hermione Street zostanie w końcu zdemaskowany, choć policja ewidentnie miała do informatora tyle zaufania, że w tym czasie dom nie był nawet obserwowany. W tej kwestii Horne miał pewność. Biorąc pod uwagę okoliczności, był to niedobry znak. Coś trzeba było przedsięwziąć, i to szybko.

Postanowiłem sam zorganizować nalot na grupę. Rozumie pan? Nalot innych zaufanych towarzyszy, podszywających się pod policję. Konspiracja wewnątrz konspiracji. Oczywiście pojmuje pan powody. Zagrożony aresztowaniem, informator, jak miałem nadzieję, zdradzi się w taki czy inny sposób; albo jakimś niebacznym ruchem, albo po prostu przyjąwszy postawę obojętności. Istniało oczywiście niebezpieczeństwo całkowitego niepowodzenia i nie mniejsze ryzyko wypadku śmiertelnego podczas obrony czy też przy próbie ucieczki. Grupę z Hermione Street, jak sam pan doskonale widzi, należało wziąć z zaskoczenia, tak jak by to na pewno było w przypadku prawdziwego nalotu policji, który musiał nastąpić w niedługim czasie. Informator był między nimi i tylko Horne’a mogłem wtajemniczyć w mój plan.

Nie będę wchodził w szczegóły przygotowań. Zmontowanie tej akcji nie było łatwe, ale zostało to zrobione dobrze, a efekt okazał się naprawdę przekonujący. Lipna policja wkroczyła do restauracji, w której natychmiast zamknięto okiennice. Zaskoczenie było pełne. Większość towarzystwa z Hermione Street znajdowała się w drugiej piwnicy, gdzie powiększali otwór prowadzący do lochów wielkiego gmachu. W pierwszym odruchu kilku towarzyszy rzuciło się do wspomnianego wykopu, gdzie, gdyby to był autentyczny nalot, czekałaby ich rzecz jasna pułapka bez wyjścia. Ale w tej chwili nimi się nie zajmowaliśmy. Oni byli niegroźni. Znaczny niepokój Horne’a i mój budziło jednak górne piętro. Tam bowiem w otoczeniu puszek zupy w proszku Stone’a towarzysz, zwany profesorem (były student nauk przyrodniczych), siedział zajęty udoskonalaniem nowych materiałów wybuchowych. Był to roztargniony, pewny siebie człowieczek o ziemistej

cerze, uzbrojony w duże okrągłe okulary; mieliśmy obawy, że wobec tego fałszywego wstrząsu wysadzi w powietrze siebie i cały ten dom razem z nami. Pobiegłem na górę i znalazłem go w drzwiach, czujnie nasłuchującego, jak się wyraził, podejrzanych dźwięków z dołu. Zanim nawet skończyłem wyjaśniać mu, co się dzieje, wstrząsnął lekceważąco ramionami i wrócił do swoich wag i probówek. Oto prawdziwy duch radykalnego rewolucjonisty. Materiały wybuchowe to była jego wiara, jego nadzieja, jego broń i tarcza. Zginął kilka lat później w tajnym laboratorium na skutek przedwczesnej eksplozji jednego ze swych ulepszonych wynalazków.

Pospieszyłem z powrotem na dół, by w mroku piwnicy ujrzeć prawdziwie dramatyczną scenę. Człowiek, który wcielił się w inspektora (nie po raz pierwszy), przemawiał ostro i wydawał swoim fikcyjnym podwładnym fikcyjne rozkazy, by wyprowadzili więźniów. Ewidentnie nic się jeszcze nie wyjaśniło. Horne, ponury i śniadolicy, czekał z rękami założonymi na piersi, a jego cierpliwe, posępne oczekiwanie miało w sobie rodzaj stoicyzmu, dobrze pasującego do sytuacji. W cieniu dostrzegłem jednego z członków grupy z Hermione Street, który ukradkiem przeżuwał i połykał mały kawałek papieru. Jakiś kompromitujący materiał, jak sądzę; być może nazwiska i adresy. To był szczery i wierny towarzysz. Ale warstewka sekretnej złośliwości, która trwa gdzieś na dnie naszych sympatii, wywołała we mnie rozbawienie tym absolutnie niepotrzebnym przedstawieniem.

Pod każdym innym względem ten ryzykowny eksperyment, to teatralne *coup,* jeśli ma pan ochotę tak go nazwać, najwyraźniej poniósł klęskę. Nie można było dłużej utrzymywać pozorów, a wyjaśnienia spowodowałyby tylko żenującą, a nawet przykrą sytuację. Ten człowiek, który zjadł papier, byłby wściekły. Ci, którzy uciekli, także mieliby prawo się zdenerwować.

A wtedy, by wzmóc jeszcze moją irytację, drzwi prowadzące do drugiej piwnicy, w której znajdowały się maszyny drukarskie, otwarły się gwałtownie i pojawiła się w nich nasza dama rewolucjonistka, czarna sylwetka w dopasowanej sukni i wielkim kapeluszu, z płonącą lampą

gazową za plecami. Ponad jej ramieniem dostrzegłem wzniesione brwi i czerwony krawat braciszka.

Były to ostatnie osoby na świecie, które chciałem wtedy zobaczyć! Tego wieczoru wybrali się na jakiś amatorski koncert, zorganizowany dla przyjemności biednych, wie pan; ale ona nalegała, by wyjść z niego wcześniej i w drodze powrotnej do domu zajrzeć na Hermione Street pod pretekstem konieczności wykonania jakiejś pracy. Zwykle jej zadanie polegało na korekcie włoskich i francuskich wydań „Syreny Alarmowej" i „Zarzewia".

– Wielkie nieba – mruknąłem. Pokazano mi kiedyś kilka egzemplarzy tych publikacji. W moim przekonaniu trudno znaleźć coś bardziej niestosownego dla oczu młodej damy. Należały one do gatunku najbardziej radykalnych; to znaczy radykalnych poza granice rozsądku i przyzwoitości. Jedno z nich głosiło konieczność likwidacji wszystkich więzi społecznych i domowych; drugie zalecało regularne zabójstwa. Wyobrażenie sobie, jak młoda dziewczyna spokojnie tropi błędy drukarskie w tego rodzaju obrzydliwych zdaniach, które miałem w pamięci, było nie do pogodzenia z moim pojęciem kobiecości.

Pan X, spojrzawszy na mnie, kontynuował spokojnie:

– Myślę jednak, że przyszła przede wszystkim po to, by wzmagać fascynację Sevrina i na swój królewski i pogardliwy sposób odbierać od niego wyrazy hołdu. Była świadoma obu tych rzeczy – własnej mocy i jego poddaństwa – i obiema radowała się, powiedziałbym, całkiem niewinnie. Nie mamy żadnych podstaw, czy to praktycznych, czy to moralnych, by spierać się z nią w tej kwestii. Kobiecy czar i wyjątkowa inteligencja mężczyzny są prawami samymi dla siebie. Czyż nie?

Powstrzymałem się przed wyrażeniem obrzydzenia wobec tej nieprzyzwoitej doktryny ze względu na ciekawość.

– Ale co było dalej? – pospieszyłem z pytaniem.

X lewą ręką nieuważnie kruszył niewielki kawałek chleba.

– Dalej – wyznał – sprawy potoczyły się tak, że w rezultacie to ona uratowała sytuację.

– Stworzyła okazję, żeby zakończyć tę w sumie dość złowrogą farsę? – zasugerowałem.

– Owszem – rzekł, zachowując beznamiętny ton. – Ta farsa miała się niebawem skończyć. I skończyła się w ciągu paru minut. Skończyła się dobrze. Gdyby ona nie weszła do tego pomieszczenia, mogłaby się skończyć źle. Jej brat rzecz jasna się nie liczył. Oboje jakiś czas wcześniej wśliznęli się cicho do domu. Drukarnia w piwnicy miała oddzielne wejście. Nikogo nie zastali, więc ona zasiadła do korekty, spodziewając się, że Sevrin za chwilę wróci do pracy. Ale nie wrócił. Zniecierpliwiła się, przez drzwi usłyszała dźwięki zamieszania w drugiej piwnicy, no i oczywiście weszła tam, by zobaczyć, co się dzieje.

Sevrin był z nami. W pierwszej chwili wydawał mi się najbardziej ze wszystkich zdumiony całym tym nalotem. Przez chwilę wyglądał na sparaliżowanego ze zdumienia. Stał, jakby wrósł w ziemię. Nie poruszył ręką ani nogą. Samotna pochodnia gazowa płonęła tuż przy jego głowie; wszystkie pozostałe światła zostały zgaszone przy pierwszym alarmie. A teraz, patrząc ze swojego ciemnego kąta, na jego wygolonej aktorskiej twarzy dostrzegłem wyraz zdziwienia, poirytowania i wzmożonej czujności. Zmarszczył te swoje ciężkie brwi. Pogardliwie opuścił kąciki ust, był wściekły. Przypuszczalnie zorientował się w grze, a ja aż zacząłem żałować, że od początku nie obdarzyłem go pełnym zaufaniem.

Ale kiedy pojawiła się dziewczyna, wyraźnie się zaniepokoił. To stało się jasne. Widziałem, że jego niepokój narasta. Zmiana wyrazu jego twarzy była nagła i zastanawiająca. Nie wiedziałem dlaczego. Przyczyna nawet mi nie zaświtała. Byłem po prostu zdumiony zmianą, jaka zaszła w tym człowieku. Rzecz jasna Sevrin nie był świadom tego, że dziewczyna przebywała w drugiej piwnicy, ale to nie wyjaśniało wstrząsu, jaki spowodowało u niego jej wejście. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby stracił zmysły. Otwarł usta, może chciał krzyczeć albo tylko złapać gwałtownie powietrze. Tak czy inaczej, krzyknął ktoś inny. Tym kimś był ów heroiczny towarzysz, który przed chwilą połykał kawałki papieru.

Z godną pochwały przytomnością umysłu wydał z siebie ostrzegający wrzask.

„To policja! Wycofaj się! Uciekaj i zarygluj za sobą drzwi”.

– Była to znakomita rada, ale dziewczyna, zamiast się wycofać, nadal ku nam szła, a za nią braciszek o końskiej twarzy, w pumpach, w których wykonywał jakieś komiczne piosenki dla rozrywki pozbawionego radości proletariatu. Szła, jakby nie dlatego, że nie zrozumiała – słowa „policja” nie da się pomylić z żadnym innym – ale jakby dlatego, że nie mogła się powstrzymać. Nie był to jednak swobodny krok i wyrazista postawa wybitnej anarchistki amatorki pośród biednych walczących profesjonalistów; dziewczyna szła z lekko uniesionymi ramionami i łokciami przyciśniętymi do ciała, jakby próbowała skurczyć się w sobie. Oczy utkwiła nieruchomo w Sevrinie – w Sevrinie jako człowieku, tak się domyślam, nie w Sevrinie jako anarchiście. Ale szła. I było to naturalne. Dziewczęta z jej klasy bowiem, bez względu na to, do jakiego stopnia mają się za samodzielne, przyzwyczajone są do poczucia szczególnej ochrony, pod którą się zresztą rzeczywiście znajdują. To poczucie wyjaśnia dziewięć na dziesięć z ich śmiałych gestów. Jej twarz straciła barwę. Jak u zjawy. Proszę sobie wyobrazić, że nagle ktoś tak brutalnie uświadamia jej, że należy do osób, które muszą uciekać przed policją! Sądzę, że zbladła przede wszystkim z oburzenia, chociaż z pewnością pojawiła się także obawa o osobistą nietykalność, niejasne zagrożenie jakiegoś rodzaju nieuprzejmością. No i w oczywisty sposób zwróciła się do mężczyzny, do mężczyzny, który był jej winien dowody fascynacji i poddaństwa – do mężczyzny, który nie mógłby jej przecież zawieść w decydującym momencie.

– Ale – zawołałem zdumiony tą jego analizą – jeśli to by było na serio, naprawdę, bo przecież ona myślała, że tak jest, to cóż takiego w jej mniemaniu mógłby dla niej zrobić?

Na twarzy pana X nie drgnął nawet mięsień.

– Pan Bóg raczy wiedzieć. Przypuszczam, że w głowie tej szczerej, szczodrej i niezależnej istoty przez całe życie nie zaświtała ani jedna

autentyczna myśl; to znaczy ani jedna myśl oderwana od drobnych ludzkich słabości albo taka, której źródłem nie byłoby jakieś konwencjonalne przeświadczenie. Mogę powiedzieć tylko tyle, że zrobiwszy jeszcze kilka kroków, wyciągnęła rękę ku znieruchomiałemu Sevrinowi. I to przynajmniej nie był gest. To był naturalny ruch. A jeśli chodzi o to, czego się po nim spodziewała – kto to wie? Niemożliwego. Czegokolwiek jednak oczekiwała, mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że jej oczekiwanie nie dorastało do tego, co on postanowił uczynić, i to zanim wyciągnęła się ku niemu ta błagalna ręka. Ten gest był zbędny. Albowiem w chwili, gdy zobaczył ją na progu piwnicy, podjął decyzję, że poświęci swą przyszłą służbę, że zrzuci tę nieprzeniknioną, dobrze umocowaną maskę, którą z taką dumą nosił.

– Co pan ma na myśli? – przerwałem zdumiony. – Czy to zatem Sevrin był…

– Tak, to on. Był najwytrwalszym, najbardziej niebezpiecznym, szczwanym i systematycznie pracującym informatorem. Geniusz wśród zdrajców. Szczęśliwie dla nas był sam. Mówiłem panu, ten człowiek był fanatykiem. Na szczęście dla nas zakochał się w popisowych, niewinnych gestach tej dziewczyny. Sam będąc śmiertelnie poważnym aktorem, musiał wierzyć w absolutną wartość konwencjonalnych znaków. A co do tego, że wpadł w tak prostą pułapkę, to wyjaśnieniem jest fakt, iż dwa równie absorbujące uczucia o tak wielkim natężeniu nie mogą jednocześnie istnieć w jednym sercu. Niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się druga, nieświadoma komediantka, pozbawiło go wizji, przenikliwości, rozsądku. Najpierw jednak odebrało mu opanowanie. Odzyskał je wszakże z konieczności – która pojawiła się przed nim z mocą – konieczności, by coś natychmiast zrobić. Ale co? Cóż, najszybciej jak się da wyprowadzić ją z tego domu. Rozpaczliwie tego pragnął. Powiedziałem już panu, że był przerażony. Nie mogło mu chodzić o siebie. Zdziwił go i zdenerwował ten nieprzewidziany i przedwczesny ruch. Można by wręcz powiedzieć, że go rozwścieczył. Sevrin przywykł, że finalne sceny swoich zdrad aranżuje z głębokim, subtelnym mistrzostwem, dzięki czemu jego reputacja

rewolucjonisty pozostaje bez szwanku. Ale jestem przekonany, że mimo wszystko postanowił rozegrać to jak najlepiej i był zdecydowany nie rezygnować z maski. Dopiero odkrycie, że i ona jest w tym domu, spowodowało, iż wszystko – wysilony spokój, powściągany fanatyzm, maska – opadły z niego w nagłym akcie paniki. Skąd panika, zapyta pan? Odpowiedź jest bardzo prosta. Przypomniał sobie – czy raczej, powiedziałbym, nigdy nie zapomniał – o profesorze prowadzącym swe badania dwa piętra wyżej w otoczeniu puszek zupy w proszku Stone'a. W kilku z nich było dosyć materiału, by przykryć nas wszystkich, jak tam staliśmy, kupą cegieł. Sevrin był tego rzecz jasna świadomy. Należy mieć pewność, że dobrze znał charakter tego człowieka. Miał okazję zapoznać się z niejedną taką postacią! A może tylko oceniał profesora po tym, do czego sam byłby zdolny. Tak czy inaczej, wrażenie zostało wywołane. Więc nagle władczo podniósł głos: „Proszę natychmiast wyprowadzić panią".

– Okazało się, że zachrypiał jak wrona; niewątpliwie z powodu intensywnej emocji. To minęło po chwili. Ale owe pamiętne słowa wyrwały się z jego zaciśniętego gardła w postaci fałszywego, żałosnego kwiku. Nie wymagały odpowiedzi. Sprawa się rozwiązała. Jednak człowiek odgrywający inspektora uznał, że dobrze będzie, jeśli odpowie ostro: „I ona wyjdzie stąd niebawem, razem z wami wszystkimi".

– To były ostatnie słowa należące do komediowej części tej historii. Nie zważając na nic i na nikogo, Sevrin rzucił się ku niemu i chwycił go za klapy płaszcza. Pod cienką, niebieskawą skórą jego policzka widać było zaciśnięte z wściekłości szczęki.

„Na zewnątrz są wasi ludzie. Proszę natychmiast zawieźć panią do domu. Słyszysz mnie? Teraz. Zanim spróbujecie złapać człowieka, który jest na górze".

„O! A zatem na górze jest człowiek? – z otwartym szyderstwem rzucił ten drugi. – Cóż, zostanie sprowadzony na dół na czas, żeby zobaczyć, jak się to wszystko kończy".

– Ale Sevrin, nie posiadając się ze zdenerwowania, nie zwrócił uwagi na jego ton. „Co za ciekawski imbecyl kazał wam się tu pojawić? Nie

zrozumieliście instrukcji? Nie rozumiecie niczego? To niesamowite. Patrz…” Puścił klapy płaszcza, włożył rękę między poły marynarki i zaczął gorączkowo macać za czymś pod koszulą. W końcu wydobył niewielki kwadratowy woreczek z miękkiej skóry, który nosił z pewnością zawieszony na szyi jak szkaplerz, a teraz urwane końce tasiemki wisiały mu w pięści.

„Zajrzyj do środka” – wycharczał, rzucając go temu drugiemu w twarz. I natychmiast odwrócił się do dziewczyny. Stała tuż za nim, doskonale spokojna i milcząca. Jej ułożona biała twarz wyglądała łagodnie. Tylko wpatrujące się w niego oczy zdawały się większe i ciemniejsze. Sevrin mówił szybko, z nerwową pewnością siebie. Słyszałem wyraźnie, jak obiecuje jej, że natychmiast wszystko będzie jasne jak słońce. Ale tyle tylko dosłyszałem. Stał blisko niej, nawet nie próbując dotknąć jej choćby czubkiem małego palca – a ona, jakby ogłupiała, patrzyła na niego. Jednakże jej powieki na chwilkę z wolna patetycznie się opuściły, a gdy długie czarne rzęsy spoczywały już na białych policzkach, wydawało się, że jest gotowa zemdleć. Ale nawet się nie zachwiała. Sevrin nakazał jej głośno, by natychmiast szła za nim, i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę drzwi prowadzących na schody. A ona faktycznie zrobiła parę kroków jego śladem. Oczywiście nie było mu jednak dane dojść do drzwi. Rozległy się wściekłe okrzyki, rozpętała krótka, zacięta przepychanka. Pchnięty gwałtownie Sevrin poleciał z powrotem ku niej i upadł. Ona wyciągnęła przed siebie ramiona w geście przerażenia i usunęła się w bok, dosłownie spod jego głowy, która ciężko uderzyła o ziemię tuż koło jej butów.

Sevrin jęknął pod wpływem uderzenia. Kiedy się pozbierał, powoli i w otumanieniu, wiedział już, co się naprawdę dzieje. Człowiek, w którego ręce rzucił skórzany woreczek, zdążył już wyciągnąć z niego wąski pasek niebieskiego papieru. Trzymał go teraz nad głową, a kiedy po przepychance znowu zapanowała pełna napięcia i oczekiwania cisza, rzucił go z obrzydzeniem, mówiąc: „Zdaje mi się, towarzysze, że ten dowód w zasadzie nie był nam potrzebny”.

Dziewczyna natychmiast schyliła się za uciekającym papierkiem. Rozłożyła go w obu dłoniach i zaczęła czytać; potem, nie podnosząc oczu, wypuściła go z rąk, rozwierając palce.

Zbadałem później ten dziwny dokument. Podpisany był przez bardzo wysoko postawione osobistości, opieczętowany i kontrasygnowany przez wysokich urzędników z różnych krajów Europy. W jego zawodzie – czy powinienem raczej powiedzieć: w jego misji? – tego rodzaju talizman mógł być bez wątpienia niezbędny. Nawet policja – poza ścisłym kierownictwem – znała Sevrina jedynie jako notowanego anarchistę.

Zwiesił głowę, zagryzł dolną wargę. Nastąpiła w nim zmiana, jakieś takie przesycone zamyśleniem uspokojenie. A jednak dyszał. Żebra mu chodziły, a nozdrza rozszerzały się i zwężały, co dziwnie kontrastowało z ponurą aparycją fanatycznego mnicha w postawie medytacyjnej, ale również z czymś w tej jego twarzy aktora, skupionej na wysiłku, jakiego wymaga od niego rola. Teraz przemawiał Horne, obdarty, brodaty, niczym natchniony prorok-oskarżyciel na pustyni. Dwaj fanatycy. Musieli się nawzajem rozumieć. Czy to pana zaskakuje? Jak przypuszczam, myśli pan, że tacy ludzie toczyliby pianę z ust i warczeli na siebie nawzajem?

Zaprotestowałem pospiesznie, że bynajmniej nie jestem zdziwiony; że niczego takiego nie pomyślałem; że dla mnie anarchiści w ogóle są po prostu niepojęci umysłowo, moralnie, logicznie, uczuciowo, a nawet fizycznie. X przyjął moją deklarację z typowym dla siebie niewzruszeniem i mówił dalej.

– Horne mówił z szaloną elokwencją. Wyrzucał z siebie pełne pogardy inwektywy, a równocześnie łzy mu kapały z oczu i niezauważone spływały po jego czarnej brodzie. Sevrin dyszał coraz szybciej. Otwarł usta, żeby coś powiedzieć, a wszyscy dosłownie spijali słowa z jego warg.

„Nie bądź idiotą, Horne – zaczął. – Bardzo dobrze wiesz, że nie zrobiłem tego z żadnego z tych powodów, jakie teraz mi imputujesz”. I w jednej chwili Sevrin stał się zewnętrznie nieruchomy jak skała, podczas gdy ten drugi wbijał w niego krwawy wzrok. „Psułem wam szyki, oszukiwałem i zdradzałem was z przekonania”.

– Odwrócił się tyłem do Horne’a i zwracając się do dziewczyny, powtórzył te słowa: „Z przekonania”. Ona wyglądała po prostu niesamowicie. Sądzę, że nie przychodził jej do głowy żaden właściwy gest. Zresztą dla takiej sytuacji niewiele było precedensów.

„To jasne jak słońce – dodał. – Rozumiesz, co to znaczy? Z przekonania”. Nadal się nie poruszyła. Nie wiedziała, co robić. Ale nieszczęsny biedak miał jej zaraz zapewnić możliwość wykonania pięknego i poprawnego gestu.

„Czułem, że mam w sobie siłę, która sprawi, że i ty nabierzesz moich przekonań” – oświadczył żarliwie. Zapomniał się, zrobił krok w jej kierunku, może się potknął. Moim zdaniem wyglądało to, jakby pochylał się nisko, chcąc dotknąć skraju jej sukni. I wtedy nastąpił ów właściwy gest. Wyszarpnęła spódnicę spod trującego kontaktu z jego palcami i odwróciła głowę, unosząc ją nieco w górę. Wykonała to wspaniale, odegrała ten konwencjonalny gest niesplamionego honoru, nieskalanej wzniosłej amatorki.

Nie mogła zrobić nic lepszego. I on był tego zdania, bo raz jeszcze się odwrócił. Tym razem nie patrzył na nikogo. Znów przerażająco dyszał. Pospiesznie zagłębił palce w kieszonce kamizelki, a potem uniósł je do ust. Było w tym geście coś ukradkowego, ale jego postawa od razu się zmieniła. Gwałtowne dyszenie upodobniło go do człowieka, który właśnie ukończył rozpaczliwy bieg; ale teraz w miejsce pełnego wysiłku zmagania pojawiło się dziwne wrażenie obojętności, nagłe i głębokie oderwanie. Bieg był ukończony. Nie chciałem widzieć tego, co miało wydarzyć się za chwilę. Zbyt dobrze wiedziałem, co nastąpi. Chwyciłem młodą damę pod łokieć i bez słowa wyszliśmy razem na schody.

Jej brat podążył za nami. W połowie schodów wydawało się, że dziewczyna nie jest w stanie unosić stóp i musieliśmy ją pchać i wciągać na górę. Idąc, zwieszała się na moim ramieniu, zgięta bezradnie niczym stara kobieta. Wyszliśmy na pustą ulicę przez wpół otwarte drzwi, zataczając się jakby w hulaszczym upojeniu. Na rogu zatrzymaliśmy dorożkę. Stary woźnica z ponurą naganą spoglądał z kozła na nasze wysiłki, by wepchnąć

ją do środka. W czasie jazdy dwukrotnie czułem, jak w półomdleniu opada mi na ramię. Siedzący naprzeciwko młodzieniec w pumpach pozostawał niemy jak ryba i do momentu, kiedy wyskoczył z kluczem od bramy, tkwił na swoim miejscu tak nieruchomo, że trudno było uwierzyć, jak to możliwe. W drzwiach salonu puściła moje ramię i weszła pierwsza, podtrzymując się krzeseł i stołów. Odpięła kapelusz, a następnie, wycieńczona, z peleryną wciąż wiszącą u ramion, rzuciła się na głęboki fotel bokiem i ukryła twarz w poduszce. Jej dobry brat pojawił się przed nią cicho ze szklanką wody. Odgoniła go ręką. Wypił ją więc sam i oddalił się gdzieś w odległy kąt za fortepianem. Cisza zapadła w tym pokoju, gdzie kiedyś po raz pierwszy ujrzałem Sevrina, antyanarchistę, porwanego i oczarowanego jej popisowymi dziedzicznymi grymasami, które w pewnych sferach życia z doskonałym efektem zajmują miejsce uczuć. Przypuszczam, że jej myśli zajęte były tym samym wspomnieniem. Ramiona jej drgały gwałtownie. Czysty atak nerwów. Kiedy minął, udała stanowczość: „Co się dzieje z ludźmi tego rodzaju? Co oni mu zrobią?”.

„Nic. Nic nie mogą mu zrobić” – zapewniłem ją, całkowicie zgodnie z prawdą. Było pewne, że umarł w niespełna dwadzieścia minut od chwili, gdy sięgnął ręką do ust. Jego fanatyczny antyanarchizm doszedł bowiem i do tego, że nosił w kieszeni truciznę, by pozbawić swoich przeciwników prawa do zemsty, i wiedziałem, że w tym względzie z pewnością zadbał o środek, który go w razie potrzeby nie zawiedzie.

Wściekle nabrała powietrza. Na policzkach miała czerwone plamy, a w oczach gorączkowy błysk.

„Czy ktokolwiek był kiedyś wystawiony na tak potworne doświadczenie? Pomyśleć, że on mnie trzymał za rękę! Ten człowiek! – Twarz jej zadrgała, przełknęła patetyczny szloch. – Jeśli kiedykolwiek byłam czegoś pewna, to były to jego wzniosłe motywy!”

Zaczęła cicho płakać, co dobrze jej zrobiło. A potem, wśród powodzi łez, jakby na wpół urażona rzekła: „Co on do mnie powiedział? Z przekonania! To brzmiało jak podłe szyderstwo. Co on chciał przez to powiedzieć?”.

„To, moja droga młoda damo – odpowiedziałem łagodnie – znacznie więcej, niż ja czy ktokolwiek inny mógłby pani wyjaśnić”.

Pan X strącił z poły jakiś okruszek.

– I jeśli chodzi o nią, to była ścisła prawda. Chociaż Horne, na przykład, zrozumiał go doskonale; i ja także, zwłaszcza po wizycie w jego mieszkaniu, w ponurej bocznej uliczce niezwykle szacownej dzielnicy. Horne’a znano tam jako przyjaciela, więc nie mieliśmy kłopotu z wejściem, tyle że rozchełstana służąca, wpuszczając nas, oświadczyła, że „pan Sevrin nie wrócił na noc”. W poczuciu obowiązku wyłamaliśmy kilka szuflad, w których znaleźliśmy nieco przydatnych informacji. Najciekawszy był dziennik Sevrina; jak na człowieka zaangażowanego w tak niebezpieczną robotę miał słabość do zapisywania najbardziej obciążających historii. Odsłoniły się przed nami jego działania i myśli. Ale zmarłym to nie przeszkadza. Im już nic nie przeszkadza.

„Z przekonania”. Tak. Niejasny, lecz żarliwy humanitaryzm wzywał go od wczesnej młodości do najostrzejszych form skrajnej negacji i buntu. Następnie ocknął się w nim optymizm. Zawahał się i to go zagubiło. Słyszał pan o nawróconych ateistach? Ci często przeistaczają się w niebezpiecznych fanatyków, ale dusza w nich pozostaje niezmieniona. Z okresu kiedy poznał tę dziewczynę, w jego dzienniku napotkać można bardzo dziwne polityczno-miłosne rapsodie. Brał jej niepodległe grymasy ze śmiertelną powagą. Pragnął ją nawrócić. Ale to nie może pana zainteresować. Co do reszty, nie wiem, czy pan pamięta – bo to było dobrych parę lat temu – sensację dziennikarską pod tytułem „tajemnica Hermione Street”? W piwnicy pustego domu znaleziono ciało; nastąpiło śledztwo; kilka aresztowań; liczne domysły – potem cisza – zwyczajny koniec wielu nieznanych męczenników i wyznawców. Prawda jest taka, że Sevrin nie dość był optymistą. Żeby stać się radykalnym społecznym buntownikiem w rodzaju Horne’a, trzeba być optymistą gwałtownym, tyranicznym, bezlitosnym, optymistą na wskroś i do szpiku.

Wstał od stolika. Kelner pospieszył z futrzanym płaszczem, drugi już trzymał jego kapelusz w pogotowiu.

– Ale co stało się z młodą damą? – zapytałem.

– Naprawdę chce pan wiedzieć? – rzekł, starannie zapinając okrycie. – Muszę się przyznać do pewnej złośliwości: wysłałem jej dziennik Sevrina. Wycofała się z działalności; potem pojechała do Florencji; potem schroniła się w klasztorze. Trudno powiedzieć, gdzie uda się dalej. Co to ma za znaczenie? Gesty! Gesty! Nic więcej tylko gesty właściwe jej klasie!

Niezwykle precyzyjnie umieścił na głowie błyszczący cylinder i szybko lustrując salę wypełnioną dobrze ubranymi ludźmi, niewinnie jedzącymi kolację, wymamrotał pod nosem:

– Gesty i nic więcej, dlatego ten rodzaj skazany jest na wymarcie.

Po tym wieczorze nigdy więcej nie spotkałem już pana X. Zacząłem stołować się w klubie. Przy kolejnej wizycie w Paryżu spotkałem się z przyjacielem, który tylko czekał, aż mu opowiem, jakie wrażenie zrobił na mnie ten rzadki okaz z jego kolekcji. Przytoczyłem mu całą historię, a on aż promieniał z dumy, słuchając o swoim wybitnym eksponacie.

– Nieprawda, że warto znać X-a? – gorączkował się w wielkim zachwycie. – Jest jedyny, zdumiewający, absolutnie wspaniały.

Jego entuzjazm podrażnił moje uczucia wyższe. Odrzekłem szorstko, że cynizm tego człowieka jest po prostu wstrętny.

– Ach, wstrętny! Wstrętny! – zgodził się wylewnie. – Ale poza tym, wiesz, on lubi sobie czasem pożartować – dodał konfidencjonalnym tonem.

Nie zrozumiałem, do czego miała się odnosić ta ostatnia uwaga. Zupełnie nie byłem w stanie pojąć, gdzie w tym wszystkim żart.

# Il Conde. Opowieść żałosna

*Vedi Napoli e poi mori*

Po raz pierwszy mieliśmy okazję rozmawiać w Muzeum Narodowym w Neapolu, w salach na parterze, gdzie znajduje się słynna kolekcja brązów z Herkulanum i Pompei – cudowna spuścizna sztuki antycznej, której subtelna doskonałość zachowała się do naszych czasów dzięki katastrofalnej wściekłości wulkanu.

Zwrócił się do mnie pierwszy, przy słynnym Hermesie odpoczywającym, któremu, stojąc ramię w ramię, obaj się przyglądaliśmy. O tym absolutnie zachwycającym dziele powiedział to, co powiedzieć należało. Nic specjalnie głębokiego. Jego smak był raczej naturalny niż wykształcony. Niewątpliwie widział w życiu wiele pięknych rzeczy i umiał je docenić, lecz nie posługiwał się żargonem dyletanta czy też konesera. Wypowiadał się jak w miarę inteligentny światowiec, absolutnie bezpretensjonalny dżentelmen.

Od kilku dni znaliśmy się z widzenia. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu – dobrym, ale nieprzesadnie nowoczesnym – więc zauważyłem go, kiedy wchodził i wychodził. Wyglądało na to, że jest stałym i cenionym gościem. Ukłon właściciela wyrażał serdeczne, głębokie uszanowanie, przyjmowane przezeń z poufałą uprzejmością. Dla służących był Il Conde. Raz zdarzyła się sprzeczka z powodu zostawionego przez kogoś parasola – takiego z żółtego jedwabiu, z białą podszewką – który kelnerzy znaleźli przed drzwiami jadalni. Nasz złotem szamerowany portier rozpoznał parasol i słyszałem, jak każe jednemu z boyów biec z nim za Il Conde. Być może był jedynym hrabią, który zatrzymywał się w tym hotelu, a może przywilej bycia hrabią *par excellence* został mu przyznany z powodu niezłomnej wierności firmie.

Skoro w *museo* ucięliśmy sobie pogawędkę – podczas której wyraził brak entuzjazmu dla popiersi i posągów cesarzy rzymskich w galerii marmurów: twarze mają, jak dla niego, zbyt żywe, zbyt wyraziste – skoro więc rano ucięliśmy sobie pogawędkę, nie uważałem, że będzie nietaktem, jeśli wieczorem w wypełnionej jadalni, zapytam go, czy mogę dosiąść się do jego stolika. Sądząc po spokojnej uprzejmości, z jaką mnie zaprosił, i on nie uważał tego za nietakt. Miał bardzo przyjemny uśmiech.

Do obiadu włożył wieczorową kamizelkę i „smoking” (jak go nazwał) z czarnym krawatem. Wszystko doskonale uszyte, nie nowe – dokładnie takie, jakie powinno być. Czy wieczorem, czy rano, ubrany był zawsze bardzo poprawnie. Nie mam wątpliwości, że całe jego życie przebiegało poprawnie, w sposób ściśle uporządkowany i konwencjonalny, niezakłócany przez jakieś zaskakujące wydarzenia. Zaczesane w tył od wyniosłego czoła siwe włosy nadawały mu pozór idealisty, człowieka z wyobraźnią. Biały wąs, ciężki, ale starannie przycięty, na środku zabarwił się na kolor złotożółty, co było miłe dla oka. Delikatny zapach bardzo dobrych perfum i cygar (tę ostatnią woń dość rzadko spotyka się we Włoszech) doszedł mnie znad stolika. Wiek najbardziej znać było po oczach. Nieco znużone, o pomarszczonych powiekach. Musiał liczyć sobie lat sześćdziesiąt lub nieco więcej. I był człowiekiem rozmownym. Nie posunąłbym się do tego, by nazwać go gadatliwym, ale zdecydowanie był rozmowny.

Wyznał, że próbował już różnych klimatów, Abbacji, Riwiery, także innych miejsc, ale jedynym, który mu rzeczywiście odpowiada, jest klimat Zatoki Neapolitańskiej. Starożytni Rzymianie, którzy, jak zaznaczył, byli ludźmi biegłymi w sztuce życia, bardzo dobrze wiedzieli, co robią, gdy na tych brzegach, w Bajach, w Vico, na Capri, wznosili swoje wille. Przyjeżdżali na to wybrzeże w poszukiwaniu zdrowia, przywożąc ze sobą orszaki mimów i flecistów, którzy umilali im wypoczynek. Uważał za bardzo prawdopodobne, że Rzymianie z wyższych sfer społecznych byli szczególne podatni na bolesne przypadłości reumatyczne.

To jedyna osobista opinia, jaką od niego usłyszałem. Nie opierała się na szczególnej erudycji. O Rzymianach wiedział nie więcej niż przeciętnie wykształcony człowiek z towarzystwa. Twierdził tak na podstawie osobistego doświadczenia. Sam cierpiał z powodu bolesnej i niebezpiecznej przypadłości reumatycznej do czasu, aż przekonał się, że ulgę przynosi mu pobyt w tym konkretnym miejscu na południu Europy.

To było trzy lata temu i od tego czasu stale gości na wybrzeżu zatoki – albo w jednym z hoteli w Sorrento, albo w niewielkiej willi, którą wynajmuje na Capri. Ma fortepian, kilka książek; wybiera sobie przelotne znajomości na dzień, tydzień czy miesiąc spośród strumienia podróżnych z całej Europy. Można sobie wyobrazić, jak wychodzi na przechadzkę po ulicach i alejkach, gdzie rozpoznają go żebracy, sklepikarze, dzieci, wieśniacy; jak życzliwie rozmawia przez mur z *contadini*, a potem wraca do swojej willi i siada przy fortepianie, z gęstymi włosami zaczesanymi do tyłu i obfitym, starannie przyciętym wąsem, „by trochę sobie pomuzykować”. Dla odmiany zaś tuż obok jest oczywiście Neapol – życie, ruch, podniecenie, opera. Odrobina rozrywki, jak się wyraził, jest dla zdrowia niezbędna. No właśnie, mimowie i fleciści. Tyle że inaczej niż rzymscy magnaci on nie miał w mieście żadnych spraw, które odciągałyby go od tych skromnych rozkoszy. Nie miał w ogóle żadnych spraw. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie musiał się zajmować żadną poważniejszą sprawą. Wiódł miłe życie, którego smutki i radości regulowała sama Natura: śluby, narodziny, śmierci – jego biegiem zarządzały przyjęte zasady dobrego tonu, a państwo roztaczało nad nimi opiekę.

Był wdowcem, ale w lipcu i sierpniu odbywał wyprawę na drugą stronę Alp, by odwiedzić swoją zamężną córkę. Wspomniał jej nazwisko. Wielki arystokratyczny ród. Miała zamek – w Czechach, tak mi się wydaje. I tylko tyle dowiedziałem się na temat jego narodowości. Własnego nazwiska, co mnie trochę zdziwiło, nigdy nie wymienił. Być może sądził, że widziałem je na liście gości. Prawdę mówiąc, nie miałem okazji sprawdzić. W każdym razie był dobrym Europejczykiem – wiem z pewnością, że mówił czterema

językami – i człowiekiem majętnym. Nie żeby miał wielką fortunę, to było oczywiste i właściwe. Wyobrażam sobie, że być szalenie bogatym wydawałoby mu się nie w dobrym tonie, *outré* – po prostu zbyt wulgarne. Oczywiście majątku nie dorobił się sam. Aby dorobić się majątku, potrzeba pewnej szorstkości. To kwestia temperamentu. On miał naturę zbyt łagodną, by walczyć. W trakcie rozmowy przypadkowo wspomniał o swojej posiadłości, w nawiązaniu do owej bolesnej i niepokojącej reumatycznej przypadłości. Któregoś roku, kiedy nieostrożnie pozostał po drugiej stronie Alp aż do połowy września, choroba na trzy miesiące przykuła go do łóżka w tym samotnym wiejskim domu, zupełnie bez nikogo, tyle że był lokaj i para służących do usługi. Ponieważ, jak się wyraził, „nie utrzymywał tam gospodarstwa”. Przyjechał tylko na parę dni, aby omówić sprawy z najemcą gruntu. Obiecał sobie, że nigdy już nie popełni podobnej nieostrożności. Pierwsze tygodnie września zastaną go już zawsze nad ukochaną zatoką.

Podróżując, czasami trafia się na takich samotnych ludzi, których jedynym zatrudnieniem jest czekanie na nieuniknione. Śmierci i małżeństwa wytworzyły wokół nich pustkę i naprawdę nie można ganić ich za to, że podejmują wysiłki, by owo czekanie było jak najłatwiejsze. Jak sam zauważył:

– W tym okresie życia, w którym jestem, wolność od bólu okazuje się sprawą bardzo istotną.

Nie należy jednak wyobrażać sobie, że był zbolałym hipochondrykiem. W istocie był zdecydowanie za dobrze wychowany, by dla kogokolwiek stanowić uciążliwość. Dostrzegał drobne ludzkie słabości. Ale patrzył na nie dobrodusznym okiem. Okazał się odprężającym, łatwym, przyjemnym towarzyszem godzin dzielących kolację od pory snu. Spędziliśmy razem trzy wieczory, a potem ja musiałem pośpiesznie opuścić Neapol, żeby w Taorminie zaopiekować się przyjacielem, który nagle poważnie zachorował. Nie mając nic innego do roboty, Il Conde odprowadził mnie na stację. Czułem się nieco rozstrojony, a on swojej bezczynności zawsze umiał nadać uprzejmą formę. Bynajmniej nie był człowiekiem gnuśnym.

Idąc wzdłuż pociągu, zaglądał do przedziałów i szukał dla mnie dobrego miejsca, a później stał na peronie i rozmawiał ze mną wesoło przez okno. Oświadczył, że będzie mu mnie brakowało tego wieczoru, i wyraził zamiar udania się po obiedzie do parku Villa Nazionale, by posłuchać orkiestry. Rozerwie się przy doskonałej muzyce i poprzygląda się najlepszemu towarzystwu. Będzie mnóstwo ludzi, jak zwykle.

Wydaje mi się, że nadal go widzę: jego uniesioną twarz i przyjazny uśmiech spod szerokiego wąsa, jego miłe, zmęczone oczy. Kiedy pociąg ruszył, zwrócił się do mnie w dwu językach: najpierw po francusku, mówiąc: „*Bon voyage*!”, potem swoją bardzo dobrą, nieco przesadną angielszczyzną, pocieszająco, bo widział, że jestem zmartwiony: „*All will – be well – yet*”.

Ponieważ choroba mojego przyjaciela nie okazała się zbyt poważna, po dziesięciu dniach wróciłem do Neapolu. Trudno powiedzieć, bym podczas swojej nieobecności poświęcał Il Conde wiele uwagi, ale kiedy wszedłem do jadalni, popatrzyłem, czy siedzi na swoim zwykłym miejscu. Przeszło mi przez myśl, że może pojechał do Sorrento, do swojej willi, fortepianu, książek i łowienia ryb. Był zaprzyjaźniony ze wszystkimi rybakami i sporo łowił na wędkę z łódki. Lecz dostrzegłem wśród wielu głów jego siwą grzywę i nawet z odległości zauważyłem w jego postawie coś niezwykłego. Nie siedział wyprostowany, nie rozglądał się wkoło z czujną uprzejmością, lecz zgarbił się nad talerzem. Stałem przed nim przez dłuższą chwilę, zanim podniósł wzrok, jakby lekko błędny, jeśli można użyć tak mocnego słowa w odniesieniu do jego poprawnego wyglądu.

– O, mój drogi panie! To pan! – przywitał mnie. – Mam nadzieję, że wszystko dobrze?

Uprzejmie dopytywał o mojego przyjaciela. Bo też zawsze był uprzejmy, jak to ludzie, których serca są szczerze ludzkie. Tym razem jednak wymagało to od niego wysiłku. Podejmowane przezeń próby rozmowy na tematy ogólne załamywały się w nudę. Dotarło do mnie, że nie czuje się dobrze. Ale zanim zdołałem sformułować pytanie, szepnął:

– Zastaje mnie pan w wielkim smutku.

– Bardzo mi przykro – odrzekłem. – Ufam, że nie otrzymał pan jakichś złych wiadomości?

Niezwykle uprzejmie z mojej strony, że pytam. Nie. Nic z tych rzeczy. Żadnych złych wieści, dzięki Bogu. I zamilkł zupełnie, jak gdyby wstrzymując oddech. Potem, lekko pochylając się ku przodowi, dziwnym tonem, wyrażającym jakby obawę i zakłopotanie, zwierzył mi się:

– Prawda jest taka, że miałem bardzo… bardzo… jak to ująć? Że przydarzyła mi się paskudna przygoda.

Już sama energia tego epitetu w ustach człowieka o łagodnych uczuciach i stonowanym słownictwie mogła budzić zdziwienie. Określenie „nieprzyjemna” wydawało mi się aż nadto wystarczające do opisania najgorszego doświadczenia, jakie mogło dotknąć osobę jego pokroju. I do tego przygoda… Niewiarygodne! Ale w naturze ludzkiej leży spodziewać się najgorszego, przyznam więc, że rzuciłem mu ukradkowe spojrzenie, zastanawiając się, cóż takiego mógł zrobić. Już po chwili jednak moje niecne podejrzenia zostały rozwiane. W człowieku tym była pewna fundamentalna subtelność, która kazała mi porzucić myśl o wszelkich mniej lub bardziej podejrzanych tarapatach.

– To bardzo poważna sprawa. Bardzo poważna – nerwowo mówił dalej. – Opowiem panu po obiedzie, jeśli pan pozwoli.

Lekkim skinieniem głowy wyraziłem całkowitą zgodę, to wszystko. Chciałem, by wiedział, że nie będę go przymuszał do realizacji tej obietnicy, jeśli po zastanowieniu zechce zrezygnować. Rozmawialiśmy o sprawach obojętnych, ale z pewną trudnością, obcą naszym wcześniejszym prostym, plotkarskim pogawędkom. Dłoń, którą unosił do ust kawałek chleba, lekko drżała. Ten objaw, wobec mojej dotychczasowej opinii o tym człowieku, był co najmniej niepokojący.

W palarni nie ociągał się ani chwili. Kiedy tylko zajęliśmy swoje zwykłe miejsce, od razu pochylił się w bok nad poręczą fotela i szczerze popatrzył mi w oczy.

– Pamięta pan – zaczął – dzień, w którym pan odjechał? Powiedziałem panu wówczas, że wybieram się wieczorem do Villa Nazionale posłuchać

muzyki.

Pamiętałem. Jego przystojna twarz, świeża jak na ten wiek, nienaznaczona próbą jakichkolwiek doświadczeń, na moment jakby zmizerniała. Odniosłem wrażenie, że przemknął po niej cień. Odwzajemniając jego stanowcze spojrzenie, wziąłem łyk kawy. W swojej opowieści był systematycznie szczegółowy, sądzę, że chciał w ten sposób uniknąć wzruszenia.

Po wyjściu ze stacji zjadł lody i poczytał w kawiarni gazetę. Potem ruszył do hotelu, gdzie przebrał się do obiadu, który zjadł z dobrym apetytem. Po obiedzie spędził trochę czasu w holu (są tam fotele i stoliki), paląc cygaro, porozmawiał przez chwilę z córeczką *primo tenore* z teatru San Carlo i zamienił parę słów z tą „uroczą damą”, żoną *primo tenore*. Tego wieczoru nie było spektaklu, więc i oni udawali się do Villa Nazionale. Wyszli z hotelu. Bardzo dobrze.

Po chwili ruszył w ich ślady, ale przypomniał sobie, że ma w portfelu dość sporą sumkę. Poszedł zatem do biura i zdeponował większą część pieniędzy u hotelowego księgowego. Co uczyniwszy, zawołał carozellę i pojechał na wybrzeże. Wysiadł z powozu i pieszo wszedł do parku od strony Largo di Vittoria.

Patrzył na mnie intensywnie. Wtedy pojąłem, jak łatwo poddawał się nastrojowi. Każdy szczegół tego wieczoru tkwił w jego pamięci, jak gdyby zawierał mistyczną treść. Jeśli nie wspomniał, jakiego koloru był konik ciągnący carozellę i jak wyglądał woźnica, to tylko przez przeoczenie wynikające z opanowującego go wzruszenia, z którym mężnie walczył.

Wszedł zatem do Villa Nazionale od strony Largo di Vittoria. Villa Nazionale to dostępny dla publiczności teren wypoczynkowy, złożony z trawników, krzewów i rabat, położony między budynkami stojącymi przy Riviera di Chiaia a zatoką. Aleje drzew idą w miarę równolegle przez całą, wcale nie tak małą, długość parku. Po stronie Riviera di Chiaia wzdłuż ogrodzenia jeździ elektryczny tramwaj. Między parkiem a zatoką biegnie modna trasa przejazdowa: szeroka droga odgrodzona niskim murkiem od

Morza Śródziemnego, które przy ładnej pogodzie bije weń z łagodnym poszumem.

Jako że w Neapolu życie toczy się do późnej nocy, na szerokiej szosie kłębił się lśniący rój poruszających się parami latarni u powozów; niektóre przesuwały się z wolna, inne pędziły pod cienką, nieruchomą linią lamp elektrycznych wyznaczających nabrzeże. Nad lądem szumiącym od głosów, zatłoczonym od domów i lśniącym od świateł, a także nad cichymi, płaskimi cieniami morza wisiała błyszcząca chmara gwiazd.

Sam park nie jest zbyt dobrze oświetlony. Nasz przyjaciel szedł przed siebie w ciepłym zmroku, oczy utkwiwszy w odległym świetlistym obszarze, rozciągającym się niemal na całą szerokość Villa Nazionale; wyglądało to, jakby samo powietrze błyszczało tam zimnym, błękitnawym, oślepiającym blaskiem. Z tego magicznego miejsca, zza czarnych pni drzew i masy listowia unosiły się słodkie dźwięki, w które wdzierały się wybuchy mosiężnych pomruków, nagłe uderzenia metalu i głębokie, rozwibrowane bębnienie.

Kiedy tak szedł, wszystkie te dźwięki splotły się w zawiły utwór muzyczny, którego harmonijne frazy przebijały wyraziście przez potężny, nieuporządkowany poszum głosów i kroków na żwirowym placyku. Ogromny tłum, zanurzony w świetle elektrycznym, niby skąpany w promienistym, przejrzystym płynie, który sączył się na ludzkie głowy z lśniących kul, przetaczał się wokół orkiestry. Kolejne setki ludzi siedziały na krzesełkach w mniej więcej koncentrycznych kręgach, w bezruchu poddane rozlewającym się w mroku potężnym falom dźwięku. Hrabia przedzierał się przez ludzką chmarę, niesiony spokojnym rozradowaniem, słuchając i przypatrując się twarzom. Sami ludzie z dobrego towarzystwa: matki z córkami, rodzice z dziećmi, młodzi mężczyźni i kobiety, a wszyscy rozmawiali, uśmiechali się, witali skinieniem głowy. Wiele pięknych twarzy, wiele pięknych toalet. Było tam, rzecz jasna, sporo różnych typów: krzykliwi starsi panowie z wielkimi wąsami, mężczyźni grubi, mężczyźni chudzi, oficerowie w mundurach, ale przeważali, jak powiedział, młodzi ludzie typu południowowłoskiego, o bezbarwnej, jasnej cerze, czerwonych

wargach, niewielkim kruczoczarnym wąsiku i wilgotnych czarnych oczach, znakomicie się nadających do spojrzeń pożądliwych i gniewnych.

Wycofawszy się z tej chmary, Hrabia dosiadł się do stolika, przy którym siedział właśnie jeden z takich młodzieńców. Nasz przyjaciel napił się lemoniady. Młodzieniec siedział nachmurzony nad pustą szklanką. Raz podniósł wzrok, ale zaraz go opuścił. I zsunął kapelusz na czoło. O, tak – i Hrabia uczynił gest człowieka, który zsuwa kapelusz na czoło, po czym mówił dalej:

– Myślę sobie: jest smutny, coś go trapi, młodzi ludzie mają swoje kłopoty. I oczywiście nie zwracam na niego uwagi. Płacę za lemoniadę i idę.

Przechadzając się w sąsiedztwie orkiestry, Hrabia odniósł wrażenie, że w tłumie dwukrotnie dostrzegł tego samego młodzieńca. Raz ich spojrzenia się spotkały. To musiał być ten sam człowiek, ale tylu jest młodych ludzi tego typu, że Hrabia nie był pewien. Poza tym nie bardzo się tym przejmował, tyle tylko, że uderzył go wyraz cierpkiego niezadowolenia na tej twarzy.

Zmęczony nieco poczuciem uwięzienia, jakiego doznaje się w tłumie, Hrabia odsunął się teraz nieco od orkiestry. Alejka, która wydała mu się bardzo ciemna, skusiła go perspektywą samotności i chłodu. Powędrował nią wolnym krokiem, a w miarę jak się oddalał, dźwięk orkiestry znacznie słabł. Potem przeszedł z powrotem, i znowu zawrócił. Uczynił to kilkakrotnie, aż dostrzegł, że ktoś siedzi na jednej z ławek.

Stała między dwiema latarniami, więc światło było tam słabe.

Człowiek ten siedział rozparty, nogi wyciągnął przed siebie, głowę miał zwieszoną na piersi. Nie poruszył się, zupełnie jakby zasnął, ale kiedy Hrabia minął go po raz kolejny, zmienił pozycję. Usiadł, pochylony ku przodowi. Łokcie oparł na kolanach, palcami zwijał papierosa. Nie podniósł oczu.

Hrabia nadal spacerował z dala od orkiestry. Zawrócił powoli, tak powiedział. Wyobrażam sobie, jak pełną przyjemność czerpał – choć ze

zwykłym sobie spokojem – z balsamicznej południowej nocy i z dźwięków muzyki, zmiękczonych teraz cudownie na skutek odległości.

Zbliżył się po raz trzeci do mężczyzny siedzącego na parkowej ławce wciąż z łokciami wspartymi o kolana. Była to poza zniechęcenia. W półmroku alejki wysoki kołnierzyk i mankiety koszuli siedzącego tworzyły wyraziste plamki bieli. Hrabia rzekł, że zobaczył, jak tamten wstaje gwałtownie, jakby z zamiarem odejścia, ale na dobrą sprawę zanim zdołał się spostrzec, mężczyzna stał tuż przed nim, pytając niskim, łagodnym tonem, czy *signore* byłby uprzejmy podać mu ogień.

Hrabia odpowiedział na tę prośbę uprzejmym: „Oczywiście”, i opuścił ręce z zamiarem poszukania zapałek w obu kieszeniach spodni.

– Opuściłem ręce – rzekł – ale nie zdążyłem włożyć ich do kieszeni. Poczułem ucisk tu…

Czubkiem palca dotknął miejsca nieco poniżej mostka, dokładnie tego miejsca w ciele, od którego japońscy dżentelmeni rozpoczynają operację harakiri, będącą formą samobójstwa w następstwie zniesławienia, nieznośnego pogwałcenia delikatności czyichś uczuć.

– Spoglądam w dół – ciągnął Hrabia tonem wielkiego poruszenia – i co widzę? Nóż! Długi nóż…

– Czy chce pan powiedzieć – wykrzyknąłem zdumiony – że został pan w taki sposób napadnięty w Villa Nazionale o godzinie wpół do jedenastej, w odległości rzutu kamieniem od tysięcy ludzi?

Kilkakrotnie skinął głową, wpatrując się we mnie z całej mocy.

– Trębacz – oświadczył z powagą – kończył właśnie solo i zapewniam pana, że słyszałem każdą nutę. Potem orkiestra zagrzmiała *fortissimo*, a ten osobnik wywrócił oczami, zazgrzytał zębami i wysyczał z najwyższą wściekłością: „Cisza, bo jak nie…”.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia.

– Ale co to był za nóż? – zapytałem bezsensownie.

– Długie ostrze. Sztylet, a może nóż kuchenny. Długie, wąskie ostrze. Lśniące. Tak samo jak jego oczy. I białe zęby. Widziałem je. Był rozwścieczony. Pomyślałem sobie: „Jeśli go uderzę, to mnie zabije”. Jakże

miałem z nim walczyć? On dzierżył nóż, ja nie miałem niczego. Mam niemal siedemdziesiąt lat, wie pan, a to był młody człowiek. Zdawało mi się nawet, że go rozpoznaję. To był ten ponury młodzieniec z kawiarni. Młodzieniec, którego widziałem w tłumie. Ale nie byłem pewien. W tym kraju jest tylu takich samych jak on.

Cierpienie towarzyszące tej chwili odbijało się teraz na jego twarzy. - Podejrzewam, że musiał być fizycznie sparaliżowany ze zdumienia. Umysł jego jednak pracował niezwykle sprawnie. Przebiegał myślą wszystkie niepokojące możliwości. Przyszedł mu także do głowy pomysł, by energicznie zawołać o pomoc. Ale nie uczynił tego, a przyczyna, dla której się powstrzymał, w dobrym świetle przedstawiła mi jego wewnętrzne opanowanie psychiczne. Natychmiast doszedł do wniosku, że nic nie przeszkodzi temu drugiemu, by krzyknąć w tym samym momencie.

– Ten młodzieniec mógł w każdej chwili rzucić nóż i udawać, że to ja go napadłem. Dlaczego nie? Mógł powiedzieć, że go zaatakowałem. Dlaczego nie? Jedna nieprawdopodobna historia przeciwko drugiej! Mógł powiedzieć cokolwiek – wnieść przeciwko mnie jakieś zniesławiające oskarżenie – skąd miałem wiedzieć? Sądząc po stroju, nie był zwyczajnym rzezimieszkiem. Wydawało się, że należy do lepszych klas. Co mogłem powiedzieć? On był Włochem, ja cudzoziemcem. Oczywiście, mam paszport i jest konsul, ale dać się aresztować, zaciągnąć w nocy na policję, jak jakiś złoczyńca?

Wzdrygnął się. W jego charakterze znacznie bardziej leżała potrzeba uniknięcia skandalu niż śmierci. I z pewnością dla wielu ludzi – biorąc pod uwagę pewne szczególne cechy neapolitańskich zwyczajów – przez wiele lat pozostawałoby to diabelnie dziwną historią. Hrabia nie był głupcem. Jego wierze w szacowną spokojność życia zadano srogi cios, sądził więc, że teraz już wszystko się może zdarzyć. Ale przyszła mu też do głowy myśl, że być może ten młody człowiek jest tylko wariatem w ataku furii.

To był dla mnie pierwszy sygnał jego stosunku do tej historii. W swej przesadnej delikatności uczuć żywił przekonanie, że czyny wariata niczyjej godności nie mogą narazić na szwank. Stało się jednak jasne, iż Hrabia

pozbawiony został podobnej pociechy. Opowiedział mi ze szczegółami, z jak potworną dzikością ów młodzieniec przewracał błyszczącymi oczami i zgrzytał białymi zębami. Orkiestra grała teraz wolny utwór z ponurym buczeniem puzonów i rytmicznymi uderzeniami w wielki bęben.

– No ale co pan zrobił? – zapytałem z przejęciem.

– Nic – odrzekł Hrabia. – Zwiesiłem ręce bez ruchu. Powiedziałem mu cicho, że nie zamierzam robić hałasu. Zawarczał jak pies, a potem dodał zwyczajnym głosem: „*Vostro portofolio*”.

– Więc ja naturalnie… – ciągnął Hrabia i od tego momentu cała opowieść zmieniła się w pantomimę: ze wzrokiem wbitym we mnie wykonał wszystkie ruchy sięgania do wewnętrznej kieszeni, wyjmowania i przekazywania. Ale młodzieniec, wciąż nieporuszenie trzymając nóż, odmówił dotknięcia portfela.

Polecił Hrabiemu, by sam wyjął pieniądze. Wziął je do lewej ręki, gestem kazał schować portfel z powrotem do kieszeni, a wszystko to przy słodkich trylach fletów i klarnetów, na pełnym emocji tle pomruku obojów. „Młody człowiek” – jak nieodmiennie określał go Hrabia – rzekł jednak: „To chyba mało”.

– Było tego rzeczywiście jakieś trzysta czterdzieści czy trzysta sześćdziesiąt lirów – mówił dalej Hrabia. – Jak pan wie, zostawiłem pieniądze w hotelu. Powiedziałem mu, że tyle mam przy sobie. Zniecierpliwiony potrząsnął głową i powiedział: „*Vostro orologio*”.

Hrabia odegrał przede mną niemy spektakl wyciągania i odpinania zegarka. Ale tak się akurat złożyło, że drogi, oprawny w złoto chronometr oddał był zegarmistrzowi do czyszczenia. Tego wieczoru miał (na skórzanym pasku) warty pięćdziesiąt franków Waterbury, który zwykle przypinał, kiedy szedł na ryby. Spostrzegłszy wartość swego łupu, dobrze ubrany rabuś parę razy cmoknął językiem, o tak: „Ct, ct” i machnął ręką, żeby schować zegarek. Kiedy Hrabia wkładał wzgardzony przedmiot do kieszeni, młodzieniec, dla przypomnienia wzmagając nacisk noża na nadbrzusze, zażądał: „*Vostri anelli*”.

– Jeden z pierścieni – ciągnął Hrabia – dostałem wiele lat temu od żony, drugi to sygnet mojego ojca. Powiedziałem: „Nie. Tego pan nie dostanie”.

Tutaj Hrabia odegrał gest towarzyszący tej deklaracji, kładąc jedną dłoń na drugiej i przyciskając je do piersi. Była w nim poruszająca rezygnacja. „Tego pan nie dostanie” – powtórzył twardo i zamknął oczy w zupełnym oczekiwaniu, że – nie jestem pewien, czy się nie mylę co do tego, że aż tak nieprzyjemne sformułowanie przeszło mu przez usta – w zupełnym oczekiwaniu, że zaraz poczuje, jak – naprawdę waham się przed wypowiedzeniem tego – jak pchnięcie długiego, ostrego noża, morderczo wspartego na jego brzuchu – tam, gdzie u każdego człowieka skupia się uczucie przerażenia – wypruwa mu flaki.

Szerokie fale harmonii napływały od strony orkiestry.

Nagle Hrabia poczuł, że koszmarny ucisk znikł z wrażliwego punktu. Otworzył oczy. Był sam. Niczego nie słyszał. Możliwe, że „młody człowiek” parę chwil wcześniej oddalił się cichym krokiem, a wrażenie potwornego ucisku trwało, choć noża już nie było. Ogarnęła go słabość. Miał akurat tyle czasu, by dowlec się do ławki. Czuł się tak, jakby przez długą chwilę wstrzymywał oddech. Siedział bezwładnie i dyszał ciężko pod wpływem doznanego wstrząsu.

Orkiestra z wielką brawurą wykonywała zawiły finał. Zakończyła potężnym uderzeniem. Słyszał je, nierealne i dalekie, jakby miał zatkane uszy, a zaraz potem dotarły do niego oklaski mniej więcej tysiąca par dłoni, jakby gdzieś w oddali przechodziła nagła burza gradowa. Głęboka cisza, która nastąpiła później, przywróciła mu przytomność.

Tramwaj, przypominający szklaną gablotę, w której siedzieli ludzie o jasno oświetlonych głowach, przemknął jakieś sześćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie Hrabia został napadnięty. Potem z szumem przejechał następny i zaraz kolejny, w przeciwnym kierunku. Publiczność zgromadzona wokół orkiestry rozsypała się, w alejkę wchodziły grupki ludzi. Hrabia siedział wyprostowany i starał się spokojnie przemyśleć to, co mu się właśnie przydarzyło. Było to tak obrzydliwe, że znów odebrało mu dech w piersiach. O ile mogłem się zorientować, był

zniesmaczony samym sobą. Nie mam na myśli jego zachowania. Jeśli wierzyć odegranej przede mną pantomimie, było ono po prostu doskonałe. Nie, nie w tym rzecz. Nie był zawstydzony. Był wstrząśnięty faktem, że to jego wybrano na ofiarę, i to nie tyle na ofiarę rabunku, co wzgardy. Jego spokój został bez skrupułów zbezczeszczony. Zniszczeniu uległa jego odwieczna uprzejma łagodność.

Teraz jednak, zanim zagłębiło się w nim to ostrze, zdołał powrócić do jako takiego uspokojenia umysłu. Kiedy podniecenie nieco w nim opadło, uświadomił sobie, że jest przerażająco głodny. Tak, głodny. Naga siła emocji rozbudziła w nim wilczy apetyt. Ruszył przed siebie, a po chwili marszu znalazł się – sam nie wiedział dokładnie jak – na zewnątrz parku, na wprost stojącego tramwaju. Wsiadł do pojazdu jak we śnie, wiedziony jakimś instynktem. Na szczęście w kieszeni spodni znalazł miedziaka, którym zadowolił się konduktor. Potem tramwaj stanął, a ponieważ wszyscy wysiadali, wysiadł i on. Rozpoznał Piazza San Ferdinando, ale najwyraźniej nie przyszło mu na myśl wezwać dorożkę i pojechać do hotelu. Nieszczęsny, pozostał na placu jak zgubiony pies, zastanawiając się niejasno, co zrobić, żeby natychmiast dostać coś do jedzenia.

Wtedy nagle przypomniał sobie o dwudziestofrankówce. Wyjaśnił mi, że miał tę sztukę złota od jakichś trzech lat. Nosił ją stale przy sobie jako rezerwę na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Każdemu może się zdarzyć, że zostanie okradziony, ale to całkiem co innego niż bezczelny rabunek.

Naprzeciw niego, na szczycie dostojnych schodów, wznosił się monumentalny łuk Galerii Umberto. Niezwłocznie wszedł po schodach i skierował się do Cafe Umberto. Wszystkie stoliki na zewnątrz były zajęte przez tłum raczących się napojami. Ale on chciał jeść, więc wszedł do środka kawiarni, którą przegradzają kwadratowe filary obłożone ze wszystkich stron lustrami. Hrabia usiadł na czerwonym pluszu, wsparł się o jeden z filarów i czekał na swoje risotto. Ale myślami powrócił do tej obrzydliwej historii.

Dumał o ponurym, dobrze ubranym młodzieńcu, z którym wymienił spojrzenia w tłumie przy orkiestrze i który, miał co do tego pewność, był rabusiem. Czy rozpoznałby go jeszcze? Niewątpliwie. Ale nie chciał go już nigdy oglądać. Najlepiej zapomnieć o tym upokarzającym epizodzie. Hrabia rozejrzał się niespokojnie, czy idzie jego risotto, i co zobaczył? Na lewo, pod ścianą siedział jego młody człowiek! Sam przy stoliku, przed nim butelka wina czy syropu i karafka mrożonej wody. Te gładkie oliwkowe policzki, te czerwone wargi, ten kruczoczarny wąsik, elegancko podwinięty w górę, ładne ciemne oczy, nieco przyciężkie, osłonięte długimi rzęsami, ten szczególny wyraz okrutnego niezadowolenia, który zobaczyć można tylko na popiersiach rzymskich cesarzy – to był on, Hrabia nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ale to jest typ. Hrabia pospiesznie odwrócił wzrok. Młody oficer, czytający tam dalej gazetę, jest taki sam. Ten sam typ. Tych dwóch tam dalej, grających w domino, także przypominało…

Hrabia spuścił głowę, czując w sercu strach, że już na zawsze będzie go prześladować wizja tego młodzieńca. Zaczął jeść risotto. Ale niebawem usłyszał, jak młody człowiek po lewej niecierpliwie wzywa kelnera.

Na to wezwanie nie tylko jego kelner, ale także dwaj inni od innych stolików, akurat bezczynni, rzucili się ku niemu ze służalczą skwapliwością, co generalnie nie należy do zwyczajów obsługi w Cafe Umberto. Młody człowiek coś im szepnął, a jeden z kelnerów podszedł szybko do najbliższych drzwi i zawołał w głąb galerii: „Pasquale! Hej, Pasquale!”.

Wszyscy znają Pasqualego, obdartusa, który drepce między stolikami i wciska klientom kawiarni cygara, papierosy, pocztówki, zapałki. Jest to pod wieloma względami zajmujący drań. Hrabia ujrzał, jak siwy, nieogolony zbir wchodzi do kawiarni ze szklaną gablotką zawieszoną na szyi na skórzanym pasku i raptownie przyspieszając kroku, kieruje się do stolika naszego młodego człowieka. Młodzieniec potrzebował cygara, którym Pasquale natychmiast mu służył. Stary handlarz wychodził już, kiedy Hrabia, pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu, skinął na niego.

Pasquale podszedł, uśmiech rozpoznania i szacunku mieszał się na jego twarzy z cynicznym, przenikliwym spojrzeniem. Opierając kasetę na stoliku, bez słowa podniósł wieko. Hrabia wziął paczkę papierosów i powodowany przerażającą ciekawością zapytał tonem tak obojętnym, na jaki tylko było go stać:

– Powiedz mi, Pasquale, kto to jest ten młody *signore*, o tam?

Pasquale konfidencjonalnie pochylił się nad swoim pudłem.

– To, *signor* Conde – powiedział, zabierając się gwałtownie do porządkowania swoich towarów i nie podnosząc głowy – to młody - *cavaliere* z bardzo dobrej rodziny z Bari. Studiuje tutaj i jest przewodniczącym, *capo*, stowarzyszenia młodych panów… bardzo miłych młodych panów.

Przerwał, a następnie z mieszaniną dyskrecji i dumy ze swej wiedzy wymamrotał wyjaśniająco słowo „*camorra*" i zamknął wieko kasety.

– Bardzo potężna *camorra* – mruknął na wydechu. – Nawet profesorowie bardzo się z nią liczą… *una lira e cinquanta centisimi, signor* Conde.

Nasz przyjaciel zapłacił złotą monetą. Kiedy Pasquale wydawał resztę, Hrabia zauważył, że młody człowiek, o którym w paru słowach dowiedział się tak wiele, otwarcie obserwuje całą transakcję. Stary włóczęga odszedł w ukłonach, a Hrabia rozliczył się z kelnerem i siedział bez ruchu. Ogarnęła go, powiedział mi, niemoc.

Młody człowiek także zapłacił i – pozornie po to, by przejrzeć się w lustrze – podszedł do filaru najbliżej miejsca zajmowanego przez Hrabię. Ubrany był na czarno, z ciemnozieloną muchą. Hrabia rozejrzał się wkoło i zdumiało go wrogie spojrzenie rzucane ukradkowo przez otaczających go ludzi. Młody *cavaliere* z Bari (jak twierdził Pasquale, choć Pasquale to oczywiście zawołany łgarz) poprawiał sobie muszkę, wkładał przed lustrem kapelusz, mówiąc jednocześnie na tyle głośno, by Hrabia go słyszał. Mówił przez zęby, z palącym jadem pogardy i patrzył prosto w lustro.

– Ach, więc miałeś jednak przy sobie złoto, ty stary kłamco, ty stary *birba*, ty *furfante*. Ale jeszcześmy się nie policzyli.

Diabelski wyraz zniknął z jego twarzy jak błyskawica, a młodzieniec wyszedł z kawiarni z miną smutną i obojętną.

Opowiedziawszy mi tę ostatnią scenę, biedny Hrabia, drżąc na całym ciele, opadł na fotel. Na czoło wystąpił mu pot. Ten akt przemocy miał w sobie niczym nieusprawiedliwioną bezczelność, która nawet mnie przejęła obrzydzeniem. Czym była dla delikatności Hrabiego, nawet nie umiem sobie wyobrazić. Jestem przekonany, że gdyby nie jego wyrafinowana subtelność, która nie pozwoliła mu dokonać rzeczy tak rażącej jak śmierć z powodu apopleksji na środku kawiarni, doznałby śmiertelnego udaru na miejscu. Zupełnie bez ironii: starałem się nie dać po sobie poznać całego ogromu mojego współczucia. Hrabia unikał wszelkich przesadnych wyrazów emocji, a moja litość dla niego była bezgraniczna. Nie zdziwiło mnie, gdy powiedział, że przez tydzień nie był w stanie podnieść się z łóżka. Wstał jednak, by poczynić kroki w celu opuszczenia południowych Włoch na dobre.

A przecież był przekonany, że w innym klimacie nie przeżyje nawet roku!

Żaden mój argument nie przynosił efektu. Nie był to lęk, choć raz mi powiedział:

– Nie wie pan, co to jest *camorra*, drogi panie. Jestem człowiekiem naznaczonym.

Nie obawiał się, co może mu się jeszcze przydarzyć. To poniżające doświadczenie zniszczyło delikatną koncepcję jego godności własnej. Tego nie mógł znieść. Żaden japoński dżentelmen, ugodzony w swym poczuciu honoru, nie podjąłby przygotowań do harakiri z większym rozmysłem. Powrót do domu naprawdę oznaczał dla biednego Hrabiego samobójstwo.

Jest takie powiedzenie wyrażające neapolitański patriotyzm, a przeznaczone, jak przypuszczam, na użytek przybyszów: „Zobaczyć - Neapol i umrzeć”. *Vedi Napoli e poi mori*. Jest ono wyrazem nadmiernej próżności, a wszystko, co nadmierne, było dla uprzejmej skromności biednego Hrabiego nieznośne. A jednak, kiedy odprowadzałem go na stację kolejową, miałem wrażenie, że odnosi się do pokrętnego ducha tego

powiedzenia ze szczególną wiernością. *Vedi Napoli!*… Zobaczył go! Zobaczył Neapol zaskakująco gruntownie, a teraz odjeżdża ku swemu grobowi. Odjeżdża ku niemu *train de luxe Compagnie Internationale des Wagons-Lits*, przez Triest i Wiedeń. W chwili gdy cztery długie ponure wagony ruszały ze stacji, podniosłem kapelusz z uroczystym poczuciem, że oddaję ostatni hołd orszakowi pogrzebowemu. Profil bardzo nagle postarzałego Il Conde oddalał się ode mnie w kamiennym bezruchu za rozświetloną taflą szkła – *Vedi Napoli e poi mori!*

# Tajemny towarzysz

## I

Na prawo ode mnie ciągnęły się rzędy rybackich tyczek niczym tajemniczy system zanurzonych do połowy bambusowych płotów, w niezrozumiały sposób dzielących włości tropikalnych ryb, na oko bezsensowny, jakby go porzuciło plemię wędrownych rybaków, które przemieściło się teraz gdzieś na drugi koniec oceanu, ponieważ jak okiem sięgnąć, nie było śladu ludzkich osad. Z lewej grupka nagich wysepek, sprawiających wrażenie resztek fundamentów jakichś kamiennych murów, wież i fortyfikacji usadowionych pośrodku błękitnego morza, a i morze było jakby wymurowane, tak spokojne i nieporuszone rozciągało się u moich stóp; nawet linia blasku od chylącego się ku zachodowi słońca biegła gładko, bez tego ruchliwego poblasku zdradzającego niewyczuwalną nawet bryzę. Kiedy się odwróciłem, żeby po raz ostatni spojrzeć na holownik, który właśnie pozostawił nas na kotwicy za pasem mielizn, ujrzałem prostą linię płaskiego wybrzeża, schodzącą się z nieruchomym morzem krawędź w krawędź, w doskonałym zespoleniu, bez szwu, niby jedna równa posadzka – do połowy brunatna, od połowy błękitna – pod ogromną kopułą nieba. Dwie niewielkie kępy drzew, równie jak morskie wysepki pozbawione znaczenia, wskazywały – każda po swojej stronie – jedyne zaburzenie tego nienagannego spojenia: ujście rzeki Menam, którąśmy właśnie opuścili, rozpoczynając pierwszy, przygotowawczy etap podróży powrotnej do domu. Dalej zaś, w głębi lądu, nieco większa i okazalsza kępa, czyli gaj otaczający wielką pagodę w Paknam, stanowiła jedyny obiekt, na którym spocząć mogło oko w próżnym wysiłku badające monotonny łuk horyzontu. Tu i tam pobłyski, jakby rozrzucone kawałki srebra, znaczyły zakola wielkiej rzeki; na najbliższym z nich, już

w obszarze mielizn, zniknął mi z pola widzenia kierujący się w stronę lądu holownik – kadłub, komin i maszty – jak gdyby nieporuszona ziemia połknęła go bez wysiłku, bez drgnienia. Wzrok śledził delikatny kłębek dymu, to tu, to tam nad równiną, zgodnie z błędnymi meandrami nurtu, ale bladł on coraz to bardziej i oddalał się, aż w końcu straciłem go z oczu za mitrokształtnym wzgórkiem wielkiej pagody. Wtedy zostałem sam na sam ze swoim statkiem stojącym na kotwicy przy wejściu do Zatoki Syjamskiej.

W tym początkowym punkcie długiej podróży, w olbrzymiej ciszy, statek spokojnie unosił się na wodzie, a zachodzące słońce rzucało cienie jego drzewców daleko na wschód. Na pokładach nie było w tej chwili nikogo, tylko ja. Statek nie wydawał najlżejszego dźwięku, a wokół nas nie było nawet śladu ruchu, żadnego znaku życia – ani łódki na wodzie, ani ptaka w powietrzu, ani chmurki na niebie. W takim bezdechu, w tej pauzie na progu podróży zdawało się, że obaj mierzymy siły przed długim i wyczerpującym wyczynem, przed wyznaczonym nam zadaniem, z którego mieliśmy się wywiązać z dala od ludzkich oczu, tam gdzie za publiczność i sędziów mieć będziemy tylko niebo i morze.

W powietrzu musiał być jakiś blask, który zakłócał widzenie, skoro kiedy tylko słońce nas opuściło, błądząc wzrokiem, dostrzegłem za najwyższą krawędzią głównej wysepki coś, co zniweczyło powagę doskonałej samotności. Fala ciemności napływała szybko, a rój gwiazd z tropikalną nagłością wszedł ponad cienistą ziemią, ja tymczasem nadal stałem z ręką wspartą na relingu swojego statku, niczym na ramieniu bliskiego przyjaciela. Jednak wobec mnogości ciał niebieskich spoglądających na nas z góry znikło zupełnie dobre poczucie naszego cichego zjednoczenia. Rozległy się teraz także niepokojące dźwięki – głosy, kroki; po głównym pokładzie przebiegł steward, zaaferowany duch opiekuńczy; spod pokładu rufówki zadźwięczał niecierpliwie ręczny dzwonek…

Obaj moi oficerowie czekali na mnie w oświetlonej mesie przy nakrytym do kolacji stole. Usiedliśmy od razu, a ja, podając pierwszemu oficerowi półmisek, spytałem:

– Czy wie pan, że między wysepkami stoi jakiś statek? O zachodzie widziałem topy masztów nad krawędzią lądu.

Uniósł gwałtownie prostą twarz, przesadnie obciążoną straszliwie bujnym wąsem i jak zwykle wydał z siebie serię wykrzyknień:

– Na Boga, kapitanie! Co pan powie!

Drugi oficer był okrągłolicym, cichym młodzieńcem, nad wiek poważnym, jak mi się zdawało. Gdy nasze oczy się spotkały, zauważyłem na jego wargach leciuteńkie drżenie. Od razu spuściłem wzrok. Nie miałem zamiaru brać udziału w prowokowaniu szyderstw na pokładzie statku. Trzeba zresztą zaznaczyć, że o swoich oficerach wiedziałem bardzo niewiele. Na skutek pewnych wydarzeń, które dla nikogo poza mną nie mają znaczenia, komendę powierzono mi jedynie dwa tygodnie wcześniej. Nie znałem też za dobrze załogi. Oni spędzili już razem jakieś osiemnaście miesięcy, więc to ja byłem na pokładzie obcy. Wspominam o tym, bo fakty te mają pewne znaczenie dla dalszego ciągu opowieści. Jednakże najbardziej czułem, że jestem obcy temu statkowi, a jeśli mam powiedzieć całą prawdę, to czułem się także obcy samemu sobie. Jako najmłodszy człowiek na pokładzie (wyłączywszy drugiego oficera) i dotychczas niesprawdzony na stanowisku najwyższej odpowiedzialności, gotów byłem uznać kompetencje załogi za oczywiste. Po prostu muszą być właściwymi ludźmi na właściwych stanowiskach; zastanawiałem się jednak, jak dalece sam okażę się wierny owemu ideałowi własnej osobowości, który każdy człowiek potajemnie sobie wyznacza.

Tymczasem pierwszy oficer, którego okrągłe oczy i przerażające wąsy zdradzały niemal jawne oznaki wzajemnej współpracy, próbował rozwijać teorię dotyczącą zacumowanego między wysepkami statku. Zasadniczą cechą tego człowieka była potrzeba uważnego przemyślenia wszystkich okoliczności. Umysł miał skrupulancki. Jak sam zwykł mawiać, „lubił wytłumaczyć sobie” wszystko, co tylko mu się przydarzało, łącznie z jakimś żałosnym skorpionem, którego tydzień temu znalazł w swojej kajucie. Wszelkie związane z tym zwierzęciem „dlaczego” i „jakim sposobem” – jakim sposobem znalazł się na pokładzie i dlaczego wybrał

właśnie jego kajutę, a nie na przykład spiżarnię (która jest pomieszczeniem ciemnym, a w związku z tym bardziej odpowiadającym potrzebom skorpiona), i jak, na Boga, zdołał utopić się w kałamarzu na jego biurku – zajmowały go bez końca. Statek pomiędzy wysepkami był czymś znacznie łatwiejszym do wyjaśnienia. Mieliśmy właśnie wstawać od stołu, gdy pierwszy oficer wygłosił swoje stanowisko. Statek ów, mówca nie miał wątpliwości, musiał niedawno przypłynąć z Anglii. Przypuszczalnie ma zbyt duże zanurzenie, by przekroczyć pas mielizn, chyba że przy najwyższej wodzie. Wobec czego schronił się w tej naturalnej zatoce, żeby poczekać parę dni, zamiast pozostawać na redzie.

– Tak jest – lekko chrapliwym głosem potwierdził niespodziewanie drugi oficer. – Ten statek ma dwadzieścia stóp zanurzenia. To Sephora z Liverpoolu, z ładunkiem węgla. Sto dwadzieścia trzy dni z Cardiff.

Spojrzeliśmy na niego zdumieni.

– Wiem to od szypra holownika, który był na pokładzie odebrać pana listy, sir – wyjaśnił młodzieniec. – Spodziewa się, że pojutrze pociągnie go w górę rzeki.

Oszołomiwszy nas w ten sposób zakresem swej wiedzy, wymknął się z kajuty. Pierwszy zauważył z żalem w głosie, że „nie potrafi sobie wytłumaczyć humorów tego młodego człowieka”. Bardzo ciekawe, cóż takiego powstrzymywało go, by nam o tym wszystkim od razu powiedzieć…

Zatrzymałem go w chwili, kiedy chciał wyjść. Przez ostatnie dwa dni załoga miała bardzo dużo naprawdę ciężkiej roboty, a poprzedniej nocy prawie nikt nie spał. Byłem boleśnie świadomy, że – jako obcy – czynię coś niezwyczajnego, polecając mu, by zwolnił wszystkich na spoczynek i nie wyznaczał wachty kotwicznej. Zaproponowałem, że do około pierwszej sam zostanę na pokładzie. O tej porze zluzuje mnie drugi oficer.

– O czwartej zbudzi kuka i stewarda – zakończyłem – a następnie wezwie pana. Oczywiście w razie najlżejszego nawet powiewu wiatru stawiamy załogę na nogi i ruszamy.

Ukrył zdumienie.

– Bardzo dobrze, proszę pana.

Wyszedłszy z mesy, wsadził głowę w drzwi kajuty drugiego oficera, żeby poinformować go o niesłychanym kaprysie kapitana, który chce przez pięć godzin sam pełnić wachtę. Usłyszałem, jak tamten mówi podniesionym głosem:

– Co? Sam kapitan?

Potem jeszcze jakieś mamrotanie i zatrzaśnięcie jednych, a potem drugich drzwi.

Parę chwil później wyszedłem na pokład.

Do tej niezwyczajnej decyzji skłoniło mnie poczucie obcości, przyprawiające mnie o bezsenność; jakbym się spodziewał, że podczas tych samotnych nocnych godzin dojdę do porozumienia ze statkiem, o którym wiedziałem tyle co nic, obsługiwanym przez ludzi, o których wiedziałem niewiele więcej. Przy nabrzeżu, kiedy, jak to zawsze w porcie, po statku przewalała się masa przypadkowych przedmiotów i kręciła masa przypadkowych ludzi, nawet mu się porządnie nie przyjrzałem. Teraz, gdy stał już sklarowany do wyjścia w morze, płaszczyzna głównego pokładu w świetle gwiazd wydała mi się bardzo piękna. Bardzo piękna i, jak na statek tej wielkości, obszerna, zapraszająca. Zszedłem z achterdeku na śródokręcie, a przemierzając je, przedstawiałem sobie w myślach przejście przez Archipelag Malajski, Ocean Indyjski, a potem Atlantyk. Wszystkie etapy podróży były mi dobrze znane, każda jej właściwość, wszelkie alternatywy, które czekały mnie przypuszczalnie na pełnym morzu – wszystko!… Prócz nowej dla mnie kapitańskiej odpowiedzialności. Czerpałem jednak otuchę z rozsądnej myśli, że ten statek jest taki jak inne statki, ludzie tacy jak inni ludzie, a morze nie kryje przecież żadnych szczególnych niespodzianek, które miałyby służyć wpędzeniu mnie w konsternację.

Doszedłszy do tak pocieszającego wniosku, nabrałem ochoty na cygaro, zszedłem więc po nie pod pokład. Na dole panowała cisza. Wszyscy w tyle statku spali głęboko. Wyszedłem z powrotem na achterdek, przyjemnie rozluźniony w tę ciepłą, bezwietrzną noc, w piżamie, boso, z żarzącym się

cygarem w zębach, a na spotkanie od dziobu statku wypłynęła mi cisza. Jedynie przechodząc obok drzwi do forkasztelu, usłyszałem głębokie, ciche, ufne westchnienie kogoś śpiącego. I nagle ogarnęła mnie radość z powodu owego wielkiego poczucia bezpieczeństwa, jakie morze oferuje w porównaniu z niepokojem lądu; radość, że wybrałem takie właśnie pozbawione pokus życie, które nie przynosi problemów niwecących spokój, ma w sobie fundamentalne moralne piękno płynące z absolutnej prostoty swego wdzięku i wyjątkowości swego celu.

Lampa kotwiczna na dziobie świeciła czystym, niezakłóconym – niemal symbolicznym – płomieniem, jakże pewnym i jasnym wśród nocnych cieni. Przechodząc na rufę wzdłuż drugiej burty, zauważyłem, że boczna drabinka linowa, spuszczona z pewnością dla kapitana holownika, który zjawił się wcześniej, żeby odebrać listy, nie została wciągnięta. Zirytowało mnie to, bo dokładność w sprawach drobnych jest samym sednem dyscypliny. Potem zreflektowałem się, że przecież to ja zwolniłem oficerów ze służby przed czasem, zatem to moje działanie spowodowało, iż wachta kotwiczna nie została formalnie wyznaczona, a wszystkie sprawy dokładnie doglądnięte. Zastanowiłem się, czy to mądre wtrącać się w raz ustalone reguły służby, nawet jeśli kierowałem się najszlachetniejszymi motywami. Przez to, co zrobiłem, mogłem się im wydać ekscentryczny. Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, jak też ten absurdalnie wąsaty pierwszy oficer „wytłumaczy sobie” moje zachowanie i co cały statek pomyśli o tak nieformalnym postępowaniu nowego kapitana. Byłem na siebie zły.

Na pewno nie z powodu skrupułów, ale jakby mechanicznie, zabrałem się za wybieranie drabinki. Taka boczna drabinka to rzecz lekka i wybiera się ją bez wysiłku, tymczasem energiczne pociągnięcie, od którego powinna była dosłownie wyfrunąć na pokład, niespodziewanie napotkało opór i szarpnęło moim ciałem. Ki diabeł?… Tak mnie osłupiła niemożność wyciągnięcia liny, że zamarłem, próbując wytłumaczyć to sobie, całkiem jak ten kretyn, mój pierwszy oficer. Aż wreszcie wystawiłem głowę nad reling.

Burta statku tworzyła pas matowego cienia na ciemniejącym szklistym, połyskliwym morzu. Zaraz jednak dostrzegłem coś bladego i podłużnego unoszącego się na wodzie w pobliżu drabinki. Nim zdążyłem sformułować przypuszczenie, nikły blask fosforycznego światła, którym, zdawało się, rozbłysło nagie ludzkie ciało, zalśnił w śpiącej wodzie zwodniczą, cichą grą, niczym letnia błyskawica na nocnym niebie. Stłumiłem okrzyk, a przede mną wyłoniły się stopy, para nóg, szerokie sine plecy, aż po kark zanurzone w zielonkawej, trupiej poświacie. Jedna zalewana wodą ręka zaciskała się na najniższym szczeblu drabinki. Całe ciało, ale bez głowy. Pozbawiony głowy trup! Cygaro wypadło mi z rozdziawionych ust i zatonęło z cichym pluskiem i krótkim sykiem, doskonale słyszalnym w absolutnym bezruchu wszystkiego pod niebiosami. Na ten dźwięk, tak myślę, uniósł ku mnie twarz, jak rozmyty blady owal w cieniu burty. Ale nawet wówczas z trudem rozróżniałem tam w dole kształt jego ciemnowłosej głowy. To jednak wystarczyło, by minęło owo straszliwe, mrożące odczucie, które przed chwilą ścisnęło mi pierś. Czas nadaremnych wykrzyknień także już minął. Wdrapałem się na zapasowe drzewce i wychyliłem nad relingiem tak daleko, jak tylko się dało, by znaleźć się jak najbliżej tej pływającej tuż przy statku tajemnicy.

Wisiał przy drabince niczym odpoczywający pływak, a błyski morskiej wody igrały wokół jego członków za każdym ich poruszeniem, nadając mu upiorny, srebrnawy, rybi wygląd. No i milczał jak ryba. Nie uczynił też żadnego ruchu, by wyjść z wody. Niepojęte było, że nie usiłuje wyjść na pokład, a podejrzenie, że może nie chce, budziło dziwny niepokój. Moje pierwsze słowa podyktowała właśnie ta kłopotliwa niepewność.

– Co się dzieje? – zapytałem swoim zwyczajnym tonem, zwracając się ku patrzącej w górę twarzy, która jaśniała dokładnie pode mną.

– Kurcz – odpowiedziała twarz, równie cicho. I dodała z lekkim niepokojem: – Znaczy, nie trzeba nikogo wołać.

– Nie zamierzałem.

– Jesteś sam na pokładzie?

– Tak.

Odniosłem niejasne wrażenie, że zaraz puści drabinkę i odpłynie, niepojęty i tajemniczy, tak jak się pojawił. Tymczasem to stworzenie, które zdawało się pochodzić z morskiego dna (dno niewątpliwie było lądem położonym najbliżej naszego statku), chciało tylko wiedzieć, która godzina. Powiedziałem mu. Na co on rzekł tonem przypuszczenia:

– Wasz kapitan już pewnie się położył?

– Wiem na pewno, że nie – odrzekłem.

Wyglądało, że walczy ze sobą, bo usłyszałem coś jakby cichy, gorzki szept wątpliwości.

– Na co to? – Jego dalsze słowa brzmiały pełnym wahania wysiłkiem: – Słuchaj no, człowieku. A mógłbyś go tu po cichu zawołać?

Pomyślałem, że nadszedł czas, by się ujawnić.

– To ja jestem kapitanem.

Z wody doszedł mnie szept:

– Na Jowisza!

Fosforescencja zabłysła, a woda zawirowała wokół jego ciała, kiedy drugą ręką chwycił się szczebla.

– Nazywam się Leggatt.

Głos był spokojny i pewny. Dobry głos. Opanowanie tego człowieka jakimś sposobem udzieliło się i mnie. Bardzo cichym głosem rzekłem:

– Musi pan być świetnym pływakiem.

– Tak. Jestem w wodzie praktycznie od dziewiątej. Pytanie, na które muszę sobie teraz odpowiedzieć, brzmi, czy mam puścić tę drabinkę i płynąć dalej, aż utonę z wycieńczenia, czy… czy wejść na pokład.

Czułem, że to nie są tylko słowa rozpaczy, ale realna alternatywa, przed którą staje ten silny duch. Mogłem się po tym domyślić, że jest młody; bo w istocie tylko młodzi stawiają przed sobą tak jasne idee. Wtedy jednak był to z mojej strony czysty domysł. Powstało już między nami dwoma tajemnicze porozumienie – w obliczu tego cichego, pociemniałego tropikalnego morza. I ja byłem młody, na tyle młody, by niczego nie komentować. Człowiek w wodzie nagle zaczął wspinać się po drabince, a ja pospiesznie oddaliłem się od relingu, by przynieść mu coś do ubrania.

Zanim wszedłem do kajuty, zatrzymałem się na chwilę, nasłuchując w holu na pierwszych stopniach zejściówki. Zza zamkniętych drzwi pierwszego oficera dobiegło ciche chrapanie. U drugiego drzwi były otwarte, zabezpieczone haczykiem, ale ciemność za nimi absolutnie bezdźwięczna. I on był młody, spał jak kamień. Pozostawał jeszcze steward, ale on pewnie się nie obudzi, zanim nie zostanie wezwany. Wziąłem od siebie z kajuty piżamę, a kiedy wróciłem na pokład, zobaczyłem nagiego mężczyznę z morza; siedział na głównym włazie, połyskując biało w ciemności, łokcie wsparł na kolanach, głowę podparł dłońmi. Po chwili okrył mokre ciało piżamą w takie same szare pasy jak ta, którą sam miałem na sobie, i niczym sobowtór poszedł za mną na rufę. Szliśmy razem, bosi, cisi.

– Co się dzieje? – zapytałem zmartwiałym głosem, biorąc z szafki kompasowej zapaloną lampę i unosząc ją ku jego twarzy.

– Paskudna historia.

Rysy miał dość regularne: niebrzydkie usta, jasne oczy pod jakby przyciężkawymi ciemnymi brwiami, gładkie, kwadratowe czoło, żadnego zarostu na policzkach, niewielki brązowy wąs i wyrazisty, okrągły podbródek. Wyraz jego twarzy w świetle dociekliwego blasku lampy, którą ku niemu uniosłem, był skupiony, refleksyjny, jak u człowieka długo rozmyślającego w samotności. Moja piżama leżała na nim jak ulał. Dobrze zbudowany młodzieniec, góra dwudziestopięcioletni. Przygryzł dolną wargę równymi białymi zębami.

– Tak – odezwałem się, odstawiając lampę na szafkę kompasową. Ciepła tropikalna noc ponownie zamknęła się wokół jego głowy.

– Tam stoi pewien statek – wymamrotał.

– Tak, wiem. Sephora. Wiedział pan, że my tu stoimy?

– Nie miałem pojęcia. Jestem oficerem z Se… – przerwał i poprawił się – to znaczy… byłem…

– Ach tak. Stało się coś złego?

– Owszem, coś bardzo złego. Zabiłem człowieka.

– Co pan mówi? Teraz?

– Nie, w drodze. Parę tygodni temu. Na trzydziestym dziewiątym południowym. Mówiąc człowieka…

– W afekcie… – zasugerowałem poufałym tonem.

Zacieniona, ciemna głowa, podobna do mojej, jakby skinęła niedostrzegalnie znad upiornej szarości mojej piżamy. Zdawało się, że w środku nocy stanęło oto twarzą w twarz ze mną moje własne odbicie w głębi ogromnego, złowieszczego lustra.

– Piękne wyznanie jak na chłopaka z Conwaya, nie ma co – wyszeptał wyraźnie mój sobowtór.

– Był pan na Conwayu?

– Tak – odrzekł, jakby zaskoczony. I dodał wolno: – Pan też…?

Owszem, ale ponieważ byłem parę lat starszy, skończyłem szkolenie, zanim on się zjawił na tym żaglowcu. Szybko wymieniliśmy daty i zaraz zapadła cisza; a mnie nagle przypomniał się ten absurdalny pierwszy oficer, jego przerażające wąsy oraz intelekt typu: „Na Boga, co pan powie!”. Mój sobowtór zdradził, o czym myśli, mówiąc:

– Mój ojciec jest pastorem w hrabstwie Norfolk. Wyobraża pan sobie, że staję z takim zarzutem przed sądem? Ja osobiście nie widzę takiej konieczności. Są ludzie, których anioły z nieba… ale ja taki nie jestem. A on był z tych, co to bezustannie kipią głupią złośliwością. Jeden z tych żałosnych czortów, co to nie mają po co żyć. Sam nie wykonywał swoich obowiązków i innym też nie dawał. Ale co będę gadać! Na pewno zna pan doskonale ten gatunek pokracznych, parszywych, powarkujących kundli…

Przemawiał do mnie, jakby nasze życiowe doświadczenie było identyczne jak nasze ubrania. A ja dobrze znałem zaraźliwe niebezpieczeństwo, jakie niesie tego rodzaju postać tam, gdzie nie istnieją środki przymusu prawnego. A zarazem wiedziałem też, że mój sobowtór nie jest żadnym brutalnym mordercą. Nie myślałem nawet, by wypytywać go o szczegóły, ale on w gwałtownych, urywanych zdaniach opowiedział pokrótce swoją historię. Więcej nie było mi trzeba. Ujrzałem przebieg wydarzeń, jakbym to ja sam był wewnątrz tej drugiej piżamy.

– To się stało, kiedyśmy stawiali zrefowany fok, o zmierzchu. Zrefowany fok! Rozumie pan, jaka to była pogoda. To był jedyny żagiel, któryśmy zostawili, żeby statek w ogóle szedł, no to rozumie pan, że tak było już od wielu dni. Niezbyt spokojna robota, wie pan. A on przy wybieraniu szota poczęstował mnie tą swoją przeklętą bezczelnością. Powiadam panu, wykończyła mnie ta pogoda, której końca nie było widać. Koszmar, mówię panu, i to jeszcze na tak zanurzonym statku. Zdaje mi się, że ten facet też był na skraju szaleństwa, takiego miał pietra. Tam nie było czasu na dżentelmeńskie uprzejmości, odwinąłem się i powaliłem go jak byk. A on na nogi i do mnie. Zwarliśmy się, a w tym momencie straszna fala natarła na statek. Cała załoga widziała, że nadchodzi, i przywarła do takielunku, ale ja trzymałem go za gardło i trząsłem nim, i trząsłem jak szczurem, a ludzie nad nami wrzeszczeli: „Uwaga! Uwaga!”, a wtedy trzask! – jakby mi się niebo zwaliło na głowę. Mówią, że przez dobrych dziesięć minut statku prawie nie było widać – tyle że trzy maszty, kawałek forkasztelu i achterdeku, a cała reszta zalana wodą pruła przez kłęby piany. Cud, że nas znaleźli, sczepionych ze sobą przy fokmaszcie za knechtami. Było jasne, że miałem takie, a nie inne zamiary, bo kiedy nas podnosili, jeszcze ściskałem go za szyję. Był czarny na twarzy. Tego już nie wytrzymali. Zdaje się, że gwałtem zabrali nas obu na rufę, chwycili nas tak, jakeśmy byli, i wrzeszczą: „Morderstwo!”, jak banda wariatów wdarli się do kapitańskiej mesy. A tu statek walczy o życie, cały czas na granicy, w każdej chwili może być koniec w tym morskim szaleństwie, i to takim, że od samego widoku można osiwieć. Rozumiem, że kapitan zaczął szaleć razem z nimi wszystkimi. Ten człowiek od ponad tygodnia nie spał i taka sytuacja w samym środku rozszalałej nawałnicy niemal pozbawiła go zmysłów. Zastanawiam się, czemu nie wyrzucili mnie za burtę, kiedy już wyszarpnęli trupa owego jakże cennego członka załogi z moich szponów. A mówiono mi potem, że trochę się musieli namęczyć, żeby nas rozdzielić. Nielicha historia, co? Akurat żeby wzbudzić zainteresowanie jakiegoś starego sędziego i dostojnej ławy. Pierwszą rzeczą, jaką usłyszałem, gdy doszedłem do siebie, był opętańczy ryk tej niekończącej się burzy, a nad

nim głos starego. Wisiał nad moją koją i wgapiał się we mnie spod kaptura swojej kurty. „Leggatt, zabił pan człowieka. Nie jest pan już pierwszym oficerem na tym statku”.

Tak się starał panować nad swoim głosem, że aż brzmiał matowo. Rękę wsparł na krawędzi świetlika, żeby się podtrzymać, i przez cały ten czas, o ile zauważyłem, nawet nie drgnął.

– Miła historyjka, jak znalazł na spokojną herbatkę – zakończył tym samym tonem.

Ja też jedną ręką opierałem się na krawędzi świetlika i ja także, o ile wiem, nie drgnąłem. Dzielił nas dystans nie większy niż stopa. Zaświtało mi, że gdyby „na Boga, co pan powie” włożył głowę przez luk i spojrzał na nas, pomyślałby, że ma podwójne widzenie albo że przygląda się tajemniczej scenie czarnej magii: dziwny kapitan przy kole sterowym ucina sobie pogawędkę ze swoim własnym szarym duchem. Zaczęło mi strasznie zależeć na tym, żeby uniknąć sytuacji tego rodzaju. Usłyszałem uspokajający ton w głosie tego drugiego.

– Mój ojciec jest pastorem w hrabstwie Norfolk – powiedział. Najwyraźniej zapomniał, że ten istotny fakt już mi był przekazał. Naprawdę miła historyjka.

– Lepiej niech się pan teraz wśliźnie do mojej kajuty – mruknąłem, cofając się ostrożnie. Sobowtór powtórzył moje ruchy, bosi nie czyniliśmy najmniejszego szmeru. Wpuściłem go, ostrożnie zamknąłem drzwi i, zaglądnąwszy do drugiego oficera, żeby go zbudzić, wróciłem na pokład, czekając na zmianę.

– Na wiatr to się nie bardzo zanosi – zauważyłem, kiedy drugi oficer podszedł.

– Nie. Nie za bardzo, sir – zgodził się swym chrapliwym głosem, dosłownie na granicy szacunku tłumiąc ziewnięcie.

– No więc tylko wiatru ma pan wypatrywać. Rozkazy pan zna.

Zanim odszedłem, zrobiłem jeszcze parę pętelek po rufie, patrząc, jak tamten zajmuje stanowisko, twarzą naprzód, z łokciem wspartym na wyblince między wantami bezanmasztu. Nadal rozlegało się spokojne

pochrapywanie pierwszego oficera. Lampa w mesie oświetlała stół, na którym stał wazon z kwiatami, dowód uprzejmości ze strony dostawcy zaopatrującego statek – ostatnie kwiaty, jakie przyjdzie nam oglądać przez co najmniej kolejne trzy miesiące. Z belki zwisały symetrycznie dwie kiście bananów, po jednej z każdej strony skrzynki sterowej. Wszystko na statku było jak przedtem, poza tym że dwie kapitańskie piżamy były w użyciu naraz, jedna trwała w bezruchu w mesie kapitańskiej, druga zachowywała się bardzo cicho w kapitańskim saloniku.

Należy w tym miejscu wyjaśnić, że moja kajuta miała kształt litery L, drzwi były w rogu i otwierały się na krótsze ramię pomieszczenia. Na lewo stała sofa, koja na prawo, moje biurko i stół nawigacyjny naprzeciwko drzwi. Jednak ktoś, kto otwierał drzwi, jeśli nie wszedł do środka, to nie widział tej części, którą nazywam dłuższym (czy pionowym) ramieniem litery L. Znajdowały się w niej różne schowki zwieńczone biblioteczką, na hakach wisiało trochę ubrań – parę grubych kurtek, kapelusze, płaszcz przeciwdeszczowy i temu podobne. Na końcu tej części znajdowały się drzwi prowadzące do mojej łazienki, do której można było wejść także wprost z salonu. Ale tego przejścia nigdy nie używano.

Tajemniczy przybysz odkrył już zalety szczególnego kształtu kajuty. Wszedłszy do pomieszczenia jasno oświetlonego sporą lampą grodziową na kardanie nad moim biurkiem, nigdzie go nie dostrzegłem, aż do chwili, gdy cicho wysunął się zza płaszczy wiszących w tylnej wnęce.

– Usłyszałem, że ktoś się tu rusza, i od razu się schowałem – wyszeptał.

Ja także mówiłem ściszonym głosem.

– Raczej nikt tu nie wejdzie bez pukania i mojej zgody.

Kiwnął głową. Twarz miał chudą, opalenizna na niej zblakła, jakby chorował. Nic dziwnego. Trzymano go, jak się właśnie dowiadywałem, zamkniętego przez niemal dziewięć tygodni. Ale w jego spojrzeniu i wyrazie twarzy nie było znać choroby. W istocie ani trochę nie był do mnie podobny; a jednak, kiedyśmy tak stali pochyleni nad koją, blisko siebie, szepcząc, z jedną ciemną głową przy drugiej, z dwojgiem pleców odwróconych do drzwi, to ktoś, kto miałby dość śmiałości, aby je

potajemnie otworzyć, ujrzałby niesamowity widok: podwójnego kapitana zajętego szeptaną rozmową ze swoim drugim ja.

– Ale to nadal nie wyjaśnia, jak doszło do tego, że znalazł się pan przy naszej drabince – powiedziałem, szemrając niemal niedosłyszalnie. On zaś opowiedział mi nieco więcej o przebiegu wydarzeń na pokładzie Sephory, kiedy pogoda już się poprawiła.

– Zanim ujrzeliśmy zachodni Przylądek Jawajski, miałem okazję parę razy wszystko to sobie przemyśleć. Przez sześć tygodni nie robiłem niczego innego, skoro wolno mi było wieczorem tylko około godziny chodzić po pokładzie rufowym.

Szeptał, złożone ręce oparł na krawędzi mojej koi, spoglądał przez otwarty bulaj. A ja mogłem sobie dokładnie wyobrazić, jak to sobie przemyśliwał – ten uparty, wręcz nieugięcie przeprowadzony proces, coś, do czego ja sam byłbym doskonale niezdolny.

– Wyliczyłem, że kiedy podejdziemy do lądu, powinno już być ciemno – mówił dalej tak cicho, że choć byliśmy bardzo blisko siebie i stykaliśmy się ramionami, musiałem wytężać słuch. – Więc poprosiłem o rozmowę ze starym. Kiedy przychodził do mnie, zawsze sprawiał wrażenie zbolałego, jakby nie był w stanie spojrzeć mi w twarz. Wie pan, ten fok uratował statek. Bo byliśmy za bardzo zanurzeni, żeby tak długo płynąć pod gołymi masztami. I to mnie się udało go postawić. W każdym razie stary przyszedł. Kiedy już był u mnie w kajucie – kiedy stanął w drzwiach i gapił się na mnie, jakbym już miał stryczek na szyi – poprosiłem go prosto z mostu, żeby zostawił moje drzwi niezamknięte na noc, gdy statek będzie przechodził przez Cieśninę Sundajską. Do wybrzeża Jawy, do Andżeru, miałbym wtedy jakieś dwie czy trzy mile. Tylko tyle było mi trzeba. Na drugim roku na Conwayu zdobyłem nagrodę za pływanie.

– Nic dziwnego – szepnąłem.

– Jeden Pan Bóg wie, po co mnie zamykali na noc. Patrząc na twarze niektórych, można było pomyśleć, że się boją, żebym nie wyszedł w nocy i nie zaczął dusić ludzi. Czy ja jestem mordercą? Wyglądam na mordercę? Na Jowisza! Gdyby tak było, to stary by nie wchodził z ufnością do mojej

kajuty. Przecież mógłbym cisnąć nim o ścianę i z miejsca wyskoczyć – było już ciemno. Usłyszeliby raban i rzuciliby się mnie zatrzymać, ja tymczasem nie miałem zamiaru prowokować bitki. Ktoś jeszcze mógłby zginąć, bo przecież nie wyrywałbym się tylko po to, żeby mnie z powrotem zapakowali do pudła, a na dalszą robotę tego rodzaju nie miałem ochoty. Odmówił z miną jeszcze bardziej zbolałą niż zwykle. Bał się ludzi i starego drugiego oficera, z którym pływał od lat – starego, siwego szarlatana; steward też z nim pływał czort wie jak długo, z siedemnaście lat albo i więcej, wałkoń z zasadami, który nienawidził mnie jak zarazy tylko dlatego, że to ja byłem pierwszym oficerem. Nie było dotąd pierwszego oficera, który by odbył na Sephorze więcej niż jedną podróż. Tych dwóch trzęsło statkiem. Czort jeden wie, czego ten kapitan się bał (nerwy miał w strzępach po tej piekielnej burzy, którąśmy przeżyli): może tego, co z nim zrobi wymiar sprawiedliwości, a może swojej żony. O tak, ona jest na pokładzie! Choć wydaje mi się, że akurat by się nie wtrącała. Byłaby zadowolona, gdybym po prostu jakoś zniknął ze statku. „Znamię Kaina” i tak dalej, rozumie pan? W porządku. Byłem gotów zostać tułaczem i zbiegiem na ziemi – i to by była wystarczająca cena za takiego Abla. W każdym razie stary nie chciał słuchać. „Ta sprawa musi iść swoim trybem. Jestem tu przedstawicielem prawa”. Trząsł się jak liść. „A więc nie zrobi pan tego?” „Nie”. „Zatem mam nadzieję, że będzie pan w stanie teraz zasnąć” – odezwałem się i odwróciłem do niego tyłem. A on krzyknął: „Dziwię się, że pan może spać!” – i zamknął drzwi na klucz.

– Cóż, odtąd już nie mogłem. W każdym razie nie dobrze. To było trzy tygodnie temu. Bardzo wolno szliśmy przez Morze Jawajskie, z dziesięć dni znosiło nas po cieśninie Karimata. Kiedyśmy tu zakotwiczyli, myśleli, jak przypuszczam, że wszystko jest w porządku. Naszym celem był najbliższy ląd (w odległości pięciu mil), konsul niebawem podjąłby próbę schwytania mnie, a nie miało sensu trzymać się tych wysepek. Nie sądzę, żeby była na nich choć kropla wody. Nie wiem, jak to się stało, ale dzisiaj wieczorem steward przyniósł mi kolację, wyszedł, żebym mógł zjeść, i zostawił drzwi niezamknięte. A ja zjadłem, i to wszystko, co mi przynieśli.

Kiedy skończyłem, wyszedłem sobie na pokład rufowy. Nie wiem, czy cokolwiek planowałem. Chyba chciałem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza, tak mi się zdaje. Wtedy nagle ogarnęła mnie pokusa. Zrzuciłem pantofle i byłem w wodzie, zanim jeszcze zdążyłem naprawdę podjąć decyzję. Ktoś usłyszał plusk i podniósł się straszny rwetes. „Uciekł! Spuszczać łodzie! Popełnił samobójstwo! Nie, płynie!” No pewnie, że płynąłem. Takiemu dobremu pływakowi jak ja trudno popełnić samobójstwo w wodzie. Byłem na najbliższej wysepce, zanim łódź oderwała się od burty. Słyszałem, jak kręcą się wokół mnie, nawołują w ciemności i tak dalej, ale po chwili dali spokój. Wszystko się uciszyło, na kotwicowisku zapanowała martwota. Siadłem na kamieniu i zacząłem myśleć. Miałem pewność, że o świcie znowu będą mnie szukać. Na tych kupach kamieni nie było kryjówek – a gdyby nawet, na co by mi się to zdało? Teraz jednak byłem poza statkiem i nie miałem zamiaru wracać. Dlatego po chwili rozebrałem się, zwinąłem ubrania w tobołek z kamieniem w środku i rzuciłem na głęboką wodę po zewnętrznej stronie wysepki. Jak dla mnie, to wystarczyło za samobójstwo. Niech sobie myślą, co chcą, ale ja nie zamierzałem się topić. Zamierzałem płynąć, aż pójdę na dno, a to nie jest to samo. Ruszyłem ku kolejnej wysepce, a stamtąd dojrzałem waszą latarnię kotwiczną. Cel. Płynąłem gładko, a po drodze napotkałem płaską skałę, wystającą na jakąś stopę nad powierzchnią wody. Za dnia pewnie można ją wypatrzyć przez lornetkę z waszej rufówki, tak mi się wydaje. Wdrapałem się na nią i chwilę odpocząłem. Potem znów do wody. Ostatni odcinek musiał mieć ponad milę.

Jego szept cichł stopniowo, a on przez cały czas wpatrywał się wprost w luk, przez który nie było widać nawet jednej gwiazdy. Nie przerywałem mu. W jego opowieści, a może w nim samym było coś, co uniemożliwiało wtrącenie komentarza; jakieś wrażenie, cecha, dla której trudno znaleźć określenie. Kiedy skończył, zdobyłem się jedynie na bezsensowny szept:

– A więc płynął pan na nasze światło?

– Tak. Wprost na wasze światło. To był cel. Tam w dole nie widziałem żadnych gwiazd, bo wybrzeże mi zasłaniało, a lądu też nie widziałem.

Woda była jak szkło. Jakby człowiek płynął przez jakąś przeklętą cysternę, głęboką na tysiąc stóp, bez szans, by gdziekolwiek dało się wygramolić z wody, ale tak naprawdę to nie podobała mi się myśl, że zanim się poddam, będę kręcił się w kółko jak oszalały byk; a ponieważ nie zamierzałem wracać… Nie. Widzi pan, jak mnie ściągają z powrotem za kark, kompletnie gołego, z jednej z tych wysepek, a ja rzucam się i walczę jak dzikie zwierzę? Na pewno ktoś by wtedy zginął, a ja nie miałem na to najmniejszej ochoty. No więc płynąłem dalej. A potem wasza drabinka…

– Czemu pan nie wołał? – zapytałem nieco głośniej.

Leciutko dotknął mego ramienia. Powolne kroki rozbrzmiały tuż nad nami i nagle ucichły. Drugi oficer przeszedł z przeciwnej strony rufy i było prawdopodobne, że wychylił się za reling.

– Nie mógł słyszeć, jak rozmawiamy, prawda? – mój sobowtór z niepokojem wydyszał mi w ucho.

Ten niepokój był odpowiedzią, wystarczającą odpowiedzią na pytanie, jakie mu zadałem. Odpowiedzią zawierającą całą komplikację jego położenia. Cicho zamknąłem luk, dla pewności. Głośniejsze słowo można byłoby dosłyszeć.

– Kto to? – szepnął zaraz.

– Mój drugi oficer. Ale nie wiem o nim wiele więcej niż pan.

I opowiedziałem mu o sobie. Zostałem powołany na stanowisko kapitana w chwili, kiedy najmniej spodziewałem się czegoś podobnego, niecałe dwa tygodnie temu. Nie znałem ani statku, ani ludzi. W porcie nie miałem czasu, żeby się rozejrzeć czy kogokolwiek ocenić. Co do załogi, to wiedzieli tyle, że wyznaczono mnie, żebym doprowadził statek do domu. Zresztą, stwierdziłem, byłem na pokładzie niemal tak samo obcy jak on. I w tym momencie odczułem to najdotkliwiej. Poczułem, jak niewiele trzeba, bym w oczach załogi statku stał się osobnikiem podejrzanym.

Tymczasem on się odwrócił; teraz obaj – dwaj obcy na tym statku – trwaliśmy naprzeciwko siebie w identycznych pozach.

– Wasza drabinka… – mruknął po chwili ciszy. – Któż by mógł marzyć o tym, żeby natknąć się na drabinkę zwisającą w nocy z burty statku

zacumowanego tak daleko! A właśnie wtedy poczułem nieprzyjemną słabość. Po takim życiu, jakie wiodłem przez ostatnich dziewięć tygodni, każdy by stracił kondycję. Nie miałem już siły dopłynąć nawet do waszych łańcuchów sterowych. A tu, coś niesłychanego! Drabinka, której można się chwycić! Kiedy ją złapałem, powiedziałem sobie: „Na co to?”. A potem zobaczyłem głowę wyglądającego człowieka i stwierdziłem, że odpłynę i zostawię go, żeby sobie pokrzyczał – nieważne, w jakim języku. Co mi tam, że ktoś mnie zobaczy. Nawet mi się to spodobało. Wtedy pan się odezwał do mnie tak cicho – jakby się pan mnie spodziewał – dlatego przytrzymałem się jeszcze przez chwilę. Straszna była ta samotność, a nie mówię o płynięciu. Cieszyło mnie, że mogę porozmawiać z kimś, kto nie jest z Sephory. Pytanie o kapitana to był odruch. Nie miałoby to żadnego sensu – cały statek by o mnie wiedział, więc tamci na pewno byliby tu już rano. Nie wiem: chciałem, żeby ktoś mnie zobaczył, odezwał się do mnie, zanim ruszę dalej. Nie mam pojęcia, co bym powiedział. „Miły wieczór, nieprawdaż?” albo coś w tym rodzaju…

– Myśli pan, że się tu zjawią? – zapytałem z lekkim niedowierzaniem.

– Możliwe – odrzekł słabo.

Nagle skulił się. Głowa opadła mu na ramiona.

– Hm. No to zobaczmy, co będzie. Tymczasem do łóżka – wyszeptałem. – Pomóc? No.

To była dość wysoka koja z szufladami pod spodem. Zdumiewającego pływaka naprawdę trzeba było podsadzić, przytrzymując go za nogę. Wgramolił się na górę, przewrócił na plecy i gwałtownym gestem zasłonił ramieniem oczy. Leżąc tak z twarzą niemal zasłoniętą, musiał wyglądać tak samo, jak ja wyglądałem w tym łóżku. Wpatrywałem się przez chwilę w drugiego siebie, a potem zaciągnąłem zasłonki z zielonej serży zawieszone na mosiężnym pręcie. Przez chwilę myślałem, żeby je spiąć razem dla większego bezpieczeństwa, ale usiadłem na kanapie i nagle poczułem, że nie mam już chęci wstać i szukać szpilki. Zrobię to za chwilę. Byłem straszliwie zmęczony, czułem jakieś szczególne, intymne wyczerpanie tą ukradkowością, wysiłkiem szeptania i w ogóle całym tym

tajonym podnieceniem. Godzina trzecia, a ja byłem na nogach od dziewiątej, nie czułem jednak senności; nie potrafiłbym zasnąć. Siedziałem tak, wykończony, patrząc na zielone zasłonki, starając się oczyścić umysł z wprawiającego w konfuzję poczucia, że jestem w dwóch miejscach jednocześnie, i ze strasznej udręki, o jaką przyprawiało mnie irytujące stukanie w głowie. Aż odkryłem z ulgą, że to stukanie bynajmniej nie brzmi w mojej głowie, ale na zewnątrz, przy drzwiach. Zanim zebrałem myśli, słowo: „Wejść!” wybiegło mi na usta, na co pojawił się steward z tacą mojej porannej kawy. Czyli jednak spałem, a teraz tak się przestraszyłem, że aż wykrzyknąłem:

– Tędy! Tu jestem! – jakby steward znajdował się milę ode mnie.

Steward postawił tacę na stoliku przy kanapie i dopiero wtedy bardzo cicho powiedział:

– Widzę, że pan tu jest, sir.

Poczułem, że rzuca mi dziwne spojrzenie, ale nie odważyłem się wtedy popatrzeć mu w oczy. Musiał się zastanawiać, dlaczego zaciągnąłem zasłonki przy łóżku, skoro położyłem się spać na kanapie. Wyszedł, jak zawsze mocując otwarte drzwiczki haczykiem.

Słyszałem, jak nade mną załoga szoruje pokład. Wiedziałem, że gdyby zerwał się najlżejszy wiatr, natychmiast by mi powiedziano. Cisza, pomyślałem, i poczułem podwójne rozdrażnienie. Naprawdę czułem się rozdwojony bardziej niż kiedykolwiek. Steward ponownie pojawił się w drzwiach. Poderwałem się z kanapy tak gwałtownie, że aż drgnął.

– Czego tu jeszcze chcesz?

– Zamknąć luk, proszę pana, bo myją pokład.

– Jest zamknięty – odpowiedziałem, czerwieniąc się.

– Bardzo dobrze, panie kapitanie.

Ale nie ruszył się z wejścia i przez chwilę w niezwykły, jednoznaczny sposób odwzajemniał moje spojrzenie. Potem opuścił wzrok, zmienił wyraz twarzy i głosem nadzwyczajnie łagodnym, niemal przypochlebnym spytał:

– Czy mogę wejść i zabrać pustą filiżankę, sir?

– Oczywiście. – I odwróciłem się do niego tyłem, kiedy wchodził i wychodził. Potem odhaczyłem i zamknąłem drzwi, a nawet zasunąłem skobel. To nie mogło trwać zbyt długo. Kajuta była zresztą gorąca jak piekarnik. Zerknąłem na swego sobowtóra i stwierdziłem, że nawet nie drgnął, rękę nadal miał zarzuconą na oczy; pierś mu falowała, włosy miał mokre, podbródek lśnił od potu. Sięgnąłem ponad nim i otworzyłem luk. Uświadomiłem sobie, że muszę się pokazać na pokładzie.

Jasne, że teoretycznie mogłem robić, co mi się podoba, i na całym widnokręgu nie było nikogo, kto by mógł mi się sprzeciwić; ale zamknąć kajutę i schować klucz – na to się nie odważyłem. Kiedy tylko wystawiłem głowę z luku, ujrzałem grupkę złożoną z obu oficerów, drugi boso, pierwszy w wysokich gumowcach tuż przy krawędzi rufówki, oraz stewarda stojącego w połowie drabinki rufowej, z zapałem coś do nich mówiącego. Dostrzegł moje spojrzenie i zniknął, drugi pobiegł na główny pokład, wykrzykując jakieś rozkazy, a pierwszy, dotykając czapki, podszedł, żeby się przywitać.

W jego spojrzeniu było pewne zaciekawienie, które mi się nie spodobało. Nie wiem, czy steward powiedział im, że jestem jakiś „dziwny”, czy że najzwyczajniej pijany, ale ten człowiek bez wątpienia miał ochotę dobrze mi się przyjrzeć. Obserwowałem, jak w miarę podchodzenia stabilizuje na twarzy uśmiech, aż unieruchomił nawet wąsy. Nie dałem mu czasu na otwarcie ust.

– Wyrównać reje, wybrać topenanty i brasy, zanim ludzie pójdą na śniadanie.

Był to pierwszy szczegółowy rozkaz, jaki wydałem na tym statku, i zostałem na pokładzie, żeby patrzeć, jak załoga go wykonuje. Poczułem, że niezwłocznie muszę wzmocnić swoją pozycję dowódcy. Przy tej okazji utarłem nieco nosa temu szyderczo uśmiechniętemu szczeniakowi, a poza tym mogłem dobrze przyjrzeć się każdej twarzy wachty od fokmasztu, bo idąc do tylnych brasów, paradowali wprost przede mną. Przy śniadaniu, sam nic nie jedząc, prezydowałem z tak zimną wyniosłością, że obaj oficerowie z największą ochotą umknęli do swych kajut, kiedy tylko

przyzwoitość im na to pozwoliła; ale przez cały czas dwutorowa praca mojego umysłu doprowadzała mnie niemal do szaleństwa. Nieustannie obserwowałem samego siebie, tego sekretnego siebie, zależnego od mych działań w równym stopniu co moja własna osobowość, śpiącego w łóżku tuż za drzwiami, które, siedząc u szczytu stołu, miałem dokładnie przed sobą. Zupełnie jakbym zwariował, ale gorzej, bo zachowując pełną świadomość, że wariuję.

Musiałem nim potrząsać przez dobrą minutę, ale kiedy w końcu otwarł oczy, był w pełni zmysłów, patrzył na mnie badawczo.

– Na razie wszystko dobrze – szepnąłem. – Teraz musi pan zniknąć w łazience.

Uczynił to, bezszelestnie jak duch, a wtedy zadzwoniłem na stewarda i spoglądając na niego srogo, poleciłem, żeby wysprzątał mój gabinet, podczas gdy będę brał kąpiel – „tylko sprawnie”. Jako że mój ton nie pozostawiał miejsca na dyskusję, odrzekł: „Tak jest, proszę pana”, i wybiegł po szczotki i szufelki. Wykąpałem się, poświęciłem sporo czasu na toaletę, chlapiąc wodą i pogwizdując cicho, by podbudować stewarda moralnie, tymczasem tajemny towarzysz mego życia stał wyprężony, wprasowany w tę maleńką przestrzeń; w dziennym świetle jego twarz wyglądała na bardziej zapadłą, powieki ciążyły mu pod poważną, ciemną linią brwi ściągniętych lekką zmarszczką.

Kiedy zostawiłem go tam i wróciłem do pokoju, steward kończył odkurzać. Posłałem po pierwszego oficera i zająłem go jakąś nieistotną rozmową. Jakbym troszkę chciał sobie pożartować ze straszliwego charakteru jego wąsów, ale w istocie zamierzałem dać mu możliwość dobrego rozejrzenia się po kajucie. A wtedy mogłem w końcu z czystym sumieniem zamknąć drzwi do gabinetu i przeprowadzić sobowtóra z powrotem do tylnej wnęki. Nic innego nie wchodziło w grę. Musiał siedzieć na składanym krzesełku, częściowo przykryty wiszącymi tam grubymi kurtkami. Nasłuchiwaliśmy, jak steward wchodzi do łazienki od strony salonu, napełnia butle wodą, szoruje wannę, ustawia wszystko, porządkuje, podzwania, tłucze się – wychodzi z powrotem do salonu –

przekręca klucz – klik. Taki był mój plan w kwestii niewidzialności mego drugiego ja. W tych warunkach nie dało się wymyślić niczego lepszego. I tak siedzieliśmy: ja przy biurku, gotów w każdej chwili sprawiać wrażenie szalenie zajętego jakimiś papierami, on za mną, poza zasięgiem wzroku, za drzwiami. Rozsądek nakazywał nie rozmawiać ze sobą za dnia; ja zresztą nie wytrzymałbym podniecenia, jakie budziłoby dziwne poczucie, że szepczę sam do siebie. Od czasu do czasu zerkałem za siebie i spoglądałem na niego, jak siedzi na stołeczku, bose stopy trzyma razem, ramiona zaplótł na piersi, głowa mu opadła – trwał w całkowitym bezruchu. Każdy wziąłby go za mnie.

Sam byłem tym zafascynowany. Co chwila czułem przymus spoglądania za siebie. Patrzyłem właśnie na niego, kiedy za drzwiami odezwał się głos:

– Przepraszam pana, kapitanie.

– Tak!… – Wpatrywałem się w niego, a kiedy głos zza drzwi oznajmił: – Zbliża się do nas szalupa z jakiegoś statku – dostrzegłem, że drgnął. Był to jego pierwszy ruch od paru godzin. Ale pochylonej głowy nie podniósł.

– W porządku. Spuśćcie drabinkę.

Zawahałem się. Czy mam mu coś szepnąć? Ale co? Jego bezruch zdawał się niczym niezakłócony. Czy mogłem mu powiedzieć coś, czego już nie wiedział?… W końcu wyszedłem na pokład.

## II

Kapitan Sephory miał twarz okoloną rzadkim rudym zarostem i cerę charakterystyczną dla ludzi o włosach tego koloru oraz te specyficzne, jakby rozmyte, niebieskie oczy. Nie nazwałoby się go figurą postawną: ramiona trzymał wysoko, ale postury był średniawej, jedną nogę miał nieco bardziej pałąkowatą od drugiej. Uścisnął nam dłonie, rozglądając się wokół. Jego zasadniczą cechą była, jak mi się wydało, bezduszna nieustępliwość. Okazałem mu uprzejmość, która jakby nieco zbijała go z tropu. Może był nieśmiały. Mamrotał, jak gdyby wstydził się tego, co mówi; swoje nazwisko (chyba Archbold lub jakoś tak, ale po tylu latach nie jestem

pewien, czy dobrze pamiętam) i nazwę statku podał tonem przestępcy niechętnie czyniącego smętne wyznanie. W trakcie przeprawy miał straszną pogodę – straszną – straszną – no i żona na pokładzie.

Siedzieliśmy już wtedy w kajucie, a steward przyniósł na tacy butelkę i kieliszki.

– Dziękuję. Nie.

Nie tyka alkoholu. Chętnie napije się wody. Wypił dwie szklanki. Ta robota strasznie wysusza. Od świtu przeczesuje wyspy naokoło swojego statku.

– Ale po co? Dla zabawy? – spytałem tonem uprzejmego zainteresowania.

– Nie! – westchnął. – Z przykrego obowiązku.

Jako że stale mamrotał, a ja chciałem, żeby mój sobowtór usłyszał każde słowo, wpadłem na pomysł, by mu zakomunikować, że bardzo mi przykro, ale niezbyt dobrze słyszę.

– Taki młody człowiek! – Kiwnął głową, wbijając we mnie swój rozmyty, niebieski i niezbyt inteligentny wzrok. – Z jakiej to przyczyny? Choroba? – zapytał bez śladu współczucia, jakby myślał, że dostałem, na co sobie zasłużyłem.

– Owszem, choroba – odrzekłem pogodnym tonem, który, zdawało się, wstrząsnął nim. Ale cel osiągnąłem, bo przedstawiając swoją opowieść, musiał nieco podnieść głos. Nie warto przytaczać tu jego wersji. Od samego wydarzenia minęły już dwa miesiące, a on myślał o tym tak dużo, że miał w głowie, jak można było przypuszczać, kompletny mętlik co do ich przebiegu, choć wciąż był pod ogromnym wrażeniem tego, co się stało.

– Co by pan pomyślał, gdyby coś takiego wydarzyło się na pańskim statku? Mam Sephorę pod sobą od piętnastu lat. Jestem znanym kapitanem.

Był mocno zgnębiony – i może miałbym dla niego więcej współczucia, gdybym potrafił oderwać się od obrazu swego nieoczekiwanego towarzysza w kajucie, który był jak gdyby moim drugim ja. Znajdował się przecież tuż-tuż, po drugiej stronie grodzi, nie więcej niż cztery czy pięć stóp od nas siedzących w saloniku. Patrzyłem uprzejmie na kapitana Archbolda (jeśli

tak się nazywał), ale widziałem tego drugiego, w szarej piżamie: przycupnął na stołku ze złączonymi stopami i rękami założonymi na piersiach, a każde słowo naszej rozmowy dociera do jego uszu, do tej opuszczonej na pierś ciemnej głowy.

– Byłem na morzu i za chłopaka, i jako dojrzały mężczyzna, razem już trzydzieści siedem lat, i nigdy nie słyszałem, żeby na angielskim statku zdarzyła się taka historia. I to jeszcze na moim statku. Z żoną na pokładzie.

Prawie go nie słuchałem.

– Nie sądzi pan – spytałem – że to ta rozszalała fala, która, jak pan mówił, właśnie wtedy wdarła się na pokład, po prostu zabiła tego marynarza? Widziałem, jak fala samym swym ciężarem bardzo sprawnie załatwia człowieka, po prostu łamie mu kark.

– Dobry Boże! – wykrzyknął z emfazą, wbijając we mnie wodnisty wzrok. – Fala! Człowiek zabity przez falę morską na pewno tak nie wygląda!

Wydawało się, że moja sugestia wzbudziła w nim zgrozę. Patrzyłem na niego absolutnie nieprzygotowany na to, że dowiem się czegoś oryginalnego, a on nagle tak gwałtownym ruchem zbliżył ku mnie - głowę i tak nagle wywalił język, że musiałem się odruchowo cofnąć.

Zdobywszy tym obrazowym sposobem przewagę nad moim spokojem, pokiwał głową. Zapewnił, że gdybym ujrzał taki widok, to nie zapomniałbym go, póki żyję. Pogoda była tak potworna, że nie dało się urządzić porządnego morskiego pogrzebu. Więc następnego dnia o świcie zanieśli go na rufę, zasłonili mu twarz kawałkiem płótna flagowego; on odczytał nad ciałem jakąś modlitwę, a potem, tak jak było, w płaszczu sztormowym i gumowcach, powierzyli je tym wielkim jak góry falom, które gotowe były lada chwila połknąć cały statek wraz z przerażonymi istotami na jego pokładzie.

– Ten zrefowany fok was uratował – rzuciłem.

– Na Boga, to prawda! – wykrzyknął gorączkowo. – Głęboko wierzę, że jakieś szczególne miłosierdzie pozwoliło mu przetrwać szkwały tego huraganu.

– Postawienie tego żagla… – zacząłem.

– Ręka Boska – przerwał mi. – Nic innego by tu nie pomogło. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan wiedział, że z trudem odważyłem się wydać ten rozkaz. Zdawało mi się niemożliwe, żeby tknąć się czegoś i od razu tego nie stracić, a wtedy prysłaby nasza ostatnia nadzieja.

Przerażenie tą nawałnicą nadal go nie opuściło. Pozwoliłem mu jeszcze przez chwilę mówić, a potem zauważyłem zwyczajnym tonem, jakbym wracał do pomniejszego wątku:

– Pewnie panu bardzo zależało, żeby przekazać tego oficera na brzeg, co?

Tak, w ręce prawa. Jego niejasna nieustępliwość w tej kwestii miała w sobie coś niezrozumiałego i nieco potwornego; coś jakby mistycznego, zupełnie oddzielnego od niepokoju, że zostanie podejrzany o „tolerowanie tego rodzaju czynów”. Trzydzieści i siedem lat dzielności na morzu, z czego ponad dwadzieścia w roli nienagannego kapitana, a ostatnich piętnaście na Sephorze, nałożyło na niego przecież jakieś bezlitosne zobowiązanie.

– I wie pan – mówił dalej, z zawstydzeniem grzebiąc się w swych uczuciach – to nie ja zatrudniłem tego młodzieńca. Jego rodzina miała jakieś interesy z moimi armatorami. W pewnym sensie zostałem zmuszony, by go przyjąć. Wyglądał elegancko, jak dżentelmen i tak dalej. Ale wie pan, jakoś nigdy go nie polubiłem. Ja jestem prosty człowiek. Widzi pan, to nie był ktoś, kto by całkiem pasował na pierwszego oficera na takim statku jak Sephora.

Tak ściśle połączyłem się w myślach i wrażeniach z tajemnym towarzyszem w mojej kajucie, że poczułem, jakby to mnie osobiście dawano do zrozumienia, że nie jestem człowiekiem, który by pasował na oficera na takim statku jak Sephora. Pomyślałem, że nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– To nie był ten typ człowieka. Rozumie pan – powtarzał ponad potrzebę, patrząc na mnie twardo.

Uśmiechnąłem się uprzejmie. Przez chwilę zdawał się zagubiony.

– Wygląda na to, że muszę zgłosić samobójstwo.

– Słucham?

– Samobójstwo! Tak będę musiał napisać moim armatorom, kiedy tylko dopłyniemy.

– Chyba że uda się panu odnaleźć go do jutra – zgodziłem się beznamiętnie. – To znaczy żywego.

Wymamrotał coś, czego rzeczywiście nie dosłyszałem, więc zwróciłem w jego stronę ucho. Prawie wrzasnął:

– Ląd, powiadam, stały ląd jest najmniej siedem mil od mojego kotwicowiska.

– Tak, coś takiego.

Brak przejęcia, zaciekawienia, zaskoczenia czy jakkolwiek wyrażonego zainteresowania z mojej strony zaczął w nim budzić nieufność. Ja jednak poza skutecznym odgrywaniem głuchoty nie próbowałem niczego udawać. Czułem się całkowicie niezdolny do porządnego odgrywania niewiedzy, więc bałem się nawet próbować. Byłem pewny, że ten człowiek zjawił się u mnie z gotowymi podejrzeniami, a uprzejmość z mojej strony postrzegał jako dziwną i nienaturalną. Ale jak inaczej mogłem go przyjąć? Przecież nie serdecznie! To było niemożliwe z przyczyn psychologicznych, których tu wyłuszczać nie muszę. Moim jedynym celem było powstrzymanie go od zadawania zbyt wielu pytań. Opryskliwie? Tak, ale opryskliwość mogła sprowokować pytanie wprost. Skrupulatna uprzejmość była dla tego człowieka nowością, dlatego więc, a także z samej swej natury, stanowiła metodę najlepiej skalkulowaną na wprawienie go w stan skrępowania. Istniało wszak zagrożenie, że brutalnie przedrze się przez moją linię obrony. Nie byłbym w stanie, tak myślę, przeciwstawić mu bezpośredniego kłamstwa, także z powodów psychologicznych (nie moralnych!). Gdyby on wiedział, jak bardzo obawiam się, że podda próbie moje poczucie utożsamienia z tamtym! Ale, co dziwne (przyszło mi to do głowy dopiero później), sądzę, że nie był ani trochę skonfundowany odwrotną stroną tej dziwacznej sytuacji, tym czymś we mnie, co mogłoby mu przypominać człowieka, którego poszukiwał – co by przywodziło na myśl tajemnicze

podobieństwo do tego młodzieńca, któremu nigdy nie ufał i do którego od pierwszego wejrzenia czuł niechęć.

W każdym razie milczenie nie przedłużało się zbytnio. Kapitan zrobił kolejny pozorowany krok:

– Szacuję, że do pańskiego statku miałem ze dwie mile na wiosłach. Nie więcej.

– A to całkiem wystarczy przy tym koszmarnym upale.

Nastąpiła kolejna pełna nieufności pauza. Potrzeba, mówią, jest matką wynalazków, ale strach także oferuje żyzny grunt dla genialnych sugestii. A ja bałem się, że gość zada mi wprost pytanie o drugiego mnie.

– Przyjemny salonik, prawda? – rzuciłem, jakbym dopiero teraz dostrzegł, jakim wzrokiem wodzi od jednych zamkniętych drzwi ku drugim. – I bardzo dobrze wyposażony. Tutaj na przykład – kontynuowałem, sięgając ponad oparciem fotela i niedbałym ruchem otwierając drzwi – mam łazienkę.

Gorliwie wykonał ruch, ale niemal nie spojrzał. Wstałem, zamknąłem drzwi do łazienki i zaprosiłem gościa, żeby się rozejrzał, jak gdybym był bardzo dumny ze swoich apartamentów. Musiał wstać i dać się oprowadzić, ale nie wykazywał najmniejszego zachwytu.

– A teraz pokażę panu mój gabinet – oświadczyłem tak głośno, jak tylko byłem w stanie, celowo ciężkim krokiem przechodząc przez kajutę ku sterburcie.

Poszedł za mną, rozglądając się wokoło. Mój inteligentny sobowtór zniknął. Odegrałem swoją rolę.

– Bardzo wygodny, prawda?

– Bardzo ładny. Bardzo komfo… – ale nie skończył i gwałtownie wyszedł, jakby umykał przed jakimiś moimi nieprawymi sztuczkami. Nie było mu to jednak dane. Za bardzo się bałem, by nie chcieć zemsty; czułem, że trzymam go w garści, i nie zamierzałem puszczać. Moje uprzejme naleganie musiało mieć w sobie coś z groźby, bo nagle się poddał. A ja nie darowałem mu niczego: kajuty oficerów, spiżarnia, luki towarowe, nawet bakista na żagle pod rufą – musiał zajrzeć wszędzie. Kiedy w końcu

pokazałem mu pokład rufowy, westchnął głęboko i beznadziejnie, mamrocząc posępnie, że naprawdę musi już wracać na swój statek. Wyraziłem żądanie, by mój oficer, który do nas dołączył, wezwał kapitańską łódź.

Wąsacz dmuchnął w gwizdek, który zawsze nosił zawieszony na szyi, i wrzasnął:

– Sephora odpływa!

Tam na dole, w kajucie mój sobowtór musiał to usłyszeć, ale z pewnością nie czuł ulgi większej niż ja. Czterech ludzi nadbiegło skądś od strony dziobu i wyszło za burtę, a moi ludzie, którzy także pojawili się na pokładzie, ustawili się wzdłuż relingu. Już na drabince kapitan zawahał się i tym szczególnym tonem skrupulanckiego poczucia winy próbował dojść do sedna:

– Znaczy się… pan… pan nie pomyślał…

Zagłuszyłem go, mówiąc głośno:

– Ależ skąd… jestem zachwycony. Do widzenia!

Wyobraziłem sobie, co zamierzał powiedzieć, i po prostu ratowałem się przywilejem niedosłyszenia. Był ogólnie zbyt roztrzęsiony, by nalegać, ale mój oficer, bliski świadek naszego pożegnania, wyglądał na zdumionego, a jego twarz przybrała refleksyjny wyraz. Nie chciałem robić wrażenia, że staram się unikać rozmów z oficerami, dałem mu więc okazję, żeby się do mnie odezwał.

– Robi wrażenie przyjemnego człowieka. Jego ludzie opowiedzieli naszym nadzwyczajną historię, jeśli to, co powtórzył mi steward, jest prawdą. Domyślam się, że pan ją usłyszał od kapitana.

– Owszem. Usłyszałem tę historię od kapitana.

– Straszna rzecz, prawda?

– Tak.

– Gorsza niż wszystkie te historie, które się słyszy o morderstwach na jankeskich statkach.

– Nie wiem, czy gorsza. Nie wiem, czy w ogóle do nich podobna.

– Na mą duszę, niech pan nawet tego nie mówi. Ale oczywiście ja nie mam doświadczenia z amerykańskimi statkami, więc nie mogę przeczyć pana wiedzy. Dla mnie to naprawdę koszmarne… A wie pan, co w tym wszystkim jest najdziwaczniejsze: ci faceci chyba uważali, że ten człowiek ukrywa się gdzieś u nas. Autentycznie. Słyszał pan kiedy o czymś takim?

– Niedorzeczność!

Przechadzaliśmy się tam i z powrotem po pokładzie rufowym. Nie było widać nikogo z załogi dziobowej (to była niedziela), a oficer perorował dalej:

– Wywiązała się nawet w tej sprawie jakaś sprzeczka. Nasi ludzie poczuli się urażeni. „Akurat byśmy chcieli ukrywać taką historię!” − mówili. − A może chcecie go poszukać w węglowni?” Wzięli się za czuby. W końcu jakoś to załagodzili. Przypuszczam, że musiał się utopić. A pan?

– Ja niczego nie przypuszczam.

– Nie ma pan w tej sprawie wątpliwości, kapitanie?

– Żadnych.

Zostawiłem go nagle. Czułem, że nie robię dobrego wrażenia, ale kiedy na dole przebywał mój sobowtór, pozostawanie na pokładzie było męką. Przebywanie na dole męczyło mnie niemal tak samo. Ta sytuacja wykańczała mnie nerwowo. A jednak czułem się mniej rozdarty, gdy byłem z nim. Na całym statku nie było osoby, którą odważyłbym się wciągnąć w konspirację. Skoro załoga znała już jego historię, nie mógłby uchodzić za kogoś innego, a przypadkowego odkrycia jego obecności należało się teraz lękać jeszcze bardziej niż dotąd…

Steward nakrywał akurat do obiadu, więc kiedy zszedłem na dół, z początku mogliśmy porozumieć się jedynie wzrokiem. Późniejszym popołudniem podjęliśmy ostrożną próbę szeptu. Niedzielna cisza na statku nam nie sprzyjała; nieruchomość wody i powietrza wokół nam nie sprzyjała; i żywioły, i ludzie – wszystko było przeciwko nam i naszemu sekretnemu partnerstwu; również czas – bo przecież to nie mogło trwać wiecznie. Jego winie odebrano, jak przypuszczam, nawet samą nadzieję w działanie opatrzności. Czy mam wyznać, jak bardzo przygnębiła mnie ta

myśl? A co do rozdziału z opisem wypadków, który tak wiele znaczy w każdej mającej się dobrze skończyć opowieści, mogłem tylko żywić nadzieję, że mamy go już za sobą. Jakiego bowiem szczęśliwego wypadku można by się w takiej sytuacji spodziewać?

– Słyszał pan wszystko? – to były moje pierwsze słowa, kiedyśmy już zajęli nasze zwykłe miejsce, jeden przy drugim, oparci o moje łóżko.

Słyszał. Dowodem na to był jego żarliwy szept:

– Ten człowiek powiedział panu, że z trudem zdobył się na wydanie tego rozkazu.

Zrozumiałem, że chodzi mu o ów zbawienny fok.

– Tak. Bał się, że go straci przy stawianiu.

– Zapewniam pana, on nigdy nie wydał tego rozkazu. Może myśli, że go wydał, ale nie zrobił tego. Stał ze mną na rufie, kiedy zerwało nam grotmarsel, skamlał coś o naszej ostatniej nadziei – dosłownie skamlał i nic więcej – a nadchodziła noc. Usłyszeć, jak własny kapitan biadoli przy takiej pogodzie – każdemu by to wystarczyło, żeby zwariować. Mnie to wprawiło w jakąś desperację. Wziąłem sprawę w swoje ręce, oddaliłem się od niego rozwścieczony i – ale po co ja to panu opowiadam? Pan wie! Czy myśli pan, że gdybym nie działał naprawdę ostro, zmusiłbym tych ludzi do zrobienia czegokolwiek? Ja nie! Może bosman? Może! To nie były wzburzone fale, to były fale rozszalałe! Myślę sobie, że mniej więcej tak będzie wyglądał koniec świata; człowiek ma dość siły, żeby taką rzecz zobaczyć raz i wystarczy – ale oglądać to dzień po dniu – ja nikogo nie obwiniam. Nie byłem wiele lepszy niż cała reszta. Tyle tylko, że ja jednak byłem oficerem na tym wózku z węglem…

– W pełni rozumiem – przekazałem mu wprost do ucha to szczere zapewnienie. Od szeptania stracił oddech, słyszałem, jak dyszy z lekka. Wszystko to było takie proste. Ta sama natężona siła, która dwudziestu czterem ludziom ofiarowała co najmniej szansę na przeżycie, odwinęła się, by zmiażdżyć jedno niegodne, zbuntowane istnienie.

Teraz jednak nie był mi dany spokój, by właściwie rozważyć tę sprawę – rozległy się kroki w salonie, mocne stukanie do drzwi.

– Wiatr jest na tyle silny, że można ruszać, kapitanie.

Oto odezwało się nowe wyzwanie dla moich myśli, a nawet dla moich uczuć.

– Załoga na pokład – zawołałem przez zamknięte drzwi. – Zaraz będę na deku.

Teraz miałem poznać swój statek. Zanim opuściłem kajutę, spotkały się nasze oczy – oczy jedynych obcych na pokładzie. Wskazałem głową ku tylnej części, gdzie czekało na niego rozkładane krzesełko, i położyłem palec na ustach. Zrobił ruch – dość niejasny – nieco tajemniczy i delikatnie się uśmiechnął, jakby z żalem.

Nie miejsce tu na obszerne relacjonowanie wrażeń człowieka, który po raz pierwszy czuje, że statek pod jego stopami porusza się na dźwięk wydanego przez niego niezawisłego rozkazu. W moim wypadku wrażenia te nie były niezmącone. Jako dowodzący nie byłem całkiem sam, w kajucie znajdował się przecież ten obcy. A właściwie nie byłem całkowicie i w pełni sam na sam ze statkiem. Czułem się częściowo nieobecny. To psychiczne wrażenie, że jestem w dwóch miejscach naraz, odczuwałem fizycznie, jakby nastrój tajemnicy przeniknął aż do mojej duszy. Nie minęła jeszcze godzina, odkąd statek zaczął iść, kiedy zdarzyło się, że zwracając się do oficera (który stał tuż przy mnie), by wziął namiar na pagodę, złapałem się na tym, że chcę mu to wyszeptać do ucha. Mówię, że złapałem się na tym, ale i tak dosyć mi się wymknęło, żeby ten człowiek spojrzał na mnie ze zdumieniem. Nie umiem tego inaczej opisać: po prostu się spłoszył. Od tego momentu stale zwracał się do mnie z powagą i troską, jakby wszedł w posiadanie jakiejś kłopotliwej wiedzy. Chwilę później ruszyłem do relingu, by spojrzeć na kompas, krokiem tak ukradkowym, że sternik zwrócił na to uwagę, a ja nie mogłem nie dostrzec, że oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki. To wszystko są błahostki, ale źle dla dowódcy, gdy jego podwładni podejrzewają go o niedorzeczną ekscentryczność. Miałem jednak i poważniejsze objawy. Są takie słowa i gesty, które marynarz powinien w pewnych okolicznościach wypowiadać i czynić naturalnie, odruchowo, jak mrugnięcie narażonym na zranienie okiem.

Pewne rozkazy powinny mu się pojawiać na ustach bez refleksji; pewne znaki powinny wykonać się same, jakby bez namysłu. Cała ta nieświadoma gotowość do działania mnie opuściła. Musiałem włożyć spory wysiłek woli w to, by się przywoływać z powrotem (z kajuty) do konkretnych warunków w danej sytuacji. Czułem, że przed tymi ludźmi, którzy przyglądają mi się mniej lub bardziej krytycznie, wychodzę na dowódcę niezdecydowanego.

A poza tym były i moment grozy. Drugiego dnia na przykład, schodząc po południu z pokładu (na nogach miałem słomiane pantofle), zatrzymałem się przy otwartych drzwiach spiżarni i odezwałem się do stewarda. Był czymś zajęty, odwrócony do mnie tyłem. Na dźwięk mojego głosu niemal, jak to się mówi, wyskoczył ze skóry i przy okazji zbił filiżankę.

– Co się u licha z tobą dzieje? – zapytałem zaskoczony.

Był potwornie zmieszany.

– Przepraszam pana, panie kapitanie. Byłem pewien, że jest pan u siebie.

– Ale przecież widzisz, że nie jestem.

– Nie jest pan, panie kapitanie. A mógłbym przysiąc, że przed chwilą słyszałem, jak się pan tam rusza. To przedziwne… bardzo przepraszam, panie kapitanie.

Poszedłem dalej, rozedrgany wewnętrznie. Tak byłem zjednoczony ze swoim sobowtórem, że nawet mu o tym nie wspomniałem w trakcie urywanych, pełnych obaw szeptów, któreśmy wymienili. Przypuszczam, że musiał spowodować jakiś drobny hałas. Graniczyłoby z cudem, gdyby mu się to raz na jakiś czas nie zdarzyło. A jednak, choć sprawiał wrażenie wynędzniałego, zawsze wyglądał na doskonale opanowanego, więcej niż spokojnego – niemal nieporuszonego. Zasugerowałem, by przebywał niemal wyłącznie w łazience, która generalnie była miejscem najbezpieczniejszym. Nikt nie miałby nawet śladu usprawiedliwienia, żeby chcieć do niej wchodzić, kiedy steward już ją posprzątał. Było to bardzo małe pomieszczenie. Czasem kładł się na podłodze z podkurczonymi kolanami i łokciem pod głową. Kiedy indziej znajdowałem go siedzącego na tym składanym stołeczku, w szarej piżamie, z krótkimi ciemnymi włosami, niczym cierpliwego, nieporuszonego skazańca. Nocą

szmuglowałem go do siebie do koi, gdzieśmy szeptali, słysząc nad głowami regularne kroki chodzącego tam i z powrotem oficera wachtowego. Był to naprawdę trudny czas. Szczęśliwie w schowku w gabinecie miałem parę puszek luksusowych konserw; suchy chleb zawsze mogłem jakoś dostać; i tak żył na duszonym kurczęciu, *pâté de foie gras*, szparagach, gotowanych ostrygach, sardynkach – przeróżnych paskudnych pseudodelikatesach z puszek. Moją poranną kawę zawsze wypijał on; tyle odważyłem się dla niego zrobić.

Codziennie musieliśmy organizować skomplikowane manewry, żeby mój pokój, a następnie łazienka mogły zostać zwyczajnie sprzątnięte. Zacząłem nienawidzić widoku stewarda i brzydzić się dźwiękiem głosu tego niewinnego człowieka. Czułem, że to on pierwszy mógłby dokonać odkrycia i spowodować katastrofę. Katastrofę, która jak miecz wisiała nam nad głowami.

Czwartego dnia, o ile dobrze pamiętam (posuwaliśmy się wtedy wzdłuż wschodniej ściany Zatoki Syjamskiej, halsując w lekkim wietrze i po spokojnej wodzie), czwartego dnia, jak mówię, tej żałosnej żonglerki tym, co nieuniknione, kiedyśmy siedzieli nad wieczornym posiłkiem, ten człowiek, którego najmniejszego ruchu się obawiałem, po sprzątnięciu ze stołu zaaferowany wybiegł na pokład. To nie zwiastowało jeszcze niebezpieczeństwa. Zaraz jednak pojawił się znów na dole; okazało się, że przypomniał sobie o moim płaszczu przerzuconym przez reling i schnącym po nagłym deszczu, który zmoczył nas wczoraj po południu. Zablokowany u szczytu stołu, wpadłem w przerażenie, widząc stewarda z okryciem przerzuconym przez ramię. Skierował się oczywiście do moich drzwi. Nie było chwili do stracenia.

– Steward! – zagrzmiałem. Nerwy miałem tak rozedrgane, że nie byłem w stanie zapanować nad głosem i ukryć poruszenia. To było jedno z tych zachowań, na które mój straszliwie wąsaty oficer stukał się palcem w czoło. Odkryłem, że posługiwał się tym gestem na pokładzie podczas poufnej w tonie rozmowy ze stolarzem. Byłem wówczas zbyt daleko, by usłyszeć

choć słowo, ale nie miałem wątpliwości, że ta pantomima może odnosić się jedynie do dziwnego nowego kapitana.

– Tak, panie kapitanie. – Bladolicy steward z rezygnacją odwrócił się w moją stronę. Te przyprawiające o szaleństwo ciągłe pokrzykiwania, kontrole bez przyczyny i powodu, nieuzasadnione wyganianie z kajuty, nagłe wezwania, wysyłanie go ze spiżarni w bezsensownym misjach wyraźnie pogłębiały wyraz udręczenia na jego twarzy.

– Dokąd się wybierasz z tym płaszczem?

– Do pańskiej kajuty, panie kapitanie.

– Czy znowu idzie deszcz?

– Nie mam pojęcia, panie kapitanie. Czy mam pójść na górę i zobaczyć?

– Nie, to nie ma znaczenia.

Spodziewałem się, że steward odwiesi płaszcz i od razu wyjdzie na górę. Bardzo dużo czasu mu to zajęło, ale zapanowałem nad nerwami na tyle, żeby za nim nie wołać. Nagle jednak uświadomiłem sobie (słychać to było całkiem wyraźnie), że ten facet z jakiegoś powodu otwiera drzwi do łazienki. To był koniec. W tym pomieszczeniu dosłownie nie było dość miejsca, żeby kot się obrócił. Głos zamarł mi w gardle i skamieniałem. Spodziewałem się, że zaraz usłyszę wrzask zdumienia i przerażenia, poruszyłem się, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zapanowała cisza. Czy ów drugi ja chwycił nieszczęśnika za gardło? Nie wiem, co bym zrobił w następnej chwili, gdybym nie zobaczył, jak steward wychodzi z kajuty, zamyka drzwi i spokojnie staje przy burcie. „Uratowany – pomyślałem. – Ale nie! Zginął! Przepadł! Zniknął!”

Odłożyłem nóż i widelec i opadłem na oparcie krzesła. W głowie mi się mąciło. Po chwili, odzyskawszy siły na tyle, by mówić w miarę pewnym tonem, poleciłem oficerowi, żeby sam o ósmej zrobił zwrot.

– Nie będę wychodził na pokład – kontynuowałem. – Chyba się położę i nie chcę, żeby mi przeszkadzano do północy. Jakoś marnie się czuję.

– Przed chwilą rzeczywiście wyglądał pan bladawo – zauważył pierwszy, nie okazując jednak szczególnego przejęcia.

Wyszli obaj, a ja gapiłem się na stewarda sprzątającego ze stołu. Z twarzy tego nieszczęśnika nie dało się niczego wyczytać. Dlaczego on unika mojego wzroku, pytałem sam siebie. Potem pomyślałem, że chciałbym usłyszeć ton jego głosu.

– Steward!

– Słucham, panie kapitanie! – zaskoczony jak zawsze.

– Gdzie odwiesiłeś ten płaszcz?

– W łazience, panie kapitanie – zwykły, niespokojny ton. – Bo nie całkiem wysechł.

Jeszcze chwilę posiedziałem w mesie. Czy mój sobowtór zniknął tak, jak się pojawił? Ale choć jego przybycie miało swoje wyjaśnienie, to zniknięcie byłoby niewyjaśnione… Wolno wszedłem do ciemnej kajuty, zamknąłem drzwi, zapaliłem lampę, ale przez chwilę nie miałem śmiałości się odwrócić. Kiedy to w końcu zrobiłem, ujrzałem go, jak stoi sztywno wyprostowany w wąskiej tylnej wnęce. Powiedzieć, że przeżyłem szok, byłoby przesadą, niemniej nieodparta wątpliwość co do jego cielesnego istnienia przemknęła mi przez głowę. Czy to możliwe, spytałem sam siebie, że on jest niewidzialny dla wszystkich poza mną? Czułem się, jakbym obcował z duchem. Nieruchomy, z powagą na twarzy, podniósł ku mnie ręce w geście, który w oczywisty sposób znaczył: „Boże! O mały włos!”. Istotnie, o włos. Zdaje mi się, że wówczas potajemnie zbliżyłem się do granicy szaleństwa tak bardzo, jak się da, nie przekraczając jej. Można powiedzieć, że ten gest mnie zatrzymał.

Oficer z przerażającym wąsem ustawiał teraz statek na inny kurs. W chwili głębokiej ciszy, jaka następuje po zajęciu stanowisk przez załogę, usłyszałem z rufy jego podniesiony głos:

– Do zwrotu przez sztag! – I odległy dźwięk komendy powtarzanej na głównym pokładzie. W tak lekkiej bryzie żagle tylko lekko załopotały. I ucichły. Statek pomału się obracał: we wznowionej ciszy oczekiwania wstrzymałem oddech; mogło się wydawać, że na całym pokładzie nie ma żywej duszy. Nagły ostry krzyk:

– Brasować reje na grotmaszcie! – przerwał ten czar, a wśród hałaśliwych okrzyków i ruchu ludzi biegających nam nad głową z brasem grota my dwaj tam w kajucie zeszliśmy się znów w naszym zwykłym miejscu przy łóżku.

Nie czekał na pytania.

– Usłyszałem, jak się tu kręci, i tyle, że zdążyłem rozpłaszczyć się w wannie – wyszeptał. – Facet tylko otworzył drzwi i włożył rękę, żeby powiesić płaszcz. Tak czy inaczej…

– Nie przyszło mi to do głowy – wyszeptałem w odpowiedzi, bardziej jeszcze niż przedtem przerażony, jak blisko było, i zdumiony nieugiętością charakteru, która tak subtelnie prowadziła drugiego mnie przez niebezpieczeństwa. W jego szepcie nie było podniecenia. Jeśli komuś niewiele brakowało do szaleństwa, to z pewnością nie jemu. On był w pełni zmysłów. Dowody jego trzeźwości przyniósł dalszy szept:

– Nie uda mi się wrócić do żywych.

Coś takiego mógłby powiedzieć duch. Ale on nawiązywał do niechętnie przyjętej przez jego dawnego kapitana teorii samobójstwa. Oczywiście ta teoria przysłużyłaby mu się – jeśli w pełni zrozumiałem przekonanie rządzące niezmiennym celem jego działania.

– Kiedy tylko wpłynie pan między te wysepki przy wybrzeżu Kambodży, musi mnie pan na którejś porzucić – mówił dalej.

– Porzucić pana! Przecież my nie jesteśmy w książce przygodowej dla chłopców! – zaprotestowałem. Poniosło mnie na ten jego pogardliwy szept.

– O, na pewno nie! W tej historii nie ma nic z opowieści dla chłopców. Ale nie widzę innego wyjścia. Nie chcę tego ciągnąć. Nie myśli pan chyba, że się boję tego, co może mnie spotkać. Więzienia czy galer, co tam by ich zadowoliło. Ale nie zobaczy mnie pan, jak wracam do domu, żeby te sprawy tłumaczyć jakiemuś staruszkowi w peruce i dwunastu czcigodnym rzemieślnikom. Skąd oni mogą wiedzieć, czy jestem winny albo czego jestem winny? To moja sprawa. Co mówi Biblia? „Tułacz i zbieg na ziemi”. No i świetnie, jestem właśnie zbiegiem na ziemi. Tak jak się nocą zjawiłem, tak i zniknę.

– Niemożliwe – mruknąłem. – Nie może pan.

– Nie mogę?… Oczywiście nie goły jak dusza w dzień Sądu Ostatecznego. Ta piżama do mnie przyrośnie. Dzień Ostatni jeszcze nie nadszedł, a pan wszystko zrozumiał, prawda?

Nagle się zawstydziłem. Mogę powiedzieć, że naprawdę zrozumiałem – a wahanie, czy pozwolić temu człowiekowi odpłynąć od burty mego statku, wynikało tylko z fałszywego uczucia, z pewnego tchórzostwa.

– Nie da się tego zrobić teraz, dopiero jutro w nocy – wydyszałem. – Statek jest na kursie odlądowym, a wiatr może nas zawieść.

– Póki wiem, że pan rozumie – szepnął. – A pan oczywiście rozumie. Jaka to satysfakcja znaleźć kogoś, kto rozumie. Wydaje mi się, że pan musiał się tam wtedy znaleźć celowo.

I na tym samym oddechu, tak jakby nam dwóm, kiedyśmy ze sobą szeptali, za każdym razem przychodziło mówić rzeczy, których nikt na świecie nie powinien usłyszeć, dodał:

– To naprawdę cudowne.

Pozostaliśmy tak jeden przy drugim zatopieni w potajemnej rozmowie, czasem popadając w milczenie lub tylko raz na jakiś czas wymieniając szeptem parę słów. On jak zawsze spoglądał przez luk. Od czasu do czasu podmuch wiatru omiatał nam twarze. Statek mógłby równie dobrze stać w porcie, tak łagodnie i na równej stępce szedł po wodzie, która pod jego ruchem nawet nie szemrała, cienista i cicha, niczym urojone morze.

O północy wyszedłem na pokład i ku wielkiemu zdziwieniu swojego oficera kazałem położyć statek na przeciwny hals. Straszliwe wąsiska podskakiwały wokół mnie w milczącej dezaprobacie. Z pewnością nie powinienem był tego robić, jeśli chodziło mi o jak najszybsze wyjście z tej sennej zatoki. Sądzę, że powiedział drugiemu, który go zluzował, że to było nieroztropne posunięcie. Ten tylko ziewnął. Nieznośny szczeniak snuł się tak leniwie i pokładał na relingach w tak nieprzyzwoity sposób, że powiedziałem mu ostro do słuchu.

– Czyś się pan jeszcze nie obudził?

– Owszem, obudziłem się, panie kapitanie.

– Zatem niech pan będzie uprzejmy zachowywać się tak, żeby to było widać. I proszę mieć się na baczności. Jeśli jest tu jakiś prąd, przed świtem będziemy się zbliżać do wysp.

Wzdłuż wschodniej ściany zatoki ciągnie się pasmo wysepek, niektóre pojedyncze, inne w grupkach. Na niebieskim tle wysokiego wybrzeża wyglądają tak, jakby się unosiły na srebrzystych plamach spokojnej wody, jałowe i szare albo ciemnoszmaragdowe i zaokrąglone niczym kępy wiecznie zielonych krzewów. Większe, długie na milę czy dwie, ukazują zarysy wzniesień, żebra szarej skały pod osłoną zmierzwionego listowia. Nieznane handlowcom i podróżnikom, ani nawet geografom, kryją może jakieś życie, które jest nierozwiązaną zagadką. Na tych największych muszą być wioski – przynajmniej osady rybaków – a łodzie miejscowych zapewniają pewien rodzaj komunikacji ze światem. Ale przez cały poranek, kiedyśmy się do nich zbliżali, owiewani tylko najdelikatniejszymi podmuchami, w oku lunetki, którą kierowałem ku tej rozproszonej grupce wysp, nie dostrzegłem ani śladu człowieka czy łodzi.

W południe nie dałem rozkazów zmiany kursu, a wąsiska oficera wyrażały znaczne zaniepokojenie i zdawały się przesadnie narzucać mojej uwadze. W końcu powiedziałem:

– Zamierzam podejść pod sam ląd. Blisko, tak blisko, jak tylko się da.

Spojrzenie pełne skrajnego zdumienia przydało żarliwości także jego oczom i przez moment wyglądał naprawdę niesamowicie.

– Nie idzie nam zbyt dobrze na środku zatoki – ciągnąłem niedbałym tonem – więc zamierzam dziś wieczór poszukać wiatrów lądowych.

– Na mą duszę! Czyli chce pan, panie kapitanie, wpłynąć po ciemku między te wszystkie wysepki, rafy i ławice?

– Wie pan, jeśli na tym wybrzeżu są w ogóle jakieś regularne wiatry od lądu, to trzeba podejść jak najbliżej brzegu, żeby na nie trafić, nieprawda?

– Na mą duszę! – wykrzyknął ponownie półgłosem. Przez całe popołudnie oblicze miał senne i refleksyjne, co było u niego oznaką niepokoju. Po obiedzie udałem się do gabinetu, jakbym chciał chwilę

odpocząć. Obaj pochyliliśmy ciemne głowy nad na wpół rozwiniętą mapą rozłożoną na moim łóżku.

– No więc tak – powiedziałem. – To musi być Koh-ring. Patrzyłem na nią od świtu. Ma dwa wzgórza i obniżenie terenu. Musi być zamieszkana. A na wybrzeżu naprzeciwko jest coś, co wygląda na ujście sporej rzeki, na pewno niezbyt daleko są jakieś osady. Z tego, co widzę, to jest dla pana najlepsze rozwiązanie.

– Wszystko jedno. Niech będzie Koh-ring.

Popatrzył w zamyśleniu na mapę, jakby z wielkiej wysokości oceniał szanse i odległości – i własnymi oczyma śledził samego siebie podczas wędrówki po pustym lądzie Kochinchiny, a następnie wyszedł poza ten kawałek papieru, całkiem poza zasięg wzroku, w rejony nierozrysowane. Było tak, jakby statek miał dwóch kapitanów planujących kurs. Ja byłem tak zmartwiony i tak zmęczony tym bieganiem w górę i w dół, że tego dnia brakło mi cierpliwości, żeby się ubrać. Nadal miałem na sobie piżamę, słomiane kapcie i kapelusz z miękkim rondem. Upał w zatoce był potwornie uciążliwy, a załoga już się przyzwyczaiła, że przechadzam się w takim stroju.

– Statek minie południowy cypel tym kursem, którym idzie teraz – wyszeptałem mu do ucha. – Jeden Pan Bóg wie kiedy, ale na pewno po zmroku. Podprowadzę go na pół mili, na tyle blisko, na ile będę w stanie ocenić to w ciemności…

– Niech pan będzie ostrożny – zaszemrał ostrzegawczo, a ja nagle zdałem sobie sprawę, że moja przyszłość, jedyna przyszłość, do której byłem przygotowany, na zawsze pójdzie w drzazgi, jeśli coś złego wydarzy się podczas mojego pierwszego rejsu.

Ani chwili dłużej nie mogłem zostać w kajucie. Machnąłem na niego, żeby zniknął z pola widzenia, i skierowałem się na rufę. Wachtę miał ten nieprzyjemny szczeniak. Przez chwilę chodziłem tam i z powrotem, przemyśliwując sprawy, a następnie skinąłem na niego.

– Proszę wysłać paru ludzi, żeby otwarli oba luki pokładu rufowego – powiedziałem łagodnie. A ten miał czelność, albo do tego stopnia się

zapomniał w zdumieniu wobec tak niezrozumiałego rozkazu, że aż powtórzył:

– Otworzyć luki na pokładzie rufowym! Po co, panie kapitanie?

– Jedyny powód, dla którego ma się pan przejąć tym rozkazem, jest taki, że ja go wydaję. Otworzyć je szeroko i porządnie zamocować.

Poczerwieniał i odszedł, ale przypuszczam, że ze stolarzem podzielił się szyderczymi komentarzami na temat jakże sensownej praktyki wietrzenia pokładu rufowego na statkach. Wiem, że wstąpił do kajuty pierwszego oficera, by podzielić się z nim tą wiadomością, ponieważ wąsiska wylazły na pokład, niby przypadkowo, i popatrywały na mnie z dołu – jak sądzę w celu zaobserwowania dalszych oznak szaleństwa lub pijaństwa.

Niedługo przed kolacją, czując większy niż zwykle niepokój, poszedłem na chwilę do swojego sobowtóra. Zaskoczył mnie jego widok: siedział tak spokojnie, że aż nienaturalnie, nieludzko.

Pośpiesznym szeptem przedstawiłem mu swój plan.

– Podejdę tak blisko, jak tylko się odważę, a potem zrobię zwrot. Teraz wymyślę sposób, by przeszmuglować pana stąd do schowka na żagle, który ma połączenie z holem. Ale jest takie okienko, kwadratowy otwór do wywlekania żagli na zewnątrz, który wychodzi bezpośrednio na pokład rufowy i przy dobrej pogodzie nigdy nie jest zamknięty, żeby żagle się wietrzyły. Kiedy statek stanie w linii wiatru, a cała załoga z frontu będzie przy brasach grotmasztu, będzie miał pan prostą drogę, żeby wyśliznąć się i skoczyć za burtę przez otwarte luki pokładu rufowego. Kazałem oba dobrze zahaczyć. Niech pan się spuści do wody na końcówce liny, nie może być plusku – wie pan. Ktoś mógłby usłyszeć i komplikacje gotowe.

Przez chwilę milczał, potem wyszeptał:

– Rozumiem.

– Nie będzie mnie tam, żeby pana pożegnać – zacząłem z wysiłkiem. – Co do reszty… mam tylko nadzieję, że i to zrozumiałem.

– Zrozumiał pan. Od początku do końca. – Po raz pierwszy w jego szepcie pojawiło się jakby załamanie, ślad napięcia. Chwycił mnie za

ramię, ale rozległ się dzwon na kolację i drgnąłem. On jednak nie, tyle że zwolnił uścisk.

Po kolacji zszedłem na dół dobrze po ósmej. Lekką, równą bryzę przesycała rosa, a mokre, pociemniałe żagle chwytały całą siłę napędową, jaką tylko niosła. Noc, przejrzysta i rozgwieżdżona, połyskiwała ciemno, a matowe, nieoświetlone plamy przesuwające się wolno na tle niskich gwiazd to były dryfujące wysepki. Przed dziobem mieliśmy sporą wyspę, nieco odleglejszą, zasłaniającą imponująco wielki obszar nieba.

Otwarłszy drzwi, zobaczyłem plecy drugiego siebie pochylonego nad mapą. Wyszedł z wnęki i stał teraz przy stole.

– Już dość ciemno – szepnąłem.

Cofnął się i oparł o kolę ze spokojnym, cichym wyrazem twarzy. Usiadłem na kanapie. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Nad naszymi głowami tam i z powrotem przechadzał się oficer wachtowy. Usłyszałem, że porusza się szybciej. Wiedziałem, co to znaczy. Kierował się ku świetlikowi, i w tej chwili usłyszałem jego głos pod drzwiami.

– Podpływamy bardzo szybko, kapitanie. Ląd wydaje się dość blisko.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałem. – Już wychodzę.

Poczekałem, aż opuści mesę, potem wstałem. Mój sobowtór także się poruszył. Nadszedł czas na ostatnie szepnięcia, żaden z nas nigdy nie miał usłyszeć naturalnego głosu drugiego.

– Proszę. – Otworzyłem szufladę i wyjąłem trzy suwereny. – Niech je pan weźmie. Mam sześć i dałbym panu wszystkie, tyle że muszę zostawić trochę pieniędzy, żeby kupić od tubylców owoce i warzywa dla załogi, kiedy będziemy przechodzić przez Cieśninę Sundajską.

Potrząsnął głową.

– Proszę wziąć – ponagliłem go desperackim szeptem. – Nikt nie wie, co…

Uśmiechnął się i znacząco poklepał jedyną kieszeń w piżamie. Na pewno nie była bezpieczna. Chwyciłem sporą jedwabną chustkę, zawiązałem trzy sztuki złota w rogu i wcisnąłem mu ją do ręki. Wzruszył

się, jak mi się zdawało, bo wziął ją w końcu i szybko zawiązał sobie w pasie pod bluzą, wprost na gołej skórze.

Nasze oczy spotkały się, minęło kilka sekund, wreszcie, wciąż patrząc mu w oczy, wyciągnąłem rękę i zgasiłem lampę. Następnie przeszedłem przez mesę, drzwi do swojej kajuty zostawiwszy szeroko otwarte…

– Steward!

Wciąż jeszcze przebywał w spiżarni i przed pójściem do łóżka w swej wielkiej gorliwości polerował platerową tackę. Starając się nie zbudzić oficera, którego pokój był naprzeciwko, mówiłem półgłosem.

Steward rozejrzał się zaniepokojony:

– Słucham, panie kapitanie!

– Czy możesz mi przynieść trochę gorącej wody z kambuza?

– Obawiam się, proszę pana, że ogień w kambuzie wygaszono już dobrych parę godzin temu.

– Idź i zobacz.

Wbiegł po schodach.

– Teraz! – szepnąłem głośno w stronę salonu, może zbyt głośno, ale bałem się, że nie wydam z siebie głosu. Był przy mnie w mgnieniu oka – podwójny kapitan przebiegł koło schodów, przez maleńkie ciemne przejście… zasuwane drzwi. Znaleźliśmy się w schowku na żagle, na kolanach przedzierając się przez płótna. Uderzyła mnie nagła myśl. - Ujrzałem siebie samego, jak wędruję boso, z gołą głową, a słońce wali mi w ciemną skroń. Chwyciłem swój miękki kapelusz i w ciemności usiłowałem pospiesznie wcisnąć go na głowę swego sobowtóra. Zrobił unik i opędzał się w milczeniu. Zastanawiam się, co sobie pomyślał, że mnie naszło, zanim nagle pojął i uległ. Nasze dłonie spotkały się w ciemności, przez sekundę pozostały w silnym, nieruchomym ucisku… Żaden nie szepnął słowa, kiedy się rozdzieliły.

Stałem pod drzwiami spiżarni, kiedy wrócił steward.

– Przykro mi, kapitanie. Kocioł ledwo letni. Czy mam zapalić maszynkę spirytusową?

– Nie trzeba.

Wyszedłem powoli na pokład. Teraz kwestią sumienia było podejść najbliżej jak można do lądu – bo on musi opuścić statek, kiedy tylko wejdziemy w martwy kąt. Musi! Dla niego nie było drogi odwrotu. Po chwili przeszedłem na zawietrzną i serce podeszło mi do gardła na widok tego, jak blisko na kursie był ląd. W innych okolicznościach nie czekałbym ani minuty. Drugi oficer nerwowo poszedł za mną.

Patrzyłem tak długo, aż wróciła mi władza nad głosem.

– Da sobie radę – odezwałem się cicho.

– Czy ma pan zamiar próbować tego, kapitanie? – wyjąkał z niedowierzaniem.

Nie zwróciłem na niego uwagi i podniosłem głos na tyle, żeby słyszał mnie sternik.

– Trzymać kurs.

– Tak jest, kapitanie.

Wiatr owiał mi twarz, żagle spały, świat trwał w ciszy. Napięcie wywołane widokiem ciemnej sylwety lądu, ogromniejącej i gęstniejącej przed nami, było dla mnie zbyt wielkie. Zamknąłem oczy – statek musiał jeszcze wyostrzyć. Musiał! Cisza była nie do wytrzymania. Czy już staliśmy w miejscu?

Kiedy otworzyłem oczy, serce zabiło mi jak młotem. Czarne południowe zbocze Koh-ring dosłownie wisiało nad statkiem niczym potężny kawał wiecznej nocy. Z tej olbrzymiej ściany ciemności nie docierało najmniejsze światełko, nie dochodził najlżejszy dźwięk. Sunęła na nas niepohamowanie, a przecież już wydawała się na wyciągnięcie ręki. Dojrzałem zarysy sylwetek wachty, zgrupowanych na śródokręciu, patrzących w nabożnym milczeniu.

– Podchodzi pan bliżej, kapitanie? – zapytał niepewny głos tuż obok mnie.

Zignorowałem go. Musiałem iść dalej.

– Trzymać kurs, nie kontrować. Teraz to nic nie da – odezwałem się ostrzegawczo.

– Niezbyt dobrze widzę żagle – odpowiedział sternik dziwnym, łamiącym się głosem.

Czyśmy już dość wyostrzyli? Statek znajdował się teraz nie tyle w cieniu wzgórza, ile w samej jego ciemności, jakby został połknięty, na kursie zbyt ostrym, by można się było wycofać, już poza moją kontrolą.

– Zawołać pierwszego oficera – odezwałem się do młodego człowieka, który nieruchomy jak śmierć stał przy moim łokciu – i wszystkich na pokład.

Mój głos nabrał dodatkowej mocy, bo odbił się echem od ściany lądu. Liczne głosy zawołały razem:

– Wszyscy na pokładzie, kapitanie.

Potem znów cisza, a wielki cień przysuwał się coraz bliżej, rósł coraz bardziej, bez światła, bez dźwięku. Na statku zapadło teraz takie milczenie, jakby był barką umarłych, wpływającą powoli w bramy samego Erebu.

– Mój Boże, gdzie my jesteśmy?

To pierwszy zawodził tuż pod moim bokiem. Wyglądał jak rażony gromem i, zdawało się, pozbawiony moralnego wsparcia ze strony swych wąsisk. Załamał ręce i zwyczajnie zawołał:

– To jest koniec!

– Cisza! – powiedziałem surowo.

Ściszył ton, ale widziałem cienisty gest rozpaczy.

– Co my tu robimy?

– Szukamy wiatru od lądu.

Zrobił ruch, jakby chciał rwać włosy z głowy, i zwrócił się do mnie zuchwale:

– Nie wyjdziemy już. I to pan to spowodował. Wiedziałem, że tak to się musi skończyć. Już nie damy rady, jest pan za blisko, żeby zrobić zwrot. Zniesie nas na brzeg, zanim się wykręcimy. O mój Boże!

Złapałem go za rękę, którą wznosił, by walić się po swej biednej, wiernej głowie, i potrząsnąłem nim gwałtownie.

– Już jesteśmy na brzegu! – zawodził, starając się wyrwać.

– Tak?… Trzymać tam kurs!

– Trzymać kurs, kapitanie! – zawołał sternik przerażonym, cienkim, dziecinnym głosem.

Nie puściłem ramienia wąsatego oficera i nadal nim potrząsałem.

– Do zwrotu, słyszy pan? Idzie pan na dziób – wstrząs – i zostaje tam – wstrząs – i przestaje hałasować – wstrząs – i dopilnuje, żeby porządnie wybrano szoty – wstrząs – wstrząs – wstrząs.

Przez cały ten czas nie ośmielałem się spojrzeć ku lądowi, żeby mi serce nie stanęło. W końcu zwolniłem uścisk, a on pognał na dziób, jakby grał o życie.

Zastanawiałem się, co mój sobowtór w schowku myśli o tym zamieszaniu. Wszystko słyszał – a być może pojmował, dlaczego sumienie kazało mi podchodzić tak blisko – ani kroku mniej. Mój pierwszy rozkaz „zwrot!” odbił się złowrogim echem od górującej nad nami Koh-ring, jakbym krzyknął wprost w górską przepaść. Wtedy z natężeniem wpatrywałem się w ląd. Przy tej gładkiej wodzie i lekkim wietrze nie było szans, by poczuć, jak wchodzimy w zwrot. Nie! Nie czułem tego statku! A tymczasem drugi ja szykował się właśnie do ucieczki i spuszczał za burtę na linie. A może już go nie było?…

Wielka czarna masa wisząca nam nad topami masztów zaczęła w ciszy odwracać się od burty. Teraz zapomniałem o mym tajemnym towarzyszu gotowym do skoku i myślałem tylko o tym, że jestem całkowicie obcy temu statkowi. Że go nie znam. Czy da radę? Jak trzeba z nim postępować?

Kazałem przebrasować reje i czekałem bezradnie. Przypuszczalnie stanął, a jego los zawisł w równowadze, podczas gdy czarny masyw Koh-ring, niczym brama do wiekuistej nocy, górował nad relingiem rufy. Co teraz zrobi? Czy ma jeszcze ruch? Szybko przeszedłem na burtę, ale na cienistej wodzie nie widziałem niczego, tylko delikatny fosforyczny poblask, zdradzający szklistą gładź śpiącej powierzchni. Niczego nie można było stwierdzić – a ja nie umiałem jeszcze wyczuć statku. Czy się porusza? Potrzebowałem czegoś dobrze widocznego, kawałka papieru, który mógłbym wyrzucić za burtę i obserwować. Przy sobie nie miałem nic takiego. Pobiec na dół się nie odważyłem. Nie było na to czasu. Aż nagle

mój wytężony, stęskniony wzrok dostrzegł coś białego, co unosiło się w odległości jakiegoś jarda od burty. Coś białego na czarnej wodzie. Pod tym czymś przesunął się błysk fosforescencji. Co to jest?… Rozpoznałem swój miękki kapelusz. Musiał mu spaść z głowy… a on nie zwrócił na to uwagi. Miałem to, czego mi było trzeba – zbawczy znak dla oczu. Ale teraz właściwie nie myślałem już o drugim sobie, który opuścił statek, by na zawsze ukryć się przed wszystkimi życzliwymi twarzami, by zostać uciekinierem i włóczęgą, bez piętna przekleństwa na spokojnym czole, wstrzymawszy karzącą rękę… Zbyt dumny, by się tłumaczyć.

Obserwowałem kapelusz – ten znak mojej nagłej litości nad jego ciałem. Miał mu służyć, chroniąc bezdomną głowę przed groźnym słońcem. A teraz – czy to nie dziw – ratował statek, służąc mi jako znak, wspierając mnie w mej niewiedzy i obcości. Ha! Dryfował w przód, ostrzegając mnie w samą porę, że statek porusza się wstecz.

– Ster na przeciwną – powiedziałem cicho do sternika, który stał nieruchomo jak posąg.

Oczy tego człowieka błyszczały dziko w blasku lampy kompasowej, kiedy przeskakiwał na drugą stronę i kręcił kołem.

Przeszedłem na krawędź rufówki. Na zacienionym pokładzie wszyscy ludzie stali przy brasach fokżagla, czekając na mój rozkaz. Gwiazdy przed nami ślizgiem przemieszczały się z prawa na lewo. Wszystko na świecie trwało w takiej ciszy, że dosłyszałem słowa wyszeptane z intensywną ulgą przez dwóch marynarzy:

– Przeszedł.

– Wybierać! Brasować fokreje!

Reje obracały się z głośnym zgrzytem wśród radosnych okrzyków. Teraz rozległy się także rozkazy wykrzykiwane przez przerażające wąsiska. Statek szedł już naprzód. A ja byłem z nim sam na sam. Nic! Teraz już nic i nikt na świecie nie stanie między nami, nie rzuci cienia na cichą wiedzę i milczące uczucie, doskonałe zjednoczenie człowieka morza i jego pierwszego statku.

Idąc ku relingowi na rufie, zdążyłem jeszcze dojrzeć na samej krawędzi ciemności, spod wznoszącej się masy lądu, która przypominała samo wejście do Erebu – tak! Zdołałem jeszcze dostrzec zanikającą plamkę – biały kapelusz, pozostawiony tam na oznaczenie miejsca, gdzie mój tajemny towarzysz, z którym dzieliłem kajutę i myśli, ów drugi ja, opuścił się do wody, aby odbyć swą karę: wolny człowiek, dumny pływak dążący ku swemu nowemu losowi.

# Freya z Siedmiu Wysp

## I

Pewnego dnia – a dzień ten zdarzył się wiele lat temu – otrzymałem długi, rozgadany list od jednego z moich dawnych kompanów i współwędrowców po wschodnich wodach. Wciąż tam przebywał, ale już się uspokoił, postarzał; wyobraziłem go sobie: jego dostojną sylwetkę, zamiłowania domatora, krótko mówiąc, człowieka poddanego losowi wspólnemu wszystkim z wyjątkiem tych szczególnie umiłowanych przez bogów, którzy dostają w łeb wcześnie. Był to list z gatunku „czy pamiętasz” – tęskny list od kogoś, kto spogląda wstecz. Między innymi przyjaciel mój napisał: „Na pewno pamiętasz starego Nelsona”.

Pamiętać starego Nelsona! Oczywiście. A trzeba zacząć od tego, że wcale nie nazywał się Nelson. To ten Anglik z Archipelagu nazwał go Nelsonem, bo pewnie tak mu było wygodniej, a on nigdy nie protestował. To byłaby małostkowość. Jego nazwisko tak naprawdę brzmiało Nielsen. Przybył na Wschód o wiele wcześniej, niż pojawiły się tam druty telegraficzne; pracował dla angielskich przedsiębiorstw, ożenił się z Angielką, przez lata był jednym z nas, handlował i żeglował we wszystkie strony po Archipelagu Wschodnim, wzdłuż i wszerz, na skos i na wspak, ruchem wahadłowym, półkolami, zygzakami, ósemkami.

Nie było takiego zakątka czy zakamarka tych tropikalnych wód, którego by tym swoim nadzwyczajnie pokojowym sposobem nie spenetrował przedsiębiorczy stary Nelson (czy Nielsen). Szlaki jego podróży, gdyby je wyrysować, pokryłyby jak pajęczyna mapę Archipelagu – calutkiego z jednym tylko wyjątkiem: Filipinami. W tamte strony nigdy się nie zapuszczał z powodu dziwnej obawy przed Hiszpanami, a raczej, mówiąc ściśle, przed hiszpańskimi władzami. Trudno powiedzieć, czego dokładnie

się z ich strony obawiał. Być może kiedyś w życiu czytał historie o świętej inkwizycji…

Ale on w ogóle obawiał się – jak to określał – „władz”; nie władz angielskich, którym ufał i które poważał, ale pozostałych dwu władz rządzących tą częścią świata. Holendrzy nie przerażali go aż tak jak Hiszpanie, ale ufał im jeszcze mniej. Naprawdę im nie ufał. Holendrzy, jego zdaniem, byli w stanie „wykręcić paskudny numer” każdemu, kto miał nieszczęście ich zdenerwować. Mieli te swoje prawa i zasady, ale w ich stosowaniu nie znali pojęcia *fair play*. Aż żal było patrzeć, z jaką pełną niepokoju ostrożnością Nelson rozmawiał z tym czy tamtym urzędnikiem, a trzeba pamiętać, że znany był z tego, że spokojnie i bez strachu wchodził do wioski kanibali na Nowej Gwinei (a przecież przez całe życie był pulchny i, jeśli można tak powiedzieć, sprawiał wrażenie smakowitego kąska), by omówić sprawy wymiany o wartości, która w końcu nie przekraczała pewnie pięćdziesięciu funtów.

Pamiętać starego Nelsona! No raczej! Tak naprawdę nikt z mojego pokolenia nie znał go w czasach, gdy działał z pełnym rozmachem. Za naszych czasów był już „na emeryturze”. Kupił, czy też wydzierżawił, od sułtana część wysepki w niewielkiej grupie zwanej Siedmioma Wyspami, trochę na północ od Bangki. Przypuszczam, że była to legalna transakcja, nie mam jednak wątpliwości, że gdyby był Anglikiem, Holendrzy znaleźliby jakiś powód, by wykurzyć go stamtąd bez ceremonii. W tym wypadku przydawała się właściwa forma jego nazwiska. Jako postępującemu nienagannie niepozornemu Duńczykowi, dali mu spokój. Zainwestował wszystkie pieniądze w rolnictwo, dlatego był, rzecz jasna, bardzo ostrożny, by nie rzucić na siebie nawet cienia podejrzeń, i zasadniczo to właśnie ten typ ostrożności kazał mu nieprzychylnym okiem patrzeć na Jaspera Allena. Ale o tym później. Tak! Świetnie się pamiętało wielki gościnny bungalow starego Nelsona, wzniesiony na płaskim przylądku, i dostojną sylwetkę gospodarza odzianego zazwyczaj w białą koszulę i spodnie (a miał niezmienny zwyczaj zdejmowania alpakowej kurtki przy najmniejszej okazji), jego okrągłe niebieskie oczy, potargane

piaskowobiałe wąsy, sterczące na wszystkie strony niczym kolce zaniepokojonego jeżozwierza, zwyczaj nagłego siadania i wachlowania się kapeluszem. Ale nie ma co ukrywać, że tak naprawdę to pamiętało się jego córkę, która w tym czasie przyjechała, by z nim zamieszkać – i stać się w pewnym sensie panią Wysp.

Freya Nelson (czy Nielsen) to była dziewczyna, którą się pamięta. Doskonały owal twarzy, szczęśliwe połączenie linii i rysów, wspaniała cera wywoływały wrażenie zdrowia, siły i czegoś, co można by nazwać nieświadomą pewnością siebie: najmilszą i jak gdyby kapryśną determinacją. Nie będę porównywał jej oczu do fiołków, ponieważ ich rzeczywisty odcień był wyjątkowy, nie tak ciemny i bardziej świetlisty. Były to oczy typu szeroko otwartego, które patrzyły na człowieka wprost, bez względu na nastrój. Nigdy nie widziałem tych długich ciemnych rzęs opuszczonych – domyślam się, że jako osoba uprzywilejowana Jasper je widywał – ale nie mam wątpliwości, że ich wyraz musiał być szczególnie uroczy. Mogła – jak ze wzruszająco kretyńską egzaltacją poinformował mnie kiedyś Jasper – usiąść na swoich włosach. Domyślam się, domyślam się. Ale nie dla mnie było oglądanie tych wspaniałości; ja zadowalałem się podziwianiem ich wysoko upiętych, starannie i twarzowo, bez zaburzenia pięknego kształtu głowy. Bogactwo tych włosów było tak lśniące, że przy opuszczonych zasłonach na zachodniej werandzie, gdy tworzył się tam przyjemny zmierzch, albo w cieniu zagajnika drzew owocowych przy domu, emanowały jakby własnym złocistym światłem.

Ubierała się zwykle w białą sukienkę, niezbyt długą, więc wygodną do chodzenia i odsłaniającą czyste sznurowane brązowe trzewiki. Jeśli w jej stroju pojawiał się jakiś kolor, to może odrobina błękitu. Niestraszny był jej żaden wysiłek. Widywałem ją, jak przybija do brzegu swoją dingi po długim wiosłowaniu w słońcu (sporo przemieszczała się łódką po okolicy) bez śladu przyspieszonego oddechu, bez najmniejszej ujmy dla uczesania. Rankami, kiedy wychodziła na werandę, by ponad morzem spojrzeć na zachód, w stronę Sumatry, wyglądała świeżo i lśniła jak kropla rosy. Ale kropla rosy znika, Freya tymczasem nie miała w sobie niczego znikliwego.

Pamiętam jej okrągłe, mocne ramiona o delikatnych nadgarstkach i szerokie, sprawne dłonie o smukłych palcach.

Właściwie nie wiem, czy urodziła się na morzu, wiem jednak, że do dwunastego roku życia pływała ze swoimi rodzicami na różnych statkach. Kiedy stary Nelson stracił żonę, trapił się mocno, co zrobić z dziewczynką. Pewna uprzejma dama w Singapurze, poruszona jego niemym smutkiem i rozpaczliwym niepokojem, podjęła się opieki nad Freyą. Układ ten trwał około sześciu lat. W tym czasie stary Nelson (czy Nielsen) „przeszedł na emeryturę" i osiadł na wyspie, a wtedy ustalono (poza tym owa uprzejma dama wyjeżdżała do Europy), że córka zamieszka teraz z nim. Pierwszym i najważniejszym elementem przygotowania na jej przybycie było zamówienie przez starego u agenta w Singapurze pianina marki Stein i Eberhard. Byłem wówczas kapitanem niewielkiego parowca handlowego, który pływał między wyspami, i akurat na mnie spadło dostarczenie tego pianina, wiem zatem co nieco o instrumencie Frei. Nie bez trudności wciągnęliśmy potężną skrzynię na płaską skałę wśród jakichś zarośli, niemal pozbawiając jedną z moich łodzi dna w trakcie tej morskiej operacji. W końcu, przy udziale całej mojej załogi, w tym mechaników i strażaków, wykorzystując niemałą dozę wynalazczości, jak również za pomocą rolek, lewarów, bloków oraz pochylni z natartych mydłem desek, trudząc się w słońcu jak starożytni Egipcjanie przy budowie piramidy, wytargaliśmy to pudło aż pod dom i wepchnęliśmy na krawędź zachodniej werandy – która zasadniczo spełniała funkcję salonu. Tam, gdy deski skrzyni zostały delikatnie oderwane, wreszcie ukazał się naszym oczom ten piękny potwór z drzewa różanego. Pełni przejęcia przesunęliśmy instrument pod ścianę i po raz pierwszy tego dnia odetchnęliśmy swobodnie. To był z pewnością najcięższy obiekt ruchomy na tej wysepce od chwili stworzenia świata. Natężenie dźwięku, jaki pianino wydawało poza bungalow (działający jak pudło rezonansowe), było naprawdę zdumiewające. Rozbrzmiewał słodko ponad morzem. Jasper Allen powiedział mi kiedyś o świcie na pokładzie Bonito (swojego fantastycznie szybkiego i pięknego brygu), że wyraźnie słyszy Freyę ćwiczącą gamy. Ale on zawsze rzucał kotwicę bezmyślnie

blisko przylądka, za co go nieraz strofowałem. Oczywiście, że morza są tutaj niemal spokojne, a Siedem Wysp to wyjątkowo ciche i bezchmurne miejsce. Od czasu do czasu jednak jakaś popołudniowa burza znad Bangki, albo nawet jeden z tych nieprzyjemnych mocnych szkwałów od dalekiego brzegu Sumatry nagle rzucał się na wysepki i na parę godzin otaczał je trąbami powietrznymi i wyjątkowo przykrym niebiesko-czarnym zmrokiem. Wtedy, przy opuszczonych ratanowych zasłonach, które tłukły się rozpaczliwie na wietrze, a cały bungalow dygotał, Freya siadała przy pianinie i w błyskach oślepiających błyskawic grała burzliwe utwory Wagnera, a wkoło waliły pioruny, aż włosy stawały człowiekowi na głowie. Jasper zaś siedział nieruchomo, najwyraźniej podziwiając od tyłu jej giętką kołyszącą się sylwetkę, cudowny połysk jej jasnej głowy, szybkie dłonie na klawiszach, biały kark, tymczasem jego bryg w dole przy przylądku miotał się na łańcuchach najwyżej sto jardów od paskudnych lśniących czarnych skał. Ech!

I to, proszę ja kogo, bez żadnego powodu poza tym jednym, że kiedy wieczorem wróci na pokład i przyłoży głowę do poduszki, poczuje, że jest najbliżej jak tylko można swej Frei, śpiącej w bungalowie. Wyobrażacie sobie! A tak w ogóle ten bryg miał być przyszłym domem – ich domem – pływającym rajem, który Jasper stopniowo szykował, niczym żaglowiec, na którym w zachwyceniu wraz z Freyą przemierzy życie. Imbecyl! Ale ten facet zawsze igrał z losem.

Któregoś dnia, dobrze to pamiętam, stałem obok Frei na werandzie i patrzyłem, jak bryg zbliża się do przylądka od północy. Przypuszczam, że Jasper już dostrzegł dziewczynę przez lunetkę. Co więc robi? Zamiast zostać z półtorej mili dalej przy płyciźnie, a następnie przyhalsować do kotwicowiska jak porządny żeglarz, ten wariat dopatruje się przesmyku między dwoma obrzydliwymi, starymi i postrzępionymi kawałami rafy, nagle opuszcza ster i przeciska tamtędy statek, aż żagle mu się trzęsą i tłuką tak, że hałas słychać u nas na werandzie. Wciągnąłem powietrze, a Freya zaklęła. Tak! Zacisnęła te swoje zgrabne dłonie w pięści, tupnęła brązowym trzewikiem i rzuciła:

– Cholera!

I zaraz, patrząc nad mnie z lekkim rumieńcem – niewielkim – powiedziała:

– Zapomniałam, że pan tu jest – i zaśmiała się. Oczywiście, oczywiście. Kiedy Jasper był na horyzoncie, nie należało się spodziewać, by pamiętała, że jest przy niej ktokolwiek inny. W obliczu tego szaleństwa nie mogłem się powstrzymać, by nie odwołać się do współczucia jej zdrowego rozsądku:

– Co za idiota! – powiedziałem z przejęciem.

– Kompletny – zgodziła się ciepło, patrząc wprost na mnie szeroko otwartymi, żarliwymi oczyma i ze zwiastującym uśmiech dołeczkiem w policzku.

– A robi to tylko po to, żeby przyspieszyć spotkanie z panią o całe dwadzieścia minut.

Usłyszeliśmy, jak kotwica idzie w dół, a wtedy ona zrobiła się bardzo rezolutna i groźna.

– Niech pan poczeka. Dam mu nauczkę.

Weszła do swojej sypialni i zamknęła drzwi, zostawiając mnie na werandzie samego z poleceniami. Na brygu jeszcze nie zwinięto żagli, a Jasper już wbiegał na górę po trzy stopnie naraz, zapomniał powiedzieć „dzień dobry” i tylko rozglądał się na prawo i lewo.

– Gdzie Freya? Nie było jej tu przed chwilą?

Kiedy mu oświadczyłem, że został pozbawiony przywileju obecności panny Frei na całą długą godzinę, „żeby mu dać nauczkę”, stwierdził, że to na pewno ja ją do tego namówiłem, w związku z czym obawia się, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie mnie musiał zastrzelić. Freya i ja coś za dużo ze sobą przebywamy. Potem rzucił się na krzesło i usiłował opowiedzieć mi o podróży. Ale najśmieszniejsze było, że ten gość naprawdę cierpiał. Widziałem to. Głos mu wiązł w gardle, siedział więc w milczeniu, wgapiając się w jej drzwi z twarzą pełną boleści. Naprawdę… A kolejna, jeszcze śmieszniejsza rzecz była taka, że nie minęło nawet dziesięć minut, a ta dziewczyna już wyszła ze swojego pokoju. Wtedy sobie poszedłem. To znaczy poszedłem zobaczyć się ze starym Nelsonem (czy

Nielsenem) na tylnej werandzie, która była jego własnym, prywatnym zakamarkiem w tym domu, po to, aby zająć go uprzejmą rozmową, byleby tylko nie zaczął się kręcić po posesji i nie wszedł niechcący tam, gdzie akurat w tej chwili nie był mile widziany.

Stary wiedział, że bryg przypłynął, choć nie był świadom, że Jasper już jest u jego córki. Myślę, że wydawało mu się to niemożliwe w tak krótkim czasie. Jak to ojciec. Domyślał się oczywiście, że Allen umizguje się do Frei – z tego zdawały sobie sprawę ptaki w powietrzu, ryby w morzu, większość handlarzy na Archipelagu i wszelkiego autoramentu mieszkańcy Singapuru. Nie doceniał jednak, jak bardzo dziewczyna jest w nim zadurzona. Był przekonany, że Freya ma za dużo rozumu w głowie, żeby w ogóle w kimś się zadurzyć – to znaczy aż tak niewyobrażalnie mocno. Nie; to nie to kazało mu w czasie wizyt Jaspera siedzieć na tylnej werandzie i zamartwiać się w ten niepozorny sposób. On zamartwiał się jedynie holenderskimi „władzami”. Prawdą było bowiem, że Holendrzy ciekawie przypatrywali się poczynaniom Jaspera Allena, właściciela i kapitana brygu Bonito. Uważali, że jest zbyt przedsiębiorczy. Nic mi nie wiadomo, by robił coś niezgodnego z prawem, ale myślę, że jego wielka aktywność wydawała się odrażająca z perspektywy ich powściągliwego charakteru i powolnych metod działania. W każdym razie stary Nelson uważał kapitana brygu za sprawnego żeglarza i miłego młodzieńca, ale ogólnie rzecz biorąc niekoniecznie za pożądanego znajomego. Był dla niego nieco, rozumiecie, kompromitujący. Z drugiej strony nie bardzo chciał powiedzieć Jasperowi wprost, żeby się trzymał od nich z daleka. Biedny stary Nelson sam był przyzwoitym człowiekiem. Przypuszczam, że byłby zakłopotany nawet wtedy, gdyby miał sprawić przykrość jakiemuś kudłatemu kanibalowi, no chyba żeby ktoś go mocno sprowokował. Mówię o uczuciach, nie o ciałach. Bo jeśli chodzi o włócznie, noże, topory, pałki czy strzały, to tu stary Nelson nie raz pokazał, że daje radę. Ale pod każdym innym względem duszę miał bojaźliwą. No więc siedział na tylnej werandzie z zafrasowaną miną, a kiedy docierały do niego głosy córki i Jaspera Allena, nadymał

policzki i wypuszczał powietrze, wydając z siebie ponury świst, niczym ktoś strasznie zmęczony.

Ja oczywiście wyśmiewałem te lęki, z których mi się mniej lub bardziej zwierzał. Liczył się do pewnego stopnia z moim zdaniem i czuł do mnie pewien szacunek, lecz nie z powodu moich przymiotów moralnych, tylko dlatego że podobno miałem dobre układy z holenderskimi „władzami". Skądinąd wiedziałem z pewnością, że jego największy postrach, gubernator Bangki – uroczy, krewki, serdeczny emerytowany kontradmirał – darzył Nelsona wyraźną sympatią. To pocieszające zapewnienie, które zawsze mu przedstawiałem, rozjaśniało na chwilę twarz Nelsona (czy Nielsena); ale koniec końców i tak kiwał głową, dając do zrozumienia, że wszystko ładnie pięknie, ale w holenderskim urzędniku tkwi głębia, której nikt poza nim samym nigdy nie zmierzył. Kompletne błazeństwo.

Przy tej okazji, o której opowiadam, stary Nelson był wręcz roztrzęsiony; przez jakiś czas starałem się go zabawić opowiadaniem o pewnej śmiesznej, a wręcz skandalicznej przygodzie, jaka przytrafiła się naszemu wspólnemu znajomemu w Sajgonie, gdy on nagle wykrzyknął:

– Po co ten czort się tu kręci?!

Najwyraźniej z mojej anegdoty nie usłyszał nawet słówka. To mnie zirytowało, bo anegdota była naprawdę dobra. Popatrzyłem na niego twardo.

– Proszę, proszę, pan nie wie, po co Jasper Allen tu przypływa?

Wtedy po raz pierwszy zrobiłem aluzję do tego, jak wyglądają sprawy między Jasperem a jego córką. Przyjął to ze spokojem.

– O, Freya ma rozum w głowie! – wymamrotał w roztargnieniu, myśląc wyłącznie o „władzach". Nie, Freya nie była głupia. Tym się nie martwił. To mu wcale nie przeszkadzało. Facet po prostu dotrzymywał jej towarzystwa, zabawiał ją; tyle i nic więcej.

Kiedy nasz bystry staruszek wyszedł, mrucząc coś pod nosem, w domu zapadła cisza. Tamta dwójka zabawiała się cicho i z pewnością bardzo serdecznie. Jakież bardziej zajmujące i mniej hałaśliwe zajęcie mogli sobie znaleźć niż planowanie własnej przyszłości? Siedząc koło siebie na

werandzie, patrzyli pewnie na statek, trzecią osobę w tej fascynującej grze. Bez brygu nie było ich przyszłości. To on był ich losem i domem, ich stojącym otworem szerokim światem. Kto porównał statek do więzienia? Niech mnie haniebnie powieszą na rei, jeśli to prawdziwe porównanie. Białe żagle statku były białymi skrzydłami – pewnie trzeba by powiedzieć, bardziej poetycko – białymi skrzydłami ich wzbijającej się do lotu miłości. Wzbijającej się w każdym razie dla Jaspera. Freya, jako kobieta, mocniej trzymała się ziemskich wymiarów tej sprawy.

Jasper jednak był uwznioślony w sensie dosłownym, odkąd – wpatrując się wspólnie z Freyą w bryg – w owym decydującym momencie milczenia, które istoty posługujące się mową obdarowuje doskonałą komunią, zaproponował, by zechciała dzielić z nim własność owego skarbu. W istocie ofiarował jej ten bryg w całości. Ale też w statku tym ukryte było jego serce, odkąd nabył go w Manili od pewnego Peruwiańczyka w średnim wieku, odzianego w poważny garnitur z czarnego sukna, tajemniczego i skłonnego do wygłaszania sentencji, który, wedle mojej wiedzy, mógł go równie dobrze ukraść gdzieś na południowoamerykańskim wybrzeżu, skąd, jak oświadczył, przybył na Filipiny „z powodów rodzinnych”. Zwłaszcza te „powody rodzinne” brzmiały dobrze. Żaden prawdziwy *caballero* nie będzie się przecież po czymś takim o nic więcej dopytywał.

A Jasper rzeczywiście był *caballero*. Sam bryg był wtedy również czarny i tajemniczy oraz bardzo brudny; usmolony morski klejnot czy może raczej zaniedbane dzieło sztuki. Bo musiał być artystą ów nieznany budowniczy, który stworzył piękną linię kadłuba z najtwardszego tropikalnego drewna, łączonego najczystszą miedzią. Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, w jakiej części ów cud świata powstał. Nawet Jasper nie był w stanie wydobyć zbyt wielu faktów z historii statku od tego swojego sentencjonalnego, saturnicznego Peruwiańczyka – jeśli to rzeczywiście był Peruwiańczyk, a nie sam czort w przebraniu, jak na poły żartobliwie utrzymywał Jasper. Ja byłem zdania, że bryg jest na tyle stary, że mógł kiedyś należeć do ostatnich piratów albo do handlarzy niewolników, albo do handlarzy opium we wczesnym okresie, a może do szmuglerów opium.

W każdym razie statek był zdrów tak samo jak pierwszego dnia, gdy dotknął wody, szedł pod żaglami jak diabli, sterowny był jak łódeczka i ukrywał w sobie chyba – niczym piękna kobieta, której odważne życie zapisało się w historii – sekret wiecznej młodości; nic w tym zatem nienaturalnego, że Jasper Allen traktował statek jak ukochaną. I dzięki temu przywrócił blask jego pięknu. Ubrał w liczne warstwy najlepszej białej farby, która została tak umiejętnie, ostrożnie i artystycznie położona, a następnie była utrzymywana w czystości przez wyćwiczoną załogę złożoną z doborowych Malajczyków, że nawet kosztowna emalia, jakiej używają jubilerzy, nie wyglądałaby lepiej i nie byłaby gładsza w dotyku. Wąska, złocona listwa opasywała kadłub, więc gdy bryg stał na wodzie, bez trudu przyćmiewał profesjonalną urodę każdego jachtu, jaki tylko w tym czasie znalazł się na wodach Wschodu. Osobiście na białym kadłubie wolę listwy w kolorze głębokiej purpury. Daje to mocniejszy efekt wcięcia, a jest mniej kosztowne. Powiedziałem o tym zresztą Jasperowi. Ale nie, nie mogło mu wystarczyć nic innego, tylko płatki złota, bo nie ma takiej ozdoby, która byłaby dość wspaniała dla przyszłego mieszkania jego Frei.

Uczucia dla statku i dla dziewczyny złączyły się w jego sercu tak niepodzielnie, jak stapiają się w tyglu dwa szlachetne metale. A i płomień był gorący co się zowie, mogę was o tym zapewnić. Wzbudził w nim silny wewnętrzny niepokój, tak w działaniu, jak w pragnieniach. Jasper miał twarz o aż nadto pięknych rysach, skośną falę kasztanowych włosów, był szczupły, długonogi, o żarliwym błysku stalowych oczu i szybkich, gwałtownych ruchach – przywodził mi czasem na myśl błyskający sztylet, który sam się wyrywa z pochwy. Tylko wtedy, gdy znajdował się obok tej dziewczyny, gdy mógł na nią patrzeć, ów szczególny wyraz napięcia zamieniał się w pobożną uważność na każdy jej najmniejszy ruch czy słowo. Czy to magia jej twarzy, głosu, spojrzeń tak go uspokajała? A przecież to właśnie one, jak sądzę, rozpalały jego wyobraźnię – jeśli miłość rodzi się w wyobraźni. Nie mnie jednak dyskutować o takich tajemnicach, poza tym zdaje mi się, żeśmy zaniedbali starego Nelsona, który na tylnej werandzie nadyma policzki i pogrąża się w niepokoju.

Przypomniałem mu, że w końcu Jasper nie przypływa znowu tak bardzo często. On i jego statek ciężko pracowali na całym Archipelagu. Ale stary Nelson powiedział tylko, i to niechętnie:

– Mam nadzieję, że Heemskirk się nie zjawi, kiedy bryg się tu kręci.

Teraz obawy o Heemskirka! Heemskirka! Naprawdę można było stracić cierpliwość…

## II

No bo też kto to był, ten cały Heemskirk? Zaraz się przekonacie, jak bardzo obawy przed Heemskirkiem nie miały sensu. Na pewno był złośliwy z natury. Wystarczyło posłuchać, jak się śmieje, i sprawa była jasna. Nic tak nie oddaje utajonego charakteru człowieka, jak niekontrolowany wybuch śmiechu. Ale, na Boga! Gdybyśmy z powodu każdego paskudnego rechotu podskakiwali jak jakiś zając przy najlżejszym dźwięku, to nie nadawalibyśmy się do niczego, chyba że do samotności na pustyni albo do zamknięcia w eremie. A przecież nawet tam musielibyśmy radzić sobie z nieuniknionym towarzystwem diabła.

Tyle że diabeł to znacząca figura, co to pamięta lepsze czasy i wysoko zaszła w hierarchii Pana Naszego, który jest w niebiesiech. Tymczasem w bardziej przyziemnej hierarchii Holendrów Heemskirk, którego początki naprawdę nie mogły być zbyt wspaniałe, był tylko i wyłącznie czterdziestoletnim na oko oficerem marynarki, bez jakichkolwiek szczególnych koneksji czy umiejętności, którymi mógłby się poszczycić. Dowodził Neptunem, niewielką kanonierką monotonnie patrolującą Archipelag w celu ochrony kupców. To naprawdę nie było szczególnie eksponowane stanowisko, powiadam wam, po prostu zwyczajny porucznik w średnim wieku, jakieś dwadzieścia pięć lat służby, nadzieja na rychłą emeryturę – i tyle.

Nigdy szczególnie nie zawracał sobie głowy tym, co dzieje się na Siedmiu Wyspach, zanim z jakiejś rozmowy w Mintok czy Palembang nie wywnioskował, że mieszka tam ładna dziewczyna. Przypuszczam, że to

ciekawość popchnęła go w te strony, a potem, gdy raz zobaczył Freyę, wyrobił sobie zwyczaj zaglądania na Wyspy, kiedy tylko znalazł się w odległości pół dnia drogi.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Heemskirk był typowym holenderskim oficerem marynarki. Zbyt wielu ich widziałem, żeby popełnić tak absurdalny błąd. Heemskirk miał dużą, gładko wygoloną twarz, potężne płaskie, brązowe policzki, cienki haczykowaty nos i niewielkie wąskie usta wciśnięte gdzieś w środek. Czarne włosy przetykało kilka srebrnych pasemek, a jego nieprzyjemne oczy także były niemal czarne. Miał gburowaty zwyczaj rzucania spojrzeń na boki bez poruszania głową, która usadowiona była na krótkim, okrągłym karku. Tłusty, okrągły korpus w ciemnej kurtce munduru polowego ze złotymi pagonami wspierał się na parze krzywych, grubych, okrągłych nóg w białych drelichowych spodniach. Okrągła czaszka pod białą czapką też wyglądała tak, jakby była otłuszczona, ale miał w niej dość rozumu, by odkryć, że starego Nelsona denerwuje myśl o czymkolwiek, co choćby w najmniejszym stopniu ma związek z władzą, i by złośliwie to wykorzystać.

Heemskirk przybijał do przylądka i zanim udał się w kierunku domu, przechadzał się cicho po całej plantacji, zupełnie jakby należała do niego. Na werandzie siadał w najlepszym fotelu, zostawał na podwieczorek albo kolację, bo po prostu siedział i nie kłopotał się nawet, by wprosić się choćby jednym słowem.

Powinni go byli wykopać, choćby z powodu zachowania wobec panny Frei. Gdyby był nagim dzikusem, uzbrojonym we włócznię i w zatrute strzały, stary Nelson (czy Nielsen) rzuciłby się na niego z gołymi pięściami. Ale złote pagony – i to holenderskie pagony – wystarczyły, żeby wystraszyć starego; pozwalał, by ten nikczemnik jego samego traktował z pogardą, pożerał wzrokiem jego córkę i wypijał mu sporą część niewielkiego zapasu wina.

Miałem okazję to widzieć i kiedyś próbowałem wygłosić jakąś uwagę na ten temat. Aż żal było patrzeć na strach, który pojawił się w okrągłych oczach starego Nelsona. Najpierw wykrzyknął, że porucznik jest jego

dobrym przyjacielem, bardzo porządnym człowiekiem. Mówiłem dalej, patrząc na niego dość twardo, tak że w końcu zawahał się i przyznał, że owszem, Heemskirk rzeczywiście nie jest na pierwszy rzut oka zbyt sympatyczną osobą, ale tak czy inaczej w głębi duszy…

– Jak dotąd nie spotkałem tu sympatycznego Holendra – przerwałem mu. – Czy jest, czy nie jest sympatyczny, nie ma tu zresztą większego znaczenia, ale pan chyba nie dostrzega…

W tej chwili Nelson sprawiał wrażenie tak przerażonego, że nie miałem serca powiedzieć tego, co zamierzałem. Oczywiście chciałem stwierdzić, że ten facet zaleca się do jego córki, co było dokładnym opisem stanu rzeczy. Czego Heemskirk się spodziewał albo co zamierzał, nie wiem. W moim przekonaniu wyobrażał sobie chyba, że nie można mu się oprzeć, albo też ze względu na jej żywy, pewny siebie, swobodny styl bycia brał Freyę za kogoś, kim nie była. Ale o to chodziło. Zalecał się do tej dziewczyny. I Nelson musiał to bardzo dobrze widzieć. Wolał jednak udawać, że nie widzi. I nie chciał, by mu ktoś o tym powiedział.

– Mnie chodzi tylko o to, żeby żyć cicho i spokojnie, w dobrych układach z holenderskimi władzami – wymamrotał z zawstydzeniem.

Był niereformowalny. Szkoda mi go było i myślę, że tak naprawdę panna Freya także żałowała swojego ojca. Opanowywała się z jego powodu i tak jak wszystko, co robiła, również i to było naturalne, bezpretensjonalne, niepozbawione nawet dobrego humoru. A to nie lada wysiłek, ponieważ umizgi Heemskirka miały w sobie odrobinę trudnej do wytrzymania bezczelnej pogardy. Holendrzy jego pokroju są apodyktyczni wobec swych podwładnych, a ten oficer jego królewskiej mości patrzył na starego Nelsona i na Freyę, jakby byli mu pod każdym względem podwładni.

Trudno powiedzieć, żebym się litował nad Freyą. Ona nie należała do typu dziewcząt, które by cokolwiek przyjmowały jako tragedię. Można było jej współczuć i wczuwać się w trudną sytuację, ale wydawało się, że sama poradzi sobie ze wszystkim. Jej sprawny spokój wzbudzał raczej podziw. Napięcie wyczuwało się u niej tylko wówczas, gdy Jasper i Heemskirk znajdowali się razem pod dachem jej domu, co się od czasu do czasu

zdarzało, ale nawet wtedy nie wszyscy to zauważali. Jedynie moje oczy umiały wykryć delikatny cień na jej promienistej osobowości. Któregoś razu nie mogłem się powstrzymać, by nie powiedzieć jej z podziwem:

– Jest pani cudowna, daję słowo.

Skwitowała to delikatnym uśmiechem.

– Najważniejsze, żeby Jasper nie palnął jakiegoś głupstwa – powiedziała; dostrzegłem prawdziwą troskę gdzieś w głębi jej szczerych oczu, spoglądających wprost na mnie. – Pomoże mi pan go uciszyć, prawda?

– Oczywiście, że musi siedzieć cicho – przytaknąłem, rozumiejąc bardzo dobrze, czym się niepokoi. – Kiedy jest wzburzony, zachowuje się jak kompletny wariat.

– No właśnie – potwierdziła pogodnie. Mieliśmy żartobliwy zwyczaj mówić między sobą o Jasperze nieprzyjemne rzeczy. – Choć trochę już go oswoiłam. Zrobił się z niego całkiem grzeczny chłopiec.

– Ale Heemskirka zgniótłby jak karalucha – zauważyłem.

– No pewnie! – szepnęła. – Ale to na nic – dodała szybko. – Tylko sobie wyobrazić, w jakim stanie byłby papa. Poza tym zamierzam zostać panią tego kochanego brygu i żeglować po tych wodach, a nie wynosić się dziesiątki mil stąd.

– Im szybciej znajdzie się pani na pokładzie, żeby opiekować się tym człowiekiem i tym brygiem, tym lepiej – rzekłem poważnie. – Potrzebują pani obaj, żeby się trochę ustatkować. Moim zdaniem Jasper nie otrzeźwieje, póki nie zabierze pani z tej wyspy. Nie widuje go pani, kiedy jest od pani daleko, a ja owszem. Znajduje się w stanie nieustannej euforii, która niemal mnie przeraża.

Uśmiechnęła się znowu na te słowa, a potem spoważniała. Musiało jej być miło usłyszeć, jaką moc posiada, ale miała też w sobie pewne poczucie odpowiedzialności. Odsunęła się ode mnie nagle, ponieważ na werandę po schodach wchodził właśnie Heemskirk w towarzystwie nadskakującego mu starego Nelsona. Kiedy głowa Holendra znalazła się na poziomie podłogi, złe czarne oczy zaczęły strzelać na boki.

– Gdzie dziewczyna, Nelson? – zapytał takim tonem, jakby cały świat i każda dusza na nim do niego należały. Potem zwrócił się do mnie:

– Bogini odbiegła, co?

Zatoka Nelsona – jak ją nazywaliśmy – była tego dnia zatłoczona. Najpierw mój parowiec, potem kanonierka Neptun oraz bryg Bonito, jak zawsze na kotwicy tak blisko brzegu, że wyglądało, jakby przy odrobinie umiejętności i wprawy można było cisnąć kapeluszem wprost na jego wzorowo wyszorowany pokład rufowy. Mosiądz na nim błyszczał jak złoto, biała farba na kadłubie lśniła niczym atłasowa suknia. Lekkie pochylenie lakierowanych masztów i wielkie idealnie sklarowane reje przydawały łodzi jakby wojskowej elegancji. To był piękny statek. Nic dziwnego, że posiadając taką łódź i mając obietnicę od takiej dziewczyny jak Freya, Jasper żył w stanie permanentnego uniesienia, które sprawdziłoby się może doskonale w siódmym niebie, ale nie było całkiem bezpieczne na świecie takim jak nasz.

Odpowiedziałem uprzejmie Heemskirkowi, że mając w domu trzech gości, panna Freya z pewnością nie narzeka na brak pracy. Wiedziałem, rzecz jasna, że poszła spotkać się z Jasperem w pewnym miłym miejscu na brzegu jedynego strumienia na wyspie Nelsona. Kapitan Neptuna odpowiedział pełnym powątpiewania czarnym spojrzeniem i zaczął się rozgaszczać: rzucił swoje tłuste, cylindryczne cielsko na fotel bujany i rozpiął płaszcz. Stary Nelson usiadł niepozornie naprzeciw niego, niespokojnie zerkając swymi okrągłymi oczyma i wachlując się kapeluszem. Starałem się podtrzymywać rozmowę, by jakoś zabić czas; nie jest to zadanie łatwe w towarzystwie posępnego, zakochanego Holendra, który nieustająco spogląda od jednych drzwi do drugich, a na próby nawiązania kontaktu odpowiada albo drwiną, albo warknięciem.

Niemniej wieczór przeszedł dobrze. Na szczęście jest taki stopień uniesienia, który przekracza euforię. Jasper był cichy i spokojnie koncentrował się na obserwowaniu Frei. Kiedy wyszliśmy, by wrócić na swoje statki, zaproponowałem Jasperowi, że rano wyciągnę go z zatoki. Zrobiłem to celowo, by usunąć go stąd najwcześniej jak tylko się da.

Dlatego też o pierwszym chłodnym brzasku wypłynęliśmy, mijając kanonierkę, czarną i głuchą, stojącą u wyjścia ze szklistej zatoki. Słońce jednak z tropikalną zwinnością wspięło się nad horyzont na dwukrotną wysokość swojej średnicy, zanim zdążyliśmy okrążyć rafy i zrównać się z przylądkiem. A tam, na największym głazie, stała Freya, cała w bieli, w kasku na głowie, niczym posąg wojowniczki o różanej twarzy – widziałem ją doskonale w lunetce. Powiewała z uczuciem chusteczką, tymczasem Jasper wspiął się na reje grotmasztu swego dzielnego białego brygu i w odpowiedzi machał do niej kapeluszem. Wkrótce potem rozstaliśmy się, ja popłynąłem na północ, a Jasper z lekkim ćwierćwiatrem na wschód, zdaje się, że do Banjermassin i dwu innych portów.

W tych sielankowych okolicznościach po raz ostatni widziałem tych wszystkich ludzi razem: czarująco świeżą i rezolutną Freyę, starego Nelsona o niewinnych okrągłych oczach, Jaspera, żarliwego, długonogiego, o szczupłej twarzy i cudownie niezależnym stylu bycia, bo w obecności Frei był niepojęcie szczęśliwy; wszyscy troje wysocy, o jasnych włosach i niebieskich oczach w różnych odcieniach, a pomiędzy nimi ten śniady arogancki czarnowłosy Holender, niższy co najmniej o głowę i o tyle grubszy od każdego z nich, że sprawiał wrażenie istoty, która może się sama nadmuchać, jakiegoś groteskowego okazu człowieka z innej planety.

Ten kontrast uderzył mnie od razu, gdy staliśmy na oświetlonej werandzie, podniósłszy się od stołu po kolacji. Fascynowało mnie to przez cały wieczór i do dzisiaj pamiętam wrażenie czegoś zarazem zabawnego i złowieszczego.

## III

Parę tygodni później, wchodząc wcześnie rano do portu w Singapurze po rejsie na południe, zobaczyłem stojący na kotwicy bryg – jak zawsze symetryczny i wspaniały – jakby go dopiero co wyjęto ze szklanej gabloty i ustawiono na wodzie.

Stał dość daleko na redzie, ja zaś wpłynąłem w głąb portu i zająłem swoje zwykłe miejsce tuż przy miejskim nabrzeżu. Jeszcześmy nie zjedli śniadania, kiedy zjawił się kwatermistrz z wiadomością, że podpływa do nas kapitan Allen.

Jego zgrabny gig zaraz śmignął wzdłuż burty, a on sam dwoma susami wskoczył na pokład po drabince zaopatrzeniowej i już w nerwowym uścisku potrząsał moją ręką, rozglądając się badawczo, bo przypuszczał chyba, że po drodze zatrzymałem się na Siedmiu Wyspach. Sięgnąłem do kieszeni po starannie złożony liścik, który on bezceremonialnie wyrwał mi z ręki, po czym ruszył na mostek, żeby przeczytać go sobie na osobności. Po stosownym czasie udałem się tam za nim i zastałem go chodzącego tam i z powrotem; charakter jego uczuć wpędzał go w stan niepokoju nawet w momentach największej zadumy.

Na mój widok triumfalnie potrząsnął głową:

– Cudownie, chłopie! – rzekł. – Teraz będę liczył dni.

Pojąłem, o czym mówi. Wiedziałem, że ci młodzi umówili się już na wspólną ucieczkę bez żadnych oficjalnych wstępów. Była to, rzecz jasna, logiczna decyzja. Stary Nelson (czy Nielsen) nigdy by się po dobroci nie zgodził oddać Frei kompromitującemu Jasperowi. Wielkie nieba! Co by na taki związek powiedziały holenderskie władze! To brzmi tak niepoważnie, że szkoda gadać. Ale na całym świecie nie znajdzie się niczego bardziej samolubnego niż bojaźliwy człowiek w strachu o swoją „niewielką posiadłość”, jak stary Nelson zwykł przepraszającym tonem określać plantację. Serce, które przenika pewien szczególny rodzaj tchórzostwa, pozostaje impregnowane na zdrowy rozsądek, uczucie i szyderstwo. Jest z kamienia.

Jasper chciał się oświadczyć, a potem zrobić wszystko po swojemu, ale to Freya zdecydowała, że nie należy niczego mówić, ponieważ „papa tylko zamartwiłby się do szaleństwa”. Gotów jeszcze od tego zachorować, a wtedy nie miałaby serca go zostawić. Oto trzeźwość kobiecego patrzenia na świat i szczerość kobiecego rozumowania. Poza tym panna Freya umiała czytać swojego ojca tak, jak kobiety czytają mężczyzn – niby otwartą

książkę. Kiedy córka zniknie, stary Nelson nie będzie się więcej niepokoił. Podniesie wielki krzyk i będzie bez końca lamentował, ale to co innego. Oszczędzone mu zostaną prawdziwe męki niezdecydowania i ból sprzecznych uczuć. A ponieważ jest zbyt skromny, by popaść we wściekłość, po jakimś okresie rozpaczy poświęci się swojej „niewielkiej posiadłości” i utrzymywaniu dobrych stosunków z władzami.

Resztę załatwi czas. A Freya uważała, że stać ją na to, by poczekać, skoro rządzi własnym domem, a także pięknym brygiem i mężczyzną, który ją kocha. To było życie dla niej, która przecież chodzić uczyła się na pokładzie statku. Była dzieckiem statku, dziewczyną z morza, że drugiej takiej się nie znajdzie. No i oczywista kochała Jaspera i ufała mu; ale w jej dumie czaiła się odrobina niepokoju. Przepięknie i romantycznie jest mieć na własność cudownie hartowany i godny zaufania miecz, ale czy okaże się on najlepszą bronią w starciu z tępą pałką Losu – to inna sprawa.

Wiedziała, że z nich dwojga to ona ma większą wagę – nie próbujcie tanich żartów, nie mówię o wadze ciała. Była zawsze troszkę niespokojna, kiedy on odpływał, a we mnie miała wypróbowanego powiernika, który powtarzał: „Im prędzej, tym lepiej”. Panna Freya czuła jednak pewien opór, a przyczyna zwlekania z decyzją z jej strony była charakterystyczna. „Czekam do swoich dwudziestych pierwszych urodzin, żeby ludzie nie mieli żadnych wątpliwości, że jestem w takim wieku, że wiem, co robię”.

Jasper tak podporządkował jej swoje uczucia, że nigdy nawet słówkiem nie pisnął przeciw temu, co zadekretowała. Była po prostu wspaniała, bez względu na to, co mówiła czy robiła, a dla niego stanowiła ostateczną instancję. Zdaje mi się, że na tyle był subtelny, iż czasami w głębi ducha wręcz czuł się mile połechtany jej decyzją. Poza tym na pociechę miał bryg, przeniknięty w pewnym sensie duchem Frei, skoro wszystko, co robił na pokładzie, zawsze robił pod najwyższą władzą miłości.

– Tak, wkrótce zacznę odliczać dni – powtarzał. – Jeszcze jedenaście miesięcy. Muszę w tym czasie zmieścić trzy podróże.

– Uważaj, żebyś z nadmiaru roboty nie wpadł w tarapaty – przestrzegałem go. Ale on zbywał moje uwagi śmiechem i wzniosłym

gestem. Phi! Nic, ale to nic nie może przytrafić się brygowi, wołał, jakby płomień jego miłości rozświetlał noce na nieznanych wodach, a obraz Frei służył jako nieomylna latarnia wśród ukrytych płycizn; jak gdyby wiatry czekały na jego przyszłość, gwiazdy leciały ku niej na swych orbitach; jak gdyby czarodziejską mocą swej namiętności mógł zmusić statek, by przeniósł się na kropli rosy lub przecisnął przez ucho igielne – tylko dlatego, że wspaniałym losem brygu było służyć miłości tak pełnej wdzięku, że wszystkie drogi tej ziemi stały przed nim otworem: bezpieczne, jasne i proste.

– Przypuszczam – rzekłem, kiedy przestał się śmiać na tę moją niewinną uwagę – przypuszczam, że wyruszysz dzisiaj?

To właśnie było jego zamiarem. Nie wyruszył o świcie tylko dlatego, że spodziewał się spotkać ze mną.

– A wyobraź sobie, co się wczoraj stało – mówił dalej. – Mój pierwszy nagle się wyniósł. Musiał. Nie ma dosłownie nikogo, więc zamierzam wziąć Schultza. Tego gagatka Schultza. Co, nie wychodzisz z siebie? - Mówię ci, wczoraj późno wieczorem wyciągnąłem Schultza spod ziemi, i to po nielichych staraniach. „Jestem na pańskie usługi, kapitanie – mówi mi tym swoim cudownym głosem. – Ale muszę z przykrością wyznać, że nie mam nawet czym grzbietu przykryć. Musiałem wyprzedać garderobę, żeby z dnia na dzień mieć co do ust włożyć”. Co za głos ma ten człowiek! Głaz by poruszył. Ale ludzie się chyba do tego przyzwyczajają. Nigdy go wcześniej nie widziałem, ale powiadam ci, łzy stanęły mi w oczach. Na szczęście zmierzchało. Siedział sobie spokojnie na ziemi przed chatą tubylców, chudy jak tyka, spojrzałem na niego z góry i widzę, że ma na sobie tylko starą bawełnianą podkoszulkę i wystrzępione portki. Kupiłem mu sześć białych ubrań i dwie pary płóciennych pantofli. Nie ogarnę statku bez oficera. Muszę kogoś mieć. Idę teraz na ląd, żeby go zarejestrować, zabieram go na pokład w drodze powrotnej i zwijamy się. Co, szaleniec ze mnie, nie? Szaleniec, to jasne. No, dalej! Nie powstrzymuj się! Wal śmiało. Chciałbym zobaczyć, jak się unosisz.

W tak ewidentny sposób oczekiwał ode mnie połajanki, że z prawdziwą przyjemnością przesadnie podkreślałem swój spokój.

– Najgorsze, co można zarzucać Schultzowi – zacząłem bez śladu emocji, zakładając ręce na piersiach – to dziwny zwyczaj wykradania zapasów z każdego statku, na którym się znajdzie. Zrobi to na pewno. I to jest jego jedyna wada. Nie całkiem daję wiarę opowieści kapitana Robinsona o tym, jak to w Chantaburi Schultz zawiązał spisek z jakimiś łotrzykami, żeby ukraść kotwicę dziobową ze sterburty szkunera Bohemian Girl. Opowieść Robinsona jest zbyt wymyślna. Ta druga, którą opowiadali mechanicy z Nan-Shan, że o północy zastali Schultza w maszynowni, jak pracowicie odbijał młotkiem mosiężne części, żeby je wynieść na ląd i sprzedać, wydaje mi się bardziej wiarygodna. Więc mówię ci, że poza tą niewielką słabością Schultz jest sprawniejszym żeglarzem niż większość z tych, co to nigdy w życiu nie wzięli do ust nawet kropelki, a może też wcale nie stoi niżej pod względem moralnym od pewnych osób, które i ty, i ja znamy dobrze, a które nigdy, przenigdy nawet jednego pensa nikomu nie ukradły. Raczej nie jest to człowiek, jakiego najbardziej chciałoby się mieć na pokładzie, ale skoro nie masz wyboru, to jednak pewnie się nada. Tylko nie dawaj mu pieniędzy, aż będziesz się z nim żegnał. Ani centa, choćby żebrał. Bo kiedy tylko dasz mu jakiekolwiek pieniądze, zacznie kraść, jak amen w pacierzu. To sobie zapamiętaj.

Ubawiło mnie pełne niedowierzania zaskoczenie Jaspera.

– Już ja mu, u czorta, dam! – zawołał. – Ale po co by kradł? Czy ty mi przypadkiem nie opowiadasz jakichś bredni, stary?

– Nie. Nie opowiadam bredni. Musisz pojąć psychikę Schultza. Nie jest ani obibokiem, ani darmozjadem. Nie będzie się szwendał w poszukiwaniu kogoś, kto mu postawi piwo. Ale wyobraź sobie, że schodzi na ląd z pięcioma, czy też z pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni. Po trzeciej czy czwartej szklaneczce jest już zawiany i robi się hojny. Albo gubi te swoje pieniądze nie wiadomo gdzie, albo zaczyna je rozdawać; daje każdemu, kto tylko zechce wziąć. Potem przychodzi mu do głowy, że noc jeszcze młoda i że przed świtem on i jego przyjaciele mogliby wychylić jeszcze parę

szklaneczek. Wobec tego radośnie udaje się na statek. Nigdy nie odbiera mu władzy w nogach lub w głowie, jak to się zazwyczaj dzieje. Wchodzi na pokład i po prostu chwyta pierwszą rzecz, jaka wyda mu się odpowiednia: lampę z kajuty, zwój liny, worek sucharów, puszkę oliwy – i bez namysłu to spienięża. Tak to się dzieje i nie inaczej. Musisz tylko uważać, żeby się to nie zaczęło. I tyle.

– Do diabła z jego psychiką! – wymamrotał Jasper. – Ale człowiek, który ma taki głos, mógłby przemawiać do aniołów. Myślisz, że jest nieuleczany?

Powiedziałem mu, że takie jest moje zdanie. Nikt go jeszcze nie podał do sądu, ale też nikt go już nie chce zatrudnić. Obawiałem się, że na koniec zdechnie z głodu w jakiejś dziurze.

– No cóż – zadumał się Jasper. – Bonito nie zawija do żadnych cywilizowanych portów. Będzie mu łatwiej się opanować.

To była prawda. Bryg robił interesy na nieucywilizowanych wybrzeżach, gdzie różni nieznani radżowie żyli w prawie niezbadanych zatokach; gdzie osady miejscowych stoją nad tajemniczymi rzekami, otwierającymi swe ponure lesiste ujścia w gęstwie bladozielonych raf i lśniących piaskowych brzegów, w samotnych przesmykach o spokojnej, błękitnej, roziskrzonej słońcem wodzie. Mknął samotnie z dala od znanych szlaków, cały w bieli, wokół ciemnych, zachmurzonych cypli, pojawiał się cicho niczym duch zza przylądków rozciągających się czarno w księżycowym blasku; albo stał, czekając na sygnał, niczym śpiący ptak wodny w cieniu jakiejś bezimiennej góry. Pojawiał się znienacka w mgliste, burzliwe dnie, z pogardą przecinając krótkie, agresywne fale Morza Jawajskiego; albo błyskał gdzieś hen, w oddali, niby niewielka biała plamka wśród nisko zawieszonych, kłębiących się nad horyzontem fioletowych zwałów chmur burzowych. Czasami, na nieczęsto się trafiających szlakach pocztowych, tam gdzie cywilizacja muska tylko tajemnicę, kiedy lokalni pasażerowie, tłoczący się przy relingu, wskazując ręką z zaciekawieniem, wykrzykiwali: „O! Jacht!”, kapitan Holender pomrukiwał z pogardą, rzucając wrogie spojrzenie: „Jacht! Jaki jacht! To tylko ten Anglik Jasper. Ten handlarz…”.

– Ale mówisz, że dobry marynarz! – wykrzyknął Jasper, nadal odnosząc się do sprawy nieszczęsnego Schultza o cudownie wzruszającym głosie.

– Pierwszorzędny. Spytaj, kogo chcesz. Warto takiego mieć, tyle że jest nie do wytrzymania – stwierdziłem.

– No to dostanie na brygu szansę na poprawę – rzekł Jasper ze śmiechem. – Tam, gdzie się tym razem wybieram, nie będzie miał żadnych pokus ani do picia, ani do kradzieży.

Nie cisnąłem go o dokładniejsze informacje. Byliśmy zresztą ze sobą na tyle blisko, że miałem dość dobre wyobrażenie o jego interesach.

Ale kiedyśmy jego gigiem podpływali ku brzegowi, Jasper nagle zapytał:

– À propos, nie wiesz, co tam u Heemskirka?

Przyjrzałem mu się uważnie i uspokoiłem. Zadał to pytanie nie jako człowiek zakochany, ale jako kupiec. Powiedziałem, że w Palembang mówili, że Neptun pełni służbę niżej, koło Flores i Sumbawa. Jasperowi raczej nie po drodze. Co go ucieszyło.

– Wiesz – rzekł – ten facet, kiedy znajdzie się na wybrzeżu Borneo, zabawia się niszczeniem moich bojek. Musiałem je na nowo ustawiać, żeby sobie oznaczyć ujścia rzek. Na początku tego roku jeden handlarz z Celebesu, którego prau akurat unieruchomiła cisza, przyłapał go na tym. Pełną parą wpadał na boje tą swoją kanonierką i rozwalał jedną po drugiej w drobny mak, a potem celowo przechylił statek, żeby wyciągnąć trzecią, którą z wielkim trudem zamontowałem sześć miesięcy wcześniej na środku błotnistej łachy, by oznaczyć przypływ. Słyszałeś kiedyś o większej bezczelności, co?

– Nie wchodziłbym w spory z tym nędznikiem – zauważyłem od niechcenia, choć ta wiadomość bynajmniej mi się nie spodobała. – Nie warto.

– Ja wchodzę w spory?! – wykrzyknął Jasper. – Nie chcę się kłócić. Nie chcę urazić nawet najmniejszego włoska na jego przebrzydłej głowie. Przyjacielu, kiedy pomyślę o dwudziestych pierwszych urodzinach Frei,

cały świat jest mi drogi, łącznie z Heemskirkiem. Ale tak czy inaczej, to jest paskudna, złośliwa zabawa.

Na brzegu pożegnaliśmy się dość pospiesznie, bo każdy z nas miał do załatwienia pilne sprawy. Jak bardzo zraniony bym się poczuł, gdybym wtedy wiedział, że ten przelotny uścisk dłoni i rzucone: „Tymczasem, stary. Powodzenia!”, było naszym ostatnim pożegnaniem.

Kiedy Jasper wrócił na cieśniny, mnie tam akurat nie było, a odpłynął, zanim zdążyłem wrócić. Chciał odbyć te trzy rejsy, nim ukochana skończy dwadzieścia jeden lat. Oboje z Freyą z wielkim zachwytem i nieskończoną wdzięcznością mówiliśmy o „tym wariacie” i „kompletnym idiocie”. Freya była rozpromieniona jeszcze większą radością, mimo że dopiero co rozstała się z Jasperem. Miało to być ich ostatnie rozstanie.

– Niech pani wchodzi na ten pokład najszybciej jak się da, panno Freyo – nalegałem.

Popatrzyła mi prosto w oczy, leciutko zaróżowiona, z pełnym powagi żarem – nawet jeśli głos leciuteńko się jej łamał:

– Zaraz następnego dnia.

A, tak! Zaraz następnego dnia po dwudziestych pierwszych urodzinach. Spodobał mi się ten znak głębokiego uczucia. Zupełnie jakby czuła zniecierpliwienie z powodu tego opóźnienia, które sama sobie narzuciła. Przypuszczałem, że niemałe znaczenie miała tu ostatnia wizyta Jaspera.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałem z zadowoleniem. – Będę się czuł znacznie spokojniejszy, wiedząc, że ten wariat jest już pod pani opieką. Niech pani nie traci ani minuty. On z pewnością zjawi się tu na czas, no chyba że runą niebiosa.

– Tak. Chyba że… – powtórzyła szeptem pełnym zadumy, wznosząc oczy ku wieczornemu niebu, na którym nie było nawet jednej chmurki. Przez chwilę w milczeniu wędrowaliśmy wzrokiem po rozciągających się pod nim wodach, tajemniczo nieruchomych o zmierzchu, jakby z nadzieją układających się na długi, długi sen w tę ciepłą tropikalną noc. Spokój wokół nas zdawał się nie mieć granic ani końca.

Po chwili zaczęliśmy naszym zwyczajem rozmawiać o Jasperze. Zgadzaliśmy się co do tego, że pod wieloma względami jest zbyt niespokojny. Na szczęście bryg stawał na wysokości zadania. Wydawało się, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Absolutnie kochany statek, powiedziała panna Freya. Oboje z ojcem spędzili kiedyś popołudnie na pokładzie. Jasper podjął ich herbatą. Papa gderał… Wyobraziłem sobie starego Nelsona pod śnieżnobiałym daszkiem brygu, rozdrażnionego na swój niepozorny sposób, wachlującego się kapeluszem. Komediowy tatuś… Dowodem kolejnych przejawów szaleństwa Jaspera miało być, że – jak się dowiedziałem – rozpaczał, iż nie jest w stanie zamontować przy drzwiach do kajut klamek z czystego srebra.

– Jakbym miała zamiar mu na to pozwolić! – skomentowała panna Freya, śmiejąc się z oburzeniem. Przy okazji dowiedziałem się też, że Schultz, nasz morski kleptoman, nadal pracował, co Freya pochwalała. Jasper wyznał pani swojego serca, że postanowił naprostować psychikę tego człowieka. No oczywiście. Cały świat był mu drogi, bo oddychał tym samym powietrzem co panna Freya.

Z jakiegoś powodu wymieniłem w rozmowie nazwisko Heemskirka i ku swemu wielkiemu zdziwieniu przestraszyłem tym Freyę. W jej oczach pojawiło się coś na kształt boleści, ale zagryzła wargę, jakby powstrzymując wybuch śmiechu. Och! Tak. Heemskirk pojawił się w bungalowie w tym samym momencie co Jasper, ale o dzień później. Wypłynął tego samego dnia co bryg, ale parę godzin później.

– Musiał wam nieźle zawadzać – powiedziałem ze współczuciem.

Jej oczy błysnęły jakby z pełnym przestrachu rozweseleniem, aż nagle Freya wybuchła perlistym śmiechem:

– Cha, cha, cha!

Zawtórowałem jej z całego serca, choć nie tak uroczym tonem:

– Cha, cha, cha! Czyż to nie jest groteskowa postać? Cha, cha, cha!

I cała niedorzeczność idiotycznie żarliwych okrągłych oczu starego Nelsona oraz jego ugodowa postawa wobec porucznika stanęły mi przed oczami, powodując kolejny wybuch:

– Wygląda – wyjąkałem – wygląda… cha, cha, cha!… między waszą trójką… jak nieszczęśliwy chrabąszcz! Cha, cha, cha!

Jeszcze raz wybrzmiał dźwięczny śmiech Frei, ale raptem umknęła do swojego pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i zostawiła mnie w głębokim zdumieniu. Natychmiast przestałem się śmiać.

– Co takiego śmiesznego? – zabrzmiał z połowy schodów głos starego Nelsona.

Wszedł na górę, usiadł, nadął policzki, przybierając niewymownie głupkowaty wygląd. Ale mnie już nie chciało się śmiać. Zapytywałem sam siebie, z czegośmy, do diaska, tak niepohamowanie się śmiali? Poczułem nagłe przygnębienie.

A, tak. Freya zaczęła. Ta dziewczyna jest przemęczona, pomyślałem. I naprawdę trudno się było temu dziwić.

Nie umiałem odpowiedzieć na pytanie starego Nelsona, a on zbyt był zasmucony wizytą Jaspera, żeby myśleć o czymkolwiek innym. Na dobrą sprawę zapytał mnie, czy nie zechciałbym zasugerować Jasperowi, że nie jest na Siedmiu Wyspach mile widzianym gościem. Oświadczyłem, że nie ma takiej potrzeby. Na podstawie pewnych okoliczności, które się ostatnio ujawniły, mogłem przypuszczać, że w przyszłości Nelson nie będzie miał już powodu uskarżać się na obecność Jaspera Allena.

Wyrzucił z siebie szczere:

– Dzięki Bogu! – Niemal na nowo wzbudziło to we mnie śmiech, ale on nie rozchmurzył się stosownie. Zdaje się, że Heemskirk okazał się bardzo niemiły. Porucznik wzbudził w starym Nelsonie potworny lęk, zdumiawszy się złośliwie, że rząd w ogóle wyraził zgodę na to, by biały człowiek osiadł w tej okolicy. „To wbrew oficjalnej linii” – zauważył. Oskarżył też starego o to, że w rzeczywistości w niczym nie jest lepszy niż Anglik. Usiłował nawet wywołać sprzeczkę pod pretekstem, że Nelson nie nauczył się holenderskiego.

– Powiedziałem mu, że jestem już za stary na naukę – westchnął stary Nelson (czy Nielsen) posępnie. – A on na to, że powinienem był się nauczyć dawno temu. Bo żyję i pracuję na terytoriach zależnych od

Holandii. To niewdzięczne z mojej strony, że nie mówię po holendersku, jak się wyraził. Był dla mnie niegrzeczny jak Chińczyk.

Było jasne, że złośliwie nagabywał Nelsona. Ten nie wspomniał, ile butelek swojego najlepszego bordo ofiarował na ołtarzu pojednania. Musiała to być hojna libacja. Ale stary Nelson (czy Nielsen) był naprawdę gościnny. To mu nie przeszkadzało. Mnie zaś było przykro, że cnota gościnności wylewa się na kapitana Neptuna. Chciałem powiedzieć Nelsonowi, że wszystko wskazuje na to, że zostanie uwolniony także od wizyt Heemskirka. Nie uczyniłem tego jedynie z obawy (absurdalnej, zaznaczam), że wzbudzę w jego umyśle jakieś podejrzenia. Jakby u tego prostodusznego komediowego tatusia taka rzecz była w ogóle możliwa!

Co dziwne, ostatnie słowa na temat Heemskirka wypowiedziała Freya, i to w tym właśnie sensie. Porucznik powracał nieustannie w rozmowie starego Nelsona przy obiedzie. W końcu wymamrotałem bezgłośnie:

– Do diabła z nim!

Widziałem, że dziewczyna także jest tym wyprowadzona z równowagi.

– I nie czuł się wcale dobrze, prawda, Freyo? – ciągnął stary Nelson żałościwie. – Może z tego powodu był taki kłótliwy, co, Freyo? Kiedy tak nagle się zerwał i wyszedł, wyglądał bardzo źle. Pewnie ma wątrobę w marnym stanie.

– Och, w końcu sobie z tym jakoś poradzi – rzekła Freya niecierpliwie. – Niech się papa o niego tak nie zamartwia. Bardzo możliwe, że przez dłuższy czas nie będzie go papa musiał widywać.

Spojrzenie, które mi rzuciła w odpowiedzi na mój uśmieszek, nie kryło w sobie wesołości. Jej oczy zdawały się puste, twarz zmarniała przez tych parę godzin. Za dużo się śmialiśmy. Przemęczona! Przemęczona perspektywą przybliżania się decydującej chwili. Ostatecznie, jakkolwiek byłaby szczera, odważna, pewna siebie, musiała w związku ze swoim postanowieniem czuć zarówno namiętność, jak i skrupuły. Ta sama siła miłości prowadzącej ją do tego miejsca z pewnością nakładała na nią poważne brzemię moralne, którego część zdecydowanie stanowiły także

zwyczajne wyrzuty sumienia. Freya była uczciwa, a tu, po drugiej stronie stołu, siedział oto stary Nelson (czy Nielsen), patrząc na nią okrągłymi oczami, tak żałośnie komiczny z tą swoją żarliwą miną, że wzruszyłby nawet najbardziej niefrasobliwe serce.

Wcześnie oddalił się do siebie, żeby przed spoczynkiem uspokajająco przejrzeć księgi handlowe. My we dwoje zostaliśmy na werandzie jeszcze przez jakąś godzinkę, ale gwarzyliśmy tylko od niechcenia o sprawach nieistotnych, jakbyśmy czuli emocjonalne wyczerpanie po długiej rozmowie, która tego dnia dotyczyła ważnej kwestii. A jednak było coś, o czym mogła powiedzieć przyjacielowi. Nie zrobiła tego. Rozstaliśmy się w milczeniu. Być może nie ufała mojemu męskiemu brakowi zdrowego rozsądku… Ach, Freyo!

Schodząc stromą ścieżką na keję, w cieniu zarośli i skał natknąłem się na kobiecą postać w opończy, która w pierwszej chwili mnie przestraszyła. Wysunęła się nagle ku mnie zza skały. Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że to nie może być nikt inny, tylko pokojówka Frei, portugalska metyska z Malakki. W domu mignęła czasem jej oliwkowa twarz i olśniewające białe zęby. Przyglądałem się jej nieraz, jak siedziała w odległości głosu gdzieś w cieniu drzew owocowych, czesząc i splatając swoje długie kruczoczarne loki. Wydawało się, że jest to zasadnicze zajęcie, jakiemu oddawała się w wolnych chwilach. Często wymienialiśmy uśmiechy czy skinienie głowy – albo parę słów. Była to piękna istotka. Raz z aprobatą przyglądałem się, jak robi miny i krzywi się wymownie za plecami Heemskirka. Wiedziałem (od Jaspera), że była dopuszczona do sekretu, niczym pokojówka z komedii. Miała towarzyszyć Frei w jej niezbyt klasycznej drodze na ślubny kobierzec, a potem także w długim i szczęśliwym życiu. Zastanawiałem się, czemu włóczy się sama nocą nad zatoką. Może i ona przeżywa jakiś romansik? Choć z tego, co wiedziałem, na Siedmiu Wyspach nie było właściwego kandydata. Zaświtało mi, że może czeka właśnie na mnie.

Zawahała się, od stóp do głów zakutana w chustę, niewyraźna, nieśmiała. Podszedłem jeszcze na krok, a co czułem, nie musi nikogo

obchodzić.

– O co chodzi? – zapytałem cicho.

– Nikt nie wie, że tu jestem – wyszeptała.

– I nikt nas nie może zobaczyć – odpowiedziałem równie cicho.

Doszedł mnie szept:

– Tak się przestraszyłam.

W tej samej chwili czterdzieści stóp nad nami, z oświetlonej wciąż jeszcze werandy niespodziewanie rozległo się wyraźnie naglące wołanie Frei:

– Antonia!

Stłumiwszy okrzyk, niezdecydowana dziewczyna zniknęła ze ścieżki. Zaszeleściły pobliskie zarośla. Potem nic. Czekałem w zdumieniu. Światła na werandzie zgasły. Czekałem jeszcze przez chwilę, a potem poszedłem dalej, ku swojej łodzi, zdumiony jak nigdy.

Pamiętam tak dobrze wydarzenia towarzyszące tej wizycie, ponieważ wtedy po raz ostatni widziałem bungalow starego Nelsona. Kiedy dotarłem do cieśnin, czekały na mnie telegramy, które zmusiły mnie do natychmiastowego porzucenia pracy i nagłego powrotu do domu. Rozpaczliwie szamotałem się, żeby dostać miejsce na łodzi pocztowej, która odchodziła nazajutrz, zdołałem jednak napisać jeszcze dwa krótkie listy: jeden do Frei, drugi do Jaspera. Później napisałem jeszcze jeden dłuższy, tym razem już tylko do Allena. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Odszukałem jego brata, czy raczej brata przyrodniego, który był notariuszem w mieście, drobnego, spokojnego człowieczka o ziemistej cerze, patrzącego na mnie uważnie znad okularów.

Jasper był jedynym dzieckiem z drugiego małżeństwa swojego ojca, związku, który raczej nie wzbudził zachwytu dorosłych już dzieci jego pierwszej żony.

– Nie miał pan wiadomości od wieków – powtórzyłem, skrywając irytację. – Czy mogę zapytać, co w tym kontekście znaczy „od wieków”?

– Znaczy, że jest mi wszystko jedno, czy mam wiadomości od niego, czy nie – odrzekł mały prawnik niespodziewanie przykrym tonem.

Nie mogłem winić Jaspera za to, że nie chciał tracić czasu na korespondencję z tak niesympatycznym krewnym. Czemu jednak nie napisał do mnie – w końcu całkiem przyzwoitego przyjaciela? A w każdym razie na tyle dobrego, że brak odzewu zapisał na karb niepamięci towarzyszącej stanowi nieziemskiej rozkoszy? Czekałem wyrozumiale, ale nic nigdy nie przyszło. A i Wschód w ogóle znikł z mojego życia bez echa, niczym kamyk spadający w głąb przepastnej studni.

## IV

Zdaje się, że chwalebne motywy mogą usprawiedliwić niemal wszystko. Cóż zresztą bardziej godnego pochwały niż dziewczęce postanowienie, by nie martwić „biednego papy”, oraz troska o to, by mężczyznę, którego się wybrało, wszelkimi sposobami utrzymać z dala od okazji do nieprzemyślanych działań, od wszystkiego, co mogłoby zagrozić planowi wspólnego szczęścia?

Nic bardziej czułego i roztropnego. Trzeba także pamiętać o samodyscyplinie tej dziewczyny, a także o ogólnej u kobiet – mam tu na myśli kobiety rozsądne – niechęci do nagłaśniania podobnych spraw.

Jak już powiedziano, Heemskirk zjawił się w zatoce Nelsona jakiś czas po przybyciu Jaspera. Na widok brygu stojącego tuż pod bungalowem oczywiście wpadł we wściekłość. Bynajmniej nie wbiegł na ląd, zanim kotwica jego kanonierki położyła się na dnie, jak miał to w zwyczaju Jasper. Przeciwnie, przechadzał się po deku rufowym, mamrocząc coś do siebie z irytacją w głosie. Istnienie Frei, które Jaspera wznosiło w wysokie rozejmy zachwytu, dla Heemskirka było powodem tajemnej tortury, całych godzin wyczerpujących rozmyślań.

Mijając bryg, krzyknął ostro, pytając, czy kapitan na pokładzie. Schultz, nienagannie elegancki w białym stroju, nieco rozbawiony tym pytaniem, wychylił się nad relingiem rufowym. Z uśmiechem spojrzał w dół na parowiec Heemskirka i nadając swemu pięknemu głosowi ton najuprzejmiejszy, odpowiedział:

– Kapitan Allen jest w domu, sir.

Wyraz twarzy zmienił mu się natychmiast, kiedy na tę informację usłyszał wściekłe warknięcie:

– Z czego się, u licha, śmiejesz?

Przyglądał się, jak Heemskirk wchodzi na ląd, zamiast jednak udać się do domu, skręca w inną ścieżkę, prowadzącą na plantację.

Udręczony żądzą Holender zastał starego Nelsona (czy Nielsena) w suszarniach. Doglądając tam prac przy zbiorze tytoniu, który, choć niewielki, był niemniej wyśmienitej jakości, bardzo był rozradowany. Heemskirk szybko jednak położył kres tej drobnej szczęśliwości. Dosiadł się do starego i prowadząc rozmowę, świetnie na tę okoliczność wykalkulowaną, doprowadził go niebawem do stanu skrywanego, lecz obezwładniającego zdenerwowania. Była to ta straszna rozmowa o „władzach", a stary Nelson starał się bronić. Jeśli miał do czynienia z angielskimi kupcami, to tylko dlatego, że przecież musiał się jakoś pozbyć swoich towarów. Był tak ugodowy, jak tylko się dało, i chyba to właśnie rozjuszyło Heemskirka, który aż dyszał z gniewu.

– A najgorszy z nich jest ten Allen – burczał. – Pański szczególny przyjaciel, co? Wpuścił pan tu całą chmarę tych Anglików. Nie powinni byli dać się panu tu osiedlić. Nigdy. Co ten Allen tu robi?

Stary Nelson (czy Nielsen), wpadając w wielkie podniecenie, oświadczył, że Jasper Allen wcale nie jest jego szczególnym przyjacielem. W ogóle nie jest jego przyjacielem, w ogóle. Tyle że kupił od niego trzy tony ryżu, żeby wyżywić swoich robotników. Czy to ma być dowód przyjaźni? Heemskirk wyrzucił z siebie w końcu myśl, która gnębiła go wewnętrznie od tak dawna:

– Jasne. Sprzeda trzy tony ryżu i poflirtuje przez trzy dni z tą pańską dziewczyną. Mówię do pana jako przyjaciel, Nielsen. To nie może tak być. Pan tu siedzisz tylko z łaski.

Stary Nelson, w pierwszej chwili zaskoczony, szybko zebrał się w sobie. Nie może tak być! Rzeczywiście! Jasne, że nie może tak być! Allen to ostatni ze wszystkich ludzi na ziemi. Ale jego dziewczyna o niego nie

dba i za dużo ma rozsądku, żeby zakochać się w kimkolwiek! Z wielką powagą zaczął przelewać na Heemskirka własne poczucie absolutnej pewności w tej sprawie. A porucznik, rzucając niespokojne spojrzenia na boki, jeszcze był skłonny dać temu wiarę. Jednakże mruknął:

– Akurat dużo pan o tym wie.

– Owszem, wiem – upierał się Nelson z rosnącą determinacją, bo chciał zagłuszyć kiełkujące w nim samym wątpliwości. – Moja córka! W moim domu i ja bym miał nie wiedzieć! No co pan. To by był, poruczniku, dobry żart.

– Wygląda na to, że nieźle się rozumieją – zauważył Heemskirk ponuro. – Przypuszczam, że i teraz są razem – dodał, czując ukłucie w sercu, które zmieniło szyderczy uśmiech na jego twarzy w dziwaczny grymas.

Udręczony Nelson machnął na niego ręką. W głębi był wstrząśnięty tym uporem, którego absurdalność po trochu zaczynała go irytować.

– A tego… Coś panu powiem, poruczniku – niech pan pójdzie do domu i łyknie sobie przed obiadem ginu z tonikiem. Niech zawołają Freyę. Ja muszę tu dopilnować, żeby mi schowali na noc ostatnią partię tego tytoniu, ale zaraz przychodzę.

Heemskirk nie był od tego. Ta propozycja odpowiadała jego tajemnej tęsknocie, która nie była wszakże tęsknotą za szklaneczką. Stary Nelson troskliwie wołał jeszcze za nim, żeby się rozgościł i że na werandzie jest pudełko cygar.

Nelson miał na myśli zachodnią werandę, tę, która służyła jako salonik i miała najwyższej jakości zasłony z ciętego rattanu. Weranda wschodnia, przeznaczona do jego prywatnego użytku, wydymania policzków i innych objawów zatroskanej zadumy, urządzona była za pomocą grubych zasłon z płótna żaglowego. Północna weranda w zasadzie nie była werandą. Był to raczej długi balkon. Nie miał połączenia z pozostałymi i można się było tam dostać tylko korytarzem biegnącym przez dom. Stanowiła więc odosobniony zakątek sprzyjający panieńskim medytacjom bez słów, a także

pozbawionym w zasadzie sensu dysputom, które, jeśli prowadzą je młoda kobieta i młody mężczyzna, nabierają nadprzyrodzonych znaczeń.

Weranda północna porośnięta była pnączem. Freya, której pokój wychodził na tę stronę, urządziła sobie na niej rodzaj buduaru z kilkoma trzcinowymi fotelikami i podobną sofą. Na tej właśnie sofie siedzieli we dwoje z Jasperem, tak bardzo blisko siebie, jak tylko się da na tym niedoskonałym świecie, gdzie ani jedno ciało nie może znajdować się w dwu miejscach naraz, ani też dwa ciała nie mogą zajmować jednocześnie tego samego miejsca. Siedzieli tak przez całe popołudnie i nie mogę powiedzieć, by ich rozmowa pozbawiona była sensu. Freya, która kochała go nie bez pewnej dozy rozsądnej troski o to, by w stanie uniesienia, w jakim się znajdował, nie złamał sobie serca przez jakieś niefortunne zdarzenie, Freya zatem, rzecz jasna, przemawiała do niego trzeźwo. Jasper, który z dala od niej był zawsze nerwowy i szorstki, na jej widok wydawał się jakby oszołomiony tym wielkim cudem, że oto naprawdę jest kochany. Był dzieckiem starego ojca, wcześnie stracił matkę, w bardzo młodym wieku został rzucony na morze, nie zaznał więc zbyt wiele czułości.

Późnym popołudniem na tej odosobnionej, porosłej zielenią werandzie lekko pochylony trzymał w rękach dłonie Frei i całował raz jedną, raz drugą, a ona uśmiechała się i spoglądała na jego głowę wzrokiem przepełnionym uczuciem zrozumienia. W tym samym momencie Heemskirk zbliżał się do domu od strony północnej.

Stała tam na straży Antonia. Nie była jednak zbyt czujną strażniczką. Słońce chyliło się ku zachodowi. Wiedziała, że jej pani i kapitan brygu Bonito niebawem mają się rozstać. Przechadzała się to tu, to tam po cienistym zagajniku z kwiatem wpiętym we włosy, podśpiewując sobie cicho, kiedy nagle, dosłownie stopę od niej zza drzewa wyłonił się kapitan parowca. Antonia podskoczyła jak wystraszona kura, ale Heemskirk, jasno pojmując rolę dziewczyny, skoczył na nią i łapiąc ją za ramię, drugą ręką zakrył jej usta.

– Spróbuj pisnąć, to kark ci skręcę.

Ta brutalna figura retoryczna ją przeraziła. Heemskirk dostrzegł już na werandzie jasną głowę Frei i drugą tuż przy niej. Pociągnął niestawiającą oporu Antonię za sobą okrężną drogą ku podwórzu, gdzie mocno pchnął ją ku bambusowym chatom dla służby.

Antonia była rzeczywiście jak pokojówka z włoskiej komedii, ale w przerażeniu bezgłośnie odskoczyła od tego grubego, czarnookiego mężczyzny, który brutalnie ściskał ją mocnymi paluchami. Trzęsąc się na całym ciele, potwornie wystraszona, ale na poły gotowa się roześmiać, widziała, jak Heemskirk wchodzi od tyłu do domu.

Wnętrze bungalowu podzielone było dwoma korytarzami przecinającymi się na środku. W tym właśnie miejscu Heemskirk delikatnie skłonił głowę w lewo i zdobył dowody „rozumienia się" tak jawnie przeczące zapewnieniom starego Nelsona, że aż się zachwiał, a krew uderzyła mu do głowy. Dwie białe postaci, wyraźnie rysujące się pod światło, stały w jednoznacznej pozycji. Ramiona Frei otaczały szyję Jaspera. Ich twarze w charakterystyczny sposób nakładały się na siebie. Heemskirk przeszedł korytarzem dalej z gardłem ściśniętym nagle od przekleństw, dotarł w końcu do zachodniej werandy, gdzie potknął się na oślep o jeden z foteli, a następnie rzucił się na drugi, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa. Zbyt długo przyzwyczajał się do myśli, że może mieć Freyę na własność. „To tak przyjmujesz gości, ty…" – pomyślał z taką wściekłością, że nie był w stanie znaleźć wystarczająco poniżających epitetów.

Freya wyswobodziła się lekko z uścisku i odrzuciła głowę w tył.

– Ktoś wszedł – wyszeptała. Jasper, przyciskając ją mocno do piersi i spoglądając w dół ku jej twarzy, rzucił zdawkowo:

– Twój ojciec.

Freya starała się wyrwać, ale nie miała serca, by odepchnąć go od siebie.

– Zdaje mi się, że to Heemskirk – wymówiła bezgłośnie.

On, w cichym zachwycie zatopiony w jej oczach, na dźwięk tego nazwiska uśmiechnął się leciutko.

– Ten dureń stale niszczy mi boje na rzece – szepnął. Nie przywiązywał do istnienia Heemskirka żadnego innego znaczenia. Freya jednak zastanawiała się, czy kapitan ich widział.

– Puść mnie, dzieciaku – rozkazała nieznoszącym sprzeciwu szeptem. Jasper posłuchał, ale odsunąwszy się od niej, nadal wpatrywał się w jej twarz, teraz pod innym kątem.

– Muszę pójść i sprawdzić – powiedziała Freya z niepokojem. Poleciła mu pospiesznie, by po jej wyjściu odczekał chwilę, a potem wymknął się na tylną werandę i spokojnie zapalił papierosa, zanim się pokaże.

– Nie zostawaj dziś długo – to było jej ostatnie polecenie, zanim go opuściła. Swoim lekkim, pospiesznym krokiem weszła na zachodnią werandę. Przekraczając próg, zdołała spuścić fałdy podwiązanych zasłon na końcu korytarza, aby osłonić Jaspera wymykającego się z altany. Kiedy tylko weszła, Heemskirk podskoczył, jakby chciał do niej podbiec. Zatrzymała się, a on ukłonił się jej przesadnie nisko. Rozdrażniło ją to.

– O, to pan, panie Heemskirk. Jak się pan ma?

Mówiła swoim zwyczajnym tonem. W mroku głębokiej werandy nie mógł całkiem zobaczyć jej twarzy. Nie ufał własnemu głosowi, tak był rozwścieczony tym, co zobaczył. Dodała ze spokojem:

– Papa niebawem nadejdzie. – A on w myślach obrzucił ją stekiem najgorszych przekleństw, zanim zza jego ściśniętych ust dobiegło:

– Widziałem już pani ojca. Rozmawialiśmy w suszarniach. Opowiedział mi różne interesujące rzeczy. O, bardzo interesujące…

Freya usiadła. Pomyślała: „Na pewno nas widział”. Nie czuła wstydu. Bała się tylko jakiejś głupiej czy niewygodnej komplikacji. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak bardzo Heemskirk w myślach nią zawładnął. Starała się podtrzymać rozmowę.

– Przypłynął pan z Palembang, prawda?

– Hę? Co? A, tak! Przypłynąłem z Palembang. Cha, cha, cha! Wie pani, co ojciec powiedział? Powiedział, że się martwi, że pani się tu musi bardzo nudzić.

– I przypuszczam, że teraz płynie pan w kierunku Molukków – ciągnęła Freya, która chciała przekazać Jasperowi jak najwięcej przydatnych informacji. Poza tym zawsze była rada, wiedząc, że gdy nie może mieć tych dwu na oku, dzieli ich odległość kilkuset mil.

Heemskirk warknął wściekle.

– Tak. Na Molukki – rzucił, wpatrując się w jej cienistą postać. – Pani ojciec uważa, że tu jest dla pani zbyt spokojnie. Coś pani powiem, panno Freyo. Nie ma tak spokojnego miejsca na świecie, w którym kobieta nie znalazłaby okazji, żeby kogoś nabić w butelkę.

Freya pomyślała: „Nie mogę dać się sprowokować”. W tej chwili młody Tamil, który był głównym służącym Nelsona, wszedł ze światłem. Zwróciła się do niego od razu ze szczegółowymi wskazówkami, gdzie ustawić lampy, poprosiła, żeby przyniósł tacę z ginem i tonikiem i żeby zawołał do domu Antonię.

– Będę musiała zostawić pana na chwilę samego, panie Heemskirk – powiedziała.

Poszła do swojego pokoju, by zmienić sukienkę. Przebierała się szybko, chciała wrócić na werandę, zanim jej ojciec i kapitan znów się spotkają. Postanowiła, że sama ustali dziś wieczór stosunki między tymi dwoma. Ale Antonia, wciąż jeszcze wystraszona i rozhisteryzowana, pokazała jej siniak na ramieniu, który wzmógł oburzenie Frei.

– Skoczył na mnie z krzaków jak tygrys – powiedziała dziewczyna, chichocząc nerwowo z przerażeniem w oczach.

„Co za bydlę – pomyślała Freya. – To oznacza, że zamierzał nas - szpiegować”. Była zagniewana, ale wspomnienie grubego Holendra odzianego w białe portki, szerokie w biodrach i wąskie przy kostkach, z tymi jego pagonami i tępą czarną głową, wgapiającego się w nią w świetle lamp, było tak odrażająco komiczne, że nie mogła opanować grymasu. Ale czuła też niepokój. W ten stan wprowadziła ją niedorzeczność tych trzech mężczyzn: gwałtowność Jaspera, strachliwość ojca, zadurzenie Heemskirka. Dla dwu pierwszych miała wiele czułości i postanowiła, że

okaże całą swą kobiecą dyplomację. To wszystko, powiedziała sobie, niedługo skończy się na zawsze.

Na werandzie Heemskirk, rozwalony w fotelu, z wyciągniętymi nogami i białą czapką ułożoną na brzuchu, rozpalał się we wściekłości człowieka podłego, zupełnie niezrozumiałej dla takiej dziewczyny jak Freya. Podbródek oparł na piersi, kamienny wzrok wbił we własne buty. Freya przyglądała mu się zza zasłony. Nie poruszył się. Był żałosny. A jednak ten absolutny bezruch robił wrażenie. Freya przekradła się korytarzem na wschodnią werandę, gdzie Jasper siedział cicho w ciemności i jak grzeczny chłopiec robił to, co mu poleciła.

– Psst – syknęła. Stał przy niej w jednej chwili.

– Tak, co jest? – szepnął.

– To chrabąszcz – szepnęła z niepokojem. Pod wrażeniem złowrogiej nieruchomości Heemskirka niemal chciała Jasperowi powiedzieć, że zostali nakryci. Nie miała jednak wcale pewności, czy Heemskirk powie o tym ojcu – a w każdym razie, czy zrobi to tego wieczora. Szybko doszła do wniosku, że najbezpieczniej będzie wypchnąć Jaspera z domu najszybciej, jak tylko się da.

– Co robi? – zapytał Jasper spokojnym, ściszonym głosem.

– Ach, nic takiego! Nic. Siedzi i wygląda na wściekłego. Ale wiesz, jak papa zawsze się nim denerwuje.

– Twój ojciec jest całkowicie nieracjonalny – oświadczył Jasper.

– Nie wiem – powiedziała tonem pełnym wątpliwości. Coś z obaw starego Nelsona przed władzą, których musiała codziennie wysłuchiwać, zostawiło ślad i w niej. – Nie wiem. Papa obawia się, że – jak to mówi – zrujnują go na starość. Posłuchaj no, dzieciaku, lepiej, żebyś jutro rano zmył się bardzo wcześnie.

Jasper miał nadzieję na jeszcze jedno popołudnie z Freyą, na popołudnie pełne cichego szczęścia przy boku tej dziewczyny i z widokiem na bryg, w oczekiwaniu cudownej przyszłości. Jego milczenie wyrażało rozczarowanie, które Freya świetnie zrozumiała. I ona była zawiedziona. Ale to jej zadaniem było zachować rozsądek.

– Nie będziemy mieć dla siebie nawet chwili, kiedy chrabąszcz łazi po domu, dobrze o tym wiesz.

– Powinno się donieść gdzie trzeba, że opieszale wykonuje swoje obowiązki – wyszeptał Jasper ze złośliwym uśmieszkiem.

– Wypłyń jutro o świcie – poleciła mu Freya półgłosem.

Przytrzymywał ją, jak zwykle kochankowie. Oponowała, nie wyrywając się jednak, bo trudno jej było się mu oprzeć. Objął ją ramionami i wyszeptał jej do ucha:

– Następnym razem, gdy się spotkamy, następnym razem będę cię tak trzymał już na pokładzie. Ty i ja na statku, cały świat, całe życie… – A potem rzucił: – Cud, że jestem w stanie czekać, że umiem czekać, czuję, że muszę unieść cię teraz, natychmiast. Mógłbym biec, niosąc cię na rękach, po ścieżce, nie potknąłbym się, nie dotykałbym stopami ziemi…

Freya nie poruszyła się. Wsłuchiwała się w jego roznamiętniony głos. Mówiła sobie, że gdyby teraz szepnęła najcichsze „tak”, gdyby tylko westchnęła na zgodę, uczyniłby to, co obiecywał. Był w stanie to zrobić – nie dotykając stopami ziemi. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się w ciemności, na jedną chwilę w rozkosznej niemocy oddając się otaczającym ją ramionom Jaspera. Zanim jednak zechciałby umocnić ten uścisk, już się wyzwoliła, stała przed nim na odległość stopy, całkowicie opanowana.

Teraz była rozsądną Freyą. Wzruszyło ją głębokie westchnienie, które wydała nieruchoma biała postać Jaspera.

– Jesteś szalony, dzieciaku – powiedziała dźwięcznie. A potem, zmieniwszy ton: – Nikt nie może mnie unieść. Nawet ty. Nie należę do dziewcząt, które się unosi.

Biała postać Jaspera jakby skurczyła się leciutko pod siłą tego zdania, więc Freya złagodniała.

– Nie wystarczy ci wiedza, że już mnie uniosłeś? – dodała czułym tonem.

Wyszeptał miłosne słowo, a ona mówiła dalej:

– Obiecałam ci – powiedziałam, że przyjdę – i zrobię to z własnej woli. Będziesz na mnie czekał na pokładzie. Wejdę na burtę, sama, i podejdę do ciebie po pokładzie, i powiem: „No to jestem, dzieciaku”. A wtedy – a wtedy zostanę uniesiona. Ale nie uniesie mnie żaden człowiek, nie porwie mnie żaden człowiek, tylko bryg, twój bryg – nasz bryg… Tak, kocham tę piękność!

Usłyszała nieartykułowany dźwięk, coś jakby jęk bólu czy rozkoszy, i już jej nie było. Na drugiej werandzie siedział przecież ten drugi mężczyzna, ten ciemny, ponury Holender, który mógł wywołać sprzeczkę między Jasperem a ojcem, sprowokować kłótnię, nieprzyjemne słowa, a może bójkę. Co za straszna sytuacja. Nawet odsuwając na bok tę koszmarną ostateczność, dręczyła się myślą, że miałaby przez trzy miesiące żyć przy nieszczęsnym, udręczonym, złym, roztargnionym, niedorzecznym człowieku. A kiedy nastąpi ten dzień, dzień i godzina, co zrobi, jeśli ojciec będzie się starał zatrzymać ją siłą? Nie było to w gruncie rzeczy niemożliwe. Czy byłaby w stanie walczyć z nim wręcz? Ale tak naprawdę obawiała się lamentów i błagań. Czy będzie je umiała wytrzymać? Cóż by to była za straszna, okropna, żałosna sytuacja!

„Tak nie będzie. Ojciec nic nie powie” – pomyślała, energicznie wchodząc na zachodnią werandę, a zobaczywszy, że Heemskirk się nie poruszył, usiadła na fotelu najbliżej drzwi i obserwowała go. Rozwścieczony porucznik nie zmienił pozycji; tyle że czapka spadła mu z brzucha i leżała teraz na podłodze. Ściągnął grube, czarne brwi, ukradkowo spoglądając na Freyę. Jego rzucane na boki spojrzenia w połączeniu z zakrzywionym nosem i całą zwalistą, niezgrabną, rozlazłą postacią tak bardzo uderzyły Freyę swą komiczną posępnością, że nie mogła powstrzymać uśmiechu. Robiła, co mogła, by nadać swojej minie ugodowy charakter. Nie chciała niepotrzebnie prowokować Heemskirka.

Porucznik, dostrzegłszy ten uśmiech, udobruchał się. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego wygląd, wygląd oficera marynarki w mundurze, może rozśmieszać taką dziewczynę bez żadnej pozycji – córkę starego Nielsena. Wspomnienie otaczających ją ramion Jaspera wciąż jednak złościło go

i wzburzało. „Latawica! – pomyślał. – Uśmiechasz się, co? To tak się zabawiasz. Pięknie oszukujesz ojca, co nie? Masz ochotę na takie zabawy, co? No to zobaczymy…” Nie zmienił pozycji, ale na jego wydętych wargach także pojawił się uśmieszek wstrętnego i złowrogiego rozbawienia, wzrok tymczasem powrócił do kontemplacji butów.

Frei z oburzenia zrobiło się gorąco. Jasno oświetlona siedziała w blasku lampy, swoje piękne, kształtne dłonie złożyła na kolanach… „Obrzydliwa kreatura” – pomyślała. Twarz jej pokraśniała od nagłego gniewu.

– Bardzo pan przestraszył moją pokojówkę, nie może teraz przyjść do siebie – powiedziała na głos. – Co pana opętało?

Heemskirk był do tego stopnia zatopiony w myślach o Frei, że jej głos, wypowiadający te niespodziewane słowa, zaskoczył go niezmiernie. Podniósł raptownie głowę i spojrzał na nią z tak wielkim oszołomieniem, że Freya powtórzyła z niecierpliwością:

– Mówię o Antonii. Posiniaczył jej pan rękę. Dlaczego pan to zrobił?

– Chce się pani ze mną kłócić? – zapytał lepkim głosem, z niejakim zdumieniem. Zamrugał oczami niczym sowa. Jaki śmieszny. Freya, jak wszystkie kobiety, miała wyostrzone poczucie śmieszności zewnętrznego wyglądu.

– Ależ nie. Raczej nie. – Nie mogła się powstrzymać. Zaśmiała się otwarcie, jasnym, nerwowym śmiechem, do którego Heemskirk dołączył swoje ochrypłe:

– Cha, cha, cha!

Na zewnątrz rozległy się kroki i głosy, weszli Jasper ze starym Nelsonem. Stary Nelson popatrzył na córkę z zadowoleniem, lubił bowiem, kiedy porucznik miał dobry humor. I on dołączył się do śmiechu.

– No, poruczniku, czeka na nas obiad – powiedział, zacierając wesoło ręce. Jasper podszedł wprost do balustrady. Niebo było rozgwieżdżone, czerń ciemnej aksamitnej nocy nad zatoką gęstniała, a światła pozycyjne brygu i kanonierki unosiły się w niej niczym zawieszone iskry. „Następnym razem, kiedy te światła będą błyszczały tam w dole, ja będę czekał na nią na rufie brygu, aż przyjdzie i powie: »No to jestem«” – myślał Jasper.

I czuł, jakby serce rosło mu w piersi, rozszerzone tak gwałtownym poczuciem szczęścia, aż z ust niemal wyrwał mu się okrzyk. Nie było wiatru. Pod nim nie poruszał się ani listek, nawet morze było tylko spokojnym cieniem, bez skargi. W oddali, na bezchmurnym niebie błyskawice, blade tropikalne błyskawice igrały drżąco wśród niskich gwiazd, rozbłyskując krótkimi, lekkimi, tajemniczymi błyskami, niczym niezrozumiałe sygnały z jakiejś odległej planety.

Obiad minął spokojnie. Freya siedziała naprzeciw ojca, spokojna, choć blada. Heemskirk odzywał się wyłącznie do starego Nelsona. Jasper zachowywał się wzorowo. Trzymał oczy gdzie należy, grzejąc się w bliskości Frei, tak jak ludzie grzeją się w słońcu bez spoglądania w niebo. Zaraz po obiedzie, pamiętając o otrzymanych poleceniach, oświadczył, że czas najwyższy, by wracał do siebie.

Heemskirk nie podniósł wzroku. Zatopiony w bujanym fotelu, ssąc cygaro, sprawiał wrażenie, że planuje jakiś ohydny wybuch. Tak przynajmniej zdawało się Frei. Stary Nelson powiedział od razu:

– Zejdę z panem.

Wcześniej zaczął zawodową rozmowę na temat niebezpieczeństw wybrzeża Nowej Gwinei i chciał opowiedzieć Jasperowi o własnych doświadczeniach „z tamtych okolic”. A Jasper umiał słuchać! Freya poruszyła się, jakby chciała im towarzyszyć, ale ojciec zmarszczył brwi, potrząsnął głową i wskazał znacząco w stronę znieruchomiałego - Heemskirka, który z przymkniętymi oczami wypuszczał spomiędzy wydętych warg obłoczki dymu. Nie należy kapitana zostawiać samego. Jeszcze się obrazi, albo co.

Freya usłuchała. „Może lepiej, żebym została” – pomyślała sobie. Kobiety zwykle nie mają skłonności, by oceniać własne zachowanie, mniej jeszcze, by je potępiać. Za etykę tego postępowania odpowiadają w dużej mierze zawstydzające męskie niedorzeczności. Jednak spoglądając na Heemskirka, Freya poczuła żal, a nawet wyrzuty sumienia. Gruba, zwalista sylwetka kazała myśleć o obżarstwie, choć w istocie porucznik zjadł bardzo mało. Za to sporo wypił. Mięsiste płaty jego silnie pomarszczonych uszu

spurpurowiały. Przy płaskich, ziemistych policzkach wyglądały tak, jakby stanęły w ogniu. Przez dłuższy czas nie podnosił ciężkich, brunatnych powiek. Pozostawać na łasce takiego typa – to poniżające, a Freya, która zawsze na koniec była sama ze sobą szczera, pomyślała: „Gdybym od początku otwarcie rozmawiała z papą! No, ale wtedy jakie nieznośne by mi zafundował życie!”. Tak, mężczyźni byli niedorzeczni na wiele sposobów; miłosny jak Jasper; niepraktyczny jak ojciec; ohydny jak ta groteskowa, bezwolna kreatura tu, w tym fotelu. Czy dałoby się go przekonać? Może nie będzie to konieczne? „Och, nie mogę z nim rozmawiać!” – pomyślała. A kiedy Heemskirk, wciąż na nią nie patrząc, zaczął rozgniatać swoje do połowy wypalone cygaro na tacy od kawy, przestraszyła się, przesunęła ku pianinu, otwarła je w straszliwym pośpiechu i jeszcze zanim dobrze usiadła, już nacisnęła klawisze.

W jednej chwili cała weranda, cały pozbawiony dywanów, stojący na palach drewniany bungalow wypełniła gwałtowna mieszanina dźwięków. Ale nawet spoza nich słyszała, wyczuwała na deskach podłogi ciężki, szurający krok porucznika, chodzącego tam i z powrotem za jej plecami. Nie był może pijany, a jednak wystarczająco podchmielony, żeby to, co podpowiadała mu jego rozogniona wyobraźnia, wydało mu się całkowicie wykonalne, a wręcz sprytne; pięknie, bezlitośnie sprytne. Freya, świadoma, że zatrzymał się tuż za nią, grała dalej, nie odwracając głowy. Grała z natchnieniem, błyskotliwie, jakiś przesycony uczuciem utwór, ale gdy dotarł do niej jego głos, poczuła, że oblewa ją zimny pot. Głos, nie słowa. Bezczelna poufałość jego tonu napełniła ją taką odrazą, że w pierwszej chwili nie była w stanie pojąć, co takiego Heemskirk do niej mówi. Mówił lepko.

– Domyślałem się… Oczywiście, że domyślałem się waszych sprawek. Nie jestem dzieckiem. Ale między domyślaniem się a zobaczeniem – zobaczeniem, rozumie pani – jest spora różnica. Takie rzeczy… No, proszę! Człowiek nie jest z kamienia. A kiedy dziewczyna niepokoi mężczyznę, tak jak pani niepokoiła mnie, panno Freyo, na jawie i we śnie, wtedy, rzecz

jasna… Ale ja jestem człowiekiem światowym. Pani na pewno się tutaj nudzi… naprawdę nie może pani przerwać tego przeklętego grania…?

To ostatnie zdanie było jedynym, które usłyszała naprawdę. Pokręciła przecząco głową i w rozpaczy nacisnęła pedał, ale dźwięk pianina i tak nie mógł zagłuszyć jego podniesionego głosu.

– Jestem tylko zaskoczony, że pani… Anglik z floty handlowej, taki zwykły facet. Bezczelny plebs zalewający te wyspy, ja bym sobie z tym tałatajstwem szybko poradził. Tymczasem tu ma pani dobrego przyjaciela, dżentelmena gotowego wielbić panią u jej stóp – pięknych stópek – oficera, człowieka rodzinnego. Dziwne, co nie? Ale co z tego! Pani musi dostać księcia!

Freya nie odwróciła głowy. Twarz jej zamarła z grozy i oburzenia. Ta przygoda znacznie przerastała jej wyobrażenie o tym, co może się zdarzyć. Nie w jej charakterze było zerwać się i uciec. Zdawało jej się także, że jeśli się poruszy, nie wiadomo, co może się zdarzyć. Zaraz wróci ojciec, a wtedy Heemskirk też będzie musiał wyjść. Najlepiej było go ignorować – ignorować. Grała dalej, głośno i bezbłędnie, jakby była tu sama, jakby Heemskirk nie istniał. To postępowanie go zirytowało.

– No! Może pani oszukiwać ojca – wrzeszczał rozeźlony – ale ze mnie pani idioty nie zrobi! Koniec z tym piekielnym hałasem! Freyo… hej! Skandynawska bogini miłości! Koniec! Słyszy pani? Bo tym właśnie jesteś – miłości! A pogańskie bóstwa to tylko diabły w przebraniu, i tym właśnie pani jest – ukrytym małym diabłem. Koniec, mówię, albo podniosę panią z tego stołka!

Stojąc za jej plecami, pożerał ją wzrokiem, od złotej korony jej sztywno wzniesionej nieruchomej głowy po obcasy bucików, linię jej delikatnych ramion, łagodny kontur jej figury kołyszącej się nieznacznie nad klawiaturą. Miała na sobie lekką sukienkę z rękawami zakończonymi przy łokciach koronkowymi mankietami. Wokół talii zawiązała atłasową wstążkę. W przypływie niepohamowanej, rozpaczliwej nadziei chwycił ją obiema rękami w talii, a wtedy irytująca muzyka nagle ustała. Choć wyrwała się szybko temu dotykowi (okrągły stołek przewrócił się

z trzaskiem), usta Heemskirka, celując w jej szyję, wycisnęły z cmoknięciem pożądliwy pocałunek tuż pod jej uchem. Przez chwilę trwała głęboka cisza. Potem on zaśmiał się słabo.

Trochę go speszyła jej biała, nieruchoma twarz i wielkie fiołkowe oczy, które wpatrywały się w niego niczym skamieniałe. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Stała z nim twarzą w twarz, jedną ręką wsparła się lekko o krawędź pianina. Druga z mechanicznym uporem tarła miejsce, którego dotknęły jego wargi.

– No i o co chodzi? – odezwał się obrażonym tonem. – Przestraszyłem? No już, kończmy te bzdury. Nie chce mi pani powiedzieć, że jeden pocałunek panią tak przeraża… Ja swoje wiem… Nie mam zamiaru dać się wypchnąć…

Wgapiał się w jej twarz z takim napięciem, że już jej nawet dokładnie nie widział. Wszystko wokół niego było mgliste. Zapomniał o przewróconym stołku, zahaczył o niego stopą i poleciał do przodu, mówiąc jednocześnie przypochlebnym tonem:

– Trochę się na tym znam, serio. Zacznijmy od paru całusów…

Więcej nie powiedział, bo poczuł straszny wstrząs, połączony z ogłuszającym dźwiękiem. Swoim pięknym okrągłym ramieniem Freya wzięła zamach z taką mocą, że pod wpływem uderzenia dłoni o płaski policzek porucznik zrobił półobrót. Wydając z siebie cichy chrapliwy jęk, Heemskirk przyłożył obie ręce do lewej strony twarzy, która natychmiast nabrała głęboko ceglanej barwy. Freya stała wyprostowana, jej fiołkowe oczy pociemniały, dłoń mrowiła ją od ciosu, leciutki, pełen determinacji skrywany uśmiech odsłonił delikatny błysk jej białych zębów; dotarł do niej dźwięk pospiesznych, ciężkich kroków ojca na ścieżce poniżej werandy. Jej twarz utraciła teraz wyraz zadziorności i wyrażała troskę. Żal jej było starego. Pochyliła się szybko, żeby podnieść stołek, jakby chciała zatrzeć ślady wydarzenia… Ale na nic. Zanim Nelson wszedł po schodach, powróciła do poprzedniej pozycji, z jedną ręką wspartą o pianino.

Biedny ojciec! Jaki będzie wściekły – jaki zgnębiony! A potem – ile niepokoju, jakie nieszczęście. Dlaczego od razu nie rozmawiała z nim

otwarcie? Niewinne spojrzenie jego okrągłych oczu zabolało ją do żywego. Nie patrzył jednak na nią. Skierował spojrzenie na Heemskirka, który odwrócony do niego plecami, nadal trzymając ręce przy twarzy, syczał przez zęby przekleństwa i (widziała go z profilu) rzucał jej spojrzenia jednego ze swych czarnych oczu.

– Co się stało? – zapytał stary Nelson, głęboko zdumiony.

Freya nie odpowiedziała. Myślała o Jasperze na pokładzie brygu, spoglądającym na rozświetlony bungalow, i poczuła strach. Łaska boska, że przynajmniej jeden z nich był daleko. Pragnęła tylko, by znajdował się setki mil stąd. Ale z drugiej strony nie miała pewności, że właśnie tego pragnie. Gdyby Jasper w czarodziejski sposób znalazł się z powrotem na werandzie, porzuciłaby całą tę swoją siłę, swój upór i opanowanie na cztery wiatry i rzuciła się w jego ramiona.

– Co się dzieje? Co jest? – dopytywał się Nelson, popadając w rozdrażnienie. – Dopiero co grałaś jakąś melodię, a…

Freya, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa w obawie przed tym, co ma nastąpić (i pod wrażeniem tego złego, czarnego, utkwionego w niej oka), wskazała tylko głową na porucznika, jakby chciała powiedzieć: „Spójrz na niego!”.

– No co! – wykrzyknął stary Nelson. – No widzę. Co, do diaska…

Tymczasem ostrożnie zbliżył się do Heemskirka, który bezładnie wyrzucał z siebie przekleństwa i tupał nogami. Upokorzenie ciosu, śmieszność jego położenia i niemożność wzięcia odwetu doprowadziły go do stanu szaleństwa tak strasznego, że czuł, że zaraz zawyje z wściekłości.

– Ooooo – jęczał, chodząc po werandzie z taką siłą, jakby każdym krokiem chciał przebić podłogę.

– Co, zranił się w twarz? – zapytał w osłupieniu stary Nelson. Aż nagle w jego niewinnym umyśle zaświtała prawda. – Mój Boże! – zawołał. – Przynieś brandy, szybko, Freyo! Dopadło pana, poruczniku? Diabelstwo, prawda? Wiem, wiem! Mnie się też to zdarza, tak nagle, że można zwariować… i buteleczkę laudanum z apteczki też weź, Freyo! Popatrz dobrze… Nie widzisz, że pana porucznika boli ząb?

Jakie też inne wyjaśnienie mogło przyjść do głowy naszemu prostodusznemu Nelsonowi, gdy zobaczył policzek otulony obiema dłońmi, dzikie spojrzenia, tupanie, niekontrolowane skręty ciała. Utrafienie w prawdziwą przyczynę wymagałoby nadnaturalnej bystrości. Freya się nie poruszyła. Wpatrywała się we wbite w nią wściekle przenikliwe, potajemnie czarne spojrzenie Heemskirka. „Chciałbyś, żeby ci to uszło płazem” – powiedziała sobie. Patrzyła na niego bez ruchu, przemyśliwując sprawę. Pokusa, by rzecz zakończyć i pozbyć się na przyszłość kłopotu, była nie do odparcia. Niemal niezauważalnie skinęła głową na zgodę i usunęła się.

– Szybko z tą brandy! – wołał stary Nelson, kiedy znikała w korytarzu.

Heemskirk dał upust swym głębszym uczuciom, wyrzucając nagle w jej stronę stek przekleństw po holendersku i po angielsku. Dawał też do woli wyraz swemu szałowi, biegając po werandzie i kopiąc krzesła stojące mu na drodze. Tymczasem Nelson (czy Nielsen), którego współczucie zostało poruszone do żywego takimi dowodami straszliwego bólu, krążył wokół swego drogiego (i przerażającego) porucznika niczym stara kwoka.

– Mój Boże, mój Boże, aż tak boli? Wiem, co to jest. Zdarzało mi się nie raz, nie dwa, że nastraszyłem swoją biedną żonę. Często się to panu przytrafia?

Heemskirk wściekle odganiał go od siebie, wyrzucając z siebie krótki, szalony śmiech. Ale drepczący za nim gospodarz brał to za dobrą monetę; człowiek tak strasznie udręczony bólem zęba musi się zachowywać nieodpowiedzialnie.

– Niech pan idzie do mnie – proponował natrętnie. – Niech się pan wyciągnie na łóżku. Zaraz przyniesiemy coś, żeby panu ulżyć.

Chwycił nieszczęśliwca za ramię i delikatnie popychał go ku łóżku, na które Heemskirk rzucił się w nowym przypływie wściekłości z taką mocą, że aż odbił się od materaca i wyskoczył na stopę w górę.

– Mój Boże! – wykrzyknął przestraszony Nelson i jak nieprzytomny wybiegł z pokoju, by szybciej dostarczyć brandy i laudanum,

rozzłoszczony, że tak mało skwapliwie niesie się ulgę jego cennemu gościowi. W końcu sam przyniósł co trzeba.

Pół godziny później stał w wewnętrznym korytarzu, wsłuchując się z zaskoczeniem w ciche, spazmatyczne dźwięki o nieznanym pochodzeniu, ni to śmiech, ni to szloch. Zmarszczył brwi, następnie udał się wprost do pokoju córki i zapukał do drzwi.

Freya, której twarz okalały wspaniałe włosy falami spływające po ciemnoniebieskim szlafroczku, otwarła.

Światło wewnątrz było przytłumione. Skulona w kącie Antonia, kiwając się w przód i w tył, wydawała ciche jęki. Stary Nelson nie miał zbyt wiele doświadczenia z gatunkami kobiecego śmiechu, ale był pewien, że słyszy tu śmiech.

– Jakże bezdusznie! Jak bezdusznie! – rzekł z wyraźnym niezadowoleniem. – Cóż takiego zabawnego w tym, że ktoś cierpi boleści? Uważam, że kobieta… że młoda dziewczyna…

– Ale on był taki śmieszny – wymamrotała Freya, a oczy błyszczały jej tajemniczo w półmroku korytarza. – A poza tym ja go, wie papa, nie lubię – dodała niepewnym głosem.

– Śmieszny! – powtórzył stary Nelson, zdumiony takim dowodem okrucieństwa u tak młodej osoby. – Nie lubisz go! Czy chcesz przez to powiedzieć, że ponieważ go nie lubisz, uważasz… Ech, to jest okrucieństwo! Czy wiesz, że to jest chyba najgorszy rodzaj bólu? Były przypadki, że psy od tego dostawały szału!

– On, jak się zdaje, z pewnością dostał szału – odpowiedziała Freya z wysiłkiem, jakby walczyła z jakimś sekretnym uczuciem.

Ale ojciec wszedł już na obroty.

– Poza tym wiesz, kim on jest. Wszystko dostrzega. To człowiek, który może się obrazić o najmniejszy drobiazg, typowy Holender, ja zaś chcę mieć z nim dobre układy. Bo to jest tak, moja droga: jeśli ten nasz radża narobi jakichś głupstw – sama dobrze wiesz, że to ponury, zbuntowany dziad – a władze wbiją sobie do głowy, że ja miałem na niego zły wpływ, to możesz się wkrótce znaleźć bez dachu nad głową…

Freya wykrzyknęła niezbyt pewnym tonem:

– Ależ to bzdury, ojcze! – I dostrzegła, że Nelson jest zły, tak zły, że aż zdolny do ironii; tak, stary Nelson (czy Nielsen) i ironia! W każdym razie ślad ironii.

– Ależ oczywiście, jeśli masz własne środki, dom, plantację, o których nic nie wiem… – Nie stać go było jednak, by tę ironię podtrzymać. – Powiadam ci, że mnie stąd wykopią – wyszeptał z przekonaniem. – Bez odszkodowania, rzecz jasna. Znam tych Holendrów. A porucznik jest po prostu idealny, żeby zacząć mnie wpędzać w kłopoty. On ma posłuch u wpływowych osób. Za nic nie ośmieliłbym się go obrazić, za nic, bez względu na wszystko… Co mówisz?

Wydała tylko nieartykułowany okrzyk. Jeśli w ogóle przeszło jej przez myśl, by mu o wszystkim opowiedzieć, to w tym momencie zrezygnowała. Było to niemożliwe zarówno ze względu na szacunek dla jego godności, jak i na spokój jego biednego umysłu.

– Osobiście tak bardzo mi na nim nie zależy – wyznał stary Nelson zduszonym głosem i westchnął. – Już mu trochę ulżyło – dodał po chwili milczenia. – Oddałem mu na noc swoje łóżko. Położę się na werandzie w hamaku. Nie, i ja nie mogę powiedzieć, bym go lubił, ale od tego do wyśmiewania człowieka tylko dlatego, że szaleje z bólu, jest bardzo daleko. Zaskoczyłaś mnie, Freyo. Ten policzek ma dość zaczerwieniony.

Ramiona Frei drgnęły konwulsyjnie pod dłońmi, które położył na nich ojcowskim gestem. Potargane, sztywne wąsy Nelsona musnęły jej czoło w pocałunku na dobranoc. Freya zamknęła drzwi i przeszła na środek pokoju, nim pozwoliła sobie na wybuch zmęczonego, pozbawionego radości śmiechu.

– Zaczerwieniony! Dość zaczerwieniony! – powtarzała. – No, mam nadzieję! Dość…

Rzęsy miała mokre. Antonia w swoim kącie chichotała i pojękiwała, i trudno było stwierdzić, gdzie kończą się jęki, a zaczynają chichoty.

I panią, i służącą ogarnął jakiś rodzaj histerii, Freya bowiem, gdy wpadła do swojego pokoju i zastała tam Antonię, zaraz o wszystkim jej

opowiedziała.

– Pomściłam cię, dziewczyno! – wykrzyknęła.

I zaczęły na zmianę śmiać się, płacząc, i płakać, śmiejąc się, jedna przerywała to napomnieniami:

– Cśśś, nie tak głośno! Cicho!

A druga wtrącała:

– Boję się… to zły człowiek.

Antonia bardzo się lękała Heemskirka. Przerażał ją swym wyglądem: te oczy i brwi, usta i nos, ręce i nogi. Trudno o bardziej racjonalną ocenę. Uważała go za złego człowieka, bo w jej oczach miał wygląd złego człowieka. Trudno o mocniejsze podstawy dla opinii. W półmroku pokoju, w którym paliła się tylko nocna lampka przy łóżku Frei, pokojówka wypełzła ze swego kącika i klęknąwszy u kolan swojej pani, powtarzała błagalnym szeptem:

– Tam jest bryg. Kapitan Allen. Uciekajmy od razu, och, uciekajmy teraz! Ja się tak boję. Proszę! Uciekajmy!

„Ja! Uciekać? – pomyślała sobie Freya, nie patrząc nawet na przerażoną dziewczynę. – Nigdy”.

Tej nocy ani rezolutna pani pod moskitierą, ani przerażona służąca, zwinięta na macie przy drzwiach, nie spały zbyt wiele. Oka nie zmrużył też porucznik Heemskirk. Leżał na wznak i mściwie patrzył w ciemność. Płomienne obrazy i poniżające myśli raz po raz przemykały mu przez głowę, podtrzymując i wzmagając jego wściekłość. Cóż za piękna historia, tylko rozpowiadać! Nie wolno dopuścić do tego, żeby się rozniosła. Tę zniewagę trzeba przełknąć w milczeniu. Piękna historia! Oszukany, zwiedziony i jeszcze uderzony przez dziewczynę – a na dodatek pewnie i oszukany przez jej ojca! Ale nie. Stary Nielsen to też ofiara tej bezwstydnej latawicy, bezczelnej kokietki, ten podstępnej, roześmianej, rozcałowanej, kłamliwej…

„Nie, on mnie nie oszukał celowo – rozmyślał udręczony Heemskirk. – Ale ja i tak mu się odpłacę za to, że jest takim imbecylem…”

Może kiedyś. Jedno postanowił sobie twardo: na pewno jutro wymknie się z tego domu bardzo wcześnie. Nie mógłby przecież spojrzeć tej dziewczynie w oczy i nie zwariować z wściekłości.

– Niech to piekło pochłonie! Do wszystkich diabłów! Uduszę się tu, zanim nadejdzie poranek – wymamrotał do siebie, leżąc sztywno na łóżku starego Nelsona i dysząc z braku świeżego powietrza.

Wstał o świcie i ostrożnie skierował się ku drzwiom. Zaskoczył go cichy odgłos w korytarzu – z ukrycia zobaczył wychodzącą Freyę. Ten nieoczekiwany widok odebrał mu resztki sił i unieruchomił w uchylonych drzwiach. Przez wąską szparę dostrzegał koniec werandy. Tam szybkim krokiem szła Freya, by popatrzeć, jak bryg mija przylądek. Ubrana była w ciemny szlafrok, stopy miała bose; zasnęła tuż przed świtem i teraz spieszyła się z obawy, że wyjdzie za późno. Heemskirk nigdy jej takiej nie widział: włosy gładko spływały, odsłaniając kształt głowy i tworząc na plecach jeden gruby warkocz; otoczona była tą niezwykłą aurą młodości, intensywności, żarliwości. W pierwszej chwili ogarnął go podziw, ale zaraz zazgrzytał zębami. Nie mógł tego znieść. Znieruchomiały w drzwiach wymamrotał przekleństwo.

Freya wydała ciche głębokie „ach!”, gdy zobaczyła wypływający bryg, i sięgnęła po lunetkę Nelsona umieszczoną na wspornikach wysoko na ścianie. Szeroki rękaw szlafroka zsunął się, odsłaniając jej białą rękę aż po ramię. Heemskirk, ściskając gałkę od drzwi, jakby chciał ją zmiażdżyć, czuł się niczym człowiek, który podnosi się właśnie po pijackim ciągu.

Freya wiedziała, że Heemskirk ją obserwuje. Wiedziała. Kiedy wyszła na korytarz, zauważyła, że jego drzwi się poruszyły. Z pogardliwą goryczą, z triumfalną nienawiścią czuła na sobie jego wzrok. „Stoisz tam – pomyślała, poziomując lunetkę. – No i bardzo dobrze, gap się!”

Zielone wysepki pokazały się niczym czarne cienie, popielate morze było gładkie jak szkło. Na czystej szacie bezbarwnego świtu, w którym nawet bryg wydawał się cieniem, od wschodu zalśnił świetlisty obrąbek. Freya dostrzegła na pokładzie Jaspera, także z lunetką skierowaną w stronę bungalowu, odłożyła więc swoją i uniosła nad głowę piękne ramiona. W tej

postawie, jakby wcielenia najwyższego krzyku, stała nieruchomo, rozświetlona podziwem Jaspera, który docierał do niej, postaci w szkle jego lunetki, lecz rozgrzana też poczuciem namiętnej złości, wrażeniem wlepionych w nią od tyłu płonących, pożądliwych oczu tego drugiego. W gorączce rozkochania, w nagłym kaprysie myśli, z ową tajemniczą wiedzą o męskiej naturze, z którą kobiety chyba się rodzą, pomyślała: „Patrzysz – będziesz patrzył – musisz! No to coś zobaczysz”.

Przycisnęła obie ręce do ust, potem wyrzuciła je w powietrze, posyłając ponad morzem pocałunek, jakby chciała wraz z nim rzucić ku brygowi swoje serce. Twarz miała zaróżowioną, oczy jej lśniły. Powtarzanym namiętnym gestem posyłała setki pocałunków, i jeszcze, i jeszcze, tymczasem wstające powoli słońce przynosiło światu cudowność kolorów, barwiąc wysepki na zielono, morze na niebiesko, a bryg w dole na biało – zalśniła biel rozłożystych żagli i czerwień bandery powiewającej na najwyższym maszcie niczym maleńki płomyk.

Za każdym razem szeptała z wznoszącą intonacją:

– Weź to… weź to… i to… – Aż nagle jej ramiona opadły. Zobaczyła, jak bandera opada w odpowiedzi, a w następnej chwili przylądek zakrył rufę statku i straciła go z oczu. Wtedy odwróciła się od balustrady, spuściwszy wzrok, z zagadkowym wyrazem twarzy wolno minęła drzwi pokoju ojca i znikła za kotarą.

Zamiast jednak pójść dalej korytarzem, bardzo cicho stanęła w ukryciu po drugiej stronie, żeby zobaczyć, co się teraz będzie działo. Przez jakiś czas szeroka, umeblowana weranda była pusta. Potem drzwi sypialni starego Nelsona otwarły się gwałtownie i wykuśtykał z nich Heemskirk. Włosy miał potargane, oczy nabiegłe krwią, a jego nieogolona twarz była niemal czarna. Wściekle się rozejrzał, dostrzegł na stole swoją czapkę, schwycił ją i skierował się ku schodom, cicho, ale dziwnym, chwiejnym krokiem, jakby w ostatnim zrywie uchodzących z niego sił.

Kiedy tylko jego głowa znikła poniżej poziomu podłogi, Freya wyszła zza zasłony, usta mocno zacisnęła w determinacji, w błyszczących oczach nie było ani śladu miękkości. Heemskirk nie wymknie się stąd bez nauczki.

O nie! Była przejęta, drżała na całym ciele, zwęszyła krew! Musi mu dać do zrozumienia, że wiedziała, że ją podgląda; musi mu dać do zrozumienia, że widziała, jak haniebnie chyłkiem się wymyka. Ale pobiec do balustrady od frontu i zawołać coś za nim byłoby dziecinadą, prymitywnym, niegodnym zachowaniem. Zresztą co zawołać? Jakie słowo? Jakie zdanie? Nie, to było niemożliwe. Więc co?… Zmarszczyła brwi i już wiedziała – rzuciła się do pianina, które przez całą noc stało otwarte, i kazała potworowi z drzewa różanego zawarczeć pełnym złości basem. Uderzała akordy, jakby paliła ze strzelby w ślad za tą pokraczną, szeroką sylwetką w obszernych spodniach i czarnej kurtce mundurowej ze złotymi pagonami, a następnie rzuciła ku niemu tę samą melodię, którą grała poprzedniego wieczora – współczesną dramatyczną pieśń miłosną, już nieraz odpowiadającą na grzmoty i burze ponad wyspami. Podbijała rytm z triumfalną złośliwością, a tak była tym - zaabsorbowana, że nie zauważyła ojca, który w naciągniętym na piżamę znoszonym szlafroku w kratę przybiegł tu z tylnej werandy, żeby dowiedzieć się, co jest przyczyną tak niewczesnego koncertu. Wpatrywał się w córkę ze zdumieniem.

– Co się dzieje?… Freya! – Pianino niemal zagłuszało jego głos. – Co się stało z porucznikiem? – krzyknął.

Spojrzała na niego niewidzącymi oczyma, jakby jej dusza zatopiła się w muzyce.

– Poszedł.

– Coo?… Dokąd?

Lekko potrząsnęła głową i grała dalej, jeszcze głośniej. Niewinne oczy starego Nelsona powędrowały do otwartych drzwi sypialni, a potem omiatały od góry do dołu całe pomieszczenie, jakby porucznik był jakimś maleńkim stworzeniem, które być może przycupnęło gdzieś na ścianie albo pełzało właśnie po podłodze. Ale ostry gwizd dochodzący z dołu wbił się w szeroką, rozwibrowaną falę dźwięków, która wylewała się z instrumentu. Porucznik był już na dole, w zatoce i wzywał łódź, żeby zabrała go na pokład kanonierki. Wydawało się, że strasznie mu się spieszy, bo niemal natychmiast zagwizdał znowu, odczekał chwileczkę i znowu dał sygnał,

tym razem bardzo długi, niekończący się i przykry dla ucha niczym pozbawiający tchu wrzask. Freya nagle przerwała grę.

– Wraca na pokład – rzekł zaniepokojony całym zdarzeniem stary Nelson. – Co go tak wcześnie poderwało? Dziwny facet. I diabelsko drażliwy. Nie zdziwiłbym się, gdyby to twoje zachowanie wczoraj wieczór tak go uraziło. Widziałem, co robisz, Freyo. Po prostu śmiałaś mu się w twarz, gdy on cierpiał męki z powodu tej neuralgii. W ten sposób nie wzbudzi się niczyjej sympatii. Obraziłaś go.

Dłonie Frei spoczywały teraz bez ruchu na klawiaturze. Pochyliła jasną głowę, nagle czując niezadowolenie, nerwowe znużenie, jakby miała za sobą jakiś wyczerpujący kryzys. Stary Nelson (czy Nielsen) z zatroskaną miną obracał w swojej łysej głowie plany dalszego postępowania.

– Wydaje mi się, że dobrze by było, żebym zszedł do niego na pokład w jakimś momencie i dopytał się, jak jego samopoczucie – stwierdził. – Czemu mi jeszcze nie przynoszą herbaty? Słyszysz, Freyo? Muszę powiedzieć, że mnie zdumiewasz. Nie przypuszczałem, by młoda dziewczyna mogła być taka bezduszna. A przecież porucznik ma się za naszego przyjaciela! Co? Może nie? W każdym razie nazywa siebie przyjacielem, a to coś znaczy dla kogoś takiego jak ja. Oczywiście! Tak, tak, muszę zejść do niego na pokład.

– Musi papa? – wyszeptała Freya apatycznie, a w myślach dodała: „Biedak!”.

## V

Jeśli chodzi o kolejne siedem tygodni, to należy powiedzieć tylko tyle, że po pierwsze, stary Nelson (czy Nielsen) nie dopełnił swej dyplomatycznej misji. Kanonierka Neptun należąca do Jego Wysokości Króla Niderlandów pod dowództwem rozwścieczonego i oburzonego porucznika Heemskirka opuściła zatokę o nieoczekiwanie wczesnej porze. Kiedy ojciec Frei – dopilnowawszy, by cenny zbiór tytoniu został odpowiednio rozłożony na

słońcu – zszedł na brzeg, parowiec już znikał za przylądkiem. Stary Nelson przez wiele dni nad tym ubolewał.

– No i nie wiem nawet, w jakim nastroju ten człowiek odpłynął – lamentował wobec swojej niewzruszonej córki. Zadziwiała go jej hardość. Niemal przerażała go swoją obojętnością.

Następnie należy odnotować, że tego samego dnia kanonierka Neptun, kierując się na wschód, minęła bryg Bonito, unieruchomiony przez flautę w pobliżu cieśniny Karimata, z dziobem również skierowanym na wschód. Kapitan brygu Jasper Allen, oddający się z całą świadomością czułym, zachwycającym marzeniom o Frei, nie wstał nawet z fotela, by spojrzeć na Neptuna, który przepływał tak blisko, że dym buchający gwałtownie z jego niewysokiego czarnego komina przetoczył się pomiędzy masztami brygu, zasłaniając na krótką chwilę rozświetloną słońcem biel żagli, oddanych na służbę miłości. Jasper nawet nie odwrócił głowy, by spojrzeć. Za to stojący na mostku Heemskirk długo i z namysłem przyglądał się z oddali brygowi, mocno zaciskając dłonie na relingu, lecz gdy statki się przybliżyły, stracił pewność siebie i ukrył się w sterówce, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Siedział tam przez wiele godzin ze zmarszczonym czołem i ustami skrzywionymi w sardonicznym rozmyślaniu – jakby Prometeusz w okowach niecnego pożądania, któremu szpony i dziób upokorzonej namiętności wyszarpują wnętrzności.

A ten gatunek ptactwa nie daje się tak łatwo odstraszyć jak kurczęta. Oszukany, nabrany, wystrychnięty na dudka, oburzony, wyszydzony – szpony i dziób! Złowieszcze ptaszydło! Porucznik nie miał najmniejszego zamiaru stać się tematem plotek na Archipelagu: oto oficer, którego spoliczkowała dziewczyna. Czy ona naprawdę może być zakochana w tym łotrze kupczyku? Starał się o tym nie myśleć, ale w odosobnieniu dopadły go różne odczucia, jeszcze gorsze niż myśli. Widział ją – dokładnie, z bliska, ze szczegółami, plastycznie, barwnie, świetliście – widział ją uwieszoną temu facetowi na szyi. Zamknął oczy, ale przekonał się natychmiast, że to nic nie pomaga. Potem gdzieś obok zaczęło grać pianino, bardzo wyraźnie; zatkał uszy palcami, także bez efektu. Nie dało się tego

znieść, zwłaszcza w samotności. Wyskoczył ze sterówki, zaczął mówić coś do oficera na mostku, gwałtownie i bez sensu, ale to szydercze pianino nadal grało.

Ostatnia rzecz, którą należy odnotować, to fakt, że porucznik Heemskirk, zamiast podążać wyznaczoną trasą na Terante, gdzie go oczekiwano, zboczył z kursu i udał się do Makassar, gdzie nikt się go nie spodziewał. Kiedy tam dotarł, zgłosił się do gubernatora czy innych władz, udzielił pewnych wyjaśnień i złożył pewną propozycję, uzyskując zgodę na takie postępowanie, jakie w pewnych sprawach uzna za stosowne. Wówczas Neptun, porzucając w ogóle myśl o Terante, ruszył na północ, ku górzystemu wybrzeżu Celebesu, a następnie przecinając szerokie cieśniny, zakotwiczył przy niskim brzegu porosłym dziewiczym lasem, nienaruszonym i milczącym, na wodach, które nocą fosforyzują, a za dnia są głęboko błękitne, o połyskujących zielonkawo połaciach nad podwodnymi rafami. Przez kilka dni można było zobaczyć Neptuna krążącego gładko tam i z powrotem wzdłuż ponurej ściany wybrzeża lub stojącego jakby na straży przy srebrzystych meandrach szerokich estuariów, pod wielkim, jaśniejącym niebem, które nigdy nie łagodnieje, nie zasnuwa się chmurami, ale zalewa ziemię wiecznotrwałym blaskiem tropikalnego słońca, a niezakłócony splendor jego blasku przygniata serce niewyobrażalną melancholią, o wiele bardziej dojmującą, przenikającą i głębszą niż szary smutek północnych mgieł.

Handlowy bryg Bonito wysunął się zza ponurego, porosłego lasem przylądka, płynąc po srebrnych wodach ujścia wielkiej rzeki. Oddech wiatru, który go napędzał, nie poruszyłby nawet płomienia pochodni. Bonito wypłynął na otwartą przestrzeń zza zasłony nieporuszonych liści, w tajemniczym milczeniu, w bieli godnej ducha, jakby się skradał tym swoim niezauważalnym ruchem. Jasper, z łokciem wspartym o wanty grotmasztu, podtrzymując głowę dłonią, myślał o Frei. Wszystko na tym świecie przywodziło mu ją na myśl. Piękno ukochanej kobiety trwa w pięknie natury. Nabrzmiałe zarysy wzgórz, krągłości wybrzeża,

swobodne zakola rzeki mniej są gładkie niż harmonijne kształty jej ciała, a kiedy się porusza, jakby lekko sunęła, jej gracja każe myśleć o potędze nadprzyrodzonych mocy, rządzących budzącym fascynację światem widzialnym.

Jasper, tak jak wszyscy ludzie uzależniony od rzeczy, kochał swój statek – dom swych marzeń. Przekazał mu cząstkę duszy Frei. Ten pokład był oparciem dla ich miłości. Posiadanie tego brygu – kojąca pewność już osiągniętego szczęścia – łagodziło w nim namiętność.

Księżyc w pełni wschodził już na niebo, doskonały i spokojny, płynął w powietrzu cichym i przejrzystym jak spojrzenie Frei. Najlżejszy dźwięk nie zakłócał ciszy na pokładzie.

„W takie noce jak ta ona będzie stała tu, przy moim boku” – w uniesieniu myślał Jasper.

I w tym właśnie momencie, w tym spokoju, w tej łagodności, pod tym dobrotliwym spojrzeniem pełni księżyca, jakże sprzyjającym kochankom, na morzu bez jednej zmarszczki, pod niebem bez jednej chmurki, jakby cała natura – w akcie szyderstwa – przybrała wygląd najłaskawszy z możliwych, kanonierka Neptun oderwała się od ciemnego wybrzeża, przy którym kotwiczyła w ukryciu, i ruszyła kursem kolizyjnym ku ustawionemu do wyjścia w morze brygowi Bonito.

Dostrzegłszy kanonierkę wysuwającą się z kryjówki, pierwszy oficer Schultz o fascynującym głosie natychmiast zaczął zdradzać oznaki dziwnego podniecenia. Przez cały dzień, kiedy tylko wypłynęli z malajskiego miasteczka w górze rzeki, na jego twarzy malował się smutek; Schultz wykonywał obowiązki z miną człowieka, któremu na sercu leży jakiś ciężar. Jasper zauważył to, ale oficer, odwracając się od niego, jakby nie chciał, żeby się mu przyglądano, wymamrotał coś o bólu głowy i lekkiej gorączce. Musiało mu się nasilić wtedy, gdy umykając przed swoim kapitanem, zastanawiał się na głos:

– Czego ten facet może od nas chcieć?…

Ktoś, kto stoi nago w lodowatym wietrze i stara się nie drżeć z zimna, odezwałby się głosem mniej rozdygotanym z niepewności. Ale to może

było z powodu gorączki – przez nagłe przeziębienie.

– Po prostu chce nam dokuczyć – odpowiedział Jasper z doskonałym humorem. – Już tego próbował. Zaraz się o wszystkim przekonamy.

I rzeczywiście niebawem oba statki zbliżyły się do siebie na odległość głosu. Bryg – piękny kształt o białych żaglach – w świetle księżyca wyglądał zwiewnie jak nimfa. Kanonierka – krótka, kanciasta, z kikutami czarnych kominów sterczących niczym martwe drzewa na tle świetlistego nieba tej olśniewającej nocy – rzucała na wodę dzielącą oba statki ciężki cień.

Freya, niby wszędobylski duch, nawiedzała oba statki, jakby była jedyną kobietą na świecie. Jasper pamiętał o jej pełnych powagi przestrogach, by miarkować się i uważać na to, co robi i co mówi, gdy jest daleko od niej. Przy tym dość nieoczekiwanym spotkaniu czuł wręcz w uchu oddech tych pospiesznych poleceń, które zwykle padały w chwili rozstania; słyszał to na wpół żartobliwe wyszeptane na koniec: „Pamiętaj, dzieciaku, nigdy ci nie wybaczę”, i szybkie ściśnięcie ramienia, na co odpowiedział spokojnym, pewnym siebie uśmiechem. Heemskirka ścigały inne wspomnienia. Nie było w nich żadnych szeptów, tylko obraz. Widział dziewczynę uwieszoną na szyi tego włóczęgi – tego włóczęgi, który właśnie odpowiedział na jego okrzyk. Widział ją, jak przemyka boso przez werandę, by tymi swoimi wielkimi, jasnymi szeroko otwartymi, żarliwymi oczyma patrzeć na bryg – na ten bryg. Gdyby wrzeszczała, złorzeczyła, rzucała wyzwiskami!… A ona po prostu nad nim zatriumfowała. I to wszystko. Zwiedziony (w co święcie wierzył), wystrychnięty na dudka, oszukany, rozwścieczony, uderzony, wyszydzony… Szpony i dziób! Ci dwaj, tak odmiennie nawiedzani przez Freyę z Siedmiu Wysp, nie byli równymi sobie przeciwnikami.

W pełnym napięcia bezruchu, który opadł na oba statki – jak we śnie – w świecie, który sam też był jak subtelny sen, łódź kierowana przez jawajskich wioślarzy podpłynęła po ciemnej wodzie do burty brygu. Siedzący w niej biały sierżant, być może strzelec, wszedł na pokład. Był to niski człowiek o okrągłym brzuchu i astmatycznym głosie. W blasku księżyca jego nieporuszona twarz wyglądała niczym pozbawiona życia,

a kiedy szedł, wielkie ramiona zwieszały się po obu stronach jego tułowia, jakby był wypchaną kukłą. Sprytne oczka błyszczały jak płytki miki. Łamaną angielszczyzną przekazał Jasperowi polecenie, by udał się na pokład Neptuna.

Jasper nie spodziewał się czegoś tak niezwykłego. Jednak po krótkim namyśle postanowił nie okazywać ani irytacji, ani nawet zdziwienia. Rzeka, z której wypłynął, przez parę lat była sceną politycznych niepokojów, miał więc świadomość, że jego podróże w tych okolicach obserwowano nie bez pewnej podejrzliwości. Nie obawiał się nieprzyjemności spotkania z władzą, przed którą zawsze drżał stary Nelson. Przygotował się do opuszczenia brygu, a Schultz poszedł za nim aż do relingu, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale w końcu stanął tylko w milczeniu. Schodząc z pokładu, Jasper zauważył trupią bladość jego twarzy. Oczy człowieka, który na tym brygu znalazł ocalenie przed zgubnymi skutkami dziwnego działania własnej psychiki, patrzyły teraz na niego z niemym błagalnym wyrazem.

– Co się dzieje? – zapytał Jasper.

– Zastanawiam się, jak to się skończy – rzekł Schultz swoim pięknym głosem, który fascynował nawet zrównoważoną Freyę. Gdzie jednak podział się teraz ten czarujący tembr? Słowa oficera zabrzmiały jak krakanie wrony.

– Jesteś chory – rzekł Jasper z przekonaniem.

– Wolałbym być trupem! – zabrzmiała zdumiewająca odpowiedź Schultza, który mówił do siebie, doprowadzony do ostateczności jakimś tajemniczym zmartwieniem. Jasper spojrzał na niego uważnie, ale nie był to dobry moment na wnikanie w chorobowe stany człowieka w gorączce. Schultz nie wyglądał zresztą, jakby w tej chwili majaczył, i to musiało wystarczyć. Rzucił się jednak ku Jasperowi:

– Ten facet ma złe zamiary – wyjęczał rozpaczliwie. – Ma wobec pana złe zamiary, kapitanie. Czuję to i…

Niejasne emocje aż odebrały mu głos.

– W porządku, Schultz. Nie dam mu się sprowokować – uciął rzecz Jasper i wskoczył do łódki.

Na pokładzie Neptuna Heemskirk, stojąc na szeroko rozstawionych nogach w księżycowym blasku, rzucał atramentowy cień przez cały achterdek. Nawet się nie poruszył, gdy Jasper podszedł do niego, lecz poczuł, że na widok tego człowieka w głębi jego piersi wzbiera coś jakby gwałtowne falowanie morza. Jasper stał przed nim, czekając w milczeniu.

Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, natychmiast przybrali styl swoich przypadkowych spotkań u starego Nelsona. Lekceważyli się nawzajem – Heemskirk ponuro, Jasper z absolutnie bezbarwną obojętnością.

– Co się dzieje na rzece, z której pan właśnie wypłynął? – zapytał Heemskirk bez żadnych wstępów.

– Nic nie wiem o niepokojach, jeśli o to pan pyta – odpowiedział Jasper. – Zostawiłem tam połowę ładunku ryżu, za który nic nie wziąłem w zamian, i odpłynąłem. Nie ma tam teraz zbyt wiele handlu, ale gdybym się nie zjawił, za tydzień zaczęliby głodować.

– Wścibianie nosa! Angielskie wścibianie nosa! A może tym łotrom nie trzeba niczego lepszego niż głód? Co?

– Tam są kobiety i dzieci, wie pan – zauważył Jasper swym niezmiennym tonem.

– O tak! Kiedy Anglik zaczyna mówić o kobietach i dzieciach, można mieć pewność, że chodzi o jakąś śmierdzącą sprawę. Trzeba będzie przyjrzeć się pańskim działaniom.

Mówili na zmianę, jakby byli bezcielesnymi duchami – głosami w pustym powietrzu, niczym więcej. Patrzyli jeden na drugiego, jakby mieli przed sobą pustkę, obdarzając się wzajemnie taką dozą uwagi, jaką poświęca się martwemu przedmiotowi, nie większą. Teraz jednak zapadło milczenie. Heemskirk pomyślał nagle: „Ona mu o wszystkim opowie. Opowie ze śmiechem, wisząc mu u szyi”. A wtedy ogarnęło go tak gwałtowne i zajadłe pragnienie zabicia Jaspera tu i teraz, natychmiast, że niemal stracił zmysły. Utracił mowę, utracił wzrok. Przez chwilę po prostu nie widział Jaspera. Usłyszał jednak, że ten pyta, jakby zwracał się do całego świata:

– Czy mam zatem rozumieć, że bryg zostaje zatrzymany?

Heemskirk wrócił do siebie w nagłym przypływie wściekłej satysfakcji.

– Owszem. Biorę go teraz do Makassar.

– O legalności tego posunięcia zadecyduje sąd – odparł Jasper z pozorną obojętnością, choć zdawał sobie sprawę, że rzecz zaczyna brzmieć poważnie.

– Ach, oczywiście! Sąd! A co do pana, pozostanie pan tu, na pokładzie.

Kamienny bezruch zdradził niepokój Jaspera na myśl o tym, że przyjdzie mu rozdzielić się ze swym ukochanym statkiem. Trwało to dosłownie sekundę. Zaraz odwrócił się i zawołał ku brygowi. Schultz odpowiedział:

– Tak, kapitanie.

– Przygotować się do przyjęcia liny holowniczej z kanonierki. Biorą nas do Makassar.

– Dobry Boże! A to dlaczego, kapitanie? – dobiegł go słaby i niespokojny okrzyk Schultza.

– Z uprzejmości, jak sądzę – odkrzyknął Jasper ironicznie, celowo bardzo głośno. – Moglibyśmy tu utknąć we flaucie na nie wiadomo ile. I z gościnności. Jestem zaproszony, by pozostać tutaj, na pokładzie.

Odpowiedzią na tę informację był przeciągły krzyk rozpaczy. Jasper pomyślał z niepokojem: „Ech, facet ma kompletnie zszargane nerwy!” – i z dziwnym poczuciem jakiegoś nieznanego mu dotąd zakłopotania popatrzył na bryg. Myśl o tym, że jest od niego oddzielony – po raz pierwszy, odkąd się spotkali – zachwiała najgłębszymi podstawami mocy jego charakteru, ukrytej pod pozorem lekkomyślności. W tym czasie ani Heemskirk, ani jego atramentowy cień nawet nie drgnęli.

– Wyślę załogę łodzi i oficera na pokład pańskiego statku – rzucił porucznik, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności. Jasper, odrywając się od głębokiej kontemplacji swojego statku, odwrócił się i beznamiętnie, niemal bez emocji zaczął protestować przeciw całej tej procedurze. Myślał o opóźnieniu. Liczył dni. Makassar było mu właściwie po drodze, a dzięki holowaniu rzeczywiście oszczędzi nieco czasu. Z drugiej strony trzeba będzie przechodzić przez jakieś denerwujące

formalności. A cała sprawa była przecież absurdalna. „Chrabąszcz zwariował – pomyślał sobie. – Zwolnią mnie od razu. A jeśli nie, Mesman będzie musiał za mnie poręczyć”. Mesman był to holenderski kupiec, z którym Jasper robił sporo interesów, ważna persona w Makassar.

– Protestuje pan? Ha! – wymamrotał Heemskirk i stał nieporuszony jeszcze przez dłuższą chwilę na wbitych w pokład rozstawionych nogach i z pochyloną głową, jakby pilnie przyglądał się własnemu komicznie rozdwojonemu cieniowi. Potem skinął na grubego strzelca, który stał nieopodal bez ruchu – nikczemny, wypchany okaz tłuściocha o pozbawionej życia twarzy i błyszczących oczach. Teraz podszedł i czekał w gotowości.

– Wejdziesz na pokład z załogą łodzi!

– Ja, mynherr!

– Jeden człowiek ma stać cały czas za sterem – mówił dalej Heemskirk, który nadal wydawał rozkazy po angielsku, najwyraźniej ku pouczeniu Jaspera. – Słyszysz?

– Ja, mynherr!

– Sam zostaniesz na pokładzie i obejmiesz dowództwo.

– Ja, mynherr!

Jasper czuł się, jakby wraz z dowództwem brygu wydzierali mu serce z piersi. Heemskirk, zmieniając ton, zapytał:

– Jaką broń ma pan na pokładzie?

Był taki okres, że wszystkie statki prowadzące handel na morzach chińskich miały pozwolenie na posiadanie pewnej ilości broni palnej w celach obronnych. Jasper odpowiedział:

– Osiemnaście strzelb z bagnetami, które znajdowały się na statku, gdy go kupiłem cztery lata temu. Zostały zgłoszone.

– Gdzie się znajdują?

– W kabinie dziobowej. Pierwszy oficer ma klucz.

– Przejmiesz je – powiedział Heemskirk do strzelca.

– Ja, mynherr!

– A to dlaczego? Co pan chce zasugerować? – zawołał Jasper i zaraz ugryzł się w język. – To jakaś potworność – wymamrotał.

Heemskirk podniósł na niego na chwilę ciężki, jakby przepełniony cierpieniem wzrok.

– Możesz odejść – rzekł do strzelca. Gruby zasalutował i oddalił się.

Przez kolejnych trzydzieści godzin nieustanne holowanie zostało przerwane tylko raz. Kanonierka zatrzymała się na sygnał flagą z forkasztelu brygu. Źle wypchany okaz sierżanta zszedł do łódki, zjawił się na pokładzie Neptuna i pospieszył wprost do kabiny swojego dowódcy, a jego mrugające oczka zdradzały podniecenie czymś, co chciał mu koniecznie natychmiast zakomunikować. Siedzieli zamknięci we dwóch jakiś czas. Stojący przy relingu rufowym Jasper starał się dostrzec, czy na brygu wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Wyglądało jednak na to, że wszystko jest w porządku. Niemniej Jasper wypatrywał strzelca, a choć od zakończenia rozmowy z Heemskirkiem nie odzywał się do nikogo, zatrzymał grubasa, kiedy ten znów pojawił się na pokładzie, żeby zapytać, jak się ma jego pierwszy oficer:

– Nie czuł się dobrze, gdy opuszczałem statek – dodał.

Gruby sierżant, który wyglądał tak, jakby wysiłek dźwigania przed sobą wielkiego brzuszydła wymagał sztywności w zachowaniu, zrozumiał go nie bez pewnej trudności. Na jego twarzy nie pokazała się najmniejsza oznaka poruszenia, w końcu jednak rozbłysły mu oczy:

– Ach, ja. Pierfszy. Ja, ja! Dopsze się ma, dopsze. Ale, mein Gott, jaki to zabawny czlofiek.

Jasper nie doczekał się wyjaśnienia tej uwagi, bo Holender szybko wsiadł do łódki i wrócił na pokład brygu. Pocieszał się jednak myślą, że już niebawem skończy się ta nieprzyjemna i kompletnie niedorzeczna przygoda. Było już widać redę Makassar. Heemskirk minął go w drodze na mostek. Po raz pierwszy spojrzał na Jaspera niewątpliwie znacząco i tak śmiesznie, w dziwaczny sposób wywrócił oczyma – Jasper i Freya już dawno temu stwierdzili, że porucznik jest śmieszny – takie było w tym spojrzeniu ekstatyczne spełnienie, jakby obracał w ustach jakiś smakowity

kąsek, że Jasper nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu. A potem odwrócił się znowu ku brygowi.

Zobaczyć go, swą ukochaną własność, ożywianą cząstką duszy Frei, owo jedyne jak ziemia długa i szeroka miejsce dla nich dwojga, fundament jego namiętności, towarzysza przygód, dzięki któremu będzie mógł przycisnąć spokojną, zachwycającą Freyę do piersi i unieść ją na krańce świata; ujrzeć teraz tę piękność, będącą jakże godnym wcieleniem jego dumy i miłości, ujrzeć ją uwięzioną, związaną na linie holowniczej – to nie było miłe doświadczenie. Miało w sobie coś z koszmaru, jak obraz obciążonego kajdanami morskiego ptaka.

Ale na cóż innego miałby patrzeć? Piękno brygu trafiało wprost do jego serca, czasem z tak wielką siłą czaru, że zapominał, gdzie jest. Poza tym owo poczucie wyższości, które młodemu człowiekowi daje pewność, że jest kochany, to złudzenie, że stoi ponad przeznaczeniem, ponieważ zobaczył czułość w oczach kobiety, pomagało mu – odkąd minął pierwszy wstrząs – przejść przez kolejne doświadczenia z rozbawieniem i pewnością siebie. Jakież bowiem zło może dosięgnąć tego, kto jest wybrankiem Frei?

Było już po południu, słońce oświetlało od tyłu oba zmierzające do portu statki. „Zaraz się skończy ten chrabąszczy żart” – myślał Jasper bez przesadnej wrogości. Jako marynarzowi dobrze obznajomionemu z tą częścią świata, wystarczyło mu krótkie spojrzenie, by zorientować się, którędy płyną. „Oho – pomyślał. – Idzie przez Spermonde. Będziemy zaraz mijać rafę Tamissa”. I powrócił do kontemplacji brygu, ostoi swojej materialnej i uczuciowej egzystencji, która niebawem znów trafi w jego ręce. Na morzu spokojnym niczym staw przy młynie, spod jej dziobu wyłaniała się gładka zmarszczka fali, potężny Neptun bowiem ciągnął z wielką prędkością, jakby szło o zakład. Gruby Holender pojawił się na forkasztelu Bonito, a wraz z nim kilku ludzi. Stojąc tam, przyglądali się wybrzeżu, Jasper tymczasem zatopił się w miłosnym transie.

Nagle podskoczył na głęboki dźwięk parowego gwizdka kanonierki. Obejrzał się powoli. Zerwał się z miejsca jak błyskawica i pognał ku dziobowi statku.

– Idziecie na rafę Tamissa! – wrzasnął.

Wysoko na mostku Heemskirk ciężkim ruchem obrócił głowę. Dwaj marynarze kręcili kołem, a Neptun już odkręcał gwałtownie znad bladej wody pokrywającej niebezpieczeństwo. Ha! W ostatniej chwili. Jasper natychmiast obrócił się, by spojrzeć na bryg, i zanim miał czas, by zdać sobie sprawę, że – najwyraźniej na rozkaz Heemskirka wydany wcześniej strzelcowi – na gwizdek lina holownicza została zwolniona, zanim miał czas wykrzyknąć albo choćby ruszyć ręką, ujrzał, jak puszczony wolno Bonito sunie w dryfie za rufą kanonierki całą siłą swego rozpędu. Patrzył na ten piękny mknący gładko kształt oczyma rozszerzającymi się z niedowierzania i z przerażeniem. Krzyki na pokładzie dobiegły go tylko w postaci straszliwego zmieszanego szmeru, przebijającego się przez głośne dudnienie krwi w uszach, gdy jego statek szedł dalej. Dając straszliwy pokaz swego daru prędkości, z nieporównaną żywością i gracją Bonito mknął przed siebie. Szedł, póki gładka woda przed jego dziobem nie zaczęła jakby opadać, niby wsysana do głębi. Wtedy z dziwnym, gwałtownym wstrząsem masztów stanął, delikatnie pochylił swoje wyniosłe drzewce i znieruchomiał. Znieruchomiał na rafie, tymczasem Neptun na pełnej prędkości pokonał przejście Spermonde i gnał ku miastu. Bonito stał nieruchomo, kompletnie nieruchomo, a w jego postawie był jakiś zły omen, coś nienaturalnego. W jednej chwili delikatna melancholia rzeczy dotkniętych rozkładem opadła na statek w pełnym słońcu; był teraz nie więcej niż drobiną w połyskliwym ogromie, osamotniony już, opustoszały.

– Trzymać go! – rozległ się głos z mostka.

Jasper w gwałtownym odruchu zaczął biec ku swemu brygowi, jak człowiek, który rzuca się, by własnymi rękami wyratować żywą, oddychającą ukochaną istotę znad krawędzi zagłady.

– Trzymać go! Nie puszczać! – wydzierał się porucznik ze szczytu drabinki mostka, a Jasper walczył szaleńczo, bez słowa, tylko jego głowa wydobywała się czasem z dyszącego tłumu załogi Neptuna, która posłusznie rzuciła się na niego.

– Trzymać go! Za nic nie dopuszczę, by ten facet się teraz utopił!

Jasper przestał walczyć.

Kolejno puszczali go, odsuwali się jeden za drugim w skupionym milczeniu, pozostawiwszy go tam, gdzie stał, samego, w coraz szerszej przestrzeni, jakby chcieli dać mu dość miejsca, by padł po tej walce. Nawet się nie zachwiał. Pół godziny później, kiedy Neptun zakotwiczył naprzeciw miasta, nadal stał w miejscu bez ruchu, nawet o włos nie ruszył ręką czy nogą. Gdy tylko ustał łomot łańcucha kotwicznego, Heemskirk ciężko zszedł z mostka.

– Wezwać sampan – rzekł ponuro, przechodząc obok wachtowego przy trapie, a potem powoli podszedł do miejsca, gdzie stał Jasper, przedmiot licznych przerażonych spojrzeń, wpatrujący się w pokład, jakby pogrążony w zadumie. Heemskirk podszedł blisko i przyjrzał mu się z namysłem, przykładając palce do ust. Oto on, ukochany włóczęga, jedyny człowiek, któremu ta piekielna dziewczyna może opowiedzieć całą historię. Ale już go ona nie rozśmieszy. Historia o tym, jak to kapitan Heemskirk… Nie, nie będzie się z tego śmiał. Wygląda teraz, jak gdyby już nigdy w życiu z niczego nie miał się śmiać.

Nagle Jasper podniósł wzrok. Jego oczy, niewyrażające nic poza zdumieniem, spotkały się z oczami Heemskirka, czujnymi i poważnymi.

– Wpadł na rafę – powiedział cichym, pełnym zdumienia głosem. – Na… rafę – powtórzył jeszcze ciszej, jakby gdzieś wewnątrz siebie przyglądał się narodzinom jakiegoś strasznego i niepojętego odczucia.

– Przy najwyższej wodzie, na wiosennych pływach – dopowiedział Heemskirk z mściwym, radosnym okrucieństwem, które błysło i zaraz zgasło. Przerwał, jakby poczuł zmęczenie, wbijając w Jaspera swój arogancki wzrok, a w jego oczach odbiło się – na kształt niosących smutek chmur – tajemne rozczarowanie, odwrotna strona wszelkiej namiętności.

– Przy najwyższej wodzie – powtórzył; w gwałtownym odruchu zerwał z głowy szamerowaną czapkę i pełnym pogardy, teatralnym gestem szurnął ją w powietrzu ku trapowi. – A teraz możesz sobie iść na brzeg, do sądu, ty przeklęty Angliku! – rzucił.

# VI

Historia z brygiem Bonito musiała wzbudzić sensację w Makassar, najpiękniejszym i chyba najczystszym mieście na Wyspach, w którym wszak powodów do ekscytacji nie trafia się zbyt wiele. „Esplanada” wraz ze swymi specyficznymi bywalcami bardzo szybko zdała sobie sprawę, że coś musiało się wydarzyć. Parowiec holujący statek żaglowy dostrzeżono jeszcze daleko na morzu i przyglądano się im przez dłuższy czas, a kiedy do portu wszedł tylko parowiec, zostawiwszy drugą jednostkę na morzu, ciekawość wzrosła. Co się stało? Widać było tylko maszty ze zwiniętymi żaglami, stojące w tym samym miejscu na południe. Wkrótce po całym zatłoczonym nadbrzeżnym bulwarze przebiegła wieść, że na rafie Tamissa jest jakiś statek. Tłum poprawnie zinterpretował ten widok. Przyczyny pozostawały nieznane, któż bowiem mógł skojarzyć imię dziewczyny żyjącej dziewięćset mil dalej z uwięzieniem statku na rafie Tamissa, lub też szukać potencjalnych związków tego wydarzenia z sytuacją psychologiczną co najmniej trojga ludzi, nawet jeśli jedna z nich, porucznik Heemskirk, szedł właśnie między nimi, żeby złożyć ustny raport?

Nie, umysły na „esplanadzie” nie były zdolne do podjęcia tego rodzaju badań, ale liczne dłonie – brązowe, żółte, białe – podnosiły się, by przysłonić wpatrujące się w morze oczy. Plotki rozniosły się szybko. Chińscy sklepikarze stawali w drzwiach, nawet niejeden biały kupiec podnosił się zza biurka i podchodził do okna. Ostatecznie statek na rafie Tamissa nie był widokiem codziennym. Wkrótce zresztą plotki nabrały wyrazistszych kształtów. Pewien angielski handlowiec – z powodu podejrzeń zatrzymany na morzu przez Neptuna – Heemskirk go holował, żeby przesłuchać go w tej sprawie – i przez jakiś dziwny wypadek…

Potem pojawiła się nazwa: „Bonito! – Co? Niemożliwe! Tak, tak – to jest Bonito. Patrzcie – widać nawet stąd. Tylko dwa maszty. To bryg. Nie sądziłem, że ten człowiek da się kiedyś złapać. Heemskirk jest sprytny, nie ma co. Mówią, że na Bonito kabina jest urządzona jak na jakimś pańskim jachcie. No bo ten Allen to jest jednak pan. Żebrak, ale z fasonem!”.

Jakiś młody człowiek wkroczył energicznie do biur Braci Mesman na „esplanadzie”, aż kipiąc od najnowszych wieści.

– Tak, to na pewno jest Bonito! Ale nie wiecie, czego właśnie się dowiedziałem. Ten facet musiał zaopatrywać rzekę w broń przynajmniej przez rok, jak nie dwa. Zdaje się, że zrobił się tak beztroski z powodu długiej bezkarności, że tym razem po prostu sprzedał im swoje własne strzelby ze statku. To szczera prawda. Na pokładzie brak strzelb! Co za bezczelność! Tyle tylko, że nie zdawał sobie sprawy, że na wybrzeżu stoi jeden z naszych okrętów wojennych. Ale ci Anglicy są tak bezczelni! Pewnie uznał, że nic mu za to nie grozi. Nasze sądy zdecydowanie za często wypuszczają takich bratków pod byle żałosnym pretekstem. Tak czy inaczej – to jest koniec kariery słynnego Bonito! Słyszałem w biurze portowym, że to się musiało stać przy najwyższej wodzie; a jest obciążony. Ludzka siła go nie ruszy z tego miejsca, tak mówią. I taką mam nadzieję! Bardzo dobrze by było, żeby ten niesławny Bonito został w tym miejscu jako ostrzeżenie dla innych.

Pan J. Mesman, urodzony w koloniach Holender, zacny starszy człowiek o gładko wygolonej, spokojnej, przystojnej twarzy otoczonej gęstymi stalowoszarymi włosami, które w lekkich falach opadały mu na kołnierz, nie wyrzekł ani słowa w obronie Jaspera i Bonito. Wstał nagle z fotela. Na jego twarzy wyraźnie malowała się troska. Tak się złożyło, że kiedyś wśród zawodowych rozmów o tym i owym, o handlu na wyspach, pieniądzach i tak dalej, Jasper powiedział mu o Frei, a ten znakomity człowiek, znając starego Nelsona sprzed wielu lat, a nawet pamiętając odrobinę Freyę, był wówczas bardzo zdziwiony i rozbawiony takim rozwojem wypadków. „No, no, no! Nelson! Tak, oczywiście. Bardzo uczciwy człowiek. I to dziecko, taka blondyneczka. A, tak! Coś mi się przypomina. A więc wyrosła na taką piękną pannę, tak zdecydowaną, taką…? – I śmiał się niemal w głos. – Kiedy pan już szczęśliwie ucieknie ze swoją wybranką, kapitanie Allen, musi pan przypłynąć w te strony, przyjmiemy ją tu serdecznie. Taka mała blondyneczka! Pamiętam, pamiętam…”

Te właśnie wspomnienia sprowadziły wyraz troski na jego oblicze przy pierwszych wiadomościach o wypadku. Chwycił kapelusz.

– Gdzie się pan wybiera, panie Mesman?

– Idę poszukać Allena. Myślę, że jest na brzegu. Ktoś coś wie?

Nikt z obecnych niczego nie wiedział. Pan Mesman poszedł na „-esplanadę", by się rozpytać.

Druga część miasta, ta położona wokół kościoła i fortu, dowiedziała się o całej sprawie inaczej. Pierwszym, co tu się rzuciło w oczy, była sama postać Jaspera, który szedł szybko, jakby go ścigano. I rzeczywiście, jakiś Chińczyk, pewnie z sampana, podążał w ślad za nim tym samym zdecydowanym krokiem. Nagle, mijając Orange House, Jasper skręcił i wszedł, czy raczej wbiegł do środka, przerażając Gomeza, recepcjonistę hotelu. A Chińczyk, czyniąc przy wejściu straszny raban, domagał się jego natychmiastowej uwagi. Miał pretensje, że biały pan, którego przewiózł na brzeg z kanonierki, nie zapłacił mu za przejazd. Biegł za nim aż tutaj, przez całą drogę, prosząc o należną zapłatę. Ale biały pan nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Gomez zaspokoił kulisa kilkoma miedziakami i poszedł poszukać Jaspera, z którym znał się bardzo dobrze. Zastał go stojącego sztywno przy okrągłym stoliku. Po drugiej stronie werandy kilku siedzących tam mężczyzn przerwało rozmowę i wpatrywało się w niego w milczeniu. Dwaj bilardziści z kijami w rękach podeszli do drzwi, by także się przypatrzeć.

Kiedy Gomez podszedł do niego, Jasper uniósł rękę i wskazał na swoje gardło. Gomez dostrzegł, że jego białe ubranie jest pobrudzone, potem spojrzał na jego twarz i natychmiast pomknął po drinka, którego, jak się należało domyślać, domagał się Allen.

Dokąd chciał iść – w jakim celu – albo dokąd wydawało mu się, że zmierza, gdy nagły impuls na widok znajomego miejsca kazał mu wejść do Orange House – tego nie wiadomo. Czubkami palców wspierał się lekko o blat stolika. Na werandzie znajdowali się dwaj ludzie osobiście dobrze mu znani, ale jego wzrok, krążąc nieustannie jakby w poszukiwaniu drogi ucieczki, przesuwał się po nich tam i z powrotem bez śladu rozpoznania.

Oni zaś, patrząc na niego, nie wierzyli własnym oczom. Nie w tym rzecz, że twarz miał zmienioną. Przeciwnie – była spokojna, nieruchoma. Ale jej wyraz był po prostu nierozpoznawalny. Zastanawiali się w przerażeniu, czy to może być on.

W głowie Jaspera kłębił się chaos jasnych myśli. Absolutnie jasnych. Ta jasność właśnie była tak przerażająca w połączeniu z absolutną niemożliwością pochwycenia choć jednej z nich. Mówił do siebie, czy do tych myśli: „Spokojnie, spokojnie”. Stanął przed nim chiński boy ze szklanką na tacy. Jasper wlał sobie trunek do gardła i wybiegł. Jego zniknięcie jakby zdjęło czar zdumienia z gapiów. Jeden z nich podskoczył szybko na kraniec werandy, skąd roztaczał się widok na całą niemal redę. Kiedy Jasper, wybiegłszy z Orange House, przechodził tuż pod nim przez ulicę, zawołał z przejęciem do pozostałych:

– To na pewno jest Jasper, ale gdzie jego bryg?

Te słowa dotarły do Jaspera z wielką mocą. Rozbrzmiały nimi niebiosa, jakby chcąc przywołać go do porządku; bo przecież tych słów musiałaby użyć Freya! To było miażdżące pytanie; uderzyło w jego umysł jak grom i kiedy tak szedł, nagle chaos jego myśli pogrążył się w mroku. Nie zatrzymał się. W ciemności przeszedł jeszcze trzy kroki i upadł.

Aby go odszukać, zacny Mesman musiał dojść aż do szpitala. Doktor orzekł, że to delikatny udar słoneczny. Nic wielkiego. Wyjdzie za trzy dni… Trzeba przyznać, że miał rację. Za trzy dni Jasper Allen wyszedł ze szpitala i zaczęto go widywać w mieście – i to często – a widywano go tak długo, że stał się jedną z miejscowych atrakcji. Trwało to tyle, że w końcu przestano zwracać na niego uwagę, na tyle długo jednak, by wspomnienie o tym przejmującym widoku zostało wśród mieszkańców wysp do dzisiaj.

Rozmowy na „esplanadzie” oraz pojawienie się Jaspera w Orange House stały się początkiem słynnej sprawy Bonito i pozwoliły dostrzec dwa jej aspekty: praktyczny oraz psychologiczny. Sprawę sądową oraz sprawę uczuciową; ta ostatnia była straszliwie oczywista, a jednak niejasna.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pozostała ona niejasna nawet dla mojego przyjaciela, który napisał do mnie wspomniany na początku opowieści list.

Przyjaciel mój znajdował się wówczas w biurze pana Mesmana i towarzyszył starszemu dżentelmenowi w poszukiwaniu Jaspera. W liście nakreślił mi oba aspekty sprawy oraz niektóre jej epizody. Heemskirk po prostu wyrażał głęboką wdzięczność losowi za to, że nie utracił własnego statku, i tyle. Mgła znad lądu stanowiła wyjaśnienie faktu, że znalazł się tak blisko rafy Tamissa. Uratował własny statek, reszta go nie obchodziła. Co do grubego strzelca, to stwierdził, że w danych okolicznościach uznał, iż puszczenie liny holowniczej jest najlepszym rozwiązaniem, przyznał wszakże, że czuł wielką niepewność w obliczu nagłego charakteru całego zdarzenia.

W istocie jednak ściśle wypełniał nakazy Heemskirka, któremu przez wszystkie lata wspólnej służby na Wschodzie był oddany niczym giermek. W całej sprawie z zatrzymaniem Bonito najbardziej zdumiewająca była jego relacja o tym, że podejmując zgodnie z otrzymanym poleceniem kroki w celu przejęcia broni palnej, odkrył, iż na pokładzie nie ma ani jednej strzelby. Jedyne, co znalazł w przedniej kabinie, to pusty wieszak na przepisową liczbę osiemnastu sztuk broni, ale na całym statku nie stwierdził obecności żadnej z nich. Pierwszy oficer brygu, który wyglądał na chorego, a jego zachowanie zdradzało wielkie rozemocjonowanie, niemal jakby był wariatem, starał się przekonać go, że kapitan Allen nic o tym nie wie; że to on, pierwszy oficer, sam niedawno pod osłoną nocy sprzedał te strzelby komuś nad rzeką. Na dowód prawdziwości tej historii pokazał worek srebrnych dolarów i siłą wciskał go strzelcowi do ręki. Potem nagle rzucił się na pokład i zaczął obiema pięściami okładać po głowie, wykrzykując straszliwe obelgi pod własnym adresem, oskarżając się, że jest niewdzięcznym draniem, który nie zasługuje na to, by dalej żyć.

Wszystko to strzelec przedstawił natychmiast swojemu dowódcy.

Jakie były zamierzenia Heemskirka, kiedy postanowił zatrzymać Bonito, trudno powiedzieć, poza tym że chciał spowodować kłopoty w życiu człowieka, którego wybrała Freya. Spoglądając na Jaspera, pragnął tylko rzucić go na ziemię – tego człowieka od pocałunków i objęć. Pytanie brzmiało: jak to uczynić, by się przy okazji nie zdradzić? Przecież raport

strzelca wystarczał, by sprawa nabrała powagi. Allen miał jednak przyjaciół – kto zaręczy, że nie będą się starali jakoś go z tego wykręcić? Pomysł, by wciągnąć skompromitowany bryg na rafy, przyszedł mu do głowy, gdy słuchał tego, co mu w kabinie opowiadał gruby strzelec. Teraz ryzyko, że jego działanie spotka się z dezaprobatą, było niewielkie. Należało tylko stworzyć pozory wypadku.

Kiedy wyszedł na pokład, obrzucił swoją niczego niespodziewającą się ofiarę tak złowieszczym spojrzeniem przewróconych oczu, z tak dziwacznie wydętymi ustami, że Jasper nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Heemskirk poszedł na mostek, mówiąc sobie: „Poczekaj ty! Ja ci jeszcze zepsuję smak tych słodkich pocałunków. Nie będziesz się ty już uśmiechał, słysząc nazwisko porucznika Heemskirka, przysięgam ci. Jesteś w moich rękach”.

Okazja pojawiła się bez żadnego planu, można wręcz powiedzieć – naturalnie, jakby wydarzenia w tajemniczy sposób same ułożyły się tak, by odpowiadać celom mrocznej wściekłości porucznika. Najprecyzyjniejsze plany nie posłużyłyby Heemskirkowi lepiej. Dane mu było posmakować transcendentalnej, niewiarygodnej doskonałości zemsty; zadać znienawidzonej osobie śmiertelny cios wprost w serce, a następnie przyglądać się, jak ofiara chodzi ze sztyletem w piersi.

Tak bowiem można było opisać stan Jaspera. Poruszał się, działał, ze znużeniem w oczach, z żarliwością na twarzy, chudy i niespokojny, gwałtowny w ruchach i szalony w gestach. Mówił nieustannie rozgorączkowanym i zmęczonym głosem, ale w środku wiedział, że nic już nie zwróci mu brygu, tak samo jak nic nie uleczy przebitego serca. Jego dusza, uspokojona w miłości dzięki nieugiętemu wpływowi Frei, była niczym znieruchomiała, lecz zbyt napięta struna. Wstrząs rozwibrował ją – i pękła. Przez dwa lata w pełnym upojenia zaufaniu czekał na moment, który nigdy już nie nadejdzie, albowiem strata brygu uczyniła go człowiekiem rozbrojonym na całe życie i – jak mu się wydawało – niegodnym tej miłości, dla której nie ma już teraz miejsca na ziemi.

Dzień w dzień kroczył przez całe miasto i dalej po wybrzeżu, aż dotarłszy do punktu znajdującego się naprzeciw tej części rafy, gdzie uwięziony był jego bryg, stawał wpatrzony ponad wodą w ukochany kształt, który niegdyś był domem wzniosłych nadziei, a teraz pochylony, straszliwie unieruchomiony, górując nad samotnym horyzontem morskim, stał się symbolem rozpaczy.

Załoga opuściła statek w swoim czasie łodziami, które, gdy tylko dotarły do miasta, zostały zarekwirowane przez władze portowe. Sam statek także został zarekwirowany na poczet kosztów procesowych. Jednak te same władze nie zadały sobie trudu, by ustawić warty na pokładzie. Bo też w istocie cóż mogło go stamtąd wyciągnąć? Nic, chyba że cud, nic, chyba że wzrok Jaspera całymi godzinami wbity weń tak intensywnie, jakby miał nadzieję, że sama siła spojrzenia przyciągnie bryg do jego piersi.

Cała ta historia opisana w rozgadanym liście od przyjaciela nielicho mnie zmartwiła. Ale naprawdę zbulwersowały mnie jego relacje o tym, że Schultz, pierwszy oficer, chodził wszędzie i z desperackim uporem powtarzał, że to on sprzedał te strzelby. „Ukradłem je” – mówił. Nikt mu, rzecz jasna, nie wierzył. Nawet mój przyjaciel nie dał temu wiary, choć oczywiście podziwiał taki akt samopoświęcenia. Wielu jednak uważało, że Schultz posuwa się za daleko, robiąc z siebie złodzieja, aby ratować przyjaciela. Zresztą było to tak oczywiste kłamstwo, że w zasadzie chyba nie miało znaczenia. Ja jednak, znając psychikę Schultza, wiedziałem, że to musi być prawda, i przyznaję, że byłem naprawdę zbulwersowany. A więc tak to perfidny los mści się za odruch szczodrości! Czułem, jakbym przyłożył rękę do tej perfidii, skoro w pewnym sensie zachęciłem Jaspera do wzięcia Schultza na pokład. Choć go zarazem ostrzegałem.

„Zdaje się, że ten człowiek kompletnie zwariował na tym punkcie – pisał mój przyjaciel. – Poszedł z tą historią do Mesmana. Mówił, że jakiś łotr, biały żyjący między tubylcami nad tą rzeką, upił go któregoś wieczora ginem i zaczął mu dokuczać, że nigdy nie ma ani grosza przy duszy. On więc, deklarując wobec nas, że jest uczciwym człowiekiem i musimy mu wierzyć, oświadczył, że należy do tych, którzy gdy tylko wypiją

odrobinę za dużo, zaczynają kraść, a następnie opowiedział, jak to poszedł na pokład i bez żadnych skrupułów przeniósł strzelby, jedną po drugiej, do łódki, która wieczorem podpłynęła do burty brygu, i zainkasował po dziesięć dolarów za sztukę.

Następnego dnia rozchorował się ze wstydu i smutku, ale nie miał dość odwagi, by wyznać przestępstwo swojemu dobroczyńcy. Kiedy bryg został zatrzymany przez kanonierkę, bał się, że umrze ze strachu przed konsekwencjami, i byłby gotów umrzeć, gdyby ofiara jego życia mogła sprowadzić strzelby z powrotem na pokład. Nic jednak nie powiedział Jasperowi, ufając, że Bonito zostanie niebawem zwolniony. Kiedy stało się inaczej i kapitana zatrzymano na pokładzie kanonierki, był gotów popełnić samobójstwo z rozpaczy, ale uznał za swój obowiązek żyć dalej, żeby ujawnić prawdę. »Jestem uczciwym człowiekiem! Jestem uczciwym człowiekiem!« – powtarzał głosem, od którego łzy kręciły się nam w oczach. »Musicie mi wierzyć, kiedy powiadam, że kradnę – jestem nikczemnym, wstrętnym, przebiegłym złodziejem, gdy tylko wypiję szklaneczkę czy dwie. Weźcie mnie gdzieś, żebym to mógł powiedzieć pod przysięgą«.

Kiedy wreszcie przekonaliśmy go, że ta historia w niczym Jasperowi nie pomoże – bo przecież jaki holenderski sąd, chwyciwszy raz angielskiego kupca, przyjmie wyjaśnienia tego rodzaju; a poza tym jak, kiedy i gdzie znajdzie dowody na prawdziwość tej historii – zrobił ruch, jakby chciał sobie garściami wyrywać włosy, ale uspokoiwszy się nieco, powiedział: »Żegnam was, panowie« – i wyszedł z pokoju tak załamany, że z trudem wlókł się noga za nogą. Tej samej nocy popełnił samobójstwo, podcinając sobie gardło w domu pewnej mulatki, u której mieszkał na lądzie, odkąd opuścił wrak”.

To gardło – pomyślałem, czując dreszcze – z którego wydobywał się ów czuły, przekonujący, męski, lecz fascynujący głos, który wzbudził u Jaspera tyle współczucia i zapewnił mu sympatię Frei! Któż mógłby pomyśleć, że taki koniec czeka tego niemożliwego, łagodnego Schultza, człowieka ze skłonnością, by tu czy tam coś zwędzić, ale tak niedorzecznie

prostodusznego, że nawet w ludziach, którzy zostali przez niego skrzywdzeni, budził co najwyżej swego rodzaju przenikniętą rozbawieniem irytację? Naprawdę był niemożliwy. Jemu powinna była przypaść w udziale na wpół głodowa, tajemnicza być może, ale żadną miarą nie tragiczna egzystencja łagodnookiego, nieszkodliwego przeszukiwacza plaż, gdzieś na obrzeżach tubylczego życia. Są takie okoliczności, gdy ironia losu, odkrywana przez niektórych w wydarzeniach naszego życia, przywdziewa maskę surowej i dzikiej błazenady.

Pokiwałem głową nad losem Schultza i dalej czytałem list od przyjaciela. Opisywał, jak tkwiący w rafie bryg, obrabowany przez tubylców z wiosek na wybrzeżu wyglądał coraz bardziej żałośnie, niczym szary upiór wraku; tymczasem Jasper, który z dnia na dzień był coraz bardziej cieniem człowieka, kroczył energicznie wzdłuż nabrzeża, ze straszliwie rozpalonymi oczyma i delikatnym uśmiechem przyklejonym do warg, by spędzać cały dzień na samotnym piaskowym przylądku i wpatrywać się w statek, jakby spodziewał się, że z pokładu podniesie się jakiś kształt i da mu znak sponad rozpadających się burt. Mesmanowie troszczyli się o niego, jak mogli. Sprawę Bonito odesłano do Batawii, gdzie bez wątpienia rozpływa się już we mgle oficjalnych dokumentów… Były to wieści rozdzierające serce. Aktywny i gorliwy oficer, porucznik Heemskirk, choć oficjalnie wyrażona aprobata jego działań nie rozjaśniła aury ponurego, mrocznego samozadowolenia, wyjechał, by objąć stanowisko na Molukkach…

Wreszcie, na końcu tego obszernego, pisanego w dobrej wierze listu, zawierającego wieści z co najmniej sześciu ostatnich miesięcy na Wyspach, mój przyjaciel napisał: „Parę miesięcy temu pojawił się tu stary Nelson – przypłynął statkiem pocztowym z Jawy. Przyjechał, jak mi się zdaje, odwiedzić Mesmanów. Wizyta dość tajemnicza i nadzwyczajnie krótka, jak na tak długą podróż. Zatrzymał się w Orange House tylko na cztery dni i najwyraźniej nic szczególnego nie miał do roboty, a potem wsiadł na parowiec idący na południe w stronę cieśnin. Pamiętam, jak ludzie mówili kiedyś, że Allen smali cholewki do córki starego Nelsona, tej dziewczyny,

która była wychowanicą pani Harley, a potem przeniosła się do niego na Siedem Wysp. Na pewno pamiętasz starego Nelsona…”.

Pamiętać starego Nelsona! No raczej!

Dalej przyjaciel informował, że stary Nelson w każdym razie pamiętał mnie, ponieważ jakiś czas po tej przelotnej wizycie w Makassar napisał do Mesmanów, prosząc o mój adres w Londynie. Że stary Nelson (czy Nielsen), którego osobowość charakteryzowała się głęboką, pozbawioną echa niewrażliwością na wszystko, co go otacza, miałby zechcieć napisać do kogoś, a nawet i to, że w ogóle miał coś do napisania, już mogło stanowić powód niemałego zdumienia. A jeszcze nie do kogo innego, tylko do mnie! Z niespokojną niecierpliwością czekałem na wszelkie wyznania, jakie mogłyby pochodzić od tej naturalnie nieoświeconej inteligencji, ale zanim na kopercie ze znaczkiem za pensa i pieczęcią poczty w Notting Hill ujrzałem drżące, z wysiłkiem stawiane litery starego Nelsona, jednocześnie starcze i dziecinne, moja niecierpliwość zdążyła się już nieco zużyć. Powstrzymałem się przed otwarciem koperty, aby wyrzucając w górę obie ręce, oddać należny hołd zdumieniu takim wydarzeniem. A zatem przybył do Anglii, by ostatecznie stać się Nelsonem, a może był w drodze do Danii, gdzie powróciłby na zawsze do oryginalnego Nielsena! Przecież stary Nelson (czy Nielsen) poza tropikami zdawał się niewyobrażalny. A jednak był tutaj i prosił mnie o rozmowę.

Adres miał w pensjonacie przy którymś z tych skwerów w Bayswater, gdzie niegdyś się wypoczywało, a teraz trzeba zarabiać na życie. Ktoś mu polecił to miejsce. Wyruszyłem na spotkanie z nim w jeden z tych zimowych dni, które składają się z czterech diabelskich żywiołów: zimna, wilgoci, błota i brudu, połączonych z ową szczególną lepkością atmosfery, lgnącej niczym brudna koszula do samej duszy człowieka. A jednak podchodząc do jego siedziby, ujrzałem w nagłym przebłysku, gdzieś hen za brudnym welonem owych czterech żywiołów, nużący i cudowny blask błękitnego morza Siedmiu Wysp, które były niczym drobinki w oku, a wysoki czerwony dach bungalowu wieńczył najmniejszą z nich.

To wizualne wspomnienie głęboko mnie rozstroiło. Zapukałem do drzwi niepewną ręką.

Stary Nelson (czy Nielsen) wstał od stołu, na którym leżała zszargana teczka z papierami. Zanim uścisnęliśmy sobie ręce, zdjął okulary. Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał. Potem, zauważywszy, że rozglądam się wokół z ciekawością, wymamrotał kilka słów, wśród których uchwyciłem tylko „córka” i „Hongkong”, a potem spuścił oczy i westchnął.

Jego wąsy, sterczące dawniej na wszystkie strony, były teraz zupełnie białe. Policzki miał miękko zaokrąglone i zaróżowione. Co dziwne, owa dziecięcość, zawsze dostrzegalna w ogólnym zarysie jego fizjonomii, jeszcze się wzmogła. Podobnie jak jego pismo i on sam wyglądał jednocześnie dziecinnie i starczo. Wiek rysował się najbardziej na jego niezbyt inteligentnie zmarszczonym, niespokojnym czole i w okrągłych niewinnych oczach, które teraz zdawały mi się źle widzące, mrugające i wodniste, a może były po prostu pełne łez?

Przekonać się, że stary Nelson może sobie z czegoś w pełni zdawać sprawę, było dla mnie nowym doświadczeniem. Lecz kiedy minęła pierwsza niezręczność, rozmawialiśmy swobodnie, od czasu do czasu rzucałem tylko jakieś pytanie, by go zachęcić, gdy popadał w milczenie, zawsze raptowne. Kładł wtedy złożone dłonie na kamizelce w geście, który przywoływał w mojej pamięci wschodnią werandę, gdzie w tych – jak się teraz wydawało – dawnych, bardzo dawnych czasach siadywał, by rozmawiać ściszonym głosem i wydymać policzki. Mówił tonem rozsądnym, choć nieco niespokojnym.

– Nie, nie. Nic nie wiedzieliśmy przez parę tygodni. Na tym naszym uboczu oczywiście nie mieliśmy skąd się dowiedzieć. Nie było poczty na Siedmiu Wyspach. Ale któregoś dnia popłynąłem dużym żaglowcem do Bangki, żeby sprawdzić, czy są jakieś listy, i zobaczyłem holenderską gazetę. Ale to wyglądało na morskie wiadomości: angielski bryg Bonito rozbił się niedaleko Makassar. Tyle. Wziąłem gazetę ze sobą i pokazałem jej. „Nigdy mu nie wybaczę!” – zawołała z tą swoją dawną energią. „Moja droga – powiedziałem – jesteś rozsądną dziewczyną. Nawet najlepszy może

stracić statek. Ale co z twoim zdrowiem?” Zacząłem się martwić, tak wyglądała. Przedtem nie pozwoliłaby mi nawet wspomnieć o wyjeździe do Singapuru. Ale przecież taka rozsądna dziewczyna nie mogła bez końca się upierać. „Niech będzie, jak papa sobie życzy” – powiedziała. Trochę z tym było zachodu. Musiałem złapać parowiec na morzu, ale wyprawiłem ją jak trzeba. Tam, oczywiście, doktorzy. Febra. Anemia. Wsadzili ją do łóżka. Kilka kobiet bardzo dla niej miłych. Cała ta historia pojawiła się, naturalnie, niedługo potem w naszych gazetach. Przeczytała ją do końca, leżąc na kanapie. Oddaje mi gazetę, szepcze: „Heemskirk” – i mdleje.

Długo patrzył na mnie, mrugając oczami, które znów były pełne łez.

– Następnego dnia – zaczął, bez żadnej emocji w głosie – poczuła się mocniejsza i odbyliśmy długą rozmowę. Wszystko mi powiedziała.

Tutaj stary Nelson ze spuszczonymi oczyma przedstawił mi całą historię z Heemskirkiem słowami Frei, a później ciągnął swoją rwącą się opowieść, aż spoglądając na mnie niewinnie, rzekł:

– „Moja droga – mówię jej – zasadniczo zachowałaś się jak rozsądna dziewczyna”. „Zachowałam się potwornie – płacze ona – a on tam ma złamane serce”. No cóż, za dużo było w niej rozsądku, bym nie zdawał sobie sprawy, że w jej stanie zdrowia nie można podróżować. No to ja pojechałem. Kazała mi jechać. Była pod dobrą opieką. Anemia. Ale się poprawiało, tak mówili.

Przerwał.

– Widział się pan z nim? – wyszeptałem.

– O tak, widziałem się z nim – podjął znowu rzeczowym tonem, jakby czegoś dowodził. – Widziałem się z nim. Wpadłem na niego. Oczy na cal zagłębione w czaszce; twarz – tylko skóra i kości; szkielet w brudnym białym ubraniu. Tak wyglądał. Jak Freya…, ale ona nigdy – tak naprawdę to nie. Siedział tam, jedyne żywe stworzenie na całym wybrzeżu, na wyrzuconej przez morze belce. W szpitalu przycięli mu włosy i już mu nie odrosły. Gapił się przed siebie, z brodą opartą na ręce, a na morzu między nim a niebem nie było nic, tylko ten wrak. Kiedy do niego podszedłem, tylko troszkę poruszył głową. „Czy to pan, staruszku?” – zapytał, i tyle.

– Gdyby go pan zobaczył, zrozumiałby pan od razu, że to zupełnie niemożliwe, żeby Freya kiedykolwiek kochała tego człowieka. Tak, tak. Nie ma co. Może kiedyś – coś. Była samotna, wie pan. Ale naprawdę, żeby miała z nim wyjechać! Nigdy! Szaleństwo. Była zbyt rozsądna… Zacząłem go łagodnie napominać. A on w pewnym momencie odwraca się do mnie. „Napisać do pana! O czym? Przyjechać do niej! Z czym? Gdybym był mężczyzną, porwałbym ją, ale ona zrobiła ze mnie dziecko, szczęśliwe dziecko. Proszę jej powiedzieć, że tego dnia, kiedy na tej rafie utraciłem jedyną na całym świecie rzecz, która do mnie należała, odkryłem, że nie mam nad nią żadnej władzy… Przyjechała tu z panem?!” – krzyczy do mnie, wpatrując się we mnie nagle tymi pustymi oczyma. Potrząsnąłem głową. Przyjechać ze mną, rzeczywiście! Anemia! „Aha, widzi pan? Niech pan stąd odejdzie, staruszku, i zostawi mnie samego z tym duchem” – powiada on, a ruchem głowy wskazuje na wrak.

– Wariat! Zapadał zmrok. Nie miałem zamiaru zostawać dłużej sam na sam z tym człowiekiem w odludnym miejscu. Nie zamierzałem mówić mu o chorobie Frei. Anemia! Bo i po co? Wariat! A zresztą jaki by z niego był mąż dla tak rozsądnej dziewczyny jak Freya? Bo co, nie mógłbym im nawet zostawić tej swojej małej posiadłości. Władze holenderskie nigdy nie pozwoliłyby się tam osiedlić Anglikowi. Nie sprzedałem jej. Mój człowiek Mahmat, zna go pan, opiekował się nią w moim imieniu. Potem oddałem ją za jedną dziesiątą wartości holenderskiemu mieszańcowi. Nie ma o czym mówić. Nic mnie to wtedy nie obchodziło. Tak, zostawiłem go na tym brzegu. Wsiadłem na powrotny statek pocztowy. Wszystko opowiedziałem Frei. „Zwariował – powiedziałem. – I, moja droga, jedyną rzeczą, którą kochał, był ten bryg”.

„Możliwe – odpowiada, patrząc gdzieś przed siebie, oczami niemal tak pustymi jak jego oczy. – Możliwe, że to prawda. Tak! Nigdy nie pozwoliłabym mu, by miał nade mną jakąkolwiek władzę”.

Stary Nelson przerwał. Siedziałem zafascynowany, ale w pokoju, w którym buzował ogień, odczuwałem chłód.

– No, więc widzi pan – ciągnął Nelson. – Jej tak naprawdę nigdy na nim nie zależało. Zbyt rozsądna. Zabrałem ją do Hongkongu, zmiana klimatu, tak mówią. Ech, ci doktorzy! Mój Boże! Zima! Przyszło dziesięć dni zimnych mgieł, wiatru i deszczu. Zapalenie płuc. Ale niech pan posłucha, dużośmy rozmawiali. Całe dnie i wieczory. Kogóż innego ona miała? Dużo mi mówiła, moja dziewczynka. Czasem troszkę się śmiała. Patrzyła na mnie i trochę się śmiała…

Przebiegł mnie dreszcz. Nelson rozejrzał się z dziecinnym, pełnym zdziwienia smutkiem.

– Mówiła mi tak: „Tak naprawdę nie chciałam być dla papy złą córką”. A ja na to: „Oczywiście, moja droga, rzecz jasna, że nie chciałaś”. Leżała cicho i nagle mówiła: „Zastanawiam się?”. A czasami po prostu: „Byłam tchórzem” – tak do mnie mówiła. Wie pan, chorzy ludzie wygadują różne rzeczy. I właśnie czasami mówiła też: „Byłam złośliwa, pewna siebie, kapryśna. Szukałam tylko własnej przyjemności. Byłam samolubna albo się bałam”. Ale chorzy, wie pan, plotą cokolwiek. A kiedyś niemal przez cały dzień leżała w milczeniu, potem powiedziała: „Tak, być może, gdyby ten dzień nadszedł, nie wyjechałabym. Być może! Nie wiem. – I zawołała: – Niech papa zamknie okno, zakryje to morze, bo mi ono wyrzuca całe to moje szaleństwo”. Nelson westchnął i zamilkł.

– No, więc widzi pan – ciągnął szeptem. – Chora, naprawdę bardzo chora. Zapalenie płuc. I bardzo szybko.

Palcem wskazał na dywan, a myśl o tej dziewczynie pokonanej w walce z niedorzecznością trzech mężczyzn, dziewczynie, która doszła do momentu zwątpienia w samą siebie, napełniła mnie bolesną litością.

– Sam pan widzi – zaczął ponownie, patrząc w dół. – Przecież nie mogła tak naprawdę… Wspominała o panu kilka razy. Dobry przyjaciel. Rozsądny człowiek. Więc chciałem sam panu opowiedzieć, żeby pan znał prawdę. Taki człowiek! Jak to możliwe? Była samotna. A może przez jakiś czas… ale to tyle co nic. Dla mojej Frei nie mogła przecież istnieć kwestia miłości – to taka rozsądna dziewczyna…

– Człowieku! – zawołałem, zrywając się z wściekłością. – Czy pan nie widzi, że ona umarła z miłości?

I on się podniósł.

– Nie, nie! – wyjąkał, jakby się rozgniewał. – Zapalenie płuc. Zły stan. Zapalenie… Mówili mi. Zapale…

Nie dokończył. Słowa przeszły w szloch, a on wyciągnął przed siebie ręce w geście rozpaczy, porzucając swą upiorną pozę, i cichym, łamiącym serce głosem zawołał:

– A ja myślałem, że jest taka rozsądna!

# Wspólnik

– I na cholerę te głupie opowieści. Ci przewoźnicy tu, w Westport, od lat serwują gościom te bujdy. Takim, co to się wybierają na przejażdżkę łódką za szylinga od głowy i zadają głupie pytania, trzeba coś opowiadać dla zabicia czasu. Wyobraża pan sobie coś bardziej idiotycznego, niż wozić się łódką wzdłuż plaży?… To jak picie słabej lemoniady i to bez pragnienia. Po co? Nawet się żaden nie zrzyga.

Zapomniał o stojącej przed nim szklance piwa. Znajdowaliśmy się w niewielkiej, przyjemnej palarni niewielkiego, przyjemnego hotelu, a siedziałem z nim tak długo tylko z powodu swej predylekcji do zawierania przypadkowych znajomości. Miał gładko wygolone, szerokie policzki, płaskie i pomarszczone, niedużą, białą, równo przyciętą brodę, która trzęsła się jakby dla podkreślenia wypowiadanych głębokim głosem słów, a ogólną pogardę dla ludzkości, dla jej działań i moralności, wyrażał dodatkowo zawadiacki kapelusz – miękki, czarny, filcowy, z szerokim rondem – którego nigdy nie zdejmował.

Wyglądał na starego awanturnika na emeryturze po wielu latach nieczystych sprawek w najciemniejszych zakątkach ziemi, ale ja byłem przekonany, że tak naprawdę to nigdy nie wyjeżdżał z Anglii. Z przypadkowej uwagi, którą ktoś rzucił, wywnioskowałem, że w młodości musiał mieć coś wspólnego ze statkami, tyle że w portach. Nie brakowało mu osobowości. I to z początku zwróciło moją uwagę. Nie było jednak łatwo go zakwalifikować, więc pod koniec tygodnia poddałem się, opatrując go ogólną definicją „niezły okaz starego łotra”.

Pewnego deszczowego popołudnia pod wpływem wszechogarniającej nudy wszedłem do palarni. Siedział tam nieruchomy, jak fakir, i to rzeczywiście robiło wrażenie. Zacząłem się zastanawiać, jakie tego rodzaju człowiek ma koneksje, jakie „środowisko”, prywatne znajomości,

moralność, przyjaciół czy nawet żonę, ale, ku mojemu zaskoczeniu, to on niskim, mrukliwym głosem rozpoczął pogawędkę.

Trzeba dodać, że odkąd dowiedział się od kogoś, że jestem pisarzem, zaczął zauważać moje istnienie, czemu dawał wyraz, rano mrucząc coś niewyraźnie na mój widok. Zasadniczo był milkliwy. W urywkach zdań, które wypowiadał, wyczuwało się gburowatość. Dopiero po dłuższym czasie domyśliłem się, że interesuje go, jak powstają opowiadania, które drukuje się w czasopismach.

Cóż można takiemu facetowi wyjaśnić? Ale ponieważ nudziło mi się śmiertelnie, a pogoda się ustabilizowała, postanowiłem, że będę dla niego miły.

– Czyli pan sam wymyśla te historie? Ale jak one panu przychodzą do głowy? – dopytywał się.

Wyjaśniłem, że zwykle pojawia się jakiś motyw.

– Jaki motyw?

– No, na przykład – odpowiedziałem – wybrałem się któregoś dnia na przejażdżkę łódką do tych skał. Przewoźnik opowiedział mi o statku, który dwadzieścia lat temu rozbił się w tym miejscu. To by na przykład mogło posłużyć jako motyw dla opisowego kawałka opowiadania pod tytułem, dajmy na to, *Na kanale La Manche*.

Wtedy właśnie bluzgnął na przewoźników i na gości, którzy słuchają takich opowieści. Na jego twarzy nie drgnął nawet mięsień, tylko gdzieś z głębi piersi rzucił:

– Bzdury… – I dalej mamrotał tym swoim zachrypniętym głosem: – Gapią się na te głupie skały, kiwają tymi swoimi głupimi główkami – chodziło, jak sądzę, o gości. – Czy im się zdaje, że człowiek to nadmuchana tytka z papieru, czy co? Pyk, i już go nie ma, gdy coś go trzaśnie. Na cholerę te głupie opowieści! Motyw, akurat… Czyli kłamstwo wystarcza?

Trzeba sobie wyobrazić tego imponującego łotra, któremu czarny kapelusz okalał twarz niczym aureola, jak wyrzuca z siebie słowa warkliwie niczym stary pies, z uniesioną głową i oczyma wpatrzonymi gdzieś w dal.

– Owszem! – wykrzyknąłem. – Nawet jeśli to nie jest prawda, może być motywem i dzięki niemu ujrzę te skały, ten sztorm, o którym mówili, te wielkie fale i tak dalej, w odniesieniu do całej ludzkości. Walka człowieka z siłami natury oraz skutki, jakie to wydarzenie będzie miało przynajmniej dla, powiedzmy, jednego wzniosłego…

Przerwał mi brutalnie:

– A prawda by się panu przydała?

– Trudno powiedzieć – odrzekłem ostrożnie. – Mówią, że prawda bywa dziwniejsza niż zmyślenie.

– Kto tak mówi? – wydyszał.

– Och, nikt konkretnie.

Odwróciłem się do okna; żadna przyjemność patrzeć na odzywającego się pogardliwie obdartusa, tkwiącego nieruchomo za stołem. Zdaje mi się, że to moje bezceremonialne zachowanie wywołało jego dłuższą wypowiedź:

– A widział pan kiedy równie głupie skały? Jak śliwki w wysuszonym cieście.

Patrzyłem na nie – jakiś akr albo więcej ciemnych punktów, pstrzących stalowoszarą cienistą powierzchnię morza pod gęstą tkaniną szarej mgły i jedna tylko bezkształtna, jasna plama, przebijająca się zza zasłony biel klifu, jakby rozproszona, tajemnicza światłość. Był to obraz subtelny i wspaniały, w pewnym sensie ekspresyjny, sugestywny i pełen rozpaczy, szaro-czarna symfonia – pejzaż Whistlera. Ale to, co teraz powiedział głos zza moich pleców, kazało mi się odwrócić. Krótko, zwięźle, warkliwie wyraził pogardę dla wszelkich skojarzeń z rozszalałym morzem i ciągnął:

– Ja tam… żadne takie głupoty, kiedy patrzę na te skały, to już szybciej przypominam sobie pewne biuro – był taki okres, że zaglądałem – do takiego jednego biura w Londynie – taka uliczka na tyłach Cannon Street Station…

Mówił z namysłem, nie tyle w sposób urywany, ile fragmentami; od czasu do czasu wrzucając grubsze słowo.

– To ma chyba dość luźny związek ze skałami – zauważyłem, odwracając się do niego.

– Związek? Na diabła mi pańskie związki. To był wypadek.

– No dobrze – rzekłem. – Ale wypadki też mają jakieś związki z tym, co było przed nimi i po nich, a jeśli je przedstawić…

Nie poruszył się, ale jakby nadstawił ucha.

– Tak, tak. Przedstawić. To pan by pewnie umiał. Umiałby pan? W tym związku nie ma nic z życia na morzu. Ale to by pan mógł dodać z głowy, nie?

– Tak. Gdyby było trzeba – odpowiedziałem. – Czasem się opłaca dodać różne rzeczy z głowy, a czasami nie. To znaczy, kiedy opowieść nie jest tego warta. Na tym się to wszystko opiera.

Bawiła mnie ta rozmowa. Zauważył, że pisarzom na pewno chodzi o pieniądze, tak samo jak wszystkim innym ludziom na świecie, którzy muszą sobie radzić sami, a niewiarygodne, jak daleko potrafią się posunąć ci, którym zależy na pieniądzach… Znaczy niektórzy.

Następnie wygłosił mowę przeciwko życiu na morzu. To jest głupie życie, orzekł. Żadnych możliwości, żadnych doświadczeń, żadnego urozmaicenia, nic. Owszem, zdarzają się tam wspaniali ludzie, ale − jak stwierdził − szanse na powodzenie w życiu to mają nie większe niż muchy. Są jak dzieci. Taki kapitan Harry Dunbar. Dobry marynarz. Sławny kapitan. Wielki człowiek: siwiejące bokobrody, piękna twarz, donośny głos. Dobry gość, ale jak przyszło co do czego – bezradny jak dziecko.

– Kapitan Sagamore’a, o nim pan mówi? – zapytałem śmiało.

Potwierdził cichym pogardliwym tonem:

– Taa jest. – Wbił wzrok w ścianę, jak gdyby miał przed sobą widok tego biura w City „na tyłach Cannon Street Station” i mamrocząc, przedstawił jego szczątkowy opis, od czasu do czasu jakby ze złości potrząsając brodą.

Była to, według mojego towarzysza, skromna siedziba przedsiębiorstwa, nie żeby od razu podejrzana czy coś, ale taka trochę na uboczu, przy małej uliczce, którą teraz całkiem przebudowano.

– Siedem numerów od baru Pod Kotem z Cheshire, tym pod wiaduktem kolejowym. Chodziłem tam na obiad, gdy miałem interesy w mieście. Cloete wpadał tam też na kotleta i rozśmieszał kelnerkę. Nawet nie musiał wiele gadać. Tyle że tak błysnął tymi swoimi okularami i lekko się krzywił, a już człowiek chichotał, chociaż on nawet jeszcze nie zaczął opowiadać którejś z tych swoich historyjek. Zabawny gość, ten Cloete. C-L-O-E-T-E, Cloete.

– To był Holender? – zapytałem, nie dostrzegając jak na razie, co to wszystko ma mieć wspólnego z przewoźnikami i letnikami w Westport oraz niezwykłą złością, jaką ten stary wobec nich czuje, nazywając ich kłamcami i głupcami.

– Czort wie – rzucił, nadal wpatrując się w ścianę, jakby nie chciał stracić żadnego szczegółu ze swej filmowej wizji. – Gadał w każdym razie tylko po angielsku. Pierwszy raz go widziałem w porcie, jak schodzi ze statku ze Stanów – pasażer. Pyta mnie o jakiś hotelik w okolicy. Żeby był cichy, bo chce się tu przez parę dni rozejrzeć. Zaprowadziłem go w jedno takie miejsce – miałem tam kumpla… Potem jakoś w City: „A witam! Pan taki uprzejmy – chodźmy na jednego”. Sporo gadał o sobie. Od lat w Ameryce. Różnego rodzaju biznesy w całym kraju. Także leki patentowe. Podróże. Pracuje w reklamie i te sprawy. Opowiadał zabawne historie. Facet wysoki, jakby niezgrabny. Czarne włosy na jeża, jak szczotka; końska gęba, długie ręce i nogi, okularki błyskające, stale żartował, mówił cicho… Wie pan, o co chodzi?

Potaknąłem, ale nie patrzył.

– Nigdy w życiu się tyle nie uśmiałem, co z nim. Gość by pana rozśmieszył, opowiadając, jak obdzierał ze skóry własnego ojca. A byłby to zresztą gotów zrobić. Facet, który handluje patentowymi lekami, jest gotów zrobić wszystko, od gry w kulki do morderstwa na zlecenie. Oto twarda prawda dla pana. Tacy niczym się nie przejmują, uważają, że ze wszystkiego mogą się wyłgać, dla nich wszyscy na świecie to głupki. Biznesmen jeden, ten cały Cloete. Przyjechał z paroma setkami funtów. Szukał cichego interesiku. Nie ma to jak stary kraj, powiada…

No i rozstaliśmy się, ja po paru kieliszkach więcej, niż miałem w zwyczaju. Jakiś czas później, może z pół roku, wpadam na niego znowu w biurze pana George’a Dunbara. Tak, w tym biurze. Niezbyt często tam… Ale akurat był jakiś ładunek na statku w porcie, o który chciałem zapytać pana George’a. A tu z pokoju na zapleczu wychodzi Cloete z jakimiś papierami w ręku. Wspólnik. Rozumie pan?

– No jasne – odpowiedziałem. – Paręset funtów.

– I ta jego gadka – mruknął. – Niech pan nie zapomina o jego gadce. Niektóre z tych opowieści pewnie otwarły panu Dunbarowi oczy na to, co znaczy prawdziwy biznes.

– Przekonujący facet, co? – zasugerowałem.

– Hm, niech pan to zwie, jak chce, oczywiście. Taa. Wspólnik. George Dunbar wkłada cylinder na głowę i mówi, żebym chwilkę poczekał… Ten to zawsze wyglądał, jakby zarabiał parę tysiączków rocznie. Miejski styl. Chodź, staruszku! No i wychodzą we dwóch z kapitanem Harrym, coś mają załatwić u notariusza za rogiem. Kapitan Harry, kiedy był w Anglii, zwykle koło południa zjawiał się u brata w biurze. Siedział sobie grzecznie w kąciku, czytał gazetę i palił fajkę. No więc wyszli… Idealni bracia, mówi Cloete. Papużki nierozłączki. Ja w tym uroczym interesiku odpowiadam za dział owoców w puszkach… I tak do mnie nawija. A potem zaczyna się dopytywać: co to za pudło, ten Sagamore? Najlepszy statek w okolicy, co? Coś mi się zdaje, że dla pana to każdy jest najlepszy. Bo pan z nich żyjesz. A ja panu powiem: prędzej wsadzę pieniądze w starą skarpetę. Nie żartuję!

Wciągnął powietrze, a ja dostrzegłem, że jego ręka, niby leżąca luźno na stole, zaciska się powoli w pięść. U tego nieruchomego człowieka taki gest robił złowieszcze wrażenie, zupełnie jak słynne skinięcie głową Komandora.

– A więc już wówczas, widzi pan, już wtedy… – mruczał.

– Chwileczkę – przerwałem. – Przecież Sagamore należał do Mundy’ego i Rogersa, tak mi mówiono.

Prychnął pogardliwie.

– Cholerni przewoźnicy, co oni wiedzą. Własna bandera firmy. Całkiem inna sprawa. Pewna uprzejmość. To było tak: kiedy umarł stary Dunbar, kapitan Harry już dla nich pływał. George rzucił bank, w którym był urzędnikiem, i poszedł na swoje, bo miał spadek po starym. George to był sprytny gość. Zaczął z magazynami, potem robił dwie–trzy rzeczy naraz: miazga drzewna, owoce w puszkach i tak dalej. A kapitan Harry oddał mu swoją część spadku, żeby nią obracał. Ja mam wszystko na statku, tak mówił. Ale Mundy i Rogers zaczęli po trochu wyprzedawać żaglowce obcokrajowcom, bo przechodzili na parowce. Kapitana Harry'ego to smuciło – że straci dowództwo, będzie się musiał rozstać ze statkiem, który kocha; no, zły był. Wtedy braciom trafiło się niespodziewanie trochę grosza – jakaś babka im zmarła czy coś. Całkiem niezła sumka. No to George mówi, że we dwóch mają dość, żeby kupić Sagamore'a… Ale tobie potrzeba pieniędzy w firmie!, woła na to Harry, a tamten się śmieje i mówi: Ja, stary, wychodzę i zarabiam garść suwerenów w czasie, kiedy ty ledwie zdołasz fajkę zapalić… Mundy i Rogers zachowali się bardzo przyzwoicie: Oczywiście, panie kapitanie. I możemy go nadal mieć w zarządzie, jeśli sobie pan życzy, jakby nadal do nas należał. No więc w takim układzie to była dobra inwestycja, żeby kupić ten statek. Dobra! Tak, ale wtedy.

Zwrócił lekko głowę w moją stronę, a u niego oznaczało to tyle, co u innych ludzi silne rozemocjonowanie.

– Niech pan pamięta, że to było na długo, zanim pojawił się Cloete – wymamrotał ostrzegawczo.

– Tak, będę pamiętał – powiedziałem. – U nas to się na ogół mówi: „Minęło parę lat". To nie jest problem.

Przez chwilę przyglądał mi się niewidzącym wzrokiem, jakby zatopił się w rozmyślaniu o latach, z którymi tak łatwo można się rozprawić; to przecież były także jego lata, te, nim Cloete wkroczył na scenę, i te (nie tak liczne) po. Kiedy na nowo podjął wątek, wyczułem, że chce, bym zwrócił uwagę na wpływ, jaki na George'a Dunbara miało długotrwałe obcowanie z luźnymi standardami moralnymi Cloete'a, z jego pozbawionym skrupułów, przekonującym darem dobrego humoru (zabawny gość) oraz

beztroskim, awanturniczym usposobieniem. Usilnie domagał się, żebym rozwinął ten wątek, a ja zapewniłem go, że poradzę sobie z tym bez trudu. Chciał także, abym zrozumiał, że interes George’a miał swoje wzloty i upadki (kiedy drugi brat po prostu spokojnie sobie pływał tu i tam); że czasami miewał okresy niżu, co George’owi przyczyniało troski, bo się ożenił z kobietą o luksusowych gustach. Ogólnie raczej miał nerwowy okres, a wtedy właśnie Cloete przypadkiem wpadł w mieście na faceta, który opracował lek patentowy (dawna robota Cloete’a) z dość sporym sukcesem; gdyby jednak mieć kapitał, ale taki, żeby lekką ręką wydać tysiące na samą reklamę, można by go przekuć w wielką sprawę, absolutnie bardziej opłacalną niż kopalnia złota. Cloete wpadł w entuzjazm wobec perspektywy takiego interesu, zwłaszcza że się na tym znał. Zdaje się, że od czasu zetknięcia z tą nadzwyczajną możliwością wspólnik George’a po prostu się palił do tej sprawy.

– No więc codziennie przychodził do gabinetu George’a koło jedenastej i gadał o tym tyle, że George zaczynał już zgrzytać zębami. Zamknij się. Co z tego? Nie ma pieniędzy nawet na bieżąco, a co dopiero jeśli chodzi o wyrzucanie tysięcy na reklamę. Nie odważy się zaproponować swojemu bratu Harry’emu sprzedaży statku. Nawet o tym nie myśli. Zasmuciłby go na śmierć. To by przecież było jak koniec świata. A już na pewno nie z powodu tego rodzaju interesu!… Czy ty myślisz, że to jest szwindel?, pyta Cloete i wykrzywia się. George stwierdza, że nie, po tylu latach w biznesie nie jest aż takim przewrażliwionym moralnie osłem.

Cloete patrzy na niego twardo i mówi: Nie myślałem wcale o sprzedaży statku. Ta stara krypa nie jest już teraz warta nawet połowy kwoty ubezpieczenia. Wtedy rzuca się na niego George: No to po co od trzech tygodni gadasz mi tylko i wyłącznie o tym, jaka to głupota trzymać ten statek? Mam tego dość.

Wkurzył się, bo mu zaczęła już cieknąć na to ślinka, widzi pan. Ale Cloete się nie denerwuje… Ja też nie jestem przewrażliwionym moralnie osłem, mówi powolutku. Nie chodzi o to, żeby sprzedać starego Sagamore’a. Chodzi o to, żeby go porąbać tomahawkami. (Zdaje się, że

nazwa „Sagamore” odnosi się do jakiegoś wodza indiańskiego, czy coś w tym rodzaju. Na dziobie miał rzeźbę półnagiego dzikusa z piórem za jednym uchem i toporkiem za pasem). Więc mówi: porąbać tomahawkami. Co ty masz na myśli?, pyta George… Rozwalić go, to się da bardzo łatwo urządzić, zupełnie bezpiecznie − mówi dalej Cloete − a twój brat wsadziłby w nasz interes swoją część pieniędzy z ubezpieczenia. Nie musimy mu dokładnie mówić na co. Przecież ma cię za najsprytniejszego biznesmena na świecie. Sam też zrobi na tym majątek…

George z wściekłości obiema rękami chwycił się biurka… Czy ty myślisz, że mój brat jest człowiekiem, który celowo spowoduje katastrofę własnego statku? Ja bym się nie odważył nawet o czymś takim pomyśleć, będąc z nim w jednym pomieszczeniu, to najlepszy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi… Nie wrzeszcz tak, usłyszą nas, mówi Cloete. I powiada, że oczywiście, jego brata można by wystawiać pod szklanym kloszem jako wzór cnót wszelkich, więc trzeba zrobić tylko tyle: przekonać go, żeby został na lądzie – jakaś podróż, wakacje, trochę odpoczynku, bo czemu nie?… A ja w zasadzie mam już kogoś, kto by wszedł w taką rozgrywkę, szepce Cloete.

George’a niemal zatkało. Czyli myślisz, że ja jestem człowiekiem tego rodzaju? Że jestem zdolny… Za kogo ty mnie uważasz?… Niemal traci głowę, a Cloete spokojny, tyle że trochę pobladł… Uważam cię za człowieka, który niedługo obudzi się z ręką w nocniku… Podchodzi do drzwi i każe urzędnikom, a było ich dwóch, iść na obiad. Wraca… Czym ty się tak oburzasz? Czy ja chcę ograbić sierotę albo wdowę? Człowieku! Lloyd to korporacja, nie ma ciała, które umrze z głodu. Ze czterdzieści osób, jak nie więcej, podpisało gwarancję dla tego twojego głupiego statku. Nikt na świecie nie będzie z tego powodu głodny albo zziębnięty. Oni biorą pod uwagę każde niebezpieczeństwo. Wszystko, mówię ci… No i tak mu gada. Hm! George jest do tego stopnia wytrącony z równowagi, że nie może słowa z siebie wydusić. Bulgoce tylko i wymachuje rękami. Tak nagle to wszystko, wie pan. A ten drugi grzeje sobie plecy przy kominku i gada dalej. Miazga drzewna – krok od bankructwa. Owoce w puszkach –

praktycznie skończona sprawa. Boisz się, mówi, a prawo służy tylko do tego, żeby odstraszać głupców… I pokazuje mu, jak łatwą sprawą będzie rozbicie statku. Składki opłacane przez tyle a tyle lat. Nie będzie cienia podejrzeń. No i, do licha! Ostatecznie każdy statek kiedyś się kończy.

Nie boję się, tylko jestem oburzony, mówi George Dunbar.

Cloete od środka aż wrze z wściekłości. Życiowa szansa – jego szansa! Ale mówi uprzejmie: Twoja żona będzie znacznie bardziej oburzona, kiedy ją poprosisz, żeby wyprowadziła się z waszego pięknego domu i przeniosła do dwu pokoików od podwórza, i to może z dziećmi…

George nie miał dzieci. Był żonaty od paru lat i bardzo czekał, aż się im coś urodzi. Więc rozstroił się jeszcze bardziej. Gada coś o tym, że dzieci będą mieć uczciwego ojca i tak dalej. A Cloete na to z uśmiechem: No to się pospiesz, nim się pojawią, to będą miały bogatego ojca, co na pewno im na złe nie wyjdzie. Na tym polega piękno całej tej historii.

George jest bliski łez. Zdaje mi się, że czasami płakał. A to trwało całe tygodnie. Nie był w stanie się kłócić z Cloete’em. Nie był w stanie spłacić mu tych kilkuset funtów. A poza tym przyzwyczaił się już do niego. Miękki facet, ten George. A Cloete hojny, a jakże… Nie myśl o tych moich drobnych, mówi. Oczywiście, że przepadną, kiedy będziemy musieli zamknąć ten interes, ale ja się nie przejmuję, mówi. No a jest jeszcze młoda żona George’a. Kiedy Cloete przychodzi na obiad, to we fraku; kobietce się to podoba… Pan Cloete, wspólnik męża, jaki to inteligentny człowiek, światowiec, taki zabawny!… Kiedy jest na obiedzie i zostają sami: Och, panie Cloete, tak bym chciała, żeby George trochę polepszył nasze perspektywy. Pozycję mamy raczej skromną… A Cloete uśmiecha się bez zdziwienia, bo sam przecież włożył te myśli w jej pustą główkę… Pani mężowi potrzeba trochę więcej przedsiębiorczości, pewnej śmiałości. Pani najlepiej może go do tego zachęcić, pani Dunbar… To była głupiutka, egzaltowana gęś. Kazała George’owi kupić dom w Norwood. Żyć na stopie równej znacznie bogatszym. Raz ją widziałem: jedwabna suknia, eleganckie buciki, pióra, perfumy, różowa buzia. Wyglądało to jak

przechadzka po Alhambrze, a nie porządny dom. Ale kobieta potrafi mieć diablą władzę nad mężczyzną.

– Tak, czasami tak bywa – zgodziłem się. – Nawet jeśli ten mężczyzna jest jej mężem.

– Moja pani – zwrócił się do mnie niespodziewanie poważnym, zaskakująco pustym tonem – umiała mnie sobie owinąć wokół małego palca. Dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, gdy jej już nie było. Taa. Ale ona miała dobrze w głowie, tymczasem tamta wystawa towarów nadawała się do włóczenia się po ulicach i tyle. Musi ją pan stworzyć z głowy. Będzie pan wiedział jak.

– Może mi pan to zostawić.

– Hm – chrząknął z wahaniem, a potem powrócił do swego zwykłego tonu. – Jakiś miesiąc później Sagamore wraca do portu. Wszystko z początku bardzo dobrze… Witaj George, mój chłopcze! Witaj Harry, staruszku!… Ale po trochu kapitan Harry orientuje się, że jego sprytny brat coś nie najlepiej wygląda. A właściwie zaczyna wyglądać coraz gorzej. Nie może się pozbyć myśli o koncepcjach Cloete’a. Wlazły mu do głowy… Nic się nie dzieje, wszystko dobrze. Kapitan Harry jednak wciąż niespokojny. Interesy dobrze, co? Całkiem nieźle. Sporo do roboty. Dobre kontrakty… Oczywiście kapitan Harry daje się nabrać. Zaczyna swoje wesołe komentarze, że niby ten jego brat to tarza się w złocie. George’owi koszula przykleja się do spoconego grzbietu, brat go denerwuje… Co za głupiec − mówi sobie w duchu. − Tarzam się w złocie, rzeczywiście. A potem nagle myśli: Czemu nie?… Bo pomysł Cloete’a siedzi mu w głowie.

Następnego dnia mięknie i mówi Cloete’owi: A może najlepiej by było sprzedać? Może byś porozmawiał z moim bratem? A Cloete wyjaśnia mu po raz dwudziesty, dlaczego sprzedaż nie ma żadnego sensu. Nie! Sagamore’a trzeba porąbać tomahawkami – jak to określał, być może przez delikatność dla uczuć George’a. Ale za każdym razem, kiedy wymawia te słowa, George aż się wzdraga. Mam pod ręką człowieka, który potrafi się tym zająć za pięć stówek, i to z pocałowaniem ręki, mówi Cloete… George na takie słowa zaciska powieki, a zarazem myśli sobie: Blaga! Nie ma

takich ludzi. A jednak, gdyby ktoś taki się znalazł, to pewnie byłoby to całkiem bezpieczne.

A Cloete zawsze o tej sprawie z humorem. O niczym nie mówił inaczej, jak tylko jako o wspaniałym kawale… No więc powiada: Wiem, że jesteś moralnym obywatelem, George. Moralność to zasadniczo tchórzostwo, a ty jesteś najbardziej tchórzliwym facetem, jakiego w życiu spotkałem. No bo co, boisz się pogadać z bratem. Boisz się otworzyć usta, tymczasem czeka na nas wszystkich fortuna… George zapala się na te słowa: nie, nie boi się, porozmawia, i wali pięścią w stół. A Cloete klepie go po plecach… Jeszcze będą z nas ludzie, mówi.

Ale kiedy George próbuje pomówić z Harrym, dusza ucieka mu w pięty. Kapitan Harry tylko się śmieje na myśl, że miałby zostać na lądzie. Wakacje nie dla niego! Jane myśli o tym, żeby tym razem zostać w Anglii. Pojechać tu i tam, zobaczyć się z rodziną. Jane to była żona kapitana; okrągłolica, miła pani. George znów się poddaje, ale Cloete nie daje mu spokoju. Więc próbuje raz jeszcze, a kapitan marszczy brwi. Nie może pojąć. Nie wyobraża sobie życia poza pokładem Sagamore’a…

– Ach! – zawołałem. – Teraz rozumiem!

– Nie, nie rozumie pan – warknął, obrzucając mnie miażdżącym spojrzeniem pogardliwych czarnych oczu.

– Przepraszam – szepnąłem.

– Hm. No to tak. Kapitan Harry patrzy srogo, a George aż się kurczy wewnętrznie pod jego wzrokiem. Czyta mi w myślach…, myśli sobie. To oczywiście nieprawda, ale George bał się wtedy własnego cienia. No i szkli Cloete’a. Mówi mu, że brat już na wpół przekonany, żeby na trochę zostać na lądzie i tak dalej. Cloete czeka, ogryzając paznokcie, też niespokojny. Bo naprawdę znalazł człowieka do tej roboty. Niech pan wierzy albo i nie, ale znalazł go w tym samym pensjonaciku, w którym zamieszkał, w okolicy Tottenham Court Road. Zauważył na dole faceta – lokatora, nie lokatora – generalnie snującego się w ciemnym korytarzu; takiego jakby „pana domu”, mętnego typka. Czarne oczy. Blada gęba. Pani domu, wdowa po dżentelmenie, jak o sobie mówiła – cały czas nawijała

o panu Staffordzie. Pan Stafford to, pan Stafford tamto… W każdym razie Cloete któregoś wieczoru zaprosił go na szklaneczkę. Kompan taki sobie. Niewiele miał do powiedzenia. Siedzi i pije, co mu dadzą, oczy stale półprzymknięte, odzywa się tak, jakby był zawstydzony… Zawsze miałem pecha, mówi. Prawda jest taka, że go wykopali z dużej spółki parowcowej za niesubordynację, bez negatywnych skutków dla patentu, rozumie pan, ale gładziutko poszedł na dno. Pewnie mu tak było wygodnie. Wszystko jest lepsze niż robota. Żył na koszt wdowy po dżentelmenie, która prowadziła ten pensjonat.

– To właściwie niesamowite – odważyłem się przerwać. – Facet z patentem kapitańskim?

– Tak jest. Znałem takich, co sprzedawali bilety w omnibusach – rzekł pogardliwie. – Taa, wisieli na tylnej platformie i wrzeszczeli: Dwa pensy za kurs. Przez picie. Ale ten Stafford był inny. Takich jak on pełno jest w piekle. Cloete stroił sobie z niego żarty, a te półprzymknięte oczy nieprzyjemnie błyskały. Ale zasadniczo Cloete był dla niego miły. W każdym razie stawiał mu kolejki, a raz na jakiś czas pożyczał pół korony, bo wdowa mu raczej skąpiła na wydatki. W tej ich suterenie niemal co dzień były kłótnie…

Ten facet był marynarzem, dlatego Cloete’owi w ogóle przyszedł do głowy plan pozbycia się Sagamore’a. Trochę go poobserwował, pomyślał, że dość ma w sobie złego, żeby się dać skusić, więc któregoś wieczoru mówi mu: Pewnie by pan nie miał nic przeciwko temu, żeby na chwilę wrócić na morze, co? Facet nawet nie podnosi wzroku, mówi, że za takie psie pieniądze to się nie opłaca… No tak, ale co by pan powiedział, gdyby tym razem to była pensja kapitańska i parę stówek na dokładkę, jeśliby pan wrócił do domu bez statku? Wypadki zawsze się mogą zdarzyć, mówi Cloete. E, no pewnie, Stafford na to i dalej sączy ze szklaneczki, jakby sprawa wcale go nie obchodziła.

Cloete troszkę go przyciska, a tamten rzuca tylko bezczelnie i obojętnie: Widzi pan, to nie jest przyszłościowa sprawa, co nie? O, nie! – Cloete na to. – Na pewno nie. W tej sprawie nie chodzi o żadną przyszłość, w każdym

razie nie o pańską. To jest transakcja jednorazowa. A jak pan ceni swoją przyszłość?, pyta. Facet wydaje się jeszcze mniej zainteresowany – prawie śpi. Zdaje mi się, że drań był zbyt leniwy, żeby się tym zaciekawić. Oszukać w karty czy żyć prośbą lub groźbą na koszt jakiejś kobiety – to chyba było bardziej w jego stylu. Cloete szeptem klnie na czym świat stoi. Wszystko dzieje się przy barze Pod Podkową, przy Tottenham Court Road. W końcu przy drugiej szklance gorącej szkockiej po sześć pensów dobijają targu – pięćset funtów za porąbanie Sagamore'a tomahawkami. No i Cloete czeka teraz, co zdziała George.

Mija tydzień, potem drugi. Facet przechadza się po domu jak gdyby nigdy nic i Cloete zaczyna wątpić, czy rzeczywiście zamierza podjąć się tej roboty. Ale któregoś dnia zatrzymuje Cloete'a przy drzwiach, wzrok wbity w podłogę: To co z tym zatrudnieniem, które chciał mi pan zapewnić?, pyta… Widzi pan, wykręcił tej kobiecie numer grubszy niż zwykle i spodziewał się, że teraz to już wyleci na bruk. Cloete zadowolony, bo z tego, co kręcił George, odniósł wrażenie, że sprawa jest załatwiona. Więc mówi: Tak, czas, żebym pana przedstawił mojemu przyjacielowi. Niech pan bierze kapelusz i idziemy…

Wchodzą we dwóch do biura, a George prostuje się za biurkiem w nagłej panice i tylko się gapi. Widzi tykowatego faceta, twarz paskudnie przystojna, ciężkie powieki, półprzymknięte; krótka, obdarta kurtka, wytarty melonik, ruchy bardzo ostrożne. Myśli sobie: a więc tak wygląda ten człowiek! O nie, to jest niemożliwe… Cloete przedstawia ich sobie, facet ogląda się za siebie, żeby sprawdzić krzesło, zanim usiądzie… Absolutnie kompetentny człowiek, mówi dalej Cloete… Facet ani mru-mru, siedzi cicho. A George nie może słowa wykrztusić, w gardle mu zaschło. Stara się: Hm! Hm! Ach tak – bardzo mi przykro, że muszę pana zawieść – brat ustalił inaczej – sam płynie.

Facet wstaje, nie podnosząc ani na chwilę wzroku, jak jakaś skromna panienka, i bez słowa, spokojnie wychodzi z biura. Cloete opiera brodę na dłoni i gryzie wszystkie palce naraz. George'owi serce nieco zwolniło i mówi do Cloete'a, że to niemożliwe. No jak to? Kiedy tylko statek się

rozbije, Harry wszystkiego się domyśli. A wiesz, że to człowiek, który sam gotów iść do ubezpieczycieli i zwierzyć się z podejrzeń. Przeze mnie pękłoby mu serce. Jakże mógłby mu to zrobić? Na całym świecie nie mamy nikogo, tylko siebie…

Cloete zaklął szpetnie, zerwał się i wyskoczył z pokoju, a George usłyszał, jak się tłucze za drzwiami. Po chwili podchodzi do drzwi i mówi cicho: Prosisz mnie o rzecz niemożliwą. Cloete czuje, że mógłby rzucić się na niego jak tygrys i rozszarpać go na kawałki, ale odpowiada tylko spokojnym tonem: Skoro mowa o sercach, to muszę ci powiedzieć, że mysz ma większe niż ty… Ale George'a nic to nie obchodzi – ciężar spadł mu z serca… I w tym momencie pojawia się kapitan Harry… Cześć George, chłopcze drogi. Trochę się spóźniłem. Kotlecik Pod Kotem z Cheshire? Świetna myśl, staruszku. Wychodzą razem na obiad. Cloete tego dnia nic nie jadł.

Przez jakiś czas George jest jak nowo narodzony, aż nagle ten Stafford zaczyna się kręcić w okolicach biura. Kiedy George widzi go po raz pierwszy, myśli, że to pomyłka. Ale nie, następnym razem, gdy wychodzi, facet stoi przyczajony po drugiej stronie ulicy. George czuje się nieswojo, ale musi iść załatwić jakieś sprawy, więc gdy facet przechodzi przez ulicę, wymija go. Robi tak raz, drugi, trzeci; ale w końcu gość nagabuje go w bramie budynku… Czegoś pan chce?, pyta George, usiłując przybrać groźną minę.

Zdaje się, że w suterenie pensjonatu doszło do niesnasek i wdowa po dżentelmenie (chorobliwie zazdrosna) wsiadła na Stafforda, grożąc nawet policją. Tego pan Stafford znieść nie mógł: wycofał się niczym przestraszony jeleń i można powiedzieć, że znalazł się na ulicy. Cloete, kiedy wchodził i wychodził, wyglądał tak nieprzyjaźnie, że facet nie miał odwagi go zaatakować; George na oko sprawiał wrażenie łagodniejszego. Wystarczy mi pół funta, mówi Stafford, cokolwiek… Sporo przeżyłem nieszczęść, dodaje cicho, tym swoim nieśmiałym tonem, który przeraża George'a bardziej, niż przeraziłaby go awantura. Niech pan pomyśli, jak bardzo byłem rozczarowany, mówi facet…

A George, zamiast mu powiedzieć: Idź pan do diabła, traci głowę… Nie znam pana. Czego pan chce?, woła i wbiega na górę do Cloete’a… Patrz, co z tego wszystkiego wynikło, dyszy, teraz jesteśmy na łasce tego potwornego typa. Cloete stara się go przekonać, że facet jest niegroźny, ale George uważa, że z tej sprawy może jeszcze wyniknąć jakiś skandal. Mówi, że nie jest w stanie żyć, kiedy prześladuje go ten koszmar. Cloete roześmiałby się, gdyby nie był już tą historią zbytnio znużony. Ale wtem nachodzi go myśl i zmienia śpiewkę… A może! Zejdę na dół i na początek go odprawię… Wraca… No, gościa już nie ma. Ale może ty masz rację. Ten facet jest w ciężkiej sytuacji, a to prowadzi ludzi do desperackich działań. Najlepiej byłoby pozbyć się go z kraju. Słuchaj, ten czort naprawdę potrzebuje pracy. Teraz nie proszę o wiele, tylko tyle, żebyś trzymał język za zębami, a ja się postaram, żeby twój brat wziął go na pokład jako pierwszego oficera. Na to George aż kładzie na biurku ramiona i głowę, nawet Cloete’owi robi się go żal. Ale w sumie jest w nieco lepszym nastroju, bo udało mu się wlać w Stafforda trochę otuchy. Tego samego popołudnia kupuje mu niebieskie ubranie i oświadcza, że teraz będzie musiał się zmienić i zacząć zarabiać na życie. Ma wrócić na morze jako pierwszy oficer na Sagamorze. Drań nie był szczególnie chętny, ale skoro nie miał co jeść i gdzie spać, bo ta kobieta nastraszyła go sankcjami karnymi, to zwyczajnie nie miał wyboru. Cloete zajmuje się nim przez kilka dni… Nasza umowa nadal stoi, mówi. Statek płynie do Port Elizabeth, kotwicowisko tam nie jest bezpieczne. Gdyby się przypadkiem zerwał z kotwicy przy północno-wschodnim wietrze i rozbił na wybrzeżu, co się zdarzyło niejednemu, to pięć stówek masz pan w kieszeni oraz szybki powrót do domu. Dasz pan z tym radę, prawda?

Nasz pan Stafford wszystko przyjmuje ze spuszczonymi oczyma… Jestem kompetentnym marynarzem, mówi z chytrą, skromną minką. Pierwszy oficer z pewnością ma wiele okazji, by pomajstrować przy łańcuchach i kotwicach… Na te słowa Cloete klepie go po plecach: Zrobisz to, mój dzielny żeglarzu. Ruszaj po zwycięstwo…

A George zaraz dowiaduje się od brata, że miał okazję zrobić grzeczność jego wspólnikowi. I to bardzo chętnie. Strasznie go lubi. Wziął jego kolegę na pierwszego. Gość ma kłopoty, chyba rok był na lądzie, zdaje się, że siedział przy umierającej żonie. Nie wiedzie mu się… George oświadcza gwałtownie, że nic nie wie na temat tego człowieka. Widział go raz. Niezbyt atrakcyjny na pierwszy rzut oka… Ale kapitan Harry mówi swoim serdecznym głosem: Tak jest, ale trzeba dać biednemu czortowi szansę…

I tak pan Stafford mustruje się w porcie. I chyba udaje mu się pomajstrować przy jednym z łańcuchów kotwicznych z myślą o Port Elizabeth. Takielarze wywlekli wszystkie łańcuchy na pokład, żeby oczyścić komory. Nowy oficer widzi, jak idą na ląd – pora na kolację – więc wysyła wartownika ze statku po butelkę piwa. Zabiera się do roboty, żeby poluzować zamek szekli czterdziestopięciosążniowego łańcucha, parę razy uderza weń młotkiem, tylko tyle, żeby poluzować, ale łańcuch już nie będzie trzymał. Takielarze wracają – wie pan, jacy oni są: byle dzień minął i byle Pan Bóg dał niedzielę. Łańcuch wraca do komory, szef nawet nie spojrzał na szekle. Co mu zależy? On na tym statku nie płynie. A dwa dni później Sagamore wypływa na morze…

W tym momencie znowu nieostrożnie powiedziałem:

– Rozumiem.

A on znowu się poczuł urażony i tak jak poprzednio zareagował niegrzecznym:

– Nie. Nic pan nie rozumie. – Ale w przerwie opowieści przypomniał sobie o szklance piwa stojącej przy jego łokciu. Opróżnił ją do połowy, wytarł wąsy i zauważył ponuro:

– Niech pan nie myśli, że w tej opowieści będzie wątek morski, bo nie będzie. Jeśli chce pan wstawić coś z głowy, to teraz ma pan możliwość. Przypuszczam, że wie pan, co to jest dziesięć dni złej pogody na kanale, prawda? Ja nie. W każdym razie minęło dziesięć dni. W poniedziałek Cloete przychodzi do biura nieco spóźniony i słyszy w pokoju George’a kobiecy głos, zagląda do środka. Gazety na biurku, gazety na podłodze;

żona kapitana Harry’ego siedzi na stołku, oczy ma czerwone, obok jej torba… Popatrz na to, mówi George z wielkim przejęciem, pokazując mu gazetę. Cloete’owi serce załomotało. Ha! Katastrofa w zatoce Westport. Sagamore rozbił się o skały w niedzielę nad ranem, więc dziennikarze mieli czas, żeby sprawie nadać rozgłos. Całe kolumny na ten temat. Łodzie ratunkowe wypływały dwukrotnie. Kapitan z załogą pozostają na statku. Wezwano już holowniki. Jeśli pogoda się poprawi, jest jeszcze szansa, by uratować ten słynny, wspaniały statek… Wie pan, jak oni umieją pisać… Żona Harry’ego jest w drodze na stację Cannon Street. Pociąg ma za godzinę.

Cloete bierze George’a na bok i szepce: Szansa, by uratować statek! Niech to szlag! Nie można do tego dopuścić, słyszysz? Ale George patrzy na niego nieprzytomnie, a żona Harry’ego tylko cichutko szlocha… Powinnam była pojechać z nim. Ale teraz tam jadę… Wszyscy jedziemy!, wykrzykuje nagle Cloete. Wybiega z pokoju, posyła kobietę naprzeciwko po filiżankę gorącego bulionu dla pani kapitanowej, kupuje jej pled, myśli o wszystkim, a w pociągu otula ją, cały czas coś opowiada, gada, co mu ślina na język przyniesie, niby po to, żeby ją pocieszyć, a tak naprawdę dlatego, że nie może spokojnie usiedzieć z podniecenia. No bo stało się, a on nie musi za nic płacić. Stało się! Naprawdę się stało. Aż mu w głowie wiruje, kiedy o tym myśli. Co za szczęśliwy traf! Prawie go to przeraża. Ma ochotę śpiewać i krzyczeć. Tymczasem George Dunbar siedzi w kącie przedziału i wygląda tak mizernie i nieszczęśliwie, że pani kapitanowa wręcz chce go pocieszać i w efekcie sama się trochę podnosi na duchu, mówiąc mu, jak ostrożnym człowiekiem jest Harry, że nie zaryzykuje niepotrzebnie życia załogi ani swojego i tak dalej.

Pierwsza rzecz, jaką słyszą w Westport, jest taka, że łódź ratunkowa po raz kolejny wypłynęła do statku i przywiozła rannego drugiego oficera oraz kilku marynarzy. Kapitan z resztą załogi, mniej więcej piętnastu ludzi, nadal znajdują się na pokładzie. Holowniki mają się zjawić lada chwila.

Biorą panią Dunbar do gospody znajdującej się niemal naprzeciwko skał; ona od razu na pięterko, żeby spojrzeć na skały, i w krzyk na widok

wraku. Nie spocznie, póki nie dostanie się na pokład, do swojego - Harry’ego. Cloete uspokaja ją, jak umie… Dobrze, dobrze, najpierw niech pani spróbuje coś przełknąć, a my pójdziemy się czegoś dowiedzieć.

Wyciąga George’a z pokoju: Słuchaj, ona nie może jechać na statek, ale ja pojadę. Zadbam, żeby Harry nie został na statku zbyt długo. Chodźmy pogadać ze sternikiem łodzi ratunkowej… George idzie za nim, od czasu do czasu szarpią nim dreszcze. Fale zalewają nabrzeże; wiatru niewiele, nad zatoką dzikie, ponure niebo. Na całym horyzoncie jest tylko jeden holownik, kieruje się w stronę morza, pojawia się i znika za falami co chwila, jak według zegarka.

Znajdują sternika, który mówi: Tak! Zaraz znowu wypływa. Nie, na pokładzie nie ma na razie niebezpieczeństwa. Niewielkie szanse dla statku. Ale jeśli wiatr się nie podniesie, a fale trochę zelżeją, będzie można jeszcze popróbować. Po krótkiej rozmowie zgadza się wziąć Cloete’a na pokład; że niby ma do przekazania kapitanowi ważną wiadomość od właścicieli statku.

Za każdym razem, gdy Cloete spogląda w niebo, czuje ulgę – bo wygląda naprawdę groźnie. George Dunbar chodzi za nim, pobladły, milczący. Cloete bierze go na jednego i pomalutku George się zbiera… No, już lepiej, mówi Cloete, niech mnie diabli, czułem się, jakbym przechadzał się w towarzystwie trupa. Powinieneś mi tu skakać z radości, człowieku. Ja miałem ochotę wiwatować na środku ulicy! Twojemu bratu nic nie grozi, statek stracony, a my będziemy bogaci!

Jesteś pewien, że stracony?, pyta George. To by był straszliwy cios po tych wszystkich koszmarach, przez które przeszedłem, odkąd po raz pierwszy mi o tym wspomniałeś, gdyby go mieli teraz wyciągnąć i… i wszystkie te pokusy miałyby się znowu zacząć… bo przecież my nie mieliśmy z tym nic wspólnego, prawda?

Oczywiście, że nie, mówi Cloete. Przecież twój brat dowodził, nie? To opatrzność!… Ach, George na to, w szoku… No to może diabeł, rzuca wesoło Cloete. Wszystko mi jedno! Ty nie masz z tym wspólnego więcej niż nienarodzone dziecko, ty mięczaku jeden, ty… Cloete czuje niemal, że

kocha George’a Dunbara. Tak. Cóż. Nie chodzi mi o to, że go szanował. Ale po prostu miał słabość do tego swojego wspólnika.

Wracają do hotelu jak na skrzydłach, a tam żona kapitana w otwartym oknie, wpatrzona w statek, jakby chciała przefrunąć ponad zatoką… No więc pani Dunbar, woła Cloete, pani nie może pojechać, ale ja się wybieram. Co przekazać? Śmiało! Powtórzę wiernie każde słówko. A gdyby mi pani chciała dać dla niego buziaka, to niech mnie diabli, jeśli i tego mu nie przekażę.

Rozśmiesza panią Dunbar tym gadaniem… Ach, kochany panie Cloete, pan taki spokojny, taki rozsądny. Niech pan mu powie, żeby się zachowywał z głową. On jest odrobinę uparty, wie pan, no i tak bardzo kocha ten statek. Niech mu pan powie, że tu jestem i patrzę… Proszę mi zaufać, pani Dunbar. Tylko niech pani, moja droga, od razu zamknie to okno. Tylko się pani przeziębi, to pewne, a kapitan się nie ucieszy, gdy po zejściu z wraku zastanie panią kichającą i kaszlącą, i nie będzie mu pani mogła powiedzieć, jak się cieszy na jego widok. A nie miałaby pani gdzieś kawałka tasiemki, muszę sobie przywiązać okulary za uszami – i już ruszam…

Jak się dostał na pokład, nie wiem. Ale się dostał: mokry, roztrzęsiony, podniecony, zdyszany. Statek leżał przechylony na bok, zalewany bryzgami wody, ale nie ruszał się zbytnio; tylko tyle, żeby pobudzić w człowieku nerwy. Znajduje całą załogę w forkasztelu, sztormiaki lśnią, twarze jakby chore. Kapitan Harry nie wierzy własnym oczom. Pan Cloete! Co pan tu, na Boga, robi?… Pańska żona na brzegu, patrzy, wyrzuca z siebie Cloete; a po krótkiej rozmowie kapitan Harry stwierdza, że to jest po prostu nadzwyczajne, żeby wspólnik brata przyjeżdżał do niego w tej sytuacji. Człowiek jest szczęśliwy, że może z kimś porozmawiać… Kiepska sprawa, panie Cloete, mówi. A Cloete cieszy się, że to słyszy. Kapitan Harry uważa, że zrobił, co mógł, ale łańcuch pękł, kiedy kotwiczyli. Stracić statek to ciężkie przejście. Cóż, trzeba będzie stawić temu czoła. I raz po raz wzdycha. Cloete zaczyna żałować, że się wybrał na wrak, bo cały czas strasznie go dusi w piersiach. Przycupnęli pod szalupą przy lewej burcie,

z dala od innych, żeby się ochronić przed wiatrem. Łódź ratunkowa, która przywiozła Cloete’a, odpłynęła już na brzeg, ale miała wrócić przy kolejnym przypływie po załogę, jeśli nie uda się podjąć próby postawienia statku. Zapadał zmierzch, zimowy dzień, niebo czarne, zerwał się wiatr. Kapitana Harry’ego ogarnęła melancholia. Niech się dzieje wola boska. Jeśli trzeba zostawić statek na skałach – to trzeba. Człowiek musi mężnie przyjmować ciosy, które Bóg mu zsyła… Nagle głos mu się łamie i ściska Cloete’a za ramię: Chyba nie będę w stanie go porzucić, szepcze. Cloete patrzy dokoła na ludzi stłoczonych jak stadko baranów i myśli sobie: Ci tu nie zostaną… Nagle statek unosi się nieco i opada z głośnym tąpnięciem. Przypływ. Wszyscy patrzą za łodzią ratunkową. Niektórzy już ją dostrzegli w oddali, i dwa holowniki. Ale wrócił wiatr i wiadomo, że na pewno żaden holownik nie podejdzie blisko statku.

No to koniec, mówi kapitan Harry bardzo cicho… Cloete myśli, że jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak zimno… Czuję, że nie chce mi się już żyć, mamrocze Harry… Na brzegu czeka żona, mówi Cloete… Tak. Tak. To musi być dla niej straszne, patrzeć na ten biedny, stary statek. To przecież był nasz dom.

Cloete myśli sobie, że nic go to nie obchodzi, byle tylko Sagamore się skończył, a marzy wyłącznie o jednym: znaleźć się gdzie indziej. Najlżejszy ruch statku zatyka mu oddech niczym cios. Ale czuje też podniecenie z powodu niebezpieczeństwa. Kapitan bierze go na bok… Łódź nie podejdzie do nas wcześniej niż za godzinę. Słuchaj pan, panie Cloete, skoro pan tu jest, i taki odważny, czy mógłby pan coś dla mnie zrobić?… Prosi go, żeby poszedł na dół, do jego kajuty na rufie, gdzie w jednej szufladzie jest zwitek ważnych papierów oraz sześćdziesiąt sztuk złota w płóciennym woreczku. Prosi Cloete’a, żeby poszedł mu to przynieść. Sam nie był na dole, odkąd Sagamore uderzył w skałę, bo zdaje mu się, że jeśli spuści z niego oko, to statek rozpadnie się w drobny mak. No i ludzie – teraz już nieźle wystraszeni – jeśli zostawi ich samych, gotowi przy mocniejszym tąpnięciu w panice spuścić szalupę i ktoś się potopi… Jest parę pudełek zapałek na półkach w kajucie, jeśli potrzebne będzie

światło, mówi kapitan Harry. Tylko niech pan wytrze ręce, zanim zacznie pan za nimi macać…

Cloete’owi wcale się to zadanie nie podoba, ale nie chce pokazywać, że jest spietrany, więc idzie. Na deku masa wody, brnie, chlupocząc, zresztą zrobiło się ciemno. Aż nagle przy grotmaszcie ktoś go łapie za rękę. Stafford. O Staffordzie nawet nie pomyślał. Kapitan Harry coś tam wspomniał, że pierwszy oficer niezbyt zadowalający, ale to wszystko. W pierwszej chwili Cloete go nie rozpoznaje w sztormiaku. Widzi tylko bladą twarz i wpatrujące się w niego oczy… Zadowolony, panie Cloete?…

Cloete’owi chce się śmiać z tego jęku, odsuwa go na bok. Ale facet lezie za nim na rufę i schodzi w dół do kajuty wraku. Są tam sami, we dwóch; niemal się nie widzą… Nie chcesz mi pan wmówić, że masz z tym coś wspólnego, odzywa się Cloete…

Obaj trzęsą się i prawie tracą zmysły z podniecenia, że są na tym statku. Statek przechyla się, rzuca nim o skały, a oni się chwieją, żołądki im wykręca. Cloete znów wybucha śmiechem nad tym nieszczęśnikiem Staffordem, który udaje, że zdziałał tu coś strasznego… To tak chce mnie pan teraz potraktować?!, wrzeszczy tamten nagle.

Fala uderza od dziobu, cały statek się trzęsie i jęczy, huk morza wokół nich i nad nimi, Cloete niepewny, słyszy tylko, że tamten wrzeszczy jak opętany… A, nie wierzysz mi? Idź pan i zobacz łańcuch na lewej burcie. Zerwał się? Tak? Idź, zobacz, czy się zerwał. Znajdź zerwane ogniwo! Nie znajdziesz! Nie ma zerwanego ogniwa. A to znaczy tysiąc funtów dla mnie. Tyle i ani grosza mniej. Tysiąc, na drugi dzień po powrocie na ląd. Natychmiast. Nie będę czekał, aż ten statek pójdzie w drzazgi, panie Cloete. Pójdę do ubezpieczycieli, choćbym miał boso iść do Londynu. Lewy łańcuch! Popatrzcie panowie na lewy łańcuch, tak im powiem. Ja go dla nich przyszykowałem, skuszony przez jednego takiego drania o nazwisku Cloete.

Cloete nie chwyta dokładnie, o co chodzi. Widzi tylko, że ten facet ma zamiar narobić kłopotów. Że będą problemy… Chcesz mnie tu straszyć, pyta. Ty, parszywy łotr?… Stafford patrzy mu w twarz – obaj trzymają się

stołu – nie, nie ciebie, ty jesteś jakimś przybłędą, ale mogę nastraszyć tego drugiego, tego w czarnym ubraniu…

Czyli George’a Dunbara. W głowie Cloete’a wirują myśli. Nie wyobraża sobie, żeby ten facet mógł im rzeczywiście zaszkodzić, ale wie, jaki jest George: wszystko wygada, zepsuje cały interes, na którym Cloete’owi tak strasznie zależy. Nic nie mówi, słyszy tego drugiego, który ze strachu, wysiłku i podniecenia dyszy jak pies, a potem warczy… Tysiąc, w dwadzieścia cztery godziny od powrotu na ląd, pojutrze. To moje ostatnie słowo, panie Cloete… Tysiąc funtów, pojutrze, powtarza Cloete. O, tak. A dzisiaj bierz to, ty podła szujo… I wali go na odlew, z czystej wściekłości. Stafford zatacza się wzdłuż grodzi. Cloete na ten widok daje mu jeszcze cios gdzieś w szczękę. Facet cofa się chwiejnym krokiem i wpada przez otwarte drzwi wprost do kajuty kapitana. Cloete, idąc za nim, słyszy, jak tamten pada ciężko i stacza się w bok, a wtedy zatrzaskuje drzwi i przekręca klucz… No! – mówi sobie – już nam nie będzie robił kłopotów.

– Na Jowisza! – szepnąłem.

Stary porzucił swój imponujący bezruch, by obrócić ku mnie głowę w zawadiacko nałożonym kapeluszu i przyjrzeć mi się tymi starymi, czarnymi, zmatowiałymi oczyma.

– Zostawił go tam – rzekł ciężko, powracając do kontemplacji ściany. – Cloete nie zamierzał pozwolić na to, by ktokolwiek, a zwłaszcza taka kreatura jak Stafford, stanął mu na drodze do bogactwa, jemu i George’owi, a także kapitanowi Harry’emu. Nie zastanawiał się nad konsekwencjami. Ci ludzie od leków patentowych nie troszczą się o to, co mówią czy robią. Uważają, że świat musi przełknąć każdą historię, jaką mu zafundują… Stał przez chwilę i nasłuchiwał. Ruszyło go trochę, kiedy usłyszał walenie w drzwi i jakiś taki stłumiony wściekły wrzask w kapitańskiej kajucie. Zdawało mu się też, że w tym potwornym łoskocie, kiedy Sagamore unosi się i wali w morze, słyszy swoje nazwisko. Ten hałas i wstrząs wyganiają go z kajuty. Dopiero na rufie powraca do zmysłów. Ale serce mu zamiera na widok czarnej dzikości nocy. Może i on zaraz utonie. Wkłada głowę do

iluminatora. Pomimo wiatru i rozszalałych fal słyszy, jak za drzwiami Stafford dyszy i przeklina. Słucha tego i mówi do siebie: Nie. Nie mogę mu już ufać…

Wraca na górę forkasztelu i na pytanie kapitana Harry'ego, czy przyniósł te rzeczy, mówi, że mu przykro, ale coś jest nie tak z drzwiami, nie był w stanie ich otworzyć. I prawdę mówiąc, nie miał ochoty już dłużej siedzieć w tej kajucie. Łoskot jest taki, jakby statek rozpadał się na kawałki… Kapitan Harry myśli: Zdenerwowany, nic nie może być nie tak z drzwiami. Ale mówi: Dzięki – nic nie szkodzi, nic nie szkodzi… Wszyscy majtkowie wypatrują teraz łodzi ratunkowej. Każdy myśli raczej o sobie. Cloete pyta sam siebie: Czy zauważą, że go nie ma? Prawda była jednak taka, że pan Stafford zaprezentował się na morzu z tak marnej strony, że od momentu uderzenia nikt za bardzo na niego nie zwracał uwagi. Nie dbali, gdzie jest ani co robi. No i było ciemno – nie da się przeliczyć głów. Widać światło holownika ciągnącego łódź ratunkową, jak zbliża się ku statkowi, a kapitan Harry pyta: Wszyscy są?… Ktoś odpowiada: Tak jest, sir… Ustawić się do opuszczenia statku, mówi kapitan Harry; dwaj niech pomogą najpierw temu panu… Tak jest, sir… Cloete chciał poprosić kapitana, żeby pozwolił mu zostać do końca, ale kiedy tylko łódź ratunkowa łapie się bosakiem na wysokości fokmasztu, dwaj goście chwytają go pod ramiona i w odpowiednim momencie spuszczają do łodzi, całego i zdrowego.

Czuje się właściwie wycieńczony. Był nieprzyzwyczajony do takich rzeczy, wie pan. Siada na ławeczce, zamyka oczy. Nie chce patrzeć na spienioną, białą wodę. Ludzie jeden za drugim schodzą do łodzi. Potem słyszy, jak kapitan Harry woła do sternika, żeby chwilę poczekał i jeszcze coś, czego nie może dosłyszeć, a sternik odwrzaskuje: Tylko niech się pan pospieszy, sir… O co chodzi?, pyta Cloete, czując, że mu słabo… Coś z papierami statku, odpowiada sternik, bardzo zaniepokojony. To nie jest pora, żeby się przyklejać do burty, wie pan. Odholowują łódź kawałek na bok i czekają. Fale zalewają ich raz za razem. Cloete niemal traci zmysły. Nie myśli o niczym. Zdrętwiał, aż nagle krzyk: Jest już!… Widzą człowieka

przy wantach fokmasztu, podciągają się na linie i bez trudu biorą go na pokład. Słychać jakieś krzyki – wszystko wymieszane z rykiem morza. Cloete'owi wydaje się, że głos Stafforda odzywa się tuż przy jego uchu. Wiatr na chwilę ustaje, a wtedy Stafford bardzo szybko odzywa się do sternika; mówi, że oczywiście był tuż przy kapitanie, cały czas był przy nim, aż stary w ostatniej chwili powiedział, że musi iść po papiery statku na rufę; nalegał, że sam pójdzie, a jemu, Staffordowi, powiedział: Schodź do łodzi… Zamierzał czekać na kapitana, tyle że fale akurat się na moment uspokoiły i chciał wykorzystać tę szansę.

Cloete otworzył oczy. Tak. Stafford siedzi tuż przy nim na zatłoczonej łodzi. Sternik pochyla się nad Cloete'em i krzyczy: Słyszał pan, co mówi oficer, sir?… Cloete czuje, że twarz ma jak odlaną z gipsu, usta i wszystko. Tak, słyszałem, zmusza się, by to powiedzieć. Sternik czeka przez chwilę, potem stwierdza: Nie podoba mi się to… Zwraca się do oficera – szkoda, że nie pobiegł za kapitanem i nie pospieszył go, kiedy zobaczył, że morze się uspokaja. Stafford od razu odpowiada, że pomyślał o tym, tylko że mógł się z nim minąć na deku w ciemności. Bo, mówi, przecież kapitan mógł od razu zawrócić, myśląc, że już jestem w łodzi, i odpłynęlibyście, a ja bym został na wraku… Prawda, mówi sternik. Mija jakaś minuta. To nie ma sensu, mruczy sternik. Nagle Stafford odzywa się takim jakimś pustym głosem: Słyszałem, jak mówił do pana Cloete'a, że nie wie, czy będzie miał odwagę, by opuścić ten statek, mówił tak, co nie?… A Cloete czuje, że w ciemności ktoś go ściska za ramię… Nie mówił? Staliśmy tam razem, zanim pan zszedł do łodzi, panie Cloete, prawda?

Wtedy sternik woła: Idę na pokład zobaczyć, co się dzieje… Cloete wyrywa rękę: Idę z panem…

Kiedy docierają na pokład, sternik mówi Cloete'owi, żeby szedł na rufę jedną stroną deku, a on sam pójdzie drugą, żeby nie minąć się z kapitanem… I niech pan maca po drodze rękami, bo może się przewrócił i leży gdzieś na deku nieprzytomny… Gdy Cloete dociera wreszcie do włazu tylnej kajuty, sternik już tam jest, patrzy w dół i węszy. Czuję swąd z dołu, mówi. I wrzeszczy: Jest pan tam, sir?!… Chyba krzyk tu nie

pomoże, mówi Cloete i czuje, jakby mu serce stanęło… Schodzą. Ciemno choć oko wykol. Przechył taki, że sternik, idąc do kajuty kapitana, traci równowagę i przewraca się. Cloete słyszy jego okrzyk, jakby coś mu się stało, pyta, co się dzieje. Sternik odpowiada spokojnie, że wpadł na kapitana, który leży tu nieprzytomny. Cloete bez słowa zaczyna macać po półkach za zapałkami. Znajduje, zapala. Widzi: sternik w korkowym kapoku klęczy nad kapitanem Harrym… Krew, mówi sternik, spogląda w górę, zapałka gaśnie.

Czekaj pan, Cloete na to, pozwijam kartkę papieru i zapalę… Wymacał na półce jakieś książki. I tak stoi, zapalając jeden zwitek od drugiego, a sternik odwraca kapitana. Nie żyje, mówi. Kula w sercu. Tu rewolwer… Podaje go Cloete’owi, który, zanim włoży go do kieszeni, przygląda mu się i odczytuje tabliczkę na kolbie: H. Dunbar… Jego własny, mamrocze… A czyjego rewolweru się pan spodziewał?, ucina sternik. I niech pan patrzy, zanim wszedł, zdjął płaszcz sztormowy. A co to za spalone papiery? Po co miałby palić papiery statku?

Cloete widzi to wszystko, wypatroszone szufladki, i prosi sternika, żeby je dobrze przegrzebał… Nic tu nie ma, mówi tamten. Wyczyszczone. Zdaje się, że wyciągnął wszystko, co tylko mu wpadło w ręce, i podpalił. Oszalał – to jasne – po prostu oszalał. A teraz nie żyje. Będzie pan to musiał przekazać żonie…

Czuję się, jakbym sam miał zaraz zwariować, mówi nagle Cloete, a sternik błaga go, żeby na miłość boską wziął się w garść, i wywleka go z kajuty. Musieli zostawić ciało, zdążyli tuż przed paskudnym szkwałem. Cloete’a wciągają do łodzi, sternik schodzi za nim. Wyciągać się na bosaku! Kapitan się zastrzelił!…

Cloete był jak trup – na niczym już mu nie zależało. Stafford dwa razy uszczypnął go w rękę, a on nie zareagował. Prawie całe Westport zgromadziło się na starym molo, czekając na ludzi z łodzi ratunkowej, więc gdy dobiła do nabrzeża, rozległy się z początku zmieszane okrzyki radości. Gdy jednak sternik coś krzyknął, głosy ucichły, wszyscy stali w ciszy. Cloete, kiedy tylko postawił nogę na stałym lądzie, od razu wrócił do

siebie. Uścisnęli sobie ręce ze sternikiem: Biedna kobieta, biedna kobieta, wolałbym, żeby to panu przyszło to przekazać, nie mnie…

A gdzie pierwszy oficer?, pyta Cloete. On jako ostatni rozmawiał z kapitanem… Ktoś pobiegł – załogę zabrano do sali kościelnej, w której napalono w kominku i przygotowano posłania – ktoś pobiegł i zrównał się ze Staffordem… Hej, agent właściciela chce z panem pomówić… Cloete bierze go pod łokieć i prowadzi na lewo, w stronę zatoki rybackiej… Chyba pana nie zrozumiałem źle. Chciałby pan, żebym się panem teraz trochę zajął, prawda?, mówi. Tamten lekko mu wisi na ramieniu, ale rechocze paskudnie: Dobrze by było, mamrocze, tylko uwaga, żadnych sztuczek, żadnych sztuczek, panie Cloete. Teraz jesteśmy na lądzie.

Policja jest pięćdziesiąt jardów stąd, mówi Cloete. Skręca do niewielkiej gospody, wpycha Stafforda do sieni. Właściciel wybiega zza baru… To jest pierwszy oficer ze statku rozbitego na skałach, wyjaśnia Cloete. Chciałbym… żeby się pan nim trochę zaopiekował dziś wieczór… A co mu jest?, pyta tamten. Stafford opiera się o ścianę sieni, wygląda koszmarnie. Cloete mówi na to, że nic takiego, wyczerpany, oczywiście… Biorę na siebie koszty, jestem agentem właściciela. Wracam za godzinkę czy dwie, zobaczę co i jak.

I Cloete wraca do hotelu. Wieści już tam dotarły; pierwszą osobą, którą spotyka, jest czekający na niego przed drzwiami biały jak ściana George. Cloete tylko kiwnął głową i razem wchodzą do środka. Pani Dunbar stoi u szczytu schodów, a kiedy widzi, że weszli tylko oni dwaj, wyrzuca ramiona nad głowę i wbiega do swojego pokoju. Nikt nie odważył się jej powiedzieć, ale już to, że nie zobaczyła męża, wystarczyło. Cloete słyszy potworny krzyk… Idź do niej, mówi do George’a.

Zostaje sam w prywatnym saloniku, wychyla szklankę brandy i przemyśliwuje całą sprawę. Wtedy wchodzi George… Gospodyni jest z nią, mówi. I zaczyna chodzić tam i z powrotem po pokoju, machając rękami, wypowiadając jakieś oderwane zdania z tak twardym wyrazem twarzy, jakiego Cloete jeszcze u niego nie widział… Co się miało stać, to się stało. Nie żyje – jedyny brat. Cóż, nie żyje – jego kłopoty się

zakończyły. Ale my żyjemy dalej – mówi do Cloete’a. – I mam nadzieję – powiada, wpatrując się w niego rozognionymi, suchymi oczyma – że nie zapomnisz jutro rano zatelegrafować do twojego znajomego i powiedzieć, że na pewno wchodzimy w to…

Miał na myśli tego faceta od patentowych leków… Śmierć śmiercią, ale biznes jest biznes, mówi dalej George. Patrz, ja mam czyste ręce, mówi, pokazując je Cloete’owi. Ten myśli: Zwariował. Chwyta go za ramiona i zaczyna nim potrząsać: Niech cię diabli porwą! Gdybyś miał kiedyś dość rozsądku, żeby pogadać z bratem, gdybyś się w ogóle odważył z nim pogadać, to on by teraz żył! Ty moralna kreaturo!, wrzeszczy.

George wlepia w niego oczy, a potem wybucha straszliwym płaczem. Rzuca się na kanapę, zatapia twarz w poduszkach i szlocha jak dzieciak… Teraz lepiej, myśli Cloete i zostawia go. Gospodarzowi mówi, że musi pilnie wyjść, bo ma jeszcze pewną sprawę do załatwienia. Żona gospodarza, sama we łzach, łapie go na schodach: Och, proszę pana, ta biedna pani gotowa odejść od zmysłów.

Cloete uwalnia się od niej, myśląc: Och, nie, da sobie z tym radę. Jeśli w związku z tą aferą ktoś odejdzie od zmysłów, będę to ja. To nie z żalu się wariuje, tylko ze zmartwienia.

I tu Cloete się mylił. Panią Dunbar najbardziej przejęło to, że kapitan odebrał sobie życie, a ona właściwie na to patrzyła. Tak ją to dręczyło, że nie minął rok, a trzeba było ją umieścić w zakładzie. Była bardzo, bardzo spokojna; po prostu w łagodnej melancholii. Żyła jeszcze dość długo.

No więc Cloete z chlupotem brnie przez wiatr i deszcz. Na ulicach nikogo – podniecenie minęło. Właściciel gospody wybiega mu na spotkanie do sieni: Nie tędy, jest tutaj, w małym saloniku. Zapaliliśmy mu ogień… Serwowaliście mu też napitki – stwierdza Cloete – nie mówiłem, że biorę na siebie alkohol. Ile wypił?… Dwie szklaneczki, tamten na to. Ale nie ma sprawy, tyle mogę zrobić dla marynarza rozbitka… Cloete uśmiecha się dziwnie. Co? Daj pan spokój, przecież za nie zapłacił… Barman tylko dziwnie mruga oczami… Złotem, co? Mów pan!… Co z tego?!, krzyczy tamten. O co panu w ogóle chodzi? Dostał uczciwą resztę z suwerena.

No więc właśnie, Cloete na to. Wchodzi do saloniku i widzi Stafforda: włosy w nieładzie, ubrany w koszulę i portki właściciela gospody, bose stopy w kapciach, siedzi przy ogniu. Kiedy widzi wchodzącego, spuszcza wzrok.

Mieliśmy się już więcej nie spotykać, panie Cloete, mówi Stafford skromnie… Ten gość, kiedy tylko się napił – a nie był pijakiem – natychmiast przybierał ten swój chytry, skromny ton… Ale ponieważ kapitan popełnił samobójstwo – mówi – siedzę i rozmyślam o tym. Różne rzeczy się zdarzają. Spisek, by stracić statek, usiłowanie zabójstwa i jeszcze to samobójstwo. Bo jeżeli to nie było samobójstwo, panie Cloete, to ja mam coś do powiedzenia o kimś, kto padł ofiarą próby okrutnego zabójstwa z zimną krwią; o kimś, kto przeżył tysiąc śmierci. I z tego punktu widzenia ów tysiąc funtów, o którym rozmawialiśmy, to sumka bez większego znaczenia. Niech pan popatrzy, jak wygodne jest to samobójstwo…

Spogląda na Cloete’a, który uśmiecha się do niego i podchodzi blisko do stolika.

Zabiłeś Harry’ego Dunbara, szepcze Cloete… Facet gapi się na niego i pokazuje zęby. Oczywiście! Byłem w tej kajucie od półtorej godziny niczym szczur w pułapce… zamknięty, zostawiony na śmierć w tym wraku. Niech ciało i krew osądzą. Oczywiście, że go zastrzeliłem! Myślałem, że to ty, podły morderco, że wracasz, by ze mną skończyć. A on otwiera drzwi i wpada wprost na mnie. Miałem w ręce rewolwer, więc go zastrzeliłem. Byłem w szaleństwie. Ludzie wariują od mniejszych rzeczy.

Cloete patrzy na niego bez mrugnięcia powieką. A, więc taka jest twoja historyjka, tak?… I mówiąc to, w pasji potrząsa stolikiem…. To teraz posłuchaj mojej. Co za spisek? Kto to udowodni? Polazłeś tam, żeby kraść. Rabowałeś kajutę, on wszedł nieświadomy niczego i zastał cię z rękami w szufladach, więc go zastrzeliłeś jego własnym rewolwerem. Zabiłeś, żeby go okraść – okraść! Jego brat i urzędnicy w biurze wiedzą, że kapitan wziął na morze sześćdziesiąt suwerenów w płóciennym woreczku. Powiedział mi, gdzie są. Sternik łodzi ratunkowej może przysiąc, że wszystkie szuflady były puste. A ty jesteś takim kretynem, że nie mija pół godziny na lądzie,

a już wyciągasz sztukę złota i płacisz nią za napitki. Słuchaj, pan. Jeśli pojutrze nie zgłosisz się do biura prawników George’a Dunbara i nie złożysz stosownego raportu na temat utraty statku, to naślę na ciebie policję. Pojutrze…

I co pan myśli? Ten Stafford zaczyna drzeć włosy z głowy. Po prostu. Wyrywa je sobie obiema rękami, nie mówiąc ani słowa. Cloete popycha stolik, czym niemal strąca Stafforda z fotela wprost do kominka, że ten aż musiał się chwycić kraty przed paleniskiem, żeby nie wpaść do ognia.

Wiesz pan, jakim jestem człowiekiem – mówi Cloete ostro. – Dotarłem do takiego momentu, że już nie dbam o to, co ze mną będzie. Zastrzeliłbym cię teraz za byle co.

Słysząc to, ten łotr włazi pod stół. Cloete wychodzi, a kiedy skręca w uliczkę – wie pan, małe rybackie domki, ciemno wszędzie; i jeszcze leje jak z cebra – Stafford otwiera okno saloniku i wykrzykuje płaczliwie:

Ty parszywy jankeski czorcie, jeszcze ci za to odpłacę!

Cloete idzie dalej z gorzkim śmiechem, myśli sobie, że ten facet już mu w pewnym sensie odpłacił, tylko jeszcze o tym nie wie.

Mój imponujący zbir dopił resztkę piwa, przyglądając mi się uważnie znad szklanki.

– Nie całkiem rozumiem – odezwałem się. – Jak?

Wyprostował się nieco i wyjaśnił, nawet bez zbytniej pogardy, że skoro kapitan Harry zginął, to należną mu połowę pieniędzy z ubezpieczenia dostała żona, a jej pełnomocnicy oczywiście kupili za nie obligacje. Dosyć, żeby jej zapewnić wygodne życie. Połowa należna George’owi Dunbarowi, tak jak przypuszczał Cloete, okazała się zbyt mała, by ruszyć z tym medycznym interesem, więc pojawili się inni ludzie z pieniędzmi i ci dwaj musieli się wycofać w zasadzie w ogóle ze wszystkiego.

– Ciekawy jestem – odezwałem się – co było siłą napędową całej tej tragicznej historii, to znaczy, co to był za specyfik? Wie pan?

Wymienił jego nazwę, a ja aż gwizdnąłem z uznaniem. Były to ni mniej, ni więcej tylko pigułki Parkera na lumbago. Potężna fortuna! Znacie je, cały

świat je zna. Co druga osoba na tej planecie je zażywa.

– No to rzeczywiście! – zawołałem. – Ominęły ich niesamowite pieniądze.

– Tak – wymamrotał w odpowiedzi. – Z powodu jednego strzału z rewolweru.

Opowiedział mi także, że Cloete w końcu wrócił do Stanów jako pasażer na statku handlowym Albert Dock. Wieczorem przed wyjazdem spotkał go wałęsającego się po nabrzeżu i zaprosił do siebie na szklaneczkę czegoś mocniejszego.

– Zabawny facet, ten Cloete. Siedzieliśmy przez całą noc i piliśmy grog, aż do chwili, gdy musiał wejść na pokład.

To wtedy właśnie Cloete, bez goryczy, lecz ze znużeniem, opowiedział mu całą tę historię, z ową nieświadomą szczerością, jaką mają w sobie nieznający żadnych skrupułów moralnych ludzie od patentowych leków. Zakończył uwagą, że on, Cloete, „ma już dość starego kraju”. George Dunbar też na koniec zwrócił się przeciwko niemu. Cloete najwyraźniej był mocno rozczarowany.

Jeśli chodzi o Stafforda, to umarł jako zdeklarowany obibok w którymś ze szpitali na East Endzie, a dzień przed śmiercią domagał się „duchownego”, ponieważ sumienie dręczyło go w związku z tym, że zabił niewinnego człowieka.

– Chciał, żeby ktoś go zapewnił, że już wszystko dobrze – mruczał mój stary łotr pogardliwie. – Temu księdzu powiedział, że ja znałem Cloete’a, który usiłował go zabić, więc ksiądz (pracował wśród robotników portowych) kiedyś ze mną o tym rozmawiał. Ten łajdak, gdy zrozumiał, że jest w potrzasku, jęczał o miłosierdzie… Obiecywał, że się poprawi i tak dalej… Potem zwariował… Wrzeszczał i rzucał się, walił głową w grodzie… Można się domyślić, jak to wyglądało, co?… Aż go to wyczerpało. Poddał się. Rzucił się na posłanie, zamknął oczy i chciał się modlić. Tak mówił. Starał się przypomnieć sobie jakąś krótką modlitwę przed śmiercią – był przerażony. Myślał, że może ma nóż czy coś, żeby podciąć sobie gardło i szybciej z sobą skończyć. A potem myśli: Nie! -

Raczej pomajstruję przy zamku w drzwiach… Nie miał noża w kieszeni… Szlochał i wołał do Boga, żeby zesłał mu jakieś narzędzie, aż przyszło mu do głowy: siekiera! Zwykle na statkach, w kajucie kapitana jest zapasowa siekiera, schowana w którymś ze schowków. Podskoczył… Ciemno choć oko wykol.

Wyciąga szufladę po szufladzie, szukając zapałek, a kiedy za nimi maca, pierwszą rzeczą, na jaką natrafia jest… rewolwer kapitana Harry'ego. I to załadowany. Natychmiast całkowicie się uspokaja. Przecież może rozwalić zamek strzałem, prawda? No i co? Uratowany! Opatrzność boska! I są pudełka zapałek. Myśli: Czyli mogę nawet zobaczyć, co robię.

Zapala zapałkę i widzi płócienny woreczek wetknięty w głąb szufladki. Od razu wie, co w nim będzie. Szybko wciska go do kieszeni. A! – mówi sobie – przyda mi się więcej światła. Więc rzuca na podłogę kupę papierów, podpala je i w pośpiechu grzebie w poszukiwaniu innych kosztowności. Wyobraża pan sobie? Temu księdzu na East Endzie mówił, że to diabeł go podkusił. Najpierw łaska boska, zaraz potem diabelska robota. Raz w tę, raz w tę…

Każdy pokrętny łotr może tak gadać. Tak go pochłonęły te szuflady, że usłyszał dopiero krzyk: Wielkie nieba! Podnosi wzrok, widzi otwarte drzwi – Cloete zostawił klucz w zamku – i kapitana Harry'ego nad sobą, wyglądającego bardzo groźnie w świetle płonących papierów. Oczy aż mu wychodziły z orbit. Kradzież! – wrzeszczy na niego – I to marynarz! Oficer! O nie! Ktoś tak podły jak pan zasługuje tylko na to, żeby go tu zostawić i utopić.

I ten Stafford na łożu śmierci wyznał księdzu, że kiedy usłyszał te słowa, znowu popadł w szaleństwo. Wyrwał z szuflady dłoń z rewolwerem i strzelił, nawet nie mierząc. Kapitan Harry z łoskotem padł jak kamień na płonące papiery, gasząc ogień. Znów ciemność. Kompletna cisza. Stafford nasłuchiwał przez chwilę, potem rzucił rewolwer i jak szalony zaczął wyłazić na pokład.

Stary rąbnął pięścią w stół.

– No i wścieka mnie, kiedy słyszę, jak ci przewoźnicy bredzą, że kapitan popełnił samobójstwo. Ha! Kapitan Harry był człowiekiem, który mógł w każdej chwili stanąć przed swym Stwórcą i tam na górze, i tu na dole. To nie był ktoś, kto by się chciał wymknąć z życia. Na pewno nie! To był do szpiku dobry człowiek. On pierwszy dał mi pracę dokera, i to trzy dni po moim ślubie.

Ponieważ oczyszczenie kapitana Harry’ego z oskarżenia o samobójstwo było, jak mi się wydawało, jego jedynym celem, niezbyt wylewnie mu podziękowałem za dostarczony materiał. Zresztą nie bardzo było za co dziękować.

Bo aż się człowiekowi niemiło robi, kiedy pomyśli, że takie rzeczy dzieją się u nas, na naszym kanale, i to, żeby tak powiedzieć, na oczach całego tego luksusowego ruchu do Szwajcarii i Monte Carlo. Żeby w ogóle taką historię przyjąć, trzeba by ją umieścić gdzieś na morzach południowych. Ale za dużo zachodu z przyrządzeniem jej do smaku czytelników czasopism. No więc macie ją tu, że tak powiem, na surowo, w takiej formie, w jakiej została mi zaprezentowana, tyle że bez uderzającego efektu stworzonego przez narratora. Tego robiącego naprawdę potężne wrażenie starego łotra, najbardziej imponującego ze wszystkich, którzy uprawiają mało romantyczny zawód dokera w londyńskim porcie.

# Książę Roman

– Wydarzenia, które miały miejsce siedemdziesiąt lat temu, są już być może zbyt odległe, by je przywoływać w zwykłych rozmowach. Oczywiście rok 1831 jest dla nas datą historyczną, kolejnym rokiem, w którym wobec biernego oburzenia świata i jego elokwentnego żalu musieliśmy raz jeszcze wyszeptać: „*Vae victis*”, i w smutku przeliczać straty. Nie żebyśmy kiedykolwiek zbyt dobrze umieli kalkulować, czy to w czasie dostatku, czy to w obliczu przeciwności losu. Tej lekcji nigdy nie zdołaliśmy się wyuczyć, ku wielkiej rozpaczy naszych wrogów, którzy nadali nam miano „Niepoprawnych”…

Mówiący te słowa był narodowości polskiej – pochodził z narodu, który nie tyle żyje, ile utrzymuje się przy życiu, który myślą, oddechem, mową, nadzieją i cierpieniem trwa wciąż w swej mogile, strzeżonej przez milion bagnetów i potrójnie zapieczętowanej przez trzy wielkie imperia.

Rozmowa dotyczyła arystokracji. Jak pojawił się ten zdyskredytowany dzisiaj temat? Minęło parę lat i dokładne wspomnienia bledną. Lecz pamiętam, że nie mówiło się o arystokracji praktycznie, jako o składniku mieszanki społecznej; i po prawdzie sądzę, że doszliśmy do tego tematu dzięki jakiejś wymianie myśli na temat patriotyzmu – uczucia także nieco dziś zdyskredytowanego, ponieważ delikatni zwolennicy humanitaryzmu mają je za relikt epoki barbarzyństwa. A jednak ani wielki florencki malarz, który zamknął oczy, myśląc o własnym mieście, ani święty Franciszek, który ostatnim tchnieniem błogosławił Asyż, barbarzyńcami nie byli. Aby właściwie ocenić patriotyzm, potrzeba pewnej wielkości ducha – albo szczerości uczuć, której brakuje prostackiemu wyrafinowaniu myśli współczesnej, niemogącej pojąć wzniosłego uczucia płynącego wprost z samej natury rzeczy i ludzi.

Rozmawialiśmy o arystokracji najwyższej, o największych rodach Europy, nie zubożałych, nie przechrzczonych, nie zliberalizowanych, lecz o klasie najbardziej ze wszystkich wyrazistej i wyspecjalizowanej, dla której pośród zwykłych bodźców do działania i prawidłowości zachowania nie istnieje nawet sama ambicja.

Skoro klasa ta została pozbawiona niepodważalnego prawa przywództwa, to sądziliśmy, że z uwagi na wielkie majątki, na kosmopolityzm wynikający z szerokich związków rodzinnych, na wysoką pozycję, która nie gwarantuje zbyt wiele zysku, a naraża na ogromne straty, jej przedstawiciele muszą w czasach politycznego poruszenia i niepokoju znajdować się w bardzo trudnej sytuacji. Skoro nie rodzą się już, by przewodzić – a to przecież jest samą istotą arystokracji – coraz trudniej będzie im robić cokolwiek innego, niż wynosić się ponad wielkie ruchy, które budzą powszechne namiętności.

Kiedy doszliśmy do tego wniosku, padła uwaga o wydarzeniach w odległym kraju i pojawiła się data 1831. A osoba, która o niej wspomniała, mówiła dalej:

– Nie chcę powiedzieć, że znałem księcia Romana w tych odległych czasach. Zaczynam już czuć swój wiek, ale tak stary jednak nie jestem. W istocie książę Roman ożenił się w tym samym roku, w którym na świat przyszedł mój ojciec. To był rok 1828. Wiek XIX jeszcze się wówczas nie postarzał, a książę Roman był nawet młodszy, choć nie wiem dokładnie o ile lat. Tak czy inaczej, ożenił się bardzo młodo. A związek ten był idealny pod każdym względem. Dziewczyna młoda i piękna, sierota, jedyna spadkobierczyni wielkiego nazwiska i wielkiej fortuny. Książę, wówczas oficer gwardii, wyróżniający się pośród rówieśników pewną rezerwą i refleksyjnością charakteru, zakochał się na zabój w jej urodzie, wdzięku i poważnych przymiotach umysłu i serca. Sam był młodzieńcem raczej spokojnym, ale jego spojrzenia, postawa, cała osoba wyrażały absolutne oddanie kobiecie, którą wybrał, oddanie odwzajemnione przez nią na sposób szczery i zachwycający.

Wydawało się, że płomień tej czystej młodzieńczej namiętności nigdy nie zagaśnie; przez cały sezon rozświetlał suchą, cyniczną atmosferę wielkiego świata w Sankt Petersburgu. Zainteresowanie zakochanym małżeństwem wyrażał nawet sam car Mikołaj, dziad obecnego władcy, ten, który zginął na wojnie krymskiej, ostatni być może z autokratów obdarzony mistyczną wiarą w świętość swej misji. Po prawdzie Mikołaj przyglądał się uważnie wszelkim poczynaniom wielkich polskich rodów. Młodzi, wiodąc życie właściwe ich pozycji, niewątpliwie byli w sobie zadurzeni, a towarzystwo, zafascynowane szczerością uczucia rozwijającego się spokojnie w sztucznej atmosferze i niespokojnym, pretensjonalnym podnieceniu, obserwowało ich z dobrotliwym pobłażaniem i pełną rozbawienia czułością.

Ich ślub był wydarzeniem towarzyskim roku 1829 w stolicy. Dokładnie czterdzieści lat później przebywałem w majątku brata mojej matki w południowych prowincjach.

Trwała sroga zima. Wielki trawnik przed domem był czysty i gładki jak alpejskie pole śnieżne, biała, puszysta równina lśniąca w słońcu niby spryskana diamentowym pyłem, lekko opadająca ku jezioru – podłużnej, łukowatej połaci zamarzniętej wody, która wyglądała na błękitniejszą i twardszą niż ziemia. Zimne, jaskrawe słońce sunęło nisko nad falującym horyzontem wielkich zasp, wśród których kryły się chaty ukraińskich wiosek niczym grupki łodzi pochowanych w zagłębieniach falującego morza. Wszędzie panowała cisza.

Nie wiem już dzisiaj, jak to się stało, że o jedenastej rano zdołałem umknąć z klasy. Miałem wówczas osiem lat; dziewczynka, o parę miesięcy młodsza ode mnie kuzynka, choć odziedziczyła gwałtowniejszy temperament, mniej miała śmiałości. Dlatego wymknąłem się sam i znajdowałem się właśnie w wielkim, wykładanym kamieniami holu, ogrzewanym przez olbrzymi piec z białych kafli, gdzie było o wiele przyjemniej niż w pokoju szkolnym, w którym z jakichś powodów, być może higienicznych, zawsze utrzymywano niską temperaturę.

My, dzieci, byłyśmy świadome, że w domu przebywa gość. Przybył poprzedniego wieczora o godzinie, gdy nas właśnie zagnano do łóżek. Przedarliśmy się przez linię nagonki, żeby rozpłaszczyć noski na ciemnej szybie okiennej, ale było już za późno i nie zdołaliśmy go zobaczyć, gdy wysiadał. Widzieliśmy tylko w czerwonawej poświacie na tle śniegu dużą budę na płozach, zaprzężony w sześć koni ciężki, czarny kształt, który wjeżdżał do stajni, poprzedzany przez jeźdźca z płonącą kulą pakuł i żywicy w żelaznym koszu zawieszonym na umocowanym u siodła kiju. Dwóch chłopców stajennych posłano już po południu na drogę, żeby o zmierzchu oczekiwali spodziewanego gościa i oświetlili mu przejazd takimi pochodniami. Trzeba pamiętać, że w tamtym okresie w naszych południowych prowincjach nie było jeszcze ani jednej mili kolei żelaznej. Moja mała kuzynka i ja mieliśmy o kolei i maszynach parowych pojęcie tylko na podstawie książek obrazkowych – były to dla nas sprawy niejasne, niezwykle odległe i nieszczególnie interesujące, dotyczące chyba tylko dorosłych, którzy podróżowali za granicę.

Nasze pojęcie o książętach, choć może nieco bardziej precyzyjne, pochodziło głównie z literatury, odbijał się w nim pełen blasku świat baśni, w których książę jest zawsze młody, czarujący, dzielny i szczęśliwy. A jednak, jak wszystkie dzieci, umieliśmy wyznaczyć jasną granicę między tym, co rzeczywiste, a tym, co idealne. Wiedzieliśmy, że książęta to postaci historyczne. I to także miało w sobie pewien czar. Teraz jednak czujnie, niczym zbiegły więzień, przemykałem po domu pełen nadziei, że nadarzy się okazja, by uciąć sobie pogawędkę z moim szczególnym przyjacielem, nadleśniczym, który zwykle o tej porze przychodził z raportem. Chciałem się dowiedzieć, co się dzieje z pewnym starym wilkiem. Wiecie, w kraju, gdzie są wilki, niemal każdej zimy pojawia się jakiś okaz wyjątkowy, czy to z powodu bezczelności swych poczynań, czy to, że tak powiem, najdoskonalej wilczej natury. Chciałem posłuchać nowych strasznych historii o tym wilku – a być może dramatycznej historii jego śmierci…

Ale w holu nie było nikogo.

Zawiedziony w swych nadziejach, poczułem nagle wielkie przygnębienie.

Nie mogłem triumfalnie powrócić do lekcji, wybrałem się więc na smętną przechadzkę do sali bilardowej, gdzie z całą pewnością nie miałem czego szukać. Tam także nikogo nie było, dlatego poczułem się zagubiony i zrozpaczony, sam na sam z wielkim angielskim stołem bilardowym, który stał tak – potężny, ciężki i prostokątny – jakby miał za złe małemu chłopcu, że naruszył jego spokój.

Kiedy zacząłem rozważać, czy się nie wycofać, usłyszałem kroki w przyległym saloniku; i zanim mogłem wziąć nogi za pas i czmychnąć, w drzwiach pojawił się wuj ze swoim gościem. Uciec, kiedy mnie już zobaczyli, byłoby niełądnie, więc stawiłem im czoła. Wuj nieco się zdziwił na mój widok. Gość, który wszedł z nim, był szczupłym człowiekiem średniego wzrostu, miał na sobie zapięty czarny surdut i trzymał się prosto, wyprężony sztywno w postawie jakby wojskowej. Z fałd miękkiego batystowego fularu wystawały dwa rożki kołnierzyka, które niemal dotykały mu policzków. Parę kosmyków rzadkich siwych włosów zaczesał gładko na czubku łysej głowy. Jego twarz, która w swoim czasie musiała być piękna, zachowała z wiekiem harmonijną prostotę rysów. Zdumiała mnie jej gładka, niemal śmiertelna bladość. Wydawał mi się straszliwie stary; cień uśmiechu, chwilowa drobna zmiana ułożenia ust oznaczała, że dostrzegł moje zawstydzenie; mnie zaś zaintrygowało, że gość sięga do wewnętrznej kieszeni na piersi surduta. Wyjął z niej ołówek i bloczek papieru, które podał wujowi z niemal niezauważalnym skinieniem głowy.

Zdziwiło mnie, że wuj traktuje to jako rzecz całkiem normalną. Napisał coś na kartce, tamten spojrzał i lekko skinął głową. Chuda, pomarszczona dłoń – dłoń starsza od twarzy – pogłaskała mnie po policzku, a następnie lekko spoczęła na mojej głowie. Z zapadłych ust wydobył się bezdźwięczny głos, równie bezbarwny jak ta twarz, tymczasem oczy, ciemne, nieruchome, wciąż patrzyły na mnie uprzejmie. „A ile lat ma ten nieśmiały chłopczyk?”

Zanim zdołałem odpowiedzieć, wuj zapisał mój wiek na kartce. Byłem pod wielkim wrażeniem. Co to za ceremoniał? Czy ta osobistość jest zbyt

wielka, by wolno się było do niej odzywać? Znowu spojrzał na kartki, skinął głową i znowu odezwał się tym bezosobowym, mechanicznym głosem: „Podobny do dziadka”.

Pamiętałem swego dziadka ze strony ojca. Umarł stosunkowo niedługo przedtem. On także był strasznie stary. Wydawało mi się całkowicie naturalne, że ci dwaj szacowni starcy znali się kiedyś w mrocznych czasach przed moim narodzeniem. Ale wuj najwyraźniej nie był świadom tego faktu. Wobec tego mechaniczny głos wyjaśnił: „Tak, tak, byliśmy towarzyszami w trzydziestym pierwszym. On należał do tych, co wiedzieli. Dawne czasy, panie kochany, dawne czasy…”.

Zrobił gest, jakby chciał odpędzić natrętnego ducha. Teraz obaj spoglądali na mnie z góry. Zastanawiałem się, czy powinienem coś zrobić. Widząc moje oczy, okrągłe ze zdumienia, wuj wyjaśnił: „Jest zupełnie głuchy”.

A ów oderwany, pozbawiony wyrazu głos rzekł do mnie: „Podaj mi rękę”.

Z jasną świadomością, że palce mam uwalane atramentem, nieśmiało wysunąłem dłoń. Nigdy przedtem nie spotkałem głuchej osoby, byłem trochę przestraszony. Ścisnął mnie mocno za rękę, a potem raz jeszcze pogłaskał po głowie.

Wuj zwrócił się do mnie z powagą: „Ściskałeś rękę księcia Romana S–. To jest coś, co powinieneś sobie zapamiętać do końca życia”.

Ton jego głosu zrobił na mnie wrażenie. Znałem na tyle historię, żeby wiedzieć, że książęta S– zaliczali się do rodów panujących na Rusi do czasu unii ziem ruskich z Koroną Polską, kiedy to, gdzieś w początkach XV wieku, stali się wielkim polskim rodem magnackim. Mnie jednak najbardziej przejęło to, że prysł bajkowy czar. Co za wstrząs, poznać księcia, który jest głuchy, łysy, mizerny i do tego strasznie stary. Nigdy bym nie pomyślał, że ten onieśmielający i rozczarowujący człowiek kiedyś był młody, bogaty i piękny. Nie mogłem wiedzieć, że cieszył się szczęściem idealnego małżeństwa, które połączyło dwa młode serca, dwa wielkie

nazwiska, dwie wielkie fortuny; że był szczęśliwy szczęściem, które, jak w baśniach, miało trwać już wiecznie…

Ale nie trwało wiecznie. Jego losem było przetrwać niezbyt długo, nawet według miary dni danych człowiekowi na jego ziemską podróż, podczas której wiecznotrwałe szczęście znaleźć można tylko w zakończeniach baśni. Niebawem urodziła się im córka, a wkrótce potem młoda księżna zaczęła zapadać na zdrowiu. Przez długi czas znosiła to z dzielnością i uśmiechem, podtrzymywana przekonaniem, że teraz musi żyć koniecznie dla szczęścia dwojga istot. W końcu jednak mąż, głęboko zaniepokojony nagłymi zmianami w jej wyglądzie, uzyskał bezterminowy urlop i wywiózł ją ze stolicy na wieś, do swoich rodziców.

Stary książę i księżna bardzo się przestraszyli stanem ukochanej synowej. Natychmiast podjęto przygotowania do podróży za granicę. Ale zdaje się, że było już za późno i sama chora z łagodnym uporem sprzeciwiła się temu planowi. Wychudła i blada, zatopiona w wielkim fotelu, w którym z powodu podstępnej i nieznanej choroby nerwowej z dnia na dzień wyglądała na coraz drobniejszą i bardziej kruchą, choć uśmiech nie znikał z jej oczu, a wymizerowana twarzyczka zachowała wdzięk, przylgnęła do swej rodzimej ziemi, chciała oddychać rodzimym powietrzem. W żadnym innym miejscu szybciej by nie wydobrzała, w żadnym innym miejscu nie miałaby lżejszej śmierci.

Umarła, zanim jej córeczka skończyła dwa latka. Rozpacz męża była ogromna, a tym bardziej przerażająca dla rodziców, że zupełnie cicha i bez jednej łzy. Po pogrzebie, gdy rozszedł się już tłum wieśniaków z odkrytymi głowami, który gęsto otoczył prywatną kaplicę w majątku, książę, odprawiwszy ręką przyjaciół i krewnych, pozostał sam, by patrzeć, jak murarze zamykają rodzinną kryptę. Kiedy ostatni kamień był już na miejscu, wydał z siebie jęk, pierwszy od wielu dni wyraz bólu, jaki wyrwał się z jego piersi, potem odszedł ze zwieszoną głową i zamknął się w swoich apartamentach.

Ojciec i matka zamartwiali się z jego powodu. Przerażał ich zewnętrzny spokój syna. Jedyną nadzieję pokładali w młodości, która wszak jego

rozpacz uczyniła tak zamkniętą i tak gwałtowną. Stary książę Jan, niespokojny i stroskany, powtarzał: „Trzeba jakoś wyrwać biednego Romana z tego stanu. Jest taki młody”. Ale nie znajdowali na to sposobu. Stara księżna, ocierając oczy, żałowała, że nie jest już tak młody, by przyjść do niej i wypłakać się u jej kolan.

Z czasem książę Roman, nie bez wysiłku, zaczął od czasu do czasu pojawiać się w rodzinnym kręgu. Ale można było pomyśleć, że wraz z żoną w rodzinnej krypcie pochował także swe serce i umysł. Samotnie wędrował po lasach, potajemnie obserwowany przez jednego z leśników, który wieczorem meldował, że „Jego Wysokość przez cały dzień nie wystrzelił”. Czasami przychodził rano do stajni, ściszonym głosem kazał sobie osiodłać konia, stukając palcem w cholewę buta, czekał, aż mu go przyprowadzono, wsiadał bez słowa i stępa wyjeżdżał za bramę. Nie było go całymi dniami. Ludzie widywali go na drogach; nie rozglądał się na boki, twarz miał białą, siedział w siodle sztywno, niczym kamienny jeździec na żywym wierzchowcu.

Chłopi pracujący na polach, tych szerokich, niepociętych żywopłotami polach, przypatrywali się mu z dala, czasem tylko jakaś ogarnięta współczuciem babina, stojąc na progu niskiej, krytej strzechą chaty, ze wzruszeniem robiła za nim w powietrzu znak krzyża, jakby był jednym z nich, zwykłą wiejską duszą, którą dotknęło nieszczęście.

Jechał wprost przed siebie, nikogo nie widząc, jak gdyby ziemia opustoszała, a cała ludzkość poszła do grobu, który tak nagle otwarł się na ścieżce jego życia i pochłonął jego szczęście. Czym byli dla niego inni ludzie ze swymi troskami, radościami, pracami i namiętnościami, od których ta, co dla niego była całym światem, tak przedwcześnie odeszła?

Nie istnieli; i czułby się tak zupełnie samotny i opuszczony, niczym człowiek we władzy sennego koszmaru, gdyby nie ten kraj, w którym się urodził i spędził swoje szczęśliwe chłopięce lata. Znał go doskonale – każdy porosły drzewami wzgórek pośród pól uprawnych, każdą dolinkę skrywającą wieś. Strumień z zastawkami tworzył ciąg jeziorek otoczonych zielonymi łąkami. W dali, na północy, potężny litewski bór w słońcu

wydawał się nie wyższy niż żywopłot; a na południe, ku stepom, brązowe połacie pól dotykały błękitu nieba.

Ten to znajomy krajobraz przywodzący na myśl dni bez troski i bez smutku, ten kraj, którego urok czuł, nawet nie rozglądając się wokół, łagodził jego ból niby obecność starego przyjaciela, w ciemnej godzinie życia siedzącego przy nas w milczeniu, niezauważenie.

Pewnego popołudnia zdarzyło się, że książę, skierowawszy konia w stronę domu, dostrzegł w oddali nisko nad ziemią gęsty obłok kurzu, przecinający mu ukośnie widok. Wjechał na pagórek, żeby się przyjrzeć. W obłoku tu i ówdzie połyskiwała z lekka stal i rysowały się w niej ruchome kształty, które w końcu ukazały się w postaci długiego sznura chłopskich wozów ciągnących wolno, podwójnym rzędem, pod konną eskortą Kozaków.

Wyglądało to, jakby przez pola pełzł potężny gad; głowę zanurzył już w jakimś jarze, a ogon, coraz to krótszy, wił się, jak gdyby ten potwór wgryzał się powoli w samo serce ziemi.

Książę skierował się ku wiosce leżącej nieco w bok od traktu. Przydrożna karczma ze stajnią, obórką i stodołą pod jedną olbrzymią strzechą wyglądała niczym bezkształtny, garbaty, obdarty olbrzym, rozciągnięty pośród niskich chłopskich chat. Karczmarz – tęgi, dostojny Żyd, ubrany w czarny atłasowy chałat sięgający mu do kostek i przepasany czerwoną szarfą – stał w drzwiach, głaszcząc się po długiej siwej brodzie.

Przyglądał się nadjeżdżającemu księciu, skłonił się mu w pas, nie przypuszczając, że zostanie nawet zauważony, powszechnie bowiem wiadomo było, że młody pan nie patrzy na nic i na nikogo, tylko w swój smutek. Bardzo się zdumiał, kiedy książę zatrzymał konia i zapytał: „Co tu się dzieje, Jankielu?”.

„To, proszę Waszej Wysokości, to jest zaciąg piechoty; prowadzą ich na południe”.

Ostrożnie rozejrzał się na prawo i lewo, ale skoro w pobliżu nie było nikogo, tylko gromadka dzieci bawiących się w pyle wielkiej drogi, podszedł bliżej do końskiego boku.

„To Wasza Wysokość nic nie wie? Tam już się zaczęło. Cała szlachta, wielka i mała, pod bronią, nawet prosty lud powstał. Tylko wczoraj siodlarz z Gródka (to było niewielkie miasteczko targowe w okolicy) przejeżdżał tędy, żeby dołączyć z dwoma czeladnikami. Nawet u mnie bryczkę zostawili. Dałem mu przewodnika po okolicy. Wasza Wysokość wie, nasi ludzie podróżują, to i widzą, co się dzieje, znają wszystkie drogi".

Jankiel starał się powstrzymać podniecenie, ale ten Żyd, karczmarz i dzierżawca młynów w majątku, był polskim patriotą. Jeszcze ciszej dodał:

„Byłem już żonaty człowiek, kiedy Francuzi i inne narody ciągnęli tędy za Napoleonem. Cy, cy. To było żniwo dla śmierci, nu! Może tego razu Pan Bóg pomoże".

Książę skinął głową. „Być może…" – i popadłszy w zadumę, skierował konia do domu.

Tego wieczora napisał list, a rano posłał konnego na pocztę do miasteczka. W ciągu dnia ku wielkiej radości rodziny przerwał milczenie i rozmawiał z ojcem o niedawnych wydarzeniach – o powstaniu w Warszawie, ucieczce wielkiego księcia Konstantego, pierwszym niewielkim zwycięstwie wojska polskiego (w tamtym czasie istniało polskie wojsko), o ruchach powstańczych na prowincji. Stary książę Jan, poruszony i zaniepokojony, patrząc wyłącznie z arystokratycznego punktu widzenia, nie ufał ludowym źródłom ruchu, był przeciwny jego demokratycznym dążeniom i nie wierzył w szanse powodzenia.

Był smutny, wewnętrznie wzburzony.

„Oceniam to wszystko na spokojnie. Istnieją światowe zasady prawa i porządku, które to lekkomyślne przedsięwzięcie pogwałciło w imię najbardziej przewrotnych złudzeń. Choć patriotyczny odruch serca, rzecz jasna…"

Książę Roman słuchał w zadumie. Skorzystał z chwili milczenia, by oświadczyć ojcu, że rano wysłał do Sankt Petersburga list z rezygnacją ze stanowiska w gwardii.

Stary książę nic nie odrzekł. Uważał, że syn powinien był zasięgnąć jego rady. Syn był także cesarskim oficerem przybocznym, wiedział więc, że car

nigdy nie wybaczy takiego gestu polskiemu arystokracie. Tonem wyrażającym niezadowolenie wspomniał, że przecież Roman i tak jest na bezterminowym urlopie. Należało raczej siedzieć cicho. Na dworze mają zbyt wiele taktu, by wzywać z powrotem kogoś o takim nazwisku. W najgorszym razie można było wystąpić z prośbą o wysłanie na jakąś daleką placówkę – na przykład na Kaukaz – z dala od tej nieszczęsnej walki, która co do zasady jest błędem i dlatego musi zakończyć się klęską.

„Teraz zostaniesz beż żadnego celu w życiu i bez zajęcia. A przecież trzeba ci jakiegoś zajęcia, mój biedny chłopcze. Obawiam się, że postąpiłeś nieroztropnie".

Książę Roman wyszeptał: „Przemyślałem to".

Ojciec zawahał się pod jego spokojnym spojrzeniem.

„No cóż – być może! Ale jako oficer przyboczny cara i ulubieniec całej carskiej rodziny…"

„O tych ludziach nikt nawet nie słyszał, kiedy nasz ród już był sławny" – rzucił lekceważąco młodzieniec.

Stary książę był wrażliwy na tego rodzaju uwagi.

„Cóż, może to i dobrze" – przyznał w końcu.

Ojciec i syn czule życzyli sobie dobrej nocy. Następnego ranka wydawało się, że książę Roman na powrót popadł w obojętność. Wyjechał jak zawsze. Pamiętał, że poprzedniego dnia widział ten wężowy pochód połyskujących bagnetami żołnierzy pełznący po ziemiach, które należały do niego. Kobieta, którą kochał, także należała do niego. Śmierć mu ją wydarła. Jej strata była dla niego moralnym wstrząsem. Otworzyła mu serce na przyjęcie większych trosk, skierowała umysł ku większym myślom, oczy ku całej przeszłości i ku istnieniu innej miłości, pełnej bólu, ale niepojęcie władczej, podobnie jak ta utracona, której kiedyś powierzył swe szczęście.

Tego wieczoru poszedł do siebie wcześniej niż zwykle i zadzwonił na lokaja.

„Idź, zobacz, czy u koniuszego jeszcze się świeci. Jeśli jest na nogach, każ mu zaraz przyjść do mnie".

Kiedy sługa odszedł, książę w pośpiechu podarł jakieś papiery, zamknął na klucz szuflady biurka, a na piersi znów powiesił sobie medalion z miniaturą żony.

Ten, po kogo książę posłał, należał do owej przeszłości, która ożyła dla niego po śmierci jego miłości. Koniuszy pochodził z drobnej szlachty, która od pokoleń należała do poplecznków, sług i przyjaciół książąt S–. Pamiętał jeszcze czasy sprzed rozbiorów, bił się do ostatniej chwili. Był to typowy stary Polak z tej warstwy, zdolny do wielkich uczuć i ślepy w entuzjazmie, miał instynkt wojenny i proste przekonania, a nawet starodawny zwyczaj pstrzenia swej wymowy łacińskimi słowami. Jego dobre, przenikliwe oczy, rumiana twarz, gęste brwi i sumiaste siwe wąsiska także były charakterystyczne dla jego typu.

„Posłuchaj, panie Franciszku – odezwał się książę poufale i bez ceregieli. – Posłuchaj mnie, stary przyjacielu. Zamierzam stąd po kryjomu zniknąć. Idę tam, gdzie wzywa mnie głos silniejszy niż mój smutek, ale bardzo do niego podobny. Tylko tobie to wyznaję. Powiesz, co będzie trzeba, kiedy przyjdzie czas”.

Stary zrozumiał. Wyciągnął przed siebie drżące ramiona. Kiedy tylko odzyskał głos, podziękował głośno Bogu za to, że pozwolił mu dożyć chwili, gdy potomek tego wielkiego rodu, najmłodsze jego pokolenie, daje przykład, *coram gentibus*, miłości swej ojczyzny i męstwa w polu. Nie wątpił, że jego umiłowany książę zajmie w radzie i w bitwie miejsce godne jego wysokiego urodzenia; już widział, że *in fulgore* rodzinnej chwały *affulget patride serenitas*. Na koniec swej przemowy wybuchnął płaczem i rzucił się księciu w ramiona.

Książę uciszył starego, a kiedy już zdołał go uspokoić i usadzić w fotelu, rzekł:

„Nie zrozum mnie źle, panie Franciszku. Wiesz dobrze, jak kochałem swą żonę. Taka strata otwiera człowiekowi oczy na prawdy nieoczekiwane. Nie ma tu mowy o przywództwie i o chwale. Zamierzam iść sam i bić się w ukryciu, w zwykłych szeregach. Zamierzam ofiarować ojczyźnie to, co

mam do ofiarowania, czyli swoje życie, tak zwyczajnie jak siodlarz z Gródka, którzy poszedł wczoraj ze swymi czeladnikami…”

Tu stary aż wykrzyknął. To być nie może. Na to on nie pozwoli. Musiał jednak ustąpić przed argumentami i wyraźną wolą księcia.

„Ha! Skoro mówisz, książę, że to kwestia uczuć i sumienia – niech tak będzie. Nie możesz jednak jechać całkiem sam. Ja – niestety! – jestem za stary, by się na coś przydać. *Cripit verba dolor*, Wasza Książęca Mość, na myśl, że mam już ponad siedemdziesiąt lat i nie więcej się liczę na świecie niż żebrak pod kruchtą. Nadaję się chyba już tylko do tego, żeby siedzieć w domu i modlić się do Boga za naród i za ciebie. Ale jest syn mój najmłodszy, Piotr. Z niego będzie dla ciebie godny kompan. Akurat do mnie przyjechał. Od wiek wieków nie było księcia S–, który idąc w bój, nie miałby u boku kompana noszącego nasze nazwisko. Musisz mieć, książę, przy sobie kogoś, kto wie, kim jesteś, chociażby i po to, by twoim rodzicom i staremu słudze przynieść wieści, co się z wami dzieje. A kiedy to Wasza Książęca Mość zamierza wyruszyć?”

„Za godzinę” – odrzekł książę, a stary wybiegł, by przygotować syna.

Książę Roman tymczasem wziął lichtarz i cichym krokiem ruszył długimi korytarzami przez uśpiony dom. Piastunka opowiadała potem, jak to zbudziła się nagle i zobaczyła księcia, kiedy wpatrywał się w dziecko, jedną ręką osłaniając świecę, by nie raziła maleństwa. Stał tak i patrzył na córeczkę przez dłuższy czas, a potem, postawiwszy lichtarz na podłodze, pochylił się i delikatnie ucałował dziewczynkę, która się nie zbudziła. Niańka widziała jego twarz doskonale, ale nie umiała z niej niczego wyczytać. Był blady, lecz absolutnie spokojny, a kiedy odchodził od kołyski, ani razu się nie obrócił i nie spojrzał.

Poza starym sługą i jego synem Piotrem jedyną zaufaną osobą był Żyd Jankiel. Kiedy zapytał księcia, dokąd dokładnie chciałby zostać zaprowadzony, ten odpowiedział: „Do najbliższego oddziału”. Wnuk Żyda, chudy wyrostek, poprowadził ich obu mało uczęszczanymi dróżkami, przez lasy i bagna, aż zobaczyli ogniska niewielkiego oddziału, który obozował w kotlince. Gdzieś zarżały niewidoczne konie, głos w ciemności zawołał:

„Kto idzie?”, a młody Żyd oddalił się pospiesznie, tłumacząc, że musi szybko wracać, by dotrzeć do domu przed szabatem.

Książę Roman ofiarował się swemu krajowi w ten pokorny sposób, zgodny z prostą wizją obowiązku, jaka ujawniła mu się, kiedy śmierć zdarła z jego oczu opaskę szczęścia. Jego towarzysz przedstawił się w oddziale jako syn koniuszego księcia S–, a jego jako swego krewniaka, dalekiego kuzyna z tych samych stron, jak należało się domyślać, noszącego to samo nazwisko. W zasadzie o wiele ich nie pytano. Oto zgłosili się dwaj młodzi ludzie, najwyraźniej tacy jak trzeba. Nic bardziej naturalnego.

Książę Roman niedługo zabawił na południu. Pewnego dnia, gdy szli na zwiady z paroma innymi, tuż przy wejściu do jakiejś wsi wpadli w rosyjską zasadzkę. Pierwsza salwa położyła sporo ludzi, a reszta rozpierzchła się na wszystkie strony. Rosjanie, obawiając się kontrataku, też nie stali w miejscu. Po pewnym czasie chłopi, którzy przyszli obejrzeć sytuację, wyciągnęli księcia Romana spod martwego konia. Nie był ranny, ale jego wierny towarzysz padł jako jeden z pierwszych. Książę pomógł chłopom pogrzebać go wraz z innymi poległymi.

Pozostał teraz sam, a niepewny, gdzie szukać oddziału partyzantów będących w nieustannym ruchu, postanowił dołączyć do głównych sił wojska polskiego, które stawało przeciw Rosjanom na granicy litewskiej. Przebrany w chłopski strój na wypadek, gdyby napotkał jakichś Kozaków maruderów, wędrował kilka tygodni, nim dotarł do wioski, w której na wysuniętej pozycji stał regiment polskiej kawalerii.

Na ławeczce przed nieco bogatszą chatą chłopską siedział jakiś starszy oficer, którego książę wziął za pułkownika. Podszedł z uszanowaniem, opowiedział swoją historię i wyraził pragnienie wstąpienia do wojska. Kiedy oficer, który przyglądał mu się bacznie, zapytał, jak się nazywa, bez namysłu podał nazwisko swojego poległego towarzysza.

Starszy oficer pomyślał sobie: oto syn jakiegoś uwłaszczonego chłopa. Spodobał mu się z wyglądu.

„A umiesz ty czytać i pisać, dobry człowieku?” – zapytał.

„Tak jest, wasza miłość, umiem” – odrzekł książę.

„Dobrze. Wejdź no do chaty, tam jest adiutant pułkowy. Wpisze cię na listę i złożysz przed nim przysięgę”.

Adiutant srogo popatrzył na nowo przybyłego, ale nic nie powiedział. Kiedy dopełniono wszystkich formalności, a rekrut wyszedł, zwrócił się do swojego przełożonego: „Czy pan wie, kto to jest?”.

„Kto? Ten Piotr? Niczego sobie człowiek”.

„To książę Roman S–”.

„Bzdura”.

Ale adiutant był tego pewien. Dwa lata wcześniej widział księcia kilkukrotnie na zamku w Warszawie. Raz nawet rozmawiał z nim na przyjęciu u wielkiego księcia.

„Zmienił się. Wygląda dużo starzej, ale jestem pewien, że to on. Mam dobrą pamięć do twarzy”.

Oficerowie popatrzyli na siebie w milczeniu.

„Na pewno prędzej czy później ktoś go rozpozna” – wyszeptał adiutant.

Pułkownik wzruszył ramionami.

„To nie nasza sprawa, że ma ochotę służyć w szeregach. Co do tego, czy ktoś go rozpozna – wątpliwe. Wszyscy nasi oficerowie i żołnierze pochodzą z drugiego końca Polski”.

Przez chwilę dumał głęboko, potem się uśmiechnął.

„Powiedział, że umie czytać i pisać. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym przy pierwszej nadarzającej się okazji awansował go na sierżanta. Na pewno będą z niego ludzie”.

Książę Roman jako podoficer przeszedł oczekiwania pułkownika. Sierżant Piotr bardzo szybko zyskał sławę z powodu swojej zaradności i odwagi. Nie była to lekkomyślna odwaga człowieka zdesperowanego, lecz pewne siebie, jakby skrupulatne, wyzbyte niepokoju męstwo; bezgraniczne, ale zrównoważone oddanie, którego nie zmieniał ani czas, ani przeciwności, ani zniechęcenie nieustannym cofaniem, goryczą niknących nadziei czy zagrożeniem zarazą, która towarzyszyła zwykłym wojennym trudom i niebezpieczeństwom. W tym to roku w Europie po raz pierwszy pojawiła się cholera. Dziesiątkowała obozy obu armii, nawet najsilniejsze

umysły przepełniała grozą tajemniczej śmierci, która przechadzała się cicho między stosami broni i wokół ogni na biwakach.

Nocą udręczonych żołnierzy budził nagły krzyk i w blasku żarzących się węgli widzieli, jak ktoś spośród nich wije się na ziemi niczym robak deptany przez niewidzialną stopę. Przed świtem był już sztywny i zimny. Bywało, że nawiedzone w ten sposób oddziały wstawały jak jeden mąż, porzucały ognisko i w niemej panice biegły w ciemność. Albo towarzysz, z którym rozmawiało się w marszu, nagle przerywał w środku zdania, zaczynał przewracać przerażonymi oczyma i padał z wykrzywioną twarzą i zsiniałymi wargami, łamiąc szeregi konwulsjami swej agonii. Choroba uderzała ludzi w siodle, na warcie, na linii ognia, przy przenoszeniu rozkazów, przy armatach. Mówiono mi, że w pewnym batalionie, który pod ostrzałem wroga ze spokojem przygotowywał się do przejęcia jakiejś wioski, w ciągu pięciu minut na samym czele kolumny zdarzyły się trzy przypadki; ataku nie można było przeprowadzić, bo przednie kompanie rozproszyły się po polach niczym plewy na wietrze.

Mimo młodego wieku sierżant Piotr miał duży wpływ na swoich ludzi. Mówiło się, że liczba dezerterów w szwadronie, w którym służył, była niższa niż w którymkolwiek innym w całej dywizji kawalerii. Sądzono, że tak silny przykład daje ten jeden spokojny człowiek, nieustraszony w obliczu wszelkiego niebezpieczeństwa czy grozy.

Tak czy inaczej, Piotr był lubiany i cieszył się ogólnym zaufaniem. - Kiedy nastąpił koniec i niedobitki tej części wojska, naciskane ze wszystkich stron, przygotowywały się do przekroczenia granicy pruskiej, sierżant Piotr miał jeszcze dość wpływu, by zebrać wokół siebie dwudziestu kawalerzystów. Pewnej nocy przedarli się oni z otoczonej armii. Piotr poprowadził tę grupę przez dwieście mil w terenie gęsto usianym oddziałami rosyjskimi i wyniszczonym przez cholerę. Nie chodziło jednak o uniknięcie niewoli, ukrycie się czy próbę ujścia z życiem. Nie. Poprowadził ich do fortecy, która wciąż była w rękach Polaków i gdzie miała się odbyć ostatnia walka pokonanej rewolucji.

Wygląda to może na zwykły fanatyzm. Ale fanatyzm jest rzeczą ludzką. Człowiek zawsze oddawał cześć gwałtownym bóstwom. Gwałtowność tkwi w każdej namiętności, nawet w miłości. Religia niegasnącej nadziei bardzo jest podobna do szalonego kultu rozpaczy, śmierci i zniszczenia. Różnica leży w moralnej pobudce, która wynika z tajemnych potrzeb i niewyrażonych dążeń wiernych. Tylko ludziom próżnym zdaje się, że wszystko jest próżne, a oszustwem wszystko wydaje się tylko tym, którzy nigdy sami ze sobą nie byli szczerzy.

Właśnie w tej twierdzy sierżant Piotr spotkał się z moim dziadkiem. Był on sąsiadem rodziny S– na wsi, nie poznał jednak nigdy księcia Romana, on jednak doskonale znał nazwisko dziadka. Pewnej nocy, gdy oparci o wózek armaty razem siedzieli na blankach, książę wyjawił mu, kim jest.

Chciał prosić o przysługę, by w razie jego śmierci przekazał wiadomość jego rodzicom.

Rozmawiali przyciszonym głosem, bo tuż obok pokładła się spać reszta obsługi działa. Mój dziadek przyrzekł, a potem szczerze zapytał, był bowiem wielce zainteresowany tym nieoczekiwanie dokonanym otwartym wyznaniem: „Proszę mi jednak powiedzieć, książę, skąd ta prośba. Jakieś złe przeczucia?”.

„Bynajmniej. Myślałem tylko o swoich w domu. Nie mają pojęcia, gdzie jestem – odpowiedział książę Roman. – Ja zobowiążę się, że zrobię to samo dla pana. Pewne jest, że co najmniej połowa z nas zginie, zanim to się skończy, więc obaj mamy równe szanse przeżyć”.

Dziadek powiedział mu, gdzie jego zdaniem przebywała wówczas jego żona i dzieci. Od tego momentu do końca oblężenia ci dwaj wiele czasu spędzali razem. W dniu ostatecznego ataku mój dziadek odniósł poważną ranę. Miasto upadło. Następnego dnia także forteca, w której szpitale pełne były umarłych i umierających, magazyny puste, a obrońcy wystrzelili już ostatnie pociski, w końcu otwarła przed wrogiem bramy.

W czasie całej kampanii książę, który przy każdej okazji świadomie wystawiał się na niebezpieczeństwo, nie został nawet draśnięty. Nikt go nie

rozpoznał, a w każdym razie nikt nie zdradził jego tożsamości. Dopóki wykonywał swoje obowiązki, nie miało znaczenia, kim jest.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Jako byłemu gwardziście i carskiemu adiutantowi, buntownikowi temu groziło, że skupi na sobie szczególną uwagę na przykład strzelającego z odległości dziesięciu kroków plutonu egzekucyjnego. Przez miesiąc z okładem trwał wtopiony w tłum nieszczęsnych więźniów, stłoczonych w kazamatach cytadeli, gdzie jedzenia dostawało się tyle, by dusza nie opuściła ciała, a z ran, niedostatku i chorób marło po czterdziestu ludzi dziennie.

Ze względu na centralne usytuowanie cytadeli stale przysyłano tu kolejne partie ludzi schwytanych podczas bezwzględnie przeprowadzanych pacyfikacji. Między takimi właśnie przybyszami znalazł się pewien młody człowiek, bliski przyjaciel księcia z czasów szkolnych. Rozpoznał go i w krańcowym przerażeniu zawołał: „Mój Boże! Romanie, ty tutaj!?”.

Mówią, że za tę sekundę nieuwagi przyszło mu zapłacić latami gorzkich wyrzutów sumienia. Rzecz miała miejsce na głównym dziedzińcu cytadeli. Ostrzegawczy gest ze strony księcia przyszedł zbyt późno. Dyżurny oficer żandarmerii usłyszał okrzyk. Sprawa wydała mu się warta zbadania. Śledztwo, które nastąpiło, nie było zbyt wymagające, jako że książę, kategorycznie zapytany o swoje prawdziwe nazwisko, ujawnił je od razu.

Wiadomość o odkrytym wśród więźniów księciu S– szybko doszła do Sankt Petersburga. Jego rodzice już tam przebywali, żyjąc w smutku, niepewności i niepokoju. Stolica imperium była najbezpieczniejszym miejscem zamieszkania dla arystokraty, którego syn w niewyjaśnionych okolicznościach zniknął z domu podczas rebelii. Staruszkowie od miesięcy nie mieli od niego ani o nim żadnej wiadomości. Starali się nie przeczyć pogłoskom o samobójstwie z rozpaczy, krążącym w wielkim świecie, który pamiętał o jego interesującym małżeństwie z miłości, o uroczym i szczerym szczęściu przerwanym przez śmierć. A jednak rodzice po cichu mieli nadzieję, że syn żyje i zdołał przekroczyć granicę z tą częścią wojska, która poddała się Prusakom.

Wiadomość o jego aresztowaniu była dla nich ciosem ponad siły. Nie można było mu bezpośrednio pomóc. Ale wielkość nazwiska, pozycja i stosunki w najwyższych sferach pozwalały na działanie niebezpośrednie, a oni poruszyli, jak to się mówi, niebo i ziemię, by próbować chronić syna przed „konsekwencjami tego szaleństwa”, jak nie zawahał się tego określić biedny książę Jan. Osoby stojące wysoko w towarzystwie rozmawiały z wielkimi osobistościami, pertraktowano z najwyższymi dygnitarzami, naciskano wpływowych urzędników, by się tą sprawą zainteresowali. Zabiegano o uruchomienie wszelkich tajnych wpływów. Kilku prywatnych sekretarzy otrzymało słone łapówki. Znaczną sumkę zainkasowała kochanka pewnego senatora.

A jednak, jak już wspomniałem, w tego rodzaju sprawie nie można było wnieść bezpośredniej apelacji ani podjąć jakichkolwiek kroków. Można było jedynie za pomocą prywatnych petycji nakłaniać przewodniczącego komisji wojskowej do łaskawości. Przewodniczący był w rezultacie pod sporym wrażeniem półsłówek i sugestii, czasem z bardzo wysokich sfer, docierających do niego z Sankt Petersburga. No a poza wszystkim, z punktu widzenia świata, opłacało się zyskać wdzięczność tak wielkich magnatów, jak książęta S–. Przewodniczący był dobrym Rosjaninem, ale też i łagodnym człowiekiem. Zresztą nienawiść do Polaków nie stanowiła jeszcze w tym okresie tak zasadniczego dogmatu, jakim stała się trzydzieści lat później. Od pierwszego wejrzenia spodobał mu się ten młodzieniec, ogorzały, szczupły na twarzy, wymizerowany przez miesiące kampanii, trudy oblężenia i więzienne warunki.

Komisja składała się z trzech oficerów. Urzędowali oni w cytadeli, w pustym sklepionym pomieszczeniu, za długim czarnym stołem. Na obu końcach siedzieli jacyś urzędnicy, a prócz żandarmów, którzy wprowadzili księcia, nie było tam nikogo więcej.

Kiedy stał tak wśród tych złowrogich ścian oddzielających go od wszystkich widoków i dźwięków wolności, od wszelkich nadziei na przyszłość, od niosących pociechę złudzeń – sam, wobec swych wrogów, których ustanowiono jego sędziami – kto wie, ile umiłowania życia tliło się

wówczas w księciu Romanie? Ile zostało z tego poczucia obowiązku, które objawiło mu się w cierpieniu? Ile z przebudzonej w nim miłości do rodzinnego kraju? Do kraju, który wymaga takiej miłości, jaką nikt nigdy nie kochał żadnego innego kraju, uczucia żałobnego, jakim obdarzamy pamiętanych zmarłych, a także niegasnącego ognia beznadziejnej namiętności, jaką rozżarzyć w naszych piersiach może tylko żywy, oddychający, ciepły ideał dla naszej dumy, naszego utrudzenia, naszego uniesienia i zguby.

Jest coś potwornego w tak postawionym wymaganiu, póki nie stanie ono przed nami obleczone w postać wierności bez strachu i bez wyrzutów. Zbliżając się do najwznioślejszego momentu swego życia, książę mógł spodziewać się jedynie tego, że oto dochodzi ono kresu. Na pytania, które mu stawiano odpowiadał jasno, z namysłem… Absolutnie obojętnie. Po pełnych napięcia miesiącach działania mówienie go nużyło. Ukrywał to jednak, by wrogowie nie podejrzewali go o apatię, zniechęcenie czy niemotę złamanego ducha. Szczegóły jego zachowania nie mogły wpłynąć na wyrok, a do jego myśli ludzie ci nie mieli dostępu. Skrupulatnie zachowywał uprzejmość tonu. Odrzucił zaproszenie, by usiąść.

Jak przebiegało wstępne przesłuchanie, wiadomo tylko z relacji przewodniczącego. Obierając jedyny możliwy w tej jawnie złej sprawie tok, starał się on od początku skierować myśl księcia ku linii obrony, którą sam chciał przyjąć. Tak formułował pytania, aby włożyć w usta oskarżonego właściwe odpowiedzi, posuwając się nawet do tego, że wręcz sugerował mu konkretne sformułowania – jak to pogrążony w straszliwej żałobie po śmierci młodziutkiej żony, z powodu rozpaczy działając zupełnie nieodpowiedzialnie, w momencie zaślepienia i lekkomyślności, nie zdając sobie sprawy z tego, jak wysoce karygodny czyn popełnia ani na jakie naraża się niebezpieczeństwo i zhańbienie, pod wpływem nagłego impulsu postanowił dołączyć do najbliższego oddziału buntowników. Ale obecnie, - skruszony…

Książę Roman jednak milczał. Sędziowie wojskowi patrzyli na niego wyczekująco. W ciszy sięgnął po pióro i na leżącej na stole ćwiartce

papieru napisał: „Przyłączyłem się do powstania narodowego z przekonania”.

Przesunął kartkę po blacie. Przewodniczący podniósł ją, pokazał kolejno każdemu z kolegów siedzących po jego prawej i lewej stronie, następnie patrząc wymownie na księcia Romana, upuścił ją. Zupełna cisza trwała do chwili, kiedy polecił żandarmom, by wyprowadzili więźnia.

Takie oto pisemne oświadczenie złożył książę Roman w najwznioślejszym momencie swego życia. Słyszałem, że książęta wszystkich gałęzi rodu S– przyjęli dwa ostatnie słowa, „z przekonania”, jako swoją dewizę umieszczoną pod herbem. Nie wiem, czy to prawdziwa informacja. Mój wuj nie potrafił tego potwierdzić. Zaznaczył tylko, że nie było ich oczywiście na pieczęci samego księcia Romana.

Został skazany na dożywocie w syberyjskich kopalniach. Car Mikołaj, który zawsze osobiście zatwierdzał wyroki na polskich arystokratów, na marginesie napisał własną ręką: „Nakazuje się surowo dopilnować, by ten więzień całą drogę przebył pieszo w kajdanach, tak jak wszyscy inni zbrodniarze”.

Był to odroczony wyrok śmierci. Bardzo niewielu przeżywało w kazamatach tych kopalni dłużej niż trzy lata. A jednak, skoro po upływie tego czasu doniesiono, że Roman wciąż jeszcze żyje, po rozpatrzeniu petycji rodziców i w drodze wyjątkowej łaski, pozwolono mu przejść do służby wojskowej na Kaukazie w randze szeregowca. Nie wolno było się z nim komunikować. Nie miał praw cywilnych. Praktycznie pod każdym względem, poza cierpieniem, był już martwy. Mała dziewczynka, której starał się nie zbudzić, gdy całował ją ostrożnie w kołysce, po śmieci starego księcia Jana odziedziczyła fortunę. Dzięki jej istnieniu te potężne posiadłości zostały uratowane przed konfiskatą.

Minęło dwadzieścia pięć lat, nim księciu Romanowi, zupełnie głuchemu, ze zrujnowanym zdrowiem, pozwolono powrócić do Polski. Jego córka, która wspaniale wyszła za mąż za polsko-austriackiego *grand-seigneur* i obracała się w najwyższych sferach europejskiej arystokracji, mieszkała głównie za granicą, w Neapolu i Wiedniu. On osiadł w jednym

z jej majątków, nie w tym, gdzie stał rodzinny pałac, ale w innym, ze skromnym domem, jednak nie widywał się z nią zbyt często.

Bynajmniej nie zamknął się w sobie, jak gdyby zakończył już swoją pracę. W życiu prywatnym czy publicznym okolicy, w której zamieszkał, nie zdarzyło się chyba, żeby nie zasięgano jego porady w różnych sprawach, a nigdy na próżno. Mówiło się słusznie, że jego dni nie należą do niego, ale do jego współobywateli. Był szczególnym przyjacielem powracających zesłańców, pomagając im i kiesą, i dobrą radą, załatwiając dla nich różne sprawy, znajdując środki do życia.

Od wuja słyszałem wiele o jego pełnym oddania działaniu, w którym zawsze kierował się prostą mądrością, jednoznacznym poczuciem honoru i najskrupulatniej pojętą prywatną i publiczną uczciwością. Dla mnie pozostaje żywą postacią ze względu na to spotkanie w sali bilardowej, kiedy chcąc dowiedzieć się czegoś o straszliwie wilczym wilku, spotkałem się przez chwilę z człowiekiem, który był w najwyższym stopniu ludzki, zdolny odczuwać głęboko, wierzyć nieugięcie i kochać żarliwie.

Do dzisiaj pamiętam uścisk kościstej, pomarszczonej dłoni księcia Romana na mojej pomazanej atramentem rączce i na poły poważne, na poły rozbawione spojrzenie, jakim wuj ogarnął swego nieposłusznego siostrzeńca.

Poszli dalej i zapomnieli o małym chłopcu. Ale ja się nie poruszyłem; patrzyłem za nimi, nie tyle zawiedzony, ile zakłopotany tym księciem tak niepodobnym do książąt z baśni. Szli przez salę bardzo wolno. Zanim doszli do drugiego jej krańca, książę zatrzymał się i usłyszałem – jakbym to dziś słyszał – jak mówi: „Chciałbym, abyś napisał do Wiednia na temat obsady tego stanowiska. To jest jak najbardziej godny człowiek, a twoja rekomendacja byłaby tu decydująca”.

Wuj zwrócił się ku niemu z wyrazem szczerego zdumienia na twarzy. Wyraźniej niż wszelka wypowiedź wyrażała ona zdumienie: jaka rekomendacja może być lepsza niż ojcowska? Książę szybko odczytał ten wyraz. Znów odezwał się owym pozbawionym intonacji głosem człowieka,

który sam siebie nie słyszał od wielu lat, dla którego bezdźwięczny świat jest niczym kraina milczących duchów.

A ja do dzisiaj pamiętam jego słowa: „Proszę ciebie, bo widzisz, moja córka i zięć uważają, że ja nie umiem dobrze oceniać ludzi. Wydaje im się, że za bardzo kieruję się uczuciem”.

# Opowieść

W wielkim kwadracie pojedynczego okna zamierało powoli zmierzchające światło, pozbawiony barwy blask, oprawny w sztywną ramę gromadzącego się w pokoju mroku.

Pokój był podłużny. Niepowstrzymana fala zmierzchu wlewała się w jego najdalsze zakątki, skąd szeptem dobiegał męski głos, który to urywał się gwałtownie, to znów rozbrzmiewał, jakby w błagalnej odpowiedzi szmerom nieskończonego smutku.

W końcu szmery ucichły. Mężczyzna wstał wolno z kolan sprzed cienistej kanapy, na której rysowała się niewyraźnie postać półleżącej kobiety, a pod niskim sufitem pokoju zamajaczyła jego wysoka i ciemna sylwetka; lśnił tylko ostro biały kołnierzyk tuż pod zarysem głowy oraz drobne mdłe połyski mosiężnych guzików na mundurze.

Stał nad nią przez chwilę, męski i tajemniczy w bezruchu, a potem usiadł w stojącym nieopodal fotelu. Widział tylko niejasno owal jej uniesionej twarzy i leżące na czarnej sukni blade dłonie, które jeszcze chwilę wcześniej poddawały się jego pocałunkom, a teraz znieruchomiały, jakby zbyt znużone, by się poruszyć.

Nie śmiał wydać najlżejszego dźwięku, cofając się, jak zwykle mężczyźni, przed prozaiczną koniecznością egzystencji. I jak zwykle więcej odwagi wykazała kobieta. Pierwszy dał się słyszeć jej głos – głos niemal konwencjonalny – choć ona sama drżała jeszcze od sprzecznych uczuć.

– Opowiedz mi coś – rzekła.

Ciemność skryła zdziwienie, które go ogarnęło, a potem jego uśmiech. Czyż właśnie nie opowiedział jej wszystkiego, co na tym świecie warte było powiedzenia – i to nie po raz pierwszy?

– Cóż mam ci opowiedzieć? – zapytał głosem należycie uspokojonym. Zaczynał odczuwać wdzięczność dla niej za pewną ostateczność jej tonu, która jakby osłabiła napięcie.

– Jakąś opowieść!

Zdumiał się na dobre.

– Tak, czemu nie?

Było w tych słowach jakby lekkie rozdrażnienie, ślad kapryśnej woli kobiety kochanej, która jest kapryśna tylko dlatego, że czuje, iż stanowi tu prawo, czasami zawstydzające, a zawsze nieuniknione.

– Czemu nie? – powtórzył z leciutkim szyderstwem w głosie, jakby go poprosiła, żeby ofiarował jej księżyc. Poczuł teraz lekką irytację z powodu jej kobiecej zmienności, która uczucia zrzuca z siebie równie łatwo, co wytworną suknię.

Usłyszał, jak mówi z lekką niepewnością, z ulotną intonacją, przywodzącą mu na myśl lot motyla:

– Opowiadałeś dawniej… o twoich… twoich prostych, zawodowych sprawach… bardzo pięknie. A przynajmniej na tyle dobrze, by mnie zainteresować. Miałeś… miałeś wtedy… swojego rodzaju dar… wtedy, przed wojną…

– Naprawdę? – zareagował z niezamierzonym smutkiem. – Ale widzisz, teraz wojna się toczy – ciągnął tym samym głuchym, płaskim tonem, a ona poczuła, że opada na nią jakiś chłód. A jednak nalegała. Bo na świecie nie ma nic bardziej niezachwianego niż kobiecy kaprys.

– Może być opowieść nie z tego świata.

– Chcesz opowieść z innego, lepszego świata? – zapytał z trzeźwym zaskoczeniem. – Na to musiałabyś przywołać kogoś, kto już się tam znalazł…

– Nie, nie to mam na myśli. Myślę o innym, jakimś innym świecie. Gdzieś z wszechświata, nie z nieba.

– No, to mi ulżyło. Zapominasz jednak, że mam tylko pięć dni urlopu.

– Tak, ja także zrobiłam sobie tylko pięć dni urlopu od… od moich obowiązków.

– Podoba mi się to słowo.

– Jakie słowo?

– Obowiązki.

– Czasami jest straszne.

– Och, bo myślisz o nim w wąskim sensie. A ono nie jest wąskie. Zawiera nieskończoność i… i dlatego…

– Co to za żargon?

Nie zwrócił uwagi na to pogardliwe stwierdzenie.

– Na przykład nieskończoność rozgrzeszenia – mówił dalej. – Ale wracając do tego „innego świata”, kto będzie go szukał, kto będzie szukał historii, które w nim są?

– Ty – rzekła tonem żądania pełnego dziwnej, niemal szorstkiej słodyczy.

Siedzący wykonał niejasny gest zgody, którego ironii nie był w stanie zachować w tajemnicy nawet otaczający mrok.

– Jak sobie życzysz. W świecie tym zatem był sobie raz pewien wojskowy Dowódca i pewien Skandynaw. Obaj pisani dużą literą, bo nie mieli innych imion. Był to świat mórz, kontynentów i wysp…

– Tak jak nasza ziemia – szepnęła gorzko.

– Tak. Czego innego się spodziewasz, skoro wysyłasz na odkrywczą wyprawę człowieka ulepionego ze zwykłej, udręczonej gliny? Cóż innego mógłby odnaleźć? Cóż innego mogłabyś sama zrozumieć, co by cię przejęło albo przekonało o swoim istnieniu? W tej opowieści są śmiech i śmierć.

– Jak na ziemi – szepnęła.

– Jak zawsze. A skoro we wszechświecie potrafię odnaleźć tylko to, co tkwi głęboko we włóknach mego istnienia, to jest w nim także miłość. O tym wszakże nie będziemy mówić.

– Nie, o tym nie – powiedziała obojętnym tonem, który doskonale ukrywał ulgę, a także rozczarowanie. Po chwili dodała:

– To będzie historia komiczna.

– Cóż… – I on na chwilę zamilkł. – Tak. W pewnym sensie. W bardzo ponurym sensie. Będzie ludzka, a jak sama dobrze wiesz, komizm zależy jedynie od tego, pod jakim kątem patrzymy. Nie będzie to historia hałaśliwa. Wszystkie działa pozostaną nieme, równie nieme, co lunety.

– Ach, więc są w niej działa! A gdzie, jeśli wolno spytać?

– Na wodzie. Pamiętasz, że w tym świecie są morza. A na morzach toczy się wojna. To świat zabawny i strasznie poważny. Wojna toczy się tu na lądach, na wodzie, pod wodą, w powietrzu, a nawet pod ziemią. Wielu młodych ludzi, głównie w mesach oficerskich i kantynach, mówiło między sobą – wybacz nieparlamentarne słowo – „To cholerna wojna, ale lepsza taka niż żadna”. Brzmi niepoważnie, prawda?

Z kanapy doszło go nerwowe, pełne zniecierpliwienia westchnienie, ale mówił dalej, już nie przerywając:

– A jednak jest w tych słowach więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. To znaczy więcej jest w nich mądrości. Brak powagi, podobnie jak komizm, to kwestia pierwszych wrażeń wzrokowych. Ten świat nie był zbyt mądry. A jednak istniała w nim pewnego rodzaju praktyczna roztropność. Lecz praktykowali ją przede wszystkim ci, którzy na różne sposoby, publicznie i prywatnie, pozostali niezaangażowani. Ich trzeba było dozorować. Musiały ich strzec przenikliwe umysły, ale także i przenikliwe oczy. Bardzo przenikliwe, zapewniam cię.

– Mogę sobie wyobrazić – szepnęła z zachwytem.

– Czy jest coś, czego nie możesz sobie wyobrazić? – rzekł trzeźwo. – Masz ten świat w sobie. Ale wracajmy do naszego Dowódcy, który, rzecz jasna, dowodził pewnego rodzaju statkiem. Moje opowieści, jeśli nawet dotyczyły spraw zawodowych, jak zaznaczyłaś wcześniej, nigdy nie bywały techniczne. Powiem więc tylko tyle, że statek ów był niegdyś bardzo zdobny, miał wiele wdzięku, elegancji i wygód. Tak, niegdyś! Teraz przypominał piękną kobietę, która nagle odziała się w zgrzebny strój, a za pas wcisnęła dwa rewolwery. Płynął jednak lekko, poruszał się zwinnie, wciąż jeszcze był sprawny.

– Czy tak uważał Dowódca? – odezwał się głos z kanapy.

– Owszem. Zdarzało się, że wysyłano go na tym statku wzdłuż pewnego wybrzeża, by zobaczył, co tam było do zobaczenia. Czasami otrzymywał jakieś pomocne informacje wstępne, a czasami nie. Ale w istocie nie miało to znaczenia. Informacje te były równie pomocne, jak pomocny być może opis umiejscowienia i zamiarów chmury albo zjawy przybierającej jakieś kształty to tu, to tam, nieuchwytnej.

Działo się to w początkowym okresie wojny. Najpierw naszego Dowódcę zdumiewał niezmienny wyraz powierzchni wody, jej znajome oblicze, ani bardziej przyjazne, ani też bardziej wrogie. W pogodne dni słońce rozpalało na błękicie iskry, tu i ówdzie pojawiała się w oddali pogodna smużka dymu, trudno było uwierzyć, że stary znajomy horyzont wykreślał granicę jednej wielkiej kolistej zasadzki.

Tak, trudno w coś takiego uwierzyć, aż pewnego dnia widzi się statek, nie swój własny (co nie jest niemożliwe), ale jakiś inny, który nagle i niespodziewanie wylatuje w powietrze i tonie, zanim ktokolwiek zdąży zdać sobie sprawę, co się z nim stało. Wtedy zaczyna się wierzyć. Od tego momentu człowiek bierze się do pracy, by sprawdzać, co jest do sprawdzenia, i trzyma się tej roboty w przekonaniu, że przyjdzie dzień, gdy i on zginie z powodu czegoś, czego nie zauważył. Zaczyna zazdrościć żołnierzom, którzy wieczorem ścierają z twarzy pot i krew, przeliczają tych, którzy padli tuż obok, patrzą na zniszczone pola i zoraną ziemię, która wydaje się cierpieć i krwawić wraz z nimi. Naprawdę zaczyna im zazdrościć. Tej krańcowej brutalności – smaku pierwotnej pasji – żarliwej szczerości ciosu zadanego własną ręką – bezpośredniego wyzwania i prostej odpowiedzi. Cóż, morze tego nie dawało, bo sprawiało wrażenie, że nic się nie dzieje.

Przerwała mu, poruszając się lekko:

– O tak. Szczerość – bezpośredniość – pasja – trzy słowa z twojej ewangelii. Czyż ja nie znam ich na pamięć!

– Ale pomyśl! Czy to nie nasza wspólna ewangelia? Czy oboje w nią nie wierzymy? – zapytał z niepokojem, nie spodziewając się jednak odpowiedzi i od razu mówił dalej:

– Takie uczucia ogarniały naszego Dowódcę. Kiedy nad morze nadciągała noc, która przykrywała to, co dla niego wyglądało jak obłuda ze strony starego przyjaciela, czuł ulgę. Noc oślepia człowieka z całą szczerością, a bywają takie okoliczności, że światło słońca staje się równie ohydne, co kłamstwo. Noc jest w porządku.

Nocą nasz Dowódca mógł pozwolić myślom na ucieczkę – nie powiem ci dokąd. W miejsce, gdzie istnieje jedynie wybór między prawdą a śmiercią. Zła pogoda natomiast, choć też oślepiała, nie przynosiła takiej ulgi. Mgła jest zdradliwa, martwa jasność oparu przynosi rozdrażnienie. Ma się wrażenie, że przecież powinno się dobrze widzieć.

Pewnego ponurego, paskudnego dnia statek szedł swoim kursem z widokiem na niebezpieczne skaliste wybrzeże, które odcinało się od nieba ostrą czernią, niczym rysunek tuszem na szarym papierze. W pewnej chwili do Dowódcy zwrócił się jego zastępca. Wydawało mu się, że zauważył coś na wodzie od strony morza. Chyba resztki jakiegoś wraku czy coś takiego.

„Ale tu nie powinno być żadnych wraków, sir” – zauważył.

„Nie – odrzekł Dowódca. – Ostatnie zatopione statki, o których donoszono, znajdowały się znacznie dalej na zachód. Ale nigdy nic nie wiadomo. Od tego czasu mogły się pojawić nowe, o których nie donoszono i których nie widziano. Mogły zatonąć z całą załogą”.

I tak to się zaczęło. Zmieniono kurs statku, żeby podpłynąć do tego obiektu, bo należało zobaczyć wszystko, co było do zobaczenia. Podpłynąć blisko, ale nie dotykać; nie należało wchodzić w kontakt z żadnego rodzaju obiektami unoszącymi się na powierzchni morza. Blisko, ale bez zatrzymywania się czy zwalniania, w tych czasach bowiem nie było roztropnie zatrzymywać się w jakimkolwiek miejscu, nawet na krótko. Od razu mogę ci powiedzieć, że ten obiekt sam z siebie nie był niebezpieczny. Nie ma sensu go opisywać. Nie było to, powiedzmy, nic ciekawszego niż beczka pewnego rozmiaru i koloru. Nie był to jednak obiekt bez znaczenia.

Gładka fala dziobowa przyniosła go bliżej nas, jakby dla lepszego widoku, a nasz statek, powróciwszy zaraz na swój poprzedni kurs, obojętnie

zostawił ją za rufą, tymczasem dwadzieścia par oczu na pokładzie rozglądało się, próbując zobaczyć wszystko to, co było do zobaczenia.

Dowódca i jego Zastępca rozmawiali o tym obiekcie ze znawstwem. Wydał im się on nie tyle przejawem zachłanności, ile efektem samego działania stron niezaangażowanych. Działalność ta nierzadko polegała na dostarczaniu zaopatrzenia dla pewnych okrętów podwodnych na morzu. Takie było powszechne przekonanie, nawet jeśli niepoparte wiedzą. Ale również same wydarzenia wczesnego okresu wojny wskazywały, że tak jest. Przedmiot, któremu się przyjrzeli i który z obojętnością pozostawili za sobą, świadczył o tym, że gdzieś w okolicy prowadzona była tego rodzaju działalność.

Już sam obiekt był więcej niż podejrzany. Ale fakt, że został porzucony jako dowód, budził dodatkowe podejrzenia. Czy stanowił wynik jakichś skrytych diabelskich zamiarów? Wszelkie spekulacje na ten temat szybko okazały się daremne. W końcu obaj oficerowie doszli do wniosku, że najprawdopodobniej przedmiot został porzucony przypadkowo, być może pod wpływem jakiejś nieprzewidzianej konieczności, na przykład z powodu nagłej potrzeby natychmiastowego zniknięcia z jakiegoś miejsca albo czegoś w tym rodzaju.

Dyskusja toczyła się w krótkich, zwięzłych zdaniach, przerywanych długimi chwilami milczącego namysłu. Oczy oficerów stale omiatały horyzont w nieustannym, niemal mechanicznym wysiłku zachowania czujności. Młodszy ponuro podsumował sprawę: „Cóż, to jest dowód. I nic innego. Dowód na to, co przedtem wydawało się prawie, prawie pewne. I jasne”.

„I dużo nam to pomoże – odpowiedział Dowódca. – Tamci są bardzo daleko stąd, a okręt podwodny czort wie gdzie, gotowy zabijać, tymczasem szlachetni niezaangażowani czmychają na wschód, gotowi kłamać!”

Zastępca zaśmiał się lekko, słysząc jego ton. Był przekonany, że niezaangażowani nie będą musieli nawet zbytnio kłamać. Takie typy, jeśli nie zostaną złapane na gorącym uczynku, czują się zupełnie bezpiecznie. Mogą sobie pozwolić na uśmieszki. Ten tu prawdopodobnie też uśmiechał

się do siebie. Możliwe, że był już przedtem w tej grze i nie przejmował się, czy dostanie po uszach za porzucony przypadkowo dowód. Była to gra, w której człowiek w miarę nabywania wprawy zyskiwał na śmiałości i odnosił sukcesy.

I znowu zaśmiał się cicho. Ale jego Dowódcę oburzały podstępne zabójcze metody i cyniczna bezczelność tych spisków, plamiących samo źródło najgłębszych uczuć i szlachetnych działań ludzkich, wypaczających wyobraźnię, która wszak tworzy ostateczne pojęcia życia i śmierci. Cierpiał…

Głos z kanapy przerwał opowiadającemu:

– Jakże dobrze go rozumiem!

Opowiadający pochylił się lekko.

– Tak, i ja także. W miłości i na wojnie wszystko powinno być jasne. Jasne jak dzień, jako że i miłość, i wojna rodzą się z ideałów, które tak łatwo, tak strasznie łatwo poniżyć w imię zwycięstwa.

Przerwał na chwilę, potem mówił dalej.

– Nie wiem, czy Dowódca aż tak głęboko wnikał w swoje uczucia. Ale cierpiał z ich powodu – odczuwał coś na kształt smutnego rozczarowania. Niewykluczone wręcz, że podejrzewał u siebie szaleństwo. Człowiek jest zmienny. Nie miał jednak czasu na zbyt daleko idące introspekcje, ponieważ z południowego zachodu na jego statek nadchodziła ściana mgły. Wielkie kłęby oparu płynęły na nich, wirowały wokół masztów i kominów, wyglądało to, jakby statek zaczął się roztapiać. Potem zniknął.

Zatrzymali się, ustały wszelkie dźwięki, a mgła znieruchomiała, zgęstniała, stężała w zdumiewającej nieruchomej niemocie. Ludzie na stanowiskach stracili się nawzajem z oczu. Kroki brzmiały jak skradanie; nieczęste głosy, bezosobowe i odległe, zamierały bez echa. Świat spowiła ślepa, biała cisza.

Wyglądało, że może to potrwać parę dni. Nie chcę przez to powiedzieć, że gęstość mgły w ogóle się nie zmieniała. Od czasu do czasu opar rzedł nieco, by ujawnić ludziom mniej lub bardziej upiorne położenie ich statku. W płynnej, mętnej jasności wielkiej chmury, która przylgnęła do

powierzchni wody wokół statku, kilka razy przepłynął przed nimi ciemny cień wybrzeża.

Wykorzystując te momenty, statek przesunął się ostrożnie nieco bliżej brzegu. Przy takiej pogodzie nie było sensu pozostawać daleko na otwartym morzu. Oficerowie znali tu każdy zakątek i załom wybrzeża. Uważali, że statek będzie o wiele bezpieczniejszy w pewnej zatoczce. Nie była duża, miejsca akurat tyle, żeby statek można było spokojnie obrócić na kotwicy. Tam będzie im łatwiej przeczekać do czasu, aż mgła się podniesie.

Powoli, z nieskończoną cierpliwością wpełzali coraz to głębiej, widząc niewiele więcej niż znikliwy, ciemny zarys skał, okolonych u dołu wściekłą pianą. Kiedy spuszczali kotwicę, mgła była tak gęsta, że równie dobrze mogłoby się okazać, że są tysiąc mil od brzegu. Jednak mimo wszystko czuli już osłonę lądu. W powietrzu trwała szczególna cisza. Dźwięk fal omywających otaczający ich brzeg, delikatny, nieuchwytny, docierał do ich uszu z dziwnymi, nagłymi przerwami.

Gdy kotwica opadła, wyciągnięto ołowianki. Dowódca zszedł do swojej kabiny. Nie przebywał tam długo, a już głos po drugiej stronie drzwi domagał się, by powrócił na pokład. Zdziwiło go to: „A teraz kto?”. Trochę się zirytował, że znów go wzywają i będzie musiał wejść w tę męczącą mgłę.

Okazało się, że opar nieco się przerzedził i nabrał ponurej barwy ciemnych klifów, które nie miały kształtu ani zarysu, ale jakby cienistą zasłoną otaczały statek ze wszystkich stron, poza jednym jasnym miejscem – wyjściem w morze. Na mostku kilku oficerów spoglądało w tamtą stronę. Zastępca podszedł do Dowódcy, by pełnym przejęcia szeptem przekazać mu wiadomość, że w zatoce znajduje się inny statek.

Kilka par oczu dostrzegło go dosłownie przed paroma minutami. Stał na kotwicy przy samym wejściu – nie więcej niż niewyraźna plama na jasnym tle mgły. W końcu Dowódca, wpatrując się w stronę, którą wskazywały mu gorliwie liczne ręce, sam rozpoznał kształt. Niewątpliwie był to jakiś statek.

„Cud, żeśmy na niego nie wpłynęli, wchodząc do zatoki – rzekł Dowódca. – Niech pan wyśle do nich łódź, zanim znikną”. Założył, że to

musi być statek żeglugi przybrzeżnej. Bo cóż innego? Ale zaraz zaświtała mu i inna myśl.

„Rzeczywiście cud” – zwrócił się do Zastępcy, kiedy ten, wysławszy łódź, wrócił do niego.

W tym momencie obu uderzyła myśl, że statek tak nagle odkryty nie zasygnalizował swojej obecności dzwonem.

„Weszliśmy bardzo cicho, to prawda − stwierdził młodszy oficer. − Ale przecież musieli słyszeć przynajmniej naszych dziobowych. Nie minęliśmy go na więcej niż pięćdziesiąt jardów. O włos! Mogli nas wręcz zobaczyć, skoro byli świadomi, że ktoś wchodzi do zatoki. Bardzo dziwne, że my od ich strony nie usłyszeliśmy niczego. Ci ludzie na pokładzie musieli chyba wstrzymać oddech!”

„Taa” – rzekł Dowódca w zadumie.

Po pewnym czasie łódź powróciła, znienacka wyłaniając się przy burcie, jakby wydrążyła sobie tunel we mgle. Oficer odpowiedzialny przyszedł złożyć raport, ale Dowódca nawet nie dał mu dojść do słowa. Już z daleka zawołał:

„Przybrzeżny, co?”

„Nie, sir. Obcy. Niezaangażowany” – padła odpowiedź.

„Nie! Naprawdę? No to niech pan mówi. Co oni tu robią?”

Młody człowiek oświadczył, że przedstawiono mu długą i skomplikowaną historię o awarii silników. Była dość prawdopodobna ze ściśle technicznego punktu widzenia i zawierała zwykłe elementy: unieruchomienie, niebezpieczny dryf wzdłuż brzegu, przez wiele dni zasadniczo zła widoczność, obawa przed huraganem, ostatecznie decyzja, żeby stanąć na kotwicy gdziekolwiek przy brzegu i tak dalej. Całkiem prawdopodobne.

„Maszyny nadal unieruchomione?” – zapytał Dowódca.

„Nie, sir. Pod parą”.

Dowódca wziął Zastępcę na bok.

„Na Jowisza! – rzekł. – Miał pan rację. Wstrzymywali oddech, gdyśmy przechodzili koło nich. Naprawdę”.

Ale Zastępca miał teraz wątpliwości:

„Taka mgła może stłumić niezbyt głośne dźwięki – powiedział. – No i jaki by właściwie mieli w tym interes?”

„Wymknąć się niezauważenie” − odpowiedział Dowódca.

„To dlaczego tego nie zrobili? Mogli byli to zrobić, wie pan. No, może nie całkiem niezauważeni. Nie sądzę, żeby byli w stanie zwolnić łańcuch całkowicie bez hałasu. Ale przecież po paru minutach już by ich nie było widać, znikliby nam z oczu, zanim byśmy ich porządnie zobaczyli. A nie zrobili tego”.

Popatrzyli po sobie. Dowódca potrząsnął głową. Podejrzenia w rodzaju tych, jakie teraz przyszły mu do głowy, niełatwo obronić. Nawet ich otwarcie nie wygłosił. Oficer abordażowy kończył raport. Ładunek statku nieszkodliwy i pożyteczny. Płynie do angielskiego portu. Papiery i wszystko inne w doskonałym porządku. Nigdzie nie odkryli niczego podejrzanego.

Przechodząc do ludzi, stwierdził, że załoga na deku całkiem zwyczajna. Inżynierowie znanego typu, naprawdę dumni z tego, że udało im się naprawić maszyny. Pierwszy oficer opryskliwy. Kapitan – dość przyzwoity okaz Skandynawa, w miarę uprzejmy, ale wygląda na to, że pije. Sprawia wrażenie, jakby przychodził do siebie po regularnym ciągu.

„Oświadczyłem, że nie mogę mu wydać pozwolenia na podróż. - Odpowiedział, że nie próbowałby nawet wychodzić statkiem tej długości w taką pogodę, bez względu na to, czyby miał pozwolenie, czy nie. Ale zostawiłem im człowieka na pokładzie”.

„Bardzo słusznie”.

Dowódca przez jakiś czas rozważał swoje podejrzenia, po czym wezwał raz jeszcze Zastępcę.

„A jeśli ten statek zaopatruje którąś z tych piekielnych łodzi podwodnych?” – zapytał półgłosem.

Zastępca wbił w niego wzrok. Potem rzekł z przekonaniem:

„Ujdzie im to na sucho. Niczego im pan nie udowodni, sir”.

„Sam chcę się o tym przekonać”.

„Raport, któryśmy usłyszeli, nie daje podstaw nawet do wysuwania racjonalnych podejrzeń, sir”.

„Tak czy inaczej, wybiorę się do nich”.

Podjął decyzję. Ciekawość jest największą siłą w nienawiści i w miłości. Cóż takiego spodziewał się odkryć? Nie umiałby tego wyjaśnić nikomu, nawet sobie samemu.

Tak naprawdę spodziewał się zastać tam atmosferę, tę bezprzedmiotową atmosferę zdrady, której, w jego przekonaniu, nic nie usprawiedliwia; uważał bowiem, że namiętność dla nieprawości sama w sobie nie może służyć za usprawiedliwienie. Ale czy będzie w stanie ją wyczuć? Wywęszyć? Posmakować? Odebrać jakieś tajemnicze sygnały, które mogłyby zamienić owe niedające się zwalczyć podejrzenia w pewność pozwalającą mu podjąć działania i wziąć na siebie związane z nimi ryzyko?

Kapitan przywitał go na pokładzie rufowym, wyłoniwszy się z mgły między nieostrymi kształtami zwykłych urządzeń. Był to zażywny Skandynaw, brodaty, w sile wieku. Na głowie miał ciasno przylegającą, okrągłą skórzaną czapkę. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie krótkiej skórzanej kurtki. Trzymał je tam, wyjaśniając, że gdy jest na morzu, mieszka w kabinie nawigacyjnej, i tam też niedbałym krokiem poprowadził gościa. Tuż przed drzwiami pod mostkiem zatoczył się lekko, ale odzyskał pion, otworzył drzwi i przytrzymał je ramieniem, jakby niechcący przycisnął się do ściany nadbudówki, spoglądając bez celu w mglisty przestwór. Zaraz jednak wszedł za naszym Dowódcą, zatrzasnął drzwi, włączył elektryczną lampę i pośpiesznie wcisnął ręce z powrotem do kieszeni, jakby się obawiał, że zostanie za nie złapany, czy to w geście przyjaźni, czy to wrogości.

W pomieszczeniu było duszno i gorąco. Druciana półka na mapy pod sufitem była przepełniona, a mapę leżącą na stole przytrzymywała pusta filiżanka na spodku zalanym do połowy jakimś ciemnym płynem. Na obudowie chronometru leżał nadgryziony suchar. Stały tu dwie kanapy. Jedną z nich za pomocą poduszki i paru koców, w tej chwili kompletnie

zmierzwionych, zamieniono w łóżko. Skandynaw opadł na nie od razu, nadal z rękami w kieszeniach.

„No więc jestem tutaj” – odezwał się, sprawiając przy tym wrażenie, jakby własny głos wprawił go w zdumienie.

Nasz Dowódca z drugiej kanapy obserwował tę przystojną, zaczerwienioną twarz. Na żółtej brodzie i wąsach osiadły kropelki mgły. Znacznie ciemniejsze brwi tworzyły wyrażający zdumienie zygzak. Kapitan nagle podskoczył.

„To znaczy, chciałem powiedzieć, że nie wiem, gdzie jestem. Naprawdę nie wiem – rzucił z absolutną powagą. – Niech to szlag! Jakoś mnie obróciło. Ta mgła ściga mnie od tygodnia. Dłużej! I zepsuły mi się silniki. Powiem panu, jak to było”.

I zaczął gadać. Nie mówił pośpiesznie, ale uporczywie. Przy tym nie była to ciągła opowieść. Przerywały ją bardzo dziwne, pełne zadumy pauzy. Każda z nich trwała nie dłużej niż kilka sekund, każda też miała w sobie głębię nieskończonej medytacji. Kiedy powracał do opowiadania, nic nie zdradzało, że w ogóle ma świadomość istnienia tych pauz. Zachowywał ten sam skupiony wzrok, tę samą niezmienną powagę tonu. Nie zdawał sobie z nich sprawy. A przecież niektóre pojawiały się wręcz w środku zdania.

Dowódca wysłuchał opowieści. Uderzyła go jako bardziej prawdopodobna, niż bywają zwykle proste prawdy. Ale być może wynikało to z uprzedzenia. Przez cały czas, kiedy Skandynaw mówił, nasz Dowódca miał poczucie, że jakiś głos wewnętrzny, jakiś głęboki pomruk w nim samym opowiada inną historię, być może po to, by podtrzymać w nim oburzenie i gniew z powodu podłej zachłanności, czy też po prostu sposobu widzenia świata, które jakże często znajdują się u źródeł prostych idei.

Była to ta sama historia, którą jakąś godzinę wcześniej usłyszał już oficer abordażowy. Nasz Dowódca od czasu do czasu lekko potakiwał słowom kapitana. Ten doszedł do końca i odwrócił wzrok. Dodał, jakby po zastanowieniu:

„Czy to nie wystarczy, żeby człowiek ze zmartwienia stracił zmysły? Na domiar złego to moja pierwsza podróż w te rejony. Statek jest moją własnością. Pański oficer sprawdził papiery. Nic wielkiego, sam pan widzi. Po prostu statek towarowy. Ledwo starcza na życie dla rodziny”.

Podniósł potężną rękę i wskazał rząd fotografii zawieszonych na grodzi. Ruch był ociężały, jakby miał rękę z ołowiu.

Nasz Dowódca rzekł niedbale: „Na takim statku zarobi pan dla rodziny fortunę”.

„Tak, jeśli go nie stracę” – rzekł ponuro Skandynaw.

„To znaczy, mam na myśli na tej wojnie” – dodał Dowódca.

Wiking spojrzał na niego wzrokiem dziwnie niewidzącym, a zarazem zainteresowanym, jakim umieją spoglądać oczy o szczególnym odcieniu błękitu.

„A pan nie będzie się o to gniewał – powiedział. – Prawda? Na to jest pan zbyt wielkim dżentelmenem. Myśmy tego na was nie sprowadzili. A przypuśćmy, że byśmy siedzieli i płakali. Co dobrego by z tego wynikło? Niech płaczą ci, co wywołują kłopoty – podsumował energicznie. – Czas to pieniądz, jak powiadają. Cóż, ten czas to jest pieniądz. Ach, i to jaki!”

Dowódca starał się ukryć poczucie wielkiego obrzydzenia. Mówił sobie, że jest ono niemądre. Ludzie tacy są: moralni kanibale żerujący na cudzym nieszczęściu. Głośno powiedział: „Wyjaśnił mi pan doskonale, jak to się stało, że się pan tu znalazł. Książka pokładowa rejestruje wszystko szczegółowo. Choć oczywiście książkę pokładową można spreparować, nic prostszego”.

Skandynawowi nawet mięsień nie drgnął. Patrzył w podłogę; wydawało się, że nie słyszy. Po chwili podniósł głowę.

„Ale nie może mnie pan o nic podejrzewać” – mruknął od niechcenia.

Dowódca pomyślał: „Czemu on to mówi?”.

Tamten zaraz dodał: „Wiozę ładunek do angielskiego portu”.

Powiedział to ochrypłym głosem. Dowódca zastanowił się: „To prawda. Niczego tu nie ma. Nie mogę go o nic podejrzewać. Ale dlaczego stał pod parą we mgle, a słysząc, jak przepływamy, nie dał nawet znaku życia?

Dlaczego? Czy to może być co innego niż nieczyste sumienie? Przecież po dziobowych poznał, że ma do czynienia z okrętem wojennym”.

Tak – dlaczego? Dowódca zastanawiał się dalej: „Przypuśćmy, że go zapytam i będę obserwował jego twarz. Na pewno jakoś się zdradzi. Jest absolutnie jasne, że ten facet pił. Tak, z pewnością pił; ale i tak będzie miał na podorędziu jakieś kłamstwo”. Nasz Dowódca należał do ludzi, którzy odczuwają moralny i niemal fizyczny dyskomfort na samą myśl o tym, że muszą wykazać komuś kłamstwo. Unikał takich sytuacji z pogardą i niesmakiem, które były nie do pokonania, bardziej bowiem wynikały z temperamentu niż z moralności.

Dlatego teraz wyszedł na pokład i nakazał formalną prezentację załogi. Przekonał się, że ci ludzie są właśnie tacy, jakich mógł się spodziewać po raporcie oficera. A w odpowiedziach, których udzielali na jego pytania, nie był w stanie odkryć żadnych nieprawidłowości w zestawieniu z książką pokładową.

Zwolnił ich. Odniósł wrażenie, że są doborową ekipą; mieli obiecane pieniądze, jeśli wszystko pójdzie dobrze; ogólnie lekko zaniepokojeni, ale nie przestraszeni. Nie wyglądało zresztą, żeby którykolwiek z nich miał coś sypnąć. Nie czuli zagrożenia życia. Znali Anglię i angielskie metody działania aż za dobrze!

Niepokój ogarnął go, gdy przyłapał się na myśli, że jego mgliste podejrzenia zamieniają się w pewność. Bo przecież naprawdę nie było cienia powodu dla tej ingerencji. Nie było niczego, co mieliby sypnąć!

Wrócił do kabiny nawigacyjnej. Skandynaw wciąż tam siedział. Jakaś drobna zmiana w jego zachowaniu, większa pewność siebie w niebieskim, szklistym spojrzeniu skłoniły Dowódcę do wniosku, że facet tymczasem skorzystał z okazji i pociągnął sobie z butelki, którą pewnie gdzieś tu schował.

Zauważył też, że widząc go znowu, przybrał wyraz wystudiowanego zaskoczenia. W każdym razie wydawało się wystudiowane. Niczemu nie można ufać. A Anglik ze zdumiewającą pewnością poczuł, że oto stoi wobec potężnego kłamstwa, twardego jak mur, niedającego się żadną miarą

ominąć w drodze do prawdy, której paskudna mordercza twarz jakby popatrywała na niego z cynicznym uśmieszkiem.

„Cóż – zaczął nagle – dziwią pana moje procedury, ale przecież nie zatrzymuję pana, prawda? Nie ruszyłby się pan chyba w tak gęstej mgle?”

„Nie wiem, gdzie jestem! – wykrzyknął Skandynaw z przejęciem. – Naprawdę nie wiem, gdzie jestem!”

Rozejrzał się, jakby samo pomieszczenie wydało mu się nieznajome. Dowódca zapytał go, czy płynąc, nie dostrzegł na powierzchni morza żadnych podejrzanych obiektów.

„Obiekty? Jakie obiekty? Od wielu dni szliśmy po omacku w tej strasznej mgle”.

„Było kilka przejaśnień – zauważył Dowódca. – Powiem panu, co myśmy widzieli i do jakich doszliśmy w związku z tym wniosków”.

Opowiedział mu wszystko w paru słowach. Usłyszał dźwięk powietrza wciąganego przez zęby. Skandynaw, oparłszy rękę na stole, stał absolutnie nieruchomy i milczący. Jak rażony piorunem. Potem uśmiechnął się głupkowato.

Takie to w każdym razie sprawiło wrażenie na naszym Dowódcy. Czy to było znaczące, czy zupełnie bez znaczenia? Nie wiedział, nie umiał stwierdzić. Cała prawda wyparowała z tego świata, jakby wciągnięta, wessana przez potworną nikczemność, której ten człowiek był – lub nie był – winny.

„Rozstrzelanie jest zbyt łagodną karą dla ludzi, którzy w taki piękny sposób pojmują niezaangażowanie” – rzekł po chwili ciszy.

„Tak, tak, tak – pospiesznie zgodził się Skandynaw i nieoczekiwanie, sennym tonem dodał: – Chyba tak”.

Udawał pijanego czy usiłował sprawiać wrażenie trzeźwego? Patrzył prosto, choć spojrzenie miał nieco szkliste. Usta rysowały się twardo pod żółtym wąsem, który jednak drgał. Czy drgał? I skąd takie oklapnięcie całej sylwetki?

„W tej spawie nie ma »chyba«” – srogim tonem oświadczył Dowódca.

Skandynaw się wyprostował. Nieoczekiwanie i on wyglądał teraz srogo.

„Nie. Ale co z kusicielami? Tych też lepiej wyzabijać. A mamy ich cztery, pięć, sześć milionów – powiedział ponuro. Zaraz jednak zmienił ton na jękliwy. – Ale lepiej, żebym trzymał język za zębami, bo pan ma jakieś podejrzenia”.

„Nie, nie mam podejrzeń” – odrzekł Dowódca. Teraz już nie wątpił. Teraz miał już pewność. Powietrze w pomieszczeniu było gęste od poczucia winy i fałszu rzucającego wyzwanie odkryciu, przeciwstawiającego się prostej prawości, zwyczajnej przyzwoitości, wszelkim ludzkim uczuciom, wszelkim skrupułom w działaniu.

Skandynaw wziął głęboki wdech.

„No, my wiemy, że wy, Anglicy, jesteście dżentelmenami. Ale powiedzmy sobie prawdę. Czemu mielibyśmy was aż tak bardzo kochać? Nie zrobiliście niczego, co by wam zaskarbiło naszą miłość. Nie kochamy też innych ludzi, to jasne. Bo i oni niczego takiego nie zrobili. Przychodzi facet z workiem złota… Nie na darmo podczas swojego ostatniego rejsu byłem w Rotterdamie”.

„Może więc pan mieć coś interesującego do powiedzenia naszym ludziom, kiedy przypłynie pan do portu” – przerwał mu oficer.

„Być może. Ale wy macie swoich dobrze opłacanych ludzi w Rotterdamie. Niech oni składają raporty. Ja jestem niezaangażowany – prawda?… Widział pan kiedyś biednego człowieka, który siedzi bezczynnie naprzeciw worka ze złotem? Oczywiście, że ja się nie dam skusić. Nie mam na to odwagi. Naprawdę nie mam. To wszystko mnie nie dotyczy. Po prostu mówię z panem otwarcie”.

„Tak. A ja słucham” – odpowiedział cicho Dowódca.

Skandynaw pochylił się nad stołem.

„Teraz, kiedy wiem, że o nic mnie pan nie podejrzewa, mogę mówić. Nie wie pan, co to znaczy być biednym człowiekiem. A ja owszem. Sam jestem biedny. Ten stary statek to niewiele, a i tak ma hipotekę. Ledwo starcza na życie. Oczywiście, że nie miałbym odwagi. Ale jeśli ktoś ma odwagę!… Niech pan popatrzy. Bierze na pokład ładunek, który wygląda jak każdy inny – paczki, beczki, puszki, miedziane tuby – co tam trzeba.

Nie widzi, jak to się dzieje, to dla niego nie ma znaczenia. Ale widzi złoto. I to ma znaczenie. Mnie oczywiście nic by do tego nie skłoniło. Ja cierpię na chorobę wewnętrzną. Albo bym zwariował z niepokoju, albo… albo… zaczął pić czy coś takiego. Ryzyko jest zbyt wielkie. No bo co – ruina!”

„A powinna być śmierć”.

Nasz Dowódca wstał po tej zdecydowanej deklaracji, którą jego rozmówca przyjął z twardym wzrokiem, dziwnie kontrastującym z niepewnym uśmiechem. Oficerowi podeszła do gardła ta atmosfera morderczego spisku – gęstsza, bardziej nieprzenikniona i gryząca niż mgła, która otulała ich na zewnątrz.

„Mnie to wszystko nie dotyczy” – wymamrotał Skandynaw, wyraźnie się chwiejąc.

„Oczywiście – zgodził się Dowódca, z wielkim wysiłkiem zachowując spokojny i cichy ton. Miał już niezachwianą pewność. – Ale teraz pozbędę się was, panowie, z tego wybrzeża, i to natychmiast. Zacznę od pana. Musi pan odpłynąć w pół godziny”.

W tym momencie kroczył już po pokładzie, obok niego szedł Skandynaw.

„Co? W tej mgle?” – zawołał żałośnie.

„Tak, musi pan odpłynąć w tej mgle”.

„Ale ja nie wiem, gdzie jestem. Naprawdę”.

Dowódca odwrócił się. Opanowała go jakaś furia. Oczy mężczyzn spotkały się. Wzrok tego drugiego wyrażał najgłębsze zdumienie.

„Ach, nie wie pan nawet, jak wypłynąć z zatoki – mówił z opanowaniem Dowódca, choć serce waliło mu z wściekłości i strachu. – Podam panu kurs. Niech pan płynie na południe ku wschodowi i pół ku wschodowi przez mniej więcej cztery mile, a potem będzie już pan miał prosty szlak na wschód do swojego portu. Wypogodzi się niebawem”.

„Muszę? Co ma mnie do tego skłonić? Nie mam odwagi!”

„Ale musi pan płynąć. Chyba że chce pan…”

„Nie chcę – wysapał Skandynaw. – Mam tego dosyć”.

Dowódca odszedł ku drugiej burcie. Skandynaw pozostał na miejscu, jakby go wmurowało w pokład. Zanim łódź Dowódcy dotarła do statku, usłyszał, że parowiec podnosi kotwicę. Potem, niczym cień we mgle, zaczął sunąć w podanym kierunku.

„Tak – rzekł do oficerów – pozwoliłem im odpłynąć”.

Opowiadający pochylił się ku kanapie, gdzie najmniejszy ruch nie zdradzał obecności żywej istoty.

– Posłuchaj – rzekł z naciskiem. – Ten kurs doprowadził ich wprost na śmiercionośny skalny występ. A podał mu go nasz Dowódca. Kapitan parowca popłynął – wpadł na te skały – i zatonął. To znaczy, że mówił prawdę. Rzeczywiście nie wiedział, gdzie jest. Ale to niczego nie dowodzi. Ani dla jednej, ani dla drugiej strony. Być może była to jedyna prawdziwa rzecz w całej tej historii. A jednak… Wydaje się, że prowadziło go tylko złe spojrzenie… i nic więcej.

Porzucił wszelkie pozory.

– Tak. Podałem mu ten kurs. Wydawało mi się, że to jest pierwszorzędny test. Sądzę – nie, nie sądzę. Nie wiem. Wtedy byłem pewien. Wszyscy zatonęli; i nie wiem, czy dokonałem srogiego aktu sprawiedliwości, czy morderstwa; czy do grona trupów zaścielających dno nieprzeniknionego morza dodałem paru ludzi absolutnie niewinnych, czy winnych nikczemności. Nie wiem. I nigdy się nie dowiem.

Podniósł się. Kobieta wstała z kanapy i objęła go za szyję. Jej oczy zalśniły w ciemnym pokoju niczym dwie iskierki. Znała jego namiętność dla prawdy, przerażenie kłamstwem, jego ludzką prawość.

– O, mój biedny, biedny…

– Nigdy się nie dowiem – powtórzył surowo, wyzwolił się z uścisku, ucałował jej ręce i wyszedł.

Magda Heydel

# Nigdy się nie dowiemy.
# O opowiadaniach Josepha Conrada

## 1

Ostatnie opowiadanie, które wyszło spod pióra Josepha Conrada, powstało w 1916 roku i nosi niepozornie brzmiący tytuł *Opowieść*. Oto pogrążający się w mroku pokój, trudno w nim coś dojrzeć, tyle że zarysy dwu postaci; niewiele słychać, tyle że niewyraźny szept. Oto dwoje ludzi: półleżąca na sofie kobieta, klęczący przy niej mężczyzna. Nie wiemy, co się wydarzyło między nimi, tyle że wciąż wibrują tu sprzeczne emocje i trudno znaleźć słowa, by przerwać panującą ciszę. Pierwsza odzywa się ona – prosi nieoczekiwanie, by coś jej opowiedział – „jakąś opowieść". Jemu wydaje się, że powiedział jej już wszystko, co najważniejsze. Ona nalega. W mroku słuchająca i opowiadający powołają zaraz do istnienia pewien świat, przestrzeń dla wydarzeń, które – tak się wydaje – są odległe, nie mają nic wspólnego z tu i teraz. Opowieść, sugeruje ona, ma być nie z tego świata; będzie, odpowiada on, w ponurym sensie tego słowa komiczna. Kiedy jednak wejdziemy już w świat opowieści, kiedy wszystko się rozegra, a decyzje zostaną podjęte, kiedy nastąpi to, co nastąpiło, okaże się, że opowieść dotyczy właśnie ludzi znajdujących się w tym pokoju, a więc także i nas, podsłuchujących. Opowieść należy do naszego świata, choć nie udzieli nam odpowiedzi na pytania, które się w związku z nią rodzą, ani nie ukoi rozwibrowanych emocji. Co się zatem wydarzyło?

„Nie wiem. I nigdy się nie dowiem" – mówi narrator, który w skomplikowanym labiryncie własnej opowieści okazuje się także jej bohaterem, a jako bohater jest również słuchaczem opowieści innego

człowieka. Słucha i jest słuchany; opowiada i jest opowiadany; istnieje poza opowieścią, ale wiemy o nim tylko to, co sam powie, choć opowiada o sobie, jakby mówił o kimś innym. Jego postać nam umyka: zanim zacznie opowiadać, nie widać go w mroku; opowiadając, nie mówi o sobie; a kiedy stwierdzeniem „nie wiem i nigdy się nie dowiem” zakończy, wyjdzie z pokoju i zniknie. Kim jest? Czy rzeczywiście zrobił to, do czego się na końcu przyznaje? A może wszystko jest zmyśleniem nie z tego świata, tak jak chciała jego towarzyszka? W opowieści bohater musi podjąć rozstrzygającą decyzję i wydaje się, że ją podejmuje. Jednak pod pozorem wyboru jednej z dwu możliwości chce rozstrzygnąć zupełnie inną kwestię. Pyta nie o winę skandynawskiego kapitana, ale o prawdę jego opowieści. Stawką jest życie, fakty są niedostępne, słowa wątpliwe, interpretacje zawieszone. Czyn bohatera opowieści wydaje się potworny i okrutny, ale może w danych okolicznościach sprawiedliwy i prawy? Giną ludzie, a dylemat pozostaje nierozstrzygnięty. Jak dowieść, że coś się rzeczywiście zdarzyło? Jak się przekonać o znaczeniu tego, co miało miejsce? Kto decyduje o tym, co się wydarzy i jakie to będzie miało znaczenie? Narrator zostawia nas w przeraźliwej pustce. „Nie wiem. I nigdy się nie dowiem” – mówi w istocie Joseph Conrad, autor niezwykłych, porywających i wzruszających opowieści, które niosą gorzką wiedzę o tym, że świat ofiarowuje się nam w opowieściach, rozgrywa między tym, kto opowiada, a tym, kto słucha. Nie jest to przestrzeń prostych rozstrzygnięć ani pewnych odpowiedzi. Nic tu nie jest prostym „tak-tak, nie-nie”.

Conradowska *Opowieść*, przy całej dramatyczności i napięciu fabuły, to również opowiadanie o opowiadaniu, o jego źródłach, konstrukcji, odbiorze i znaczeniu, wreszcie o jego podmiotach – narratorze i słuchaczu. Każde opowiadanie, mówi Conrad, może być prawdziwe albo skłamane, każde jest przez kogoś skonstruowane i przez kogoś z mniejszą lub większą wiarą przyjmowane – rozgrywa się między ludźmi próbującymi sprostać niedostępnej rzeczywistości. Obie strony tej podstawowej relacji, w której powstaje opowieść, są zarazem jednostkowo samotne i społecznie uwikłane. Opowiadający mówi to, co i jak chce lub może powiedzieć,

a słuchająca przyjmuje to, co chce lub może usłyszeć zgodnie ze swoimi przekonaniami, emocjami, wiarą, doświadczeniem. Opowiadanie to poszukiwanie wyjaśnienia, ale tego jednego właśnie nigdy się nie osiągnie. I mówiący, i słuchająca samotnie wspólnie pogrążają się w mroku.

## 2

Opowiadania Conrada niemal bez wyjątku rozgrywają się w tak wyznaczonej przestrzeni, na różne sposoby skomplikowanej i zwielokrotnionej. Chwyt opowiadania w opowiadaniu stosował pisarz także w powieściach, na przykład w *Lordzie Jimie* czy *Jądrze ciemności*, jednak to właśnie w krótkich formach doprowadził go do najbardziej wyrafinowanych, skomplikowanych i zwodniczych realizacji, mnożąc piętra narracyjnych konstrukcji i zagęszczając sieć łączących je relacji. Niesłychany zakres tych eksperymentów narracyjnych zderza się w Conradowskich opowiadaniach nie tylko ze stosunkowo ograniczoną przestrzenią tekstową, ale również z samą konwencją gatunku, mianowicie opowiadania dla popularnego odbiorcy. Conrad publikował te utwory w czasopismach kulturalnych o szerokim gronie odbiorców w wyższych sferach społeczeństwa brytyjskiego. Gatunek ten uprawiał niemal stale, ponieważ było to dobre źródło dochodu dla pisarza, przez całe życie borykającego się z kłopotami finansowymi. Na przełomie XIX i XX wieku w Wielkiej Brytanii rynek czasopism drukujących opowiadania w całości lub w odcinkach był bardzo rozwinięty, istniał spory popyt na liczące średnio sześć do ośmiu tysięcy słów utwory beletrystyczne. Conrad, któremu historie rosły pod piórem, nierzadko przekraczał ten format, wobec czego jego opowiadania bywały cięte na odcinki. Takie podziały, zwykle dość mechaniczne, przetrwały w późniejszych edycjach książkowych, na przykład w *Placówce postępu* czy wspomnianym już *Jądrze ciemności*.

Warto przy okazji przypomnieć, że klasyfikacja gatunkowa dzieł Conrada budzi kontrowersje – dręczące, być może, dla skupionych na porządku pedantów, ale dla czytelników ceniących u pisarzy niepodległość

twórczą nieszczególnie problematyczne. Conrad należy do wielkich eksperymentatorów w zakresie form prozatorskich i w całej swojej twórczości pracował nad różnymi metodami „opowiadania historii". U autora tekstów tak różnych formalnie jak *Książę Roman* i *Freya z Siedmiu Wysp* znajdziemy więc utwory zarówno kilkunastostronicowe i jednowątkowe, jak i podzielone na kilka rozdziałów mikropowieści. Czy nazwiemy je nowelami, novellami, krótkimi powieściami, długimi opowiadaniami, opowiadaniami w odcinkach, opowiadaniami po prostu, czy też opowieściami, nie zmienimy ich zasadniczej cechy charakterystycznej, dzięki której mamy przed sobą bogate, wciągające fabuły, a zarazem odważne i skomplikowane eksperymenty narracyjne.

Na czym polega owa szczególna cecha utworów Josepha Conrada zwanych tu opowiadaniami, bez względu na niezbyt istotne szczegóły techniczne? Otóż zawsze jest w nich ktoś o wyrazistej osobowości, ktoś, kogo, mimo że bywa anonimowy, możemy znakomicie scharakteryzować, niemal mając poczucie, że siadamy w jego towarzystwie przy kominku ze szklaneczką w ręku albo że jemy z nim kolację w eleganckiej restauracji, czy może w jego towarzystwie czekamy na przypływ na pokładzie jachtu lub podróżujemy razem w wagonie kolejowym – ktoś taki zatem opowiada nam pewną historię, którą sam przeżył, a częściej, którą opowiedział mu uprzednio ktoś inny, kogo los rzucił w dalekie, dziwne kraje lub komu pozwolił zetknąć się z człowiekiem o fascynujących, smutnych, trudnych, przejmujących przygodach. Owa postać wewnątrz opowieści, której głosu udziela nasz opowiadacz, również jest wyrazista, żywa, obecna. Siłą słowa narrator otwiera przed nami alternatywny świat – nie siedzimy już bezpiecznie przy naszym kominku – i każe samodzielnie decydować, co się wydarzyło i co te wydarzenia znaczą.

Taka opowieść musi wciągać i nie może trwać bez końca – każda noc ma swój kres – ale też nie zamyka się w paru zdaniach. Trwa i działa tak, by „zmusić ludzi wpatrzonych w odległe cele, aby ujrzeli przez chwilę otaczający ich przepych kształtów i barw, światła i cienia; sprawić, że na mgnienie przystaną, aby spojrzeć, aby westchnąć, aby się uśmiechnąć".

Osiągnięcie tego trudnego celu dane jest niewielu artystom, pisze Conrad dalej w przedmowie do *Murzyna z załogi Narcyza*, powieści (czy jednak opowiadania?), z której pochodzi zacytowane zdanie; jednak kiedy się to uda, zawołać można: „Patrzcie! Oto cała prawda życia: chwila wizji, westchnienie, uśmiech – i powrót do wieczystej ciszy".

Krótkie utwory Conrada trafiały na łamy poczytnych czasopism, takich jak „Cornhill", „The Savoy", „Cosmopolis", „Pall Mall Magazine", „Illustrated London News" i „Blackwood's Magazine". Były to pisma prestiżowe i na ogół konserwatywne (zwłaszcza ważny dla Conrada „Blackwood's", zwany „Maga"), czytane przez elity wiktoriańskiej Anglii. Opowiadania drukowane w tych pismach miały charakter przygodowy, ale i poważny, odwoływały się do uczuć, przekonań i nostalgii kolonialnego społeczeństwa, nie burząc obowiązującej wizji świata, a raczej podtrzymując obraz potężnej Anglii, z jej kulturą polityczną i światową pozycją ekonomiczno-militarną. Conrad szybko nauczył się pisać dla popularnych odbiorców, a opowiadania przynosiły mu dochód wyższy niż powieści.

W powstałych dla czasopism utworach, wśród których zdarzają się, trzeba przyznać, tanie melodramy, ale również arcydzieła, uderza napięcie między cechami wciągającego „czytadła" a niedającym się przeoczyć dywersyjnym ładunkiem znaczeniowym, rozsadzającym od wewnątrz ich fabuły. Owo napięcie i siła niepokornej myśli pochodzi właśnie od tego kogoś, kto opowiada: to narrator uruchamia podstępny mechanizm Conradowskich krótkich form, który sprawia, że przekraczają one pakt zawarty na mocy konwencji gatunkowej między dostarczycielem rozrywki a jej odbiorcami. Opowiadający (zawsze jest to mężczyzna) ujawnia wieloznaczność przedstawionych wydarzeń i niepewność ich znaczeń, czy może raczej pewność, że wydarzenia nie wyczerpują się w swoim dzianiu, a znaczenia nie dają się ustalić.

# 3

Pierwszy z siedmiu tomów krótkich form Conrada, zbiór *Tales of Unrest* z 1898 roku, skomponowany został z tekstów drukowanych w czasopismach w poprzednich trzech latach. Sceneria i akcja tych opowiadań znakomicie wpisują się w oczekiwania odbiorcze: w *Placówce postępu* mamy Afrykę Środkową, w *Lagunie* i *Karainie* – morza Azji Południowo-Wschodniej, wielkie emocje, historie miłosne, egzotykę, a także znakomitą ironię. Mamy też opowiadania osadzone w Europie, ale niepozbawione niezwykłości. Czasopismo „The Academy" przyznało Conradowi za ten tom nagrodę (jedyną, jaką otrzymał) w wysokości pięćdziesięciu gwinei dla najlepszej książki 1898 roku.

Kolejne tomy, zawsze poprzedzone publikacjami w prasie, ukazywały się regularnie, towarzysząc powstawaniu kolejnych wielkich powieści. W 1902 roku wychodzi *Youth and Other Stories*, tom, w którym poznajemy najważniejszego chyba narratora Conrada, Charliego Marlowa, a trzy zebrane teksty (prócz tytułowego jeszcze *Jądro ciemności* i *U kresu sił*) obrazować mają trzy etapy życia ludzkiego. Choć później *Jądro ciemności* przyćmiło pozostałe dwa utwory, zyskując miano arcydzieła i w pewnym sensie zmieniając status na powieść (także z powodu samodzielnych edycji), początkowo to właśnie *Młodość*, określona przez krytyków mianem współczesnej epopei morskiej i porównywana do *Odysei*, była przyjmowana najlepiej, także ze względu na wyrażony w niej podziw dla Anglii i przekonanie, że wartości i cnoty wykształcone przez ten kraj przewyższają wszystko, co stworzyły inne cywilizacje. Wartościami, o których nie warto zapominać podczas lektury, są humor i ironia.

W 1903 roku ukazuje się *Typhoon and Other Stories*, zbiór czterech nieco dłuższych utworów: *Tajfun*, *Amy Forster*, *Falk* oraz *Jutro*, napisanych w latach 1900–1902. Tu nie spotykamy już Marlowa, zmienia się też nieco ton towarzyszący spojrzeniu pisarza na własne doświadczenia stanowiące kanwę dla opowieści. *Amy Foster*, utwór uważany przez niektórych krytyków za najlepsze opowiadanie, jakie wyszło spod pióra Conrada,

bywa odczytywany w kluczu autobiograficznym, jako symboliczne przetworzenie losu emigranta, co jest jednak znacznym uproszczeniem. Choć utwory składające się na poprzednie tomy trudno nazwać jasnymi, w tych opowiadaniach jeszcze wyraźniej jawi się zmienny rytm nadziei i rozpaczy.

Skomponowany przez autora *A Set of Six* z 1908 roku zbiera opowiadania, które wprawdzie nie łączą się tematycznie, lecz każde otrzymało podtytuł klasyfikujący je i rzucający na fabułę ironiczny cień. Powstały one bezpośrednio po zakończeniu pracy nad największą powieścią pisarza, *Nostromo* (1904). Conrad musiał wówczas postarać się o szybki zarobek w związku z trudną sytuacją zdrowotną w rodzinie, więc, jak sam wspomina, starał się w tych utworach być, na ile tylko mógł, pisarzem rozrywkowym. Nie zmienia to faktu, że niektóre z tekstów należą do najbardziej wyrafinowanych i wieloznacznych konstrukcji narracyjnych w jego twórczości. W opowiadaniach z tego tomu pojawiają się nowe motywy: anarchizm i działalność grup wywrotowych – tematyka, którą Conrad rozwinie w swojej kolejnej powieści, *Tajnym agencie* (1907).

*'Twix Land and Sea* (1912), tom, który początkowo miał nosić tytuł - *Tales of Experience*, składa się z trzech dłuższych utworów umieszczonych ponownie w scenerii mórz południowych. Oprócz zawartego w naszym wyborze *Tajemnego towarzysza* – najbardziej zdumiewającego, najsłynniejszego, być może, i najczęściej antologizowanego opowiadania pisarza oraz bezlitośnie smutnej opowieści o miłości i okrucieństwie męskiego świata, czyli *Frei z Siedmiu Wysp* – mamy tu jeszcze *Uśmiech losu*. Wszystkie teksty były uprzednio publikowane w czasopismach, a powstały po załamaniu nerwowym, którego pisarz doświadczył w 1910 roku, gdy ukończył pracę nad powieścią *W oczach Zachodu*.

Wydany w 1915 roku tom *Within the Tides* to cztery opowiadania z lat 1910−1914: *Plantator z Malaty*, *Wspólnik*, *Gospoda „Pod Dwiema Wiedźmami"* oraz *Z powodu dolarów*, które należą do mniej cenionych w dorobku pisarza. Z wyjątkiem ujętego w naszym wyborze bardzo ciekawego *Wspólnika*, zebrane w tym tomie utwory powstały dla dobrze

płacącego amerykańskiego „Metropolitan Magazine”. W odpowiedzi na prośbę o teksty Conrad napisał, że żąda szczególnych warunków w zamian za prostytuowanie swego umysłu na użytek takiego czasopisma, by potem skwitować ze smutkiem, że na *Plantatorze z Malaty* zarobił sześć razy więcej niż na *Jądrze ciemności*. Równolegle do tych czytadeł powstawało *Zwycięstwo* (1915), ostatnia powieść, której akcja toczy się na Archipelagu Malajskim.

Siódmy i ostatni tom opowiadań planował Conrad już w 1922 roku jako zbiór rozproszonych tekstów z czasopism uzupełnionych o *Korsarza*. Ponieważ jednak utwór ten zaczął się rozrastać w powieść, projekt tomu opowiadań został zarzucony. Książka ukazała się dopiero po śmierci Conrada, w 1925 roku, pod wybranym jeszcze przez niego tytułem *Tales of Hearsay*, z przedmową jego przyjaciela i współpracownika, R. B. Cunninghame’a Grahama. Jest to zbiór utworów z samego początku i samego końca kariery pisarskiej Conrada. Pierwszym, najwcześniejszym utworem, zgodnie z planem samego pisarza, jest *Czarny oficer*, ostatnim rzeczywiście najpóźniejsza *Opowieść*.

## 4

Utwory, które znalazły się w naszym tomie, pochodzą z każdego ze zbiorów opowiadań Conrada, dzięki czemu tworzą miniaturową panoramę jego twórczości. Pomija ona, rzecz jasna, wielkie powieści, daje jednak obraz jego pomysłów fabularnych, inspirujących go tematów i wypracowanych w różnych okresach stylów narracji.

Różna jest sceneria tych opowieści: od Afryki Środkowej po mityczny Wschód, który czeka na młodych żeglarzy – Azję Południowo-Wschodnią, a zwłaszcza Archipelag Malajski, a więc te miejsca na mapie kolonialnego świata, które Conrad dobrze znał, a dzięki swojemu kunsztowi stworzył dla wyobraźni zachodnich odbiorców. Wydarzenia toczą się i na lądzie, w niedostępnych rajskich zakątkach, gdzie jednak nie brakuje wielkich namiętności, grozy, smutku i strachu, i na pokładach statków, tych

pływających wysp, zamkniętych światów, gdzie ludzie skazani są na siebie nawzajem, a dramatyczne zdarzenia, jak w greckiej tragedii, toczą się w jednym czasie i miejscu. Jest również Ameryka Południowa, także przestrzeń działania kolonizatorów, którzy kontrolują i karzą, prowadząc globalną kapitalistyczną politykę gospodarczą. Mamy Anglię, zarówno wielkomiejską, reprezentowaną przez różne widoki Londynu − jako miasta anarchistów oraz przestrzeń większych i mniejszych interesów w zaułkach City. Jest Anglia prowincjonalna, czyli sportretowane przewrotnie rolnicze miasteczka hrabstwa Kent oraz porty Kanału Angielskiego i doki Morza Północnego. Narratorzy Conrada zabierają nas także pod neapolitańskie niebo, gdzie łagodny klimat i piękno sztuki nieznacznie tylko zakrywają czającą się grozę śmierci, oraz w dzikie rejony Europy Wschodniej, gdzie wśród pól malowanych zbożem rozmaitym, stawów, które zimą skuwa lód i przykrywa skrzący się w słońcu śnieg, podczas gdy po lasach krążą groźne wilki, toczy się pozornie spokojne wiejskie życie, podszyte bezlitosną polityczną walką, pochłaniającą ofiary, o których świat nie wie nic.

Przez opowiadania przewija się cała galeria niezapomnianych postaci: marynarze i inni ludzie morza, mieszkańcy odległych malajskich państewek, ich władcy, wojownicy, służący, egzotyczne kobiety, handlarze i handlowcy działający w różnych miejscach i na różne sposoby, plantatorzy, kapitaliści, anarchiści i spiskowcy, robotnicy, więźniowie, wiejski lekarz, młoda arystokratka, dumna i niezależna dziewczyna z archipelagu, ograniczona umysłowo wieśniaczka, rozbitek wyrzucony przez fale na brzeg, starsi panowie z przeszłością, czy to heroiczną, czy to wątpliwą, wiekowy włóczęga, który nosi w sobie opowieść, i cyniczny autor pisujący dla londyńskich czasopism.

Postaci te są pamiętne nie tylko jako bohaterowie opowieści, ale również jako ich opowiadacze. W zasadzie każde z tych opowiadań – zarówno w gatunkowym sensie odnoszącym się do poszczególnych utworów, jak i w znaczeniu dosłownym, jako czynność opowiadania – rozgrywa się w nieco innej konfiguracji narracyjnej, żadne jednak nie jest po prostu prezentacją faktów.

# 5

Stosunkowo najmniej liczna jest grupa tekstów pozbawionych wyraźnie zaznaczonej zewnętrznej ramy narracyjnej, czyli owego „kominka”, przy którym siedzimy sobie z narratorem. Przykładem jest *Placówka postępu*, utwór, w którym zostajemy w świat przedstawiony wrzuceni *in medias res* i nic – chyba że wysoce ironiczny tytuł – nie przygotowuje nas na to, co przed nami: „Stacją handlową zawiadywało dwóch białych. Kayerts, szef, był niski i gruby; Carlier, jego zastępca, był wysoki, miał wielką głowę i bardzo szeroki tułów usadowiony na chudych nogach. Trzeci w załodze był Murzyn z Sierra Leone, który utrzymywał, że nazywa się Henry Price. Ale z jakiegoś powodu tubylcy znad rzeki nazwali go Makola”. Conrad określił *Placówkę postępu* mianem „najlżejszej części łupu, jaki przywiózł z Afryki Środkowej”, a lekkość tego tekstu – w porównaniu z opowiadanym przez ironicznego, gorzkiego narratora Charliego Marlowa *Jądrem ciemności* oraz zdradzającymi depresję i przerażenie listami i zapiskami osobistymi – wynika właśnie z zastosowanej metody narracyjnej. Nie pojawia się ona już więcej w opowiadaniach, lecz wykorzystana zostanie później w *Nostromo* i w *Tajnym agencie*. Jedność opowieści zapewnia tu dzięki spojrzeniu na wydarzenia ze sporego dystansu flaubertowski z pochodzenia narrator wszechwiedzący, a jej paradoksalną czułość i emocjonalność – znakomite użycie mowy pozornie zależnej. Wydarzenia, które śledzimy panoramicznie z zewnątrz, widzimy jednocześnie z perspektywy bohaterów. Ich żałosne poczynania, przedstawione z niesłychaną, obsesyjną szczegółowością, zyskują dzięki temu wymiar prawdziwego dramatu, budzą litość i trwogę, a nie tylko pusty śmiech. Zmuszają też do zadania pytania o odpowiedzialność, sprawczość i zależności, w które uwikłane są tragicznie śmieszne marionetki.

Ramowego narratora nie ma także w jednym z najwspanialszych i najbardziej zdumiewających opowiadań Conrada, mianowicie w późniejszym o ponad dekadę *Tajemnym towarzyszu*. Ten tekst także rozpoczyna się bez przygotowania, od ustalenia sceny wydarzeń. Tutaj

pisarz posługuje się pierwszoosobową narracją autobiograficzną, pozbawioną wprowadzenia czy komentarza. Otwierający opowiadanie opis – jeden z najwspanialszych w dziele Conrada przykładów pejzażu symbolicznego – lokuje czytelnika w wyznaczonym punkcie i zmusza do przyjęcia konkretnego sposobu widzenia wydarzeń. Dzięki temu atmosfera emocjonalna się zagęszcza, wzmaga się poczucie, że kolejne etapy tej historii przeżywamy wraz z opowiadającym, że nas również dotyczy zagrożenie. Nie wiemy, czy cała rzecz – ostatecznie szalenie ryzykowna na każdym etapie – rzeczywiście się powiedzie. Bardzo trudno jest wyzwolić się z przemocy tego punktu widzenia, odmówić wspólnictwa, towarzyszenia w realizacji wątpliwego (jeśli spojrzeć z zewnątrz) przedsięwzięcia.

A jeśli uda się wyzwolić, to można zapytać, czy mamy podziwiać, czy potępiać działanie kapitana, który łamie wszelkie reguły, sprzeciwia się kodeksowi zachowania i prawu, naraża załogę na niebezpieczeństwo i działa pod wpływem najwyraźniej silnie emocjonalnych, osobistych bodźców. Mamy do czynienia z historią niemal kryminalną, a na pewno z protothrillerem psychologicznym, który poznajemy z jednego punktu widzenia, warto więc postawić pytanie o wiarygodność narratora, o stan jego umysłu, o to, czy przedstawiane wydarzenia dzieją się naprawdę, czy tylko w jego wyobraźni. Zresztą sam kapitan nie ma w tym względzie pewności, co w zestawieniu z obsesyjnie precyzyjnym rysunkiem szczegółów i okoliczności wydarzeń tworzy zaskakujący kontrast.

Opisana przez Conrada historia, mimo że ma faktyczne podstawy (nawiązuje do incydentu na kliprze Cutty Sark w 1880 roku), została rozpisana tak niejednoznacznie, obarczona tak wielkim ładunkiem znaczeniotwórczym, że doczekała się licznych interpretacji, zwłaszcza psychoanalitycznych, mitycznych i symbolicznych. Historię młodego kapitana i jego tajemnego towarzysza czytano jako opis jungowskiej nocnej podróży, niebezpieczne zejście w ciemne rejony; jako obraz wewnętrznego rozdarcia lojalności wobec jednostki i wobec praw rządzących społecznością; jako historię o mrocznym bliźniaku czy sobowtórze,

wreszcie jako wyraz fantazji homoseksualnej w męskim świecie, w którym obowiązuje silny system restrykcji. Jeśli jednak patrzeć na tę historię przez pryzmat fantastycznych czy symbolicznych schematów, uderza zakończenie, które sprowadza nas z powrotem w przestrzeń brytyjskiego etosu marynarskiego: młody kapitan, kiedy pozbędzie się nieznajomego z pokładu, wyprowadza statek z opałów, odzyskuje nad nim i nad sobą pełną kontrolę, a dodatkowo zaskarbia sobie poważanie załogi, na czym mu przecież od początku zależało. Czy to właśnie jest moment odzyskania tożsamości, integracja osobowości dokonana dzięki autobiograficznej opowieści?

W pozostałych utworach zawartych w naszym zbiorze zastosowane przez Conrada sposoby inscenizacji samego opowiadania tworzą układy wielokrotnie złożone, o kilku poziomach głębi i licznych płaszczyznach interpretacji. W ten sposób Conrad włącza do gry czytelników: to oni, słuchając licznych głosów, obarczeni zostają w rezultacie zadaniem zrozumienia i oceny ich wzajemnego układu, to im przypada zadanie niemożliwego rozstrzygnięcia, co się stało i co to znaczy.

Jednym z bardzo wyrafinowanych i podstępnych rozwiązań narracyjnych jest pochodzące z pierwszego tomu opowiadanie *Karain: wspomnienie*. Opublikowany obok *Laguny Karain*, z akcją także ulokowaną na morzach południowych, był kolejnym projektem na czytadło, a jednak wymknął się spod gatunkowej kontroli. O ile *Laguna* to prosty schemat opowiadania w opowiadaniu, a zasadnicza atrakcyjność fabuły opiera się na nastroju i egzotycznych okolicznościach, tutaj pisarz wprowadza strukturę znacznie bardziej rozwiniętą, która potem znajdzie zastosowanie na przykład w powieści *Lord Jim*. Mamy do czynienia z co najmniej trzema piętrami tytułowego wspomnienia: główny narrator, angielski marynarz, który brał udział w nielegalnym procederze handlu bronią z tubylcami podczas sporów o europejską dominację handlową na Archipelagu Malajskim oraz wojen terytorialnych lokalnych klanów, opowiada o podróżach na wyspę zasobnego watażki Karaina, a zwłaszcza o ostatnim spotkaniu z nieszczęsnym władcą, który sam jest prześladowany

przez wspomnienia. Zasadnicza część opowieści to właśnie wspomnienia samego Karaina, które narrator i jego towarzysze wówczas usłyszeli. Długa i zawiła historia z przeszłości zostaje umieszczona w ramie opowieści o tym, jak biali marynarze starają się pomóc swojemu malajskiemu przyjacielowi. Nie miejsce tu na omawianie szczegółów fabuły, dość powiedzieć, że symboliczna supremacja Brytyjczyków i ich królowej ma zapewnić spokój malajskiemu wodzowi, a być może nawet wyposażyć go na dalsze lokalne podboje. Puenta opowiadania przenosi nas jednak na jeszcze inny poziom wspomnienia: zakończenie opowiadania następuje kilka lat później, w Londynie, gdzie narrator spotyka jednego ze swych dawnych morskich kompanów i wspólnie przypominają sobie postać Karaina. Teraz dopiero wątki zostają powiązane w silnie ironiczny splot. Karain, mówi do narratora przyjaciel, pewnie angażuje się teraz w lokalne walki przeciwko Hiszpanom – a więc pomaga Anglikom. Anglia tymczasem to obraz pre-Eliotowskiego, nierzeczywistego miasta-potwora. Zestawiając tę piekielną wizję z dręczącymi Karaina duchami przeszłości w jego rajskiej ojczyźnie, nasi bohaterowie tracą pewność, co jest prawdziwe, a co urojone, co rzeczywiście się dzieje, a co jest ułudą. Ostatnie zdanie narratora jest być może deklaracją odpowiedzi, a być może wyrazem gorzkiej ironii politycznej i poznawczej.

Nierozstrzygalna ironia jest również budulcem opowiadania *Informator. Opowieść ironiczna*. Jej zasadnicza fabuła ma charakter opowieści kryminalnej i dotyczy zdemaskowania informatora policyjnego, który infiltrował pewną komórkę anarchistyczną w Londynie. Sens opowiadania wynika jednak nie z samych wydarzeń, ale z tego, co kto komu opowiada i na ile można kolejnym opowiadającym wierzyć. Mamy zatem anonimowego narratora, kolekcjonera starożytności, którego odwiedza niejaki pan X, narrator zasadniczej fabuły. Pan X sam jest też postacią w opowieści przyjaciela kolekcjonera starożytnych chińskich brązów, nazwanego kolekcjonerem znajomości, który zapowiada przybycie pana X listem. Opisuje go w nim jako jeden z najciekawszych okazów swojej kolekcji – wybitnego spiskowca i wielkiego pisarza anarchistę, którego

teksty były w swoim czasie niczym ogień rzucany w łatwopalne miejsca świata. Opowiadanie, które samo ma dwa poziomy głębi, okolone jest więc ramą złożoną z wymiany opinii o panu X między narratorem a jego korespondentem. Rama ta zasadniczo komplikuje znaczenie samej opowieści o anarchistach i odwraca wrażenia powstałe w trakcie rozwoju opowieści. Kolejne poziomy ironii wynikające z samej historii, ze sposobu, w jaki narrator główny ją odbiera i jak na nią reaguje, a okoliczności, w jakich toczy się opowieść, nakładają się na siebie, tworząc palimpsest wymykający się jednoznacznemu odczytaniu. W zakończeniu główny narrator przyznaje, że nie pojmuje końcowej uwagi swojego korespondenta, który opowieść pana X kładzie na karb jego predylekcji do żartów. A może tylko udaje, że jej nie rozumie? Poziomy udania i autentyczności są w tej narracji nie do rozplątania.

Czytelnik zostaje zaproszony do samodzielnej interpretacji – Conrad podważa kompetencje swojego narratora, ale nie udziela podpowiedzi, jak się ustosunkować do końcowego „żartu". W tym sensie jest to opowieść rzeczywiście szpiegowska, idealnie zakamuflowana, prawdziwie podziemna. Do końca nierozstrzygnięta pozostaje kwestia prawdy i fałszu: co jest autentycznym wyrazem przekonań (paradoksalnie być może jedynie Sevrin, informator, działa rzeczywiście w zgodzie ze swoim etosem), a co pustym gestem (czy nie tym właśnie okazuje się cała postawa pana X, który gotów jest krytykować puste gesty, a zarazem gładko łączy anarchistyczne przekonania z zamiłowaniem do luksusu). A może wszystko jest zmyśleniem stworzonym na potrzeby burżuja żądnego sensacji związanej z „podziemną działalnością", a jednocześnie spokojnie kolekcjonującego brązy, podczas gdy świat płonie? Sytuację komplikuje dodatkowo fakt, że sednem opowieści pana X jest przebieranka – teatralizacja działań politycznych, oszustwo, a może wręcz dziecięca zabawa w policjantów i złodziei. *Nothing is what it seems*. Dość dodać, że we wstępie do tomu *A Set of Six*, z którego pochodzi *Informator*, Conrad podkreśla, iż wszystkie opisane zdarzenia nie tylko są możliwe, ale w istocie miały miejsce, i dodaje: „O *Informatorze* i *Anarchiście* nie powiem niemal nic. Rodowód

tych historii jest beznadziejnie skomplikowany i niewart rozplątywania z tak dużego dystansu czasowego”. Do całej komplikacji dochodzi więc jeszcze dywersja ze strony pisarza.

Znakomitym przykładem komplikacji narracyjnej i wielopoziomowych niejawnych intencji jest inne opowiadanie z tego samego tomu, a mianowicie *Il Conde. Opowieść żałosna*. Gra zaczyna się już w tytule, w którym włoski rzeczownik *il conte* – hrabia – z nieznanego powodu zapisany jest z błędem. Błąd w swojej nocie zauważa sam autor, nie wyjaśnia go jednak ani nie poprawia, pisze natomiast, że historia biednego hrabiego, którego w Neapolu spotyka paskudna przygoda, jest niemal dosłownym zapisem opowieści pewnego napotkanego w podróży uroczego starszego pana. Był nim przypuszczalnie Zygmunt Szembek poznany przez Conrada na Capri w 1905 roku, a być może Norman Douglas, kosmopolita i homoseksualista, z którym pisarz zaprzyjaźnił się w tym samym czasie. W którym momencie mój rozmówca przerwał, a ja podjąłem opowieść – dodaje pisarz – musi rozsądzić zainteresowany czytelnik.

Czytelnik z pewnością będzie zainteresowany, zwłaszcza że opowiadanie od dawna budzi interpretacyjne wątpliwości związane, po pierwsze, z pewną nieproporcjonalnością między opisanym wydarzeniem a reakcją bohatera; po drugie, z wyraźnymi w utworze sygnałami niepełnej wiarygodności kolejnych narratorów. Mamy wrażenie, że sam hrabia coś ukrywa, a osoba opowiadająca nam jego przygodę to ktoś naiwny i niezbyt bystry, biorący za dobrą monetę wszystko, co słyszy. Tymczasem sama narracja bynajmniej nie jest naiwna i zawiera liczne ślady aluzji i symboli homoseksualnych, począwszy od rzeźby odpoczywającego Hermesa, nawiązań do zwyczajów starożytnych Rzymian, przez opisy mężczyzn, aż po relację z paskudnej przygody hrabiego, poprowadzoną równolegle do opisu muzyki, pełną szczegółów pozwalających odczytać ją jako opis aktu seksualnego. A zatem naiwność narratora również zostaje podważona, co zachęca do odczytywania jego postaci jako współspiskowca – człowieka, który wie, że na pewne tematy nie wolno mówić inaczej niż językiem ezopowym, czytelnym jedynie dla wtajemniczonych.

Naiwni okażą się więc czytelnicy, którzy nie uchwycą kodu, wśród nich również krytycy, głowiący się nad ukrytym znaczeniem opowiadania, odczytujący je karkołomnie na przykład jako alegorię starego ładu w Europie, zagrożonego przez młodych gangsterów politycznych. *Il Conde* to jeden z najdalej posuniętych eksperymentów Conrada z włączaniem czytelników w grę narracyjną. Opis napadu jest majstersztykiem szyfrowania, a jednocześnie usłyszeć w nim można przecież ton parodii, wyśmiewającej tego rodzaju symbolizację w prozie gejowskiej. Przy okazji opowiadanie zaleca się nam też jako satyryczny wizerunek klas społecznych, zmierzchu arystokracji oraz hipokryzji konwenansu, widocznej także w języku.

Jednym z najwspanialszych i najbogatszych narracyjnie opowiadań Conrada jest *Amy Foster*, utwór często – zwłaszcza w Polsce – odczytywany jako przykład metaforycznej prozy autobiograficznej. Historia emigranta-rozbitka, który cudem zostaje uratowany na angielskim brzegu, ale nigdy nie będzie w stanie pokonać obcości, przystosować się i żyć w tym dziwnym kraju, bywała interpretowana jako opis stanu ducha Polaka patrioty, który po latach tułaczki trafia na południe Anglii. Tymczasem na poziomie literackim opowiadanie to w istocie świadczy o wysiłku pisarza, by zdystansować się wobec postaci głównego bohatera, a znaczenie historii Yanka Goorala nie zamyka się bynajmniej w próbie przedstawienia Anglii oczyma Polaka.

Sam pisarz deklarował, że interesuje go zagadnienie różnic rasowych, które obserwował już w okresie podróży po Archipelagu Malajskim. Zagadnienie to powraca w wielu jego tekstach, czasem wykorzystywane bywa wręcz jako argument na rzecz rasizmu pisarza. *Amy Foster* to próba użycia kategorii antropologicznych, by spojrzeć na Anglię jako na obcy kraj – ziemię jeszcze nieodkrytą, a także ciemne miejsce na ziemi, podobnie jak z angielskiej perspektywy patrzy się na kraje kolonialne. Pośrednikiem w tym eksperymencie badawczym jest doktor Kennedy, którego opowieść wprowadzona zostaje przez odwiedzającego go anonimowego narratora. Doktor w młodości był uczestnikiem egzotycznych wypraw badawczych,

ma przenikliwy umysł i dyscyplinę naukową pozwalającą zrozumieć oraz przekazać obcość. Jego obecna posada wiejskiego doktora tylko pozornie jest odpoczynkiem. To doktor Kennedy w swoim czasie rozmawia z Yankiem i obserwuje go, a teraz przytacza jego opowieść o podróży morskiej i pierwszych dniach pobytu na angielskiej ziemi – opowieść z trudem kleconą przez człowieka, który nie tylko nie jest wyposażony w narzędzia narracyjne wytworzone przez kulturę zachodnią, ale nawet niezbyt dobrze zna język, w jakim zmuszony jest się wypowiadać. To Kennedy udziela mu głosu – nikt inny nie jest ciekawy jego historii. Gdyby potraktować Yanka jako autoportret, byłby to co najmniej ironiczny wizerunek pisarza, który w swoim przybranym języku zyskał biegłość i którego historii słuchać chcieli liczni czytelnicy. Nie można jednak z pewnością powiedzieć, że taka ironia nie mieściłaby się w Conradowskich scenariuszach.

Istotną rolę w konstrukcji narracji *Amy Foster* odgrywa chwyt polegający na udziwnieniu opowieści. Przytoczona przez Kennedy'ego i relacjonowana przez głównego narratora opowieść Yanka o podróży z karpackiej wioski na angielskie wybrzeże pokazuje świat widziany oczyma kogoś, kto nic nie wie i niczego nie rozumie, obcego, przybysza z innego świata, a może właśnie antropologa. Conrad wzmaga w ten sposób wstrząsający obraz samej historii dziewiętnastowiecznej emigracji, lecz zarazem tworzy kafkowską, by tak anachronicznie powiedzieć, wizję świata, a zwłaszcza angielskiej prowincji. Wizja ta znakomicie rymuje się z opisami Konga, choć pozornie odwraca znaki cywilizacji i dzikości. Bez wątpienia ostrze ironii skierowane jest tu ku cywilizowanym Anglikom, dla których portret nieczułych, tępych i okrutnych mieszkańców Colebrook i Brenzett musiał być bolesny. Sielski krajobraz i uporządkowane życie wieśniaków stają się z punktu widzenia Yanka piekłem niemożności porozumienia i odrzucenia, nawet jeśli dzięki Amy zostaje ono czasowo złagodzone. Końcowe sceny opowiadania obrazują śmierć nie z choroby, ale z powodu braku zrozumienia. Strach okazuje się śmiertelnym zagrożeniem dla osoby, która go wzbudza, nie zaś dla tych, którzy, jak im

się zdaje, są zagrożeni. W takim odczytaniu wielokrotnie złożona i obramowana historia Amy Foster i jej obcego męża to odwrócenie kolonialnych narracji z czasów wiktoriańskich, ale również – nie można tego nie dostrzec – jakże aktualna dzisiaj przypowieść o strachu przed przybyszem, obcością i odmiennością.

## 6

Nawet jeśli nie jest się zwolennikiem interpretacji, które mechanicznie odnoszą dzieła literackie do problemów politycznych i społecznych dzisiejszego świata, trudno nie zwrócić uwagi na to, że Conrad to pisarz chyba najbardziej przejmująco aktualny spośród gigantów literatury modernistycznej. W naszym wyborze opowiadań niemal każde ma w sobie siłę nieoczywistości, dzięki czemu daje się odczytać w kontekście naszej współczesności, nie tracąc przy tym ani siły literackiej, ani nieoczywistości. *Amy Foster*, mówiąc skrótowo, może problematyzować kwestię obcości i wrogości w kontekście kryzysu migracyjnego. Nie brak w nim także obrazów jakby wyjętych z wiadomości, choćby to wstrząsające zdanie, które w naszych czasach doczekało się fotograficznej ilustracji: „Później, gdy przyszedł odpływ, wrak musiał się poruszyć i wypłynęła z niego część ciał, na brzeg na wprost wieży Martello zostało bowiem wyrzucone dziecko: mała jasnowłosa dziewczynka w czerwonej sukience”. *Placówka postępu* to opowieść o kolonizacji, ale również o zdumiewającej dla kolonizatorów przedsiębiorczości kolonizowanych, która karmi się nieporadnością czy niekompetencją przybyszów, łączy lokalne z tym, co dotarło z daleka, by tworzyć nowe formy życia politycznego i ekonomicznego. Obnaża też uniwersalną brzydotę natury ludzkiej: gotowość do współpracy z każdym, kto obiecuje zysk, bez względu na prawa człowieka. Opowiadania *Laguna* i *Karain* można odczytać nieco pod włos, jako opowieści o absurdalności tak zwanego męskiego honoru, który opiera się na przemocy wobec kobiet. *Karain* mówi też o roli pieniądza jako elementu wymiany symbolicznej, o nielegalnym handlu bronią oraz

o postkolonialnych ruchach wyzwoleńczych, stanowiących i dzisiaj narzędzie w ręku globalnych potęg ekonomicznych. *Anarchistę* przeczytać można jako opowieść o cynizmie kapitalizmu oraz o roli reklamy, a także o populistycznych strategiach żerowania na naiwności prostych ludzi. *Wspólnik* to być może komentarz do bezlitosnej rzeczywistości rynkowej i kapitału, nad którym człowiek traci kontrolę, choć to opowiadanie dzięki konstrukcji ramy narracyjnej, której częścią jest postać pisarza, jest też historią o cynizmie prasy szukającej sensacji i o swoistej prostytucji opowieści na rynku masowego odbiorcy, żądnym rozwiązań mocnych, ale prostych i stereotypowych, byle nie ryzykować podważenia ustalonej wizji świata. *Książę Roman*, opowiadanie szczególne, jedyne, w którym Conrad otwarcie odnosi się do historii Polski, podnosi kwestię oceny fanatyzmu jako postawy politycznej, a w warstwie narracji pozwala na zadanie pytania o relatywność perspektyw historycznych i politycznych, ich egzotyczność i zasadniczą niedostępność dla kogoś, kto nie dzieli wspólnotowego doświadczenia. Wreszcie *Freya z Siedmiu Wysp*, przejmująco smutna historia, która jest bodaj najpiękniejszym portretem kobiecym w całym dziele Conrada, to opowieść o wrogości wobec kobiet, o niezgodzie rządzonego przez mężczyzn świata na to, by mogły samodzielnie o sobie stanowić, mieć prawo do prywatności i szczęścia poza ramami wyznaczonymi im przez patriarchat. Conrad przedstawia w tym opowiadaniu scenę molestowania seksualnego, z okrutną precyzją szkicując jego psychologiczną stronę: sieć przemocy, wzbudzony przez sprawcę u ofiary wstyd i strach, społeczny konwenans uniemożliwiający wypowiedzenie prawdy o tym, co się stało, reakcję odwetową sprawcy dotykającą ukochanego kobiety, która odważyła się stawić opór. Pozornie komiczne rozwiązanie sytuacji między Freyą a Heemskirkiem z udziałem farsowego tatusia jest tak przejmujące, że śmiech zamiera na ustach. Conrad pokazuje strukturę przemocy fizycznej i symbolicznej, w którą schwytane są kobiety, a piękna, mądra i niezależna Freya zostaje za te swoje cechy ukarana i zniszczona, nawet jeśli uczucia narratora – być może przedstawiciela autora – są po jej stronie. Świat jest przeciwko kobietom.

To jest opowieść o rzeczywistości, w której powiedzenie *me too* jeszcze długo nie będzie możliwe. Od publikacji tego opowiadania minęło ponad stulecie, a molestowanie seksualne i zarządzanie kobiecym ciałem to nadal powszechny i wcale nie tak chętnie piętnowany wyraz męskiej dominacji.

Siła możliwych interpretacji opowiadań Conrada nie wynika bynajmniej z tego, że jego proza łatwo zamienia się w proste alegorie. To dzieło swoją największą moc aktualności czerpie z literackości, z artystycznego wymiaru opowiadanych historii. Wszystkie, by sparafrazować to, co Conrad pisał w cytowanej już nocie do jednego ze zbiorów, są nie tylko prawdopodobne, ale też rzeczywiście się wydarzyły. Opowieść czerpie z życia, a rozgrywa się między ludźmi, którzy muszą próbować zrozumieć w niej siebie, choć w konkluzji zawsze wybrzmiewają słowa: „Nie wiem. I nigdy się nie dowiem”.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018
Wydanie I